

Homa Jan Antoni

Ostatni koncert

Ewuni

*Andante moderato — Poco a poco più allegro*

Spacerowo — Stopniowo przyspieszając

1.

*Trzy rodzaje bieli graniczyły ze sobą w sposób prawie niezauważalny. Zmarznięty śnieg, który utracił nieskazitelność pod wpływem wyziewów z pobliskiej wędzarni ryb. Burobiałe niebo odbierające ostrość widzenia. I prześcieradłowa bladość twarzy...*

*Orgia kolorów, zorza polarna zbrodni... Z nostalgią pomyślał o krótkich, ciepłych miesiącach, które „już dawno się skończyły” albo „jeszcze długo nie miały nadejść”. Latem nawet zbrodnia miewała tu większy urok. Artystycznie zmiażdżone czaszki z wylewającą się zawartością zyskiwały na tle zieleni, nadającej im południowy, niemal portugalski charakter. Układy pokarmowe — zastygłe w poharatanych zwłokach na kształt znaku zapytania — straszły mniej, gdy oddech nie zamarzał. Odrąbane kończyny zyskiwały odmienny kontekst na tle letniego przebudzenia...*

*Cóż, pomarzyć można.*

*Ponure odcienie połączone były kroplami krwi, które, zastygając w ostrym mrozie, nie utraciły nic ze swego szkarlatu. Ot, garść porzeczek rozsypanych na przekór logice i... porze roku. Fjördöff westchnął. Dlaczego jedyny żywy kolor jest tu zarazem barwą śmierci?*

*Przeczucie sugerowało mu, że sprawca nawet nie próbował zacierać śladów. Rzeczywiście, nie musiał szukać daleko. Siekiera wystająca z kupki zmarzliny oddalona była ledwie trzydzieści metrów od trupa. Ostatnia kostka domina. Która była pierwsza? Upokorzenie? Zazdrość? Zdrada?*

*Jeszcze parę tygodni, a rachityczne słońce rozpuści ten szary śnieg. Niemrawe rośliny wykielkują na miejscu rachitycznej zbrodni. W tym czasie on będzie z całą pasją demaskować autora następnej. Fjördöff nie uśmiechnął się nawet w duchu. On się w ogóle nie uśmiechał. Nigdy. Do nikogo. Nawet do własnych myśli. Solidnie zapracował na miano Policjanta, Który Się Nie Uśmiecha...*

No i dobrze. Bóg z nim.

Z ulgą zamknąłem książkę. Zostawmy te historie Rucacellemu. I jego żonie. Wanda Rucacelli. Wiolonczelistka, Która Nie Musi Grać. Wystarczy, że Jest Żoną Maestra. Niech takie burobiałe opowieści rozgrzewają ich w szklistą sztokholmską noc. My tu mamy inne sposoby.

Rozsunąłem okiennice. Fala gorącego powietrza runęła do środka, odurzając radosnym zapachem słońca.

Gdzieś z daleka dobiegło wesołe poszczekiwanie (bez trudu rozróżniałem pogodne nuty w rzekomo zawsze poważnym głosie). Eston dawał mi znać, że nie odeszli zbyt daleko. Ta parka — w odróżnieniu ode mnie — nie zwykła tracić popołudniowego słońca w willowej imitacji chłodu. Antosia miała w sobie coś ze słonecznika. W pełnym świetle jej rudości i szmaragdy nabierały nieoczekiwanych blasków i znaczeń, a ona sama stawała się uosobieniem radości i żywotności. Ale Eston? Pies — jak można było sądzić po gęstości i długości futra — zdecydowanie bardziej polarny niż równikowy? Ten mnie zadziwił. Zamiast chować się po zacienionych kątach, pokładać po kamiennych podłogach, ziać nieprzytomnie i wyglądać pierwszych symptomów nadchodzącego zmięzchu, buszował z Rudzielcem przez dzień cały, nie opuszczał jej ani na krok, no chyba że wołanie natury wyższej (czytaj: instynktu) okazywało się silniejsze.

Ten pies miewał od czasu do czasu potrzebę ładowania się w jakąś awanturę. Od chwili, gdy stał się współgospodarzem kilkuhektarowej winnicy, zyskał w tym względzie sporo nowych okazji. Choć uwielbiał Antoškę — a nie pomył się, twierdząc, że było to uczucie odwzajemnione — ciągle zdarzało mu się przedkładać zew krwi nad wymogi posłuszeństwa.

Wybierając się na popołudniowy spacer, Antosia wzięła ze sobą sztalugi oraz kilka innych przedmiotów niezbędnych do malowania, a to oznaczało, że nie wrócą, dopóki słońce nie schowa się za horyzont. Tak; pani archeolog odreagowywała trud tylko co zakończonego stażu doktoranckiego z pędzelkiem (i to nie do makijażu) w dłoniach. Całkowicie zgadzałem się z nią, że tokański pejzaż jest jak namalowany. Łagodnym uśmiechem zachęca do utrwalenia.

— Faktycznie, tyłu słoneczników van Gogh nie widział w całym swoim życiu — dogadywałem.

— Nie chodzi o słoneczniki, mój drogi, tylko o wibracje koloru. Wibracje; wiesz, co to jest wibracja? — Rozbrajała wszelki typ mojej reakcji tym swoim szmaragdowo-jeziorkowym spojrzeniem. — Altowiolisci... — Pokiwała głową z udanym zażenowaniem.

Czy muszę dodawać, że jestem jednym z nich? Po studiach tułałem się trochę po świecie (pół roku pracy w jednej z włoskich orkiestr — niestety rozwiązanej — zaowocowało tak przydatną teraz znajomością języka). Potem znów było K. i pozycja wolnego strzelca w muzycznym świecie. A gdy zdecydowałem się zawalczyć o kontrakt w miejscowej filharmonii, cały świat sprzysiął się chyba, aby mi w tym przeszkodzić. Mimo wszystko nie mogłem narzekać. Choć zasadniczy cel nie został osiągnięty, mój stan posiadania materialnego — podobnie jak sfera uczuć — uległ wówczas radykalnej zmianie. Gdybyś, Drogi Czytelniku, zechciał kiedyś poznać moje wcześniejsze przygody, sięgnij po książkę... No właśnie, jak może nazywać się powieść opisująca tydzień z życia altowiolisty i przez niego napisana?

Wróćmy jednak do wibracji. Faktycznie, niektórzy spośród nas z niejakim trudem osiągnęli umiejętność w tak dużym stopniu współdecydującą o jakości dźwięku. Pamiętam złośliwych skrzypków, którzy chóralnie wołali do kumpla z roku, mającego w tym arkanie rzemiosła wyjątkowe kłopoty:

— Wibruj, S., wibruj!

Ten nie pozostawał dłużny.

— Panowie, więcej imprezujcie, a wibracja sama wejdzie wam w krew. I w członki. Na trwałe.

S. był przedstawicielem tak zwanego FAF-u — Frakcji Altowiolistów Filozofów. Podstawy dialektyki, retorykę i szybkość reakcji miał w małym palcu.

— Hej, S., który to jest mały palec u altowiolistów? — Pewien student kompozycji słyszał coś niecoś o konflikcie altowiolisci — reszta świata i próbował wnieść doń nieco twórczego wkładu. Nie wiedział natomiast, że S. ma rękę dużą i ciężką. To z jej pomocą przechylał szalę nierozstrzygniętych dysput na swoją korzyść.

— Jeśli ci go pokażę, poczujesz wielki strach. Chcesz zaryzykować? — To mówiąc majestatycznie unosił dłoń imponujących rozmiarów. Potencjalny Lutorecki czy też Pendesławski nie chciał. Znikał niczym nuta w subito pianissimo.

Rok, który upłynął od chwili, gdy stałem się właścicielem winnicy, przypominał nieco sytuację zakończoną przez bajkopisarza słowami: *i żyli długo i szczęśliwie*. To „długo i szczęśliwie” miało załatwić całą resztę, którą autor zniecka przestawał się interesować. Jaki materiał powieściotwórczy zawiera się w słowach „długo i szczęśliwie”?

Czytelnicy zamykali z westchnieniem książkę, a bohaterowie — z ulgą — drzwi, by przekonać się już wkrótce, że magia, niezwykłość, krótkotrwała intensywność, mogąca tygodniową zawartością wypełnić i pół ludzkiego życia, musiały znaleźć kompensację w bytowaniu może faktycznie długim i szczęśliwym, ale także nieco... codziennym.

Na szczęście nie byłem bohaterem z bajki, a początek mojego nowego rozdziału wcale nie wydawał się nudny, choć niósł ze sobą niejedną nutę zapytania.

Spróbuję to jakoś uporządkować.

Jaka byłaby Wasza pierwsza reakcja na wiadomość, że właśnie odziedziczyliście imponującą posiadłość w odległej i — za sprawą swego piękna — trochę nierealnej krainie? Toż to sytuacja zdarzająca się jedynie w literaturze romansowej...

Do maleńkiej włoskiej miejscowości przyjechałem tylko po to, aby pochylić się nad grobem człowieka, który w czasie wojny ratował ludziom życie. To właśnie opublikowane w prasie wyznania Kazimierza Michalewicza (*vel* Casimiro Michelangelo) pozwoliły mi wpaść na trop tajemnicy tak sensacyjnej, że aż niewiarygodnej. Czy mogłem przypuszczać, że prosto z cmentarza zostaną zaproszony do lokalnej kancelarii adwokackiej, gdzie usłyszałem, co następuje: „tutejsza posiadłość z winnicą mają przypaść w udziale osobie, która rozwiąże i we właściwy sposób spożytkuje tak zwaną zagadkę Rosenberga”?

Tak się składało, że jak nikt inny spełniałem wymienione kryteria.

Niedowierzenie i euforia. Euforia i niedowierzenie. I tak na zmianę.

Pierwsze chwile spędzane w tokańskiej willi przebiegały pod ich dyktando. Po kilku dniach zaczęli jednak pojawiać się pierwsi żądni rozmowy obywatele miasteczka. Z początkowo trochę nieśmiały zapytań wynikało, że ich los jest w pewien sposób powiązany z winnicą. Kiedy miejscowi przekonywali się, że ani nowi gospodarze, ani ich groźnie wyglądający pies nie gryzą — mało tego, wbrew plotkom można się z nimi dogadać w ludzkim języku (*italiano*) — obawy i niechęć zaczęły rozpuszczać się niczym lody w gelaterii pozbawionej prądu. Ośmieleni próbowali się wywiedzieć, czy wiąże z winnicą jakieś osobiste plany, czy też w niedalekiej przyszłości zamierzam ją odsprzedać. Dopiero wówczas dotarło do mnie na dobre, że włości Michalewicza to nie tylko dom, który w dowolnej chwili możesz zamknąć na cztery spusty, ale też całkiem potężna farma, dająca pracę sporemu gronu lokalnych mieszkańców.

Oczywiście! Nie mogło być inaczej. Rozległa a specyficzna — jakkolwiek by nie było — uprawa, wymagała ludzkiej ręki. Doświadczonej ręki. Jeszcze w trakcie pierwszego spotkania, Giuseppe Trovatore — adwokat, który zapoznał nas z ostatnią wolą Michalewicza — coś mi próbował tłumaczyć, ale przyznam, że nie miałem wówczas do tego głowy. Kto by miał? Teraz wiedziałem już, że bez poważnej rozmowy się nie obędzie. Nie musiałem długo czekać; po tygodniu adwokat zapowiedział się telefonicznie, by wkrótce zakolatać do moich drzwi.

— Signore Carnoleski, produkcja wina to sprawa poważna i dość skomplikowana. Zdecydowanie nie na barki jednego człowieka. Szczepami winorośli trzeba się troskliwie opiekować i to — choć z niejednakową intensywnością — przez cały rok. Areal upraw jest co sezon szczegółowo negocjowany i kontraktowany. Pomijam już sam proces produkcji wina, którym zajmować się mogą wyłącznie ludzie z wiedzą i doświadczeniem. Zresztą, nie pora wchodzić w szczegóły, których pan i tak nie zrozumie.

Jeśli chciał mnie *poco a poco* (po kawałeczku) wbijać w glebę, wspaniale mu się to udawało.

Altowioliście plantator. Sylogizm. Z tej kombinacji nie mogło wyniknąć nic dobrego.

— Zostawiłem panu kilka dni na zapoznanie się ze skalą zagadnienia. Być może ułatwi to podjęcie decyzji, nadeszła bowiem pora, aby przedstawić konkretną ofertę. Otóż, mam kupca na dom i winnicę. Kogoś, kto gotów jest rzetelnie zapłacić.

Westchnąłem z ulgą. Słowa Trovatore wychodziły naprzeciw moim skrytym oczekiwaniom. Choć trudno w to uwierzyć, był taki moment, w którym miałem nadzieję, że winnica okaże się obciążona potężnym długiem. To byłby powód do szybkich postanowień. Musiało we mnie pokutować głęboko wpojone przekonanie, że w rzeczywistości nic nie dostaje się za darmo. Zwłaszcza uśmiechy losu obdarzone rysem cudowności upomną się kiedyś o zapłatę; tym wyższą, im zdarzenie bardziej nieoczekiwane. Moją ceną mogła okazać się totalna

nieporadność w zarządzaniu otrzymanym spadkiem. Wizja doprowadzenia wszystkiego do nieodległej w czasie i ostatecznej ruiny stanęła mi przed oczami z bolesną wyrazistością.

W tej sytuacji mogłem uznać, że dobry anioł — może duch Michalewicza, który, patrząc z zaświatów, zasromił się moją ignorancją — podaje mi z wysokości pomocne skrzydło. Nie było wątpliwości: taka powinna być decyzja, najrozsądniejsza z możliwych; w praktyce — jedyna do przyjęcia. Sprzedać posiadłość razem z gruntem znaczyło bowiem nie tylko uwolnić się od kłopotliwego legatu, ale i stworzyć bajeczne perspektywy na resztę życia. Adwokat nie zająknął się ani słowem na temat jakiegokolwiek długu! Przecież z otrzymanymi — na pewno kolosalnymi — pieniędzmi mógłbym... A raczej, czego bym nie mógł? No właśnie, w tym sęk. Jakoś nic nie przychodziło mi do głowy. Jednak gdy któryś ze znajomych doradców rzekł: „Stary, ty wiesz, jaki biznes można z taką kasą rozkręcić?” — poczułem dreszcz niechęci. Jaki biznes? Ja i biznes? Po co mi biznes? Czy robienie pieniędzy jest we współczesnym świecie jedyną drogą do spełnienia? Ta myśl napełniła mnie poczuciem żalu. To tak miałyby zakończyć się rozpoczęta dopiero co przygoda? Trywialną — czy bywają inne? — transakcją bankową?

— Signore Trovatore. Dziękuję za propozycję. Na pewno ją rozważę, ale potrzebuję więcej czasu. To wszystko stało się tak nagle i nieoczekiwanie... — Odniosłem wrażenie, że w oczach adwokata błysnęło niezadowolenie. By je ukryć, założył słoneczne okulary. Pospieszyłem z frazą łagodzącą: — Mam nadzieję, że kontrahent szybko się nie rozmyśli?

— O nie, o to może pan być spokojny. Mój klient łatwo nie rezygnuje.

I dobrze, rzekłem w duchu. W razie czego podbijemy cenę. Najlepiej wychodzą interesy, na których wcale nam nie zależy. Mój Boże, ja to pomyślałem? Czyżbym przestawał być altowiolistą? Czym prędzej pobiegłem do domu, by tokańskim pagórkom zadedykować wolną część sonaty *Arpeggione* Schuberta. Nie wiem, czy im ulżyło. Mnie — zdecydowanie tak.

Wkrótce po tej rozmowie postanowiłem urządzić konferencję z zarządem kooperatywy gospodarującej w winnicy za czasów Michelangelo. Jej przewodniczący, sympatyczny, lekko jąkający się człowiek, okazał się synem staruszka Carlo, tego samego, który wprowadził nas do grobowca Michalewicza. Informacje uzyskane w trakcie spotkania zaskoczyły mnie. Okazało się bowiem, że w wypadku dobrze zarządzanej, sprawnie funkcjonującej, krótko mówiąc: prosperującej uprawy, mamy do czynienia z pewnego rodzaju *perpetuum mobile*. Praca i nakłady ponoszone przy produkcji zwracają się ze sprzedaży boskiego trunku. Ejże, to nie takie znowu *perpetuum mobile*, tylko firma oparta na zdrowych fundamentach. Na szczęście ludzkość uwielbia wino, a uprawiany na zboczach naszej (a tak, powoli przywykałem...) winnicy szczerp Sangiovese znajduje amatorów w rozlicznych zakątkach globu. Według Paolo, mojego winnego cicerone, w udanych latach mogłem liczyć na całkiem spore przychody.

Ich wysokość zależała od czynników takich, jak: pogoda, opady (i chyba zawartość tego tam... „cukru w cukrze”), ale według Paolo sporadycznie tylko zdarzało się, by plantacja przynosiła straty. Oczywiście, ryzyka nie dało się wyeliminować w stu procentach. Mogły przyjść lata, w których cały trud szedł na marne, ale Paolo i tu mnie uspokoił. Domena Città Abbandonata była marką ekskluzywną. Nadwyżki dochodów gromadzone w latach tłustych lokowane były na specjalnym funduszu, uruchamianym w wypadku nieprzewidzianej katastrofy. Tak czy inaczej, już wkrótce miałem się przekonać, że na konto otwarte przeze mnie w Banca di Agricoltura co kwartał wpływa całkiem sensowna kwota. Pozostawało jeszcze jedno — za to kluczowe — pytanie.

— A czym konkretnie zajmował się signore Michelangelo? — Jego rola w cyklu uprawowo-produkcyjnym była dla mnie niejasna.

— Tak właściwie, to... niczym. Próbowaniem, co najwyżej. Brał udział w zbiorach,

jednak nie dlatego, że musiał, a po prostu chciał. Ale to on tchnął nowego ducha w tę winnicę, to on dał winu nową etykietę i dbał, by jego ukochana marka nigdy nie straciła na znaczeniu i jakości. A mnie darzył pełnym zaufaniem... — Po tej wypowiedzi Paolo lekko pokraśniał; nie wiedziałem, czy ze skromności, którą naruszył wyznaniem, czy może z dumy. Albo jeszcze inaczej: składał mi właśnie pewną ofertę i był ciekaw, jak ją przyjmę. Postanowiłem przeprowadzić małą sondę. Jej wynik mógł mieć decydujące znaczenie dla ostatecznych rozstrzygnięć.

— Signore Trovatore wspominał o kupcu chętnym do nabycia majątku. Czy zna pan tego człowieka?

Łagodna i szczerą twarz Paola na moment zasępiła się; zasnęła czymś niepokojącym.

— Chodzą słuchy, że to on przyczynił się do śmierci signore Michelangelo. Wie pan, co to oznacza? Że pod jego ręką ziemia przestanie rodzić... Stanie się martwa...

Ano właśnie... Byłem we Włoszech. Kraju vendetty. Tytuły oper Verdiego: *I vespri siciliani* (*Nieszpory sycylijskie*) i *La forza del destino* (*Moc przeznaczenia*) mówiły same za siebie. Tu się z pewnych spraw nie żartowało.

— Co pan ma na myśli? — Aż dotąd byłem przekonany, że śmierć Michalewicz nie jest osnuta żadną legendą.

— Wie pan, my, Włosi, mówimy, że człowieka można zabić intencją... — Paolo zamilkł. Zrozumiałem, że więcej z niego nie wyciągnę. Przynajmniej na temat przeszłości. Na szczęście coraz bardziej interesowała mnie przyszłość.

— Czy to oznacza, że moja funkcja byłaby podobna do tej, którą pełnił signore Michelangelo? — Ja w roli kiper testującego z namaszczeniem kolejne roczniki; ten obraz zwolna wprawiał mnie w euforię.

— Tak, identyczna. Wszystko pozostałoby jak dawniej. Wszystko, rozumie pan? Zasady uprawy i produkcji zatrzymalibyśmy w swoich rękach. No i — spojrzał niepewnie — nazwa wina nie uległaby zmianie...

Hm, szkoda... Już myślałem, że się dogadamy...

Żartuję przecież! Podobała mi się taka determinacja w obronie tradycji, wiara w fachowość i efekty własnego trudu oraz sympatia i szacunek, jaką nawet teraz okazywali Michalewiczowi. Odpowiadała mi rola dyskretnego kontynuatora jego dzieła.

No więc faktycznie; najprościej byłoby wyjechać z sumą pieniędzy, które nie zmieściłyby się w kieszeni. Nie wiem, czy moje skromne, przeważnie czerwone dotąd konto, wytrzymałoby taki dopływ tlenu... Czy ja bym to wytrzymał? Mamona już niejednego okręciła sobie wokół palca. Złoty cielec wciągał w złote sidła... Czy na pewno znalazłbym siłę, aby się oprzeć? Zresztą... czy naprawdę tylko o to chodziło? Dlaczego miałbym sprzeniewierzyć się wyzwaniu — niezwykle, przyznaję — które los stawiał na mojej drodze? Przecież Michalewicz mógł to rozwiązać inaczej; może więc jego ostatnia wola była czymś więcej niż tylko gestem sympatii i zadośćuczynienia? Zaś na wspomnienie słów Paolo o martwej ziemi do tej pory przenika mnie dreszcz.

Poprosiłem o trzy dni do namysłu.

Wymawiając słowo „altowiolista” trzeba mieć jedno na uwadze: sam fakt wyboru takiego, a nie innego instrumentu świadczy, że nie jest się poszukiwaczem rozwiązań najprostszych, wyborcą zachowań utartych, konformistą bez wyobraźni... Mówimy raczej o kimś gotowym do życiowych wyzwań i przygód.

Rzeczony trzy dni wykorzystałem na zapoznanie się z uzależnieniami administracyjnymi, które pociągało za sobą posiadanie domu we Włoszech. Choć nie przepadam za urzędowym biuralizmem, starałem się pokonać go rzetelnie i skutecznie. Wszystko,



poczawszy od wywózki śmieci, poprzez umocowania notarialne aż do spraw podatkowych (używam tu oczywiście dużego skrótu myślowego) — wymagało wizyty w stosownym departamencie. Nieocenionym ułatwieniem okazywała się znajomość włoskiego. Ale muszę też przyznać, że bez względu na kwiecistość wymowy niektórych urzędników, stojącą niekiedy w opozycji do małej wyrazistości prezentowanych ustaw i aktów, w zdecydowanej większości spotykałem się z przejawami dobrej woli. Jak wiele od niej zależy, nie muszę chyba dodawać? Oto jeszcze jeden jej przykład.

Wkrótce po pamiętnej konferencji z zarządem kooperatywy, gdy nasze intencje z wolna krystalizowały się, Paolo — jakby chcąc dopomóc w podjęciu finalnych ustaleń — przyprowadził ze sobą dwie kobiety.

— Signore Bartolomeo, proszę pozwolić: to jest moja żona, Sophia, i siostra, Donatella. Te mądre donny — Paolo łypnął okiem w ich kierunku, badając, czy aby na pewno dosłyszały przymiotnik „mądre” (*sapiente*) — prowadziły dom pana Michelangelo, kiedy biedaczek jeszcze żył.

— Czyli co; gotowały, sprzątały i tak dalej? — Z trudem wyobrażałem sobie dwie signory w wieku więcej niż średnim zmagające się z ogromem domiszcza.

— *Ma no!* Oczywiście, że nie! W naszej wiosce nie brakuje młodych, chętnych do pracy. Sophia i Donatella organizowały takie siły i środki, jakie były w danym momencie potrzebne. Czy chciałby pan, aby tak było nadal?

Byłem wzruszony, ale również zaskoczony dalece nietrafną oceną moich skromnych możliwości finansowych. Do korzystania z „konta winnego” jeszcze nie dojrzałem, zaś moje dochody krajowe były... Były.

— Obawiam się, że nie stać mnie na zatrudnianie kogokolwiek...

— Pana nie musi być na to stać. To wszystko wchodzi w rozliczenia naszej kooperatywy. Oraz dowodzi niezmiennej sympatii dla świętej pamięci pana Michelangelo.

Umówiliśmy się, że będę dawał znać dwa dni przed przyjazdem, tak by duet Sophia-Donatella mógł przygotować dom do zamieszkania i zaopatrzyć go w bazę kulinarną. Żadne permanentne sprzątanie i gotowanie nie wchodziło jednak w grę. Ostatecznie człowiek, który przez większość dotychczasowego życia był singlem, ceni sobie niezależność i swobodę. Zresztą, za nic nie dałbym sobie odebrać rzadkich i cudownych chwil wspólnego kucharzenia z Antosią.

Zreasumujmy.

Po niespełna miesiącu od usłyszenia zadziwiającej nowiny, byłem całkiem nieźle wprowadzony w rolę nowego gospodarza Casa e Proprietà di Città Abbandonata (tak brzmiała pełna nazwa domeny, składającej się z domu i winnicy) i prawnie umocowany na jej tronie. Ostatecznie więc podjęcie decyzji nastąpiło w sposób naturalny; nasze intencje skryształizowały się do tego stopnia, że nie trzeba już było nazywać ich po imieniu.

Antosia musiała tymczasem wracać do swoich wykopalisk, ale na weekendy przyjeżdżała do Corbetto. Ja sam wybrałem się do K. dopiero pod koniec września, by zagrać pierwszy powakacyjny program z filharmonią. Teoretycznie mógłbym sobie odpuścić dalszą współpracę, ale miałem zamiar wywiązać się z ustaleń kontraktu, który dobiegał końca w grudniu. Ot, jakies takie: plantatorem się bywa, altowiolistą — jest (jakkolwiek mało przekonująco by to nie brzmiało).

Ten polski tydzień nieco mi się dłużył. Choć program był wciągający (uwertura *Bajka Moniuszki*, *Koncert skrzypcowy A-dur op. 8* Karłowicza i *III Symfonia „Pieśń o nocy” op. 27* Szymanowskiego — dyrekcja postawiła na repertuar sprawdzony; przy wszechogarniającym zalewie tandety nie należało zniechęcać publiczności zbyt daleko posuniętą nowoczesnością;

niektórym nawet Szymanowski jawił się jako zbyt awangardowy), myśli moje krążyły wokół innych miejsc i zgoła odmiennych spraw.

Zaraz po koncercie z ulgą wskoczyłem do samochodu. Pora przekonać się, jak jest naprawdę. I...

I tak zaczęły się moje (nasze) peregrynacje.

Gdy tylko zagrałem swoje, wsiałem w autko, Eston wskakiwał na tylne siedzenie i gnaliśmy do Toskanii. Jeśli wzywały mnie obowiązki w K. — ruszaliśmy w odwrotnym kierunku. Do samego tylko końca roku (cztery miesiące) jeździłem do Włoch dziewięciokrotnie, co dawało w sumie osiemnaście przejazdów przez pół Europy.

Czasami nie potrafiłem określić, dokąd jadę. Pytałem słońca. Jeśli odpowiadało mi po lewej, znaczyło to, że mknę do Corbetto. Gdy wychylało się po prawej, wiedziałem już, że zmierzam do K. Gorzej bywało w nocy. Czasem nachodziły mnie wątpliwości czarne jak smoła. Po chwili dochodziłem jednak do wniosku, że każdy z kierunków jest właściwy. U celu zawsze czekał na mnie gotowy do zamieszkania (mniejszy lub większy) kawałek podłogi. Wolność rozciągająca się między dwoma punktami przestrzeni zaczęła mi niezwykle odpowiadać.

Eston był wspaniałym kompanem. Reagował na najmniejszy gest, gotów do natychmiastowej podróży. Jego dyspozycyjność wagabundy była najwyższej próby. Uwielbiał każdą podróż, ale trzeba było widzieć psią radość, gdy przybywaliśmy do Corbetto. Jego, nazwijmy to, opinia była zresztą przysłowiowym jęczyciem u wagi. Ładny mi jęczyczek! Widzieliście kiedyś jęczor zgonionego malamuta?

Posługiwałem się komendą zaczerpniętą z klasycznego serialu telewizyjnego. „Do wozu!”, wołałem krótko i pies już siedział w samochodzie. Nieco stresu przysparzały nam postoje. Co pewien czas musiałem rozprostować kości, dać odpocząć oczom i pozwolić Estonowi na parę nieskrępowanych ruchów oraz toaletę. Zawsze bałem się, aby nie wyskoczył z nienacka i nie ruszył w niewłaściwą stronę, a przy autostradowych parkingach każdy kierunek jest dla biegnącego psa niewłaściwy. W końcu jednak i ten element opanowaliśmy nie najgorzej. Moje tętno podnosiło się już tylko o kilka jednostek.

Natomiast wspólny lot zaryzykowaliśmy tylko raz. „Wspólny” oznaczało zresztą, że ja siedziałem w kabinie pasażerskiej, zaś on w klatce, w luku bagażowym. Mocno na jego widok przerażone służby weterynaryjne naszpikowały go taką ilością środków uspokajających, że po przylocie musiałem na własnych rękach transportować do samochodu pięćdziesiąt kilo bezwładnego psa. Następnego dnia Eston był nie do życia. Ten wariant podróży odpadł więc raz na zawsze.

Jeżdżąc autem tak często i na tak długich dystansach, dobrze jest znaleźć jakieś zajęcie wypełniające bezmiar godzin. W moim wypadku wybór był prosty. Słuchałem muzyki. Miałem w końcu czas nadrobić zaległości. Nigdy nie przypuszczałbym, że jest jej aż tyle, tak pięknej i tak bezwzględnie wartej poznania. W moim niezbyt wypasionym autku (suzuki alto; czy jako alto-wiolista miałem inny wybór?) zamontowałem bardzo przyzwoity zestaw kolumn. Cóż to były za podróże! Zwłaszcza nocą. Musiałem tylko pilnować się i nie zapominać, że prowadzę jadący z dużą szybkością pojazd. Po jakimś czasie wzbogaciłem repertuar o audiobooki, a jeszcze później stwierdziłem, że mogę czas wykorzystać nie tylko do odtwarzania, ale i zapisu.

Gdy wracałem pamięcią do niezwykłego tygodnia spędzonego na rozwiązywaniu zagadki Rosenberga, miałem wrażenie, że ich uczestnikiem był ktoś zupełnie inny, ja zaś tylko o nich czytałem.

Wtedy wszystko zaczęło się od próby zabójstwa światowej klasy dyrygenta, której świadkiem stałem się w trakcie wieczornego spaceru z psem. Eston wyłowił wówczas pudełko wrzucone przez maestro Rucacellego do jeziora. Wewnątrz znajdowała się zabytkowa batuta. A

w batucie coś jeszcze... Krok po kroku zbliżałem się do tajemnicy sięgającej czasów drugiej wojny światowej. Odkrycie tajnych korytarzy oraz schowka wypełnionego dziełami sztuki z tak zwanej podwójnej listy stało się sensacją na światową skalę.

Ale kilka wywiadów prasowych i telewizyjnych audycji — w których rozmowa ze mną była ledwie jednym z elementów — zdeformowało przebieg i istotę wydarzeń tak bardzo, że szybko straciłem ochotę na udział w kolejnych. Zresztą już wkrótce nikt mnie nie zapraszał, bowiem tych, którzy wiedzieli więcej i lepiej, zrobiło się nagle całe mnóstwo. To wszystko obrośnie siatką zniekształceń i nieudomówień, które później określa się mianem legendy, dumałem. Aż któregoś razu zrodził się we mnie pomysł, by ująć niewiarygodne przeżycia w formę opowieści. Ot, choćby na własny użytek.

Sprawiłem sobie dyktafon, włączający się automatycznie na słowne hasło. Wymyśliłem „altówkę”, ale sprzęt reagował, ilekroć użyłem słowa w rozmowie telefonicznej. Zastąpiłem je „violą”. Nagrania przenosiłem na papier w jednej z dwóch świątyń dumania: mojej torretcie (o której później) lub na poddaszu w K. Tym sposobem udało mi się utrwalić jedyny prawdziwy, nawet w calu niezafalszowany obraz przygód opisanych w poprzedniej książce. A ponieważ to gadanie niby do siebie weszło mi w krew, mówiłem dalej, komentując rzeczywistość i nagrywając kolejne stadia aktualnych zdarzeń i przemyśleń.

Rozterki dotyczące pytania „gdzie” nie przenosiły się na kwestię „z kim” chcę spędzić swoje życie. Gdy ujrzałem Antosię po raz pierwszy, trójstrzała Amora, Erosa i Kupidyna ugodziła mnie ze skutkiem natychmiastowym. Na szczęście tercet antyczny strzelał w obu kierunkach. Staż pani archeolog miał dobiec końca w połowie przyszłego roku. Wiedziałem, że Antośka, podobnie jak ja, rozważa profesjonalną przyszłość w dwóch wariantach: włoskim i polskim, z całym bagażem wątpliwości, przemyśleń i konsekwencji. Byliśmy jak dwa samodzielne i niezależne atomy, które nieoczekiwanie weszły na wspólną orbitę. Dwie odnalezione połówki jabłka; ying i yang we własnych osobach. Czy przestrzeń może w takiej sytuacji odgrywać rolę decydującą? Bez żartów, oczywiście, że nie. Ale przy tak dużym rozstrzale geografii, profesji i ambicji, trudno było o pospieszne decyzje.

Staraliśmy się nie zadręczać ciągłymi rozważaniami na temat przyszłości — co wcale nie znaczy, że nie myśleliśmy o niej. Było nam ze sobą dobrze i było nam dobrze do siebie tęsknić. Wiedliśmy ciekawe życie, a jeśli los zechciałby obdarować nas jakąś (malutką) niespodzianką, byliśmy gotowi na jej przyjęcie. Czasem przekomarzaliśmy się, pół żartem, pół serio.

— Kochankowie zatraceni — śmiała się Antonia. — Jedno w Rzymie, drugie na Krymie...

— Nie przejmuj się, miła. — Gładziłem jej rude włosy. — Tristanowi i Izoldzie też nie było lekko, a jakoś sobie wszystko poukładali...

— Mój drogi, trudności rozniecają miłość, a przeszkody totalne ją absolutyzują...

Miała rację. A ileż nieszczęśliwym uczuciom zawdzięcza sztuka! Gdyby nie zasięki piętrzące się na drodze do serca i ręki Harriet Smithson, Hector Berlioz nie skomponowałby *Symfonii fantastycznej*. Miss S. została w końcu jego żoną, a literatura muzyczna wzbogaciła się o arcydzieło. Przykłady można by mnożyć.

— Wybacz, kochany, ale nie przejawiam jakiegóż szczególnej ochoty, aby opiewano mnie w poematach kosztem doczesnego szczęścia. Nie zamierzam też skończyć z miłości w zbyt młodym wieku. Później, kto wie? To może być nawet atrakcyjne. Ale nie przed, hm... pomyślmy... dziewięćdziesiątką. OK? Więc poproszę o lepszy przykład.

— Dobrze, kogo my tu jeszcze mamy? — W pamięci starałem się odnaleźć słynnych, a nieco szczęśliwszych kochanków. — Abelard i Heloiza?

Antośka spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

— Jesteś pewien? Wiesz, co zrobiono Abelardowi? Poza tym, kogo z nas widzisz w charakterze kandydata do zakonu? Choć akurat piękne listy mógłbyś do mnie pisać...

— Mam! Stanisław i Anna Oświecimowie! — Ucieszyłem się, odnajdując przykład z krajowego podwórka, uwieczniony w poemacie symfonicznym Karłowicza.

— Tak? No i co z nimi?

— No więc, oni... kochali się bardzo... bardzo się kochali... zupełnie nie jak brat i siostra...

— A, więc to było rodzeństwo?! Jako brata mogę traktować cię wyłącznie w kategoriach hippisowskich. W dodatku na wyłączność.

Faktycznie, myślałem, co to jest? Im *love story* bardziej pokręcone i tragiczne, tym większe szanse na nieśmiertelność.

— Już wiem! Romeo i Julia! — krzyknąłem tryumfalnie w trakcie weekendowego wypadu do Pienzy, miasteczka o teatralnej wręcz urodzie, w którym Franco Zefirelli zekranizował dramat Szekspira. — Chociaż — zawahałem się pod nieustępliwym spojrzeniem Antosi — to jednak wariant również nie dla nas... Poza tym — mrugnąłem porozumiewawczo — jesteśmy już chyba nieco zbyt dojrzały...

Antosia pacnęła mnie w głowę świeżo nabytą gomółką pecorino; ten z Pienzy, wyjmowany z głębokich kadzi wypełnianych popiołem, smakował wyjątkowo. Na szczęście dla mojej głowy, a przede wszystkim dla sera, cios był pozorowany.

Wyszedłem przed dom, gotów ruszyć na poszukiwania dwójki włóczęgów, których nieobecność trwała już trochę zbyt długo. Ale oni właśnie wracali, zadowoleni, rozbawieni, Antosia z płótnem pokrytym czarno-złotymi plamami, z których śmiała się niemilosiernie („Przecież ty też sporo ćwiczysz, zanim wyjdiesz na estradę, prawda?”), Eston z wyrazem pyska mówiącym: no wiem, wiem, że się stęskniłeś, ale nie masz pojęcia, jak było fajnie... Domyślałem się, nic nie musieli mówić.

Następnego ranka leżeliśmy koło siebie w ogromnym, starym łóżu z baldachimem; przez otwarte okna wpływało jeszcze rześkie, a już przytulne powietrze. Złote plamki, które słońce wyluskiwało z pięknej twarzy Antosi, lśniły niczym drobinki kwarcu.

— Wiesz co? — odezwała się. — Właściwie dlaczego poszukujemy idealnych kochanków w historii? Przecież każda para to opowieść zupełnie niepowtarzalna. Przy całej ilości podobieństw, rzecz jasna.

— *Bartolomeo e Antonia* — zacząłem.

— *Bartholomew and Antoinette*...

— Bartosz i Antonia... B&A. Dobrze, że nie AA. Chociaż? *Antonia e Altviolista*...

Ale A. już mnie nie słuchała.

— Bartek i Antośka. Podoba mi się. Kupuję! — przypieczętowała ostateczną wersję. — Miłość całkiem nie tragiczna, tylko trochę dramatyczna... I niekiedy komiczna! — krzyknęliśmy w duecie, ponieważ w drzwiach pojawił się Eston wracający z patrolu; gdy nas dostrzegł, wziął rozbieg zakończony efektownym skokiem i wbił się między nas, na trzeciego.

Od samego rana Antośka pobląskiwała na mnie zielonym spojrzeniem. Wiedziałem, co jej chodzi po głowie. Wakacje dobiegały końca, choć — nie wynurzając się poza magię otaczającej nas przestrzeni — trudno było w to uwierzyć. Myśleliśmy o tym z niechęcią. Toskanii — szczególnie wczesną jesienią — w ogóle nie chciało się opuszczać.

Ale ja musiałem. Moje życie zawodowe wkroczyło na nowe tory. Za kilka dni miał nastąpić oficjalny moment narodzin pewnej idei.

— A gdybyś tak pojechał sam, a potem wrócił po mnie? Mielibyśmy jeszcze cały

tydzień... Ja tu się w tym czasie poopalam — (wiedziałem, że chce malować) — no i Estona nie będziesz musiał znowu wieźć przez pół Europy...

Gdy Antośka wypowiadała podobne słowa, zmyślna bestia podchodziła do niej, miękko kołysząc zadem, dotykała jej biodra smoczą głową i patrzyła porozumiewawczo to na nią, to na mnie. Zaopiekuję się nią stary, bądź spokojny — zdawał się mówić jego wzrok i cała postawa. Antośka uśmiechała się tryumfująco. Widzisz? — mówiło jej spojrzenie. Nie martw się, nam tu będzie dobrze. Jedź sam, zrób, co masz zrobić i wracaj...

W takim układzie nawet podróż samochodem nie była konieczna — mogłem po prostu skorzystać z ekonomicznej linii Skyper, która pół roku temu otworzyła połączenie między Florencją a K.

— No właśnie; samolotem mógłbyś polecieć dopiero pojutrze... Tu zyskujemy dzień, tam tydzień... — kuszyła dalej.

Rzeczywiście, myślałem, ciągnięcie ich ze sobą tylko po to, aby Antośka posłuchała altówki Bartosza Czarnoleskiego, byłoby z mojej strony niczym więcej jak egoizmem. Właściwie wszystkie argumenty były po jej stronie; miękkim jak plastelina. Moje obiekcje dotyczyły tylko jednego; czy Eston nie przysporzy Rudozielonej kłopotów? Jednak po wzorcowych wręcz przykładach współdziałania i zrozumienia, którymi mnie ostatnio zarzucali, wątpliwość straciła na znaczeniu. Będę mógł zająć się bez reszty graniem. Za to jak cudownie będzie wrócić...

Antosia uparła się, że odwiezie mnie na lotnisko.

— Po co masz płacić za parking? — pytała nie bez racji. — Przecież przyjedziemy po ciebie, tylko daj znać, kiedy dokładnie wracasz...

— Za osiem dni, w poniedziałek. Samolot ląduje o dwudziestej cztery.

Wśród spraw, których byłem pewien, data powrotu znajdowała się na pierwszym miejscu. Ta pewność miała już wkrótce zostać wystawiona na solidną próbę...

## 2.

— Co to jest wzgórze i w jaki sposób? — zapytał kiedyś podchwytliwie instruktor prowadzący zajęcia ze studium wojskowego — studenckiego ekwiwalentu prawdziwej armii. Na tak sformułowane pytanie trudno było znaleźć jednoznaczny odpowiedź.

— Studenci, a tak podstawowych rzeczy nie wiedzą... — Wykładowca z trudem krył pogardę. — A więc zapamiętajcie raz na zawsze: wzgórze jest to wybrzuszenie terenu w sposób pochyły! — tryumfował.

Zapamiętałem. Podobnie zresztą jak definicję psa:

— Pies składa się ze smyczy, obroży okalającej oraz psa właściwego.

Ten sam wykładowca sprawdzał kiedyś listę obecności.

— Pani Ż.? — odczytał.

— Niestety — jeden z kolegów zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu — chora na tryton...

— A tak, rozumiem — odpowiedział instruktor z niejakim współczuciem...

Ilekróć zbliżałem się do Casa di Città Abbandonata (Domu Porzuconego Miasta), przypominało mi się niezwykle określenie, bowiem moja włoska posiadłość była zwieńczeniem pochyłego „wybrzuszenia terenu”. Jednego z niezliczonych wzniesień, utworzonych jakby leniwą falą, dalekim echem tego wstrząsu, który wystrzelił ku niebu Alpami, Apeninami i Dolomitami. Siódmego dnia Bóg odpoczywał. A gdzie? W Toskanii! Nikt — przynajmniej z miejscowych —

nie miał co do tego wątpliwości.

Gdy po wielogodzinnej jeździe dostrzegałem Casę z daleka, trudno było mi powstrzymać wzruszenie. Oto moje miasto odnalezione, mówiłem sobie, i uzbrajałem się w dalszą cierpliwość, gdyż bliskość była pozorna; choć w linii prostej mógłbym przebyć dystans w kilka minut, w rzeczywistości miałem do pokonania serpentyny opadających i wznoszących się drózek. W końcu docierałem do najniższego miejsca doliny, z którego w obie strony rozlewała się wstęga leniwie płynącej rzeki. Stamtąd rozpoczynałem finalną wspinaczkę.

Jak większość toskańskich domów, Casa di Città Abbandonata znajdowała się w miejscu widocznym z daleka i dającym doskonały wgląd w okolicę. Nosiła więc cechy fortecy. Chociaż... Forteca zakłada istnienie potencjalnego napastnika. Kiedyś pewnie miało to uzasadnienie. Współcześnie z toskańskich siedzib wyglądzano przede wszystkim gości.

Casa di Città Abbandonata także ze względów architektonicznych zasługiwała na miano klasycznej toskańskiej budowli. Był to rodzaj solidnego sześcianu, ozdobionego wieżyczką o łagodnych narożach. Całość przykrywał lekko pochyły dach, wystający zawadiacko poza linię murów. Specyficzne dachówki, jakby przepołowione donice z terakoty, nadawały domostwu jednoznacznie południowy charakter. O toskańskości decydował też kolor ścian; dla jego określenia trzeba było stworzyć osobną kategorię, znaną pod nazwą sieny palonej (w nieodległej Sienie istniały surowe wymogi dotyczące kolorystyki miejskiej i to nie wyłącznie budynków, ale i wszystkiego, co wokół; na przykład parasoli osłaniających uliczne bary i kawiarenki). Dom otoczony był zabudowaniami gospodarczymi, które swym wyglądem dopełniały urody architektonicznego kompleksu. Od strony południowozachodniej kilka schodków wiodło na drewniany taras, u podnóża którego rozpościerały się piętra zielonych nasad, ze strzelistymi cyprysami, drzewkami oliwnymi i wielkolistnymi sykomorami na czele. Drzewa zapewniały cień w skwarne dni, jednak były tak wkomponowane w przestrzeń, że nigdy nie przysłaniały krajobrazu ciągnącego się kilometrami. Nieco wyżej, po drugiej stronie domu, znajdował się basen. Wspaniały, filtrowany, z krystaliczną wodą, odbijającą lazur nieba i opłukującą łagodne brzegi z piaskowca... Podczas upalnego lata zapraszał i kusił przez dwadzieścia cztery godziny na dobę...

No cóż, zdaję sobie sprawę, że tym basenem przelałem być może czarę niechęci, która już od pewnego czasu się wypełniała. Ale w opowieści swojej postanowiłem unikać zarówno przeinaczania faktów, jak i przemilczeń.

Dopiero po wejściu do sieni, wyłożonej kamiennymi płytami i zniewalającej urokiem starej cegły, zyskiwało się pojęcie o wieku domostwa. Nie musiałem zgadywać; w dokumentach odnalazłem informację, że dom został wzniesiony w roku... 1529. Z planów nie wynikało, żeby kiedykolwiek był przebudowywany, nie licząc oczywiście mniej lub bardziej gruntownych remontów. Tu przemawiała siła niezłomnych fundamentów, starych murów i... łaskawości historii, która nie przetaczała się przez okolice miazdzącym walcem. Owszem, w zapiskach Michalewicz natknąłem się na wzmiankę, jakoby w domu miał kiedyś stacjonować... Napoleon Bonaparte. Na szczęście armia ominęła miejsce spoczynku wodza szerokim łukiem.

Z korytarza wchodziło się do obszernej kuchni-jadalni, dwóch pomieszczeń spiżarnianych i pokoju gospodarczego. Była też toaleta z łazienką i prysznicem oraz skryte za solidnymi drzwiami zejście do piwnicy. Najrozleglejszą część parteru stanowił okazały salon, wyposażony w meble ciężkie i wygodne. Dwa rzędy okien wychodzących na wschód i zachód i dębowe ożebrowania sufitu dopełniały urody parterowych pomieszczeń.

W salonie znajdowały się schody prowadzące na piętro, a na nim hol — już nie tak rozległy jak na dole — z podłogą drewnianą i skrzypiącą oraz cztery sypialnie i niewielkie pomieszczenie gospodarcze. A także obszerna łazienka. Jakież było moje zaskoczenie, gdy

manipulując przy zestawie — wiekowych, jak sądziłem — kranów, przypadkowo uruchomiłem jacuzzi. Jeśli chodzi o sypialnię, wybrałem tę mieszczącą się najbliżej schodów, przede wszystkim dlatego, że znajdowały się w niej... kolejne schody. Metalowy ślimak prowadził do pomieszczenia, które od razu podbiło moje serce. To była wieża, w której Michalewicz urządził bibliotekę. Miejsce cudowne, niczym spełnienie dziecięcych, a potem dorosłych rojeń o kawałku rzeczywistości, do którego chciałoby się zawsze powracać. Latarnia morska w morzu codzienności... Nieraz dochodziłem do wniosku, że z całej tej imponującej willi do szczęścia wystarczyłaby mi tylko wieża. Z drugiej strony, trudno było nie doceniać faktu, że u jej stóp rozpościera się całe królestwo. *Torretta* na swój sposób kojarzyła mi się z ukochanym poddaszem w K. Miejscem, w którym moje życie zaczęło zmieniać się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

W zaokrąglonych ścianach wieżyczki znajdowało się pięć okien — przekorny architekt naruszył symetrię czterech stron świata. Widoki zapierały dech w piersi o każdej porze dnia i nocy. Po wspięciu się na górę i podejściu do któregoś z punktów widokowych zniknęło poczucie czasu. W zupełnie naturalny, organiczny wręcz sposób dotykało się nagle absolutu, a w jego towarzystwie niepotrzebne są słowa i myśli. Ale było to również fantastyczne miejsce do grania, słuchania muzyki, rozmyślania, czytania, a także — jak już zdążyłem wspomnieć — pisanie.

Wszystkie niezajęte przez okna fragmenty ścian zabudowane były sięgającymi sufitu drewnianymi półkami, mieszczącymi tysiące książek w różnym wieku i w rozmaitych językach.

To miejsce musi zostać obejrzone i skatalogowane przez Sebastiana Marsa, powtarzałem za każdym razem.

Dzięki wielkiemu sercu Sebastiana i Sabiny Marsów — że są rodzicami Antosi, nie miałem wówczas zielonego pojęcia — zostaliśmy z Estonem przygarnięci w momencie zgoła krytycznym, praktycznie z dnia na dzień straciwszy poprzednie lokum. Gdyby nie erudycja i pomoc antykwariusza, prawdopodobnie nigdy też nie rozwiązałbym zagadki filharmonii w K.

Odkurzałem i odczytywałem tytuły na grzbietach książek, starając się wszakże nie zaburzyć zastanego ładu; dla Sebastiana wszystko mogło mieć znaczenie. Czasami tylko wyciągałem jakąś pozycję, która zaciękała mnie szczególnie, ale po przejrzeniu odkładałem ją w to samo miejsce. W takich momentach nachodziło mnie irracjonalne przeświadczenie, że za chwilę usłyszę kroki wspinającego się po schodach Michalewicza.

Czy dom z XVI wieku może mieć tajemnice? Pytanie nie na miejscu; raczej trudno wyobrazić sobie tak starą budowlę ich pozbawioną. Dla kogoś pochodzącego z części Europy, której dzieje — z różnych powodów — nigdy nie oszczędzały śladów kultury materialnej, sam fakt zamieszkania w przybytku mającym wartość muzealną wydawał się niezwykle. Tajemnicą Casy była jej historia. Nawet jeśli nie obfitowała w wątki szczególnie spektakularne (pomijając epizod napoleoński), sam fakt trwania przez kilka stuleci musiał nasycić ją ludzkimi dramatami, namiętnościami czy choćby zwykłym życiem — tym niepozornym kreatorem codzienności. To ono kryje najwięcej tajemnic, które nigdy lub prawie nigdy nie wypływają na światło dzienne.

Historię Casy opisaną ręką Michalewicza znalazłem kiedyś między książkami poświęconymi Toskanii. Trochę dziwiło mnie, że wśród papierów brakuje czegoś w rodzaju metryki budynku, ale Giuseppe Trovatore wyjaśniał, że większość dokumentacji po prostu zaginęła. Tłumaczenie stare jak świat.

Wzniesiona na zamówienie zamożnej rodziny magnackiej, stanowiła zaledwie jedną z kilku należących do niej posiadłości. Jako że pozostałe rozlokowane były w Sienie, Padwie i Florencji, należało wnioskować, że ta w Corbetto spełniała rolę *villa rustica* — domu wiejskiego. W wieku XVIII magnaci zubożali; zmuszeni do pozbycia się cenniejszych posiadłości miejskich,

osiedli właśnie tutaj. To pewnie wówczas, z tęsknoty za utraconą świetnością, nadano willi nazwę „Porzuczonego Miasta” (o które mogło chodzić: Padwę, Sienę czy Florencję? Wszystkie wspaniałe, ale z racji wielkości i rangi stawiłbym jednak na to ostatnie). W tym samym czasie, w poszukiwaniu dochodów i środków do życia, gospodarze zajęli się uprawą winnego grona i produkcją wina. Taki stan rzeczy — w zmiany generacyjne tu nie wnikam — trwał aż do początków wieku XIX, kiedy to willa została sprzedana, trafiając w ręce miejscowego plantatora, wzbogaconego na uprawie i handlu oliwkami. Jedni ubożeli, drudzy osiągnęli fortuny; normalna pod słońcem (również toskańskim) kolej rzeczy. Żaden z potomków nowego właściciela nie przetrwał wojny, bowiem wkrótce po jej zakończeniu pieczę nad posiadłością przejął anonimowy opiekun. Kiedy próbowałem dowiedzieć się czegoś o tym okresie od najstarszych mieszkańców wioski, tylko z niechęcią machali rękami.

Sytuacja zmieniła się, gdy ktoś zdecydował się zapłacić za dom i winnicę ogromne pieniądze. Kwota współcześnie nie dziwiłaby aż tak, jednak wówczas musiała szokować. Cena dla desperata. A jednak znalazł się taki.

Był nim Kazimierz Michalewicz.

Żałowałem, że nie udało mi się poznać osobiście poprzedniego gospodarza. Z chęcią posłuchałbym jego opowieści o historii domu. O jego historii... Jej fragment był mi znany. Tylko fragment.

Kolejnym w łańcuchu właścicieli byłem ja... Czasami prześladowało mnie poczucie, że jestem uzurpatorem, który znalazł się tu czystym zbiegiem okoliczności. Na szczęście były to tylko chwile; w przeciwnym razie niezwykle urok Casa di Città Abbandonata wyparowałby dla mnie z kretesem.

A przecież dwukrotnie miały miejsce zdarzenia, które powinny mi uświadomić, że w starych murach nie wszystko jest tak oczywiste, jak z pozoru mogło się wydawać.

Przyjechałem wtedy do Corbetto nocą. Z anielicami stróżyniami, Sophią i Donatellą, spotkałem się dopiero nazajutrz w południe. Były dziwnie zmieszane.

— Signore Bartolomeo — trwożliwie zaczęła Sophia. — Wydaje nam się, że w pańskim domu harczą duchy... Bo chyba niemożliwe, aby to pan zostawił po sobie taki bałagan? — Spojrzała na mnie badawczo.

Nie wiedziałem, jaką skalę nieporządku ma na myśli. Nigdy nie chciałem nadużywać opiekuńczości obu kobiet i zostawiałem dom w jakim takim ładzie, ale mogliśmy się różnić w jego rozumieniu. Poprosiłem o bardziej szczegółowy opis zjawiska.

— W kilku pomieszczeniach meble nie stały na swoich miejscach...

— Moje drogie, kochane panie — przerwałem od razu. — Od kiedy to siły niematerialne posiadają zdolność przesuwania materii?

— Signore Bartolomeo, niech pan nie żartuje z duchami. One mogą więcej, niż się wydaje — rzekła Donatella z widocznym szacunkiem.

Odczułem niepokój. Nie, nie z powodu duchów. Ale jeśli obserwacje obu pań nie były wynikiem przewrażliwienia, to wynikało z nich niezbitcie, że pod moją nieobecność ktoś wdarł się do domu.

— Duchy, z całą pewnością duchy, a mówiąc dokładnie — duch... — uspokajała (!) mnie Sophia. — To są u nas powszechnie znane rzeczy. Zwykło się mawiać, że duch powraca, jeśli pozostawił jakieś niezakończony sprawy.

Sęk w tym, że Michalewicz wszystko pozałatwiał, myślałem. To był kolejny argument przeczący interwencji sił nadprzyrodzonych. Już raczej skłonny byłem uwierzyć w rekonesans złodziejasków, którzy postanowili oszacować zawartość domu pod nieobecność nowego gospodarza, lecz przekonawszy się, że wewnątrz nie kryje nic cennego (ze złodziejskiego, a nie z



historycznego punktu widzenia), na tym poprzestali. Była jeszcze inna możliwość: rzekomy chaos — do czasu mego przyjazdu poskromiony zresztą przez dzielne niewiasty — mógł być równie dobrze tworem ich malarskiej wyobraźni. Uspokojony, przestałem zwracać sobie głowę siłami nieczystymi.

Jednak innego razu to ja zauważyłem coś dziwnego. Nie było mowy o pomyłce, bowiem rzecz dotyczyła półki z woluminami, które przed wyjazdem znajdowały się w centrum moich zainteresowań. Książki były poprzestawiane. Nie bałaganiarsko i byle jak, ale traf chciał, że nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Spróbowałem znaleźć proste wyjaśnienie.

— Signora Sophia, signora Donatella, czy możliwe jest, aby pod moją nieobecność ktoś buszował wśród półek z książkami w torretcie?

— Pewnie byłoby to możliwe, gdyby do wieży wchodził ktoś oprócz nas. Ale tak nie jest — oznajmiła Sophia z godnością. — To było dla signore Michelangelo miejsce święte i dlatego nie pozwalamy, by znalazł się tam ktoś postronny. A my książek nie dotykamy. *Questo no* — zakończyła urażonym tonem, sugerującym jednocześnie, że w książkach drzemie jakieś utajone zło, które niechcący może z nich wypełznąć.

— To duchy. — Donatella przewróciła oczami. — Mówiłam panu.

Wyglądało na to, że przyjdzie mi się pogodzić z wizytami ekto plazmatyków. Nawet jeśli wpadali od czasu do czasu, to w trakcie moich pobytów zachowywali się wzorowo, nie strasząc niepotrzebnie i nie odbierając Casie niczego z jej czaru.

Droga wśród pagórków snuła się leniwie, podobnie jak ospały niedzielny ruch. To, że Antosia z Estonem odwozili mnie na lotnisko, było czymś nowym. Choć konfiguracja świadczyła, że dojrzewamy do coraz śmielszych posunięć, mimo wszystko nie czułem się w pełni komfortowo. Antośka chyba to wyczuwała, by zatem nie budzić nut nazbyt emocjonalnych, spychała mnie do roli balastu, który stoi na drodze do rozpoczęcia upragnionego *dolce far niente*. Pies najwyraźniej niecierpliwił się, pragnąc już przejąć rolę opiekuna, którą wpajałem mu przez ostatnie dni. Nawet Sophia i Donatella pożegnały mnie słowami: „No, nareszcie będziemy mogły porwać signorinę Antonię ze sobą”.

— Wszyscy mnie tu mają dość. — Spojrzałem na Rudzielca z nadzieją, że natychmiast zaprzeczy. Nic podobnego. Moja miła ograniczyła się do stwierdzenia:

— Nie użalaj się nad sobą, tylko jedź i zrób, co masz zrobić. I to dobrze, bo nagrania będą słuchać wnikliwie. Pamiętaj o wibracji...

Aby nie niepokoić Estona atmosferą lotniska, pożegnaliśmy się przy samochodzie.

— Daj znać, jak tylko dojedziecie do domu. Będę spokojniejszy...

Antosia spojrzała na mnie z politowaniem, jednak w pocałunku, którym uraczyła mnie na pożegnanie, wyczuwałem mniej pobłażliwe nuty...

W chwilę potem błękitny fiacik 500 z wypełniającą prawie całą tylną szybę głową Estona rozpląnął się w drżącym od słońca powietrzu. Wbrew wszelkim tak ciężko i intensywnie wypracowanym racjom zrobiło mi się nieswojo.

Pod koniec ubiegłego roku pojawiła się informacja, że z powodów budżetowych wszelkie audycje (konkursowe przesłuchania) do filharmonii w K. ulegają zawieszeniu na czas nieokreślony. Najtańsza orkiestra to ta, która w ogóle nie koncertuje. Niebezpieczny paradoks zaczął docierać do świadomości finansowych decydentów. Wiedziałem, że w dalszej perspektywie może to postawić pod znakiem zapytania istnienie niejednego zespołu.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w K. Zaraz po Nowym Roku Antosia miała przeprowadzić sondażową rozmowę o możliwościach zatrudnienia na miejscowym

uniwersytecie. Jej włoskie koneksje wcale nie osłabły (wiedziałem, że któryś z mentorów w bardzo ogólnych słowach zarysował możliwość asystentury na Uniwersytecie w Padwie), ale panna Mars najwyraźniej chciała przypomnieć się rodzimemu środowisku akademickiemu. Ja z kolei miałem do odegrania jeszcze tylko koncert sylwestrowy (Johann Strauss senior&junior), po czym... Stawałem się wolny jak ptak. Przez krótki moment nic mnie nie gnało i donikąd mi się nie spieszyło. Winnica trwała w zimowym letargu, a jeśli nawet było coś do zrobienia, to miejscowi wiedzieli o tym lepiej niż ja.

Moja przygoda z Toskanią zaczęła się już wówczas, kiedy opadły nieco kurz i emocje wzniecone w sekretnych przejściach filharmonii w K. Nie zależało mi, aby wiedzę o dramatycznie zmienionym statusie posiadania upowszechnić. Wiedziałem, do czego zdolna jest ludzka ciekawość i długie języki. Nagle trzeba udowodniać, że nie jest się wielbłądem, a i tak jest to zadanie z gatunku przeciśnięcia się tegoż przez ucho igielne. Wśród niewielu poinformowanych znalazł się Jacek, który początkowo przyglądał mi się z nieukrywaną podejrzliwością.

— Ty? Winnicę? No, co ty też... kur... desz... improwizujesz... — Zaniemówił z wrażenia. Podejrzewał mnie chyba o udział w jakimś spisku. Nie mieściło mu się w głowie, że altowiolista może stać się nie tylko autorem, ale i beneficjentem własnego sukcesu.

To właśnie skrzypek zadzwonił 1 stycznia. W ramach noworocznych remanentów zaproponował wspólne piwo.

— Bądź cierpliwy, jutro się wszystkiego dowiesz. Będzie też Konrad i... Joasia.

Sytuacja osobista moich kolegów uległa zmianie. Dziewczyna wiolonczelisty nie wytrzymała napięcia związanego z jego przygodą (której konsekwencją były złamana ręka i czasowe wykluczenie ze społeczności grających) i odpuściła go sobie. Natomiast u boku Jacka — aż dotąd samotnika — pojawiła się nowa liderka drugich skrzypiec z Orkiestry Kameralnej „Johannes”. Joanna była jasnowłosą, wesołą dziewczyną, w której uroda i inteligencja walczyły o palmę pierwszeństwa, nigdy definitywnie nie przesądzając sporu.

Jacek miał dość tajemniczą minę.

— Mówię ci, chcę się chajtnąć — szepnęła Konrad poza kadrem.

Początek roku sprzyjał postanowieniom; wiolonczelista mógł mieć rację.

Po dwóch piwach nie wytrzymałem.

— Czy możesz już przestać robić te tajemnicze miny? Kiedy ślub? Wał prosto z mostu, jakoś to zniesiemy.

Joanna i Jacek byli zaskoczeni bezpośredniością pytania. W dzisiejszym świecie takie wycieczki w prywatność nie są popularne. Ale nie obrazili się. A nawet — jak mi się zdawało — obdarzyli wzajemnie spojrzeniem z gatunku: „No widzisz? Słowa nie gryzą. Może kiedyś o tym pogadamy?”.

— Zupełnie nie to. — Jacek wrócił do właściwego celu spotkania. — Posłuchajcie, od pewnego czasu chodzi mi po głowie... Zresztą, pomyślcie sami: w jakim my tu gronie siedzimy?

— W gronie przyjaciół gadających przy piwie — przytomnie odezwał się Konrad.

— Nie o to chodzi. — Skrzypek machnął ręką ze zniecierpliwieniem. — Spójrz w kategoriach profesjonalnych...

— Wiem! — wykrzyknąłem podekscytowany. — Kwartet! — Emocja natychmiast udzieliła się Konradowi.

— Smyczkowy! — Dopełnił rykiem.

Rozpromieniona Joanna patrzyła na Jacka wzrokiem: „A widzisz? Mówiłam, że to kupią!”.

— Stary, to jest genialna myśl! — Początkowy entuzjazm był wszechstronny, zaraźliwy

i wzajemnie się nakręcający. Wkrótce jednak pojawiło się trzeźwiejsze spojrzenie.

— Wy co prawda pracujecie w jednej orkiestrze. Ja się jakoś dopasuję, jakem *freelance*. Ale Bartek? Z tym swoim geograficznym rozdarcie? — Przez Konrada przemawiał głos rozsądku.

— Jednak zauważ, że ponad połowę czasu spędzam w K. I jest to mój czas, to znaczy mogę nim dysponować wedle własnej i tylko własnej woli — pospieszyłem czym prędzej z zapewnieniem, byle tylko nie odsunęli mnie od projektu. A żeby raz na zawsze wybić im to z głowy, dorzuciłem: — Wchodzę w to z kopytami, psem (może nam rozkładać pulpity i robić za bodyguarda) i włoską posiadłością, czytaj, dla przykładu: toskańskie noce z muzyką kameralną...

— Dlaczego noce? — spytała Joanna podejrzliwie.

— Bo w letni dzień jest za gorąco, żeby grać...

To zrobiło wrażenie na wszystkich. Za oknem siąpił ni to deszcz, ni to śnieg, mimo godziny ledwie szesnastej zapadał zmrok. Samo wyobrażenie miejsca, w którym jest za ciepło, nocy, która stwarza warunki do muzykowania, miało działanie magiczno-terapeutyczne. Już po godzinie doszliśmy do wniosku, że przy dobrej woli i odpowiedniej logistyce wszystko da się zorganizować. Zaś dobrze wyselekcjonowany skład osobowy tak niewielkiego zespołu jest ważniejszy od pewnych organizacyjnych, acz pokonywalnych niedogodności. Gdy więc cudowna idea połączenia muzycznych pragnień i tęsknot zyskała rację bytu, przystąpiliśmy do snucia — początkowo lokalnych, a potem i mocarstwowych — planów. Od własnego podwórka i lokalnej publiczności przesuwaliśmy się coraz bardziej na południe, by w końcu miesięcznym rejsiem, na przykład z Triestu — a dlaczego by nie z cyklem koncertów na pokładzie ekskluzywnego transatlantyku? — dotrzeć do Nowego Jorku, gdzie publiczność Carnegie Hall już oczekiwała na nasz występ, drżąc z niecierpliwości.

— Żebyśmy tylko nie zapomnieli o najważniejszym — powiedziała Joanna po kolejnych kwadransach upojnych i upajających wizji.

— O najważniejszym? A co jest najważniejsze? — Tylko Jacek był zaskoczony.

— Jak to co? Nazwa! — Odrzekliśmy zgodnym chórem.

No i zaczęło się. Bo nazwa — przecież nie tylko w przypadku kwartetu smyczkowego — to szczęśliwy drogowskaz wyłowiony z przestrzeni, dobra wróżba, ziarno sukcesu lub... czegoś wręcz przeciwnego. Dobrej nazwy nie sposób przecenić. Poza tym wybieranie jej to pierwsza próba sił i charakterów, to badanie granic konfliktów i kompromisów, to odpowiedź na pytanie: czy damy radę wsiąść do wspólnej łódki, już na początku nie wpadając do wody?

Jakich propozycji tam nie było! Podzieliłbym je na parę kategorii. Na przykład geograficzną. W ramach wzmiankowanych już planów muzycznej konkwisty, od razu wypróbowałyśmy wersje dwujęzyczne. Zaczęło się od Kwartetu Smyczkowego „Suliwa” (Nie wiecie jeszcze, co to Suliwa? Cierpliwości, wkrótce się wyjaśni). Salajwa String Quartet.

— To może od razu Szałwia! Po łacinie *Salvia*. Co, może brzydkie? — zaperzyła się Joanna.

— Kochanie, nikt nie mówi, że brzydkie...

Od tej pory nie będę już łączył wypowiedzi z autorami. Mówiliśmy wszyscy, każdy coś mówił, bo — jak powszechnie wiadomo — kwartet to dzielenie włosa (i głosa) na czworo.

— Południowopolski Kwartet Smyczkowy. South-Polish String Quartet.

— Doskonałe! — rozległ się okrzyk pełen zjadliwej ironii. — A może od razu Kwartet Południowo-Południowozachodni?

Pojawiała się kategoria łacińsko-włoska.

— Kwartet Smyczkowy „Curiosum”. Camerata Curiosum.

— A jakby tak Kwartet Smyczkowy „Cztery Pory Roku”?

— To może od razu Kwartet Smyczkowy „Ich Czworo”. Albo Quartetto “Pizza Capricciosa”.

— A co powiecie na Three Plus One String Quartet?

Najlepszą metodą na wyeliminowanie jakiegoś pomysłu było jego natychmiastowe ośmieszenie.

— Skoro już jesteśmy przy nazwach dawnych zespołów wokalnych to może — zamiast Filipinek — Filipiny? Philipines String Quartet?

— Jestem za. Niech rząd w Manili ufunduje nam stypendia.

— Filipiny nie... Ale może... Filipy? Z konopi rzecz jasna...

Na tapetę trafiła nowa kategoria, odkompozytorska.

— Chopin, Moniuszko, Szymanowski, Karłowicz, Bacewicz, Penderecki, Lutosławski — odpada. Wszystko zajęte, wszystko już było...

— O, to jest niezłe! Kwartet Smyczkowy „Wszystko Już Było”...

— Wiem! Ben Akiba String Quartet!

— Mhm. Z siedzibą w Emiratach Arabskich...

Tego już nikt nie komentował. Ale wpadliśmy na pewien trop. Bo gdyby tak — dla przykładu — Kwartet imienia Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego? Dokonałiśmy pobieżnego przeglądu artystów polskich z różnych branż, mogących magią nazwiska dorzucić splendoru powstającej grupie.

— Mateyko String Quartet.

— Hm, sukces na Litwie murowany.

— Kwartet Smyczkowy „Wyspiański”?

— Ładne. Ale dlaczego właściwie to musi być mężczyzna? — Joanna nieoczekiwanie podniosła element równouprawnienia. — Dlaczego nie Boznańska String Quartet?

Jakoś tak sami z siebie porzuciliśmy plastyczno-literacki trop.

W pewnej chwili stopień absurdu osiągnął wyżyny. Jasne było, że dzisiaj już prochu (czytaj: nazwy) nie wymyślimy. Chyba że...

— Nazwijmy się po prostu Kwartet Smyczkowy.

— Kwartet Smyczkowy „Kwartet Smyczkowy”? The String Quartet “String Quartet”... Taaak... Może i coś w tym jest, ale czy jesteście pewni, że wszyscy złapią?

— Ja na pewno nie — odezwałem się po dłuższej chwili milczenia.

— A co ty właściwie tak nic nie mówisz i tylko chcesz krytykować?

W powietrzu zawisło czytelne oskarżenie z gatunku: „no jasne, posiadacz ziemski i w dodatku altowiolista”. A może jeszcze cięższe: „altowiolista i do tego krwiopijca”.

— Nic nie mówię, bo nie dajecie mi dojść do głosu. Ale skoro już doszedłem, to powiem. Bo chyba mam coś ciekawego. — Gdyby ironia mogła się skraplać, spadłby na moją głowę wcale nie mały deszcz. Nie przejmowałem się tym wcale. — Kwartet Smyczkowy imienia Aarona Gudelsteina. The Gudelstein String Quartet.

Przed wojną istniał w K. Kwartet Gudelsteina. Aaron Gudelstein — w tamtych czasach, jeden z najwybitniejszych europejskich skrzypków — był jego prymariuszem. Okoliczności ostatniego, dramatycznego koncertu, po którym artyści mieli zostać aresztowani przez gestapo, a przede wszystkim tajemnicę sensacyjnego zniknięcia muzyków i czterech bezcennych instrumentów dłuta Lucci Silvariego odkryłem przy okazji rozszyfrowywania zagadki Rosenberga.

Zaskoczeni koledzy zamilkli.

— Ty wiesz, że to jest nawet niezłe? — Jacek otrząsnął się jako pierwszy. Jak na pierwszego (skrzypka) przystało.

— I dość uzasadnione — dorzucił Konrad.

— Powiem jednym słowem: super! — Joanna nie miała wątpliwości.

— A nie boisz się... — Jacek wahał się — że, hm, jakby to powiedzieć... — wyraźnie miał z tym trudności — brzmi to trochę... nietutejszo?

— Nietutejszo? OK. To niech będzie Czarnoleski String Quartet. Albo Kowalski. A może Nowak? Wystarczająco tutejsze? Bo jak nie, to mogę wymienić jeszcze parę prawdziwie prawdziwych nazwisk...

— Bartek, nie chodzi o mnie, tylko o tak zwany odbiór społeczny...

— Nie rozśmieszaj mnie. Aaron Gudelstein był obywatelem tego kraju i tego miasta. I to wybitnym obywatelem. Więc powiem po prostu, *I don't care...* Nie każ myśleć mi w kategoriach innych niż artystyczne i zdroworozsądkowe...

Cztery dłonie wylądowały na środku stolika, przykrywając się nawzajem. Pakt został zawarty.

— Jako pomysłodawcy, przysługuje ci prawo zamówienia kolejnych czterech piw. — Taką to uroczystą formułą Jacek podsumował akt założycielski.

— *Ladies and gentleman, this is your captain speaking...* — zaskrzeczały głoścniczki, próbując wybić się ponad szum silników i pracujące na pełnych obrotach indywidualne nawiewy. Czulem, jak prawe ramię drętwieje mi z zimna, podczas gdy lewe spływa potem. Słuchałem, że znajdujemy się na wysokości tyłu a tyłu stóp nad poziomem morza, lecąc z taką a taką szybkością przelotową. W tej chwili przekraczamy granice Austrii, wlatując w strefę powietrzną Republiki Czeskiej. Pogoda nam sprzyja, mamy lekki wiatr w ogon, na lotnisku w K. powinniśmy wylądować za około pięćdziesiąt minut. W porcie docelowym niebo jest bezchmurne, temperatura wynosi 18 stopni Celsjusza...

O mało nie zasnąłem pod wpływem monotonii kapitańskiego głosu.

Postanowiłem odżałować osiem euro i zamówiłem „zestaw” składający się z bułki o konsystencji gąbki, wypełnionej serem o konsystencji i smaku lekko stopionego plastiku oraz coli, która niestety, nie zdążyła się schłodzić. Jej słodka lepkość zalała mi dłonie.

Minione dziewięć miesięcy wykorzystaliśmy z pełnym zaangażowaniem, najpierw zapoznając się z kanonem literatury kwartetowej, potem ustalając konkretny repertuar, który szlifowaliśmy w trudzie, pocie czoła i bez spoglądania na zegarek. W lipcu zaprosiłem kolegów do Toskanii na coś w rodzaju obozu kondycyjnego. Dwa tygodnie minęły jak maźnięcie pędzlem. Cztery czwarte kwartetu Gudelsteina było w siódmym niebie. Widziałem, że do kolegów nie dociera początkowo realność miejsca, ale do komfortu przyzwyczaić się nietrudno. Po godzinach intensywnych prób organizowaliśmy nocne koncerty serenadowe (przy świetle księżycy i pochodni), na które wszyscy mieszkańcy Corbetto mieli otwarte zaproszenie. Włosi kochają muzykę; nie muszą o niej dużo wiedzieć, ale stanowi element ich narodowego charakteru. Dlatego przychodzili tłumnie, uradowani, że coś tak ciekawego dzieje się w ich niewielkiej miejscowości. Przynosili owoce, wino, sery, pachnące i jeszcze ciepłe chleby, swój entuzjazm i bezgraniczną radość. Gdy graliśmy — nie ograniczając się tylko do stricte kwartetowych pozycji — było cicho jak makiem zasiał, za to potem wybuchał gorący aplauz, niekończące się rozmowy, z gestykulacją, śmiechem a nawet śpiewem i tańcami.

Antosia promieniała; jej słoneczność lśniła nawet — a może jeszcze wyraźniej — po zmroku. Natomiast Eston wcielał się w rolę majordomusa: witał, pozdrowiał i odprowadzał gości, traktując nas wszystkich jak potężne stadko powierzone swojej opiece.

Rażno zeskoczyłem na płytę lotniska. Włożyłem krajowego sima do komórki i w bojowym nastroju ruszyłem przed siebie. Nim zdążyłem opuścić halę przylotów, telefon rozdygotał się i rozdźwięczał. W sam początek mojego pobytu na ziemi ojczystej — wedle najlepszych reguł prawa Murphy’ego — wbił się klinem głos nadkomisarza Bielskiego.

Z Robertem przyjaźniliśmy się od czasów wyjaśnienia zagadki Rosenberga. Spotykaliśmy się nie raz i nie dwa, ale od tamtej pory nasza znajomość nie wkraczała na terytorium kryminalistyki. Fakt, że telefon ożył, gdy tylko znalazłem się w K., uznałem za omen niemożliwy do przeoczenia.

Nadkomisarz rozmawiał ze mną w tak nagłym tonie, że postanowiłem udać się pod wskazany adres bezpośrednio z lotniska. Zrobię wrażenie, zjawiając się na miejscu domniemanej zbrodni (tyle wywnioskowałem ze słów nadkomisarza) z tajemniczą walizką — niczym kryminolog z przenośnym laboratorium. Chyba tylko Bielski będzie wiedział, co jest w środku. Taksówkarza poprosiłem, aby zawiózł mnie pod najbardziej północny z pięciu samochodowych mostów przerzuconych przez rzekę Suliwę.

Prawda, winien jestem wyjaśnienie.

W K. wszystko kręci się wokół Suliwy, choć właściwie to ona snuje się wokół miasta, oplatając je wstęgą niespecjalnie pospiesznego nurtu. Można powiedzieć, że jego szybkość dostosowana jest do intensywności i pośpiechu lokalnego życia. Suliwa — to odwieczny temat numer jeden. A że się wije tak jakoś nie wiadomo jak, a że meandry są urocze, ale w końcu musi dojść do powodzi, bo brzeg nieco bardziej na północ jest praktycznie pozbawiony wałów ochronnych, a że dużo komarów, a że zamiast plaży i chaszczki przydałyby się nadbrzeżne bulwary, a że oczyszczalni ścieków nie ma, a że kąpać się niebezpiecznie, bo nie dość, że brud, to jeszcze wiry, a że flota by się jakaś przydała, bo na całym świecie sąsiedztwo rzeki jest atrakcją, zaś u nas utrapieniem — rzeczywiście, pływające tu i ówdzie koromyślane łódeczki nadają się raczej na spływ kajakowy imienia Brunona Schulza — a że mostów za mało, a te, które są, mogą się zawalić... Gdy nadciągają wybory samorządowe, rozpoczyna się proces zwany przez obywateli „dolewaniem Suliwy do ognia”; jedni zarzucają drugim zaniechania, sami roztaczając tęczowe wizje...

Suliwa patronuje też niektórym okazom lokalnej (dość wątej) gospodarki: są Zakłady Mleczarskie Suliwa, Fabryka Czekolady Nad Suliwą, nawet nieczynna i niedostępna od lat stara kopalnia soli nosi miano szlachetnej rzeki (jej młodsza, powojenna siostra przejęła tytuł w nieco zmienionej formie — Sólwiwa; prawda, jak sprytnie?). Aż dziw, że i filharmonia nie pokusiła się o wodnistą nazwę. Suliwa Philharmonic Orchestra — czyż nie brzmiałoby dumnie?

Taksówka dotarła na miejsce.

— Oho! Coś się stało... — odkrywczozauważył kierowca na widok blokującej przejazd plastikowej taśmy z napisem „Policja”.

— Dlatego tu właśnie jestem. — Nie mogłem powstrzymać się od malutkiej bufonady; wszak po raz pierwszy wzywano mnie jako eksperta do sprawy kryminalnej, co zresztą w dalszym ciągu trochę mnie dziwiło. Gdy wysiadałem z auta, szofer z szacunkiem rzucił okiem na futerał.

— Nie wolno! Nie widzi pan, że przejścia nie ma?

Pilnujący taśmy policjant najwyraźniej mnie nie rozpoznał.

No cóż, w lokalnym światku oficerów śledczych ciągle nie byłem postacią pierwszoplanową.

— Proszę przekazać nadkomisarzowi Bielskiemu, że Bartosz Czarnoleski przyjechał.

Twarz policjanta złagodniała. Widać nazwisko odezwało się w pamięci utajonym echem. Radiotelefon zaskrzeczał dwustronnie.

— Proszę, niech pan idzie. Nadkomisarz czeka. — Wysłużony futerał po raz kolejny stał się adresatem spojrzenia pełnego estymy.

Robert przywitał mnie poważną miną. Uśmiechnął się dopiero na widok mojego sprzętu śledczego.

— Chcesz mu zagrać serenadę pośmiertną?

— Raczej odę... — mruknąłem. Świadomość, że zaraz stanę oko w oko (?) z martwym człowiekiem powoli odbierała mi humor. Śmierć była niebezpiecznie blisko. Czaiła się na wyciągnięcie ręki.

— No właśnie... — Bielski odczytywał moje myśli. — To nie jest najprzyjemniejszy widok. Nawet dla profesjonalisty. Jeśli nie chcesz, nie musisz oglądać...

Nie chciałem wyjść na... filmozę (czyli takiego, co to zamyka oczy w drastycznych momentach filmu; no dobra, czasami zamykałem...). Zresztą, nie było tak źle. Mężczyzna wyglądał na śpiącego. Leżał, a właściwie siedział oparty o przeszło. Jedynie miejsce, które wybrał na drzemkę, należało uznać za nietypowe. Mimo woli odetchnąłem. Po dramatycznym zagajeniu nadkomisarza spodziewałem się czegoś znacznie bardziej przerażającego. Choć obcowanie ze zwłokami nie należy do przyjemności, pomyślałem, że dam radę. Przedwcześnie. Bielski delikatnie podciągnął rękaw brązowego, najwyraźniej liczącego wiele lat garnituru denata. Jego lewy nadgarstek wyglądał jak ozdobiony czerwoną bransoletką. Bizuteria śmierci.

— Sprawca omal nie odciął mu dłoni. Nie dotykaj, bo odpadnie. — Nadkomisarz zaprezentował subtelne poczucie humoru.

— No tak, faktycznie... On już nie pogra. — Zrewanżowałem się.

— Chyba że *danse macabre*. — Spojrzał na mnie szybko. — Nie przejmuj się. W ten sposób próbujemy oswajać grozę, z którą stykamy się na co dzień. Ale ty? Subtelny artysta, można by pomyśleć. No, no...

Nadrabiałem miną.

— Czy sprawca próbował odrąbać denatowi rękę? — zadałem profesjonalne, jak mi się zdawało, pytanie. Podświadomie rozglądałem się — może był to jeszcze wpływ lektury o przygodach Policjanta, Który Się Nie Uśmiecha — za okazałą i, rzecz jasna, okrwawioną siekierą.

— Niekoniecznie. — Bielski trzymał w ręku coś, czego w pierwszej chwili nie dostrzegłem. — Posłużył się subtelniejszym narzędziem. Artystycznym, powiedziałbym.

Nareszcie pojąłem, dlaczego nadkomisarz zdecydował się do mnie zadzwonić. W jego wyciągniętej dłoni znajdowała się struna. Najnormalniejsza w świecie skrzypcowa (lub altówkowa) struna, użyta w najnienormalniejszym celu. Nie pomyślałbym nawet, jak złowieszczą może być jej moc.

— Zadanie śmiertelnej rany... tym, musi być trudne — podzieliłem się wątpliwością.

— Zgadza się. Ale można sobie ułatwić zadanie. Trzeba ofiarę zblejtramować, najlepiej wysokoprocentową mieszanką. A gdy traci świadomość, wystarczy owinać strunę wokół nadgarstka, zacisnąć... Alkohol rozrzedza krew. Krzepliwość gwałtownie spada. Śmiertelne wykrwawienie następuje w ciągu kilku minut...

— Inspiracji poszukiwałem w *Ojcu chrzestnym*... — próbowałem z marszu, i do tego twórczo, włączyć się w śledztwo.

Bielski spojrzał pytająco.

— *Ojciec chrzestny*? Luca Brasi? Fortepianowa struna? Zawodowy morderca?

Naprawdę nic ci to nie mówi?

Gdybyż to było takie proste. Pojawia się Bartosz Czarnoleski i oznajmia, że sprawcą makabrycznego zabójstwa jest członek włoskiej mafii, niejaki Luca Brasi. Otrząsałem się. Nie

tak dawno miałem do czynienia z la piovra. W zupełnie neliterackich konotacjach. Byli moimi przeciwnikami w wyścigu do skarbów ukrytych w sejfie Rosenberga. O mało nie wyprzedzili mnie na ostatniej prostej, ale dałem radę. Daliśmy radę; bez Estona finisz byłby przegrany. A swoją drogą, policjanci powinni przechodzić jakiś kurs beletrystyki fachowej, od *Zbrodni i kary* poczynając. Książka Mario Puzo byłaby na liście obowiązkowej.

Struna...

Ciekawe; prawdopodobnie wrzynała się w nadgarstek nieszczęśnika, gdy pokonywałem niebo nad Europą. Wylądowałem tuż po zakończeniu występu.

— Na jakiej podstawie sądzisz, że ofiara była pod wpływem alkoholu?

— Zapach. Nie czujesz go? Musiał być zdrowo nadżgany. Jestem pewien, że sekcja to potwierdzi.

— Ktoś tu się szarpnął na koncert z bankietem.

Ale Bielskiemu nie było teraz do śmiechu.

— Ktoś mi tu gra na nerwach i ambicji. I to solidnie. Mówię ci, ludzka fantazja zdaje się nie mieć granic. Mało to naszych rodzimych, przasných, siekierzasto-nożowniczych zabójstw? Wódka, dziwy, brudne interesy, pseudobiznesmeni, czuby, nędza, konkurencja, zazdrość i jej siostra zawiść — to wszystko wpisuje się w nadsuliwskie motywy zbrodni. Ale struna?! Co my tu, kurwa, London Philharmonic zakładamy?!

Był zdenerwowany. Widziałem to. I słyszałem.

— Wysublimowane narzędzie zbrodni — nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że tym mianem określeń mój zawodowy atrybut — nie eliminuje żadnego z motywów, które wymieniałeś...

Robert machnął tylko ręką.

— Daj spokój. Lepiej pojedźmy na komendę.

Najchętniej wymówiłbym się; w końcu przyjechałem tu prosto z lotniska. Nie tak chciałem przywitać się z K. Z tokańskiego raję wprost do suliwskiego piekła. Czy nie dość, że kawałek mnie pozostał w Casa di Città Abbandonata, razem z Antosią i Estonem? Ech, gdzie jesteście, upojne wieczory?

Zrezygnowany wsiałem do policyjnego auta. Grupka specjalistów przeprowadzała na miejscu zbrodni niezbędne badania.

— Nic tu po nas... — rzucił Robert, trzaskając drzwiami.

— Po nim też nie... — Mój humor był atramentowo czarny. — A czy to dobrze, że... — nie wiedziałem, jak to sformułować — zabrałeś mu strunę?

— Sądzisz, że miała by z niej jeszcze pożytek?

Nie odpowiedziałem. W końcu to on jest policjantem. Powinien znać odpowiedzi. Przynajmniej na niektóre z pytań.

### 3.

Usiedliśmy w gabinecie przesiąkniętym papierosowym dymem. Przed nosem parowały szklanki z kawą po turecku (fusy do połowy, reszta wrzątek). Nadkomisarz wyjął z szuflady coś, co przypominało talię kart, którą zaczął układać w wachlarz.

— Stawiasz pasjansa?

Zbył mój niewczesny żart milczeniem.

— To są obywatele naszego szlchetnego miasta, którzy opuścili ten padół łez w ciągu



ostatnich kilku miesięcy. Jeśli przyjrzesz się im dokładnie, bez trudu stwierdzisz, że z czyjąś zaangażowaną pomocą.

Na szczęście — w tym przypadku na szczęście — miałem już dziś za sobą kontakt z „żywym” trupem, w przeciwnym razie odjęłoby mi mowę. Były tam bowiem damy z rozplatanymi podbrzuszeniami i zmiażdżonymi czaszkami, walety z odciętymi częściami ciała, króle bez głowy i głowy bez królów — za to z wytrzeszczem tak strasznym, że zaraz przypomniały mi się co bardziej martwe sceny z dziełek pewnego uznanego twórcy filmowego — oraz asy pozbawione większości swoich atutów. Proporcja kolorów — zdjęcia były barwne — uległa zdecydowanym przewartościowaniom na rzecz czerwieni.

— Chcesz powiedzieć, że to wszystko wydarzyło się w naszym K.? — Nie mogłem wyjść ze zdumienia. — Może czytuję niewłaściwe gazety?

— Zależność jest prosta: jeśli dziennikarze nie wpadną na trop którejś ze zbrodni, w naszym interesie rzadko kiedy leży jej nagłaśnianie. Więcej z tego komentarzy o nieudolności organów śledczych niż realnej pomocy. Krótko mówiąc, opinia publiczna wie tylko o tym, o czym donosi prasa. A to obraz dalece niekompletny. Tak, mój drogi. Czy chcesz, czy nie, świat nie składa się z samych pięknych dźwięków. O ile jednak pamiętam, wyraziłeś swego czasu wolę wspierania mnie w niektórych śledztwach...

O ile ja pamiętałem, propozycja taka padła z ust nadkomisarza, co nie znaczy, że nie przyjąłem jej z pewnego rodzaju dumą. Pochlebiali mi, że moja umiejętność kojarzenia zdobyła uznanie oficera z wydziału zabójstw. Prezentacja, którą Robert właśnie urządził, miała przybliżyć mnie policyjnym standardom. „Nie wiesz, z czym stykamy się na co dzień”, zdawał się mówić. „I dobrze, że nie wiesz, bo to zajęcie dla ludzi o nerwach ze stali, w dodatku nieskończenie długich (nerwach, rzecz jasna). Ale pojawiła się sprawa ze znanym ci elementem, być może zahaczająca o bliskie ci środowisko; dlatego potrzebuję twojej pomocy”.

— Jestem złakniony choćby odrobiny statystycznej otuchy. — Bielski wbił mnie w niemiłe przekonanie, że K. jest prawdziwą jaskinią zbrodni.

— Pytaj — burknął niechętnie.

Stawał się trudnym rozmówcą. Przypomniały mi się jego słynne cedzone frazy, znamionujące ból co najmniej jednego zęba. Nadkomisarz służbowo a nadkomisarz prywatnie to były dwie zupełnie różne osoby. W tej chwili znajdował się w osobowościowym rozdarciu.

— Jaka jest skala wykrywalności sprawców najcięższych przestępstw?

— Odnosimy sukcesy w... prawie pięćdziesięciu procentach.

— Czyli w ponad połowie ich nie odnosicie? — upewniałem się z uśmiechem godnym członka sejmowej komisji śledczej.

— Faktycznie, to brzmi trochę gorzej... Ale wiesz, statystyka statystyką...

— Te zdjęcia nijak nie kojarzą mi się ze statystyką... — zauważyłem pośpiesznie.

Gdzieś tu, w naszym pocziwym K., żyli, mieszkali i chodzili po ulicach niebezpieczni szaleńcy. Szaleńcy? Problem polega na tym, że szaleńcy nie dostrzegają własnego szaleństwa, widząc w nim raczej misję do wypełnienia.

Zamikliśmy na moment. Żonglowanie procentami nie przybliżało nas do wysnucia choćby jednego konstruktywnego wniosku. Tajemnica złego humoru nadkomisarza była prosta. Zwrócił się do mnie, bo przeczuwał własną bezradność. Pewnie z góry zakładał, że ma do czynienia z przypadkiem mieszczącym się w niewykrywalnej połowie. Jako profesjonalistę musiało go to boleć. Gdybym tak ja zadzwonił do niego z pytaniem: „Robercie, jak sądzisz, czy na początku drugiej części sonaty Hindemitha trzeba wskoczyć od razu w czwartą pozycję, czy raczej spróbować glissando przez dwie struny?”.

Ale przecież nie było w tym jego winy. Żaden, nawet najlepszy, policjant świata nie

mógł pochwalić się stuprocentową wykrywalnością. Chyba że należał do kategorii geniuszy: książkowych lub ekranowych. Śledczy, który zgubił, pomieszał lub nie może odnaleźć tropów, musi czuć się jak skrzypek nieradzący sobie z opalcowaniem szczególnie trudnego fragmentu. A jeśli nawet teoretycznie wie, jak go zagrać — dalej nic z tego. Za trudne. Niewykonalne.

Frustrujące, nieprawdaż?

Żał mi było Roberta. Głównie dlatego, że postawił na niewłaściwego współnika. Bo byłem bezgranicznie i rozpaczliwie bezradny. Co z tego, że kiedyś coś tam udało mi się rozwikłać? W sprzyjających okolicznościach pewnie każdy może stać się bohaterem. Jednej akcji. Rozdarty między Toskanią, do której już zdążyłem zatęsknić, a kwartetem, który coraz silniej kusił mnie poranną próbą, byłem chyba najgorszym kandydatem na tropiciela, jakiego Bielski mógł wymyślić. Zresztą, czy nie dokonał przypadkiem skojarzenia zbyt nagłego, nieuprawnionego choćby jedną wzmacniającą przesłanką?

Kawałek metalu, którego użyto do morderstwa, mógł być równie dobrze sznurkiem do snopowiązałki, wędkarską żyłką albo zwykłym drutem. Wystarczył zbieg okoliczności: zbrodniarz znalazł na ulicy komplet skrzypcowych strun... Zaraz, komplet? Dlaczego komplet? A dlaczego nie dwa? Albo dziesięć? Ile kompletów strun znalazłem w życiu? A tam kompletów... Czy kiedykolwiek — spędzając mnóstwo czasu w miejscach tłumnie odwiedzanych przez muzyków — natrafiłem na choćby jedną bezpieczną strunę? Odpowiedź brzmiała: nie! Należało czym prędzej założyć, że wśród przedmiotów, których przypadkowe znalezienie jest najmniej prawdopodobne, struny zajmują baaardzo wysoką pozycję. Może więc asocjacja nadkomisarza nie była aż tak absurdalna?

Rozumiałem zły humor Bielskiego, a powiedzieć, że sam byłem w szampańskim, trąciłoby przesadą. Wściekłość bywa następstwem niemocy. Ale nie chciałem oddawać pola bez rozegrania choćby jednej akcji.

— Czy wasze laboratoria mogą zbadać wiek struny?

— A to ma jakiegokolwiek znaczenie? — W głosie Roberta wyczułem powątpiewanie.

— Kluczowe! — kontynuowałem blefik, nie mając pojęcia, że czystym przypadkiem jestem blisko sedna... — Zresztą, to zawsze zdążymy zrobić, prawda? — waliłem do Bielskiego frazami z podrzędnego kryminału. — Czy, powiedzmy, na jeden wieczór mógłbyś powierzyć mi... narzędzie zbrodni?

— Nie wiem, chyba tak... — Bielski wplątał się w pułapkę. Oczekując pomocy, nie mógł lekceważyć moich pomysłów, nawet jeśli byłyby zaprzeczeniem sztuki śledczej. Osiągnąłem swój mały cel: chwilę czasu do namysłu.

Policyjny radiowóz podrzucił mnie na starówkę. Zbliżała się północ. Poddasze przywitało mnie dobrze znanym zapachem starych murów i... pustką. Bez Antosi i Estona nie było tym samym miejscem. To i dobrze. O to właśnie chodziło, powtarzałem sobie. Nie przyjechałem tu na wakacje. Moje ostatnie pobyty w K. przeradzały się w morderczą pracę. Choć koledzy trochę sarkali na przedzielające je nieobecności, to przecież z góry wiedzieliśmy, że tak właśnie będzie. Nieraz musiałem się nasłuchać o altowiolistach-winorobach, feudałach z przypadku, ale nie obrażałem się, wiedząc, że w gruncie rzeczy piją do tego, aby po próbie wysączyć którąś z przywiezionych przeze mnie butelek. Nie miałem nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie; po parogodzinnej fizycznej, intelektualnej i emocjonalnej orce moje (Boże, puchnę z dumy!) Sangiovese di Città Abbandonata miało smak boskiego nektaru. Kto raz popróbował, nie miał już ochoty na wina z supermarketu.

Mimo zmęczenia nie mogłem zasnąć. Wydarzenia drugiej części dnia wprawiły mnie w nastrój... na pewno nie artystyczny. Myśl rwała się i błędziła, nie mogąc zdecydować się na

żaden z kierunków. W końcu jednak zrozumiałem, że tym, co naprawdę uniemożliwia mi spoczynek, jest rodząca się... trema. Tak, tak, to słowo istnieje, a zjawisko — choćby nie wiem jak racjonalizowane i osławiane — potrafi dojść do głosu w najmniej oczekiwanym momencie. I ścisnąć okolice żołądka świdrującym gorsetem...

No cóż, nietrudno się domyślić, co tym razem przywiodło mnie do K. Od koncertu inauguracyjnego estradowy byt Kwartetu imienia Aarona Gudelsteina dzieliły nas już tylko dni.

Kwartet... Jaka magia go wspomaga? Co powoduje, że w opinii wielu znawców i miłośników jest najdoskonalszą, najbardziej harmonijną formą muzycznej wypowiedzi? Czy można go uznać za zespół solistów, czy raczej orkiestrę w miniaturze?

Jest orkiestrą — bo przyświeca mu taka sama idea podstawowa: wspólne wykonywanie muzyki. Jest nią, bo — podobnie jak orkiestra — nie powinien być sumą egoizmów.

Nie jest natomiast, bo transparentny, czteroliniowy rysunek dźwięków nikomu nie pozwoli schować się w masie. Nie jest, bo indywidualizm bywa tu nie tylko dopuszczalny, ale wręcz pożądanym.

Oto klasyczny przykład godzenia ognia z wodą; tylko tam, gdzie uda się uzyskać równowagę żywiołów, może być mowa o sukcesie.

Kwartet to poświęcenie. Praca aż do bólu. Wspólny oddech.

Kwartet wymaga cierpliwości i dobroci. Odrzuca zazdrość, nie jest chępliwy, nie nadyma się. Neguje postępowanie nieprzystojne, nie szuka swego, nie unosi się, nie myśli nic złego. Nie raduje się z niesprawiedliwości, ale raduje się z prawdy. Wszystko zakrywa, wszystkiemu wierzy, wszystkiemu się spodziewa, wszystko znosi.

Tak, kwartet ma w sobie coś z małżeństwa. Wczesne zauroczenie, dożgonne deklaracje, wspólne stawianie czoła trudnościom, potem rysy, pęknięcia i... dojrzałość albo rozwód. Czasami ponowne zejście się po latach. Lub trwanie z rozsądku. Znane są przykłady najwybitniejszych grup, które podróżują na koncerty oddzielnymi samolotami, nie mieszkają w tych samych hotelach, a o wspólnych posiłkach nie może być nawet mowy. Spotykają się na estradzie i rozstają tuż po zejściu z niej. Dlaczego? To proste: nie mogą na siebie patrzeć. Jednocześnie wypracowana latami jakość wspólnego grania jest takiej próby, że rynek nie pozwala im się rozpaść.

Na przykładzie jednego z najbardziej znanych w historii kwartetów (tym razem nie smyczkowego, ale wspominam ich nie przez przypadek; pewien muzykolog porównywał klasę muzyczną ich piosenek do pieśni... Franciszka Schuberta), można prześledzić parabolę wzlotów i upadków. Znamienne, że ten ostateczny zaczął się od pamiętnej deklaracji: „Jesteśmy słynniejsi niż Jezus Chrystus”. Pytaniem bez odpowiedzi pozostaje, czy — gdyby John Lennon żył nadal — doszłoby do czasowej choćby reaktywacji legendarnych The Beatles.

Czasami rozpad odbywa się naturalnie; wysiłek nieprzekładający się na sukces powoduje wypalenie i powolne obumieranie. Jest jeszcze jedno podobieństwo z małżeństwem. Możliwość zdrady. Muzyk, cichcem flirtujący, a w końcu wybierający inny zespół. Lub wariant jeszcze boleśniejszy, kiedy to większość oznajmia jednemu z kolegów, że znalazł się na jego miejsce ktoś inny. W domyśle — lepszy...

Za okres właściwych narodzin kwartetu smyczkowego należy uznać klasycyzm. Altówka i wiolonczela znudzone nieustannym akompaniowaniem wirtuozowskim popisom skrzypiec (córeczka wymawiająca pierwsze słowa zwraca się do taty-altowiolisty: „Papa!”. Na co ten odpowiada: „Nie, kochanie, nie papa; um-pa-pa, um-pa-pa) postanowiły wybić się może nie na niepodległość, ale przynajmniej na równouprawnienie. Nic już nie stało na przeszkodzie, aby kwartet smyczkowy stał się fakturalnie i brzmieniowo najdoskonalszym przedstawicielem nurtu zwanego kameralistyką (*musica da camera*, domowo-pokojowa; nazwa mówi sama za siebie).

Historia sprzętu odtwarzającego dźwięki zaledwie w krótkim fragmencie toczy się równoległe z rozwojem muzyki. MP3, kompakty, analogi, taśmy magnetofonowe, radia, patefony, a nawet pianole nie od zawsze towarzyszyły melomanom. Kto muzyki pożądał, potrzebował instrumentalistów. Albo — i tu dochodzimy do socjologicznego fenomenu kameralistyki — mógł ją grać sobie sam.

Jej siła i popularność wynikały w jednakim stopniu z niewygórowanych warunków uprawiania (wystarczył wszak zwykły salon), jak i powszechności wykształcenia muzycznego, które przez lata całe — od sfer arystokratycznych do mieszczańskich — wchodziło w kanon edukacji ogólnej. Wyobraźmy sobie taką scenkę: czwórka przyjaciół z różnych branż (na przykład doktor, prawnik, referent i nauczyciel uniwersytecki) spotyka się wieczorem przy kuflu piwa lub szklaneczce wina na wspólnym muzykowaniu. A gdy któryś wypada, bo wzywają obowiązki lub czeka rodzina, jego miejsce zajmuje kolejny amator. *Amator*, czyli wielbiciel (to dopiero wiek XX nadał słowu pejoratywne znaczenie — „ignorant”). Repertuar wykonywany w trakcie takich sesji musiał być dostosowany do możliwości tychże amatorów, ale kompozytorzy (z małymi wyjątkami) dbali, aby każdy mógł odnaleźć coś dla siebie. Tworzyli żywą muzykę dla żywych ludzi.

Tak wyglądały dziewiętnastowieczne *jam session*. Rzecz jasna, w jazzie dochodzi element improwizacji, ale samą ideę — wspólnego, radosnego muzykowania — można uznać za tożsamą. Oto jak podobną rozrywkę opisuje Thomas Mann w *Doktorze Faustusie*.

(...) *Przychodził wówczas organista z naszej katedry, pan Wendell Kretzschmar, jękała, który wkrótce potem miał zostać nauczycielem Adriana, oraz nauczyciel śpiewu z gimnazjum św. Bonifacego i z nimi to wykonywał stryj wybrane kwartety Haydna i Mozarta, przy czym sam grał pierwsze skrzypce, Luca Cimabue drugie, pan Kretzschmar na wiolonczeli, zaś nauczyciel śpiewu na altówce. Męskie to były rozrywki, podczas których stawiano kufel z piwem obok siebie na podłodze, a i cygare tkwiło w ustach, przerywano zaś sobie często kilku słowami, które zawsze brzmią dziwnie obco i sucho wśród mowy tonów, stukaniem smyczka o pulpit i odliczaniem taktów do tyłu, gdy, przeważnie z winy nauczyciela śpiewu, poszczególne głosy się rozjeżdżały.* (...)

Musimy jednak coś wyjaśnić. Kwartet profesjonalny, pragnący podbijać serca publiczności i estrady świata, ma się do przygodnego zespołu czterech muzykujących przyjaciół jak wyścig Formuły 1 do Rajdu Syrenki (było kiedyś takie autko, dwusuw, o niepowtarzalnym odgłosie silnika). Ale przecież znajdują się motomaniacy, dla których Rajd Syrenki (wymyśliłem go czy naprawdę istniał?!) będzie imprezą po wielokroć sympatyczniejszą.

W którym miejscu na muzycznej mapie znajdował się nasz zespół?

Zapał panujący w trakcie pamiętnego spotkania założycielskiego przeniósł się na pracowitą codzienność. Granie w kwartecie było dla nas spełnieniem marzeń. Inwestycją w przyszłość. Odnowieniem wiary, że nasz muzyczny — i nie tylko muzyczny — los spoczywa w naszych rękach. Ale wymagało też poświęcenia, bowiem jasne było, że przynajmniej na początku działamy dla idei. Przyszłość jak to przyszłość: może, ale nie musi być świetlana. Wiedzieliśmy jedno, rozpoczynamy artystyczną przygodę, ryzykowną i bez gwarancji ostatecznego sukcesu. Ale czy właśnie nie te — od podstaw i z trudem wznoszone — budowle mają największą wartość? Tylko takie nie rozsypią się przy pierwszym niepowodzeniu. Tylko one przetrwają niejedną nawałnicę.

Nieraz przychodziła mi na myśl Słynna Orkiestra Kameralna, którą przez lata prowadził Kumys Makirzyje. Przez pierwsze miesiące istnienia zespół prawie nie koncertował, budując repertuar i pracując nad indywidualnym stylem, którego podstawą była techniczna perfekcja. Inne to były czasy. Dziś na podobny komfort — zgromadzenie grupy wybitnych muzyków do

wyłącznej dyspozycji — nikt nie mógłby sobie pozwolić, zresztą który z instrumentalistów zechciałby wejść do takiej wyżymaczki? A przecież gdy słucham ich nagrań, za każdym razem dochodzę do tego samego wniosku: ci artyści stworzyli coś wybitnego. Inna sprawa, jaką za to musieli zapłacić cenę.

Ale, jako się rzekło, kwartet to nie same wisienki na torcie.

Gdy następnego ranka spotkaliśmy się na próbie, było jasne, że coś wisi w powietrzu. Materializowała się ciemna strona wspólnej pracy.

— Panowie! — rzucił w pewnej chwili Jacek, przy czym maskulinistyczna forma obejmowała również Joannę, która w kwartetowych realiach traktowana była na surowych, męskich prawach.

— Jak tak mamy pieprzyć, to lepiej od razu odwołać koncert.

Chwilowo nikt nie podjął polemiki. Pewnie pora była za wczesna. Inna sprawa, że grało się kiepsko. Ja miałem w głowie podróż i nieoczekiwane przeżycia poprzyjazdowe. Konrad był jakiś wypłowiały, między Joanną a Jackiem wyraźnie iskrzyło. Koledzy nie mogli dźwignąć się ponad stereotyp i traktowali mnie jak neofitę w gronie starozakonnych. Chyba pachniałem im jeszcze Toskanią. Z mojego punktu widzenia wyglądało to tak, jakby łaskawie dopuszczali mnie do grona miejscowych wtajemniczonych.

— Proponuję, abyście jednak wzięli pod uwagę, że gdyby nie kwartet, czyli wy — „Czyli my”, przytomnie wtrąciła Joanna — nie byłoby mnie teraz. Tutaj. Tutaj i teraz — zaplątałem się trochę. Tak, byłem poirytowany, ale nie miałem ochoty na zbędne swary. Koncert zbliżał się wielkimi krokami; fakt. Do zrobienia było dużo; też fakt. Ale kłótnie i wzajemne atakowanie, szczególnie wyzutymi z sensu argumentami, raczej oddalało nas od celu. Owszem, miałem w zanadru dwie butelki mojego Sangiovese, przyszykowanego na wieczorne „popróbie”, ale po pierwsze — do tego było jeszcze daleko, a po drugie — nobliwy trunek nie miał pełnić funkcji oliwy rzucanej na wzburzone fale, tylko nektaru dla robotników ducha.

— I co, oczekujesz oklasków? Czy jakiejś innej formy wyrażenia naszej wdzięczności?  
— Jacek nie odpuszczał.

Zauważyłem, że Konrad spojrział na niego z niechęcią. Prymariusz szedł do zwarcia, było to czytelne jak jasna cholera. Jeszcze nie wiedziałem, czy dam się sprowokować.

— Zrobię kawę... — Głos Joanny zabrzmiał neutralnie i pojednawczo.

— Siedź, na razie jest próba. — Jacek zaskoczył chyba nawet siebie. Joasia spojrzała nań z wyrzutem, zaś ja nie wytrzymałem:

— Doskonały pomysł, chętnie się napiję.

— Ja również — przyszedł nam w sukurs Konrad. Pędziliśmy w ślepą uliczkę, trzeba się było wycofać póki czas.

— Dobra. OK. — Jacek z pozornym spokojem rozkręcał smyczek. — Jak chcecie. Albo wyjedwabimy płamę stulecia, albo odwołamy koncert w trzy pi... ki.

— Stary, nie dramatyzuj. — Ambicja i perfekcjonizm „Pierwszego” były nam dobrze znane. — Nie takim kwartetem nie takie jedwabizmy się zdarzały...

Z ekspresu Arabica, mojego materialnego wkładu w dobre samopoczucie zespołu, rozniosły się aromaty tak podniosłe, że gotowość do kłótni gwałtownie opadła.

— Dobra. Sorki. Macie rację. Mnie tylko przeraża nawał pracy do wykonania. Zwłaszcza w odrobinie czasu, jaka nam została...

— Jacusiu, to nasz pierwszy koncert...

— Oczywiście, zostawmy sobie coś na potem... — racjonalizował Konrad.

— Dążenie do perfekcji jest formą perfekcji — przemówiła moimi ustami mądrość godna wychowanka FAF-u.

Nie wiem, czy argumenty przekonały Jacka, ale na pewno go uspokoiły. Ostatecznie, wcale nie było tak źle. Wraz z postępami, wyostrzał się samokrytycyzm. Otwierały wewnętrzne bramy słyszenia. Praca w kwartecie podlega tym samym prawom, co ćwiczenie indywidualne. Do kwadratu. Tak czy inaczej, burza została zażegnana. Postanowiliśmy trochę odetchnąć. Nasze instrumenty odpoczywały na meblu, któremu muszę poświęcić kilka słów.

Sebastian Mars zaprosił mnie kiedyś do udziału w — jak to określił — przeglądzie historycznym. Zmarł właściciel jednego z najstarszych w K. sklepików ze starzyzną. Potomkowie niepoczuwający się do minimalnych choćby związków z towarzystwem antykwarycznym postanowili czym prędzej pozbyć się przedmiotów nieprzedstawiających dla nich materialnej ani emocjonalnej wartości. Ktoś uznał, że totalna wyprzedaż jest mimo wszystko pomysłem lepszym niż śmietnik; widać świadomość, że szperacze przeszłości mogą wśród szpargałów znaleźć coś interesującego, nie była im całkiem obca.

Trafiliśmy do ciemnego, zagraconego i przesiąkniętego stęchlizną sklepiku pod koniec dnia. Spadkobiercom nie udało się pozbyć zbyt wielu... eksponatów. Nie licząc znudzonego młodego człowieka, ziewającego dyskretnie w rogu pomieszczenia, byliśmy jedynymi gośćmi. Kto miał być, był już wcześniej. Co miało być wzięte, wzięte zostało. Rozumiałem, że dla Sebastiana takie samotne łowy mają nieklamany urok, ale zupełnie nie miałem pojęcia, w jakim celu ciągnął mnie ze sobą. Otaczające nas mniejsze i większe graty łączyło z terminem „antyki” tylko jedno: wiek. Sebastian Mars zachowywał się jak na zawodowca i pasjonata przystało. Prawdziwy posokowiec na tropie. Przyglądał się najmniejszym buteleczkom, kałamarnom, przyciskom do papieru, miseczkom oraz licznym bibelotom niepojętego zastosowania, podnosił je do oczu, nosa, a nawet — potrząsając lekko — uszu. Nigdy nie wątpiłem, że ojciec Antosi posiadał umiejętność rozumienia przeszłości. Doprowadzoną aż do granic zapomnienia o teraźniejszości, reprezentowanej tu przez moją skromną osobę.

— Sebastianie. — Od pewnego czasu byliśmy na ty, ale jedyną formą jego imienia, która przechodziła mi przez gardło, była właśnie ta, najpełniejsza. — Sebastianie, czy długo tu jeszcze zamierzasz pozostać?

— Co? A, Bartek! Dobrze, że jesteś! — powiedział, jakby zaskoczony moją obecnością. — Już, już, zagapiłem się trochę... Chodź, zobacz... Chciałbym, abyś przyjrzał się temu stołowi. — Wskazał mebel stojący na środku pomieszczenia. Niewątpliwie stary i przykryty niewyobrażalną ilością okruchów przeszłości.

Przypomniało mi się dzieciństwo i kredens stojący w mieszkaniu dawno już nieżyjącej cioci; szuflada znajdowała się powyżej poziomu mojej głowy. Wiedziałem, że skrywa wiele fascynujących drobiazgów, które bez względu na ich rzeczywiste przeznaczenie nazywałem smakołykami. No więc ten stół był pełen smakołyków. Tylko nieco przeterminowanych.

— Obawiam się, że bliższe przyjrzenie się będzie niemożliwe... Zresztą... — bezskutecznie poszukiwałem nadzwyczajnego szczegółu — ...stół jak stół...

Sebastian zaczął przenosić zagracające blat drobiazgi na wolne przestrzenie regałów stojących pod ścianą, po czym chwycił coś, co mogło być równie dobrze żupanem kosyniera, ineksprymablami Marii Konopnickiej, jak i współczesną szmatą użytku podł(ogow)ego, po czym — czyszcząc powierzchnię mebla — wzbił w powietrze tumany niewidocznego, acz wyczuwalnego aż do głębi płuc, kurzu. Dziedzic zapoznanych skarbów przyglądał się samozwańczym działaniom bez emocji.

— Spójrz teraz! — W głosie antykwariusza pojawiła się nutka tryumfu.

Blat wiekowego stołu zrobiony był z ciemnego, może nawet czarnego drewna, zaś jego centralny kwadrat pokrywało zielone sukno.

— Super! — Forma przemawiała do mnie, choć nie do końca wiedziałem dlaczego.

— Szukaj dalej, bo ciągle jeszcze nie odkryłeś najważniejszego. — Sebastian uśmiechał się tajemniczo. — Ja ten stół miałem już od dawna na oku, tylko że poprzedni właściciel nie pałał do mnie zbyt dużą sympatią. Przykro mi, że dopiero w takich okolicznościach pojawia się szansa, ale za chwilę pojdziesz, z jakich powodów nie mogliśmy jej przeoczyć.

Przyjrzałem się blatowi jeszcze dokładniej, do granic widzialności zapewnianych przez gołą czterdziestkę dyndającą na kablu (mowa o żarówce).

— Wydaje mi się...

— Tak? — Sebastian rozpromieniał się niczym nauczyciel, któremu udało się wprowadzić opornego ucznia na właściwy trop.

— Ależ tak! — Podniosłem część blatu, podpierając ją przystosowaną do tego celu nóżką. — To rodzaj stojaka. Cudowny patent do bezręcznego czytania książek. Albo odmawiania modlitw — przypomniały mi się pulpity ołtarzowe.

— Ciepło, ciepło...

— To jeszcze nie koniec? — Ponowiłem manipulacje i... Po chwili wszystko stało się jasne!

Stojaki były rozmieszczone ze wszystkich czterech stron. Po ich uniesieniu płaski przed chwilą mebel przekształcał się w idealny pulpit dla kwartetu smyczkowego.

— Sebastianie. Jesteś genialny. Skąd wiedziałeś, że marzyłem o podobnym stole?

— A czy nie zdarzyło ci się przypadkiem snuć kiedyś pod słońcem Toskanii — w obecności pewnej rudowłosej piękności — dalekosiężnych planów, jak to w wolnej chwili wyciosasz stół-ideał muzyki kameralnej?

Pamiętałem... Tego dnia dzieliłem się z Antosią wynurzeniami pewnego jazzmana, którego zapytano, dlaczego został pianistą. „Bo na skrzypcach nie mógłbym postawić szklanki whisky ani oprzeć żarzącego się papierosa”. (Widzieliście kiedyś żółte ślady na klawiszach instrumentów w piano barach? Teraz już wiecie, skąd się wzięły). Mnie zamarzył się stół, na którym cały kwartet mógłby stawiać swoje drinki (zamiast, jak u Tomasza Manna, na podłodze).

Antosia była wróżką, córką czarodzieja.

Blat pod pulpitami, podobnie jak środek, był wyściełany zielonym sukniem. Po całkowitym wysunięciu stojaków, mebel przekształcał się w... idealny stół do brydza, pokera lub innych gier karcianych. Mieszanka była zaiste piorunująca.

— Czy znasz jego historię? — spytałem nieśmiało. Trudno było założyć, że tak specyficzny stół powstał bez wyraźnego powodu. Teoretycznie nie można było odrzucić wersji, że powstał na zamówienie. Na przykład Aarona Gudelsteina...

— Jasne. Przecież muzycy kwartetu Gudelsteina słynęli z zamiłowania do ostrego hazardu. Czyżbyś o tym nie słyszał?!

Widząc zdumienie na mojej twarzy, Sebastian wytrzymał tylko chwilę.

— No proszę. I mnie czasem udaje się kogoś wpuścić w maliny — wybuchnął śmiechem rozradowanego chłopca. — Bartku. Nie wiem, czy była to własność kwartetu Gudelsteina. Ale wiem, że będzie to własność kwartetu imienia Gudelsteina. — Antykwariusz wpadł w nutę nieco patetyczną.

A dlaczegożby nie dokończyć meblowi przeszłości? — myślałem. Z wszystkich wyobraźalnych wróżb, ta byłaby dla naszego zespołu najpomyślniejsza.

— To co? Bierzecie, panowie, ten rupieć?

Zaraz po przetransportowaniu „rupiecia” do antykwariatu (u mnie na poddaszu nie zmieściłby się, ale Marsowie uwielbiali, gdy organizowaliśmy u nich wieczorne próby) wyczyściłem go, a następnie potraktowałem specjalną mieszanką, którą wręczył mi Sebastian.

— Nie żałuj mu — mówił. — Biedaczek całkiem się rozeszł.

Rzeczywiście; w wielu miejscach obramowań porobiły się szpary.

Zielone sukno zostało posypane przez antykwariusza białym proszkiem; gdy po kwadransie wciągnął jego nadmiar do niewielkiego odkurzacza, materia wyglądała jak nowa.

Następnego wieczoru, kiedy czarnoksiężskimomalże ruchem zerwałem płachtę materiału zasłaniającego tajemniczy mebel, koledzy o mało nie dostali — jak to określili — pulpitacji serca.

Po kilku dniach okazało się jednak, że stół zajmuje w salonie pana Marsa trochę za dużo miejsca. I tak pojawił się pomysł czasowej emigracji mebla do Joasi i Jacka, którzy właśnie wprowadzili się do pierwszego wspólnego mieszkania. Od tej pory większość prób odbywała się właśnie u nich, a nasza praca zyskała nowy wymiar. Co by nie mówić, znaki są w życiu potrzebne (byle nie za częste i nie za wyraźne). I nie wiercie tym, którzy mówią inaczej.

Po przerwie nabraliśmy wigoru. Postanowiliśmy nagrać najtrudniejszy z utworów przygotowywanych na premierę; legendarny kwartet *Śmierć i Dziewczyna* Franciszka Schuberta. W napięciu wsłuchiwaliliśmy się w zapis, niekiedy zatrzymując odtwarzacz i na gorąco oceniając i dyskutując plusy i minusy wykonania. Wcześniejsze zdenerwowanie minęło bezpowrotnie. Kwartet to nieustająca próba sił. Kiedy praca idzie w dobrym kierunku, a upragniona wizja zaczyna przybierać realne kształty, drobne niesnaski, niekiedy spełniające rolę twórczych drożdży, przestają się liczyć. Choć wykonanie nie sięgało na razie głębi schubertowskiego dramatyizmu, ogólne wrażenie nie było złe.

— Panowie. Jest czysto i równo. — Jacek uśmiechnął się. — Mamy bazę.

— To mi dopiero twórcze przeniesienie zasad bejsbola... — zadumał się Konrad.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

— To co? Na dzisiaj wystarczy?

Koledzy postawili na stole talerz obłędnie pachnących nietoperzyków (przepyszne bułki w kształcie zoologicznych wampirów; wyrób staromiejskiej piekarni, gdyby kto nie wiedział). Widziałem, że coraz niecierpliwiej spoglądają w kierunku balkonu, na którym zostawiłem plecak. Przyszła pora wydobyć zeń krążek świeżego pecorino i butelkę Sangiovese. Jak wszyscy, zmęczony do granic wyczerpania, cieszyłem się, że kończymy próbę w dobrej atmosferze. Instrumenty leżały na stole zwrócone ku sobie główkami. Gdyby ilość wykonanych po sobie dźwięków rozgrzewała je, dymiłyby teraz niczym parowe lokomotywy. Myśl błakająca się jeszcze pośród strzępów fraz i melodii powróciła gwałtownie do tematyki ponurej. Na czas próby udało mi się ją odsunąć, ale teraz zaatakowała ze zdwojoną siłą. Pomiędzy ostatnim dźwiękiem Schuberta a pierwszym łykiem Sangiovese pojawiła się fałszywa nuta. W pamięci wyświetlił się obraz szarosinego denata w pozycji półleżącej. Układanka, puzzle, gra — powtarzałem sobie, usiłując zepchnąć nieprzyjemną wizję w strefę czysto intelektualnej spekulacji. Nie było to wcale łatwe. Ale musiało stać się możliwe.

W zasięgu mojego wzroku znajdowało się szesnaście różnego rodzaju strun; po cztery na każdym z instrumentów. Transformacja, którą próbowałem sobie wyobrazić, była niewykonalna. Narzędzie sztuki w roli narzędzia zbrodni. Wszystko się we mnie buntowało. *Śmierć i Dziewczyna*. Mimo woli wzdrygnąłem się.

Postanowiłem jeszcze dziś zadzwonić do Roberta i obwieścić mu, że jestem w... głębokim lesie. W jakim właściwie celu zabrałem wczoraj feralną strunę, która teraz wypalała mi dziurę w kieszeni? Nic z tego, nadinspektorze Bielski. Pora zweryfikować wybujałe pojęcie o altowiolistach (a przynajmniej jednym z nich).

Jednocześnie czułem, że coś zaczyna przykuwać moją uwagę, jakby rozpoczynał się proces, którego ani nie chciałem, ani nie prowokowałem; z opóźnieniem ruszał mechanizm



uruchomiony przed paroma godzinami.

To coś powinno być dla mnie z gruntu oczywiste, ale posłużę się tu kompilacją dwóch przysłów: szewc bez butów chodzi i to pod latarnią... W czym rzecz? Ano w tym, że struny nie różnią się jedynie grubością i długością. Każda z nich zakończona jest owijką innego koloru. I to obustronnie. Zróżnicowane barwy tworzą czytelny dla znawców kod. Był wśród nas ktoś, kto musiał go mieć w małym palcu.

— Jacku, co ty wiesz o... strunach?

— Co nieco... — odpowiedział skromnie, choć jego wzrok mówił jednoznacznie: „wszystko!”.

— Potrafisz rozpoznać ich gatunek na podstawie końcówki?

— No, raczej. — Zastosowałem moją ukochaną formę, ale widziałem, że aż się pali, by sprawdzić jego „raczość”.

— Tak? To proszę, jedziemy po kolei...

— A co to jest? Test jakiś?

— Jacuniu, daj spokój. Przecież zawsze się szcycisz swą wszechwiedzą na tematy skrzypcowe i okołoskrzypcowe. Czekamy na popis. — Joanna ostatecznie zdopingowała ukochanego.

— Dobrze. Zacznijmy od Konrada. Patrząc od dołu, mamy: czarny, czerwony, brązowy i fioletowy... To oczywiście zestaw Piraastro...

— Zgadza się; wszystkie gatunki Piraastro mają takie same kolory owijek. To nie było szczególnie trudne zadanie... — prowokowałem, by uzyskać bardziej szczegółowe dane.

— Nie dałeś mi dokończyć. Piraastro Piranito; tylko one mają niebiesko-szarą owijkę przy strunniku. — Jacek spojrzał na mnie z urażoną godnością. — Zgadza się? — rzucił w kierunku Konrada. Wiolonczelista w milczeniu skinął głową.

— Bartosz Czarnoleski, chluba altowiolistów od Jury Suliwskiej aż do łagodnych pagórków Toskanii. — Nie mógł sobie darować. — Pan to powinien grać na czystym złocie z brylantowymi końcówkami. — Był małostkowy. Niepotrzebnie. Nie dalej jak godzinę temu genialnie zagrał szalenie trudne wariacje z drugiej części Schuberta; chciałem mu o tym powiedzieć przy kolejnym łyku wina, ale pod wpływem jego złośliwości rozmyśliłem się. — Od dołu patrząc: fiolet, brąz, róż i — aha — szary. Wolisz *a* aluminiowe od stalowego? Stąd to nosowe brzmienie w górnych partiach... Żartuję — parsknął śmiechem. — Twoje górne partie są... no, naprawdę w porządku. — Mówił do mnie, ale spojrzał na górne partie Joanny, która aż się zaczerwieniła. — Jak wszyscy — a przynajmniej niektórzy — wiedzą, stalowe *a* ma owijkę czarną. Zielono-czarna spirala po przeciwnej stronie rozwiewa wątpliwości. Evah Pirazzi — oto na czym grasz.

Pochyliłem głowę w uznaniu bezbłędności przeprowadzonych dociekań. Rzeczywiście, to były moje ulubione struny. Z trzech powodów: brzmienia, nazwy i surowca.

Struny do instrumentów smyczkowych można podzielić na dwie podstawowe kategorie: jelitowe i syntetyczne. Evah Pirazzi należą do tych drugich. Wystarczyło, że używam do gry czyjegoś (końskiego) ogona. Ciągnięcie nim po cudzych (baranich) flakach wydawało mi się lekką przesadą. A do stylowych wykonań muzyki barokowej (puryści grają wyłącznie na strunach jelitowych, a smyczki z tego okresu wyglądają jak indiańskie łuki) jakoś się nie paliłem.

— Natomiast Joasia, z uporem godnym lepszej sprawy, gra na zestawie Thomastik Dominant, czego nie będę dowodził, bo po prostu o tym wiem...

— Zawsze na nich grałam, a teraz ma to jeszcze większe uzasadnienie; chodzi o to, żebym nie przykrywała twojego dźwięku...

— I uważasz, że przebijam się tylko dlatego, że mnie nie tłamsisz?

— Nie, Jacusiu, powodów jest znacznie więcej, ale pozwól, że struny będą sobie sama wybierała...

— Ależ oczywiście, kochanie... Srebru twojego tembru nic nie dorówna.

Ani przez moment nie wątpiliśmy, dla kogo zarezerwowane jest dźwiękowe złoto (a może nawet platyna?).

— Ja natomiast od pewnego czasu gram na Pirastro Passione. No właśnie; co o nich powiecie?

— W powiecie mówią, że są niezłe... Nie, Jacek, żarty na bok; brzmią fenomenalnie, ale wiesz: jak to się mówi, struny same nie grają...

Skołowany znawca nie wiedział już, czy kpimy w żywe oczy, czy mówimy poważnie. Na wszelki wypadek zaakceptował drugą wersję.

Wówczas wyjąłem z kieszeni torebkę z zawartością, która zainspirowała mnie do wzniesienia dysputy.

— A to? Co to za struna?

Jacek długo się namyślał.

— Brązowa owijka od strony kołka, biało-oliwkowa spirala przy strunniku. Pirastro Oliv, struna g. Ciekawe, mam wrażenie, że trochę różni się od obecnie produkowanych...

— Czyli?

— Czyli może być dość stara... Skąd ją masz? Chciałeś uzyskać jakiś specjalny efekt dźwiękowy? — Uśmiechnął się kpiarsko. — I dlaczego trzymasz ją w tej folii?

— To jest struna... pamiątkowa. Sebastian prosił mnie, bym się czegoś o niej dowiedział — zełgałem. Jakoś zupełnie — przynajmniej na razie — nie miałem ochoty wtajemniczać ich w ponurą historię.

Późnym wieczorem na „słychu-widu” złapałem Antosię. Była rozradowana; Sophia i Donatella zabrały ją na całodzienny wypad, kiermasz sztuki regionalnej połączony z występami artystów i konsumpcją lokalnych specjałów.

— Kupiłam ci czapkę! — mówiła do kamery.

— Czapkę? — Jeśli była jakaś część garderoby, której nie lubiłem, była to właśnie czapka.

— Tak! To jest specjalna czapka. Pewna hafciarka z Umbrii ozdobiła ją dwoma imionami: twoim i moim!

— No, chyba że tak... — Cieszyłem się z jej nastroju i nie miałem zamiaru psuć go mroczną opowieścią. — A Eston?

— Eston? Też dostał czapkę. — Antosia zaśmiewała się.

Pies musiał usłyszeć swoje imię, bo zjawił się nagle w kadrze, w pięknej quasi baskijce na głowie.

— Oszaleliście — mówiłem, czując jednocześnie, że kontakt z nimi przywraca mnie jasnej stronie życia.

Następnego ranka zastukałem do pracowni Sebastiana.

— Czy człowiek zajęty badaniem okruczeństw przeszłości mógłby coś dla mnie sprawdzić? — Antykwariusz wyjął z oka zegarmistrzowską lupę. — Chodzi o wiek tej oto struny. — Spojrzał z zainteresowaniem.

— Musiałbym ją wyjąć z folii...

Jasne. Przecież magicy Bielskiego też nie badaliby jej przez papierek.

— A co to właściwie jest? Tylko nie mów, że struna, bo to akurat widzę...

— Dowód w sprawie — użyłem omówienia. — Cenny.

— Dobrze. Więc zrobimy to z zachowaniem wszelkich reguł sztuki. — Kto jak kto, ale antykwariusz wiedział, jak należy obchodzić się z relikami przeszłości. — Po południu powinienem coś wiedzieć...

Wycofałem się bez zwłoki; na biurku Sebastiana piętrzył się stos wydawnictw w różnym wieku i równie zróżnicowanym... stanie.

Na próbę kwartetu byliśmy umówieni dopiero wieczorem. Każde z nas potrzebowało trochę czasu na indywidualny trening. Pracowałem solidnie aż do południa, kiedy to zadzwieczała komórka. Spodziewałem się tego telefonu. Mijała druga doba od morderstwa, a moja pomoc ograniczyła się jak na razie do przetrzymywania kluczowego dowodu.

— Dowiedziałeś się czegośkolwiek? Jakies wnioski? Niecierpliwe pytania nadkomisarza świadczyły dobitnie, że on także nie posunął śledztwa naprzód.

— Będę wiedział po południu — zacytowałem Sebastiana.

— Naprawdę? — zainteresował się. — A co będziesz wiedział?

— No, wiek struny, takie tam...

— Aha — mruknął zniechęcony. — Uprzejmie nie dodał, że „takie tam” mogli bez trudu sprawdzić w swoich laboratoriach. Ale może w ogóle nie przyszłoby im to do głowy? — pocieszałem się niemrawo.

— Wpadnij, jak będziesz coś wiedział. I przynieś mi ten nieszczęsny drucik...

Antykwariusz dotrzymał słowa.

— Twoja struna ma trzydzieści dwa lata. Skąd wzięłeś taki staroć? Chyba nie masz zamiaru na tym grać? — nie szczędził pytań.

Tym razem postanowiłem zdradzić mroczną tajemnicę. Opowieść była krótka, a treściwa.

— Ciekawe... — Sebastian zamyślił się i zafrasował.

To naprawdę było ciekawe. Zgadzałem się w stu procentach. Tylko co dalej? Z brakiem jakiegokolwiek koncepcji wlokłem się na spotkanie z nadkomisarzem.

— Ustaliłem markę struny oraz jej wiek! — rzuciłem, zanim Bielski zapytał mnie o cokolwiek. Odrobina propagandy sukcesu jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

— Ładnie, ładnie — pochwalił mnie niczym dziecko w przedszkolu. — To teraz wiemy już dużo, naprawdę dużo...

— Wybacz, ale czy oczekiwałeś, że struna w cudowny sposób wyśpiewa mi swoją historię?

Bielski zreflektował się nieco.

— Mówię zupełnie poważnie. Sami nie doszlibyśmy tak szybko do podobnych rezultatów...

Przyznawałem mu rację. Ale tylko w połowie. Wiek mogli ustalić bez problemu, a nad marką musieliby się trochę pogłowić. Chyba że zatrudniali w swoich laboratoriach niespełnionych skrzypków.

— To co, oddasz mi dowód? — Bielski uznał, że moja rola już się zakończyła. — I może napisz na karteczce to, co ustaliłeś... — starał się jednocześnie dowieść, że mój wysiłek nie poszedł całkiem na marne. Trochę słabo mu to wyszło.

Jakaś uporczywa myśl wczepiła się w tył głowy... Robert zadbał jednak, aby nie zdążyła zapuścić korzeni, bowiem jego następne słowa zaskoczyły mnie zupełnie.

— To kiedy gracie ten koncert? W niedzielę?

Musiałem zrobić zdumioną minę.

— Skąd wiesz?

— Skąd wiem? Przecież nawet wróble na rynku o tym ćwierkają!

Mocno przesadził, ale zrobiło mi się przyjemnie.

— Nie proponuję ci biletów, bo... — Właściwie zabrakło mi argumentu.

— Nie musisz. Nie zapominaj, że jako oficer z wydziału zabójstw mam prawo wolnego wstępu. Nawet na koncert.

Zabrzmiało niezłe. Coś jak: „do kostnicy, do prosektorium, a nawet na koncert”.

Reszta dnia minęła na solidnym obiedzie u państwa Marsów (Antosia musiała rodziców zaklinać, żeby o mnie dbali, bo zostałem uraczony porcją ruskich pierogów godną sztygara wracającego z intensywnej dniówki), pracy (dzięki teorii: „mniej słów — więcej dźwięków”, powróciliśmy na drogę umiarkowanego rozwoju) oraz wieczornej rozmowie z Rudozieloną (w Toskanii panował wakacyjny *constans*; te seanse przez „słychu-widu” wprawiały mnie w nastrój typu: tęsknota za rajem utraconym, ale do odzyskania wkrótce, rodzaj optymistycznej nostalgii).

Od czasu do czasu nachodziły mnie nieproszone myśli. Teraz, kiedy zostałem wyłączony ze śledztwa, zaczęły do mnie docierać pewne fakty. Przede wszystkim, Bielski nie udzielił mi — a ja nie próbowałem z niego wyciągnąć — informacji dość podstawowej. Jaka była tożsamość ofiary? Sam fakt zwrócenia się o konsultację tak mną wstrząsnął, że zupełnie o tym nie pomyślałem. A może oficer nie chciał zaprzętać mojej głowy nadmiarem drugorzędnych wiadomości? Jednakże to, czy struną został zamordowany Maksymilian X. czy też Emanuel Y., było istotne! Albo więc Bielski mnie zlekceważył, albo przemilczeniu towarzyszył ukryty cel, którego nie rozumiałem. Własne gapiostwo zrzuciłem na karb nadmiernej ekscytacji, obiecując sobie w przyszłości większą dociekliwość. Te myśli sprawiły, że pod koniec dnia czułem się ponownie zainfekowany, a odsunięcie mnie od dochodzenia zaczęło urągać mojej ambicji. Zgoda, reakcje były spóźnione, ale w końcu przyjechałem do K. w charakterze muzyka i naiwnością byłoby oczekiwać, że wcielę się w rolę detektywa zupełnie automatycznie.

Następnego ranka uczepiłem się faktu, że tak jak prośba o pomoc była nieoficjalna, tak nieformalne było wykluczenie mnie z dochodzenia. Gdy stałem pod prysznicem, a strużki spienionego szamponu zalewały mi oczy, w głowie zakołatało nagle, że śledczy — przynajmniej na filmach — przeprowadzają u progu dnia swojego rodzaju inwentaryzację prowadzonych spraw. Może też wyznaczają — albo przyjmują — nowe zadania? Planują jakiś mały krok naprzód, definiują niewielki przyczółek do zdobycia, byle tylko nie stać w miejscu. W gruncie rzeczy praca oficera śledczego jest podobna do znoju muzyka; gdyby i jeden, i drugi zastanawiali się, jak trudna i daleka droga przed nimi, gdyby pozwalali sobie popadać w chaos i bezładną szarpaninę typu „trochę tu, trochę tam”, to — unieruchamiani sprzecznymi wektorami —

wiecznie tkwiliby w miejscu, popadając przy okazji w coraz większą frustrację. Trzeba było wyznaczać cele, choćby małe i nieodległe, ale umożliwiające krok do przodu.

Sto razy metr równa się sto metrów — powiedziałbym, gdybym zajmował się tworzeniem wątpliwych mądrości. Co? Powiedziałem to jednak?

Wątpliwa mądrość plus zaprezentowana ignorancja równa się ja jako materiał na detektywa. Pocieszyłem się myślą, że Bielski wcale nie potępił mojej dociekliwości w czambuł. W kwestii śledztwa zostawiał mi po prostu *carte blanche*. Mogłem, ale nie musiałem. Jakby wiedział, że takie właśnie postawienie sprawy zmobilizuje mnie najbardziej. Definitywnie postanowiłem go odwiedzić.

— Czy myślisz, że potencjalna, wiedziona przeczuciem ofiara nosi przy sobie dokument tożsamości? Ot, tak na wszelki — *nomen omen* — wypadek? — Po sposobie, w jaki gospodarz gabinetu cedził słowa, poznałem, że znowu ma problemy z zębami (czytaj: jest w kiepskim humorze).

— No, nie... — Nie musiał rozmawiać ze mną jak z idiotą. — Ale przecież macie jakieś zgłoszenia o zaginięciach. Rodzina? Zaniepokojeni sąsiedzi? Wyjący pies?

Robert spojrział bezbarwnie, po czym odezwał się z nieoczekiwaną swadą:

— Drogi Bartoszu, to wszystko prawda. Ale znowu muszę cię statystycznie rozczarować. Niedawno ustaliliśmy wspólnie, że wielu sprawców zbrodni nie udaje się wykryć. Wiedz, że również niektóre spośród ofiar nigdy nie zostają zidentyfikowane.

— A mnie się zdawało, że — przynajmniej w sensie kontroli jednostki — zbliżamy się nieuchronnie do ideałów państwa policyjnego. Te wszystkie dane telemetryczne, komputerowe bazy danych, czipy, monitoringi — snułem teorie godne Bradbury’ego, Huxleya i kilku innych antyutopistów razem wziętych.

— Te czipy znajdują się właśnie w dowodach tożsamości...

— Ale pewnie już wkrótce będziemy nosić je pod skórą...

— *I’ve got you under my skin...* — zanucił Robert całkiem przyjemnym barytonem. Moje orwellowskie wieszczenie nie wstrząsnęło nim zanadto. Pełne uznania spojrzenie, którym nagrodziłem policjanta za jazzującą frazę, musiało mu pochlebić, bo uśmiechnął się nawet, jakby w jego szczęście zapanowały na moment ład i harmonia. Pozornie. Gdy tylko zakończył minirecital, wymełł zadziwiająco — jak na siebie — długie zdanie:

— Nie znamy tożsamości ofiary, a moje doświadczenie na równi z intuicją podpowiada mi, że mamy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem, w którym uda się ją ustalić dopiero po rozpoznaniu zabójcy, a przynajmniej jego motywu.

— To dość nieortodoksyjna szkoła śledcza...

— Ale takie są fakty. Trudno polemizować z ich beznamiętną statystyką.

Uznałem, że to dobra chwila, aby zadać jeszcze jedno pytanie o charakterze fundamentalnym.

— Czy morderca zawsze kieruje się motywem? — Ta wątpliwość, godna czytelnika kryminałów, nurtowała mnie od dawna. — Skąd przekonanie, że zawsze robi się coś po coś? A może natura ludzka potrafi wyprowadzić w pole nie tylko śledczych, ale i sprawców? Dają się ponieść niezrozumiałemu impulsowi albo popełniają zbrodnię wyzuta z najmniejszego sensu...

— I tak może się zdarzyć. — Robert nie był zaskoczony. — Ale zauważ, że w takim wypadku to brak motywu staje się motywem. Znacznie trudniejszym do wytropienia, z pewnością, ale jednak motywem. Natomiast te, jak je nazywasz, impulsy, są przeważnie elementem większego systemu. Tak zwani szaleńcy potrafią być niezmiernie konsekwentni w budowaniu własnej wizji znienawidzonego świata i planowaniu ruchów przeciw niemu.

Nie odzywałem się, w nadziei, że Bielski rozwinie tezę. Nieźle mu dzisiaj szło.

— W szkole policyjnej i w trakcie studiów wpajano nam, że zbrodnia idealna nie istnieje. Ale chyba było to nic innego jak kształtowanie właściwego podejścia do służby. Jakie szanse miałby śledczy, który już na wstępie zakłada, że jego działalność jest — być może — bezcelowa i skazana na niepowodzenie? — Zawiesił głos z wyczuciem dramaturgii. — Lepiej jednak wróćmy do naszego denata.

„Nasz denat”. Pieszczotliwe sformułowanie ujęło mnie.

— Starszy, najprawdopodobniej samotny, zaniedbany człowiek. Patolog określił jego wiek na około sześćdziesiąt siedem lat. Żyjący gdzieś na uboczu cichym, emeryckim życiem. Zgodzisz się, że zaginięcie takiej osoby nie wzbudzi natychmiastowej sensacji?

— Więc dlaczego tego starszego, cichego, żyjącego na uboczu emeryta ktoś morduje struną od skrzypiec?

Bielski popatrzył na mnie w sposób mogący wyrażać: „No, nareszcie zrozumiałeś. Trochę czasu ci to zajęło, ale lepiej późno niż wcale”...

Taaak. Poczuję się dużo mądrzejszy. Wiedziałem już, że w śledczym teamie nie jestem jedyną osobą niewiedzącą nic lub prawie nic. Dzięki, Robert, chciałem powiedzieć; teraz naprawdę otworzyłeś mi oczy. Jednak w tym momencie na biurku nadkomisarza zadzwonił telefon. Z nadzieją pomyślałem, że nasza dyskusja zostanie wzbogacona nowymi faktami. Nic bardziej mylnego. Bielski mamrotał do słuchawki jakieś takie bolesne: „...tak jest... co, pół godziny?... aha... aha... aha... dobrze!”. Ostatnie słowo wymówił z wściekłością.

— Posłuchaj, Bartoszu, muszę wyjść do pokoju telekonferencyjnego; jakieś pilne spotkanie z oficjelami z UEFY i INTERPOLU. Jeśli masz czas, poczekaj kilka minut, bo chciałem z tobą jeszcze o czymś pomówić.

— Poczekam. Może coś sobie przejrzę?

Robert, nie patrząc nawet, podał mi pierwszą z brzegu broszurę.

— To może być ciekawe.

— *Daktyloskopia wczoraj i dziś*. Coś o uprawie daktyli? — napinałem cienką strunę. Nadkomisarz popatrzył na mnie wzrokiem dentysty z *Maratończyka*.

— A o co im właściwie chodzi? EURO dwa tysiące dwanaście? — rzuciłem domyślnie.

— Tak, krótka pogadanka o korzyściach wynikających ze znajomości języków obcych. Wytyczne dotyczące tak zwanego pakietu językowego... — wyjaśnił cierpięciznym głosem.

Bielski powinien był zafundować sobie natychmiastową wizytę u dentysty, bo krzywił się, jakby dopadła go nagła infekcja zębiny.

— Ale przecież ty nie będziesz zajmował się osłoną meczów?! A nawet jeśli, to, o ile mi wiadomo, posługujesz się dość sprawnie co najmniej dwoma językami obcymi...

Bielski chciał się uśmiechnąć, ale nie do końca mu to wyszło.

— Po pierwsze, jeśli chodzi o EURO dwa dwanaście obowiązuje hasło: wszystkie ręce na pokład. A po drugie, od razu widać, że nie rozumiesz struktury naszej służby. Pewne sprawy są zalecane odgórnie, bez względu na ich stopień nonsensu. I to mnie właśnie tak wk... — ostatnie słowo zostało zagłuszone przez głośno trzaskające drzwi. Aż posypały się papiery z oficerskiego biurka.

Pozbierałem je. Niech lepiej nadkomisarz po powrocie zastanie porządek.

Trzymałem w dłoniach cztery dokumenty formatu A4 — wydruki maili. Musiały być ważniejsze od dziesiątków, setek innych, skoro nadkomisarz zdecydował się nadać im formę materialną. Nie, żebym zaraz czytał cudzą korespondencję, ale wzrok mimowolnie rejestrował zapisane słowa. A było co.

Próbka z pierwszego listu brzmiała: *...na okoliczność zredukowania okoliczności zamętu,*

wprowadzając środki samokontroli i samooceny... Jak nic, fragment jakiejś instrukcji.

W drugim była mowa, że: *...na miejscu zabezpieczono syfon, model „lata siedemdziesiąte”, przeterminowaną gaśnicę samochodową (data ważności — sierpień 1997) oraz trzy nadgryzione pączki. Rodzaje obrażeń wskazują, że jako narzędzia przestępstwa użyto syfonu... O, jednak nie pączków? ...całość znalezisk przekazano do laboratorium... Właśnie tak: „laboratorium”.*

Ta lektura była z pewnością ciekawsza niż perspektywy linii papilarnych.

Następny tekst głosił, co następuje: *...ob. Stukulka tłumaczyła podenerwowanie koniecznością zachowania w stanie nienaruszonym fryzury oraz makijażu, na które wydała tego samego dnia 180 PLN. Na uwagę, czy trzeba było zaraz nożyczkami, odpowiedziała: nie, no pewnie, że chciałam chujowi (to znaczy ob. Drzyzgalskiemu) wydrapać oczy, ale już mówiłam, że szkoda mi było manicure...*

Robiło się coraz ciekawiej...

Jednak dopiero czwarty mail zainteresował mnie naprawdę. Był bowiem napisany po włosku.

Przeczytałam go dwukrotnie, drobiazgowo, słowo po słowie. A choć mógł dotyczyć zdarzenia niemającego nic wspólnego ze mną i z moim światem, niesympatyczne mrowienie, które obejmowało mnie od łokci aż po okolice nerek świadczyło, że jedynie bardzo bym tego pragnął. Już wiedziałem, o czym Bielski chciał ze mną rozmawiać. Zamknąłem oczy, starając się przeniknąć znaczenie poznanej właśnie informacji. Nadkomisarz zastał mnie z bruzdą na czole.

— Widzę, że się zdrzemnąłeś — nietrafnie ocenił mój stan. — Ja też, tyle tylko, że musiałem trzymać powieki na baczność. Ta gadka zupełnie mnie nie dotyczyła, ponieważ wszyscy od dawna wiedzą, że na EURO zostaną przydzielony do grupy, w której zagrają Włosi. Chyba że się nie zakwalifikują, co sądzisz?

— Zakwalifikują się. A nawet jak zaczną turniej na Ukrainie, to pojawią się u nas na ileś tam finał.

To, że Bielski zna język Petrarcki, nie było dla mnie zaskoczeniem. W swoim czasie ukończył na UJ-cie fakultet italianistyki. Teraz miał jak znalazł. Nie chcąc zdradzić się ze znajomością włoskiego maila, oddałem mu inicjatywę. Nie musiałem długo czekać.

— Bartoszu, zastanawiałem się, czy warto ci tym zawracać głowę... Nie wiem, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie...

Może powinienem był ułatwić mu zadanie, ale coś kazało mi wysłuchać jego wersji.

— Chyba jednak powiem...

— Jajko Fabergé okazało się podróbką — strzeliłem prowokacyjnie, aby go trochę rozkręcić.

— Nie, nic z tych rzeczy... — lekceważąco machnął ręką — chociaż... — Zawahał się ponownie. Ostatecznie uznał jednak, że milczenie po takim wstępie nie miałyby sensu. — Pamiętasz jeszcze te twoje księżycowe sylwetki? — Łypnął na mnie szybko, jakby z nadzieją, że zapomniałem. Nie było takiej opcji.

Po raz pierwszy ujrzałem je w świetle księżycy; właśnie dlatego przylgnęła do nich romantycznie myśląc nazwa. To oni próbowali zamordować Damiana Ruccacellego. Byłem autorem ich zapuszkowania, co w nowej sytuacji przestało mnie nagle cieszyć.

— Ta dwójka jest wysoko na liście facetów, których nigdy nie zapomnę... A co z nimi? — Trzymałem się wyznaczonej roli, choć pytanie Bielskiego potwierdziło złe przeczucia.

— No właśnie... doczekali się ekstradycji... takie formalności trochę się wloką...

— To gdzie spędzą kolejne lata kolorowego życia? — Postanowiłem zbadać, czy wiedza nadkomisarza wykracza poza dane z maila.

— Od prokuratora wiem, że przewozili ich do Florencji.

— O, to poznają jej zabytki od tyłu... — Oczywiście, że wiedział więcej! Przecież był w kontakcie z prokuratorem.

— Taki był plan... — Bielski dochodził do trudnego fragmentu i czuł się z tym nieswojo. — Ale właśnie dzisiaj rano dostałem informację, że nie dotarli na miejsce. Jakiś szacher-macher z furgonetkami do przewozu więźniów, fałszywymi strażnikami, rozumiesz...

Rozumiałem, choć opowieść brzmiała jak scenariusz filmu *Klan Sycylijczyków*.

— *And the Oscar goes to?* — mruknąłem pod nosem, głośno dodając: — Czyli uciekli. I są na wolności. — Mój głos brzmiał lekko niczym polka Johanna Straussa juniora. W przeciwieństwie do imadeł, które ponownie ścisnęły mi duszę. Realizował się najgorszy z możliwych scenariuszy. Nikła nadzieja, że mówimy o kimś zupełnie mi nieznanym, przysła ostatecznie. Pierwszą, pozornie tylko irracjonalną reakcją była chęć wykonania natychmiastowego telefonu do Antosi. Postanowiłem wstrzymać się i zadzwonić z domu, wyciągając przedtem od Bielskiego maksimum informacji.

— Znasz ich prawdziwe nazwiska?

Podczas konfrontacji — jedyne go raz, gdy widziałem zbirów ponownie — prokurator używał określeń: podejrzani X. i Y. Zastanawiałem się teraz — znów po czasie — czy stanięcie niezastoniętą twarzą w twarz z bandziorami nie było nadmierną brawurą. Spojrzenia, jakimi mnie wówczas pożegnali, były zbyt wymowne, abym miał je szybko zapomnieć.

— Te przekazane nam przez Włochów brzmią: Johnny Liguria i Antonio Papageno... No co, nie żartuję — zareagował na spojrzenie pełne niedowierzania.

Może dziwiłem się niepotrzebnie? Dla mnie wszystkie włoskie nazwiska brzmiały teatralnie, niczym sceniczne pseudonimy. Papageno urwał się z *Czarodziejskiego fletu*, ale ten Johnny Liguria zdawał się jakimś uosobieniem międzynarodowego gangsteryzmu. Może w istocie nim był? W końcu obaj pracowali dla instytucji, która nieustannie zapładnia umysły kryminałopisarzy na całym świecie. Co prawda ostatnimi czasy południowcy ustąpili nieco pola skandynawskim psycholom, ale byłem pewien, że stara, poczciwa mafia tak łatwo się nie da... Bez względu na to, czy były to ich prawdziwe nazwiska, szanse, że właśnie pod nimi się ujawnią, zdawały się iluzoryczne. A niech to jasny szlag! W końcu to nie ja nastawiałem na ich życie. Jesteśmy kwita, mówiłem sobie, wiedząc, że tamci pewnie myślą inaczej... Czy jednak nie czekały ich zadania dużo poważniejsze niż rozliczanie się z jakimś tam altowiolistą?

Gdy nadkomisarz przekazywał znane mi już fakty, odgrywałem lekkie zaskoczenie. Lekkie, ponieważ Bielski podawał je w wersji *light*. Niektóre nawet przemilczał. W głębi duszy zastanawiałem się, dlaczego właściwie Robert chciał przede mną ukryć okoliczności ucieczki Ligurii i Papageno; moich — teraz już byłem pewien — księżycowych sylwetek. A mówiąc dokładniej: śmierć z ich ręki trójki włoskich strażników. Oraz kategorię, jaką autor maila opatrzył nazwiska obu *mafiosi: pericoloso mortale* — śmiertelnie niebezpieczni, która po takim występie bynajmniej nie dziwiła. Pomyśleć, że jednemu z nich (ciekawe któremu?) kiedyś omal nie złamałem szczęki. Drugiego powalił na ziemię Eston. Oby mieli krótką pamięć, myślałem z nadzieją. Niewielką.

— Jedno pytanie: gdybym dzisiaj cię nie odwiedził, poinformowałbyś mnie o tym?

— Oczywiście, ale byłem pewien, że wpadniesz. Już trochę zdążyłem cię poznać...

Przenikliwy ten Bielski. No dobra. Pora się otrząsnąć. Nie bądźmy przewrażliwieni.

— Słuchaj, Robercie, a co z tym koncertem? — Byłem ciekaw, czy nadkomisarz pamięta wczorajszą deklarację.

— Koncertem? — Bielski zdziwił się okropnie. Jakbym proponował mu udział w przestępstwie. Zbił mnie z tropu.



— No, bo wspominałeś, że... Przecież mógłbym dać ci zaproszenie... Jeśli ja przychodzę do komendy i próbuję swoich sił w kryminalistyce, to może i ty mógłbyś się choć raz poświęcić? — próbowałem go przekonać. — A zostawiając już na boku nasze miejscowe wróble, skąd wiesz o naszym występie?

— Bartoszu Czarnoleski, nie zapominaj, że jestem policjantem. Ilekroć do ciebie dzwoniłem w ostatnim półroczu, to albo byłeś na próbie kwartetu, albo zaraz miałeś próbę kwartetu, albo właśnie skończyłeś próbę kwartetu. Z tak jednoznacznych przesłanek nawet ja potrafię wyciągnąć wnioski. A... czy znajdujesz jakiś szczególny powód, dla którego powinienem was posłuchać?

— Tak. Oczywiście. Twoja dziedzina, bracie. *Der Tod und das Mädchen*. — Ściszyłem głos do tajemniczego szeptu.

Ku mojemu zaskoczeniu Robert drgnął. Tak, jakby w jego głowie zetknęły się dwie iskrzące elektrody.

— *Dziewczyna i Śmierć* — powiedział w zamyśleniu.

A więc i z niemieckim sobie radził. Tylko dlaczego zmienił szyk zdania?

— O co chodzi, panie nadkomisarzu?

— Nie wiem, nie jestem pewien... To by wymagało sprawdzenia, ale wydaje mi się, że natknąłem się już kiedyś na ten termin. Jakaś sprawa sprzed lat. Nazwę odwrócono dla wygody, aby posługiwać się skrótem *Dz.iŚ*. Odłożona *ad acta* do przegródki: nierozwiązane.

Trochę mnie rozbawił.

— Wybacz, ale mówię o arcydziele muzycznym, a nie jakiejś zapomnianej aferze kryminalnej i to jeszcze w inwersji...

— Ty masz swoje skojarzenia, a ja swoje... — Bielski nie pozwolił mi się pastwić. — Kto wie, może nawet przyjdę was posłuchać?

— Rewelacja! — Tylko tyle byłem w stanie wykrztusić.

— No, to mamy umowę; wy uruczycie mnie ucztą muzyczną — spojrział z powątpiewaniem — a ja odwdzięczę się historią mrozącą krew w żyłach. Co ty na to?

Uścisnęliśmy prawice.

Popołudniową próbę zakończyliśmy nagraniem całego repertuaru, tym razem do indywidualnego odsłuchania. Ciągnęło mnie do domu. Choć zaraz po rozmowie z Bielskim dzwoniłem do Antosi, chciałem poczatować z nią na spokojnie. Bez ograniczeń czasowych. I z wizją. Na razie nie potrafiłem zdecydować, czy jest sens niepokoić ją informacją o księżycowcach, którzy wolni jako te ptaki szybują gdzieś pod lazurowym niebem. Corbetto zawsze wydawało mi się oazą spokoju. Włochy są ogromne; prawdopodobieństwo, że kolesie trafią akurat na Casa di Città Abbandonata jest tak znikome, że wręcz niegodne uwagi, pocieszałem się trochę na siłę.

— Bartuś, miałam cudowny dzień; do pełni szczęścia brakowało mi tylko ciebie...

— Posłuchaj, Antośko, ja się tu jednak strasznie o ciebie martwię; obiecaj mi, że będziesz zamykała na noc okiennice.

— Daj spokój, chcesz mnie pozbawić zapachu tokańskiej nocy? A w ogóle, skąd ta nagła troska?

— Dlaczego nagła? Zawsze się o ciebie niepokoję. Co innego, gdy jestem bliżej... — Mówiłem trochę nieskładnie, na szczęście Antośka nie zwracała na to większej uwagi. Koniec końców postanowiłem odpuścić. Łączenie zbyt odległych faktów byłoby absurdem i nadmiarem ostrożności. Poza tym miała przy sobie Estona...

— Ostatecznie mam przy sobie Estona... Chyba po to go zostawiłeś, bym się czuła

bezpiecznie?

— A jak on? — W sposób zawołowany próbowałem wywnioskować, czy pies nie zachowuje się nieco... inaczej.

— Eston? Doskonale. Do szczęścia brakuje mu tylko ciebie...

Uspokojony, przestałem drażnić temat. Od tej pory rozmawialiśmy wyłącznie o rzeczach przyjemnych.

Mimo intensywnego dnia nie chciało mi się spać. Czułem, jakby wewnątrz świadomości powiał lekki wiaterek, unoszący do góry liście, żdźbła trawy, kawałki papierów... Drobinę zaczęły tworzyć wir, bezładny i przypadkowy. Próbujący wepchnąć poderwane elementy do właściwych szczelin. Niemożliwe... Wirujące kawałki opadły na ziemię. Pozostał niepokój. Musiałem go jakoś wytłumić.

Czy przychodzi Wam czasem do głowy, aby w okno wyszukiwarki wpisać hasło oczywiste? Podobna myśl naszła mnie tego wieczoru. Na klawiaturze wystukałem literki układające się w słowo „skrzypek”.

Termin nie posiadał leksykalnego wytłumaczenia. Logiczne, pomyślałem. Czy ktoś pyta, kim jest piłkarz? Albo śmieciarz? Rzeczowniki odczasownikowe. Zbyt oczywiste, by je tłumaczyć. Wyświetliła się za to cała masa nazwisk oraz link do kreskówki o kocie wirtuozie. Obejrzałem ją z uśmiechem, wspominając czasy dzieciństwa.

Moje działanie było dziwne, absurdalne, nieracjonalne. Masz strunę, więc wyczaruj z niej skrzypka... Trochę na zasadzie materiału DNA; posiadłszy choćby włos — angażując czas i środki — można odszukać jego właściciela. Jeśli struna należała do jakiegoś skrzypka — a przecież wniosek taki się nasuwał — to gdzieś musiał istnieć trop prowadzący do niego. Niestety, nie na stronach, które przeglądałem...

Długo nie mogłem zasnąć. Przyzwyczajony do obecności Estona, nasłuchiwałem odgłosów, jakie potrafił wydawać w nocy; tęsknych westchnień, czasami — zwłaszcza przy pełni księżyca — nieoczekiwanego wycia (naprawdę!), szorowania pazurami po deskach podłogi... Wyobrażałem sobie twarz Antosi z zamkniętymi oczami i włosami rozsypanymi w aureolę; tokański księżyc nadawał wizerunkowi tajemniczych, trochę niepokojących rysów. W uszach odzywał się motyw otwierający kwartet Schuberta. *Śmierć i Dziewczyna*...

Dlaczego zdecydowaliśmy się zaserwować *Kwartet smyczkowy d-moll D 810 nr 14* jako danie główne koncertu inauguracyjnego? Przecież — zwłaszcza od momentu, w którym za patrona zespołu obraliśmy Aarona Gudelsteina — program czysto beethovenowski sam się nasuwał... Owszem, taki wariant był rozważany, łącznie z jego najbardziej ekstremalną wersją — wiernym odtworzeniem koncertu z 3 grudnia 1939. Należało jednak spojrzeć prawdzie w oczy; wykonanie trzech arcytrudnych kwartetów Beethovena w trakcie jednego wieczoru było dla dopiero kształtującego się zespołu wyzwaniem ponad siły. Może kiedyś — snuliśmy plany — na przykład w którąś z rocznic pożegnalnego, dramatycznego występu „gudelsteinowców” uda nam się powtórzyć ich wyczyn? A może — marzyliśmy nieśmiało — choćby ten jeden jedyny raz otrzymamy szansę zagrania na instrumentach Lucci Silvariego?

Bądźmy szczerzy; bezkompromisowy Ludwig van Beethoven nie dbał o amatorów. Ba, mistrz nie oszczędzał nawet profesjonalistów. Do grona jego nauczycieli, a później także przyjaciół, zaliczał się Ignaz Schuppanzigh, rewelacyjny skrzypek, prymariusz prywatnego kwartetu smyczkowego, którego mecenasem i protektorem był książę Andrei Razumowski (ciekawa postać: syn ostatniego hetmana Ukrainy, przedstawiciel cara przy dworze Habsburgów w Wiedniu, prywatnie — wirtuoz teorbenu). Zespół Schuppanzigha uważa się powszechnie za pierwszy w pełni profesjonalny kwartet smyczkowy (choć w annałach zapisał się również brunszwicki zespół braci Müller, rozpoczynający karierę w roku 1819 i grający w niezmiennym

składzie blisko... trzydzieści lat). Kwartet miał na swoim koncie liczne prawykonania utworów Beethovena, w tym trzy kwartety zamówione przez księcia Razumowskiego, oraz te najtrudniejsze, zwane późnymi. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że kompozytor mógł pozwolić sobie na tak wiele, wiedząc, że ma pod ręką fenomenalnego skrzypka i jego wysoce kwalifikowany zespół. Jednak nawet Schuppanzigh miał czasem dość szaleństw genialnego Ludwiga. Gdy któregoś razu poskarżył się Beethovenowi na szczególnie trudny, prawie niewykonalny pasaż, ten miał mu odpowiedzieć: „Czy naprawdę sądzisz, że myślę o twoich marnych skrzypczkach, gdy Muzy krążą wokół mojej głowy?”.

Nie mieliśmy zamiaru polemizować z Beethovenem. Aby jednak nie być posądzonym o pójście na łatwiznę, postanowiliśmy wykonać coś równie wymagającego, traktując poczciwego Schuppanzigha jako probierz trudności. Kolejnym z gigantów muzyki kameralnej, który zadedykował jego zespołowi swoje dzieło, był właśnie Franciszek Schubert.

— Niech będzie *Rosamunda* — zaproponował Jacek.

— *Rosamunda? Kwartet numer trzynastego?* Hm... Zaczynać od numeru trzynastego? Czy to nie trochę, tego... pechowo? — Konrad podzielił się wątpliwościami.

— Prawdę mówiąc, ja mam nieco inną propozycję — natychmiast podchwyciła myśl Joanna.

— O, to coś nowego. — Jacek nastroszył się. Nie lubił, kiedy zaskakiwano go inicjatywą oddolną lub poprzeczną. Milczałem, zaciekawiony, co też wymyśliła Joasia.

— Też Schubert, tylko następny...

— *Śmierć i Dziewczyna?* — upewnił się Jacek. Przysięgłbym, że pomysł przypadł mu do gustu, żałował tylko, że to nie on jest jego autorem.

— Tak. — Joanna zaczerwieniła się lekko.

Protestów nie było.

Jacek coś tam rzekomo jeszcze rozważał, ale na kolejnym spotkaniu również on zapalił się do pomysłu. Zwłaszcza że partia pierwszych skrzypiec jest w utworze rzeczywiście wirtuozowska. W sam raz na ego naszego prymariusza.

Utwór zawdzięcza swą nazwę tytułowi pieśni, która posłużyła kompozytorowi jako temat drugiej części — *Andante con moto*. Jest w nim pewna surowość średniowiecznego chorału albo renesansowego *cantus firmus*.

Z wyjątkiem środkowego fragmentu *Scherzo* (części trzeciej), w którym tonacja i charakter rozświełają się, całość dzieła jest bardzo dramatyczna. Od monumentalnej, rozpoczynającej się wyskandowanym motywem części pierwszej — *Allegro* — aż do finału — *Presto* — utrzymanego w charakterze taranteli — obłądnego tańca śmierci. Ta jednolitość i gęstość atmosfery czyni z kwartetu — mimo jego rozmiarów — dzieło wyjątkowo spójne. Godzi się tu przytoczyć piękne słowa Tadeusza Marka, jednego z biografów Franciszka Schuberta, które nie tylko oddają rangę utworu, ale również jego znaczenie dla samego kompozytora.

(...) *Formotwórczy, odkrywczy geniusz Schuberta wyprowadził muzykę kameralną na nowe drogi. Mistrzostwo zdobyte w dotychczasowych zmaganiach z formą stało się tym zwycięstwem, które godzi artystę zarówno z życiem, jak i ze śmiercią. Samotny, chory Schubert odnalazł siebie, swoją prawdę i swój spokój.* (...)

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że *Kwartet d-moll* zyskał natychmiastowe uznanie.

W czasie jednego z domowych wykonań Ignaz Schuppanzig zemścił się za wymagania mistrza Ludwiga (chyba łatwiej było postawić się delikatnemu Schubertowi niż monumentalnie cholerycznemu Beethovenowi). Gospodarz wieczoru, Franz Lachner, tak to wspominał:

*Prymariusz Schuppanzig, który z powodu zaawansowanego wieku nie był w stanie podolać takiemu zadaniu, po przegraniu utworu zwrócił się do kompozytora: „Braciszku, to nie*

*może być dobre; pozostań przy swoich pieśniach!*”, na co Schubert w milczeniu spakował nuty i na zawsze zamknął w swoim biurku.

Do oficjalnej premiery doszło 12 marca 1833 roku, a więc już po śmierci kompozytora, w trakcie *Zebrania Muzycznego* Karla Mosera w Berlinie.

— Bartku, czy wiesz, że w zbiorach Kunstmuseum w Bazylei znajduje się obraz pod identycznym tytułem, namalowany w roku 1517 przez Hansa Baldunga? — zagadnął mnie kiedyś Sebastian. — Odnalazłem reprodukcję. Wymowa płótna jest mniej subtelna niż muzyka Schuberta, ale dramatyczne, miłosne wręcz sprzężenie dwóch przeciwstawnych figur robi piorunujące wrażenie.

Przez niezasłonięte okno księżyc świecił zawzięcie, jakby chciał dotrzeć w zakamarki najmroczniejszych tajemnic ludzkich dusz. Taka pełnia zawsze kojarzyła mi się z nocą, kiedy odnalazłem prawie martwego Rucacellego. To księżyc winiłem za niepokój, którego nijak nie potrafiłem ukoić. Ostatnie miesiące, choć przeżywane w pewnym rozdarciu, nie dostarczały powodów do nerwowości. Moje życie wydawało się wielu ludziom realizacją bajkowego scenariusza. Ale nagle kompilacja kilku — co z tego, że niezależnych — faktów wbijała się w skroń młoteczkami dźwięków na tyle mocno, że sen nie nadchodził.

Nie było bezpośredniej zależności między rozpląnięciem się Johnny’ego Ligurii i jego kumpla Antonio Papageno a faktem, że Antosia znajdowała się sama, o setki kilometrów ode mnie, w towarzystwie psa, którego księżycowe sylwetki miały prawo nie lubić. Nie mógł istnieć związek między nieszczęsną ofiarą struny ostrej jak brzytwa, nazwą granego przez nas utworu a tajemnicą sprzed lat, zamkniętą na zawsze w papierowej teczce i obrastającą kurzem w piwnicach komendy.

I co z tego? Wyobraźnia lepi śniegowe kule z nierealnych połączeń. I bombarduje nimi po nocach jaźnie ludzi, którzy rano wyglądają jak zombie.

## 5.

Czwartek i piątek przebiegały według surowego schematu. Trzy sesje po dwie i pół godziny dzieliły dzień na rano, popołudnie i wieczór. Rzecz jasna, nie przesadzaliśmy z posłuszeństwem wobec zegarka, skracając lub wydłużając próby w stopniu adekwatnym do potrzeb i zdrowego rozsądku. Po porannej sesji wychodziłem na lekki jogging zakończony prysznicem, po drugiej odwiedzałem państwa Marsów, którzy bardzo sumiennie traktowali prośby swej córki o kulinarną opiekę nade mną, zaś po trzeciej nie miałem już siły na nic, z wyjątkiem „słychu-widowych” kontaktów z Antosią. Dźwięki, które znowu stały się najważniejsze, skutecznie zacierały niepokoje minionych dni i nocy. Wszystko wracało na swoje miejsce.

Nadeszła sobota — dzień próby generalnej.

Jedną z jej zasad jest zachowanie koncertowego porządku wykonywanych utworów. To właściwy moment, aby poczuć dramaturgię następstw, zrozumieć występ jako całość, przebiegającą według czytelnego klucza. Jacek opowiadał o pewnym zdarzeniu, które nauczyło go (i pewnie nie tylko jego), że z próbą generalną żartować nie należy.

Wraz z orkiestrą „Johannes” wykonywał kiedyś *Cztery Pory Roku* Vivaldiego, utwór aż nadto znany, aby się tu o nim rozpisywać. Nie wszyscy jednak wiedzą, że kompozytor opatrzył poszczególne części sonetami, tworzącymi literackie wprowadzenie do muzyki. Na taką właśnie pełną wersję zdecydowali się kameraliści z „Johannesa”.

Na ich potrzeby dokonano nawet uwspółcześnionego przekładu. Recytacja przypadła w udziale jednemu z tuzów sceny i ekranu; jak na gwiazdę przystało, aktor uznał swą obecność na próbie generalnej za zbędną. Teoretycznie nic nie mogło się wydarzyć. A jak było w praktyce?

Zacznijmy od tego, że każdy z czterech koncertów — *Wiosna, Lato, Jesień, Zima* — składa się z trzech części. Po zaprezentowaniu sonetu *Wiosna* (*przychodzi wiosna* w interpretacji mistrza brzmiało trochę jak: „cholera, i znów ta pieprzona wiosna...”) muzycy zagrali pierwszą część *Primavery*, a gdy szykowali się do wykonania części drugiej, w powietrze wzbił się seksowny głos recytanta:

*Lato...*

Po chwili historia się powtórzyła.

Tak więc — o paradoksie — nie skończywszy jeszcze wiosny, wykonawcy i publiczność mieli już za sobą jesień i szykowali się do srogiej, oj srogiej zimy...

Mistrz w końcu zorientował się, że coś jest nie tak, przeprosił nawet wszystkich, ale — co tu dużo mówić — było już pozamiatane...

*Kwartet d-moll* Schuberta miał wypełnić drugą część naszego koncertu. Repertuar pierwszej ucierał się również nie bez bólu.

— Musi być coś z klasyków wiedeńskich. — Jacek był zwolennikiem budowania od podstaw.

Joseph Haydn jest uważany za ojca gatunku, choć Luigi Boccherini (ten od słynnego menueta) uchodzi za ojca chrzestnego. Spuścizna kwartetowa papy Haydna zamyka się imponującą liczbą osiemdziesięciu trzech pozycji. Wolfgang Amadeusz Mozart ze swoimi dwudziestoma sześcioma dziełami jest również w zdecydowanej czołówce, przy czym w obu wypadkach to nie ilość przesądza o ich roli i znaczeniu.

Joasia taktycznie się nie odzywała, ale Konrad i ja nie byliśmy przekonani.

— Za dużo tego dobrego — mówił wiolonczelista.

— Czego dobrego? — Jacek gotów był się zaciętrzewić.

— Pomyślmy o większym zróżnicowaniu stylistycznym — przyszedłem w sukurs koledze.

Widziałem, że wszyscy biorą głęboki oddech i... wiedziałem, że teraz się zacnie. Wyobraźnia pocwałuje, a propozycje posypią się jak kwiecie wiśni w majowym podmuchu albo deszcz jesiennych gruszek.

— Czajkowski, Borodin albo Dvořák. — Joanna aż się zarumieniła, zdradzając jednoznacznie romantyczne preferencje.

— Fauré, Franck, Debussy, Ravel. — Konrad odkrył swoje francuskie i impresjonistyczne fascynacje.

— Nie chcecie klasyki? To proszę! — Jacek łypnął na nas z wyższością i wymienił alternatywną litanijkę życzeń: — Janáček, Szostakowicz i oczywiście Szymanowski. Panowie, bez Szymanowskiego w ogóle sobie tego nie wyobrażam!

Ustami Joanny znowu przemówił głos rozsądku:

— Jacusiu, jeśli nasz kwartet ma istnieć nieco dłużej, to gwarantuję ci, że Szymanowskiego jeszcze się nagramy. Podobnie jak zdążymy jeszcze zagrać Moniuszkę, Bacewicz, Pendereckiego i całą plejadę naszych mistrzów. Czy nie stać nas na większą oryginalność? — Spojrzała tak, że Jacek byłby gotów bez szemrania zaakceptować wariacje na temat piosenki *Wlazł kotek na płotek*.

Wykorzystując jego rozmarzenie, spróbowałem podbić stawkę:

— Bartók — my, altowiolliści, nigdy mu nie zapomnimy koncertu na nasz szlachetny instrument — Górecki, Crumb (tajemnicze *Czarne Anioły*).

Popatrzyli na mnie z niedowierzaniem.

— Mendelssohn, Grieg, Sibelius? — Złagodziła nieco Joasia, rozpoczynając kolejną rundę rokowań.

— Schumann, Verdi, Tansman. — Próbował uspić naszą czujność Konrad.

— Prokofiew, Smetana, Lutosławski? — Jacek również nieco odpuścił, ale coś mi mówiło, że niby po kole kwintowym już niedługo wróci do punktu wyjścia.

— Trzy bez atu — rzuciłem zniecierpliwiona, ponieważ można już było dostrzec ścianę, o którą za moment się roztrzaskamy. — Czy wymieniliśmy już wszystkich kompozytorów uprawiających formę kwartetu?

— Oczywiście, że nie — zachnął się Jacek. — Jeszcze długo, długo nie...

— Otóż to. Nie tędy droga, pani i panowie. Proponuję zrobić przerwę na espresso i zastanowić się nad patową sytuacją. Potem wrócimy do stołu rokowań. — Czulem, jak rozpierają mnie altowiolistyczna mądrość i spryt.

Była to pierwsza jednogłośnie przyjęta propozycja dnia. Gdy emocje nieco opadły, Joasia wystąpiła z nieoczekiwaną ofertą:

— Ponieważ to ja czuję się szczęśliwą pomysłodawczynią Schuberta, rezygnuję z dalszego udziału w kompletowaniu programu.

Zagrała z klasą. Nie dość, że pokazała, kto tak naprawdę wybrał gwóźdź repertuaru, to jeszcze wzmacniała pozycję Jacka w dalszych negocjacjach.

— Wobec tego proponuję, aby każdy z pozostałej trójki podał po jednej sensownej przesłance; zobaczymy, czy uda się je połączyć. Mogę zacząć? — Jacek popatrzył na nas pytająco. Skinęliśmy głowami.

— Wiedeń.

Moje przypuszczenia sprawdzały się. Trochę *pro forma* postanowiłem założyć jeszcze jedną kontrę:

— Dobrze. Ja z kolei proponuję, aby wybrać spośród kompozytorów jeszcze dzisiaj niewymienianych.

— OK. Zaczyna się robić ciekawie. — To był Konrad, w którego rękach znalazł się nagle klucz do sprawy. — Wziąwszy pod uwagę oba powyższe kryteria oraz zdroworozsądkowe ograniczenia czasowe i techniczne, proponuję, aby każdy wymienił jeden utwór...

— Mogę coś dodać? — Joasia przywróciła sobie prawo głosu. — Zwróćcie tylko uwagę na epoki, żeby nam się nie zrobiła pizza jednosmakowa...

— Pizza jednosmakowa? A cóż to takiego? Jakies okropieństwo, brr... — Otrząsnęliśmy się zgodnie.

— Zaczynamy. — Konrad dobrze czuł się w roli sekretarza zespołu. Taki administrator to prawdziwy skarb. Chyba że ma się własnego menedżera.

— Jacek?

— No cóż, ponieważ Haydn był wiedeńczykiem, nie został dzisiaj wymieniony z nazwiska, i w odróżnieniu od romantyka Schuberta znany jest jako klasyk, proponuję *Kwartet D-dur op. 64 nr 5*, zwany *Skowronkowym*.

Był uparty. Ale również konsekwentny. I pięknie zmieścił się w kryteriach. W milczeniu skinęliśmy głowami.

— Zapisujemy... Bartek?

— Hugo Wolf, *Serenada Włoska G-dur*. — Brak sprzeciwów był jednoznaczny z akceptacją.

— A ja dorzucam *Sześć Bagatel op. 9* Antona Weberna — zakończył negocjacje Konrad.

Zapanowało uroczyste milczenie, oznaczające wypracowany konsensus. Udało nam się skomponować wspaniały program. Teraz tylko — bagatela (jedna, za to potężna) — pozostawało się go nauczyć.

Wraz z Joanną i Konradem popatrzyliśmy sobie w oczy — to nam przypadała przyjemność rozpoczęcia kwartetu Haydna — i... pofrunęliśmy. Jacek — nasz kwartetowy skowronek — zaczął się rozśpiewywać, nie przesadzając z ekspresją, wibracją i emfazą, które tej delikatnej i powabnej muzyce mogą odebrać szlachetność i prostotę.

Piąty z sześciu kwartetów smyczkowych op. 64 jest zarazem jednym z najpopularniejszych utworów kameralnych w literaturze. Swoją nazwę zawdzięcza otwierającej frazie skrzypiec, kojarzonej ze śpiewem ptaka-wirtuoza, choć jak w większości takich przypadków imitacja nie była zamysłem kompozytora. Tytuł pozwala natychmiast zidentyfikować utwór; po co bawić się w te wszystkie opusy, numery, tonacje, gdy wystarczy powiedzieć: *Kwartet Skowronkowy* (*Żabi, Ośli, Ptasi, Cesarski, Wschód Słońca* — tak, tak, wymienione nazwy funkcjonują w odniesieniu do kwartetów Haydna!) i wszyscy wiedzą, o co chodzi! W utworze trudno doszukiwać się literackiego programu, choć należy to zostawić wyobraźni melomanów. Czym innym jest bowiem próba malarstwa dźwiękowego, czym innym znowu obrazy, jakie w słuchaczu wywołuje muzyka. Dzieło sztuki zyskuje pełnię życia dopiero dzięki widzowi, słuchaczowi, czytelnikowi. To on przyjmuje je i filtruje przez zasoby własnej wrażliwości. Bez odbiorcy sztuka pozostaje zbiorem idei.

Cztery części następują po sobie szybko i wedle ustalonego schematu: szybka — wolna — menuet — finał. Utwór ten zagrany lekko i bezpretensjonalnie ma w sobie urok kwitnącego ogrodu.

Grało nam się znakomicie! Ciężka praca owocowała teraz, przynosząc poczucie lekkości i panowania nad formą. Byliśmy jak cztery pary ramion sterowane jednym mózgiem... Kręta droga: od Haydna — poprzez Wolfa i Webera — aż do Schuberta, przebiegała bez zakłóceń, niczym podróż luksusowym autem. Skończyliśmy o dwunastej trzydzieści.

Aż do następnego wieczoru byłem wolny. W niedzielę — dzień występu — mieliśmy w planie jedynie solidną rozgrzewkę. Forma i determinacja były w głowach i palcach; chodziło tylko o to, by wyzwolić je w odpowiednim momencie i z maksymalną koncentracją.

Na piętnastą wybierałem się do moich nieocenionych Marsów — klasyczny darmozjad, nie ma co... Pani Sabina obiecywała jakieś szczególnie specjały. Mając do umówionej godziny trochę czasu, postanowiłem odezwać się do Roberta. Pewnie zagrały we mnie echa wyrzutów sumienia. Moja pomoc w sprawie zabójstwa ograniczyła się do podania wieku struny.

— A wiesz, jestem akurat w okolicach starówki. Chętnie się z tobą zobaczę.

Co tu robił? Był służbowo czy prywatnie? Prawdę mówiąc, niewiele wiedziałem o jego życiu osobistym. A może nigdy nie wykazałem choćby minimum zainteresowania? Była okazja, by to nadrobić.

Wylądowaliśmy w barku hotelu Luxor. Tu zawsze można było liczyć na dobrą kawę.

— Umówiłem się z pewną panią, ale mam jeszcze godzinkę. — Robert ustawił na podłodze niewielką walizeczkę.

— Coś poważnego? — spytałem ostrożnie.

— Ja traktuję serio wszystkie moje związki, ale nie zawsze z wzajemnością. — Bielski błysnął filuternie okiem. Zrozumiałem, że nie spotkał się ze mną w celu omawiania niuansów swego życia uczuciowego.

— Zastanawiałeś się jeszcze trochę nad tym „Struniarzem”? — przeszedł do konkretów.

— Tak, ale... Nie potrafię połączyć sprawy ze środowiskiem muzycznym. Nie twierdzę,

że taka styczność nie istnieje, tylko że ja jej nie widzę, bo w ogóle widzę tu niewiele. A ty? Co z tą historią odłożoną *ad acta*? — odbiłem piłeczkę.

— Sprawdziłem. Rzeczywiście, był *casus* pod tym kryptonimem. Młoda dziewczyna ni stąd, ni zowąd rozbiła się samochodem u podnóża Solnej Góry.

— Kraksa?

— Wypadek. Tak przynajmniej zostało napisane w końcowym raporcie. Wątpliwość wzbudził jedynie fragment wiersza znaleziony przy ciele ofiary. Niestety, nie mam go przy sobie...

— Czy rozważano inną wersję? — Zgodnie z przyjętym założeniem starałem się być bardziej dociekliwy.

— Jeden z milicyjnych ekspertów podejrzewał manipulację przy hamulcach, ale przy ówczesnym stanie wiedzy technicznej rzecz była nie do udowodnienia. I na tym się skończyło.

— Biedny Robercie — powiedziałem. — Jest sobotnie popołudnie, czekasz na spotkanie z niewątpliwie piękną kobietą, a myśli twoje zaprzęta jak zwykle zbrodnia i tym podobne...

Bielski nie odpowiedział od razu, zauważyłem natomiast, że dotknął dłonią walizeczki. Jakby upewniał się, że ciągle tam jest. Nie dałbym głowy, ale zdawało mi się, że jest to... futerał od saksofonu!

— Może trudno ci będzie uwierzyć, że dążąc wszelkimi siłami do ujęcia sprawców, nie jestem pozbawiony współczucia wobec nich. Oni wszyscy — w momencie, gdy decydują się na pierwszą zbrodnię — wchodzą na równię pochyłą. A raczej skaczą w otchłań. Przekreślają życie innych ludzi, ale również swoje. Stają na drodze do samozagłady, pogardy i nienawiści. Ci spośród nich, którzy mają duże środki, stają się dyktatorami; sami tworząc prawo, mogą mu się długo wywijać. Ale nie bez końca. Pokaż mi choć jednego satrapę, który dobrze skończył. Nie pomogą armie ani zastępy, bo największy wróg mieszka w nich samych. Czego by nie zrobili, jakiego morza krwi nie utoczyliby, nie utopią w nim sumienia. Przyjrzyj się Makbetowi i jego żonie. Co, prócz wiecznej trwogi i obłędu, przyniosły im władza i bogactwo? Spójrz na Balladynę. Koniec końców, sama wydała na siebie wyrok.

Czyżby Bielski szykował się do występu w amatorskim teatrze? Być może ćwiczył rolę, którą miał zamiar oszołomić tajemniczą pięknością... I do tego jeszcze ten saksofon... Jego szanse na dzisiejszej randce oceniałem bardzo wysoko. Ale nadkomisarz wcale jeszcze nie skończył.

— Ci, których ścigam, nie są aż takimi demonami zbrodni. A choć łapaniu ich poświęciłem całe życie, zawsze noszę w sobie żal; za chwilą, w której przychodzili na świat, ciesząc swoich rodziców; za momentami, kiedy jeszcze mogli stać się dobrymi, przyzwoitymi ludźmi. Niestety, dziedzictwo grzechu pierworodnego odezwało się w nich z siłą, której nie potrafili się oprzeć...

— Wąż kusiciel?

— On sam. W czystej, choć zmiennej postaci.

— Mój drogi Robercie, idealista z ciebie.

— Teraz dopiero to odkryłeś? Kto mnie zna, gdy nie zna mnie nikt? — rzucił po hamletowsku (przy czym mocno wątpię, by był to cytat, chyba że auto-), po czym zaciągnął się aż do pięt zapalonym właśnie marlboro. Pytanie o saksofon odłożyłem na kolejną okazję.

Trujące opary nadkomisarzowych papierosów i szum jego przemysłów wywietrzały mi z głowy w trakcie spaceru. Ich miejsce powoli zajmowało sympatyczne oczekiwanie na delikatesy pani Sabiny. Gustowała w kuchni raczej rodzimej i tradycyjnej, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Myślę, że przynajmniej niektóre z przepisów stanowiły przedłużenie kuchennych majstersztyków babci Adeli.



Było szalenie tradycyjnie: rosół na wywarze z bazarowych warzyw, z makaronem własnej roboty i świeżą natką pietruszki; pyzy ziemniaczane w sosie lekko chrzanowym z rydzami smażonymi na maśle oraz bukiet surówek (wyglądał jak dzieło sztuki, aż żal było burzyć jego harmonię, ale pomyślałem, że gdyby Japończycy mieli takie dylematy, to poumieraliby z głodu); szarlotka bezowa (na ciepło) z lodami (na zimno). Do tego pyszny burgund, ustępujący przy słodyczach tokajowi względnie dereniówce.

Nienawykły do wielodaniowych i to jeszcze w środku dnia spożywanych uczt, czułem, że za chwilę zsunę się z krzesła, a w następnej sekundzie zapadnę na podłogę w drzemkę sybaryty. Już tylko piorunujące espresso Sebastiana Marsa utrzymywało mnie w pionie. Dzięki temu dotarły do mnie jego słowa.

— Jeśli wrzucisz do wody kamień, to przez chwilę na powierzchni będą rozchodzić się kręgi. Ale w końcu wszystko się ustabilizuje i wróci do stanu sprzed wydarzenia. Może się jednak zdarzyć, że ten głaz poruszy w głębinach coś, co wypłynie na powierzchnię dopiero po jakimś czasie.

— Co jest tym głazem? — Przypomniał mi się bohater kreskówki, który na zamkniętych powiekach narysował sobie źrenice. Z chęcią zrobiłbym to samo.

— Chodzi o sprawę Rosenberga. Czy w ostatnim czasie nikt nie zwrócił się do ciebie z jakimś zaskakującym pytaniem?

— Nie. Nic nie przychodzi mi do głowy. Możesz uchylić rąbka? — Poczulem się minimalnie rozbudzony.

— Nie za bardzo — uśmiechnął się antykwariusz. — Ten i ów szepczą między sobą, że pomoc Michalewicza i Rosenberga miała dwie strony, a my poznaliśmy dopiero jedną z nich...

— To znaczy? — W dalszym ciągu nic nie rozumiałem, choć gdzieś w tyle głowy zapaliło się światełko.

— To znaczy, że osób, którym pomocy odmówiono, było więcej niż szczęśliwców spełniających kryteria...

Światełko przestało pulsować.

— Przecież nie mogli zbawić całego świata. Zawsze znajdują się malkontenci albo besserwisserzy.

— Pewnie masz rację... Ale nie zdziw się, gdy ktoś cię o to zaczepi.

— Nie będę miał nic do powiedzenia — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Sabina Mars — z nią nie potrafiłem być po imieniu, a forma „mamo” wydawała się przedwczesna i nienaturalna — zaproponowała mi odwiedzenie babci Adeli. Lubiłem rozmowy ze starszą panią. Pomijając już podanie znaczących — bodaj czy nie decydujących — szczegółów, dzięki którym odnalazłem komnatę Rosenberga, babcia Adela przejawiała zadziwiającą orientację w sprawach dnia codziennego. Jej analizy dalekie były od doraźnej powierzchowności, znamionowały natomiast życiową wiedzę o jasnych i ciemnych stronach człowieka.

Najważniejszym powodem, dla którego babcia Adela pragnęła mnie widywać, była oczywiście jej ukochana wnuczka. Wiedziałem, że starsza pani akceptuje wybór Antosi, czułem, że darzy mnie sympatią, dlatego jeśli tylko była w nastroju, nie szczędziłem jej tokańskich opowieści. Zamykała wówczas oczy, a jej twarz rozjaśniał pogodny uśmiech. Jakby posiadała sztukę teleportacji.

— Witaj, babuniu. — Miałem kategoryczny nakaz zwracania się do niej z pominięciem słowa pani. Adela ucałowała mnie w oba policzki.

— Witaj, witaj, młody człowieku. No, Barteczku, opowiadaj. Co u Antosi?

Wielokrotnie próbowałem namówić ją do korzystania z komunikatorów wideo, ale nie

dała się przekonać.

— Nie twierdę, że to jest złe. Ale dla mnie zgoła niepotrzebne. Inny rodzaj wyobraźni... Czy słyszałeś o tym, że niektórzy mędrcy obruszali się i żalowali, że wynaleziono pismo? Te leniuchy — mówili o dzieciach — zamiast czegoś się porządnie nauczyć, będą o tym mogli po prostu przeczytać. Nie, nie zgadzam się z nimi — dodała pośpiesznie. — Przynajmniej nie w stu procentach — uśmiechnęła się szelmowsko. — Ale coś w tym jest... Poza tym, ty tak ładnie potrafisz mówić...

No więc opowiadałem, tłumacząc, dlaczego przyjechałem sam, choć początkowo mieliśmy inne plany.

— Ale im, to znaczy Antosi z Estonem, jest tam dobrze. Zresztą nazajutrz po koncercie wracam do Włoch. A za dwa tygodnie przyjedziemy wszyscy razem...

— Przypomnij mi, co wy tam jutro gracie?

— Haydn, Schubert, Wolf i Webern...

— Piękny program... A co Schuberta?

— *Śmierć i Dziewczynę*.

— A dlaczego akurat to? — zmarszczyła się trochę.

— Piękna muzyka. Bardzo chcieliśmy, aby znalazła się w programie debiutu.

— Czy ktoś z zespołu szczególnie na to nastawał?

Choć pytanie wydało mi się trochę dziwne, zastanowiłem się przez chwilę. Utwór zaakceptowali wszyscy, a za pomysłodawcę chciałyby zapewne uchodzić Jacek. Jednak to od Joasi wyszedł konkretny impuls.

— Nasza druga skrzypaczka...

— Czy ona nie ma czasem na nazwisko Kronos?

— Tak właśnie, Joasia Kronos. A skąd babcia wie?

Nazwisko Joanny było wyjątkowe (przez to może łatwe do zapamiętania). Joasia odziedziczyła je po mamie, podobnie zresztą jak jej ojciec (z domu... Fidrygajło), który z ulgą przejął je od żony. Dodam jeszcze, że jeden z najwybitniejszych współczesnych kwartetów nosi miano Kronos Quartet (w trakcie pamiętnego wymyślenia nazwy dla naszego zespołu Jacek zaproponował w żartach Fidrygajło Quartet; myślałem, że Joasia go zabije...) Samo słowo pochodzi z greki i oznacza ni mniej, ni więcej: czas. Joasia niewątpliwie posiadała bardzo starożytnych i nobliwych przodków.

— Ten nos, ta linia szyi i jeszcze parę szczegółów — wymienialiśmy kiedyś uwagi z chłopakami — toż to ideał klasycznego piękna!

Widziałem, że Jacek aż pokraśniał z dumy.

— A co ty myślałeś, że siedzę tutaj i nie mam o niczym pojęcia? — odpowiedziała Adela, bagatelizując jakby sprawę. Na stoliku leżały świeże gazety; pewnie zdążyła przejrzeć program niedzielnych koncertów.

Miałem wrażenie, że starszą panią naszła ochota na małą drzemkę. Tymczasem w uszach ciągle jeszcze brzmiały mi nieco zaskakujące słowa Sebastiana.

— Czy mogę babcię o coś zapytać?

Skinęła sennie głową. Musiałem się pośpieszyć.

— Co działo się z ludźmi, którym Rosenberg i Michalewicz z takich czy innych względów nie mogli udzielić pomocy?

Pytanie wprost okazało się dobrym pomysłem, bowiem Adela spojrzała na mnie bardzo przytomnie.

— Pewnie to samo, co z innymi; jedni przeżyli, pozostali nie mieli tyle szczęścia...

Milczenie. A gdy sądziłem, że temat został wyczerpany, babcia Adela odezwała się

ponownie.

— Pewna osoba wspominała mi kiedyś o dokumencie zwanym *Pamiętnikiem Szttygara...* Spotkałeś się już z tą nazwą?

Mina mi zrzedła. Wyglądało na to, że starsza pani połączyła zbyt odległe archipelagi. Uznałem temat za zamknięty. Podziękowałem za rozmowę, pożegnałem się i poszedłem do siebie, by nabrać sił i ochoty na kolejny punkt dnia.

Sobotni wieczór przeznaczyłem na relaks. Niewielkie kino Fala (Suliwy ma się rozumieć) — kiedyś studyjne (dziś to pojęcie nikomu nic nie mówi) — mimo wszystko różniło się od podmiejskich molochów-stodół, tonących w deszczu popcornu.

Najświeższą pozycją w repertuarze był horror zapowiadany jako *najkrwawszy w historii kina! Cztery tysiące ofiar i to nie mordów masowych!* Nareszcie mogłem skorzystać z kalkulatora w komórce; wyszło mi, że będę miał 44,4444444444 trupa na minutę. Stanowczo za dużo. Cóż za dewaluacja! Ja nawet z jednym, i to sprzed paru dni, nie potrafiłem sobie poradzić...

Zastanawiam się nieraz, skąd ta ciągle niezaspokojona i przybierająca na sile tęsknota za mordem; im bardziej wyszukany, tym lepiej, im bardziej mnogi, tym bardziej fascynujący. Czy naprawdę nie wyobrażamy sobie rzeczywistości bez zabijania? Czy tysiące lat walki o przetrwanie, wieki wojen i konfliktów na trwałe napiętnowały nas przekonaniem, że tylko rozwiązania siłowe są ostateczne? Ta sama historia pokazała, że jest zgoła inaczej: przemoc skutkuje żądzą zemsty i eskalacją nienawiści, samych problemów najczęściej nie rozwiązując, chyba że w krótkim planie. Czy więc to, co oglądamy w kinach, czym zaczytujemy się lub zagrywamy w komputerowych grach, jest odgromnikiem, terapią zastępczą, czy jedynie zabawą bez znaczenia? A jeśli komputerowa łatwość zabijania wymknie się kiedyś spod kontroli? Nie, nie chodzi mi o cenzurę; raczej o dawanie odporu hochsztaplerom, którzy wmawiają nam, że ich ociekające krwią gnioty są sztuką.

Możliwość numer dwa brzmiała: komedia romantyczna w najczystszej postaci. Mocno zdekompletowana garderoba oraz ogłupiałe miny bohaterów, do tego gąszcz baloników nad ich głowami (przy uważniejszym spojrzeniu okazywały się nadmuchiwanymi prezerwatywami), świadczyły jednoznacznie, jakiego rodzaju humoru i romantyzmu należy się spodziewać.

Film numer trzy był rodzimą produkcją, obiecującą wszystkiego po trochu. Wszystkim według ich potrzeb? Zdaje się, że ta koncepcja zbankrutowała? *Kino ma być rozrywką intelektualną, ale bez przesady. To znaczy, że widz powinien myśleć, ale tylko do pewnego stopnia* — wytluszczone na plakacie słowa samego reżysera. Zgadzałem się z nim. Ale tylko do pewnego stopnia.

Pozostawał film numer cztery. Choć slogan reklamujący *Trzysta dni na decyzję* sytuował dzieło gdzieś pomiędzy wczesnym Bergmanem a późnym Kieślowskim, postanowiłem zaryzykować. Potrzebny był mi półgłos i półmrok, chwilowe wyciszenie spraw własnych na rzecz czyichś wyimaginowanych problemów. Jako jeden z czwórki widzów rozsiadłem się wygodnie na samym środku widowni...

Dość sympatyczny i momentami niegłupi film opowiadał historię pary, która z pozoru miała wszelkie dane, aby zbudować szczęśliwy związek. Problem polegał na tym, że na czułą i bynajmniej niezaborczą miłość chłopaka dziewczyna nie potrafiła odpowiedzieć jednoznaczną deklaracją. Byli szczęśliwi, ale... bez przekonania. Niby zakochani, lecz z jakąś zadrą w uczuciu. Bohaterka tłumaczyła to specyfiką swego charakteru. Gdy jednak pojawił się mężczyzna niebudzący podobnych rozterek, w ciągu miesiąca została jego żoną. Odtrącony chłopak bez buntu zaakceptował wyroki losu, zwłaszcza że w jego życiu pojawiła się kobieta o przymiotach zdecydowanie przewyższających uroki poprzedniczki. Niedoszli kochankowie spotkali się raz

jeszcze, by ostatecznie przekonać się o słuszności dokonanych wyborów. Gdy od nostalgicznego, acz przecież szczęśliwego, zakończenia dzieliły aktorów i widzów już tylko sekundy, wzrok chłopaka padł na nóż leżący na ziemi. Jednym ruchem podniósł go i wbił w serce dziewczyny. Końcowe napisy ociekały krwią.

Cholera jasna! O co tu chodziło!? Życiowy pragmatyzm wymazany przez ułamek sekundy zdradzieckiego impulsu? Nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że gdyby nie zagadkowa obecność noża, wszystko skończyłoby się inaczej. Czy narzędzie zbrodni znalazło się tam przypadkiem? Czy też chłopak sam je wcześniej podrzucił? A może w zdarzenie wmieszała się trzecia siła? Reżyser pozostawił widzów w sferze domniemań.

Niech to szlag! Szukałem wytchnienia, a wpadłem w niewytłumaczalną, defetystyczną ponurość. Współczesną wersję *Carmen*. Co z tego, że w operze bohaterka wstawiała, by pokłonić się wiwatującej widowni? Co z tego, że „zabita” aktorka kręciła już kolejne filmy? Sztuka markowała autentyczne zdarzenia, które otaczały nas z wyczuwalną gęstością.

Wracałem do domu niespiesznym krokiem. Fragmenty odbytych rozmów mieszały mi się z filmowymi dialogami. Koniec końców wszystko splotło się w grubą fastrygę, po której — niczym po nici do kłęba — doszedłem ponownie do cholernej struny...

Błyskotliwe śledztwa to domena filmu i literatury. Fikcji, jednym słowem... Niemoc Bielskiego była tu znamieną, o wolontariuszach mojego pokroju nawet nie wspominając.

Najgorsza jest zbrodnia impulsywna. Taka zbrodnia — jeśli nie było jej świadków — pozostanie niewykryta. Czy chłopakowi z filmu zależało, aby uniknąć kary? Chyba nie; chciał dokonać czynu nieodwracalnego...

Czy „Struniarz” należał do tej samej kategorii? Zabił bez świadków, to nie ulegało wątpliwości. Wydawało się, że mógł uczynić to prościej; ciosem w serce... A jeśli już ręka i żyły, to i w takim wypadku ostrze noża gwarantowało pewniejszy... sukces. W strunie musiała kryć się jakaś niepokojąca symbolika. A jeśli była symbolika, to powinien znaleźć się ktoś, kto ją zrozumie. Przyspieszyłem kroku. Postanowiłem spróbować jeszcze raz.

Wpisywanie najróżniejszych kombinacji tagów (typu: skrzypek, struna, morderstwo) nie przynosiło skutków, które mógłbym uznać za interesujące. Zacząłem więc poszukiwać (a co miałem do stracenia?) opisów książek, opowiadań, scenariuszy lub innych fabuł mogących zawierać ziarno inspiracji...

Bez sukcesu.

A gdybym — myślałem coraz intensywniej (nie wierzycie, prawda?) — odwrócił sytuację i poszukał nie inspiracji a... sprawozdania?

Wówczas powinienem zajrzeć na blogi.

Na te kilkadziesiąt milionów blogów, które wypełniają przestrzeń internetową aż do spuchnięcia... Uproścmy sprawę... Do wyszukiwarki wpisałem po prostu dwa słowa: „blog” i „skrzypek”. Na pierwszym miejscu listy wyników ukazała się nazwa: *Blog Skrzypka*.

Zacząłem czytać.

*Kiedys, wraz z każdym krokiem na estradzie, czułem, jak moje serce zaczyna przyspieszać. Adrenalina napędzała treść, ale i motywowała do działania. Zagrać najlepiej, jak się potrafi. Przełożyć godziny pracy na krótki, ale intensywny tryumf. Panować nad publicznością, która jest moja i tylko moja.*

*Ze skrzypka stałem się wiolinistą. Zwielokrotniłem swoje brzmienie. A gdy jeszcze pojawiła się ona, sądziłem, że znajduję się na prostej drodze do szczęścia.*

*Jeden cios być może zdołałbym wytrzymać. Albo upadłszy, podniósłbym się. Ale dwa — tak silne, tak celne, tak bolesne — nie tylko powaliły mnie na glebę, ale wbiły w nią, wdeptały jak*

*nikomu niepotrzebnego śmiecia.*

*Skazały na samotność.*

*Bo cóż, że nastąpiło życie po życiu, kiedy wiedziałem już, że to prawdziwe mignęło tylko, omamiło mirażem szczęścia, by odejść na zawsze. Nie było reaktywacji. Wegetacja, oto co mi pozostało. Żyłem, czując, jak w moim sercu powiększa się wyrwa nie do zasypiania. Pustka nie do zapelnienia. Tęsknota nie do zabicia...*

*Piszę te słowa z nadzieją. Choć... Jak uwierzyć, że w wielkim, anonimowym tłumie ktoś zwróci na nie uwagę? Jest gwar, ale bezosobowy, jak szmer kosmosu. Czy łudzę się tylko, aby tym boleśniej odczuć samotność? Ciągle jeszcze lubię brawa. A jeśli ich nie usłyszę? Cóż, tym łatwiej zrealizuję swoje zamiary...*

*Teraz, po latach, wszystko układa mi się w pojęcia winy i kary. Czy w rzeczywistości nie ukarałem przede wszystkim siebie? Tylko siebie?*

*Ona nie miała hamulców. Zabrakło jej też szczęścia. To, co miało być ostrzeżeniem, stało się kresem istnienia. Również mojego.*

*Opowiem wam swoją historię. Opowiem o tych, którzy mnie zdradzili.*

*Nie chciałbym umierać w przekonaniu, że moje życie nie miało sensu. Być może aż dotąd było niczym innym, jak dojrzwaniem do odegrania właściwej roli... Gdyby tak mieć gwarancje — nie przypuszczenia, ale gwarancje — że sprawiedliwości staje się zadość na tamtym świecie. Niestety, ja ich nie mam. A skoro tak, pora ją wymierzyć tu, na ziemi. Sprawiedliwość koi lub sprawia ból. Sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z dobrocią. Każdemu według jego czynów... Oto, czym się zajmę. W nagrodę chciałbym usłyszeć parę szczerych oklasków. Odrobinę aplauzu. Cichy szmer akceptacji. Dlatego podzielę się... tym, czym mogę i tak jak mogę.*

*Klucz został podany...*

*Czy ktoś odważy się go poszukać?*

Tu blog się kończył. Całość domagała się ponownego przeczytania, próby wniknięcia w szczegóły. I — najprawdopodobniej — wzruszenia ramionami...

Na ekranie zamigotała ikonka Antosi.

Porzuciłem zapiski frustrata. Czy ktoś, do cholery, kazał mu grać na skrzypcach?

— Cześć, Bartolomeo! — Słoneczny blask rozświetlił mroki przemyśleń. — Co słyhać w świecie kultury wzniosłej? Szybujecie już?

— Prawie... Nabieramy wysokości. Poza tym twoja mama tak mnie nakarmiła, że do teraz mam koszmary...

— Hi, hi. Sabinka to potrafi jak mało kto... Ale przeżyłeś?

— Przeżyłem, i to, mówiąc poważnie, całkiem nieźle. A co u was?

— Nasze signory zabrały mnie dzisiaj na targ, potem uraczyły kolacją w rodzinnym gronie. Łączna długość spaghetti, które zjadłam, musiała mieć co najmniej kilometr. A ponieważ do szczęścia brakuje mi ciebie, postanowiłam to sobie zrekompensować i zaraz po rozmowie idę zanurzyć się w basenie. Z moim nieodłącznym bodyguardem, oczywiście. — Uśmiechnęła się, a spoza kadru dobiegło potężne szcęknięcie.

Gadaliśmy jeszcze tylko... godzinkę. Gdy zerknąłem na zegarek, była pierwsza po północy. W błogim nastroju wskoczyłem do łóżka.

Dzień koncertu rządzi się swoimi prawami. Na estradzie nie byłem nowicjuszem, jednak dzisiejszy występ był wyjątkowy. Dość powiedzieć, że na jego szalę cztery osoby rzuciły pełnię sił, talentu, inteligencji (w tym punkcie tylko trzy) i ambicji. Czułem się odpowiedzialny za cały zespół i wiedziałem, że podobnie jest z resztą kolegów.

Miałem w zanadru kilka pomysłów, mających dopomóc mi w zbudowaniu optymalnej dyspozycji. Po pierwsze: wyspać się. Jak dobrze jest zacząć dzień nie z przymusu, a z rozpierającej żądzы czynu. Po drugie: żadnych zobowiązań towarzyskich. Po koncercie — co innego, ale to była przeciwna strona szczytu, który wpierw należało zdobyć. Przedpołudniową godzinę poświęciłem ustawianiu palców w kilku szczególnie niewygodnych fragmentach. Następnym elementem przygotowań był trucht wokół pamiętnego jeziora. To z niego Eston wyłowil swego czasu pudełko z batutą, rzucone przez zaatakowanego dyrygenta. Odczuwałem brak mojego wiernego kompana od — nie tylko nocnych — spacerów.

Park się zmienił. Był zadbany. Dostrzegałem w kilku miejscach kamery miejskiego monitoringu, co oczywiście wpływało na poczucie bezpieczeństwa; alejkami spacerowało więcej ludzi, po trawnikach szalały psy, z humorem bawiące się ze sobą. Dumni właściciele wymieniali fachowe uwagi dotyczące wyglądu i sposobu zachowania pupili. Eston szybko przerwałby tę sielankę, pomyślałem z uśmiechem. W pewnych sytuacjach przejawiał fizyczność i psychiczność (?) czołgu. Ilość spacerujących zaskoczyła mnie, ale w końcu była niedziela. Pogoda dopisywała...

A wieczorem wszyscy jak jeden mąż udadzą się na koncert Kwartetu imienia Gudelsteina, pomyślałem optymistycznie i mimo całej irracjonalności tej myśli, poczułem znajomy skurcz żołądka — zapowiedź niechybnej, konkretnej, materializującej się tremy.

W okrażaniu jeziora towarzyszyły mi trzy uporczywe satelity.

Po pierwsze, chciałem jak najprędzej znaleźć się przy Antosi. Nad ucieczką księżycowych sylwetek przeszedłem do porządku dziennego, ale nasze oddalenie ciążyło mi dziś bardziej niż zazwyczaj.

Po drugie, miałem zamiar raz jeszcze przeczytać i na spokojnie przeanalizować odnaleziony wczoraj *Blog Skrzyпка*. Teraz, po czasie, wydawało mi się, że potracił jakieś znajome, choć nierozpoznane jeszcze nuty.

Po trzecie wreszcie, ostrożne i niejasne słowa Sebastiana. Rzeczywiście, nigdy nie zastanawiałem się, czy działalność spółki Rosenberg-Michalewicz nie miała jeszcze jednego dna. A przecież istniał dobry powód, aby sprawę przemyśleć: w pewnym sensie byłem spadkobiercą Michalewicza.

Na szczęście alejki były wystarczająco szerokie (a psie zęby zupełnie niezainteresowane moimi łydkami — czasem nawet jakiś wesołek podbiegał, by przez kilkanaście metrów dotrzymać mi towarzysztwa), abym mógł poruszać się w rytmie relaksowym, pozwalając myślom pobłądzić tu i ówdzie.

Kolejne punkty dnia zakładały: lekki posiłek zorganizowany na własną rękę (na temat obiadków pani Sabiny można by powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że są lekkie), sjętę z książką w dłoni i — w końcu! — przedzierzgnięcie się w koncertującego artystę.

W sali Trybunału spotkaliśmy się półtorej godziny przed występem. Chcieliśmy jedynie dotknąć kilku newralgicznych fragmentów repertuaru. Po rozegraniu się sprawdziliśmy oświetlenie, rozstawiliśmy kamerę i mikrofony — z tak ważnego występu warto było mieć pamiętkę, materiał poglądowy a może i promocyjny — i... przekręciliśmy klucz w garderobie.

Drzwi dla publiczności zostały otwarte na pół godziny przed rozpoczęciem koncertu.

— Słyszałem, że ma być ktoś z „Aktywności Muzycznej” i z działu kulturalnego prasy lokalnej... — zaczął Konrad, ale Jacek nie dał mu dokończyć:

— Nigdy, ale to nigdy nie mów przed występem, kto jest na sali. Po koncercie — proszę, ale ani chwili wcześniej...

Denerwował się? Pewnie. Wszyscy byliśmy spięci, choć, jak powiadam, specyfika kwartetu polega również na rozczwarzaniu stresu. Jednak każdy ma jakieś tam dziwactwa: pewien trener nie golił się przed meczem swojej drużyny, inny znów zakładał szalik w kratę. Czy wśród maturzystów (maturzystek raczej) nie istnieje czasem przesąd na temat czerwonej bielizny? Ech, ludzkość. Tak łatwo wyśmiewa to, co duchowe, a nie może się obejść bez małych zabobonków.

— Może ktoś chce króliczą łapkę? — Dla rozładowania napięcia opowiedziałem kolegom scenkę z filmu Charliego Chaplina.

On, biedak i ulicznik, próbuje za wszelką cenę zdobyć pieniądze na operację niewidomej dziewczyny. By osiągnąć cel, nie zawaha się stanąć w ringu naprzeciw gościa dwukrotnie większego od siebie. Jeszcze inny z bokserów tuż przed walką naciera się króliczą łapką. Widząc to, Chaplin błaga go o pożyczanie fetyszu. Po chwili właściciela króliczej łapki znoszą z ringu. Znokautowanego. Czego wówczas nie robi Charlie, aby pozbyć się czaru fałszywego amuletu...

Opór Jacka miał rzecz jasna nieco inne podłoże: zmniejszenie liczby elementów potencjalnie stresogennych, choć co jednego denerwuje, na innych działa mobilizująco. Gdyby sam Aaron Gudelstein usiadł dziś na widowni, potraktowałbym to jak wspaniałą motywację.

Konrad ciągle zerkał przez szparę. Tego „Pierwszy” nie mógł mu zabronić.

— Trochę ludzi jest... Widzę...

— Konrad! — ostrzegł go prymariusz.

— OK, nie bądź taki wrażliwy.

Wiolonczelista podszedł do mnie.

— Jest prawie pełno, choć został jeszcze kwadran. Dużo znajomych. Są rodzice Antosi, są państwo Kronosowie — wyliczał — i... Hm, jakaś ciekawa dziewczyna w pomarańczach — mruknął smakowicie. Choć zabrzmiało to jak „kaczka w jabłkach”, domyślałem się, kto zacz...

— Chyba widziałem również twojego policjanta.

A jednak! Pierwszy sukces został odniesiony.

Tuż przed wyjściem na estradę stanęliśmy na moment w kręgu skupienia, krzyżując smyczki na wzór trzech muszkieterów (których w istocie też było czterech; zastanawiałem się nawet, komu przypadłaby jaka rola. Joasia była Aramisem, bo najładniejsza. Jacek pewnie widziałby się w roli Atosa. Zakładając, że Konrad wybrałby d'Artagnana, mnie pozostawał jedynie Portos... No jasne, altowiolista).

Zaczęliśmy ostrożnie. Zbyt ostrożnie, bojaźliwie wręcz... To emocje — miast dodać skrzydeł — nakazywały kontrolować się ponad miarę. W miarę grania odzyskiwaliśmy swobodę, jednak *Skowronek* — zanim naprawdę wzbił się w powietrze — musiał wylądować. Wykonanie utworu należało uznać za co najwyżej poprawne.

W trakcie króciutkiej wizyty w kularach byliśmy zgodni: trzeba zaufać wykonanej pracy. Zaryzykować. Wykrzesać więcej iskier i ognia. Okazja zdarzała się natychmiast.

Krótką, wirtuozowska *Serenada Włoska G-dur* Hugo Wolfa jest niczym wiązka promieni słonecznych rozsypujących się kolorami tęczy. Utwór ten — wraz z *Symfonią Włoską* Mendelsohna oraz *Haroldem w Italii* Berlioza — stanowił mój prywatny sposób na dźwiękowe opisanie i zrozumienie Italii. *Serenada* — podobnie jak finał *Der Tod und das Mädchen* — zachowuje charakter taranteli. Ale to, co u Schuberta jest dzikim tańcem śmierci, u Wolfa brzmi niczym eksplozja życia i radości. A przecież Hugo Wolf był klinicznym wręcz przypadkiem

dramatu, jaki stał się udziałem niejednego artysty. Twórczą żarliwość przyplącił chorobą psychiczną, zakończoną próbą samobójstwa i umieszczeniem w zakładzie dla obłąkanych... Jego losy — na równi z życiorysami Wolfganga Amadeusza Mozarta i Fryderyka Nietzschego — zainspirowały Tomasza Manna do stworzenia postaci genialnego kompozytora opętanego przez diabła lub szaleństwo. Mowa o Adrianie Leverkühnie, znanym w literaturze jako *Doktor Faustus*.

Odniosłem wrażenie, że po brawurowym (tak je odbierałem) wykonaniu *Serenady* początkowa rezerwa publiczności ustąpiła. Uczyniliśmy wyłom w jej krytycznej ostrożności, zdobywając pierwszy szaniec zaufania. Należało kuć żelazo póki gorące, choć zadanie, które nas czekało, wbrew tytułowi nie było łatwe. Nosiło nazwę: *Sześć Bagatel op. 9* Antona Weberna.

Sam kompozytor mówił: *Być może są to najkrótsze utwory muzyczne, jakie do tej pory skomponowano*. Ja sam określiłbym je mianem pogładowego wyrażenia idei dodekafonizmu. Co kryje się pod tajemniczą nazwą? Otóż twórca doktryny, Arnold Schönberg, przyjął następujące założenie: klasyczną harmonię należy odłożyć do lamusa. Każdy z dwunastu dźwięków w obrębie oktawy jest od tej pory równouprawniony.

W *Bagatelach* Anton von Webern dokonuje sześciu przeprowadzeń serii dwunastotonowej, czyniąc to jednak w sposób niezwykle wyszukany dźwiękowo. Oto, jakimi słowami podsumował je sam Arnold Schönberg: *Utwory te pojmą tylko ci, którzy wierzą, że muzyka może wyrażać takie rzeczy, jakie tylko muzyką mogą być przekazane*.

W dopiero co przywołanym *Doktorze Faustusie* Tomasz Mann uczynił system dwunastotonowy twórczym kompozytorskim Adriana Leverkühna. Niezadowolony, jakie prawdziwy twórca dodekafonii wyraził z tego powodu, zmusiło pisarza do zamieszczenia na końcu powieści krótkiej wzmianki informującej, że przedstawiona metoda: *stanowi w istocie duchową własność współczesnego kompozytora i teoretyka, Arnolda Schönberga, została zaś przeze mnie w pewnej ideowej zależności przypisana osobie tragicznego bohatera mojej powieści, najzupełniej fikcyjnej postaci muzyka*.

*Bagatele* zadziwiły publiczność, odrealniając atmosferę koncertu i wprowadzając tym silniejszy element oczekiwania na jego drugą część. Już teraz widzieliśmy, że dobór programu był słuszny. Gustom publiczności nie trzeba schlebiać; należy je doceniać i satysfakcjonować profesjonalnym i zaangażowanym wykonaniem. Nie uszło naszej uwagi, że nawet krytycy — ci wiecznie niezadowoleni — których grupkę wyłowiliśmy wśród słuchaczy, cmokali z zadowolenia. A przecież główne danie było dopiero przed nami...

Rozgrzani, zmotywowani, skoncentrowani jak nigdy zasiedliśmy do wykonania Schuberta.

Chyba udało nam się porwać słuchających w podróż pełną emocji, od pierwszego dramatycznego motywu i następującego zaraz po nim pytania, poprzez liryczne figuracje części drugiej, witalność scherza, aż po opętańczy rytm finału. Tajemnica współtworzenia muzyki — przez kogoś skomponowanej, ale ożywionej przez wykonawców — zawładnęła nami całkowicie. Czterdzieści minut przeleciało niczym podmuch wyłaniający się z mgły i ponownie w niej ginący.

Po ostatnim akordzie zerwała się burza oklasków. Wyczerpani, złani potem, a przecież szczęśliwi, kłanialiśmy się, powoli wypływając na powierzchnię rzeczywistości. Jacek nie oparł się kabotyńskiemu gestowi, wskazując lewą ręką na naszą trójkę. Takie skromne: „no, to nie tylko moja zasługa, oni też grali”. Przypisywaliśmy to powykonawczemu zaćmieniu umysłu. Zresztą Joasia natychmiast wskazała na pierwszego skrzypka, sugerując: „nie, on tylko tak przez skromność, w rzeczywistości to wszystko dzięki niemu!”, co Jacek na szczęście zrozumiał i od tej pory przestał się wygłupiać.

Publiczność najwyraźniej domagała się bisu, ale już wcześniej uznaliśmy, że po takiej



eksplozji muzyki żadne zmiękczacze nie mają racji bytu. Jedyne, co przyszło nam do głowy, to powtórzenie tematu drugiej części, owego słynnego cytatu *Śmierć i Dziewczyna*.

Zagraliśmy w jeszcze większym, niewyobrażalnym wręcz skupieniu — stanie, który udaje się osiągnąć chyba tylko podczas bisów, gdy nic już nie trzeba, za to można wznieść się ponad cielesne i duchowe ograniczenia. Przy drugiej powtórcie zesliśmy do niesłyszalnego pianissimo, grając dźwiękiem z pogranicza dwóch światów. Gdy ostatni akord przekształcił się w nicość, zauroczona publiczność pozostała z otwartymi ustami i chyba — nie jestem pewien, bo sam widziałem jak przez mgłę — z kroplami łez w niejednym oku. Nikt jako pierwszy nie śmiał zakłócić ciszy doskonałej, która w każdym z osobna grała innymi znaczeniami. Do tej pory byłem świadkiem podobnej reakcji tylko raz, po wykonaniu *VI Symfonii* Czajkowskiego, której tragizm zamiera w *pizzicato* kontrabasów — ostatnich uderzeniach serca. Dziś przeżywałem ją z drugiej strony estrady. W tej ciszy opuściliśmy ją, by w niewielkiej salce przerobionej na garderobę paść sobie w ramiona.

Dopiero po chwili z sali koncertowej dobiegł burzliwy aplauz. Uszczęśliwieni, wyszliśmy raz jeszcze, ale już bez instrumentów. Organizatorzy zadbali o cztery imponujące bukiety kwiatów.

Powoli formowała się kolejka gratulantów. Prócz normalnej w takich sytuacjach dawki komplementów grzecznościowych i towarzyskich, były też wyrazy uznania od słuchaczy rzeczywiście poruszonych.

— Tempa w Haydnie trochę dyskusyjne, ale w ogóle to ładnie, ładnie, zwłaszcza jak na debiut... — Te słowa w ustach renomowanego krytyka miały całkiem pozytywną wymowę. — Szukajcie wzmianki w „Aktywności Muzycznej”... — zakończył obietnicą cenną niczym słowa szachinszacha.

— Szczerze gratuluję, zabrakło mi rodzimego akcentu w repertuarze, ale i tak nieźle wypadło... — To był dziennikarz gazety lokalnej.

— Skontaktuję się z państwem w sprawie występu w naszej serii kameralnej. — Pojawił się menedżer związany z prestiżowym festiwalem muzycznym. I to była wiadomość! Rozpoczęła się reakcja łańcuchowa.

Sabina i Sebastian niewiele byli w stanie powiedzieć, wyściskali nas po prostu serdecznie. Natomiast mama Joasi tonęła we łzach, aż nieco skonsternowany mąż próbował powściągnąć jej płaczliwe zapędy.

Było całkiem sporo koleżanek i kolegów, osób znanych nam tylko z widzenia, ale i zupełnie nieznamych. Kiedy tłum się przerzedził, zobaczyłem, że koniec węża zakwitł na pomarańczowo. Już po wzmiance Konrada wiedziałem, że Marchewka — koleżanka ze studiów, z którą rywalizowaliśmy kiedyś o stałe miejsce w grupie altówek naszej filharmonii — jest na widowni. Dziwiło mnie co prawda, że wiolonczelista jej nie rozpoznał, ale przed fazą pomarańczową dziewczyna wyglądała nieco inaczej...

Już naprawdę na szarym końcu (przy Marchewce inny zdawał się niemożliwy) przemieszczał się nadkomisarz Robert Bielski.

— No, no... — powiedział tylko. Istna gaduła.

Zastanawialiśmy się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem. Oczywiście było, że sukces należy uczcić. Wybór padł na pub O'Sullivan (czyż nie całkiem zgrabne nawiązanie do rodzimej Suliwy?).

Marchewka i Robert dołączyli do nas w sposób zupełnie naturalny, a mojej uwagi nie uszło, że Konrad był tym faktem (a zwłaszcza jego połową) wyraźnie poruszony. Wąskość ulicy nie pozwalała kroczyć ławą, uformowaliśmy więc duety. Wiolonczelista wdał się w pogawędkę z nadkomisarzem, choć widziałem, że kątem oka zerka na moją partnerkę.

A Marchewka — choć kiedyś uznałbym to za niemożliwe — przekroczyła granice pomarańczowości.

— Może powinnaś rozejrzeć się za pracą w Holandii? Wyglądasz jak uosobienie miłości do dynastii oranienburskiej.

— Dynastii? — spojrzała ze zdziwieniem. — A ty widziałeś, jak oni grają w piłkę?

Więc tu ją bolało! Należała do wcale licznego i ciągle rosnącego procentu kobiet zafascynowanych futbolem. Czy może futbolistami?

— Altowiolista, futbolista — czytała moje myśli. — Semantycznie różnica nie aż tak wielka, lecz znaczeniowo... — Marchewkowe rumieńce zmieniały ją z warzywa w owoc. Ponętną i soczystą pomarańczę. Siła futbolówki kontra nicość altówki. Wynik konfrontacji do przewidzenia. Jakie to szczęście, że nigdy nie przyszło mi do głowy się w niej zakochać.

Lokal — może nie z marzeń, za to ciągle otwarty — znajdował się w dość głębokiej piwnicy. Jak głosił slogan: *kilka metrów poniżej poziomu rzeki*, ale moim zdaniem była to czysto reklamowa przesada. Połączyliśmy dwa stoliki w najbardziej przytulnej części sali. Ludzi nie było dużo, tu i ówdzie ze dwie garstki. Najwyraźniej obywatele naszego miasta szykowali się już do nowego tygodnia pracy. Muzyka celtycka przygrywała nie za głośno, na stole pojawiły się kufle z piwem — ach, jak bosko smakuje po koncercie... Zrobiło się całkiem błogo... Żałowałem, że nie ma z nami Antosi, ale pocieszała mnie świadomość, że ujrzę ją nazajutrz.

Kiedy poczuliśmy się naprawdę dobrze, do pubu weszła grupa młodzieńców zachowujących się, jakby nikt oprócz nich nie istniał na świecie. Usiedli w samym środku sali, a że byli wulgarni i hałaśliwi, musieliśmy nieco podnieść głosy. W pewnej chwili Marchewka udała się do toalety. Gdy przechodziła nieopodal trollów, któryś z nich puścił pod jej adresem — dla nas niezrozumiały — tekst, na który dziewczyna zareagowała... wyciągnięciem środkowego palca. Nie wiem, kogo zaskoczyła bardziej — nas czy tamtych — jednak pierwszy zareagował przedstawiciel trolli, który rześko wystartował w kierunku dziewczyny. Wówczas do akcji wkroczył Konrad. Wstał, zrobił parę kroków i... zdębiał.

— Co jest, koleś? Masz jakiś problem? — rzucił trogło chrapliwie.

— Ja nie mam, ale ty zaraz będziesz miał! — W Konrada wstąpiła determinacja napędzana wściekłością. Ku zaskoczeniu wszystkich oponent mruknął coś niewyraźnie i wycofał się. Rzucił szybko kilka słów w kierunku kompanów, którzy nie kończąc *pale ale* poderwali się bystro i w pośpiechu opuścili lokal. Konrad stał jak zamurowany, podczas gdy Marchewka przyglądała mu się z nagle obudzonym zainteresowaniem. Swym zachowaniem przyćmił hipotetycznego piłkarza z kraju tulipanów. Wziąwszy pod uwagę łagodny w sumie charakter Konrada, byliśmy zaskoczeni. W końcu go odblokowało.

— Wiecie, kto to był? Kumpel Ryżego! To oni! Jestem pewien, że to ci, którzy złamali mi rękę!

Zdarzyło się to w czasie, gdy rozwiązywałem zagadkę Rosenberga. Grupa skinów pobiła Konrada i zniszczyła jego instrument. Nie przyszło mi wówczas do głowy, że sprawy mogą się łączyć. Wkrótce łysi stanęli także na mojej drodze. Lista chętnych do zgarnięcia historycznego bonusu robiła się coraz dłuższa.

Bielski przyglądał się incydentowi z dystansem, choć byłem przekonany, że gdyby zaszła potrzeba, interweniowałby.

— Jak to się stało, że są na wolności? — zwróciłem się do nadkomisarza.

— Skończyło się na grzywnie. I wyroku w zawiasach. Najwyraźniej nie spieszy im się do recydywy...

Stało się jasne — przynajmniej dla mnie — że napastnik odstąpił nie ze strachu przed walecznym Konradem, a przed rozpoznany policjantem.

W innej sytuacji nie dałbym głowy, że starzy znajomi nie przyczają się gdzieś za rogiem (ot, taka profilaktyka i higiena — od czasu do czasu sprawić komuś łomot), ale obecność Bielskiego to wykluczała. W tej części wieczoru to nadkomisarz grał pierwsze skrzypce.

Przy następnej kolejce — tym razem portera — puściliśmy wydarzenie w niepamięć, wracając do emocji koncertowych.

W pewnej chwili Bielski wyjął z kieszeni notes.

— Mam tu coś, co może was zainteresować...

— Proszę czytać! Czytaj! — odpowiedzieliśmy entuzjastycznie, zupełnie nie wiedząc, co ma w zanadru.

*Daj swą dłoń, piękna i delikatna.  
Jestem przyjacielem, nie przychodzę karać.  
Bądź dobrej myśli! Nie jestem dziki,  
W ramionach mych błogi znajdziesz sen.*

Spojrzelśmy po sobie zaskoczeni. Tymczasem z Joanną działo się coś dziwnego.

— Joaś, co ci jest? — zaniepokoił się Jacek.

— Skąd pan o tym wie? — spytała drżącym głosem.

Byliśmy zdezorientowani. Rozpoznanie strofy ze *Śmierci i dziewczyny* nie przysporzyło nam kłopotu, jednak między Joanną a Robertem wymieniony został komunikat, za którym nie nadążaliśmy.

— Przepraszam na chwilę... — Dziewczyna wstała i zniknęła nam z oczu.

— Pamiętasz, mówiłem ci przecież o tej dawnej sprawie...

Oczywiście, mówił, ale zapomniałem. Mało to miałem na głowie? Poczulem się w obowiązku wprowadzić kolegów w zagadnienie.

— Przed laty wydarzył się w K. wypadek samochodowy, który w kronikach policyjnych zachował się pod kryptonimem... *Dziewczyna i Śmierć*. Nietrudno się domyślić, jak się zakończył i kto był ofiarą...

— Ale dlaczego Joasia tak zareagowała? — pytał zdenerwowany Jacek. Patrzyliśmy po sobie, niewiele rozumiejąc.

— Zaraz się dowiecie — rzucił Bielski na widok wracającej dziewczyny. Joasia pojawiła się z otartymi łzami i poprawionym makijażem.

— Mówicie o kimś mi znanym. I bliskim, choć właściwie jej nie pamiętam. To była ciocia Marta, siostra mojej mamy.

Jacek przyglądał się Joasi z troską i miłością. Powoli otwierały nam się oczy.

— Czy ktoś powie, o co właściwie chodzi? — Konrad próbował zrozumieć. Nie on jeden.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu... — Robert spojrzął na dziewczynę pytająco.

— Nie, proszę mówić — zachęciła Bielskiego. — Może i ja się czegoś dowiem?

Nadkomisarz skinął głową.

— Tak jak wspominałem Bartkowi, sprawa nie budziłaby żadnych wątpliwości, gdyby nie ten fragment poezji... Z pozoru nic nadzwyczajnego — spojrzął przepaszająco na Joasię — kraksa samochodowa, ginie młoda dziewczyna... Rutynowo rozważane są opcje wypadku lub samobójstwa.

— Tak, mama o tym wspominała. Ale samobójstwo nie wchodziło w grę. Na pewno nie — dodała szybko. — Ciocia Marta była szczęśliwą kobietą, miała wkrótce wyjść za mąż z wielkiej miłości. Za skrzypka zresztą...

— Zaraz, moment, zwolnijmy trochę; co słowo, to coś nowego... — Próbowałem uporządkować nadmiar wiadomości.

— Znała go pani? — Bielski storpedował moje próby.

— Czy go znałam? Przecież to był mój pierwszy nauczyciel skrzypiec! Prawdę mówiąc, byłam prawie pewna, że zjawi się dzisiaj na koncercie. Wysłałam zaproszenie, ale najwyraźniej nie czuł się na siłach... W sumie jednak mu się nie dziwię...

Joanna stosowała przepiękny wachlarz kobiecej niekonsekwencji, od: „byłam prawie pewna”, do: „jednak się nie dziwię”...

— Do podobnych wniosków doszli wówczas śledczy. Skoro nie samobójstwo, to wypadek. Jak powiadam, jedynym nie do końca zrozumiałym elementem był znaleziony przy ofierze fragment poezji, ale ostatecznie kartka nie zabija. A zepsuty układ hamulcowy — tak. Jednak skojarzenie z granym przez was utworem było tak znamienne, że nie mogłem się oprzeć i poszperałem w starych aktach...

Tu ucięła się dyskusja na temat dawnego zdarzenia, a że wszyscy byli już trochę zmęczeni nieszczególnie udanym oblewaniem sukcesu, pożegnaliśmy się. Joasia odpłynęła z Jackiem, Konrad mimo wiołonczeli postanowił odprowadzić Marchewkę, która w międzyczasie stała się właścicielką jego bukietu. Ja swój zaraz po koncercie przekazałem Marsom, z prośbą o wstawienie go do wazonu babci Adeli.

Robert towarzyszył mi aż do staromiejskich opłotków.

— Jutro wyjeżdżasz? — upewniał się.

— Tak. Siedemnasta trzydzieści.

— Wpadniesz do mnie przed południem? Pogadamy jeszcze o tej sprawie...

— Jasne. — Nie było mi to szczególnie na rękę, ale dało się zaaranżować. Tymczasem nagle zaczęło mi się spieszyć. I to wcale nie do spania. — Wpadnę, na pewno. — Kroki Bielskiego jeszcze przez chwilę postukiwały w ulicznej ciszy.

Na poddaszu natychmiast włączyłem komputer. Wiedziałem, że Antosia czeka na poszerzoną relację z koncertu (krótką już jej zdałem, telefonicznie), ale postanowiłem zacząć od *Blogu Skrzypka*.

Przeczytałem go kilkakrotnie, próbując uporządkować fakty. Kilka z nich nie budziło wątpliwości. Z początkowych fragmentów wynikało, że mam do czynienia z autentycznym instrumentalistą. Muzykiem mającym swoją wartość i świadomie zmierzającym (kiedyś) ścieżką zawodowej kariery.

*A gdy jeszcze pojawiła się ona, sądziłem, że znajduję się na prostej drodze do szczęścia.*

*To było jasne: miłość uzupełniła i wypełniła jego życie po brzegi.*

*Jeden cios być może zdołałbym wytrzymać. Albo upadłszy, podniósłbym się. Ale dwa — tak silne, tak celne, tak bolesne — nie tylko powaliły mnie na glebę, ale wbiły w nią, wdeptały jak nikomu niepotrzebnego śmiecia.*

W obu sferach wydarzyło się coś złego. Wyśnione ideały zawiodły. Pojawiły się za to:

*Pustka nie do zapelnienia. Tęsknota nie do zabicia...*

I tłumione, lecz wyczuwalne pragnienie zemsty:

*Teraz, po latach, wszystko układa mi się w pojęcia winy i kary. Czy w rzeczywistości nie ukarałem przede wszystkim siebie? Tylko siebie?*

Które w końcu przybiera realną postać:

*Sprawiedliwość koi lub sprawia ból. Sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z dobrocią.*

*Każdemu według jego czynów...*

I jeszcze słowa, które nakładały się przedziwnym kontrpunktem na tragiczną historię Marty. Oczywiście, mogły być — i prawdopodobnie były — jedynie przenośnią lub figurą

stylistyczną. Ale najmocniej przemawiały do wyobraźni.

*Ona nie miała hamulców...*

Skrzypek chciał, aby ktoś podążył jego tropem. Nie chodziło jednak o osobę przypadkową, tylko kogoś, kto potrafi zrozumieć i docenić jego zamysł.

*Klucz został podany...*

*Czy ktoś odważy się go poszukać?*

Klucz został podany... Klucz... O jakim kluczu mowa? Jakim kluczem posługuje się muzyk? Ależ to oczywiste! Kluczem muzycznym. A jaki klucz towarzyszy całe życie skrzypkowi? Klucz... wiolinowy! Raz jeszcze błyskawicznie zlustrowałem tekst. Było w nim jedno zdanie jakby nieco wyzute z kontekstu. *Ze skrzypka stałem się wiolinistą...* Przecież skrzypek jest wiolinistą. Chyba że się nim staje! W okienko wyszukiwarki wpisałem w pośpiechu: *Blog Wiolinisty*. Nic. Zero trafień. Falszywy trop... Zaraz, literówka... Pośpiech nie służy precyzji. Poprawiłem. Na ekranie ukazał się:

*Blog Wiolinisty*

Ani przez sekundę nie wątpiłem, co mam przed oczami. Zapis datowany był o miesiąc później od jedyne go postu w *Blogu Skrzypka*.

*Nie ma chętnych? Rozumiem. Po pierwsze — wiecie za mało. Po drugie — odbieram to jako milczącą akceptację dla moich zamiarów. Właśnie one zajmowały mnie przez ostatnie tygodnie. Dużo myślałem. Zastanawiałem się, jaką formę im nadać. To powinna być seria koncertowa, która poruszy publiczność. Nawet jeśli poszczególne występy dotrą do niej z pewnym opóźnieniem. Czy nie będę jak kompozytor, którego satysfakcja wynika z samego aktu tworzenia? I oczywiście recenzji; bez nich prawdziwy artysta obejść się nie może.*

*Dlatego nie spieszę się ponad miarę. Zwłaszcza że oprócz doskonale rozpisanego scenariusza, czy — utrzymując się w konwencji muzycznej — precyzyjnej partytury, musiałem zająć się logistyką. Cały plan nie może rozbić się o nieprzewidziany drobiazg. Na wstępie odszukałem tych, których zaproszę do wspólnego występu. Okazało się — niebios mi sprzyjają — że większość mieszka tam, gdzie przedtem. Nie zrobili kariery ani zbiorowej, ani indywidualnej. Z jednym wyjątkiem. Ale i na wyjątek przyjdzie czas.*

*Dokonałem też pewnych eksperymentów. Aby przekonać się, czy zamierzone działanie przynosi oczekiwane skutki, najlepiej owo działanie przeprowadzić. Na wzór pewnego bohatera literackiego, wybrałem obiekty, których unicestwienie mogło przynieść jedynie korzyść. Co ciekawe, drugi z nich tuż przed końcem przemówił do mnie w ojczystym języku. Odebrałem to jak znak potwierdzający słuszność obranej drogi. Jestem gotów. Czy oni także?*

*Obok, ach obok*

*Przejdź, szkielecie dziki!*

*Jestem jeszcze młoda, mój kochany, idź*

*I nie dotykaj mnie*

*Niestety, młodość się skończyła. Pora, by szkielet dziki się o nich upomniał. Dotknął zimnym palcem. Póki jeszcze zdołają poczuć strach.*

Tu kończył się wpis.

Kolejny nastąpił po trzech tygodniach. Konkretnie — dzień po moim przyjeździe do K.

*No i już. Pierwszy występ zakończony sukcesem. Martwi mnie, że prawie nikt nie docenił*

*jego maestrii. Jednozdaniowe wzmianki w kronice kryminalnej mało mnie satysfakcjonują. Pocięszam się, że do drugiej części zostało niewiele czasu. Może powetuję sobie poprzedni brak rozgłosu? Okazja nadarza się przewyborna. Chciałbyś wybrać się na koncert? Za późno, drogi przyjacielu. Szkielet dziki już do ciebie zmierza...*

*Tymczasem chodzę starymi ścieżkami. Każda ulica przesycona jest wspomnieniem.*

*Odwiedziłem ją. Grobowiec stary i zaniedbany. Mało kto o nim pamięta. Zaniósłem kwiat. Czerwony. Taki, jaki najbardziej kochała. W tamtych czasach prawie nie do zdobycia. Znałem pewnego badylarza, który je uprawiał. Na eksport do Związku Radzieckiego. Za duże pieniądze sprzedał mi kiedyś pojedynczy egzemplarz. Spojrzała na mnie wówczas tak, że przez moment uwierzyłem w cud.*

*Postępuję słusznie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wszystko wydaje się logicznym dopełnieniem. I przebiega łatwiej, niż przypuszczałem. Być może działa element zaskoczenia, ale... Czuję się niczym duch; niezauważalny, niesłyszalny i bezszelestny. Jestem węzłem, który zmienia skórę. W tej nowej czuję się dobrze. I mam wrażenie, że jest mi w niej do twarzy.*

W napięciu porównywałem zapiski z obu blogów. Wydawało mi się, że słyszę głos policyjnego psychologa, którego Bielski kiedyś mi przedstawił: *identyczny layout, prosty, ascetyczny wręcz, świadczy, że autor jest skupiony na treści. Na idei, nie na otocze. Forma okrojona do niezbędnego minimum. Styl porównywalny. Rozwój akcji — jak najbardziej logiczny...*

Czy to wystarczyło, aby podnieść larum? Przecież internet jest planetą samą w sobie, siedliskiem bytów wirtualnych, paralelnych, poprzecznych, jakie sobie tylko wymyśli... Ale jak mogłem nie połączyć tekstu, który parę godzin temu odczytał Bielski, ze słowami cytowanymi przez wiolinistę na blogu?

*Obok, ach obok*

*Przejdź, szkielecie dziki!*

*Jestem jeszcze młoda, mój kochany, idź*

*I nie dotykaj mnie*

— pisał skrzypek.

*Daj swą dłoń, piękna i delikatna.*

*Jestem przyjacielem, nie przychodzę karać.*

*Bądź dobrej myśli! Nie jestem dziki,*

*W ramionach mych błogi znajdziesz sen*

— odczytał policjant.

Tak właśnie brzmi kompletna wersja przetłumaczonego wiersza Matthiаса Claudiusa, do której Schubert skomponował słynną pieśń. Czy nie za dużo jak na przypadek?

Najbardziej fantastyczne historie oplatały wyobraźnię pajęczyną zuchwałych skojarzeń. Żałowałem, że do spotkania z Bielskim zostało jeszcze tyle godzin.

O czwartej nad ranem nie wytrzymałem.

— Robert, wybac, że dzwonię o takiej porze, ale coś mnie cholernie niepokoi, a nie chciałem tym niepokojem — może bezpodstawnym — obarczać Joasi. — Wściekle sapanie po drugiej stronie kabła potwierdzało obecność rozmówcy. — Czy mógłbyś w miarę szybko ustalić miejsce pochówku Marty? I może, na wszelki wypadek, adres tego profesora Joanny...

— Człowieku, chcesz teraz jechać na cmentarz?! Masz chociaż ku temu dobry powód?

— Nie dowiem się, jeśli nie pojedę... — Wydawało mi się, że słyszę zgrzytanie zębami.  
— Niech cię szlag... — wymamrotał Bielski. Nie brzmiało to jak życzenia dobrej nocy.  
— Nie zaśnij tylko — dorzucił grobowo.

Telefon zadzwonił po czterech minutach.

— Mam te dane, ale jak chcesz odnaleźć mogiłę po nocy?

— Po prostu mi je podaj. Pojadę taksówką. I wezmę latarkę.

— Nie dzwoń po żadną taksówkę. Za piętnaście minut będę pod starówką. Jak chcesz się załapać, to się pospiesz.

Kochałem tego faceta.

W samochodzie ja mówiłem, a Robert palił. Dzieliłem się wynikiem przemyśleń, nie wnikając zbyt głęboko w ich podstawy, zaś nadkomisarz każdą z moich kwestii kwitował zaciągnięciem tak łapczywym, jakby jechał właśnie na odwyk nikotynowy. Na koniec spytałem go:

— Czy pamiętasz najpopularniejsze kwiaty w PRL-u?

— Goździki — odpowiedział bez namysłu.

— A które najtrudniej było dostać?

— Goździki — odparł z kamienną twarzą. — Ale pod K. było kilku badylarzy, którzy produkowali kwiaty dla krajów RWPG. Przy dużym szczęściu dało się upolować tulipana, gerberę, a nawet amarylisa.

Cmentarz komunalny tonął w mroku i ciszy. Nocny spacer alejkami nekropolii nie był aż tak straszny. To my zakłócamy ich spokój, myślałem.

Bielski posługiwał się naprędce uczynionym wydrukiem. Po kilku minutach dotarliśmy do alejki D14. Według planu, szukaliśmy trzeciego grobu po prawej stronie.

*Marta Kronos — ur. 1961 zm. 1979*

Obok nazwiska i dat znajdował się medalion z podobizną uśmiechniętej twarzy. Nawet ponure sepie nie odbierały jej uroku.

Na granitowej płycie spoczywał samotny czerwony amarylis.

Wizyta u nauczyciela Joanny stała się nagle sprawą niecierpiącą zwłoki.

Po kwadransie — ach, jak łatwo jeździ się miastem po nocy — byliśmy już przy ulicy Abisyńskiej, na osiedlu położonym nieco z dala od centrum. Pomimo tradycyjnych niekonsekwencji w numeracji budynków (nawet GPS odmówił współpracy) dość szybko udało nam się odnaleźć właściwy.

— Mieszkania siedem to chyba będzie na drugim piętrze?

Jedno z okiem jaśniało w ciemności.

— Pewnie tam. Uff, jest światło — jest dobrze.

Robert spojrział na mnie z powątpiewaniem.

— Jesteś pewien? Kto pali światło o czwartej czterdzieści nad ranem?

Drzwi od mieszkania uchyliły się bezszelestnie. Nie były zamknięte na klucz. W dwóch pokojach, korytarzu oraz kuchni nie było nikogo. Bielski delikatnie pchnął drzwi od łazienki...

Na podłodze siedział mężczyzna. Jego niewidzące oczy wpatrywały się w martwy punkt. Krew uciekła z twarzy. Za to na dnie wanny uzbierało się jej całkiem sporo. Dość długo musiała spływać z nadgarstka lewej ręki, wokół którego zaciśnięta była skrzypcowa struna.

Gdy wychodziliśmy, ekipa dochodzeniowa kończyła działalność. Zazgrzytał zamek błyskawiczny plastikowego worka w czarnym kolorze.

W samochodzie panowała cisza. Miałem wrażenie, że Bielski ma do mnie odrobinę żalu, wiedząc jednocześnie, co czuję. Byłem blisko. Wpadłem na trop, ale... za późno. Nic bardziej nie boli.

— Nie mogłem... Nie potrafiłem... Czy będąc na moim miejscu, zareagowałbyś szybciej? Pół nocy zajęło mi przekonywanie samego siebie, że nie brnę w ślepią uliczkę...

— Nie... Myślę, że nie. Zresztą wszystko zdaje się wskazywać — patolog to wkrótce potwierdzi w stu procentach — że śmierć nastąpiła, zanim powiązałeś fakty. Co innego, gdybyś połączył je wczoraj... Ale takie myślenie do niczego nie doprowadzi. Chyba tylko do wniosku, że za całe zło tego świata odpowiada jego twórca. Nie zrozum mnie źle. To, co czuję, jest rozczarowaniem leśnika, w którego rewirze ktoś obcy buszuje ze swadą... Zresztą, jak to mówią: *Mądry altowiolista po szkodzie...*

Jednak nie mógł sobie darować. A może tylko chciał mnie pocieszyć? Tak czy inaczej, miałem tego po dziurki w nosie. Nie dość, że po wyczerpującym koncercie nie śpię pół nocy, a przez drugie pół szlajam się po cmentarzu i odkrywam zwłoki w łazience, to w oczach tego stróża prawa (z naciskiem na stróża) zasługuję jedynie na uszczypliwe komentarze.

— Gdyby nie ja, do tej pory — a nie wiadomo jak długo jeszcze — nikt nie wiedziałby, co się wydarzyło.

— Prawda. — Spojrzał na mnie po ludzku. — Mimo wszystko chętnie przyjrzę się temu blogowi. Nasi eksperci wezmą go pod lupę... Wiesz, że nie ominie cię wizyta na komendzie?

— No jasne, przecież się umawialiśmy... — Jeszcze parę godzin temu żaden z nas nie przewidywał, że w sposób tak dramatyczny przybędzie nam materiału do śledztwa. I dlatego właśnie potrzebowałem choć odrobiny czasu. Krótkie sam na sam z komputerem. Robert nieoczekiwanie przyszedł mi w sukurs:

— Odstawię cię do domu. Prysznic, śniadanie, te sprawy... Co ty na to?

— Będę zobowiązany — mruknąłem.

— Ja też najpierw pojedę do siebie. Spotkajmy się o... — zerknął na zegarek — ósmej? Obiecuję dobrą kawę.

Dobłą kawę? Czy on miał pojęcie, czym jest dobra kawa? Takie poranne macchiato na tarasie, w towarzystwie Antonii... Albo espresso w pobliskiej trattorii... On tę lurę ze ściennego automatu nazywa kawą? A przecież żal mi się zrobiło faceta, który właściwie nie miał swojego życia, bo ciągle zajmował się praniem cudzych najbrudniejszych brudów. Cholera. Powinienem go bezwzględnie zaprosić do Toskanii.

Ale nie teraz. Nadejdzie lepszy moment.

— Dobrze, będę o ósmej — rzuciłem, wygrzebując się z samochodu.

Wieczorna droga do Corbetto, Florencji, a jeszcze przedtem samolotu wydłużała się. Marzyłem o chwili, w której Antosia i Eston rzucą mi się w ramiona (to ostatnie mogłem przypłacić głębą; znałem cenę psiego entuzjazmu). Ale na razie była to ziemia obiecana. Znajdowałem się w epicentrum rozgrzebanych spraw. Nie można ich było ot tak porzucić. Odłożyłem wieczorne wizje na rzecz kryminalnego tu i teraz.

Miniony wieczór, koncert pełen emocji, a później atrakcje zupełnie innego gatunku wprowadziły mnie w dziwny stan ducha i ciała. Rodzaj narkotycznego transu. Za głównego draga mógł tu robić brak snu, ale zaręczam, że jest to narkotyk o specyficznym działaniu. Miałem ochotę wykorzystać ostatnią szansę indywidualnej akcji, zanim blog trafi pod lupę informatyków



z Komendy Wojewódzkiej.

Antykwiariat wylaniał się z powoli szarzejącego mroku. Jedynie witryna cieszyła oko podświetloną kopią psalterza Mikołaja Gomółki. Cicho wspiałem się na poddasze. Wskoczyłem pod prysznic, nie bacząc, że pierwsze chłozzczące strumienie są zimne jak lód. Krążenie przyspieszyło. Uzyskałem perfekcyjną (i zapewne krótkotrwałą) złudę doskonałego samopoczucia.

Ascetyczność wnętrza mojej lodówki przywodziła na myśl styl *minimal art*. Czym prędzej zamknąłem oczy, wyobrażając sobie, jak to setki kilometrów stąd jedna Polka i dwie Włoszki wybierają się właśnie na targ. Przesadziłem chyba; o tej porze? Ale gdy wspomniałem smak i zapach toskańskiego poranka... Aż chce się wstawać! (Flakonik o zapachu toskańskiego poranka — tak mogłaby brzmieć nazwa soli trzeźwiących dla znokautowanych bokserów).

Otworzyłem oczy, którym objawiła się rzeczywistość zmaterializowana w... dwóch parówkach vege. Dobre i to. Kawalek czerstwego nietoperzyka z masłem uzupełnił poranne menu. Prawdę mówiąc, nie bardzo chciało mi się jeść, ale potrzebowałem sił na rozpoczynający się maraton. Innego rodzaju energetyzery pokrzepiłyby mnie tylko na chwilę, by już w następnej zdradziecko osłabić.

Dziesięć minut później siedziałem z nosem w *Blogu Violinisty*. Fragment o czerwonym kwiecie rozwiewał wątpliwości. Obawiając się, że reakcja na ostatni wpis może obudzić czujność autora, powróciłem do *Blogu Skrzypka*. Wedle tego, co wiedziałem o funkcjonowaniu stron blogerskich, informacja o komentarzu jest wysyłana automatycznie. Logowanie nie okazało się konieczne.

*Napisałeś niewiele, ale intuicyjnie czuję, że masz rację. Czasami warto brać sprawy w swoje ręce.*

Była to obłuda pod jednoosobową publiczkę. Ale czy nie tego skrzypek właśnie oczekiwał? Jeśli dobrze odczytałem jego intencje, powinien zareagować. Zastanowiłem się ponownie. A może było dokładnie na odwrót? Czyjeś wątpliwości dostarczyłyby mu dodatkowego smaczku? Sprowokowały do „wyznania wiary”, z którego dałoby się odczytać więcej? Skasowałem post, wpisując w jego miejscu:

*Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni.*

Przejęcie w drugą stronę. Pomyśli, że ma do czynienia z księdzem. To chyba nie był jego wymarzony target...

Przygotowałem trzecią wersję. Klasyczny przykład zgniętego kompromisu. Słowa, które mogą oznaczać wszystko lub nic. Każdy zinterpretuje je po swojemu. Ale odwołałem się w nich do konkretnego fragmentu, którym postanowiłem poprzedzić swój wpis.

*Sprawiedliwość koi lub sprawia ból. Sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z dobrocią. Każdemu według jego czynów* — napisał skrzypek.

*A więc bądźmy sprawiedliwi wobec niesprawiedliwych* — brzmiał mój komentarz.

Post nie zachwycił, ale nie pisałem go przecież dla literackiej satysfakcji. Odwoływał się do idei raczej niż do konkretów, powinien więc zasłużyć na uwagę skrzypka, nie budząc jego podejrliwości.

Klawisz enter był niczym dźwignia w średniowiecznym zamku. Uzbrajał pułapki. Uruchamiał nieuchronne.

Robert sprawiał wrażenie, jakby całą noc spędził we własnym łóżku. Zawodowiec. Przywitał się ze mną rzeczowo; było widać, że bez zwłoki pragnie przejść do kolejnego etapu śledztwa. Na zaistniałe wydarzenia nie mieliśmy wpływu. Chodziło teraz o to, by mieć go na te, które jeszcze nie nastąpiły.

— Ktoś przyjdzie? — Spodziewałem się obecności przynajmniej jednego informatyka.

— Nie musi. Pracuje u nas taki magik; widzi na swoich komputerach to, co my, plus dużo, dużo więcej. Facet marnuje się za te pieniądze, tyle że ja mu tego nie powiem. No dobra, zaczynajmy; najpierw pokaż, co masz do pokazania. — Nie mógł ukryć niecierpliwości.

Nie wiem, czy nie za dużo sobie obiecywał. Wynurzenia skrzypka były raczej materiałem dla psychologa. W znacznie mniejszym stopniu — wskazówką do schwywania kogoś za rękę. Chyba że moja przynęta chwyciła i zaraz dowiemy się o faktach, które naprowadzą nas na trop niczym wojskowy satelita. To byłby mój tryumf! W napięciu przyglądałem się, jak Bielski uruchamia komputer. Po zalogowaniu się przesunął klawiaturę w moim kierunku.

— Proszę, jest do twojej dyspozycji.

Uważnie wpisałem zapamiętany adres. A jednak musiałem się pomylić, bowiem system pospieszył z informacją, że „podana strona nie istnieje”. Spróbowałem jeszcze raz. I jeszcze. Nadkomisarz patrzył na mnie pytająco. Odwzajemniłem się spojrzeniem pełnym bezradności.

— Skasował, *vaffanculo* — włoskie przekleństwo samo przyplątało się na język — skasował...

— Czy jesteś pewien, że nie piszesz z błędem? Wiesz, koncert, nerwy, nieprzespana noc, emocje, morderstwo... — podobało mi się zwłaszcza postawienie znaku równości między koncertem a morderstwem — ...nie tacy twardziele pękają...

Przesadzał.

Przecież była jeszcze druga możliwość. W geście desperacji rzuciłem się w pogoń za *Blogiem Violinisty*. Z podobnym, czyli zerowym, rezultatem.

Byłem zrozpaczony. Nie chciało mi się gadać. Robert, choć spojrzał na mnie ciężko, powstrzymał się od komentarza. Podniósł słuchawkę, wcisnął jakiś przełącznik w swej dość staromodnej konsoli, po czym odezwał się do człowieka po drugiej stronie kabla.

— Stefan, czy możesz mi sprawdzić adres, chwileczkę... — zareagował na moją pantomimę — dwa adresy? Tak, chodzi o dwa adresy, które przed chwilą próbowaliśmy otworzyć... Dobra, czekam.

Miałem nadzieję, że Stefan dysponuje nieco mniej oldskulowym sprzętem niż nadkomisarz. Ten zaś przyjrzał mi się uważnie, świdrująco wręcz, po czym zadał pytanie, którego oczekiwałem:

— Czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego twój skrzypek właśnie dziś zamknął blog? A może to wszystko ci się... przyśniło?

„I na podstawie snu przewidziałem morderstwo?” — chciałem odparować, ale mój wzrok musiał być dostatecznie wymowny, bowiem nadkomisarz podniósł ręce w obronnym geście.

Powiedziałem mu. Przecież, teoretycznie rzecz biorąc, Bielski mógł mnie poprosić o oddanie laptopa do analizy kryminalistycznej. Praktycznie rzecz ujmując, nie należało przeceniać nikłego śladu, jakim był znikający blog czy raczej oba blogi. Niczym kilwatery na morzu... Owszem, gdyby skrzypek dał się podejść... Ale on dał dowód czegoś wręcz przeciwnego; był czujny i nie zamierzał iść na jakiegokolwiek ryzyko. To raczej ja wykazałem naiwność, sądząc, że człowiek uśmiercający z zimną krwią, zechce wdać się w internetowe przekomarzanki. On tylko informował. Ponieważ drugie z morderstw wydarzyło się zaledwie kilka godzin temu, można było pokładać nadzieję w nieco bardziej tradycyjnych metodach ścigania. Może nie zaraz z psami... Chociaż, dlaczego nie?

— Oj, Bartku, Bartku. Czy sądzisz, że psy pobiegną za samochodem?

Znałem jednego, który by się nie zawahał.

Zaterkotał telefon.

— Tak? — Bielski słuchał uważnie, nie zadając zbędnych pytań. — OK, dzięki. Zobacz, co jeszcze można ustalić. I nie rozłączaj się na razie.

— Strona internetowa o nazwie *Blog Skrzypka*, była prowadzona od 23 sierpnia na znanej międzynarodowej platformie blogerskiej. Jedyne wpisy dokonano w dniu założenia; pierwsza reakcja została wysłana dziś rano o godzinie 6.49. Pięć minut później stronę zamknięto. Natomiast czterdziestu dziewięciu internautów wcisnęło przycisk: „lubię to”. Tylko o minutę przetrwał ją tak zwany *Blog Violinisty*, składający się z dwóch wpisów; ten drugi pojawił się dzień po pierwszym morderstwie. Kontrwpisów brak, ilość lubiących, odpowiednio: sto dwanaście i dwieście pięćdziesiąt dziewięć.

Ciekawe; ikonki „lubię to” nawet nie dostrzegłem. A jednak „Struniarz” miał swoją publiczność i to rosnącą w siłę dość gwałtownie. Spokojnie zapelniałby salę w Trybunale.

W pozostałych kwestiach magik niczym mnie nie zaskoczył.

— A czy są możliwości ustalenia, gdzie facet klikał w sensie geograficznym?

— A masz w tej kwestii jakieś podejrzenia? — Bielski ożywił się nagle.

— Może i tak, ale najpierw ty odpowiedz. — Teraz to już naprawdę prowadziliśmy śledztwo na cztery ręce.

— Stefan, słyszałeś pytanie Bartka? — A właściwie na sześć.

Po chwili w zewnętrznym głośniku rozległ się rzeczowy głos eksperta:

— Serwery obu platform są rozsiane na trzech kontynentach, w kilkudziesięciu krajach świata. Te najodleglejsze możemy chyba wykluczyć. Zresztą dojdę do tego, podobnie jak do IP komputerów, z których wpisy zostały wysłane. To kwestia odpowiednich procedur międzynarodowych lub ich obejścia, a jedno i drugie może zająć trochę czasu.

„Widzisz? Mówiłem ci, że jest niezły...” — dało się wyczytać w spojrzeniu Roberta.

Zaś Stefan kontynuował:

— Doświadczenie pokazuje, że blogerzy tego pokroju najczęściej posługują się komputerami publicznymi, zlokalizowanymi w kafejkach, bibliotekach, na dworcach lub lotniskach itp. W przeciwnym razie każdorazowo zostawialiby wizytówkę. Ktoś, kto ma choćby bazowe pojęcie, jak to działa, nie popełni tak szkolnego błędu. Pamiętaj o tym, że w internecie masowo zamieszczane są na przykład odezwy terrorystów, a jednak nie prowadzi to do ich natychmiastowego ujęcia...

— Dziękuję, Stefan. To nam na razie wystarczy. — Bielski odłożył słuchawkę i zapalił papierosa.

Nurtowało mnie jeszcze jedno:

— No a ci „lubiący”? Czy to nie jest jakiś ślad?

— Bez konsultacji ze Stefanem powiem ci, że ludzie traktują to jak zabawę. Ile kosztuje wciśnięcie tej małej gwiazdki? Czy sądzisz, że gdyby ktokolwiek wietrzył tu aferę kryminalną, pchałby się ze swoim numerem IP? „Struniarz” miał to, co chciał, czyli audytorium. Ale nie jest w ciemni bity; natychmiast wyłowił subtelną różnicę między przyglądaniem się a próbą wejścia w interakcję...

— To powiedz mi jeszcze, mój mądry przyjacielu, co ludzie mogli lubić w jego wpisach?

Bielski przyglądał mi się zagadkowo.

— Prawo Kalego, mój naiwny przyjacielu. Najpierwotniejsze prawo zakodowane w każdym z nas. Nawet nie wiesz, jak wielu ma zwolenników. No, teraz już trochę wiesz...

Zapanowała cisza.

— Posłuchaj, Bartoszu — zaczął raz jeszcze. — Nie przeceniam twojego wkładu w prowadzoną sprawę. W żadną ze stron. Morderstwo wyszłoby na jaw tak czy inaczej, choć brawo

dla wykazanej umiejętności łączenia faktów.

Jeśli dobrze odczytywałem intencje Bielskiego, właściwy przekaz brzmiał: tak oczywistych śladów nie przeoczyłby nawet ślepiec, co nie zmienia faktów, że właśnie ty na nie wpadłeś...

Bo leżały na ulicy, którą się przechadzałem, czy jak?!

— Z tym wpisem pospieszyłeś się trochę. Ekspertom — wiem, wiem, miał na myśli genialnego Stefana... — byłoby łatwiej monitorować aktywną stronę. Jednak z dużym prawdopodobieństwem możemy założyć, że skrzypek zareagowałby podobnie na każdą próbę nawiązania dialogu. Ten jego blog jest nie tylko estradą, na której występuje, ale i narzędziem ostrzegawczym, reagującym niczym czuły dzwonek na najdelikatniejsze potrącenie.

Nadkomisarz męczył mnie trochę. Niepotrzebnie wcielił się w rolę mentora; wolałem go jako partnera.

— Tak szeroko rozbudowaną tezę chcesz wyrazić, że moje zasługi są równoważone przez wpadki. Krótko mówiąc: ani nie pomogłem, ani nie zaszkodziłem?

— Masz dobry słuch — skinął głową. — Ale ten Webern... No wiesz, byłem zdruzgotany. Jak można coś takiego w ogóle wymyślić?

Boże drogi! Tym razem Bielski zaskoczył mnie w sposób fenomenalny! W świetle wydarzeń nocy i poranka niemal zapomniałem o wczorajszym koncercie, a ten mi tu wyjeżdża z Webernem. Jego fascynacja dodekafonicznymi miniaturami powinna stać się przyczynkiem do badań dla służbowych psychologów.

— Bartoszu, posłuchaj, sprawa jest poważna. Czy mogę w dalszym ciągu liczyć na twoją pomoc? — A teraz to już mnie mega zaskoczył. Przecież tylko co dawał do zrozumienia, że moje wysiłki wzajemnie się znoszą — cecha działania dyletantów — i w zasadzie trudno było nie przyznać mu racji.

— Dziś wieczorem chciałem lecieć do Włoch... — Otoczyłem się powyższymi słowami niczym ochronną wieżą. Sophia już zagniała ciasto na pizzę. Donatella wynosi z piwnicy dzbany wina. Antosia przystraja dom kwiatami i szykuje mi kąpiel z dodatkiem olejku cyprysowego, z widokiem na winnicę — miałem na końcu języka, ale postanowiłem go nie wkurzać.

— Wiem, znam twoje plany... Jeśli zdecydujesz się wyjechać, nie przeszkodzę ci w tym... Zróbmy tak. To jest właściwy moment, aby podsumować znane dotąd fakty i zobaczyć, czy da się na ich podstawie wyznaczyć jakiś kierunek działania. Chciałem tylko nadmienić, że widzę twój dalszy udział w sprawie. I proszę, żebyś wstrzymał się z decyzją do końca narady. Co ty na to?

Czułem, po prostu czułem, jak cudowny wieczór przechodzący w upojną noc kruszy mi się w palcach niczym grudki złotego piasku.

— Dobrze — powiedziałem. — Porozmawiajmy.

Już wkrótce biurko Roberta zavalone było stosami kartek, na których próbowaliśmy rozrysowywać i połączyć elementy sprawy, od teraz opatrzonej przez nadkomisarza kryptonimem *Skrzypek*. Kilka wniosków było klarownych, jednak większość znajdowała się na (niskim) pułapie hipotez.

Po pierwsze i najważniejsze: mieliśmy do czynienia z dwoma zabójstwami; sposób ich dokonania wskazywał na jedność sprawcy oraz idei, która nim kieruje. Wbrew paraliterackiej otoczce można je było uznać za wyrachowane i bezwzględne.

Po drugie: oględziny miejsc zbrodni oraz analiza laboratoryjna domniemanych tropów pobranych tamże, potwierdzały, że sprawca działał w rękawiczkach, i to białych. Krótko mówiąc, nie zostawiał śladów.

Po trzecie: intuicja nie zawiodła komisarza; struny były nie tylko narzędziem zbrodni,

ale również symbolem łączącym się z ową ideą. Bielski postąpił słusznie, wciągając mnie w sprawę, ponieważ — mniejszym lub większym przypadkiem — udało mi się wpaść na psychologiczny (a także elektroniczny) trop mordercy. To ja powiązałem również nieobecność jednego z zaproszonych gości z niepokojącym wpisem na blogu.

Idąc dalej, wydawało się wielce prawdopodobne, że korzenie dramatu umiejscowione są w przeszłości, którą można zlokalizować w czasie na podstawie wieku strun. Po wczorajszych wynurzeniach Joanny zyskaliśmy nieoczekiwany, lecz jakże wyraźny ślad. Należało go sprawdzić, tym bardziej że — i tu już poczułem autentyczny dreszcz — obie struny Pirastro Oliv (*sol* oraz *la*) pochodziły z roku 1979, czyli dokładnie tego, w którym zginęła Marta Kronos. Już wczoraj spodziewałem się, że Robert zechce wykorzystać moją zażyłość z Joanną i znajomość z jej rodzicami. W nowej sytuacji miało to jeszcze większe uzasadnienie.

Przyjęliśmy bowiem — bardzo roboczą na razie — tezę, że nie do końca wyjaśnione okoliczności śmierci młodej dziewczyny mogą okazać się kluczem do zrozumienia zagadki dwóch morderstw.

Niezwykła zbitka słów towarzyszących ginącej ofierze i obecnych w zapiskach tajemniczego skrzypka mogła być misternym dziełem przypadku. Ale także czymś znacznie więcej.

— Kim jest morderca? Nie pytam o personalia, raczej o szkic psychologiczny... Jeśli jest nim koleś z blogu, poznałeś trochę jego sposób myślenia...

— Mamy do czynienia z autentycznym skrzypkiem; sposób, w jaki formułuje zdania dotyczące muzyki, wyklucza inną możliwość. Nienazwane wydarzenie, które stanęło na drodze jego kariery, plus zawód miłosny — oto ziarna nienawiści, które długo w nim kielkowały. Myślę, że mamy do czynienia z człowiekiem utalentowanym, lecz introwertycznym. Przeżycia z młodości tłamsił w sobie przez wiele lat. Gdyby potrafił się od nich uwolnić, prawdopodobnie poukladałby sobie życie na nowo. To także ktoś bardzo ambitny; może niewspółmiernie do posiadanych talentów. Rozbuchana ambicja jest zazwyczaj wyrazem ponadprzeciętnego ego. Takie ego ma potężne problemy ze znalezieniem kompensacji na co dzień, szukać więc będzie zadośćuczynienia. Samemu sobie, rzecz jasna. Takie ego potrzebuje ofiary; najlepiej w postaci tego lub tych, którzy stali się przyczyną jego zawodów i niepowodzeń. Cała reszta będzie tu konsekwencją nierozpoznaney i zranionej genialności. Winni muszą ponieść karę. Najlepiej w sposób, który tak dla ofiar, jak i widzów będzie czytelny i symboliczny.

Bielski przyglądał mi się z zainteresowaniem.

— Muszę powiedzieć, że poczyniłeś znaczne postępy w dziedzinie analizy psychologicznej; dla dobrego śledczego rzecz nie do przecenienia. Ponieważ, drogi Bartku, takie motywacje zdarzają się naprawdę. Potrafią obsesyjnie zawładnąć czyjąś jaźnią. Energia, którą można było wyzwolić ku osobistemu lub publicznemu dobru, staje się nieopróżnionym zbiornikiem nienawiści. Jad będzie sączył się tak długo, aż rezerwuar wybuchnie. A wówczas rozterki etyczne, znane jako wzajemna zależność winy i kary, znikną. Myśl i czyn przestaną mieć zabarwienie moralne. Pozostanie tylko zadanie do wypełnienia. Gra do jednej bramki ku satysfakcji jednego człowieka. A konkretnie — jego nieukojonego ego.

Nadkomisarz zamilkł niczym orator po wygłoszeniu filipiki. Nie przypuszczał, że czeka go mała niespodzianka.

— Bardzo prawdopodobne, że skrzypek ma na sumieniu jeszcze co najmniej dwie dusze. Czy Roberta zaokrągliły się.

— Technika zbliżoną?

— Podejrzewam, że identyczną, a przynajmniej bardzo podobną...

— ...i ja bym nic o tym nie wiedział? Wykluczone — oświadczył kategorycznie. — Nie

zapominaj, że pracuję w wydziale zabójstw; mam dość szczegółowy przegląd tego, co się dzieje, i to nie tylko na moim podwórku...

— Ale nie czytasz codziennych raportów z wszystkich krajów świata lub co najmniej Europy?

— Oczywiście, że nie! A... Właściwie, co chcesz przez to powiedzieć? — Udało mi się go zaskoczyć! Lubiłem te momenty.

— Jak zrozumiałbyś następującą informację? — Powtórzyłem słowa, które wryły mi się w pamięć złowieszczą treścią:

*Na wzór pewnego bohatera literackiego, wybrałem obiekty, których unicestwienie mogło przynieść jedynie korzyść. Co ciekawe, drugi z nich tuż przed końcem przemówił do mnie w ojczystym języku.*

Byłem pewien, że Bielski zapali kolejnego papierosa. Nie myliłem się. Jednym sztachem spopielił go niemal do końca.

— Możemy mieć do czynienia z tak zwaną ściemą. Ale zwichrowana psychika policjanta mówi mi, że jest to raczej logika szaleństwa, która charakteryzowała niejakiego Raskolnikowa. Różnica jest zasadnicza: bohater Dostojewskiego już w chwili popełniania zbrodni zyskuje poczucie nieodwracalnego błędu. Nasz bohater — jeśli to on za tym stoi — zabija na rozgrzewkę, by utwierdzić się w słuszności dokonanych wyborów. I najwyraźniej mu się to udaje. Na ofiary wybiera bezdomnych — potwierdziłem skinieniem głowy, też tak to odebrałem — wiedząc, że w ich wypadku impet śledztw nie będzie imponujący. Zmyślny gość. Natomiast ten fragment o języku ojczystym — powtarzam, jeśli rzecz cała nie jest mistyfikacją — świadczyć może, że skrzypek na co dzień przebywa poza granicami kraju. Czy były inne fragmenty, które by to potwierdzały?

— Tak. Na przykład słowa świadczące, że w miejscu młodości czuje się przybyszem... Bielski przyjrzał mi się uważnie.

— Czy nie uważasz, że już najwyższa pora, abyś odwiedził Joannę i jej mamę?

Podzielałem jego punkt widzenia: będzie lepiej, jeśli osobiście porozmawiam z obiema paniami.

— W tym czasie ja spróbuję raz jeszcze dokopać się do wszelkich detali w sprawie *Dz.iŚ*. Skopiuję, co się da. Przejrzę też biuletyny Interpolu z ostatnich dwóch miesięcy, koncentrując się na przypadkach zabójstw dokonanych „metodą skrzypka”.

Zaczynaliśmy funkcjonować jak uzupełniająca się dwójka.

— U mnie — popatrzył na zegarek — o czternastej?

Bez słowa uściśnąłem mu dłoń. Mój wieczorny lot do Toskanii był ciągle możliwy.

W samo południe byliśmy umówieni u państwa J&J, aby raz jeszcze, już na spokojnie, pogadać o wczorajszym koncercie i posnuć nieco planów (również repertuarowych) na przyszłość. Jednak życie (a raczej śmierć) zweryfikowało temat naszych rozmów.

Bojąc się, że na wieść o okolicznościach zejścia dawnego pedagoga Joasia popadnie w histerię, postanowiłem na razie je przemilczeć. Chyba słusznie; dziewczyna zasmuciła się, przyjmując jednak wydarzenie jako naturalną kolej losu.

— A ty skąd o tym wiesz? — pytała jeszcze trochę niepewnie.

— Bielski mi powiedział. Dostali rano zgłoszenie od sąsiadów... Potem jakoś połączył fakty, nazwiska... — mówiłem trochę nieskładnie i ogólnikowo. Na szczęście Joanna nie chciała drażnić.

— Miałam złe przeczucia... — Zamilkła na chwilę. — To chyba dobry moment, żebym coś wam opowiedziała. Chcecie posłuchać romantycznej historii? Słyszałam ją wiele razy.

Czasem wydaje mi się, jakbym była jej świadkiem.

Zamieniliśmy się w słuch. Ja — w szczególności.

— Wszyscy znacie moją mamę, prawda?

— Oczywiście! — Kto z dawnych uczniów „Szymanowskiego” nie znał pani Kronosowej? Jej nie najwyższa i nie najszczuplejsza — fertyczna rzekłbym — sylwetka wypełniała niejedną kadr z dawnych obrazów. Opiekuńcza, kochająca mama; widziałem, jak trzymając małą Joasię za rękę, odprowadza ją pod sam próg szkoły muzycznej. Z panem Krystianem, architektem i mężem (jego jedynym minusem było nazwisko, ale całkiem sprytnie sobie z tym poradzi), którym dyrygowała z wieloletnią wprawą, stanowili — przynajmniej na oko — doskonałą parę. Niemniej ułomna wyobraźnia z niejakim trudem ubierała ich w szatki płomiennych kochanków.

— Nie, nie — widząc moją zdezorientowaną minę, Joasia zamachała ręką — wcale nie chcę mówić o mamie. Ale przeprowadź następującą symulację: pozostaw jej urok i wdzięk, ujmij natomiast kilkadziesiąt kilogramów i dodaj kilkadziesiąt centymetrów. Spraw, aby jej włosy rozjaśniły się i urosły aż do pasa. Efemeryczną Świtezianką, którą uzyskaliśmy, była młodsza siostra mamy, ciocia Marta. Pamiętam ją jak przez mgłę. A właściwie jako mgiełkę — ulotną, stąpającą zgrabną nóżką po tym leż padole. Marta od zawsze chciała być baleriną. I trzeba przyznać — miała ku temu wszelkie dane. To, że któregoś dnia zakręciła piruet w szkole baletowej, było naturalną konsekwencją jej dziecięcych jeszcze, ale konsekwentnych zachwyków. Niezwykłą urodą od przedszkola budziła zachwyt i podziw — kolegów, a niekiedy i zawiść — koleżanek. Kochało się w niej zawsze co najmniej pół klasy. Lecz Marta była wymagająca. Niektórych adoratorów odrzucała w przedbiegach, inni znowu sami po jakimś czasie dawali spokój. Dystans, który potrafiła utrzymywać, przyniósł jej nawet przydomek „Królowa Śniegu”. Od czasu wstąpienia w progi Akademii Baletowej, grono jej wielbicieli powiększyło się o niejednego studenta pobliskiego konserwatorium.

Tak było. I w moich czasach baletnice przyciągały wzrok muzyków. Zresztą, w jakich czasach i czyjego wzroku nie przyciągały?

— Wśród nich pojawił się pewien cichy młodzieniec, którego uczucie było w najwyższym stopniu bezinteresowne. Niczego nie oczekiwał, nic nie żądał w zamian. Sprawiał wrażenie, jakby najwyższym sensem jego życia było uwielbiać Martę. Uprzedzał jej życzenia, zgadywał pragnienia, zanim jeszcze zdążyła je wyrazić. Najchętniej zostałby jej podnóżkiem. Uwiercie mi; mało jest takich miłości. Ludzie przeważnie kochają przez pryzmat egoizmu. Kochają kogoś — za coś. Dla czegoś. Szukają przyjemności, korzyści i rozkoszy. Dobrego materiału genetycznego. Świetnego samopoczucia. Udanego życia. — Jacek przyglądał się Joannie, jakby ujrzał ją pierwszy raz. — I to wszystko jest naturalne. Ale istnieje również miłość idealna. Moja mama powiada, że miłość tamtego chłopaka do Marty była jej najczystszy przykładem.

— A co na to twój tata? — zapytałem z najczystszej ciekawości.

— Mój tata milczy. Wiesz dlaczego? Bo kocha mamę. — Uśmiechnęła się.

— Ale wróćmy do naszego... — Ciągle nie znałem imienia romantycznego superkochanka z K.

— Boguś miał na imię.

Skrzywiłem się mimowolnie. Wyobraźmy sobie taki ciąg: Tristan, Romeo, (...) i... Boguś?

— Marta traktowała go dość lekceważąco. Ale chyba odpowiadało jej to uwielbienie z jednej strony, a brak natręctwa z drugiej. Może i była próżna? Może odnajdywała się w roli boginki?

Żeby chociaż miał na imię Boginek; mielibyśmy Boginka i Boginkę.

— Według mamy, wiele wskazywało na to, że Boguś może nieoczekiwanie stać się poważnym pretendentem do jej wdzięków. Był niczym ta kropla, która draży skałę i której wytrwałość zostanie doceniona. I pewnie otrzymałby swoją premię, gdyby nie pewien niesprzyjający zbieg okoliczności. Otóż w murach konserwatorium pojawił się nowy student, niejaki Marcyś.

Litości! Wydawało mi się, że już nic nie przebije Bogusia, a tu masz: Marcyś... Ironia zamarała we mnie gwałtownie. Nie, to niemożliwe... Spojrzałem pytająco na Joasię. Wygięła usta w podkówkę i pokiwała głową.

— Marcisław Rosner. Mój pierwszy nauczyciel.

Druga ofiara „Struniarza”! — krzyknąłem w duchu.

— Był typem męzczyzny przystojnego aż do granic Hollywood. Na jego widok dziewczynom miękły kolana, za to serca biły szybciej, a oddech rozfalowywał piersi...

Zauważyłem spojrzenie, jakim Jacek musnął Joannę. Pewnie zastanawiał się, czy w jej oczach jest podobnym typem. No dobrze; ja też pomyślałem o sobie w kontekście Antonii. Niech nikt nie mówi, że mężczyźni nie są próżni. Niech mówi, że próżni bywają.

— Biedna Marta, znająca dotąd specyfikę miłości jedynie od strony obiektu westchnień i pożądań, została trafiona ze stuprocentową skutecznością. Zakochała się. Po raz pierwszy w życiu. Marcisław był wyznawcą metody Juliusza Cezara: przychodził, ogarniał wzrokiem i zdobywał (nie tylko wzrokiem). A ponieważ nie był ślepy, nie mógł przeoczyć dwóch faktów: po pierwsze, do pobliskiej Akademii Baletowej uczęszcza dziewczyna będąca ucieleśnieniem jawnych i sennych marzeń; po drugie, owa bogini najwyraźniej się w nim zadurzyła. Dalej sprawy potoczyły się szybko. Nawet on — a może zwłaszcza on — kolekcjoner i koneser, musiał zrozumieć, że tak cenny egzemplarz — i to jeszcze w gorączce uczucia — zbyt często się nie trafia. Marcisław nie wiedział, co będzie potem. Ale wydłużenie skali czasowej do roku było w jego podbojach i tak wydarzeniem bez precedensu. Wkrótce utworzyli z Martą urodziwą parę.

M&M. Sama słodycz. Muszę powiedzieć, że zestawienie pewnego siebie i zdobywczego męzczyzny z jego biedną, martwą powłoką, którą wciąż miałem przed oczami, przychodziło mi z najwyższym trudem.

— Domyślcie się, że ktoś musiał być stratny. Tym kimś był Boguś.

A dobrze mu tak, pomyślałem mściwie. Gdyby nie to zdrobnienie, pewnie miałby większe szanse...

— Słuch po nim zaginął dość szybko. Albo, pogodziwszy się z faktami, postanowił opuścić miejsce porażki, albo zrobił to z dokładnie przeciwnego powodu. Tak czy inaczej — zniknął z horyzontu i swoim nikomu niepotrzebnym cierpieniem nie mącił szczęścia zakochanych. Lecz ich idylla także okazała się krótka. Marta zginęła pół roku później. Zaś Marcisław, obiecujący skrzypek, załamał się. Zaczął dziwaczeć, w końcu zmienił się nie do poznania. Z obiecującego muzyka przekształcił się w nauczyciela w ognisku muzycznym. Z uwodzicielskiego męzczyzny — w starca wyblakłego hipochondrią. W zaprzeczenie samego siebie.

— A kim był Boguś Jakiśtam?

— Nie powiedziałaś? Też skrzypkiem. Studiował dwa lata wyżej...

No tak, jeszcze tego brakowało. Wokół zrobiło się gęsto od skrzypków. Latali niczym stado wściekłych os, wzajemnie atakując się zjadliwym tremolo. Joanna i Jacek. Marcisław i Boguś. I do tego jeszcze skrzypek i wiolinista. Czy kto słyszał o podobnych gomorach wśród altowiolistów?

Nie wiedziałem jeszcze, jak poznane informacje mają się do śledztwa. Nie potrafiłem



analizować danych na bieżąco. Potrzebowałem czasu, aby spokojnie pomyśleć. Ale jedno nie ulegało wątpliwości: obraz zaczął się gwałtownie poszerzać. A żyłka śledczego (żyłka=struna) pulsowała we mnie coraz żwawiej.

— Czy wiadomo, dokąd wyjechał?

— To były raczej przypuszczenia. Tu jednak kończą się moje wiadomości, bowiem i historia romantycznej miłości dobiegła kresu. Pan Rosner był moim pierwszym nauczycielem, ale bardzo krótko, niecały rok. Zawsze miałam wrażenie, że rodzice wysłali mnie do niego z litości... To zresztą mama zasugerowała, żeby zaprosić go na wczorajszy koncert... Jeśli rzeczywiście chcesz się dowiedzieć więcej, właściwą osobą do oświecenia cię jest matulka. Odwiedzimy ją? Tylko czy zdążysz na samolot? — zatroskała się.

Pokręciłem refleksyjnie głową.

— Już widzę, że będzie ciężko. Mam jeszcze to i owo do omówienia z Bielskim... Nie wiedzieć czemu, liczy na moją pomoc w pewnej sprawie... Jeśli wyjechałbym teraz, byłaby to trochę dezercja... Nawiasem mówiąc, czy wiecie, że strasznie podobały mu się *Bagatele*?

Spojrzeli ze zdziwieniem.

— No, stary, jeśli on lubi Weberna, to faktycznie nie masz wyjścia... — ironizował Jacek.

— Tylko zadzwoń do Antosi. Gdyby mi Jacek taki numer wywinął, nie byłabym zbyt szczęśliwa...

— Jasne, dzwonię do niej cały czas... Będzie miała dodatkowy dzień spokoju. A z twoją mamą spotkałbym się z największą przyjemnością.

Joanna poszła zadzwonić, zaś ja zastanawiałem się, czy to możliwe, abym tak prędko wpadł na trop mordercy? Znaków zapytania nie brakowało. Przede wszystkim śmierć Marty. Wypadek czy coś więcej? Mroczna tajemnica, której nie znali nawet najbliżsi? Wykluczali samobójstwo, ale trudno się dziwić: ono obciąża także tych, którzy żyją nadal, byli blisko, a nie potrafili przeczuć nadciągającej tragedii i zapobiec jej.

No dobrze. Założmy, że to Boguś jest naszym skrzyptkiem mordującym Marcisława w późnym odwiecie za odbicie ukochanej i zniszczenie życia. Ale przecież wcześniej w podobnych okolicznościach zginął inny człowiek; trudno przypuszczać, by i on był uwikłany w nieszczęśliwą miłość. Chociaż... Jeśli w Marcie kochało się pół miasta...

Rodzice Joanny pracowali, więc mogłem ich odwiedzić dopiero późnym popołudniem. Nie było wyjścia; przesunąłem godzinę spotkania z Bielskim...

Pani Kronos była poruszona.

— Co za tragedia, co za tragedia — załamywała ręce i głos. Nieoczekiwana śmierć musiała przywołać bolesne wspomnienia. — Nieszczęśliwa miłość... Fatalne zakrzywienie czasoprzestrzeni... To się nie mogło skończyć dobrze... Pewnie serce?

— Nie znam szczegółów. — Nadal nie czułem się w prawie do ich rozgłaszania. Ani do budzenia niepokoju pani Marii. — Ten... pan Boguś... — przystąpiłem do rzeczy. — On miał jakieś nazwisko? Dziwna aura otaczająca tego człowieka nijak nie szła mi w parze z landrynkowatym imieniem.

Ojciec Joasi, który do tej pory tylko przysłuchiwał się rozmowie, odezwał się w końcu:

— Kochanie, może jednak wyjaśnisz Bartkowi, że imię tego człowieka wcale nie brzmiało Boguś...

— To prawda; Bogusiem nazywała go Marta. Więc tak już zostało... Że taki lalusz i goguś słodki z niego był. Uważała go chyba za lalkę zaprogramowaną na spełnianie jej życzeń. Hm, prawdę mówiąc, zupełnie nie pamiętam jego prawdziwego imienia. A nazwisko, owszem: Plejada.

Niczym wysoce pretensjonalny pseudonim...

Czy ja się czasem nie czepiam? A to mi imię nie pasuje, a to znowu nazwisko...

— A co stało się z panem Plejadą po odrzuceniu go przez Martę?

Pani Kronos spojrzała na Joannę, która skinęła głową.

— Opowiedziałam Bartkowi...

— Plotka — podjęła uspokojona mama — powtarzana zresztą ustami Marty, głosiła, że nieszczęśliwy chłopak w ostatniej chwili dołączył do wyjeżdżającej na tournée filharmonii (rozchorował się jeden z etatowych muzyków). Moja siostra była pewna, że „wybierze wolność”, jak to się wówczas nazywało.

Od razu przypomniała mi się pochodząca z tamtych czasów definicja kwartetu smyczkowego: to orkiestra symfoniczna powracająca z tournée na Zachodzie. Dziś trudniej o tak błyskotliwe powiedzonka. No, chyba że: renomowany kwartet smyczkowy poszukuje dwóch skrzypków i wiolonczelisty...

— Tymczasem nic podobnego. Boguś P. powrócił, by wkrótce potem wyjechać definitywnie.

Należało bezwzględnie sprawdzić, czy Marta uległa wypadkowi właśnie w tamtym okresie. Ale tym mógł się zająć Bielski. Nie wypadało męczyć państwa Kronos ponad miarę.

— A więc ślad po nim się urywa?

— Niezupełnie. — Pan Krystian zabrał głos po raz drugi. Zauważyłem, że jego słowa porządkują relację żony. — Znajomy opowiadał nam kiedyś, że Plejada pracuje w jakiejś zagranicznej orkiestrze. Ale czy to była Szwajcaria, czy może Szwecja, niestety, nie pamiętam...

— A można spytać, kto przekazał państwu tę informację? Czy był to może pan Marcisław?

— Nie! — Kronosowie zaprzeczyli prawie równocześnie. — Z nim właściwie straciliśmy kontakt. Miałam nadzieję, że może wczoraj uda nam się porozmawiać... — Pani Kronos otarła oczy chusteczką. — O Plejadzie powiedział nam ich stary wspólny znajomy, nauczyciel waszej pomarańczowej koleżanki...

Mieszało mi się w głowie. Joanna spojrzała na mnie wyrozumiale. Nie każdy musiał nadążać za jej mamą.

— Mowa o Marchewce.

— Nauczyciel Marchewki? Pan Królek?! — olśniło mnie.

— O właśnie, jakoś tak... Królak chyba?

— Nie, Królek. Znam pana Królka nie od dziś.

Wizyta u Kronosów dobiegła końca. Co prawda próbowali zatrzymać mnie na kolacji — wkrótce miał dołączyć Jacek — ale ja wolałam kuć żelazo. Natychmiast zadzwoniłem do Marchewki.

— Umówiłam się z Konradem... — Już chyba nic nie było mnie w stanie zaskoczyć. — Ale dopiero na ósmą. Jeśli chodzi o pana Królka, to nie mam z nim kontaktu na co dzień. A powiesz dokładniej, o co chodzi?

— Afera kryminalna... — Chcąc osiągnąć cel, to jest chwilę rozmowy z dawnym nauczycielem dziewczyny, musiałem wtajemniczyć ją w kilka szczegółów. Była zaskoczona, ale chyba nie do końca.

— Kiedy Konrad powiedział mi, co się wydarzyło, i wspomniał o twoim zaangażowaniu w sprawę, czułam, że coś się kroi...

Marchewka najwyraźniej przejęła się okolicznościami śmierci Marcisława Rosnera. Miała jednak kategoryczny zakaz, aby wspominać o niej profesorowi. Oddzwoniła po chwili. Z pozytywnym rezultatem.

O godzinie dziewiętnastej stanęliśmy przed furtką niewielkiego domku na obrzeżach miasta. Gospodarz przyjął nas w rozczłapanych filcowych kapciach, obwisłych spodniach od dresu i wyświechtanym swetrze. Cały był jakiś rozciągnięty i sponiewierany. Czy tak wygląda przeciętny altowiolista na emeryturze? — pomyślałem z trwogą. Na szczęście to były pozory. Wbrew swemu rozciapanemu wyglądowi, pan Anatol okazał się bystrym, zajmującym i dowcipnym interlokutorem. Próbując wytłumaczyć nagle zainteresowanie panem Plejadą, wymyśliłem naprędce dość wątlą historyjkę o notatce, którą przygotowuję dla Wikipedii na temat absolwentów konserwatorium pracujących za granicą. A jednak gdy padło konkretne pytanie, twarz pana Anatola zasnęła się na moment cieniem; ktoś bardziej dociekliwy doszukałby się w niej nawet strachu. Anatol Królek szybko zrozumiał jednak, że to nie my jemu, a on nam ma więcej do przekazania. Ta świadomość najwyraźniej go uspokoiła.

— Albert Plejada wyjechał za granicę wkrótce po... Wkrótce potem, gdy uznał, że wyjechać powinien.

Cudowne sformułowanie. Za to poznałem prawdziwe imię Bogusia.

— Czy w tych czasach można było sobie, ot tak, wyjechać z kraju?

Profesor spojrział na mnie z rozbawieniem.

— Ot tak, nie — odpowiedział z filuternym błyskiem w oku. — Ale dawno, dawno temu, i to nie za siedmioma górami, rzekami ani lasami, był sobie pewien muzyk — skrzypek, mówiąc dokładniej — który pewnego dnia odkrył zdumiewającą prawdę. Otóż, jeśli komuś udałooby się zdobyć pracę za granicą — w tym wypadku mówimy rzecz jasna o pracy w orkiestrze — była w kraju instytucja gotowa taki sukces autoryzować. Polegało to na zalegalizowaniu kontraktu, a mówiąc konkretnie: pobieraniu od śmiałka należytego haraczu. W czasach głębokiego socjalizmu państwo i obywatel (nieliczny) doszli do satysfakcjonującego obie strony wniosku: tenże obywatel może legalnie pracować u kapitalistów pod warunkiem zasilania państwowej kiesy wypracowanymi przez siebie dewizami. Proste, nieprawdaż?

— Jeśli takie proste, to dlaczego trzeba było aż odkrycia? — Genialność mechanizmu docierała do mnie z pewnym oporem.

— Mój drogi, w czasach surrealizmu logika chodzi na głowie.

Zadowolilem się obrazowym tłumaczeniem.

— I co dalej z tymi muzykami?

— To dalej, że państwowa agencja artystyczna, zwietrzywszy niezły interes, wzięła sprawy w swoje ręce. Nie stała na przeszkodzie, a wręcz ułatwiała wyjazdy. W swojej siedzibie dyskretnie podsuwała zainteresowanym branżowe czasopismo pełne ogłoszeń o wakatach w orkiestrowych kompaniach różnych stron świata. Dewizowego świata. Jeśli znalazł się chętny spróbować swoich sił, z entuzjazmem zajmowała się wydaniem paszportu, załatwieniem wizy, a nawet zakupem biletu lotniczego. Oczywiście za pieniądze muzyka.

— Prawdziwy mecenat państwowy... — mruknąłem.

— Tak jest; robili to, czym w normalnym kraju zajmuje się sam obywatel, i pobierali za swe usługi dość wygórowane honoraria. Ta wstępna opieka kosztowała dwadzieścia jeden procent dochodów przez cały okres kontraktu...

— Ale państwowa omnipotencja przyspieszała załatwienie spraw nieosiągalnych dla szarego obywatela?

Profesor raz jeszcze spojrział z ironią.

— Działali tak sprawnie, że mój przyjaciel czekał na wizę do jednego z krajów skandynawskich prawie pół roku. Przez ten czas przeżywał nieustające *crescendo* i *diminuendo* nastrojów, ponieważ mentalnie nie było go już tutaj, a fizycznie nie było go jeszcze tam.

— Tak, wiem coś o tym... Prosta droga do rozdwojenia jaźni...

— Otóż to. — Profesor zerknął na mnie podejrzliwie. — Któregoś dnia mój przyjaciel ujrzał rozpromienioną twarz urzędniczki prowadzącej jego sprawę. Był przekonany, że oczekiwanie skończyło się. Jej radosne słowa tudzież roześmiane oczy utwierdzały go w szczęśliwym wniosku.

— Panie Marku! Jest! Mamy!

— Uff... — Pan Marek uśmiechnął się z ulgą. — Już myślałem, że się nie doczekam...

— No, my też! Konieczna była cesarka. Ale jest! Córeczka!

Okazało się, że pani Małgosia z pokoju trzysta siedem właśnie szczęśliwie powiła...

Profesor zamyślił się.

— Naturalnie, pan Marek podzielał radość urzędniczek, ale... zainteresowana orkiestra straciła w końcu cierpliwość i tak to wywalczony w boju kontrakt przeszedł mu koło nosa...

— A jak było z Albertem Plejadą?

— W jego wypadku rzecz zakończyła się sukcesem. W trakcie skandynawskiego tournée z filharmonią zagrał przesłuchanie do jednej ze szwedzkich orkiestr, przyjechał z gotowym kontraktem, na podstawie którego mógł ubiegać się o potrzebne dokumenty. I tyle.

— A pamięta pan może, jaka to była orkiestra?

— Nie, tego nie wiem. Nie chwalił się, a po wyjeździe straciliśmy z nim kontakt ostatecznie.

Takie postawienie sprawy wyczerpywało cel mojej wizyty. Podziękowałem serdecznie za rozmowę i pożegnałem się. Także z Marchewką, która spieszyła już na spotkanie z Konradem.

Moja wiedza uległa istotnemu wzbogaceniu. Mimo groteskowego przypadku pana Marka — a może i wielu innych muzyków — wyjazdy na zagraniczne kontrakty były w tamtych czasach możliwe. Mało tego, powinien zostać po nich ślad. Należało odszukać i przepatrzyć archiwa PRL-owskiego mecenasa sztuki. To była robota dla Bielskiego.

Ale istniała droga szybsza i łatwiejsza! Zamiast męczyć płuca w kurzu a wzrok w półmroku, lepiej było wskoczyć na rącze konie światłowodów.

Pędziłem do komendy na złamanie karku. Przecież wystarczyło wklepać pytanie o szwedzkie orkiestry, sprawdzić listy grających w nich skrzypków i... w geście tryumfu zlokalizować i wskazać miejsce pobytu niejakiego Alberta Plejady, podejrzanego o dokonanie obu strunowych morderstw. Pewnym zgrzytem był fakt, że poznałem tylko część ewentualnego motywu zbrodni, tę bezpośrednio dotyczącą Marcisława Rosnera. Czyż jednak nie doszedłem do konkretnych wniosków szybciej niż jakakolwiek komórka śledcza? Niech Bielski szuka motywów — ja mu wystawię mordercę, pomyślałem chępliwie.

Jednak w miarę przeglądania stron www mina zaczęła mi rzednąć. Sprawdziłem wszystkie szwedzkie orkiestry, ale w żadnej z nich, ani jako członek grupy pierwszych, ani drugich skrzypiec, a nawet — co prześledziłem na wszelki wypadek — altówek, nie figurował muzyk o takim nazwisku. Owszem, było kilka brzmiących swojsko, jednak żadne ani trochę podobne do Alberta Plejady.

— Może Pleyada? — mruczał pod nosem Robert i nie wiedziałem, czy przeżywa moje rozczarowanie, czy raczej kpi w żywe oczy... — A nie wzięłeś pod uwagę prozaicznego faktu, że twój A.P. może już być na emeryturze? Albo zmienił pracodawcę? Lub też zajął się czymś z gruntu odmiennym?

— Typu łowienie ryb? — spytałem z goryczą.

Warianty Bielskiego dałoby się sprawdzić, ale nie od ręki. Moje błyskotliwe dokonania rozbijały się o rafę administracyjnych zasieków...

— Ciepło, ciepło... Jeśli pozwolisz, teraz ja ci coś powiem. — Nadkomisarz przeczekał nawałnicę amatorskiego entuzjazmu i załamania. — Wbrew twoim przypuszczeniom, również

nie marnowałem czasu. Mniej więcej półtora miesiąca temu, na przestrzeni tygodnia, w jednym z parków dużego miasta dokonano dwóch morderstw tak charakterystycznych, że musiały być dziełem tego samego człowieka. Ze względu na narzędzie zbrodni opatrzone je wspólnym kryptonimem.

— Skrzypek? — Poczulem, jak mi zasycha w gardle.

— Nie. Wędkarz.

— Proszę? — Ten cholerny dzień trwał już o wiele za długo. A w Toskanii powietrze pachniało słonecznikiem. Antosia pachniała słońcem. A Eston pachniał... psem.

— Ofiarami padli bezdomni. Jedną z nich był Afrykańczyk, natomiast drugą bez wątpienia nasz rodak.

— Ale co im się stało? Ktoś nadział ich na haczyki? — Czulem, że definitywnie opuszcza mnie poczucie humoru.

— Nie, obwiązał przeguby żyłką wędkarską. Tak skutecznie, że wykrwawili się na śmierć.

No tak. Wyglupiłem się ze swoim śledztwem. Za to Bielski odrobił zadanie.

— Robercie, dalej też sobie poradzisz beze mnie, prawda?

— Nie bądź przesadnie skromny. Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Popełniasz tylko błąd niecierpliwości. Kryminalne układanki zazwyczaj nie są aż tak proste. Trafiłeś na spowolnienia, ale nic nie przesądza, że jesteś na fałszywym tropie. Jeśli masz dość — rozumiem i zgoda, koniec sprawy. Wiem, że rwiesz się do Antosi. Nie dziwię się ani trochę. Ale proszę, rozważ podróż nieco okrężną drogą.

— To znaczy?

— To znaczy, chciałbym, abyś odwiedził duże miasto...

— Duże? Jak duże? — Robert nie przestawał mnie zaskakiwać. A w uszach zaszumiło coś jak: „Ahoj, przygodo!”

— Bardzo duże. Proponuję, abyś udał się pod słońce Toskanii *via* londyńska mgła.

Jednodniowa kwarantanna, żeby uniknąć szoku solarnego. Spotkasz się w tym czasie z moim znajomym, który od kilku lat pracuje w Scotland Yardzie. Wymienicie informacje z pierwszej ręki. Dodatkowo uświadomisz mu specyfikę środowiska muzycznego. Nikt tego nie robi tak jak ty... — Brał mnie pod tak zwany włos... — Przecież mimo subtelnych różnic, wiele wskazuje, że zbrodni w Londynie i K. dokonała ta sama osoba. Prawdopodobnie muzyk. Co ty na to?

Olśniło mnie nagle.

— Jesteś jasnowidzem! — powiedziałem z udanym lękiem.

— A to dlaczego?!

— Dlatego że, cytuję: „Co my tu, kurwa, London Philharmonic zakładamy?”

— Faktycznie... — zadumał się. — No, to tym bardziej rozumiesz, o co mi chodzi.

Skoro nad Suliwą potrafisz dotrzeć do ciekawych informacji w ciągu kilkunastu godzin, to może powtórzysz ten wyczyn również nad Tamizą? Jeden dzień. Podróż i hotel wrzucę w koszty operacyjne. — Musiał dostrzec resztki wahania na mojej twarzy. — I dorzucę bilet na koncert London Symphony Orchestra. — Brawo! Nadkomisarz wiedział, że London Philharmonic a London Symphony to dwa zupełnie różne zespoły! — Wyobraź sobie, że grają jutro koncert z utworami Weberna... — kusił, jednocześnie się rozmarzając.

— Nie wiem, czy ty czasem nie kpisz z Antona von — odparowałem — ale wiesz, co powiedział o jego muzyce Schönberg?

— Kto?

— Nieważne. Inny kompozytor. Otóż ujął to następująco: *Webern wyraża całe opowiadanie jednym gestem, a szczęście — jednym westchnieniem.*

— Ładne. Chciałbym osiąść taką umiejętność lapidaryzacji: *Nadkomisarz Bielski, policjant, który przenika morderców jedną myślą, a jedną ręką wsadza ich do pierdła.*

Błyskotliwe.

— Czy wziąłeś pod uwagę, że bilety w Londynie są drogie? Bussines class w British Airways, i to na chwilę przed odlotem, też swoje kosztuje, podobnie jak apartament w Hiltonie...

— Dlatego polecisz najekonomiczniejszą klasą najtańszych linii, przenocujesz w schronisku skautowskim, a na koncert kupisz sobie wejściówkę.

Tak. Ten człowiek miał poczucie humoru.

8.

Embraer latający w barwach British Airways był nowiutki, przytulny i dawał emocje podróży sporą awionetką. Robert dotrzymał słowa: załatwił miejsce na pierwszy lot do Londynu (siódma trzydzieści). Ciągnęło mnie do Corbetto, ale jednodniowa wizyta w stolicy Albionu była emocjonująca, zwłaszcza stanowiąc etap podróży właściwej. Jedynym pewnikiem czekającego mnie dnia było zaaranżowane przez Bielskiego spotkanie z londyńskim policjantem. Resztę czasu mogłem spędzić wedle własnej fantazji. Sprawdzając poprzedniego wieczoru program londyńskich sal koncertowych (byłem ciekaw, czy Bielski nie wymyślił przypadkiem koncertu w Barbicane Center), trafiłem na informację, że już w najbliższy wtorek na deskach Covent Garden odbędzie się spektakl *Jeziora łabędziego* pod batutą... Damiana Rucacellego! Nie omieszkałbym się wybrać, gdyby nie fakt, że maestro zamierzał podrywać łabędzie do lotu, wówczas gdy ja będę już stąpać po ziemi tokańskiej. Gdy szło o samego mistrza, traciłem niewiele: za kilka dni miał poprowadzić w K. jubileuszową galę ku czci patrona filharmonii. Nie wiedziałem co prawda, czy dotrzemy na czas, ale — wybacz maestro — to nie był priorytet. Natomiast program dzisiejszego wieczoru był jasny i zawierał się w sześciu słowach: London Symphony Orchestra + Schönberg, Berg i Webern.

Pogrążony w miłych rozmyślaniach, analitycznym, a może i przewrażliwionym okiem zauważyłem kilka ponadplanowych przemarszów drużyny opiekującej się pasażerami. Pod maską rzeczowości i makijażu dostrzegłem u stewardess cień poruszenia, wykraczający poza rutynę pokładowych zachowań. Po chwili dało się odczuć pierwsze zejście z wysokości przelotowej. Wkrótce w głośniku rozlegnie się dźwięczne „bim”, a szefowa personelu poinformuje o rozpoczęciu zniżania, które za dwadzieścia minut zakończy się lądowaniem na lotnisku Heathrow. „Bim” owszem, rozległo się. Co do reszty, byłem w błędzie.

— Szanowni państwo. Informujemy, że w związku z niesprzyjającą pogodą w Londynie samolot nasz rozpoczął schodzenie do lądowania na lotnisku Deurne w Antwerpii. Za niedogodność powstałą z przyczyn od nas niezależnych serdecznie przepraszamy. Jednocześnie informujemy, że przedstawiciel naszych linii lotniczych udzieli państwu wszechstronnych informacji odnośnie dalszych możliwości podróży do Londynu.

Dziwne. Tam, gdzie się znajdowaliśmy, widoczność była doskonała. Nad Londynem musiała przetaczać się solidna i długotrwała burza. Wszczął się harmider pełen chaotycznych pytań. Stewardessy nie nadążały z udzielaniem odpowiedzi. Cierpliwość pasażerów i załogi wyczerpywała się w sposób widoczny gołym okiem. W końcu szefowa umundurowanych pań zniknęła w kokpicie samolotu. Po krótkiej chwili w głośnikach rozległ się wyraźny męski głos, który najpierw po angielsku, a następnie po polsku oznajmił:

— Szanowni państwo. Zmiana destynacji wynika z faktu, że na lotnisku Heathrow ogłoszono alarm bombowy.

Po tej krótkiej, acz treściwej enuncjacji pasażerowie zamilkli. W jej obliczu dalsze dyskusje traciły sens. Kwadrans później kołaembraera dotknęły płyty lokalnego lotniska w

Antwerpii. Ze względu na niewielkie rozmiary byliśmy jedną z niewielu typów aeromaszyn mogących tu wylądować. Wedle informacji uzyskanych u rezydenta BA, niebo nad Anglią było całkowicie zamknięte. Większość samolotów zmierzających na Wyspy zostało dość sprawiedliwie rozrzuconych po większych lotniskach (Bruksela, Amsterdam), zaś część lądowała w portach lotniczych Francji i Niemiec. Cała sytuacja miała w sobie coś z przygody, chociaż powody tak radykalnej zmiany portu docelowego były bardzo niepokojące. Pocieszałem się myślą, że większość alarmów bombowych bierze się z gapiostwa podróżnych, zostawiających bagaż bez opieki. Natomiast moje plany osobiste ulegały dalszej komplikacji. Ciekaw byłem, kiedy uda mi się dotrzeć do Londynu.

Odpowiedź przyszła szybko. Przedstawiciel British Airways odradził podróż w dniu dzisiejszym, bowiem lotniska i dworce brytyjskiej stolicy były chwilowo sparaliżowane. Otrzymaliśmy za to tak zwane vouchery, honorowane w hotelach współpracujących z angielskimi liniami, oraz zaświadczenie uprawniające do przelotu liniami BA lub przejazdu pociągiem Eurostar na odcinku Bruksela-Londyn.

Zatelefonowałem do pana Andrew Krawczyńskiego ze Scotland Yardu.

— Wiem, nic pan nie musi mówić — usłyszałem w słuchawce. — Mamy tu urwanie głowy. Alarm pewnie fałszywy, ale dzisiaj i tak nie miałbym czasu. Najlepiej niech pan poczeka do jutra, a rano wsiądzie w pociąg. Proszę zadzwonić, gdy tylko pan przyjedzie. Będę do dyspozycji.

Wskazówki brzmiały na tyle jednoznacznie, że postanowiłem się nie spieszyć. Najbardziej żał mi było straconego wieczoru w Barbicane Center, ale przecież w Brukseli też odbywały się jakieś koncerty. Zresztą, czy nie warto było przekonać się, co los ma mi do zaproponowania? Miał to i owo w zanadrzu, choć zaczęło się dość turystycznie.

Łądując tak nieoczekiwanie w miejscu słynącym z urody, a znanym mi dotąd jedynie ze słyszenia, postanowiłem wykorzystać okazję. Lotniskowy autobus odwiózł pasażerów do centrum miasta, pod masywny budynek przypominający świątynię lub pałac, który okazał się... stacją kolejową. Sprawdzając częstotliwość połączeń do Brukseli (imponującą: raz na pół godziny), przekonałem się, że wewnątrz zabytkowej budowli naszpikowane jest nowoczesnością.

Bezpośrednio z dworcem sąsiedował ogród zoologiczny. Natomiast w kierunku starej części miasta wiodła szeroka aleja pełna kawiarni i restauracji, przechodząca w elegancką ulicę sklepów ulokowanych w murach wiekowych kamienic. Unoszący się w powietrzu zapach sprowokował mnie do spróbowania tak zwanych wafli, kształtem przypominających nasze gofry. Palce lizać.

Po kwadransie dotarłem do okazałej katedry pełnej wyrafinowanych szczegółów na zewnątrz, w środku zachwycającej amboną niesłychanego kunsztu oraz dwoma monstrualnymi płótnami antwerpijczyka Petera Paula Rubensa. Tuż obok kościoła znajdował się plac z olśniewającym ratuszem; na własne oczy przekonywałem się o urodzie klasycznego *oude markt* — starego rynku, z których słyną miasta Flandrii. Rozsiane w licznych punktach sklepiki oferowały specjalności koronkarskie i czekoladowe. Cała architektura starówki miała w sobie coś z koronkowości właśnie: bogactwo zdobień, dbałość o najmniejszy detal, a zarazem ażurowość, jakby budowle unosiły się w powietrzu. Nie oparłem się pokusie zakupu pudełeczka czekoladek dla Antosi. Godiva to ponoć jedna z najlepszych marek.

Usiadłem w kawiarence na wolnym powietrzu i popijając zimną oranżadę, kontemplowałem pomnik przedstawiający człowieka rzucającego trudnym do rozpoznania przedmiotem. Sympatyczna blond kelnerka opowiedziała mi pokrótce historię olbrzyma imieniem Druon Antigoon. Był to typ wysoce nieprzyjemny; za każdorazowe skorzystanie z mostu nad Skaldą pobierał od mieszkańców haracz. Niechętnym do płacenia Antigoon odcinał



dłoń i wrzucił ją do rzeki. Znalazł się wszakże śmiałek, rzymski żołnierz Silvius Brabo, który odpłacił olbrzymowi dokładnie taką samą monetą. Legenda dała miastu nazwę: Antwerpen (*hand werpen* — rzucać dłonią).

Opowieść uprzytomniła mi, że wbrew pozorom nie przyjechałem tu na wakacje. Co prawda, całkiem szybko zlokalizowałem jednego takiego, co urywał ręce, jednak nie był to mój „Struniarz”.

Zmodyfikowaną drogą — zahaczając o niewielkie dzielnice: chińską i afrykańską, oraz całkiem spore: arabską i żydowską (największe skupisko żydów ortodoksyjnych w Europie i największa giełda diamentowa na świecie) — powróciłem do punktu wyjścia.

Podróż koleją trwała niedługo; w niespełna pół godziny byłem już na podziemnym peronie stacji Brussel Centrum. Wszechobecny zapach smażonej cebulki aromatycznie udowodniał, że istnieje jeszcze alternatywa dla hamburgerów macdonaldowskich.

Czy znacie to uczucie? Po raz pierwszy odwiedzane miejsce ma co najmniej dwa wyjścia (a więc i wejścia). Możecie długo się wahać, zmieniać decyzję kilkakrotnie, a jednak koniec końców skierujecie się do niewłaściwego. W tej specyficznej — acz posiadającej proste i ściśle ustalone reguły — dyscyplinie miałem niemałe osiągnięcia. Do najbardziej spektakularnych należało premierowe wkroczenie w mury naszego konserwatorium — przez okno (w niemożności znalezienia jakiegokolwiek wejścia w ogóle) oraz półgodzinny rajd z ciężkimi bagażami wokół rozległego niczym Jezioro Bodeńskie dworca Roma Termini. To oczywiście — powie ktoś — w końcu te wszystkie opowieści o altowiolistach nie rodzą się w próżni. OK — odpowiem — jednak tym sposobem to właśnie my doświadczamy więcej, wystawiając pierś na zefirek nieznanego i deklarując gotowość wypicia kefiru przygody.

Przechodząc przez handlową galerię Ravenstein, znalazłem się nagle w połowie ubiegłego wieku. Choć estetyka — schody, marmury, wysoki sufit i mozaikowe płytki na ścianach — nieodparcie kojarzyła mi się z toaletą w stylu socrealistycznym, poczułem ulgę, że szacowne miasto europejskie nie składa się z samych tylko budowli bardzo starych albo też zupełnie nowoczesnych. Wychodząc z pasażu, natknąłem się na najważniejszą salę koncertową Brukseli — Bozar (ta nazwa to typowo belgijski kompromis lub pragmatyzm, jak kto woli: francuskie określenie — *Palais des beaux-arts* — zapisane po niderlandzku). O dwudziestych brukselskich filharmonikach mieli zaprezentować utwory Siergieja Rachmaninowa i Richarda Straussa. Już wiedziałem, gdzie spędzę wieczorne godziny.

Pani w kasie zapewniła, że z wejściówkami nie będzie problemu. Poinformowała mnie również, że właściwa część starej Brukseli znajduje się — jakżeby inaczej — po drugiej stronie dworca... Rzeczywiście, w rozległej niecce mościła się urodziwa brukselska starówka. Pierwsze kroki skierowałem przed okazałą katedrą św. Michała i św. Guduli. I tu czekała mnie niespodzianka. Plakat przed wejściem głównym oznajmiał, że o godzinie osiemnastej odbędzie się koncert akademickiego chóru *Pro Arte z... K.*, prowadzonego przez moją koleżankę ze studiów.

Do występu chórzystów miałem jeszcze pełną godzinę, którą postanowiłem wykorzystać na złożenie wizyty najważniejszej postaci Brukseli; niejakiemu Manneken Pis, czyli posążkowi siusiającego chłopca.

Jeśli statystycznego obywatela naszego kraju zapytać o początki rodzimej literatury, to w zakamarkach pamięci odnajdzie pewnie nazwisko Jana Kochanowskiego i — może również — Mikołaja Reja.

Z muzyką byłoby pewnie trudniej.

— Chopin? — Niepewnemu głosowi zaakompaniuje spojrzenie pełne nadziei, że

jedynym godnym zapamiętania kompozytorem znad Wisły był ten fenomenalny młodzieniec o jakże polsko brzmiącym nazwisku.

Niech kilka przykładów (podkreślam wyrywkowość szkicu) zaświadczy, że nie miałby racji.

Zacznijmy od Mikołaja z Radomia, twórcy średniowiecznego, którego najbardziej znanym utworem jest panegiryk muzyczny *Hystorigraphi aciem mentis* z roku 1427 na cześć pary królewskiej: Władysława Jagiełły i Zofii Holszańskiej oraz ich potomka — Kazimierza Jagiellończyka.

Ze wspomnianym już Janem z Czarnolasu wiąże się postać kolejnego z twórców wartych odnotowania. Szesnastowieczne *Melodie na Psalterz Polski, przez Mikołaja Gomółkę uczynione przekładania Jana Kochanowskiego* są ich wspólnym dziełem. Polska muzyka i polskie słowo (tłumaczenie starotestamentowych tekstów): oto w praktyce realizowane idee renesansu. Psalmi Gomółki, przeżywające od niedawna renesans w innym tego słowa znaczeniu, uderzają świeżością, a obcowanie z nimi jest na równi wyprawą w przeszłość, co i doznaniem czysto estetycznym.

Przenieśmy się w czasy baroku. Oto Adam Jarzębski i jego *Canzoni e concerti* z 1627 roku — zbiór dwudziestu siedmiu utworów na różne zestawy instrumentalne, wśród nich słynna *Tamburetta*, drobiazg iście wirtuozowski. Jarzębski był również architektem oraz twórcą pierwszego rymowanego... przewodnika po stolicy — *Gościniec, abo krótkie opisanie Warszawy*. Korzystano z niego przy powojennej rekonstrukcji Starego Miasta, zaś bystry obserwator dostrzeże na ścianie jednej z kamienic placu Zamkowego tablicę pamiątkową poświęconą imć panu Adamowi.

Józef Elsner to przedstawiciel stylu klasycznego. Twórca niezliczonej ilości dzieł scenicznych, religijnych, wokalnych i instrumentalnych, zarazem prominentny członek loży wolnomularskiej — z tytułem mistrza katedry w Świątyni Stałości włącznie — przetrwał w pamięci potomnych głównie jako... nauczyciel Fryderyka Chopina.

O tym ostatnim mówić nie będziemy. Wystarczy, że zawłaszczył — i nie bez dobrych powodów — prawie cały splendor należny muzyce polskiej. Chciałbym za to wspomnieć o innym dziewiętnastowiecznym kompozytorze i pianiście, którego *Kwintet Fortepianowy g-moll* słusznie uchodzi za dzieło wybitne. Mowa o przedwcześnie zmarłym uczniu Franciszka Liszta — Juliuszu Zarębskim.

Gwiazdą swoich czasów był wirtuoz innego instrumentu, podbijający ówczesną Europę wzdłuż i wszerz. Mowa o Henryku Wieniawskim — nawiasem mówiąc wykładowcy Konserwatorium Brukselskiego — którego utwory znajdują się do dziś w repertuarze każdego szanującego się skrzypka.

Stanisław Moniuszko uchodzi za twórcę opery narodowej. O najsłynniejszych: *Halce* i *Strasznym dworze* nie trzeba przypominać. Jego twórczość była w pewnym sensie odpowiednikiem pisarstwa Henryka Sienkiewicza; służyć miała pocrzepieniu serc zniewolonego narodu, co oczywiście nie odbiera jej walorów artystycznych. Moniuszko skomponował także imponującą liczbę pieśni, zebranych w cyklu dwunastu śpiewników domowych. Założę się, że chociaż jedną z nich większość Czytelników (zwłaszcza z Łodzi) byłaby w stanie zanucić: *U prząsniczki siedzą jak anioł dziewczeczki, przędą sobie, przędą jedwabne niteczki...*

Ignacy Jan Paderewski jest w tej szczęśliwej sytuacji, że zapisał się w historii Polski dla kilku powodów. Ten wirtuoz fortepianu, kompozytor opery *Manru* i *Symfonii Polonia*, w roku 1915 założył wraz z Henrykiem Sienkiewiczem Szwajcarski Komitet Generalny Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. Temperament polityczny doprowadził go 16 stycznia roku 1919 do funkcji premiera RP, piastującego zarazem stanowisko szefa dyplomacji. W pewnym sensie jest

tak do dzisiaj; jego *Koncert Fortepianowy a-moll op. 17* pozostaje znany głównie za oceanem.

Mieczysław Karłowicz. To jeden z najczystszych talentów w historii muzyki polskiej. Osiągnął wiele, ale w zdobyciu szczytów artystycznych przeszkodziła mu pasja zdobywania szczytów górskich. 8 lutego 1909 roku zginął przygnieciony lawiną na zboczach Małego Kościelca, w wieku zaledwie trzydziestu trzech lat.

Oto Karol Szymanowski, artysta spełniony, jedna z najjaśniejszych gwiazd polskiej muzyki. Stawianie go na równi z takimi mistrzami jak Béla Bartók czy Igor Strawiński jest w pełni uprawnione, choć muzyka każdego z nich przesiąknięta jest na wskroś indywidualnym rysem. Twórczość Szymanowskiego dość długo przebijała się do powszechnej świadomości melomanów. Dziś można już powiedzieć, że począwszy od skrzypcowych *Mitów* aż po *Stabat Mater* i operę *Król Roger* zdobyła sobie prawo stałej obecności na estradach świata, który docenił jej urodę i oryginalność.

Lata wojny z oczywistych powodów nie sprzyjały twórczości artystycznej, podobnie zresztą było po jej zakończeniu, kiedy to polityka — przynajmniej w naszej części Europy — wyznaczała kierunki rozwoju sztuki (surrealizm nie ominął również sfery dźwięków). Sytuacja zmieniła się po odwilży politycznej spowodowanej śmiercią Stalina. W roku 1956 powołano do życia Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”, który stał się forum nieskrępowanej wymiany prądów i postaw artystycznych dojrzewających po obu stronach żelaznej kurtyny. Wkrótce potem w świecie zrobiło się głośno o tak zwanej szkole polskiej. Nazwa nie dotyczyła wspólnej estetyki, bo trudno porównywać neoklasycyzm Grażyny Bacewicz (no, nareszcie mamy kobietę w tym zmaskulinizowanym gronie!), aleatoryzm Witolda Lutosławskiego, sonoryzm wczesnych dzieł Krzysztofa Pendereckiego, surowe piękno muzyki Henryka Mikołaja Góreckiego czy romantyzm cechujący utwory Tadeusza Bairda. Chodziło raczej o niezwykłą eksplozję tak przeciwstawnych talentów w jednym miejscu i zbliżonym czasie.

Jeśli chodzi o kompozytorów tworzących współcześnie, to... pozwólmy im spokojnie pracować. Nic gorszego niż zaliczać aktywnych twórców do kategorii pomnikowej. Nie bez powodu nasza poetka noblistka zwykła była nazywać moment otrzymania najbardziej prestiżowej nagrody literackiej mianem „katastrofy sztokholmskiej”.

Z satysfakcją pragnę jedynie uspokoić: muzyka polska ma się dobrze.

— Bartek! Czy mnie moje piękne oczy nie mylą? To naprawdę ty? Oczywiście bez altówki się nie ruszasz?

— Niektórzy chodzą z aktówką, a mężczyźni z... altówką! — wygłosiłem *ad hoc* wykute motto.

W potężnych murach gotyckiej katedry szlachetnie zabrzmiały motety Mikołaja z Lublina, msza Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego i inne stopniowo kroczące ku współczesności utwory. Występ zakończyła przepiękna pieśń chóralna *Totus Tuus Maria* Henryka Mikołaja Góreckiego.

Danusia była rozradowana. Miała powody; koncert wypadł ujmująco. Znająca się na rzeczy publiczność brukselska nie szczędziła braw, a nawet okrzyków uznania.

— Co ty tu robisz?

— Ach, długo by opowiadać...

— To się świetnie składa! Jesteśmy zaproszeni do Parlamentu Europejskiego. Idziesz z nami! — oznajmiła raczej, niż zapytała. — Duża impreza — dodała tonem znaczącym i wyrazistym.

Należało poddać się losowi. Świtający mi jeszcze chwilami wieczorny wyjazd do

Londynu ostatecznie spisałem na straty. Podobnie jak koncert filharmoników brukselskich.

W okazałym budynku należącym do EU promował się tego wieczoru jeden z regionów Rzeczypospolitej. Któryś z europosłów zaangażowanych w organizację koncertu *Pro Arte* stwierdził, że można wykorzystać obecność śpiewających akademików i wzbogacić promocję o ich zaimprovizowany występ. Chórzyści — brać i siostrę podatna na inspiracje i gotowa śpiewać, gdzie się tylko da — zostali dodatkowo zmotywowani lokalnymi specjałami; ciężarówka nimi wypełniona przed dwiema godzinami dotarła do europejskiej stolicy. Zapowiadało się nieźle.

Impreza rozwijała się w błyskawicznym tempie. Już wkrótce nikt (łącznie z chórzystami) nie był szczególnie zainteresowany występem. Artysta malarz, którego prace uświetniały dwie ze ścian pawilonu, tracił powoli kontakt z rzeczywistością. Jedynym, co jeszcze tliło mu się w oczach, była chęć znalezienia towaru płci przeciwnej. Obcokrajowczynie nie wchodziły w grę; jego wątpa znajomość języków obcych uległa pod wpływem alkoholu całkowitej atrofii. Prawdę mówiąc, nawet w rodzimym języku malarz nie był już w stanie wyartykułować swych potrzeb, stąd ten wzrok, w jego — ale tylko w jego — pojęciu męski i uwodzicielski. Mistrz pędzla był tego wieczoru skazany na brak sukcesów.

W różnych punktach zgromadzenia dawało się zauważyć marsowe miny. Skórzane marynarki i rozbiegane oczka wybrańców narodu dodawały godnej oprawy paneuropejskiemu przedsięwzięciu. Co ciekawe, mężowie ci doskonale wiedzieli, gdzie przebiegają strategiczne linie przyjęcia. Ustawiali się na trasie kelnerów, którzy docierali do większych skupisk gości z tacami przeważnie oskubanymi do czysta. Widać było, że ludzie ci godnie odnaleźli się w Brukseli i — używając flamandzkiego określenia — wiedzą, gdzie Abraham trzyma miód. Nieźle muszą ich tu głodzić, nasuwała się refleksja.

— *Hi, man, could you explain to me, exactly why is Zoladkowa Gorzka sweet?*

Naiwny przedstawiciel ustabilizowanej demokracji. Sądził, że w pół godziny odkryje jeden z elementarnych paradoksów polskiej monopolistyki...

Spojrzenia coraz większej grupy obcokrajowych gości, nienawykłych do aż tak intensywnych spirytualiów, zaczęły się maślaczyć. Wyraźne braki kondycyjne i treningowe. Nie to, co nadwiślańskie zuchy. Jeśli kiedyś wątpilem w rolę, jaką mają do odegrania nasi eurodeputowani, teraz chyliłem przed nimi czoła. Zmarszczki między oczami pogłębiały się, wzrok posępniał, a zarazem szklął jakoś tak szlachetnie. Gdyby mieli szabelki, pewnie zaczęliby nimi pobrzękiwać. Zza pasów wyciągaliby króćce, by palić do portretów Roberta Schumanna (tego od Unii Europejskiej) i jego świty. A co tam! Niechby wiedzieli, jak to u nas bywało i ciągle być potrafi. Ci tu, nudni, przewidywalni do bólu, pewnie by nawet nie próbowali zrozumieć... Tfu!

Nagle jeden z posłów pierwszej kadencji (a może z wyborów uzupełniających) dał się ponieść sytuacyjnemu, choć nie do końca uzasadnionemu, patosowi. Zdecydowanie za mocno umoczył żółtodziób i nic już nie mogło go powstrzymać. Z głośnym okrzykiem „Jebudu!” wskoczył na któryś z blatów pomocniczych, uginających się pod prężierzem wszelkiego rodzaju garmażu. Jego nóżki zdetronizowały zimne nóżki w galarecie, zaś niezaprzeczalnie jedyna w swoim rodzaju sałatka warzywna, zespolona najlepszym majonezem świata, czyli Winiary Delikatesowym, eksplodowała tryumfalnie. Uwolnione europoselską dezynwolturą groszki zaterkotały po twarzach i korpusach otaczających niczym serie z karabinu narodowej chwały. Chwat wykonał następnie początek *Wielkiego Poloneza As-dur* Chopina; niestety, już na wstępie trafił obcasem na śledzia w śmietanie, co w równym stopniu zbiło obu zainteresowanych, przy czym pierwszego — z pantałyku (czykolwiek by on był), zaś drugiego — z talerzyka. Nie mówiąc już o Chopinie, który miał prawo czuć się niedowartościowany, bowiem początek jego

arcytworu został odśpiewany wyjątkowo niechlujnie. Bohater doskonale stopniował napięcie; wyskandował teraz dwukrotnie „So-li-darność!”, po czym uraczył zebranych znakiem, który w jego pojęciu komponował się w symbol Victorii. Zapomniał jednak odwrócić dłoń; to, co widział, było faktycznie literką V, jednak pozostali nie mieli wątpliwości, że poczęstował ich ogólnie rozpoznawalnym w świecie zachodnim symbolem: *fuck off*. Jeśli powiedziałbym, że audytorium zamarło w zachwycie, byłaby to jedynie część prawdy. Ale szlachetny zapaleniec postanowił dobić miąższość kulturową i osobowościową „tychktórzynicznierozumieją”, uderzając precyzyjną antytezą:

— Za wolność waszą i naszą — zdrowie wasze w gardło moje! — Gracko niczym jelec szabli pochwycił szyjkę najbliższej z butelek Chopin Vodka (jakby chciał zadośćuczynić kompozytorowi kiepską interpretację poloneza) i zaczął walić z gwinta. Nadzwyczajna promienistość zachodniej słowiańszczyzny przyćmiła wszystko, co do tej pory europarlament widział, a trzeba przyznać, że widział już niejedno.

Oto jak jeden z naszych osobistą odwagą i fantazją potrafił w ułamku chwili wziąć na swe barki trud całej kadencji. Bo co tam oni będą potem radzić, nudzić i spierać się. Do historii przejdzie jego wyczyn. Nie trza się oszczędzać w służbie ojczyzny — głosiło zawołane przesłanie. Faktycznie; w moim liceum do dzisiaj najczęściej wspominano kolegę, który nie tylko podpalił kontrabas, ale grał na nim aż do pierwszych oparzeń.

No cóż, lubię folklor oraz imprezy, ale nie zawsze i nie wszędzie. Przy zastanawiającej bierności eurokolegów (być może niektórzy pozazdrościli błyskotliwego pomysłu, choć nie wykluczam, że zielenieli z innego powodu; pozostali nie reagowali z wyrachowania lub braku pomysłu na przerwanie spektaklu), postanowiłem zadziałać. Przy próbie oporu gotów byłem wyraźnie oznajmić, gdzie mianowicie mam immunitet euroidioty. Wbiłem się klinem w zauroczony tłumek. W chwili uzyskiwania bliskości operacyjnej po drugiej stronie łykającego posła dostrzegłem kogoś jeszcze. Poznałem go natychmiast, pomimo zauważalnych zmian w wyglądzie (czytaj: paru kilogramów więcej oraz długich, gładkich włosów, które zastąpiły wcześniejszą prawie łysinę).

Znaliśmy się od czasów, gdy był jeszcze chłopakiem (narzeczonym?) zjawiskowo pięknej wiolonczelistki imieniem Wanda, której czar działał również na mnie. Podejrzywałem, że facet manipulował dziewczyną, aby wydostać ode mnie informacje dotyczące zagadki Rosenberga. Ba, wiele wskazywało, że to właśnie on komenderował grupą skinów, którzy pobili Konrada i zniszczyli moją altówkę. Ale — już wówczas zaangażowany w politykę — wiedział, jak i kiedy się wycofać, aby jakiegokolwiek odium nie skaziło jego reputacji.

To był Jędrzej Jędrzejczyński.

— Stary, upierdoliłeś się, więc teraz pozwól to innym zrobić w spokoju — syknął ledwo słyszalnie w kierunku euroshowmana. Wierzch jego prawej dłoni niezauważalnym, lecz dobrze mierzonym ciosem tuż poniżej kolana podciął nogę i pion ideowca. Spadającego jak niemowlę Jędrzej uchwycił w kołyskowe objęcia. Czyżby dorabiał jako babysitter? Miał siłę były ukochany Wandy, oj miał. Podejrzywam, że większość brukselskiego czasu spędzał na siłowni. Te dodatkowe kilogramy to nie był tłuszcz, jeno mięśnie powstałe w procesie tak zwanego pakowania. Wytracony z rytmu performer nie wypuścił butelki z dłoni. Szacunek wobec narodowego wieszacza dźwięków nie pozwalał. Jędrzej postawił kolegę na nogach i szepnął mu coś do ucha. Tamten zaczerwienił się i z niebezpiecznie pogłębiającym się odruchem cofkowym w okolicach krtani czym prędzej podążył w kierunku toalety. Asekurowaliśmy go. Zdążył. Nareszcie coś mu się udało. Trzeba było zastanowić się, co dalej.

— Co u ciebie, Bartosz? — Jędrzej zaskoczył mnie. Aż do tej chwili nie byłem pewien, czy mnie w ogóle poznał. Musiał być zaskoczony nie mniej niż ja, ale skutecznie maskował

zdziwienie. Polityk w końcu. Ciekawe; jego partia pożegnała się z europarlamentem. Z izbą krajową również. On zaś trwał. Widać przesłanie, które pchnęło go ku polityce, nie pozwalało mu z niej odejść. Przynajmniej do czasu. Nie od dziś wiedziałem, że jest sprytny i pozbawiony skrupułów. Posiadał też niewątpliwie umiejętność wykorzystywania osobistego wdzięku. I poznał podstawowe kroki przedwyborczego tańca św. Wita. W tym przypadku — Europarlament Wita. Czego bym jednak nie pomyślał, nie zmieniało to faktu, że pomógł mi w zakończeniu skandalicznego popisu.

— U mnie w porządku. Jak widzisz, nie opuszcza mnie umiejętność pojawiania się we właściwej chwili i we właściwym miejscu.

Do Jędrzeja podeszła piękna, długowłosa dziewczyna o ciemnych oczach i oliwkowej cerze. Długie, szkarłatnie pomalowane paznokcie — żadne tam tipsy — pieszczotliwie podrapały europośła w szyję.

— Andrea, kto to? — spytała głosem chrapliwym i rozpieszczonym. Po angielsku. Andrew pozytywnie mnie zaskakiwał.

— *This is Bartosz Czarnoleski, my old buddy.*

Jechał po bandzie. Językowo i merytorycznie.

— *The Hero from K.?* — Uśpiona kotka ożywiła się. — To jego miałeś na myśli, mówiąc, że takich powinno się wystrzelać? — dodała nagle po włosku. Andrea najwyraźniej nie zrozumiał. Ja tak. Każde słowo.

Dziewczyna przyglądała mi się z uwagą. Z wrodzonej skromności nie przypisywałem tego osobistym walorom. Raczej zainteresowaniu potencjalnym kandydatem do odstrzelenia. Zrewanżowałem się spojrzeniem pełnym uwagi. Była piękna. Tak piękna, jak piękne potrafią być Włoszki. Urodą jesiennych winobrań... Co by nie mówić, gust Jędrzeja w doborze życiowych partnerek ustabilizował się na wysokim poziomie. W jakim kierunku ewoluowały inne cechy polityka, trudno było ocenić na podstawie tak lakonicznej konwersacji.

Uwaga Franceski nie dawała mi spokoju. Mogła być, ot, tak, od niechcenia rzuconym żarcikiem. Ale poczułem znane mi z przeszłości uczucie: trudno uchwytnego i zupełnie niewytłumaczalnego osaczenia.

Przez rok panował w moim życiu jaki taki spokój. Wcale liczne i poważne dylematy wolne były od zabarwienia kryminalnego i sensacyjnego. Aż tu nagle... W ciągu jednego tygodnia dwa morderstwa, z którymi w jakiś sposób jestem powiązany, wiadomość o ucieczce księżycowych sylwetek (wraz z ich ofiarami robi się już pięć trupów, a gdyby dodać jeszcze „króliki doświadczałne” skrzypka — mamy siódemkę). Przedwczoraj natykam się na znanych z ciężkiej ręki i takiegoż pomysłu ekskumpli Jędrzeja, zaś dziś — w drodze na spotkanie z londyńskim policjantem, zakłóconej alarmem bombowym na lotnisku — natykam się na samego europośła, uprzejmego, owszem, ale zarazem wygłaszającego na boku opinie, że powinno się mnie odstrzelić... Całkiem sporo jak na tydzień z życia altowiolisty. Czułem się niczym surfer miotany sprzecznymi prądami, do pewnego tylko stopnia mający wpływ na kierunek podążania.

— Francesca, *darling*, daj mi trochę porozmawiać ze starym, dobrym znajomym. — Jędrzej osłodził zdanie pieszczotliwym dotknięciem policzka dziewczyny. Jak dla mnie, jego słowa i gesty pełne były dwuznaczności. Nie miałem nic przeciwko obecności pięknej Włoszki, ale ta, krokiem godnym modelki raczej niż deputowanej, odpływała już w inny kąt — na szczęście obszernej — euoprzestrzeni.

— I widzisz, z jakimi głupcami ma się tu do czynienia? Jak dzieci, a właściwie gorzej... — Jędrzej mówił z troską. Chyba faktycznie się przejmował. Może byłem w stosunku do niego uprzedzony?

— Ładną masz dziewczynę. — Jakoś zupełnie nie wiedziałem, o czym gadać z tym

gościem.

— Głupia dupa, ale reprezentacyjna — machnął ręką lekceważąco. Coś musiało mu zaiskrzyć, bo spytał: — A nie wiesz, co tam u naszej Wandzi? — Spojrzał z uwagą.

Naszej? Moja nigdy nie była. Ciekawe, czy ją również traktował w podobnych kategoriach?

— Wanda jest w Szwecji...

— Z tym dyrygentem? — Był całkiem niezłe zorientowany.

Ale miał rację; urokowi wiolonczelistki nie oparł się nawet wytrawny koneser kobiecych wdzięków, maestro Damian Rucacelli.

— Pobrali się. Prawdziwa miłość — mówiłem bez przekonania; w dalszym ciągu nie mogłem odnaleźć łatwości rozmowy z Jędrzejem. Coś mi przeszkadzało.

— A jak twoja śliczna Antonia? Ciągle we Włoszech? Bo coś mi się obilo o uszy, że wraca na ojczyzny łono...

Ciekawe, nie wie, co się dzieje z Wandą, a zna plany Antosi, której — o ile mi było wiadomo, a było mi wiadomo — nigdy osobiście nie poznał.

— Jest we Włoszech — odparłem niechętnie. — W naszym domu...

— A prawda! Właściwie nigdy nie miałem ci okazji pogratulować. Taką chatkę wyhaczyć, no, no... Przesadzają z tymi altowiolistami. Albo ty jesteś wyjątkiem... — Jego usta uśmiechały się jeszcze, ale oczy zwężyły już, pochłodniały i patrzyły na mnie, powiedzmy, bez sympatii... — I nie boi się? Sama w takim wielkim domu? — Fałszywa troska aż kapnęła mu z ust. Nie podobała mi się ta uwaga.

— A czegoż miałyby się bać? Jest wśród życzliwych ludzi i w towarzystwie mojego psa...

— A nie, skoro tak, to faktycznie... Nie przejmuj się, to taki stereotyp: samotna piękna dziewczyna i wielka willa z wieżyczką; wymarzona sceneria do thrillera...

— Skąd wiesz, że z wieżyczką? — Jasnowidz, czy jak, do cholery?

Do Jędrzeja podszedł jakiś mężczyzna, który niedbale otaksował mnie wzrokiem. Zbyt pobieżnie, wysnuł bowiem niewłaściwy wniosek:

— Panie pośle, zgodnie z instrukcją mam oko na wszystko i na wszystkich, widzę, co robią, słyszę, co mówią... — odezwał się niezaprzeczalnie poprawną polszczyzną...

— Pozwól, że ci przedstawię, to jest pan Dobrosław, nasz nieoceniony współpracownik. — Jędrzej zaanonsował gościa enigmatycznie, przerywając zarazem potok słów adresowanych tylko do jego uszu. Spłoszony nieoceniony zmył się jak niepyszny. Ale Jędrzej nie dał się zbić z tropu.

— Posiadłości w Toskanii mają przecież wieżyczki? — zareagował przytomnie. — Niejedną widziałem. Na zdjęciu! — dodał i wybuchnął śmiechem. Miał rację, byłem przewrażliwiony.

— Zresztą właśnie tam jadę, co prawda przez Londyn, ale pojutrze będę na miejscu...

— Przez Londyn? Żartujesz?!

— A co w tym takiego dziwnego? — Chyba on żartował.

— No, bo jesteś w Brukseli... Czyżbyś śpiewał w tym — zniżył dwuznacznie głos — mieszanym chórze? I lecisza do Włoch przez Londyn? Trochę jakby nie po drodze...

— Jędrzej, nie gniewaj się, ale twoje zainteresowanie mną... nami... przekracza grzecznościowe formy...

— Dobrze już, dobrze — pojednawczo klepnął mnie w plecy. — Teraz ty mi wybacza, muszę cię zostawić na chwilę samego. Wiesz, ten idiota... — Wskazał głową w kierunku toalety, z której do tej pory nie wytoczył się niedoświadczony sarmata. — Ale nie znikaj, bo w końcu

mam tu z kim pogadać... — Chciał mnie ująć lub rozmiękczyć zawołanym komplementem.

Tłum zaproszonych wymieszał się bardzo równomiernie. Nadwiślańskie przekąski i przepitki służyły zbliżeniom; ciekaw byłem, ile z nich przetrwa do następnego ranka? Właściwie miałem już dosyć. Czego jeszcze mógłbym się tu spodziewać?

Odnalazłem Danusię, która z wypiekami na twarzy nawiązywała kontakty chóralne z amatorami zbiorowego śpiewania z Holandii, Francji i Hiszpanii. Podziękowałem, pożegnałem się i postanowiłem poszukać hotelu najbliższej stacji Brussel Zuid — terminalu linii Eurostar. Gdy przeciskałem się przez tłum, do strzegła mnie Francesca. Uśmiechnęła się promiennie i podeszła na odległość kroku.

— *Questo tizio è un serpente* — wyszeptała po włosku, zupełnie nie zmieniając wyrazu twarzy. Spojrzałem w jej ciemne oczy, w których czało się dużo więcej inteligencji, niż sądził Jędrzej. Skinąłem głową. Nie powiedziała mi nic nowego, a przecież... Zrobiła to z jakąś intencją.

Gdy już prawie wychodziłem, dopadł mnie zdyszany Jędrzejczyński.

— Przecież prosiłem cię, żebyś na mnie poczekał — rzekł tonem łagodnej wymówki. — Masz dość? Ja też. Wydałem dyspozycje co do tego kretyna. Albo szybko wyciągnie wnioski, albo długo tu miejsca nie zagrzeje...

Ciekaw byłem, jak na podobny występ podopiecznego zareagowałby pracodawca jakiegokolwiek innej firmy? Dałby mu jeszcze jedną szansę?

— To jak masz zamiar dostać się do Londynu? — Spojrzał na mnie uważnie. — Osobiście sugeruję ci pociąg. Najlepszy jest pierwszy, ten przed siódmą. W Londynie jesteś o ósmej rano ich czasu. Cały dzień do dyspozycji.

Był nieźle zorientowany.

— To by mi odpowiadało, ale pewnie wtedy jest największy ścisk. Jeszcze po tym dzisiejszym alarmie...

— Tłok jak cholera — zgodził się — ale w ciągu dnia bywa jeszcze gorzej. Wiem z doświadczenia — zareagował na moje pytające spojrzenie. — Czasem jeżdżę na przeceny do Harrodsa...

Garnitur miał rzeczywiście nienaganny. Jako polityk naprawdę dobrze rokował. Inwestował w siebie. W dodatku udzielił mi informacji gratis. Może wiedział coś jeszcze?

— Ale jest pewne rozwiązanie. W każdym składzie europejskim znajduje się pula miejsc zarezerwowanych dla europosłów. Wypiszę ci odpowiedni papier...

Może nawet zamierzał mi pożyczyć paszport dyplomatyczny?!

— Dokument jest imienny, ale jeszcze nie zdarzyło się, żeby ktoś zażądał ode mnie jego okazania. W końcu jakieś przywileje nam się należą, czyż nie? — Uśmiechnął się poselsko.

Jasne. Same przywileje. Jakoś niezręcznie było mi korzystać z jego uprzejmości. A może facet ma solidne wyrzuty sumienia i próbuje coś z nimi zrobić? — pomyślałem. Skoro tak, nie powinienem stawać na drodze moralnego odrodzenia.

— Świetnie, to naprawdę miłe z twojej strony. Znasz jakiś hotel w pobliżu terminalu? — Dawiałem mu jeszcze jedną szansę rehabilitacji.

— Jasne. Z chęcią cię zawiozę.

Zawiózł, choć nie on prowadził. Byłem zaskoczony. Czy każdy europoseł ma do dyspozycji limuzynę z kierowcą? Wychodząc, rzuciłem okiem na numery rejestracyjne. Nie wyglądały na służbowe.

Jędrzej odprowadził mnie do recepcji. Jakoś ciągle nie mógł się ze mną rozstać. Postanowiłem mu to ułatwić.

— Dzięki za pomoc. I do następnego razu...

— No właśnie, kto wie, kiedy to będzie? Wiesz co? Zapraszam cię do baru na drinka.



Pogadamy o starych czasach...

Ulokowany w super wygodnym miejscu, z perspektywą odpoczynku i jasnymi planami na dzień następny, pomyślałem: właściwie dlaczego nie? Zwłaszcza że imprezę w EU zbyłem ledwie jedną żubrówką. Ale postanowiłem się mieć na baczności. Intencje Jędrzeja były niejasne. A w uszach ciągle jeszcze miałem szept Franceski: „Ten facet to wąż”.

— Wiesz, nigdy wcześniej nie miałem okazji, ale... Kwestię odkrycia tego skarbu rozegrałeś po mistrzowsku. Mnie jednak nie daje spokoju co innego. Czy to wszystko?

— Co wszystko? — Jeszcze nie łapałem, o co chodzi.

— No, bo z niektórych artykułów można wywnioskować, że do żydowskiej spółdzielni zgłaszało się więcej chętnych...

Fakt; wojenna działalność Rosenberga i Michalewicza — polegająca na ratowaniu życia i mienia ludzi z tak zwanej podwójnej listy — była skierowana przede wszystkim do najbogatszego grona społeczności żydowskiej. Niemniej nazywanie jej żydowską spółdzielnią nigdy nie przyszłoby mi do głowy... Ale zrozumiałem, do czego zmierza Jędrzej. W niedalekiej przeszłości odbyły się dwie krótkie rozmowy, które powinny mnie były na to przygotować.

Postanowiłem go zaskoczyć.

— Mówisz o *Pamiętniku Sztygara*?

Udało się. Jędrzejczyński na moment wybałuszył oczy i przez tę chwilę wyglądał wyjątkowo mało politycznie.

— Wiesz coś o tym? A może... odnalazłeś go? — wyszeptał w napięciu.

— Nie, nic nie wiem. Tylko raz słyszałem tę absurdalną nazwę. Czemu myślisz, że miałbym go znaleźć?

— Skoro udało ci się odkryć komnatę Rosenberga... — Powoli dochodził do siebie. Zaczynał też rozumieć, że niczego się ode mnie nie dowie. Z braku wiedzy lub chęci. Od tego momentu obopólne zainteresowanie rozmową zaczęło wyraźnie spadać. Jędrzej dopił swojego Hennessy, spojrzął na zegarek i powiedział:

— Zasiedziałem się. Fajnie się gada, ale muszę odbyć jeszcze parę konsultacji.

No jasne. Polityk w służbie ojczyzny powinien być aktywny dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jego najbliższa posługa miała na imię Francesca i nie wątpiłem, że w jej towarzystwie czas będzie mu upływał milej. Zresztą, co ja tak naprawdę wiedziałem o panu europośle? Gdy zegnaliśmy się, poczęstował mnie dziwnym spojrzeniem, którego znaczenia nie potrafiłem odczytać.

## 9.

Zgodnie z przewidywaniami Jędrzeja, na dworcu Brussel Zuid przywitał mnie niewiarygodny ścisk. Chyba pół kontynentalnej Europy postanowiło tego ranka wybrać się do Londynu... Mimo gwałtownego odpływu nadziei postanowiłem zacząć delikatnie.

— Oto zaświadczenie od British Airways... — zacząłem, ale kasjerka nie dała mi dokończyć.

— Niech pan się rozejrzy. Ponad połowa oczekujących ma takie same papierki. Do wieczora pewnie uda nam się to rozładować, ale na razie proszę czekać. Niech pan nie stoi, bo nic pan nie wystoi! — dodała głosem wyższym o pół tonu.

Pani w okienku nie takiego początku dnia oczekiwała. Też była wściekła. Byt kształtuje świadomość?

— Chciałem w pełni demokratycznie, ale skoro to nie skutkuje...

Kobieta spojrzała na mnie jakby w obawie, że wyciągnę z kieszeni pistolet. Broń, którą jej pokazałem, okazała się równie skuteczna.

— Nic pan nie płaci. — Na moje pytające spojrzenie odpowiedziała zdziwieniem. — Przecież kosztą przejazdu pokrywa Parlament.

Zdemaskuj mnie — pomyślałem, a obawę natychmiast pokryłem miną typu: wybraniec kontynentu nie musi pamiętać o rzeczach tak trywialnych jak banknoty... Udało się. Przynajmniej połowicznie. Kobieta nie odważyła się mnie wylegitymować, zapytała jednak:

— Czy pan jest posłem brytyjskim?

— A kto powiedział, że brytyjskim? — Pełnym nonszalancji gestem wziętem do ręki bilet. No wiecie państwo? Cóż za bezczelność! Odmaszerowałem z miną urażonego lorda. Na plecach czułem wzrok będący mieszanką szacunku i nienawiści. Jędrzej mnie nie nabrał. Tylko jemu zawdzięczałem, że wśród tłumu zdeorientowanych i rozwścieczonych czułem się jak wybraniec. On pewnie czuł się tak zawsze. Oczekiwałem jeszcze jednej komplikacji, ale urzędnik sprawdzający dokumenty rzucił tylko okiem na bilet, uklonił się i dał znak, że mogę przechodzić. Po chwili byłem w sektorze, w którym zatrzymywał się mój wagon. Nie muszę chyba dodawać, że pierwszej klasy.

Nagle poczułem, że z drugiego końca peronu nadciąga znana mi, nieomylnie wychwytywana bańka wielkości. Ostatnie dni zdecydowanie rozszerzyły amplitudę intensywności mojego żywota, mimo to pojawienie się tego człowieka w asyście dwóch bagażowych zrobiło piorunujące wrażenie. Mężczyzna dotarł do białej linii, stanął w szlachetnym półrozkroku, po czym zamarł w oczekiwaniu. Dwóch boyów — ubranych w liberię hotelu jeszcze lepszego niż mój — również znieruchomiała, zachowując jednak pozycję na baczność. Musieli mieć bardzo jasne wytyczne, jak zachowywać się w towarzystwie gościa, którego w hotelowych dokumentach oznaczano pewnie kodem SUPER VIP. Byłbym śmieszny, udając, że go nie rozpoznałem.

Damian Rucacelli był postawnym mężczyzną (ciekawe, choć wyższy od niego, nigdy nie myślałem o sobie w podobnych kategoriach; dziś zrównaliśmy się wzrostem, bowiem maestro przyozdobił burzę szpakowatych loków imponującą panamą) i już choćby z tej przyczyny nie dało się go przeoczyć.

— Dzień dobry, mistrzu. — Nie dość, że ktoś doń przemówił, to jeszcze w rodzimym języku. Musiał przeżywać niemały szok.

— A pan to, przepraszam, kto? — Zmarszczył się i spojrzał z właściwą (sobie) dawką naindyczenia.

— Ja to, przepraszam, ja, Bartosz... — Nie zdążyłem dokończyć, bowiem maestro jednak mnie rozpoznał. Wąski grymas, który na milimetr otworzył mu twarz, można było — przy odrobinie dobrej woli — wziąć za uśmiech.

— Nie może być! Co za nadzwyczajne spotkanie! — z patosem przeciągał głoski. Oby się tylko nie sforsował.

— Jadę właśnie do Londynu — (Coś takiego! A ja myślałem, że do Pekinu!) mówił wolno, z tak dobrze znaną mi powagą wobec znaczenia własnych słów, bez względu na ich rzeczywistą wagę — bo mój samolot ze Sztokholmu wczoraj nie mógł dolecieć i wylądowałem w Brukseli. Proszę sobie wyobrazić: w Brukseli!

Nie wiedziałem, co go tak bulwersuje: Bruksela, która przez skojarzenie z brukselką wydawała mu się nie miastem, a jakimś monstrualnym warzywem, czy raczej fakt, że on — ON — nie dotarł — o zgrozo! — tam, gdzie powinien.

— Z przyjemnością bym z panem pogawędził — kontynuował na tym samym

diapazynie — tylko — głos mu nagle znormalniał — pan wie, że tu zatrzymuje się wagon pierwszej klasy?

Rozumiałem jego niepokój. Od kiedy to altowiolisci podróżują wspólnie z dyrygentami, i to jeszcze takimi?

— To długa historia — upewniłem go w przekonaniu, że do tak dziwnego zdarzenia mogło dojść jedynie na skutek przypadku — ale wszystko wskazuje na to, że będziemy towarzyszami podróży.

— A, więc naprawdę wspaniale się składa! — Maestro natychmiast powrócił do roli uduchowionego artysty, który słabo orientuje się w ziemskich odniesieniach.

No, to prezentację mieliśmy za sobą. W tym właśnie momencie na platformę majestatycznie wtoczył się przepiękny, opływowy, szaro-biało-żółty pociąg o nazwie Eurostar.

Z wagonu pierwszej klasy wysiadło trzech mężczyzn w garniturach; gdy tylko wejście zrobiło się wolne, maestro, nie oglądając się na nic i nikogo, wkroczył na pokład jako ten kapitan *à rebours*. Zdał, by tuż za nim weszli uginający się pod ciężarem bagaży dwaj hotelowi boye, których zwolnił niedbałym ruchem ręki (i niczym więcej). Dopiero wówczas odezwał się łaskawie:

— Panie Bartku, proszę tutaj, bardzo proszę...

Przypomniał sobie nawet moje imię. Coś nie-sły-cha-ne-go!

Prócz mnie do wagonu miały zamiar wejść jeszcze dwie osoby:

mężczyzna w średnim wieku z włosami krótkimi i czarnymi oraz śródziemnomorskimi rysami twarzy (jak również kolekcją złota: sygnet, obrączka, bransoletka i zegarek), a także pani w zaawansowanych już latach, o rysach i zachowaniu prawdziwej damy. Żeby oszacować kreacje i biżuterię, którymi była udekorowana, trzeba było uzbroić się w dużą kolekcję zer. Może minimalnie przesadzam, *but you know what I mean...* Przyznałem damie pierwszeństwo, asekurując nawet jej łokieć, co przyjęła z zyczliwością. Damian Rucacelli zrobił jej teatralnie dużo miejsca w korytarzu.

— To co, panie Bartku, siądziemy razem? — Nie wiem, czy było mu to na rękę, jednak możliwość nieskrępowanego porozmawiania z tym człowiekiem była tak nieoczekiwana i tak pociągająca zarazem, że nie potrafiłem się oprzeć. Gdyby chciał, mógł przecież uciec w sen, a cała podróż miała potrwać nie dłużej niż dwie godziny.

— Jak pan woli usiąść? Bo ja — tyłem do kierunku jazdy. Wie pan, jakby coś się działo...

Nie musiał kończyć. Nie mógł narażać się na choćby zadrapanie. A to wszystko nie z miłości własnej, tylko z miłości do świata, który tak go potrzebował...

— To się dobrze składa, bo ja wolę spoglądać do przodu.

Spojrzał na mnie bystro, jakby próbując wywnioskować, czy moje słowa mają ukryte znaczenie. Niech próbuje — myślałem. W końcu próba to — poza koncertem — ulubiona jednostka czasowa dyrygentów.

Gdy tylko pociąg ruszył, pojawiła się obsługa bufetu, przynosząc kartę bogatą w wybór apetycznych przekąsek. W hotelu nie zdążyłem wiele przegryźć — bo też pora nie była po temu — więc z przyjemnością myślałem o specjach wyszczególnionych w menu.

Po kilku łykach soku pomarańczowego, paru wgrzyzieniach się w chrupiące i jeszcze ciepłe croissanty (maestro śniadał poważniej: *bacon and eggs*, te sprawy), zostaliśmy z (on) herbatą i (ja) kawą. Teraz miało się rozstrzygnąć, czy mistrz się zdrzemnie, czy jednak zaszczyci mnie pogawędką. Postanowiłem ją sprowokować.

W swoim czasie maestro zaangażował się w poszukiwania Sezamu Rosenberga. Można wręcz powiedzieć, że to od niego przejąłem pałeczkę, czyli batutę, która okazała się kluczem.

Ale Rucacelli — choć ledwo uszedł wówczas z życiem — znalazł w K. inny skarb: młodą i piękną żonę. Wkrótce po tamtych wydarzeniach sprzedał dom w Toskanii — mówiło się o jego powiązaniach z mafią; przecież nie kto inny jak camorra podniosła na niego rękę — i wraz z nowo poślubioną zamieszkali w Sztokholmie.

— Proszę powiedzieć, co u Wandy?

Mało który mężczyzna nie zareaguje na taką zaczepkę.

— No cóż — Rucacelli o mało się nie rozkaszał — bardzo często podróżujemy wspólnie, ale tym razem się nie udało. — Mówił tak, jakby herbata parzyła go w podniebienie. Może faktycznie się poparzył? — Wandeczka nie czuła się najlepiej, postanowiła zostać w Sztokholmie. Jedź sam, kochany — mówiła — a ja już zadbam, żeby twój powrót był wyjątkowo miły...

Wobec takich perspektyw mógł brać wieczorem bardzo szybkie tempa. Bałem się, żeby londyńskie baleriny nie nadwerżyły pęcin.

— Ale jesteśmy w ciągłym kontakcie. A to się zdziwi, kiedy powiem, kogo spotkałem...

Ja myślę. Też bym się zdziwił. Zwłaszcza że w pierwszej klasie.

— Kontaktujemy się non stop. Trochę się strapiła, że wylądowałem w Brukseli, ale pocieszała mnie. Przecież to ładne miasto — mówiła — próby w Londynie nie masz — faktycznie, dyryguję *Jeziorem* już siedemnasty raz — i w ogóle nic się nie przejmuj...

Rucacelli mówił nienaturalnie dużo, jakby potokiem słów chciał pokryć jakiś niedostatek. Z drugiej strony, jeśliby sens jego wypowiedzi brać dosłownie, to łączyła go z Wandą, przepraszam, Wandeczką, więc podobna do tej między Antosią a mną. Przynajmniej w aspekcie komunikacji.

— Ale gra nadal?

— Ależ gra, oczywiście że gra — pospiesznie zapewnił maestro. — Choć wcale nie musiałyby, ale Wandeczka chce, nie może się obejść bez muzyki...

Jakoś zmęczył mnie tym wandeczkowym słowotokiem. No cóż; sam go wywołałem. Postanowiłem nie ciągnąć tematu. Dyrygent nie występował z inicjatywą, więc wkrótce zaległa cisza.

Architektura wagonu pierwszej klasy pozwalała się w nim niemal zagubić. Tylko delikatny stuk w klawiaturę komputera oraz pobrzękiwanie biżuteryjnych precjozów świadczyły, że biznesmeni i lady podróżują z nami.

Żaden z nas nie miał ochoty wracać do wydarzeń sprzed ponad roku. Koniec końców — Rucacelli wyszedł z nich bogatszy o Wandę. Ja — o Antosię. Każdy miał swoją prawdę. I tak już musiało chyba pozostać. Świat składa się z podobieństw, różnic i sprzeczności. Tylko tolerancja pozwala nam przetrwać.

Miałem wrażenie, że mistrz się zdrzemnął; jego powieki były wprzymknięte. I nagle olśniło mnie, że właściwie powinienem zadać mu całkiem inne, znacznie istotniejsze pytanie. Czekałem na znak życia z jego strony. Lecz tym razem to dyrygent mnie zaskoczył. Otworzył nagle szeroko oczy i przemówił tonem całkiem przytomnym i pozbawionym emfazy:

— Panie Bartku, pan zapewne sądzi, że ja zapomniałem, iż siedzimy naprzeciwko siebie tylko dzięki pańskiej odwadze i zimnej krwi. Otóż nie zapomniałem. Myślę o tym częściej, niż mogłoby się panu zdawać. Również o faktach, które miały miejsce przedtem i... potem. Ale w odniesieniu do spraw tak poważnych nie lubię używać nadmiaru słów. Zwłaszcza, jeśli nie są bezpośrednio związane ze mną. — Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo.

A to drań! Grał tego mistrza na zimno! A teraz pokazywał wążiutką szczelinę, za którą krył się inny, bardziej prywatny Damian Rucacelli.

— Bo widzi pan, jest jeszcze jedna sprawa... I jeśli winien jestem wyjawienie jej

komukolwiek, to w świetle wszystkiego, co się wydarzyło, tylko pan wydaje się być właściwym adresatem...

Przekroczyliśmy granicę belgijsko-francuską, powoli zbliżając się do wybrzeża. Krajobraz dezurbanizował się, spłaszczył i piaskowiał. Dyskretny głos stewardessy zapowiedział w czterech językach rychłe przybycie do Calais.

Rucacelli mnie zaintrygował. Tym razem nie jako dyrygent. Jeśli do tej pory przeczuwałem jedynie, to właśnie w tej chwili pojąłem, że podążam ścieżką wiodącą mnie w określonym kierunku.

— Może trudno panu uwierzyć, ale chciałem się skontaktować w tej sprawie już kilkakrotnie. Za każdym razem coś jednak stawało na przeszkodzie. Ale widać było nam pisane to spotkanie.

Rucacelli sięgnął do portfela; przeraziłem się, że poniewczasie chce mi wypłacić gratyfikację za uratowanie życia. Zamiast tego wyjął z pugilaresu kartkę złożoną na czworo.

— Widzi pan, nigdy się z tym nie rozstaję. Człowiek uczy się całe życie — dodał tonem wyjaśnienia.

Pociąg zatrzymał się. Postój trwał około minuty. Nikt tu nie marnował czasu. Kątem oka dostrzegłem, że z pociągu wysiadło dwóch wcześniej obsługujących nas stewardów. Pewnie robili zmianę z — belgijskimi? angielskimi? — kolegami.

— Co to jest? — nie wytrzymałem.

— List.

— List? — zdziwiłem się nieinteligentnie.

— Tak. Otrzymałem go... nieważne kiedy, od mojego znajomego a pańskiego dobroczyńcy...

O kim mówił? Przestałem chwycić.

— Najlepiej będzie, jeśli pan sam przeczyta. — Rucacelli westchnął głęboko, w sensie: „jeśli się powiedziało a” itd.

Chciał mi podać wymiętą kartkę pokrytą szeregiem równo i starannie zapisanych linijek. Jednak przed zagłębieniem się w lekturę postanowiłem wykorzystać sprzyjający moment.

— Przeczytam z chęcią, ale najpierw pragnąłbym zadać panu jedno pytanie. Jeśli można.

Pytaj pan — wyraził Rucacelli spojrzeniem, trochę niezadowolony, że zbijam go z tropu. Ale wiedziałem, co robię; treść listu nie miała prawa zmienić się w kilka minut, zaś okazja do uzyskania — być może — cennych informacji była niepowtarzalna.

— Zapewne nie pomylę się, twierdząc, że sporo dyryguje pan w Szwecji?

Rucacelli potwierdził skinieniem głowy.

— Czy w kontekście polskich muzyków pracujących w tamtejszych orkiestrach obiło się panu kiedyś o uszy nazwisko Plejada?

— spytałem.

— Plejada... Plejada? A cóż to za dziwne nazwisko? — Maestro zmarszczył się, jakby chciał coś ukryć pod powierzchnią tej zmarszczki. Mało tego, przysiągłbym, że drgnął nieznacznie, ale mogło to być złudzenie wywołane nieoczekiwanym wstrząsem pociągu.

— Panie Bartoszu, gdybym miał pamiętać nazwiska wszystkich muzyków, którzy grywali pod moją dyрекcją...

No jasne, jak w ogóle mogłem sobie coś podobnego wyobrazić! Mistrz i maluczcy. Znajomość personaliów obowiązuje w jedną stronę. Choć osobiście miałem do czynienia z dyrygentami przychodzącymi do nieznanego sobie orkiestry ze ściągawką, na której zapisane były imiona przynajmniej solistów dęciaków i pierwszych pulpity z kwintetu. Takie zwrócenie się na przykład: „Panie Karolu, proszę tu zagrać troszeczkę ciszej” było nasycone większym

osobowym szacunkiem niż, powiedzmy: „Pierwszy klarnet, piano!”.

Ale do tego trzeba szefa o mniej rozbuchanym ego.

— Plejada, Plejada, takie charakterystyczne... Coś mi to mówi... Może sobie przypomnę...

To dziwne...

Usłyszane słowa powinny mnie może jeszcze nie zelektryzować, ale na pewno zainspirować do zadania kolejnych pytań. Tymczasem moja uwaga zachowała się nagle jak nerw porażony prądem. Bowiem w zasięg (pod)świadomości z pewnym opóźnieniem wdarł się niepokojący sygnał. Jeszcze nie wiedziałem, o co chodzi, ale nie mogłem go zlekceważyć. Gdybym potrafił spojrzeć na siebie z zewnątrz, powiedziałbym, że zachowałem się jak Eston, który wyczuł w powietrzu niepokojącą sprzeczność. Wokół mnie znajdowała się pewna suma niewspółgrających ze sobą elementów. A może współgrających aż za dobrze. O co chodziło?!

Pociąg od dobrych paru chwil znajdował się pod kanałem La Manche. Za niecałe pół godziny powinien wynurzyć się po wyspiarskiej stronie. Myślałem intensywnie: wkrótce po tym, gdy skład wyruszył ze stacji w Calais, ale zanim Rucacelli poruszył temat listu, wyszedłem do toalety (był papier!). Wracając na miejsce, zauważyłem minimalną dekompozycję wcześniejszego ładu. Na jednym z siedzeń leżała gazeta... Nie było jej tam, gdy wsiadaliśmy w Brukseli. Dałbym głowę. Do naszego wagonu nikt się w międzyczasie nie dosiadał. Jedynymi osobami, które przezeń przechodziły, byli dwaj stewardzi zauważeni przeze mnie na peronie dworca w Calais... Na peronie... Sądziłem, że ktoś ich zamieni... Ale od tamtej pory nikt się nie pojawił... Zresztą, czy załoga pociągu faktycznie zmienia się w trakcie nie najdłuższej przecież podróży?

Gazeta... Mogła spaść z półki... Albo przesunąć się w wyniku szarpnięcia. Teoretycznie mogłem jej też po prostu nie zauważyć. To wszystko prawda. Tyle że Eurostar — przynajmniej w pierwszej klasie — nie woził zbędnych śmieci; były uprzątane w trakcie każdorazowego przemarszu stewardów. Pociąg też nie szarpał... Dodatkowo — świadczyły o tym olbrzymie nagłówki zapowiadające pojedynek między AS Roma a Lazio — była to gazeta włoska...

Z miejsca, w którym powinna się znajdować, dobiegł moich uszu odgłos nagłego syku, delikatnej eksplozji, miniwybuchu nie do usłyszenia przez kogoś, kto — inaczej niż ja — nie wyostrzył w tym właśnie ułamku sekundy wszystkich zmysłów.

Skoczyłem jak oparzony, podbiegając w kierunku podejrzanego szumu. Bez chwili wahania poderwałem płachtę. Pod spodem znajdował się mały niebieski pojemnik, w którym falowała niewielka ilość wody. Wody? A może... Poczulem ledwie zauważalny zapach kamfory. Pędem ruszyłem w stronę jednych, potem drugich drzwi, które powinny otworzyć się automatycznie. Nie tym razem. Drogi ucieczki były zablokowane. Współpasażerowie zwolna podnosili wzrok sponad obiektów własnych zainteresowań, próbując dociec, czemu przypisać moje nagłe — tak nielicujące z powagą bussines class — ożywienie. Najzabawniej wyglądał Rucacelli, który miał prawo dojść do wniosku, że trafiło mnie nieoczekiwane pomieszenie zmysłów. Nie miałem czasu na tłumaczenia.

— *Do not breath!!!* — krzyknąłem z całych sił.

Od tragedii dzieliły nas sekundy. Los podróżnych zależał wyłącznie od szybkości moich działań. Stałem pośrodku wagonu, tuż obok niebezpiecznego pakunku. Moich nozdrzy dosięgła pierwsza próbka gryzącego dymu. Wstrzymałem oddech. Należało odnaleźć czerwony młoteczek służący do rozbijania szyby w sytuacjach awaryjnych. Ileż ja takich widziałem, w autobusach miejskich i rejsowych, w pociągach ekskluzywnych i podrzędnych, w których nie działało nic i nie było niczego... Z wyjątkiem młoteczka.

Był i tutaj. Na wprost moich oczu. Oswobodziłem go, by z całych sił uderzyć kilka razy,

ale jedynym efektem stała się rozkwitająca na szybie pajęczyna spękań.

Zaczynało mi brakować tchu. Pulsowanie w szyi i w głowie robiło się nieznośne. Współpasażerowie wiedzieli już, że dzieje się coś niedobrego, próbowali wstawać, ale w tej właśnie chwili musiała do nich dotrzeć pierwsza fala trującego dymu; jeden po drugim osuwali się na fotele... Ten widok zmobilizował mnie do jeszcze jednego wysiłku. Uchwyciłem dłońmi krawędź luku bagażowego, powierzając mu ciężar swoich osiemdziesięciu kilogramów, rozkołysałem się i wykorzystując rozmach maksymalnego wychylenia, uderzyłem obiema nogami w popękana szybę. Poczulem, jak impet nieuchronnie wynosi mnie na zewnątrz pędzącego wagonu. Palce traciły kontakt ze zbyt szeroką, niewygodną w uchwycie krawędzią. Ale w chwili, gdy ostatecznie się ześlizgnęły, moje ciało podległo już wahnięciu zwrotnemu; bezładnie niczym worek kartofli spadłem w szczelinę między rzędami siedzeń. Choć nie było to miękkie lądowanie, nie poczułem bólu. Wiedziałem za to, że z każdą sekundą do wnętrza pojazdu tłoczone są setki litrów ohydneho, śmierdzącego, tunelowego, ale jednak ozdrowieńczego powietrza. Czujniki musiały zasignalizować dekompresję, gdyż w następnej chwili skład zaczął hamować. Pozbierałem się w pośpiechu, wystawiłem na moment głowę za okno i z olbrzymim haustem powietrza w płucach rzuciłem się raz jeszcze w kierunku trującego pakunku. W następnej sekundzie — wraz z gazetą, przez którą go uchwyciłem — zniknął za oknem przeraźliwie hałasującego pociągu...

Dopiero teraz mogłem podbiec do współpodróżnych. Byli bladzi i zdezorientowani, ale nikt nie stracił przytomności. Trwająca nie dłużej niż sekundy akcja zapobiegła najgorszemu.

Usiadłem w fotelu. Potrzebowałem kilku chwil, aby dojść do siebie. Miałem poczucie starcia się dwóch potężnych przeciwstawieństw; śmiertelnego niebezpieczeństwa i tego szczęścia w nieszczęściu, które przemówiło błyskawicznym — odruchowym bardziej niż zamierzonym — działaniem... altowiolisty. Czy byłem celem ataku, czy przypadkowym chwastem, który miał zginać przy okazji? Przy tak solidnej konkurencji w grę wchodził tylko wariant numer dwa.

Pociąg zatrzymał się. W uszach świdrowała przepastna cisza. Za drzwiami wagonu pojawiła się obsługa pociągu. Znali triki, dzięki którym szybko udało się je odblokować.

— Co tu się wydarzyło? — dramatycznym głosem zapytał pobladły kierownik drużyny.

— Cokolwiek to nie było, zaświadczam, że ten oto młody gentleman... — Gentleman? I do tego młody? — właśnie uratował nam życie. — Starsza dama odezwała się z cudownym, arystokratyczno-cambridge'owskim akcentem.

Byłem jej wdzięczny. Dzięki tym słowom nie potraktowano mnie jak terrorysty. W paru zdaniach próbowałem wyjaśnić tło zajścia; podejrzany pakunek, którego obecność uświadomiłem sobie na czas. Działania, które podjąłem, aby zapobiec nieszczęściu. Gdy kierownik upewnił się, że nikomu — poza dawką przeżyć — nie stało się nic złego, zadzwonił do odpowiedniej komórki z informacją o zdarzeniu i prośbą o decyzję. Procedury na pewno brały pod uwagę różne sytuacje awaryjne — z atakiem terrorystycznym włącznie — ale tutaj sytuacja była nietypowa. Oprócz wybitej — przez pasażera zresztą — szyby nie było zdecydowanych przeciwwskazań do kontynuacji podróży. Jej odraczenie pogłębiłoby i tak spory już chaos, panujący od wczoraj na linii Paryż-Londyn. Poszukiwaniem pojemnika z resztkami groźnych chemikaliów powinna zająć się specjalna grupa; na pewno nikt z obsługi pociągu. Po dwudziestu minutach konsultacji kierownik poprosił naszą czwórkę do części służbowej pociągu. W niej mieliśmy dokończyć podróż. Wybite okno zostało zasłonięte specjalną metalową płytą, a nieszczęsny wagon pierwszej klasy zamknięto i opieczętowano. Obsługa poinformowała również, że na dworcu w Londynie oczekuje nas (mówiąc *you*, kierownik patrzył na mnie) grupa dochodzeniowa Scotland Yardu pod dowództwem majora Cunnigana.

I to właśnie było najgorsze. Już wiedziałem, jak moje dwadzieścia cztery godziny biorą w

łeb, skonfrontowane z flegmą urzędników londyńskiego komisariatu. Po wyjechaniu z tunelu zadzwoniłem pod numer przekazany przez Bielskiego — na szczęście nikt nie zabronił mi telefonować — pokrótce zdając rozmówcy sprawę z zupełnie nieoczekiwanego przebiegu podróży.

Na dworcu St Pancras, porcie docelowym Eurostarów, natychmiast objawiła się moc podróżującej ze mną trójki. Czekali na nich, w kolejności występowania: ambasador Syrii z liczną obstawą (po ciemnoniciego miłośnika złotej biżuterii), przedstawiciel... dworu w towarzystwie umundurowanego oficera gwardii królewskiej (po starszą damę) oraz dyrektor Covent Garden wraz z kilkoma przedstawicielami administracji (po maestro, oczywiście). Delegacje powitalne nie szczędziły słów ulgi i zachwytu, widząc moich towarzyszy podróży całych i zdrowych. Po krótkiej rozmowie z majorem Cunniganem każda z grup wydelegowała po jednym przedstawicielu, który miał pozostać na miejscu, wynegocjować protokoły i w ogóle zając się wszystkim, co niezbędne, ściągając tym samym trud z głowy szlachetnych pryncypałów.

Starsza dama oraz syryjski dyplomata pożegnali się ze mną, nie szczędząc wyrazów wdzięczności. Arab wręczył mi wizytówkę, zapewniając o przyjaźni i życzliwości oraz akcentując potrzebę ponownego spotkania się w okolicznościach bardziej sprzyjających. Lady z filuternym uśmiechem zapewniała, że będzie o mnie zawsze pamiętać. Wszystkie deklaracje przyjąłem z wdzięcznością.

— Panie Bartku. Bez dwóch zdań — uratował mi pan życie po raz drugi. Nie wiem, czy zdołam się panu kiedykolwiek odwdziżyć. Ale na razie zapraszam na wieczorny spektakl. Będzie pan gościem honorowym Covent Garden. Poza tym musimy dokończyć naszą rozmowę...

— Oczywiście, z przyjemnością, jeśli tylko wypuszczą mnie do tego czasu...

— Ależ oczywiście! Bez pana nie zacznę dyrygować! Prawda, Alan?

Rzeczony Alan, dyrektor jednej z najsłynniejszych scen operowych świata, przytaknął, skłonił głowę i przybił mi piątkę. Hm; może powinienem się dowiedzieć, czy nie mają w planie audycji na altówkę? A może by tak bez audycji? Za zasługi? Mrzonki...

Po chwili wielcy tego świata zniknęli, pozostawiając mnie sam na sam z prozą życia i dworcowego komisariatu. Na szczęście i ja miałem koło siebie życzliwą duszę. Był to stary znajomy nadkomisarza Roberta Bielskiego, pracownik brytyjskiej policji, oficer Andrew Krawczyński, który przyglądał mi się z mieszanką podziwu i niedowierzania.

— Mało kto wjeżdża do tego miasta poprzedzony obłokiem dymu i sławy. Panu to się udało — rzucił, gdy zostaliśmy sami.

Tylko obecności i dobrej woli porucznika Krawczyńskiego zawdzięczałem, że kilka minut po południu udało mi się opuścić siedzibę Scotland Yardu, do której koniec końców przewieziono mnie z dworca. Opowiadałem swoją historię nie raz i nie dwa, za każdym razem będąc przygotowanym na niespodziewane sugestie lub supozycje Anglików.

Mówiłem, że moja obecność na pokładzie porannego Eurostara było czystym przypadkiem, ponieważ... — Tu padała cała litania okoliczności, które do zdarzenia doprowadziły.

— Od kiedy planował pan dzisiejszą podróż? — dopytywał się inspektor Cunnigan, jakby nic z moich słów do niego nie docierało.

Mówiłem, że moją podejrzliwość wzbudziło opuszczenie pociągu przez dwóch stewardów, a on pytał, czy znam okoliczności wczorajszego alarmu bombowego na Heathrow. Każde moje słowo było protokółowane, a mikrofony i kamery, rozmieszczone w różnych punktach *investigation room*, nagrywały wszystko, łącznie z kichnięciem i ziewaniem, przed którym po jakimś czasie nie potrafiłem się obronić. Cunnigan nie okazywał nadmiernej sympatii,



czym nie byłem szczególnie zaskoczony; każdy zamieszany w tak dziwną historię automatycznie znajdował się w pierwszym kręgu podejrzeń. Dopiero konsultacje, które oficer przeprowadzał w innych pokojach, zaczęły to zmieniać. Za każdym razem wracał odrobinę łaskawszy. Porucznik Krawczynski opowiadał mi potem, że stopniowo potwierdzała się moja wersja zdarzeń. Na początku znaleziono niebieski pojemnik, który trafił natychmiast do analizy laboratoryjnej. Po niecałej godzinie Cunnigan znalazł już jej wyniki.

— Wygląda na to — mówił z pewnym zdziwieniem — że gdyby nie pański refleks i zdecydowanie, na londyński dworzec dojechałyby cztery trupy, a ich śmierć nie należałaby do przyjemnych — prawil jak na Anglika przystało. — Soman należy do grupy gazów paralityczno-drgawkowych. Zapalnik czasowy otworzył pojemnik z cieczą. Jeśli, tak jak pan mówi, całość urządzenia schowana była pod gazetą (którą również odnaleziono), to zupełnie nie wiem, jakim cechom pańskiej osobowości przypisać fakt, że zdążył pan zareagować na czas.

Ba, gdybym to ja wiedział? Może instynktowi, który choć w części przejąłem od Estona?

Kolejna informacja dotyczyła odnalezienia w okolicach francuskiego Lille, ale już po stronie belgijskiej, dwóch mężczyzn, najwyraźniej wypchniętych z pociągu. Podobno jeden ze stewardów (to musieli być oni) żył jeszcze, choć jego stan był krytyczny. Wysnułem prosty, lecz ponury wniosek, że drugi z nich jest martwy. Terrorystyczny tandem działał bez zahamowań. Nic dziwnego, że policja w trzech krajach zaangażowała się w sprawę z pełnym rozmachem. Z terroryzmem się nie żartowało.

Tak więc kolejne odkrycia nie tylko stawiały mnie poza podejrzeniem, ale również opromieniały sławą tego, który zapobiegł nieszczęściu.

A jednak po wyczerpaniu procedur zostałem poproszony o deklarację nieopuszczania Wysp Brytyjskich aż do odwołania, czemu musiałem przeciwstawić się z całą mocą.

— Nie mogę tego zagwarantować, jestem człowiekiem wolnym i znam swoje prawa — wypaliłem. — Ale nie mam też zamiaru nigdzie uciekać; miejsca moich pobytów nie są objęte tajemnicą. Może pan mu powie, że ja również współpracuję z policją?

— zwróciłem się do rodaka Krawczynskiego.

Andrew Kravitz — jak zacząłem go dla ułatwienia nazywać — spojrział na mnie tak piorunującym wzrokiem, że na wszelki wypadek się zamknąłem. Następnie poszeptał chwilę z Cunniganem, po czym oznajmił:

— Jest pan wolny. Poręczyłem za pana. Ale proszę nie odchodzić, bo musimy pogadać.

To było jasne. W końcu po coś tu przyjechałem?

Na ulicy skąpanej we wczesnojesiennej mgle Kravitz odezwał się:

— Mogę panu przedstawić pierwsze wnioski ekipy dochodzeniowej. Cunnigan podejrzewa, że wczorajszy alarm był typową ściemą (*officer* był nieźle zorientowany w nowomowie!), mającą odwieść uwagę od pociągów, a skierować ją na lotniska. Terrorysty — bo o nich jest mowa — postanowili zaatakować tym razem inną bronią. Musieli mieć zamiar, że wagonem, w którym przypadkowo znalazł się również pan i nasz słynny rodak, będzie podróżował dość wysoki stopniem dyplomata syryjski oraz angielska lady, przyjaciółka królowej Elżbiety, Eleanora Paddington. Wcale nie jest tak łatwo wpakować do jednego wagonu dwie znaczące postacie, podróżujące incognito, bez ochrony i w dodatku reprezentujące odmienne kultury. Do tego jeszcze światowa gwiazda dyrygentury.

No cóż, w tak doborowym towarzystwie naprawdę znalazłem się przez przypadek. Zaczynałem żałować, że nie udało nam się wspólnie zginąć.

— Sprawa odbiłaby się sporym echem — kontynuował Kravitz.

— Jeśli nie sposób bezpiecznie podróżować najbezpieczniejszym pociągiem świata, skoro można w nim uderzyć w Zachód i Wschód jednocześnie, to co właściwie jeszcze jest

bezpieczne? Wyobraża pan sobie taką scenę? Na stację wtacza się pociąg, a w nim cztery zaczadziałe trupy, pojemnik po somanie i praktycznie brak jakichkolwiek śladów. *Masterpiece*, nieprawdaż?

Faktycznie. Miałem szansę stać się sensacją światowych gazet — jako współnieboszczyk możnego tria. To ci dopiero kwartet! Poza tym nie zaczadziałe, tylko paralityczno-wydrzawkowe.

— To, czego pan dokonał, zasługuje na najwyższe uznanie. Kim pan jest z zawodu? Pewnie jakimś sportowcem albo ochroniarzem, sądząc z zamiłowań?

— Nie, proszę pana. Jestem altowiolistą.

Wyznanie tak zaskoczyło Kravitz, że przez dłuższą chwilę nie zdołał się odezwać. Zaś ja próbowałem sobie wyobrazić minę nadkomisarza Bielskiego, który dowiaduje się, że zapobiegłem aktowi terrorystycznemu. No, nareszcie coś mnie rozprężyło... Tymczasem Kravitz doszedł do siebie.

— Ale niech pan się nie spodziewa sławy i chwały. Angole będą milczeć, jakby nic się nie wydarzyło. Chyba że coś się wyda, chociaż nie radziłbym, aby to pan był źródłem przecieku.

Miałem jego rady w... — powiedzmy — tunelu pod kanałem. To, czego pragnąłem, było tak odległe od medialnej sławy jak moja okrężna droga do Toskanii.

— Robert Bielski nadmienił mi przez telefon, że chciałby pan zapoznać się z okolicznościami dwóch zabójstw dokonanych przez tak zwanego Wędkarza.

Już wiem! Przyjechałem tu na ryby! Dość martyrologicznego bohaterstwa. Wyciśniemy coś z tego dnia.

— Czy zamiast na tradycyjną herbatkę, wybrałby się pan ze mną do muzeum Sherlocka Holmesa? Tam moglibyśmy pogawędzić.

— Dlaczego nie? To niedaleko stąd. Wie pan, że i ja tam jeszcze nie byłem?

Przy Baker Street 221b znajdowała się stara wiktoriańska kamienica z 1815 roku, którą według sir Arthura Conan Doyle'a, słynny detektyw wraz z nieocenionym pomocnikiem, doktorem Watsonem zamieszkiwali w latach 1881-1904.

Na pierwszym piętrze mieści się gabinet detektywa. Ściany wyłożone materią w kolorze wiśni, ciężkie mahoniowe lub orzechowe meble wyściełane pluszem, kominek z raźnie buzującym ogniem, stół gotowy do podjęcia gości filiżanką herbaty, okno, a za nim ulica, która nabiera charakteru i tajemniczości dopiero po zmierzchu, w blasku gazowych latarni... I mnóstwo najróżniejszych drobiazgów, mogących wprowadzić w błąd; gospodarz wyszedł tylko na chwilę, bo wezwano go do jakiejś sprawy nie cierpiącej zwłoki... Ze względu na jego fenomenalną pamięć wzrokową lepiej niczego nie dotykać... Książki, szkło powiększające, słynna czapka z daszkiem, notes, perskie bambosze, odczynniki chemiczne — wszystko znajdowało się w miejscach, które tylko przygodny i nieorientowany wizytator mógł uznać za przypadkowe.

Na widok skrzypiec odczułem wzruszenie. Czyż nie było tu jakiegoś symbolicznego podobieństwa w inwersji? Mr Holmes był detektywem grającym na skrzypcach dla przyjemności. Ja jestem altowiolistą dla satysfakcji podejmującym się rozwiązywania zagadek detektywistycznych. Niezwykła prawda musiała dotrzeć również do Andrew Kravitz — wiedziałem, że w końcu się pomylę i palnę do niego *officer Kravitz*.

— Muzyczne pasje Sherlocka również były mi obce.

Spojrzał z uznaniem na futerał, z którym się nie rozstawałem, w przeciwieństwie do plecaka spoczywającego w aucie policjanta. Uznałem, że najwyższa pora zbadać stan jego wiedzy.

— Panie Kravitz... — ugryzłem się w język. Szkoda byłoby utracić sympatię policjanta i to przed poznaniem informacji, których ciekawość przywiodła mnie aż do Londynu.

— A wie pan, że namawiano mnie do uproszczenia nazwiska? *No way*, odpowiedziałem. Nie przyjechałem do Anglii, aby się — że tak powiem — złać językowo, tylko służyć pomocą tysiącom niekiedy zupełnie bezradnych rodaków. Poza tym lubię się pięknie różnić... Natomiast wracając do naszego „Wędkarza”; nie wiem jakiego rodzaju informacji pan oczekuje. Robert Bielski mógł przerysować moje możliwości. Z tego, co zrozumiałem, miał nadzieję, że panu będzie łatwiej dogadać się z muzykami... Generalnie jednak nie byłbym nadmiernym optymistą, gdyż — po pierwsze: Londyn to metropolia, a środowisko muzyczne trzeba tu liczyć w tysiącach... Po drugie: dwa morderstwa na bezdomnych, choć okrutne i spektakularne, nie mają szansy uzyskać priorytetów śledczych, krótko mówiąc — nasze dochodzenie nie zaszło zbyt daleko. I w końcu po trzecie — i to budzi wątpliwości całkiem zasadnicze — ja osobiście nie widzę najmniejszych muzycznych powiązań...

Dotarliśmy na pierwsze piętro muzeum, gdzie znajdowały się sypialnie doktora Watsona oraz pani Hudson — gospodyni obu znamienitych mężów. Wyeksponowano w nich prywatne drobiazgi detektywa oraz rozmaite dokumenty. Wśród nich — pamiętnik doktora z notatkami dotyczącymi słynnej sprawy *Psa Baskervilleów*. *From London with love* — pomyślałem o moim futrzastym towarzyszu.

— Oba morderstwa miały miejsce w Hyde Parku — kiedyś słynnym głównie ze swojego *speakers corner*, a dziś przede wszystkim z masy bezdomnych, którzy szukają tam swojej szansy lub czekają na cud. Pierwszą z ofiar był Afrykanin, Somalijczyk, jak zeznały osoby, które rozpoznały ciało. Człowiek bez papierów. Bez udokumentowanej przeszłości. I bez przyszłości, niestety. Jedynym, co go wyróżniało, był T-shirt z nadrukiem zespołu Metallica. Dzielę się tą informacją z braku innych, ważniejszych. Może to jest jakiś trop muzyczny? — Patrzył na mnie bez przekonania.

Skąd mogłem wiedzieć, czy Metallica wkurza kogoś aż do tego stopnia?

— A ten drugi? — odparłem taktownie.

— No właśnie, ten drugi... Był naszym rodakiem. Miał na imię Romek — tylko tyle przekazali mi jego znajomi. Nazwiska nikt nie znał, a dokumentów przy nim także nie znaleziono... Prawdopodobnie dość rozpaczliwy przypadek emigranta, którego zawiodły wszystkie nadzieje i rachuby. Znajomy pana Romka, niejaki Priest — miejscowa dobra dusza, której wydaje się, że jest kaznodzieją — twierdzi, że gdy go odnalazł, mężczyzna jeszcze żył. Ponoć tuż przed śmiercią wymówił jedno słowo: *tail*...

— Ogon? A dlaczego po angielsku? Tracił przytomność, umierał...

— ...ale wszystko działo się na ziemi angielskiej... Może chciał zostawić wskazówkę? Nie oczekiwałem jakiejś szczególnej logiki w podobnych okolicznościach. Zresztą jest również możliwe, że kumplowi pana Romana coś się przesyłzało, ponieważ, podobnie jak denat, znajdował się pod znaczącym wpływem alkoholu...

— A Somalijczyk? — Przypomniały mi się słowa Bielskiego o zblejtramowaniu ofiary spod mostu. Ofiara numer dwa: Marciśław Rosner, miał we krwi ponad trzy promile alkoholu... Kravitz spojrział na mnie bystro.

— Nie, Somalijczyk nie był pijany. Za to upalony jak mały parowóz.

Dotarliśmy na trzecie i ostatnie piętro. O mało nie krzyknąłem, nadziewając się na woskowe figury: detektywa oraz jego głównego przeciwnika, profesora Moriarty.

Upity, upalony; skutek był taki sam. „Wędkarz” wzorował się na „Struniarzu”. Lub odwrotnie...

— Nadkomisarz Bielski prosił, abym to panu wręczył. — Przekazałem Krawczyńskiemu *dossier* sprawy o kryptonimie *Skrzypek*. Dochodziłem do wniosku, że Robert wykorzystał mnie w roli kuriera. Bo cóż ja tu mogłem zdziałać w kilka godzin? Aha, byłbym zapomniał;

przeszkodziłem terrorystom. Ale tego chyba nadkomisarz nie brał pod uwagę...

Schodząc na dół, dostrzegłem górę listów adresowanych do Sherlocka Holmesa.

— Ludzie piszą z nadzieją, że detektyw rozwiąże mniejsze lub większe zagadki ich życia...

Chyba i ja powinienem to zrobić.

— Wszystko jest tak realistyczne...

— I o to chyba chodzi? — uśmiechnął się Andrew Krawczynski. — Niestety, muszę się pożegnać. Obawiam się, że niewiele pomogłem, za to pan zasłużył się Koronie, Europie i światu...

Cudownie. I nawet nie miałem co ze sobą zrobić...

— Aha. Byłbym zapomniał. Pozwoli pan, że w imieniu brytyjskiej policji zaproponuję panu pobyt w hotelu Belgravia. To jak na razie jedyny sposób, aby wyrazić naszą wdzięczność. Zapewniam, że pomysł nie wyszedł ode mnie. Ale z przyjemnością pana podwiozę.

Mój rajd po ekskluzywnych hotelach trwał w najlepsze.

## 10.

— Kochany, jak sobie radzisz w tym Londynie? — Zatroskany głos Antosi zabrzmiał w uszach niczym najśłodsza muzyka. — Dowiedziałeś się chociaż czegoś?

— Prawdę mówiąc, niewiele. Ale oprócz tego... — Antosi mogłem i chciałem to powiedzieć — ...udało mi się zapobiec atakowi terrorystycznemu, a przy okazji uratować damę angielskiego dworu...

Spodziewałem się jakiegoś pisku emocji, tymczasem w słuchawce zapadła cisza. Czyżby Antonia mi nie uwierzyła? W to ja bym z kolei nie uwierzył, bowiem jej wiara w moją prawdziwość była dotąd bezwarunkowa.

— Aha — powiedziała w końcu. — To cieszę się, że się dobrze bawisz. Ale wiesz co? Wracaj już może...

Nie uwierzyła... Przy okazji tracąc wiarę w moje poczucie humoru. Już ja się postaram, żeby ją odzyskała... Wizja przywracania ufności w czyny i słowa natchnęła mnie... otuchą.

Rozlokowałem się w wygodnym apartamencie nie bez ulgi i satysfakcji. Z przyjemnością wyobrażałem sobie, jak to wkrótce zejdę do restauracji (również w tym aspekcie byłem gościem Scotland Yardu; dodatkowo mogłem wybrać miejsce w business class na dowolny lot British Airways z Londynu do Florencji w dniu jutrzejszym), lecz zanim zamówię coś do jedzenia, podejść do baru po to tylko, by wygłosić następującą frazę:

— *Zubrowka Martini, please. Shaken, not stirred.* — Już na wyrost zacząłem wykrzywiać usta w oksfordzkim akcencie. — Rachunek proszę dopisać do pokoju...

— *Yes, sir...* — Nienaganny barman z szacunkiem pochylił głowę. — To przecież pan jest...?

— *Yes. You are right. My name is Czarnoleski. Bartosch Tscharnolesky...*

Rzeczywistość była nieco bardziej brutalna. Piękna barmanka spojrzała na mnie podejrzliwie (choć zamówiłem na wstępie tylko sok pomidorowy) i musiała skonsultować się z recepcją, by dać wiarę, że osobiście za nic płacić nie będę. Po posiłku — tak wytwornym, że zapomniałem, co wchodziło w jego skład — wróciłem do pokoju, aby odpocząć przed wieczornym spektaklem. Żadne trzęsienia ziemi nie mogły mnie odwieść od wizyty w Covent Garden. Ale potrzebowałem również chwili dla siebie. Bowiem od pewnego czasu los wpychał

mnie w coraz dziwniejsze buty. Bez przyjrzenia się im — mogłem poplątać sznurówki (ha, ha).

Jednak próby analiz wydarzeń wczorajszych i dzisiejszych zakończyły się zaśnięciem. Wszystko razem kosztowało mnie zapewne więcej, niż potrafiłem sobie uświadomić. Zawładnął mną sen dziwny, nielogiczny i niefabularny...

Gdy alarm, przezornie ustawiony w komórce, dotarł do mnie niczym sygnał z innego świata, przez dobrą chwilę nie mogłem się zorientować, gdzie jestem ani jaka to pora dnia. Godzinna drzemka miała jednak działanie terapeutyczne. Odzyskałem formę psychiczną; z fizyczną było nieco gorzej. Wskoczyłem pod prysznic, który przywracał czucie obolałemu ciału; pamiątki po wagonowej gimnastyce na drążkach i spektakularnym upadku zrobiły się już całkiem okazałe. Moje zaplecze przybrało w kilku miejscach kolor dojrzalej śliwki — przynajmniej tyle dostrzegałem w lustrze.

— Limit niespodzianek się wyczerpał — powiedziałem na głos, wycierając się delikatnie olbrzymim, nieskończenie grubym i miękkim ręcznikiem z inicjałami hotelu. — Od teraz oczekuję wyłącznie przyjemnych wydarzeń. — Jeśli los towarzyszył mi w łazienkowych rozkoszach, chciałem, aby wyraźnie usłyszał, co mam mu do powiedzenia.

— Najpierw spektakl w Covent Garden, potem kolacja w towarzystwie maestro, noc w przyjaznym hotelu, a jutro rano, jednoznacznie i niezmiennie, lot do Florencji — brzmiała zaktualizowana i ostateczna lista życzeń. Antosi oznajmiłem, że choćby Hunowie najechali Brytanię, nie zmienię już planów ani na jotę.

Do Royal Opera House udałem się przed czasem. Mimo wszystko należało wziąć poprawkę na przesładujące mnie ostatnio niespodzianki. Cóż z tego, że pierwsze takty oper były przez dziesiątki lat nieco lekceważone; w ich trakcie widzowie zajmowali miejsca, obserwowali przez lorgnon ludzkie twarze, poszukiwali przyjaciół i wrogów, byłych, aktualnych lub — przede wszystkim — przyszłych kochanek i kochanków... W przeciwieństwie do publiczności osiemnasto- i dziewiętnastowiecznej nie miałem zamiaru przegapić uwertury. Skoncentrowanego popisu orkiestry jakby nie było.

Postanowiłem skorzystać z metra. Dość przywilejów! Jeszcze chwila, a będę zmuszony oglądać Londyn przez okna pancерnej limuzyny!

Stacje kolejki podziemnej jak zwykle tętniły własnym życiem. Tysiące ludzi, znajomych nieznajomych, muzycy z gitarami i psami... Jakże odpowiadało mi bezimienne wmieszanie się w barwny tłum... Wyłoniwszy się na powierzchnię w niedalekim sąsiedztwie opery, z miejsca dostrzegłem jednak nadzwyczajne środki ostrożności. Suma wydarzeń — wczorajszych na lotnisku i dzisiejszych w pociągu Eurostar — wydawała się wystarczającym powodem do podwyższenia kodu bezpieczeństwa. Dlaczego akurat tutaj — pozostawało na razie tajemnicą.

Pierwszy krąg *bobbies* — bez broni, a jeśli, to z dobrze zakamuflowaną — nie chciał dać wiary moim tłumaczeniom.

— Pan ma być osobistym gościem dyrektora Covent Garden? Przecież pan nie ma nawet biletu... — Policjant w charakterystycznym hełmie był pełen wątpliwości.

— Gość specjalny zazwyczaj nie ma biletu. — Walczyłem o swoje, pełen najgorszych przeczuć. Przecież nie mogłem rzucić mu w twarz: „To ja dzisiejszego ranka uratowałem waszą lady oraz zagrożoną reputację Albionu”, bo jeszcze trafiłbym do czubków.

— Proszę podejść do radiowozu i przygotować dokumenty...

Albo do aresztu! Może nie jako groźny, ale jakiś dziwny... Pcha się bez biletu do Covent Garden, jest dość beczelny, no i ten akcent wyraźnie nietutejszy... *Adieu, Liebiedinoje ozero* — recytowałem w duszy... Oczywiście, jak tylko mnie zamkną, zadzwonię do Kravitz. Krzepiąca była myśl, że zaledwie po kilku godzinach w Londynie mogłem liczyć na czyjąś pomoc. Gdy więc rozdarty między załamaniem a pocieszeniem szykowałem się do alternatywnej formy

spędzenia wieczoru, moim oczom ukazał się elegancki gentleman zmierzający w naszym kierunku bardzo żwawym truchtem.

— *Mister Bartos Czernouesky, sir?* — rzucił pod moim adresem. Czernołezki?! Czyżbym zapłakał czarnymi łzami? A może chodzi mu o czarne whisky (czyli Johny Walker Black Label)?

„Nie potwierdzam i nie zaprzeczam — chciałem powiedzieć — przynajmniej do czasu poznania pańskich rzeczywistych intencji”. Zamiast tego jednak wymamrotałem:

— *I think so!* — Zaś po chwili namysłu dodałem całkiem już wyraźnie: — *Actually, I'm sure so.* — Ostatecznie nie miałem powodów — zwłaszcza dzisiaj, zwłaszcza tutaj — wstydzić się własnej tożsamości.

— *Splendid!* — ucieszył się gentleman. — Dyrektor Alan Harper czeka na pana.

Przed obliczem zdruzgotanego stróża porządku ów elegant ujął mnie pod ramię i poprowadził w kierunku wejścia dla artystów. Dziwny to kraj, w którym urzędnik opery ma władzę nad policjantami...

Budynku strzegły patrole z psami. Eston miałby niezłą zabawę... Przypomniały mi się jego popisowe ślizgi na marmurowej posadzce w naszej filharmonii. Dawno nie odwiedzaliśmy pana Zenka (filharmonicznego portiera). Postanowiłem nadrobić to zaraz po powrocie.

Pomimo kłód rzucanych pod moje nogi wewnątrz gmachu opery znalazłem się dobre trzy kwadransy przed rozpoczęciem spektaklu. Dyrektor Harper przywitał mnie grzecznie, zaproponował coś do picia, a kiedy odmówiłem, rezygnując również z możliwości odwiedzenia maestra, gdyż nie chciałem przeszkadzać w przedkoncertowym skupieniu, zaproponował, że osobiście zaprowadzi mnie na swoje miejsce, z którego i tak tego wieczoru nie mógł korzystać („masa ponadplanowych obowiązków” — wyjaśniał tajemniczo). Gdy dotarliśmy na widownię, otwierano właśnie drzwi dla publiczności. W bocznym korytarzu zdążyłem jeszcze dostrzec trzy znikające psie zady; o ile przed wejściem dominowały owczarki, tutaj pierwsze skrzypce (pierwsze nosy) grały dwa retrievery — złoty i czarny — oraz labrador. Wiedziałem, co to oznacza. Przeszukiwały salę na obecność ładunków wybuchowych...

Usiadłem na szaczącym miejscu, zbierając bukiet spojrzeń zdziwionych, acz pełnych zainteresowania. Program wręczony mi przez dyrektora był zaskakująco oszczędny w formie, lecz (może właśnie dlatego) w doskonałym guście. Z kanału orkiestrowego zaczęły dobiegać pierwsze jakże bliskie sercu odgłosy. To obój wystrzelił frazę z *Pierwszej* Mahlera. Waltornia zaryczała *Życiem bohatera* Richarda Straussa. Któryś z rannych skrzypków (rannych jako te ptaszki, a nie jak partyzanci) mierzył się z niewygodnym pasażem z uwertury *Zemsta nietoperza* innego ze Straussów — Johanna. Gdzieś z basów przebiła się melodia *Panie Janie*. Widać pryncypał grupy — podobnie jak oboista — szykował się do wykonania symfonii *Tytan*. W tej różnorodności rozgrzewkowych fragmentów nie było nic dziwnego; znając uniwersalność i tempo pracy orkiestr angielskich, można było założyć, że już następnego dnia wystąpią z zupełnie innym repertuarem.

Wtem fagot zagdakał kilkakrotnie, po czym zaniósł się główną frazą z *Jeziora*. Poczulem dreszcz.

Gwar potęgował się, nabrzmiwał, zlewał w jedno, tworząc niezwykłą i nieskomponowaną przez nikogo muzykę oczekiwania.

Nagle — przeżywałem to setki razy, ale przecież zawsze działo się to nagle i niezmiennie przypominało magiczną chwilę z dziecięcych poranków filmowych, kiedy to najmłodszy miłośnik X Muzy kwitował zapadającą ciemność przeciągłym: „ooo...” — światło zgasło. Tliły się jedynie reflektorki nakierowane na co piękniejsze detale architektoniczne oraz zielone światełka wskazujące wyjścia ewakuacyjne. Spod ziemi, z niewidocznej dla siedzących

na parterze dziury (z angielskiego — *pit*), rodzimo zwanej kanałem, z której do tej pory dochodziła bezładna, choć piękna w nieokiełznanym chaosie wrzawa rozgrywającej się orkiestry, wraz z *la* podanym przez oboistę i podchwytywanym przez kolejne grupy instrumentów dobył się tajemniczy blask; to zapłonęły lampki oświetlające nuty na pulpitych. W zapadłą na moment ciszę wdarł się metaliczny odgłos. Muzycy uderzaniem w stojaki dawali znać, że w baku (jeszcze jedna nazwa orkiestrowego kanału) pojawił się dyrygent. W tym momencie uchwycił go silny krąg światła, towarzysząc mu odtąd aż do stanowiska dowodzenia. Ciepła reakcja publiczności świadczyła, że maestro gościł tu już wcześniej i zostawił po sobie jak najlepsze wspomnienia. Muszę przyznać, że zrobiło mi się przyjemnie i na moment poczułem nawet coś w rodzaju dumy z naszego mistrza. Zaś ten uklonił się wytwornie, po czym... zamarł.

Zamarli wszyscy.

To był dziwny, nieznan mi rytuał. Pewnie zaniepokoiłbym się, gdyby nie ogólnie wyczuwalna ekscytacja. Oni czekali na coś lub na kogoś (!) mile widzianego. Wtem sala rozświetliła się całą mocą lamp, reflektorów i żyrandoli. Na pierwszym piętrze, w łoży przystrojonej gustownymi girlandami i bukietami kwiatów, dotąd ginącej w półmroku, zapaliło się tych świateł najwięcej. W ciągle nieskazitelnej ciszy usłyszałem skrzypnięcie drzwi. Na balkonie pojawił się niezwykle efektownie umundurowany mężczyzna, który stanął na baczność, zdjął czapkę, by uchwycić ją w pozycji „prezentuj broń”, i również zamarł. Zebrani powstali z donośnym akompaniamentem strzelających klap foteli. I wówczas, w tym milczeniu aż bolesnym i napięciu sięgającym zenitu, na balkonie pojawiła się... królowa! Tłumem zawładnęła natychmiastowy entuzjazm. Ci Angole — zachowywali się z bezpośredniością kiboli a zarazem szlachecką gracją... Władczyni obdarzyła zebranych serią promiennych uśmiechów oraz machaniem dłoni w rękawiczce; na przedramieniu huśtała się nieodłączna torebka. Nurtowało mnie pytanie, czy ukochany corgi monarchini jest tam również. Niestety był za niski; nawet gdyby stanął na dwóch łapach nie miałbym szans go ujrzeć. W tym momencie maestro Rucacelli dał pewny znak batutą. Połączone siły orkiestry i publiczności ryknęły:

— *God save the queen!*

Gdy po chwili braw i ogólnej euforii widzowie usiedli, uciszając się w jednej chwili, światła zgasły ponownie, a wówczas... Maestro Rucacelli obrócił się twarzą do sceny, podniósł batutę, z której... wysypały się brylanty...

Żartuję oczywiście. Ten etap niespodzianek mieliśmy już dawno za sobą, choć jakość brzmienia orkiestry można było określać przymiotnikami: brylantowe, kryształowe, perliste... Czar zadziałał natychmiast. Jak zdmuchnięte tajemniczą siłą rozwiały się moje — pewnie typowe dla muzyka — wątpliwości. To, co dla nas jest uciążliwym pasażem, dla słuchaczy staje się dotknięciem morskich kropli wzbijanych dziobem okrętu. Niewygodny, niekończący się flażolet — to pierwszy mróz ścinający młode drzewka. Melodia grana już tak wiele razy jest dla publiczności zawsze czymś nowym, pożądanym, chwytającym za serce...

Ponad barierką odgradzającą widownię od kanału widoczna była głowa Damiana Rucacellego. Czasami, gdy muzyka wymagała dramatycznego i szczodrego gestu, ponad lwią grzywę wzbijały się ręce maestra. A w nich batuta, z której nagle... No dobrze, wiem, że to już nieśmieszne...

Założę się — i jestem się gotów założyć, że wygrałbym ten zakład — że znaczna część Czytelników zna główny motyw *Jeziora łabędziego*. To ten:

*laa — la la la la — laa — la laa — la laa — la la la la la laa...*

Dokonajmy małego eksperymentu, zastępując *la* spłaszczonymi kółeczkami, czyli nutami. Ich wygląd przesądza o długości trwania.



Teraz wystarczy nasze nutki rozrzucić na muzycznej pięciolinii...



I... Właśnie opanowaliśmy podstawy zapisu nutowego.

O niejedne uszy obily się fragmenty innych utworów Piotra Czajkowskiego: symfonii, koncertów, oper i baletów. *Walc kwiatów z Dziadka do orzechów*. *Polonez z Eugeniusza Oniegina*. Początek *Pierwszego koncertu fortepianowego b-moll*. Fragmenty ze *Śpiącej Królowny* — tak, tak; Walt Disney wykorzystał muzykę Piotra Iljicza w animowanej wersji słynnej baśni. W osobie Czajkowskiego mamy do czynienia z jednym z najwybitniejszych melodystów w historii. Jego muzykę uwielbia publiczność od Tokio do Rio de Janeiro i od Reykjaviku do Kapsztadu. Chcecie zapełnić sale koncertowe? Wystarczy dać na afisz któreś z jego dzieł.

Rucacelli dyrygował z wyczuciem. Do najważniejszych zadań dyrygenta operowego należy synchronizacja śpiewaków i orkiestry. Przecież jedni drugich nie widzą (a zdarza się, że i nie słyszą); ci pierwsi, przykuwający całą uwagę widzów i słuchaczy, wywyższeni w świat heroin i herosów, i ci drudzy — wyrobownicy muzycznego Hadesu, zanurzeni w prozie orkiestrowego kanału... W przypadku baletu miejsce śpiewaków zajmują tancerze, więc mowa jest o dyrygowaniu „pod nogi”. Kapelmistrz staje się łącznikiem niewidzialnego z widzialnym, niematerialnego z materialnym, ukrytego z wyeksponowanym. Czy wiara weń nie musi być w takim przypadku jeszcze większa, bezwarunkowa niemalże, bo oparta na — w sensie dosłownym — ślepym zaufaniu?

Akcja baletu toczyła się wartko, a gdy — początkowo beztraska — zaczęła się stopniowo zaciemniać, a nawet tragizować, zdjął mnie niepokój. Przecież jeszcze kilkanaście godzin temu mogliśmy wraz z mistrzem ostatecznie zakończyć naszą ziemską podróż... Czy Zły Duch — w balecie jest nim czarownik Rotbart — dał za wygraną? A może skoczy nagle w kierunku dyrygenckiego podium, by na styku dwóch światów, realnego i baśniowego, wziąć olbrzymi zamach i niczym Longinus Podbipięta zdekapituje maestro Damiana Rucacellego? Hm; żeby wizja miała jakikolwiek sens, mistrz powinien być co najmniej trzygłowym smokiem...

Zdarzył się chyba taki moment, gdy rzeczywistość i fikcja zapętliły mi się w nerwowej, kilkusekundowej drzemce. Tym bardziej podziwiałem Rucacellego, który dyrygował, jakby minionego poranka nie wydarzyło się absolutnie nic szczególnego. Sprawnie i zgrabnie doprowadził balet do — niestety tragicznego — końca.

Sama królowa — wcale nie powściągliwie zrywając się na równe nogi i szczerze aplauzując — dała asumpt do *standing ovation*, dla tancerzy, orkiestry i — *last but not least* — dyrygenta.

(W trakcie konkursu pianistycznego:

— Czy to ostatni kandydat?

— *Last but not Liszt.*)

Wiedziałem, że Rucacelli oczekuje mnie po spektaklu, ale zapewne nie miałem być jedynym gościem. Pod gabinetem maestra zdążyła się już ustawić spora kolejka. Niech się nacieszy tryumfem, w dodatku odniesionym po tak traumatycznym poranku. Pomijając fakt, że złowieszczy soman nie wyrządził mu większych szkód, bo po prostu do niego nie dotarł,



Rucacelli wykazywał się naprawdę sporym hartem ducha. Niejeden w roztrzęsieniu nie mógłby dojść do siebie, nie mówiąc już o wykonywaniu jakichkolwiek obowiązków. Z drugiej strony: dyrygować w Covent Garden... Jaki to obowiązek? Czysta przyjemność...

Chwilowo nigdzie mi się nie spieszyło. Za to jutro... Niechaj huczy, niechaj grzmi, niech na Time Square wyląduje spodek kosmiczny... O dziesiątej trzydzieści znajdę się na pokładzie lotu BA812 relacji London-Firenze. A jeśli samolot odwołają, to rzucę się do kanału La Manche i pokonam go w pław. Byłem solidnie zdesperowany. *Enough is enough* — jak mawiają wyspiarze.

Ten dzień, który rozpoczął się tak niezwykle, tragicznie nieomal, a w konsekwencji heroicznie, dostarczył mi później całej gamy uczuć i postaci.

Do — brego człowieka w osobie Andrew Kravitz (został dla mnie Kravitzem i już).

Re — zygncji, gdy najpierw w trakcie przesłuchania, a potem przed operą bałem się, że zamiast na spektaklu wyląduję w więzieniu Jej Królewskiej Mości.

Mi — łych chwil w muzeum Sherlocka Holmesa i hotelu Belgravia.

Fa — ntastycznej niespodzianki, jaką było pojawienie się królowej.

Sol — idnej dawki wspaniałej muzyki, w świetnym wykonaniu.

La — tynoski (Antosiu wybaczone, nie była godna jednego twojego uśmiechu, ale jak wiesz, altowiolisci nie są pozbawieni zmysłu estetycznego), która obsługiwała mnie w barze Belgravii (niestety, tekst o *Zubrovka Martini* nie przeszedł mi przez gardło, zaś piękna Kreolka potraktowała mnie raczej jak bohatera *Malej Brytanii* niż powieści Iana Fleminga).

Si — elankowego uczucia, które przez moment, właśnie w tej chwili, mi towarzyszyło.

Do — borowego towarzystwa maestro Rucacellego w trakcie do — skonałej kolacji, którą sobie obiecywałem.

Zaznałem też czysto ludzkiej życzliwości. Oczywiście wynikała ona z pewnego szacunku dla moich uczynków i nimbu, hm... bohaterstwa, którym, chcąc nie chcąc, zostałem delikatnie spowity, ale też szalenie odpowiadało mi, że stoję teraz na boku, a prawdziwą gwiazdą wieczoru jest maestro Damian Rucacelli. Zaś co do tego bohaterstwa... Wszystko zawdzięczałem intuicji, refleksowi i umiejętności podjęcia szybkiej decyzji i skutecznych działań. Czyż jednak nie walczyłem również o własne życie?

Od strony sali koncertowej nadciągała kolejna grupa fanów Rucacellego. Musiała być szczególnie, bowiem poprzedzała ją kilku mężczyzn ubranych co prawda po cywilnemu, ale o sylwetkach tak wysportowanych i masywnych zarazem, że ani przez chwilę nie miałem wątpliwości co do charakteru ich profesji. Panowie ci zdawali się prowadzić monologi, które w istocie były przekazywaniem informacji typu: „czysto, można przechodzić...”.

Kto miał przechodzić? Zmroziło mnie, gdy uświadomiłem sobie, że być może za chwilę stanę twarzą w twarz z... I wtedy zza zakrętu wyłonił się majordomus. Skinieniem głowy dał znak: droga wolna. Oczom moim ukazała się królowa Elżbieta II w pełnym majestacie, otoczona kilkoma damami, wśród których rozpoznałem... moją znajomą z pociągu. Ona również mnie zauważyła, a nawet — choć musiałem to uznać za fakt nadzwyczajny — nie robiła wrażenia zaskoczonej moją obecnością. Mało tego, spojrzała z tym samym filuternym uśmiechem, którym pożegnała mnie rano. Ale ku mojemu całkowitemu już zdruzgotaniu pojąłem w końcu, że cały ten królewski orszak nie kieruje się wcale do gabinetu dyrygenta, jeno do mnie... Jeśli kiedykolwiek przechowywałem w głowie choć strzępki informacji o ceremoniale dworskim, to w tej właśnie chwili wyparowały ze mnie ich ostatnie resztki. Nie wiedziałem nawet, co zrobić z rękami: przed siebie, za siebie, może do kieszeni (do kieszeni chyba nie, mignęło mi). A może powinienem rzucić się na kolana lub zgłoś strzelić czołem w posadzkę? Krótko mówiąc, znalazłem się niczym w połowie zdradzieckiego działania somanu: sparaliżowany, ale jeszcze bez drgawek.

Wówczas stało się coś, co na pewno przekraczało normy dworskiej etykiety, pokazując zarazem, że ludzie mają niekiedy potrzebę wyrażania emocji w sposób jak najbardziej bezpośredni. Lady Eleanora Paddington podeszła do mnie i... wyciągnęła w oba policzki. Dla królowej Elżbiety musiał to być znak.

— Za uratowanie życia mojej ulubionej damy dworu i ukochanej przyjaciółki oraz za nie pierwsze już okazanie męstwa — poinformowano mnie o pańskim udziale w odnalezieniu Duńskiego Jaja Fabergé — zostanie pan wyróżniony *for gallantry*. Za odwagę, a nie galanterię, jak wyjaśnił mi później maestro Rucacelli. — Odznaczę pana Krzyżem Jerzego. Oto kopia baretki, którą proszę przyjąć na pamiątkę dzisiejszego zdarzenia. Właściwe procedury zostaną wkrótce uruchomione.

Gdyby jeden z kryształowych żyrandoli Covent Garden spadł mi teraz na głowę, szok byłby zapewne mniejszy. Zaraz zaczną się drgawki — myślałem w panice, zastanawiając się jednocześnie, czy wypada królową cmoknąć w rękę... W żadnym razie! — coś mi podpowiadało. Dla pokrycia totalnego zmieszania i niemożności jakiegokolwiek — nie mówiąc już o właściwej — reakcji, zamarłem w półukłonie mającym wyrażać najwyższą wdzięczność i szacunek.

— A to ode mnie! Dla lady Antonii. — Lady Eleanora, uśmiechając się, wcisnęła mi do ręki pudełeczko, w którym spoczywał pierścionek z brylantem. Wywiad Jej Królewskiej Mości spisał się na medal. A raczej na krzyż i pierścien.

Ale dwór już się przemieszczał. Uwaga poświęcona śmiertelnikowi z obcego kraju trwała i tak wystarczająco długo. Wysportowani mężczyźni przygotowali do wizyty gabinet dyrygenta, to znaczy opróżnili go z osób postronnych. Królowa wraz ze świtą weszły do środka. Odwiedziny u mistrza nie trwały zbyt długo, bowiem zanim jako tako doszedłem do siebie, cała grupa opuszczała już poziom minus pierwszy. Gdy zastanawiałem się, czy otrzymany przed momentem pierścionek dla Antosi mógłbym wykorzystać do złożenia pewnego rodzaju... deklaracji, z gabinetu wyszedł maestro. Uraczył mnie natychmiast miną tak ważną, że odechciało mi się pogratulować mu spektaklu.

— Panie Bartku, przepraszam, że pan tak długo czekał, ale miałem dość niespodziewaną wizytę. — Zawiesił dramatycznie głos, testując — w swoim pojęciu — moją wytrzymałość. — Królowa Elżbieta II przysłała mi złożyć osobiste gratulacje!

— Tak, wiem, widziałem...

— Widział pan? — Rucacelli był uszczęśliwiony, że znalazł się świadek jego tryumfu, zarazem jednak zgorszony, że ten przypadkowy, a postronny ktoś znalazł się tak blisko majestatu. Postanowiłem go nie oszczędzać.

— Tak, bo ze mną też rozmawiała...

— Rozmawiała?! Kto?! Chyba nie królowa?! — Był zdruzgotany, gotów rwać włosy z głowy.

— Nie. Lady Paddington. Dostałem od niej prezent. — Otwarłem pudełeczko, w którym znajdował się skromny, lecz przepiękny pierścionek z brylantem. Byłem pewien, że przypadnie Antosi do gustu.

Rucacelli oniemiał. Musiałem uważać, bo gotów był nie wytrzymać kolejnego ciosu.

— Z królową nie rozmawiałem. — Odżył minimalnie. — To nie była rozmowa, raczej oznajmienie mi, że otrzymam medal czy coś w tym rodzaju...

— Nie! — Rucacelli zbladł i usiadł na korytarzowej sofie. — Nie mówi pan poważnie...

— Sam już nie wiem... *Her Majesty* wręczyła mi coś takiego... — Pokazałem dyrygentowi granatową wstążkę z metalową miniaturą krzyża.

— Krzyż Jerzego... Nadawany za akty największego bohaterstwa lub niezwyklej odwagi w warunkach skrajnego niebezpieczeństwa... Czy wie pan, że to odznaczenie znajduje się na

fladze Malty?

— Malty? Bohaterstwo zbiorowe?

— Dokładnie tak. Z czasów drugiej wojny światowej...

Musiał być niezłe zorientowany w tematyce odznaczeń.

Pewnie sam szykował się do jakiegoś. W istocie — jak się później dowiedziałem — przedmiot ten stanowił jego hobby. I zwłaszcza dlatego nie mógł wyjść ze zdumienia nad błyskawiczną i zgoła pozaproceduralną decyzją o przyznaniu mi krzyża... Osobiście przypisywałem to cieplej i spontanicznej osobowości lady Eleanory. Oraz jej wpływowi na Elżbietę II, który wydawał się znaczny.

— Choć z drugiej strony, Mannowski bohater Feliks Krull otrzymał portugalski order Czerwonego Lwa drugiej klasy za sam fakt usatysfakcjonowania Jego Królewskiej Mości pogawędką — monologował jeszcze mistrz, by po chwili zaskoczyć mnie zupełnie; nie po raz pierwszy i nie ostatni zapewne.

Wstał, przygarnął mnie niemal ojcowskim gestem i wyszeptał wzruszony:

— Należało ci się, chłopaku. Jestem z ciebie dumny.

No dobra, to i ja postanowiłem zrezygnować z małostkowości.

— W trakcie spektaklu ja też byłem z pana dumny...

— Panie Bartku, znam tu takiego Hindusa, naprawdę dobre jedzenie, bo — ściszył konspiracyjnie głos — angielska kuchnia nadaje się do wszystkiego z wyjątkiem konsumpcji...

Wybór okazał się ze wszech miar słuszny i smakowity, ale to wcale nie kulinarne atrakcje zdominowały dalszą część wieczoru. Gdy po słodkich a pikantnych *tandoori* (ja — vege, mistrz — kurczak) gasiliśmy pragnienie irlandzkim — a co tam! — *pale ale*, Rucacelli jakby od niechcenia zagadnął:

— Pytał mnie pan w pociągu o niejakiego Alberta Plejadę. Czy można wiedzieć, dlaczego interesuje pana ta postać?

Ciekawe. Zważywszy intensywność późniejszych doznań, nie zdziwiłbym się, gdyby Rucacelli w ogóle o nim zapomniał.

— No cóż. Pewna zdolność myślenia abstrakcyjnego, którą wykazałem w trakcie rozwiązywania zagadki Rosenberga, przywiodła znanego również panu oficera śledczego do wniosku, że — być może — okaże się pomocny także w innej sprawie. Nie tak ciekawej i znacznie mniej efektownej, ale również zahaczającej o środowisko muzyczne.

Bałem się, że nazwanie rzeczy po imieniu może spłoszyć mistrza. Postanowiłem spróbować wersji soft.

— Mówiąc konkretnie, chodzi o pewne... niepokoje, do których doszło w K. na przestrzeni ostatnich dwóch tygodni. Niestety, istnieją przesłanki, aby sądzić, że to nie koniec.

— Niepokoje, powiada pan? — Patrzył na mnie podejrzliwie. — Coś poważnego?

— Nadkomisarz Bielski aż tak głęboko mnie nie wtajemniczał... Zdaje się, że jakieś groźby...

— No dobrze, wszystko jedno — dał za wygraną. — Bo widzi pan, coś mi się jednak przypomniało. A moją pamięć odświeżyło pewne skojarzenie, które odżywa w murach Covent Garden. Otóż tak się składa, że w trakcie tegorocznych wizyt już dwukrotnie widziałem portiera, który w jakiś sposób przypomina mi tego, o kogo pan pyta... Pański Plejada — dlaczego zaraz mój, chciałem zaprotestować, ale kolejne słowa mistrza zamurowały mnie — zasłynął w Szwecji z tak zwanych lornetek, którymi niepokoił w trakcie prób, a potem także koncertów.

— Lornetek?!

Chyba się przesłyszałem...

— Tak, prawą dłoń formował w rodzaj okularu, który przykładał do oka i obserwował

przezeń solistów i dyrygentów.

A mnie się zdawało, że widziałem już w orkiestrze wszystko: muzyków czytających gazety, esemesujących, zabawiających się grami komputerowymi, rozwiązujących krzyżówki, a nawet kulających po ziemi piłeczkę pingpongową; rodzaj orkiestrowego hokejo-golfa.

— Domyśla się pan, że sprawa była drażliwa. Przez pewien czas starano się zjawiska nie dostrzegać, w nadziei, że muzyk się opamięta. Tak się jednak nie stało, a to oznaczało kłopoty. Sądzono, że powodem dziwnego zachowania mogą być narkotyki, bo alkoholu nikt od niego nie czuł. Podejrzewano też zaburzenia psychiczno-emocjonalne. I w jednym, i drugim wypadku trudno jest kogoś wysłać na badania wbrew jego woli. Jako pierwszy nie wytrzymał partner z pulpitu, który zrobił mu awanturę. I wie pan, jak to się skończyło? Plejada rozbił mu nos.

— Robię wszystko, co do mnie należy — mówił. — W kontrakcie nie ma mowy o nieprzykładaniu dłoni do oka. Społeczność nie może być aż tak opresyjna, aby piętnować najmniejsze zachowanie odbiegające od normy. W końcu jesteśmy artystami!

Rozbity nos przesądzał jednak sprawę. Plejada został zwolniony w trybie dyscyplinarnym.

— A kiedy to się stało?

— Parę lat temu, ale dokładnie panu nie powiem...

— A przecież gdy spytałem po raz pierwszy, nie pamiętał go pan wcale... —

Zaskakująco duża ilość szczegółów odżywała we wspomnieniach Rucacellego. Coś mi się zdawało, że gdyby maestro głębiej poszperał w pamięci, odnalazłby precyzyjne daty...

— Pamiętałem, ale nie miałem ochoty do tego wracać. Bo, prawdę mówiąc — pochylił się do przodu w wygodnym fotelu, tak jakby ktoś wrzucił mu na ramiona ciężkie brzemie — mnie również uraczył kiedyś swoją lornetką. Działo się to w trakcie finału *I Symfonii* Sibeliusa, którą wówczas prowadziłem w Nyrshoping. O mało nie zapomniałem, co mam dyrygować. To było nieprzyjemne, świdrujące doznanie.

No, no, maestro taki wrażliwy... Ale mniejsza o niego.

Miałem trop czysty i soczysty niczym sok ze świeżych malin. Pogratulowałem sobie powściągliwości; informacja, że niezrównoważony skrzypek jest podejrzewany o kilka morderstw, mogłaby wpędzić Rucacellego w traumę. Czym prędzej należało wyjaśnić jeszcze jeden wątek.

— A co z tym portierem z Covent Garden?

— Był podobny. Ale wie pan co? Samo wspomnienie tego Plejady było na tyle nieprzyjemne, że nawet gdyby okazało się, że to on, nie miałbym najmniejszej ochoty na odnawianie znajomości... Zresztą, mało to jest ludzi do siebie podobnych? Może wcale nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie pewien szczegół; otóż człowiek ten — w odróżnieniu od Plejady szwedzkiego — miał długie, związane w ogon włosy. Tyle że związane... struną...

— Zaraz, co pan powiedział? W ogon?! Struną?!!!

— No, taka mała ekstrawagancja. — Rucacelli nie mógł zrozumieć mojej ekscytacji.

Jasna cholera! Przecież ogon to po angielsku *tail*. Ostatnie słowo ofiary „Wędkarza”...

Musiałem jak najszybciej skontaktować się z Kravitzem! Maestro zresztą był już zmęczony, czemu nie dziwiłem się ani trochę. Gdy rozstawaliśmy się na ulicy, powiedział:

— Panie Bartku, zapomniał pan o liście. Zrobiłem kopię, którą proszę przyjąć i przeczytać w wolnej chwili. Jeśli zechce się pan ze mną skontaktować, oto moja wizytówka.

A to mnie zaszczyt kopnął na pożegnanie...

Wracając do hotelu, snułem rozważania. Analizując i dodając do siebie poszczególne fakty, można było założyć, że Albert Plejada, utalentowany skrzypek z K., który podjął pracę w Szwecji, a w wyniku zachowań mogących świadczyć o pewnym niezrównoważeniu psychicznym

utracił ją, był tym samym człowiekiem, który w Londynie za pomocą żyłki, a w K. — strun, pozbawił życia już cztery osoby. Gorzej było z motywami. Wiedzielibyśmy kto, nie wiedząc dlaczego. To chyba lepiej niż odwrotnie, pocieszałem się.

Mimo ekstremalnie późnej pory zadzwoniłem do Kravitz. Jest zawodowcem, niech zdejmie ze mnie brzemię odpowiedzialności. Powtórzyłem wszystkie poznane właśnie sensacje. Bez dużego ryzyka pomyłki podałem nazwisko domniemanego zabójcy — choć nie sposób było wykluczyć, że obecnie posługuje się innym — wygląd, cechy charakterystyczne i domniemane miejsce pracy. Wyjaśniłem również kontekst słowa *tail* wypowiedzianego przez nieszczęśnika, którego „Wędkarz” pozbawił życia. Na tym — jak sądziłem — kończyła się dla mnie sprawa „Struniarza”. Czy w istocie był nim ekscentryczny portier z Covent Garden alias Albert Plejada? Jeśli tak, moja szalona londyńska eskapada — w której tyle było chaosu, co i pomocnego przypadku — nabierała głębokiego sensu.

Plejada mógł w tej chwili przebywać gdziekolwiek. Przemieszczanie się na duże odległości jest we współczesnym świecie łatwiejsze niż podróż z jednego na drugi kraniec miasta. Ustalenie tego było zadaniem dla kooperujących policji. Niech pokażą, co potrafią. Choćby mieli wysłać w pogoń całą armię tropicieli. Moja rola już się kończyła.

Na zakończenie stanowczo zbyt długiego dnia postanowiłem zapoznać się z listem, który Rucacelli wręczył mi na pożegnanie. Lektura na dobranoc, pomyślałem. Wyciągnąwszy się wygodnie w łóżku, zacząłem czytać. Jednak treść nie pozwoliła mi usnąć przed zakończeniem.

*Wielce Szanowny Maestro Rucacelli,*

*Od Pana wizyty minęło już kilka dni, a ja bez końca zastanawiam się, czy postąpiłem słusznie. Nie żałuję, że wręczyłem Panu batutę i podzieliłem się posiadanymi informacjami, męczy mnie jednak, że zachowałem dla siebie coś, co jest w istocie zagadką ukrytą jeszcze głębiej. Jeśli przekazana Panu wiedza narażała mnie na zaliczenie w poczet ludzi pozbawionych zdrowego rozsądku, to jej zatajona część zepchnęłaby mnie w grono szaleńców lub niepoczytalnych. Kto bowiem gotów uwierzyć, że gdzieś w K. — choć powinienem raczej powiedzieć, pod K. — znajduje się porzucone miasto — lokalna Atlantyda i Pompeje w jednym — niczym starożytna osada założona w podziemiach i w nich zakonserwowana?*

*W odróżnieniu od filharmonicznych korytarzy i sejfu, tego miejsca nigdy nie widziałem. Ale potrafię je sobie wyobrazić. Czytałem o nim tyle razy, że nawet zamykając oczy, potrafiłbym naszkicować dokładny plan. Skąd o nim wiem, spyta pan. Żeby nie komplikować i tak zagmatwanej opowieści, postaram się to pokrótce wyjaśnić.*

*Tuż po wojnie zaczęły do mnie docierać słuchy, jakoby część odrzuconych lub — mówiąc bardziej eufemistycznie — niezakwalifikowanych do pomocy osób z tak zwanej podwójnej listy próbowała ratować się na własną rękę. Żywot takich rewelacji jest krótki; jeśli nie znajdują pożywki w faktach i odkryciach, obumierają. Tak było i w tym wypadku.*

*Gdzieś na początku lat pięćdziesiątych, w szerokich ramach uchwalonego właśnie planu gospodarczego, znalazło się miejsce dla nowej kopalni soli. Jej starsza siostra, zniszczona i zasypiana w trakcie bombardowań zaraz na początku wojny, nie nadawała się do ponownej eksploatacji. Jednak badania geologiczne dowodziły, że lokalne zasoby żup solnych dalekie są od wyczerpania. Firma, w której wówczas pracowałem, otrzymała zlecenia na wykonanie robót przygotowawczych. Moim zadaniem było projektowanie stropów i rusztowań, a w dalszej kolejności nadzór nad pracami konstrukcyjnymi. Jednym z bliskich współpracowników został przedwojenny pracownik starej kopalni, do wybuchu wojny pełniący w niej funkcję sztygara. Człowiek ten zbliżał się do wieku emerytalnego, ale uznano, że jego wiedza o nie zawsze nianiesionych na plany tajnikach podziemi może okazać się bezcenna. Dziś pojmuję, że sztygar był*

wówczas bliski stanu świadomości, który ja osiągnąłem dopiero teraz. Co mam na myśli? Otóż w pewnym momencie życia dopada nas poczucie przemijania. Uświadamiamy sobie, jak wiele jeszcze pragnęlibyśmy zrobić, czego dokonać, z czym się rozliczyć... Przechowujemy w pamięci, ale przecież nie tylko w niej, skrawki czasu minionego. Zbyt cenne, aby się nimi dzielić pochopnie. Nieujawnione w porę, mogą przepaść na wieki...

Połączyło nas coś w rodzaju ostrożnej przyjaźni. Ostrożność była nakazem chwili i imperatywem przetrwania. Szczególnie jeśli chroniło się nie tylko własne tajemnice. Widziałem, że sztygar dźwiga na swoich silnych, nawykłych do ciężaru barkach jakiś przytłaczający sekret. Kilkakrotnie zdarzyło się nam osuszyć parę głębszych. Nieraz odnosiłem wrażenie, że mężczyzna już otwiera usta, aby coś wyznać, po czym jednak rozmyśla się i wycofuje. Aby jednak być do końca szczerym, dodam, że podobnie było ze mną. Te półsłówka i zamknięcia połączyły nas więzią silniejszą od powszedniej. Musieliśmy dojść do wniosku, że nasze historie w którymś punkcie się przecinają. Że tak było istotnie, miałem się dowiedzieć już nie od niego.

Sztygar umarł na zawał serca w wieku sześćdziesięciu dwóch lat. Kilka tygodni później otrzymałem list. Wdowa informowała mnie, że pragnie przekazać mi pamiątkę po mężu, który wyraził z pełną jasnością, kto ma się stać jej powiernikiem. I tak trafił w moje ręce Pamiętnik Sztygara.

Sensacje w nim zawarte potraktowałem z pewną rezerwą, traktując jako rodzaj fantasmagorycznej ucieczki obłąkanego umysłu. W czasach wojen, klęsk i zagrożeń powstaje wiele fantastycznych księzek, będących schronieniem w rzeczywistość alternatywną.

Gdy wyjeżdżałem z kraju, nie w głowie było mi zabieranie wszystkich pamiątek przeszłości. Przecież w dużym stopniu właśnie przed nimi uciekałem. Przyznam się nawet, że sporą ich część zniszczyłem, nie chcąc ryzykować, że kiedykolwiek dostaną się już nawet nie w niepowołane, ale w obojętne ręce. Taki los nie spotkał jednak Pamiętnika Sztygara. Może dlatego, że czułem się jego powiernikiem, a nie właścicielem? Ponieważ historia w nim opisana łączy się ze sprawą Rosenberga, postanowiłem ukryć go w miejscu symbolicznym, w pewien sposób związanym ze sławnym architektem.

Nawiasem mówiąc, nigdy nie mogę nadziwić się przenikliwości jego umysłu. Nie dalej jak wczoraj otrzymałem z banku informację o nowej karcie debetowej oraz czterocyfrowy kod, pospolicie zwany pinem. Czy da pan wiarę, że Rosenberg to wszystko przewidział? „Przyjdą czasy, gdy ludzie zamiast podpisu będą używać czterech cyferek” — powiedział kiedyś w trakcie dyskusji o dokumentach dla uciekinierów. W duchu wyśmiałem go wówczas. Ale i w tej materii czas przyznał mu rację...

Mijały lata, a mnie chwytał lęk, że do całej listy niezalatwionych przeze mnie spraw życie dopisze jeszcze jedną. Sztygar mógł część faktów podkoloryzować, ale dlaczego miałby je w całości wymyślać? W końcu pojąłem ostatecznie, że do porzuconego miasta już nigdy nie wrócę. Uczyniłem więc pewną wskazówkę i dołączyłem ją do nowego symbolu, który dla znającego podstawowe fakty powinien być więcej niż czytelny. Cała nadzieja, że schowek — bez względu na to, w czyje wpadł ręce — pozostał nienaruszony.

Jednak zaraz po tym, jak podzieliłem się z Panem główną częścią moich tajemnic, uderzyła mnie oczywista konstatacja: co dla jednych oczywiste, dla innych pozostanie zakryte. A zgoła nienaturalne byłoby, gdybym właśnie ten odprysk przeszłości zachował dla siebie. Stąd mój dzisiejszy list.

Człowiek to dziwna istota, mówiłem już przecież... Najpierw ukrywa coś głęboko, potem — przerażony, że zamknął historię w grobie — stara się nadać jej ponowne życie... Ale piasek czasu zasypuje tropy. Tam, gdzie wczoraj istniał wyraźny odcisk, dziś pozostaje tylko jego wspomnienie. I sami już nie wiemy, w którym miejscu przebiega granica między prawdą a

wyobrażeniem tak usilnym, że przyjmującym kształt rzeczywistości.

*Z tekstu sztygara na zawsze wryło mi się w pamięć jedno zdanie, które przytaczam tu w brzmieniu zapewne nieodległym od oryginału:*

*Jeszcze oko ludzkie podobnego miejsca nie widziało...*

*Ale dość mojej biednej głowie tych rozmyślań. Niechże ktoś zdejmie z niej i tę klątwę...*

*Jest jeszcze coś.*

*Wkrótce po spotkaniu z panem nasz wspólny znajomy zaczął się interesować jego przebiegiem. Dzwonił kilkakrotnie, ale nie odbierałem słuchawki. Znając go, nie mogę jednak wykluczyć, że złoży mi wizytę osobiście. Bez zaproszenia.*

*Moje dni są — tak czy inaczej — policzone...*

*Wyrażam się niejasno? Ach, gdybym potrafił inaczej...*

*Mówić czytelnie o rzeczach trudnych — oto umiejętność mędrców, której nie posiadam...*

*Pański Casimiro Michelangelo*

*lub, jeśli Pan woli, Kazimierz Michalewicz*

## 11.

Następny ranek miałem rozplanowany co do minuty. Aby za żadne skarby nie spóźnić się na samolot, postanowiłem stawić się na lotnisku już o dziewiątej. Oprócz przywracania się do życia za pomocą prysznic i śniadania, miałem do odbycia dwie istotne rozmowy telefoniczne. Rozmowy? Konsultacjeomalże, i to z przedstawicielami organów ścigania dwóch niezależnych państw. Czy ja przypadkiem nie zasługiwałem na jakąś materialną gratyfikację? Dobrze chociaż, że sama podróż nic mnie nie kosztowała. Prócz, o mały włos, utraty życia.

*Officer Andrew Krawczynski* nie miał dla mnie piorunujących wieści. Dotychczasowe poszukiwania portiera z Covent Garden nie przyniosły rezultatu.

— Proszę być spokojnym, to może trochę potrwać, ale ścigany się nam nie wymknie — przekonywał mnie *Kravitz*.

Otóż nie byłem tego taki pewien. Wziąwszy pod uwagę, że dokonał czterech morderstw właściwie zupełnie bezkarnie, gotów byłem się założyć, że *Plejada* dysponuje niezwykłym instynktem. Wszystkie siły tego dziwnego człowieka skupiły się na jednym: wykonać postawione zadanie. A potem... Nie wiedziałem, czy istnieje dla niego jakieś potem. Ale przeczuwałem, że pogrążony w logice szaleństwa będzie niesłuchanie trudną zwierzyną łowną.

Miałem do *Kravitza* jeszcze kilka pytań związanych bezpośrednio z moją skromną osobą.

— Czy jest pan wtajemniczany w postępy śledztwa dotyczącego... wczorajszych zdarzeń? — Dobrze byłoby usłyszeć coś w rodzaju: „jasne, złapaliśmy zamachowców, a za chwilę wpadną nam w ręce zleceniodawcy”... W sposób niepokojący przybywało ostatnio chodzących luzem gości, którzy nie musieli darzyć mnie sympatią, zaś sposób okazywania przez nich antypatii bywał dość — że tak powiem — skrajny. Niestety, przeżyłem rozczarowanie.

— Zniknęli. Rozpłynęli się. Jeśli opuścili pociąg w Calais, to możliwości dalszej ucieczki były wielorakie. Obawiamy się jednak, że nie było tu przypadku. Gdzieś na wybrzeżu dostali się na pokład większej lub mniejszej łodzi i...

*I'm sailing, I'm sailing...* — chciałem zanuć. Co jest, do cholery? Czy naprawdę

zmuszony jestem liczyć tylko na siebie?

— Czy badano trop włoskiej gazety?

— A co tu badać? Terrorysty mogli przybyć do Paryża z Włoch i tuż przed akcją przesiąść się do Eurostara. Zresztą — mimo obecności w wagonie kilku wybitnych jednostek — nie potrafimy odpowiedzieć na pytanie, czy zamach był starannie reżyserowany, czy też może do pewnego stopnia przypadkowy... Wracając do gazety, była sprzed kilku dni, co również o niczym nie świadczy. Mogła być po prostu wyciągnięta z pierwszego lepszego kosza.

Też prawda...

— A wie pan chociaż, jaka to gazeta? Bo nie zdążyłem się przyjrzeć...

— Mogę sprawdzić, ale prawdę mówiąc, nie przeceniałbym tego wątku... Niech pan będzie spokojny. Śledztwo prowadzone jest z dużym rozmachem...

No, faktycznie; udało się już ustalić, że sprawcy zniknęli bez śladu.

— Będziemy w kontakcie; obiecuję informować pana na bieżąco. I jeszcze raz dziękuję za wystawienie *stringmana*. Moi ludzie od rana czeszą miasto. Jestem pewien, że do wieczora będą rezultaty.

A przynajmniej Londyn będzie miał ładną fryzurę... Z tym wystawieniem nieco przesadziłem. Prawdę mówiąc, o wiele chętniej usłyszałbym, że choć jedna ze spraw, w którą jestem wmieszany, znalazła rozwiązanie. Bowiem ja — zaraz po kolejnej rozmowie — miałem zamiar wyłączyć się z jakichkolwiek śledztw. Choć od wyjazdu z Corbetto minął zaledwie tydzień, a od występu kwartetu nieco ponad dwie doby, miałem wrażenie, że swoim życiem muzycznym, a zwłaszcza prywatnym nie zajmuję się już całą wieczność. I właśnie miałem zamiar solidnie to nadrobić.

— Witajcie, nadkomisarzu — chciałem na wstępie rozluźnić trochę Bielskiego, który — szczególnie rankami — miewał te swoje humory. Ale tym razem nie było to konieczne.

— Bartek! Coś ty tam wczoraj narozrabiał?! Krawczyński opowiadał mi niestworzone historie. Czy wyście przypadkiem nie naćpali się skonfiskowaną marihuaną?

Aha! Więc sława — mimo oficjalnego embarga — poszła w świat!

— A jakże! Uspawaliśmy się na sztywno.

Może faktycznie uległem wizjom spowodowanym nawdychaniem się somanu? Ale jak tłumaczyć ciąg dalszy?

— W dodatku Kravitz nie wie wszystkiego. Z rąk królowej Elżbiety otrzymałem wczoraj baretkę krzyża Jerzego... — Zamiast kolejnej euforii odpowiedziała mi cisza. Chyba przesadziłem...

— Kravitz? Dlaczego Kravitz?

— Posłuchaj, Robercie, cokolwiek bym nie powiedział, zabrzmiałoby to mało prawdopodobnie. Odlóżmy więc temat do mojego powrotu, a teraz — zanim dojdziemy do wspólnego wniosku, że defrauduję publiczne finanse — skup się i wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Otóż moje nieszablone metody śledcze pozwoliły ustalić, że niejaki Albert Plejada pracował w orkiestrze symfonicznej w Nyrshoping, skąd wyrzucono go kilka lat temu — oficjalnie za pobicie innego muzyka, nieoficjalnie — ponieważ zaczął zdradzać kłopoty z głową. Co działo się z nim potem — nie wiadomo. Ale w tym roku był już dwukrotnie widziany w Londynie. Podobno zmienił się, a najbardziej charakterystyczną cechą tych zmian jest nowa fryzura: długie włosy spięte w ogon skrzypcową struną.

Cisza, która panowała po drugiej stronie, miała teraz inne zabarwienie. Nie wiedziałem, czy Bielski notuje, czy też oszołomił go kolejny dowód moich śledczych mocy.

— A skąd ty to wiesz?

— Rucacelli mi powiedział... — Już słyszałem krzyk pełen niedowierzania: „Rucacelli?!“



A skąd tam, do cholery, wziął się ten bufon?!”. Uprzedziłem go. — Robert, mniejsza o to. Grunt, że informacje są pewne. Wiecie już naprawdę sporo. Jeśli nawiązesz ścisłą współpracę z Kravitzem, złapanie Plejady powinno stać się formalnością. Zresztą nie oczekujesz chyba, że będę mówił zawodowcom, co powinni robić?

*De facto* właśnie to czyniłem. *E basta*. Wiedzieli kto, posiadali rysopis i znali teren, na którym mógł przebywać. Nie miałem zamiaru nadal wyręczać policji. Brakowało tylko, żebym biegał z kajdankami po ulicach...

— Bartoszu, jesteś tam ciągle? Bo i ja mam pewną informację. Jeździsz po świecie, narażasz życie, a może całkiem niepotrzebnie...

— Tak? No to serdecznie dziękuję za uznanie...

— Żartowałem przecież... Posłuchaj, w stosunku do twoich odkryć to żadna rewelacja, ale... Udało nam się w końcu ustalić tożsamość pierwszej ofiary. To niejaki Longin Parolny...

— Pa-rolny? A nie Mało-rolny? — błysnąłem niewyszukanym poczuciem humoru. Bielski go nie podchwycił.

— Rzecz w tym, że nasza koncepcja uległa zachwianiu...

— To znaczy? — spytałem mało domyślnie.

— Longin Parolny był niegdysiejszą wschodzącą gwiazdą fizyki molekularnej.

Niedoszłą gwiazdą. Z powodu osobistej tragedii — najprawdopodobniej śmierci bliskiej osoby — załamał się całkowicie. Skrył się — symbolicznie i dosłownie — na obrzeża ludzkiej pamięci i ludzkich siedzib. Trafiliśmy na trop, wysyłając zwiadowców z jego zdjęciem w rejony ogródków działkowych. To był strzał w dziesiątkę. Ludzie go rozpoznali. Okazało się, że przemieszkał tam kilka lat...

— Hm, czyli ślad muzyczny się wypala...

A jeszcze przed chwilą wszystko zdawało się do siebie pasować. A może — podobnie jak w Londynie — „Struniarz” chciał „dopomóc” jednostce tragicznej w rozstaniu się z najlepszym ze światów? Albo — i znów podobieństwo — przeprowadzał próbę generalną, we właściwym miejscu i właściwym sprzętem? Nie tak dawno mówiłem, jak łatwo spartolić coś na koncercie, gdy się ją pominie... „Struniarz” — wedle wszelkich domniemań muzyk — musiał o tym wiedzieć...

Trudno. Moja rola tym bardziej się kończyła. Środowisko fizyków, i to molekularnych, nie było bliską mi domeną.

— Bartoszu, nie przejmuj się za bardzo. Z tego, co powiedziałaś, można wnioskować, że jeszcze chwila, a facet sam wprowadzi nas w meandry swoich działań.

Po raz kolejny ukłuło mnie przecucie, że to wcale nie musi być aż tak oczywiste...

— Zadzwoń do Krawczyńskiego. Może mają go już na wyciągnięcie ręki? — zakończył z nadzieją w głosie.

Rozłączyłem się. Niech dzwoni. Przeżyje małe rozczarowanie, ale przecież świat nie jest wybrukowany wyłącznie dobrą nowiną.

Wyrzuciłem z myśli „Struniarza”. Pozbyłem się księżycowych sylwetek. Zamknąłem na klucz fałszywych stewardów. Do widzenia. A najlepiej: żegnajcie.

Droga na lotnisko, formalności paszportowo-biletowe, leniwy spacer po pachnących markowymi kosmetykami *duty free*, w końcu łagodne oczekiwanie na *boarding* były już zajęciami z innej rzeczywistości. Wracałem do niej z ulgą. W obejmującą mnie ciszę raz jeszcze wdarł się londyński odgłos; dzwonił Kravitz z informacją, że gazetą zakrywającą bombę z somanem była „Corriere Della Toscana”. Jakiś nerw został lekko ugodzony, ale odrzuciłem ból daleko od siebie.

Od ujrzenia Antosi dzieliły mnie już tylko kwadransy. Od ujrzenia, dotknięcia,

pocałowania... Już tylko kwadrans dzieliły Estona od przyjemności powalenia mnie na ziemię. Jakoś nie potrafiłem oduczyć go tej formy okazywania uczuć. Do samolotu pozwoliłem się omal zaprowadzić. Zapomniałem nawet, że mam miejsce w bussines class, ale szemrzące stewardessy nie omieszkały mi tego uświadomić. Wkrótce zapadłem się w fotel miękkiej i wygodnej — nie wiedziałem, że jest między nimi aż taka różnica — komfort dla uprzywilejowanych. Jeszcze nim samolot oderwał się od ziemi, czarnoskóra hostessa zaproponowała lampkę Laurent-Perrier. Wraz z nabieraniem wysokości czułem, jak opuszcza mnie napięcie ostatnich kilkunastu godzin.

Największe szczęście to oczekiwanie szczęścia. Nie wiem, kto jest autorem tych słów, ale w tej właśnie chwili gotów byłem przyznać im rację. Poczułem się... skowronkowo. Do tego stopnia, że myśl poszybowała jeszcze wyżej, ku rozważaniom, które od dawna już mnie nęciły...

Imitowanie lub portretowanie zwierząt za pomocą dźwięków jest stare jak sama muzyka. O ile u podstaw pierwszego legły względy praktyczne — ostrzeżenie o nadciągającym niebezpieczeństwie lub też wabienia ofiary w trakcie polowania — o tyle w drugim wypadku możemy już domniemywać potrzebę artystyczną.

Przyznając rację teorii ewolucji, uznajemy, że gatunek ludzki jest zaledwie młodszym krewnym świata zwierząt, które co prawda nie osiągnęły umiejętności komunikacji werbalnej, ale dźwiękową — owszem. Sposób, w jaki porozumiewają się nasi bracia mniejsi, jest bliższy muzyce aniżeli ludzka mowa. Kto wątpi, niech posłucha śpiewu ptaków na wiosnę. Komu zaś dane było usłyszeć stado wilków wyjących do księżycy, ten zgodzi się z tezą, że również w dziedzinie śpiewu chóralnego zwierzęta były przed nami.

Ptaki są tu przykładem najbardziej spektakularnym, dlatego literatura muzyczna naszpikowana jest próbami ich naśladowania. *Kwartet Skowronkowy* to zaledwie jedna z wielu próbek. Przytoczę ich garść, z zastrzeżeniem jednak, że pełny katalog zająłby kilka stron.

Do najbardziej znanych ptasich imitacji należy początkowy fragment *Wiosny* otwierającej słynne *Cztery Pory Roku* Antonio Vivaldiego. *Kura* stanowi bohaterkę klawesynowego drobiazgu Jeana-Phillippe'a Rameau. Kto przypomina sobie finał drugiej części (*Scena nad strumykiem*) *Symfonii Pastoralnej* Ludwiga van Beethovena, ten od razu usłyszy ptasie kląskanie i kukanie. Dla odmiany, najbardziej spektakularny fragment majestatycznej *II Symfonii* Gustawa Mahlera: po końcu świata — dźwiękowej apokalipsie z początkowej części finału — odzywa się samotny głos fletu — śpiew ptaka — zapowiedź nadziei zmartwychwstania. Jeszcze dalej posunął się Ottorino Respighi, który w słynnych *Piniach rzymskich* użył nagrania z ptasim śpiewem (dawny program telewizyjny *Spotkania z przyrodą* rozpoczynał się tym fragmentem). Jeden z mistrzów XX stulecia, Olivier Messiaen, potraktował skopiowanie ptasiego śpiewu w sposób zupełnie dosłowny. Z zapisu magnetofonowego przeniósł na papier nutowy odgłosy ptaków egzotycznych. Taki właśnie tytuł nosi jeden z jego najoryginalniejszych utworów.

Zwierzęta w operze to temat na osobny esej. Wspomnę o *Aidzie* Verdiego, w której kompozytor widział na scenie konie i wielbłądy. Mamy też smoki; o tym najsłynniejszym, wagnerowskim z *Pierścienia Nibelunga*, opowiada bohaterowi (Zygfrydowi) nie kto inny jak leśny ptak.

Oto *Ognisty ptak* Igora Strawińskiego — jeden z baletów zamówionych na początku XX wieku przez słynny zespół Siergieja Diagilewa. W kategorii baletu klasycznego prym wiedzie dopiero co wysłuchane i obejrzone *Jeziro łabędzie*, w którym powabne baletniczki wcielają się w role królewskich ptaków.

Pozostanmy przy łabędziu, przenosząc się jednak w dziedzinę muzyki czysto

instrumentalnej. To bohater jednej z najpiękniejszych i najbardziej znanych melodii w literaturze muzycznej. Utrwalony pod (niesłuszną) nazwą *Umierający łabędź*, pochodzi ze słynnej fantazji zoologicznej *Karnawał zwierząt* Camille'a Saint-Saënsa. Bo przecież nie samym ptakiem karmi się muzyka. Kogo my tu nie mamy! Jest lew, są kury i koguty, dzikie osły, żółwie (rewelacyjny kankan w tempie usypiającym). Jest słoń (urocze solo kontrabasu), są kangury, możemy zajrzeć do akwarium, przyrzeć się osobistościom z długimi uszami. Jest też kukułka (no pewnie; to najprawdopodobniej najczęstszy spośród ptasich i zwierzęcych gość sal koncertowych) i cała ptaszarnia. Zaraz potem — uwaga! — pianiści! Jeszcze perkusyjne skamieliny, wspomniany już — zaklęty w przepięknym solo wiolonczeli — łabędź. I finał, w którym cała menażeria miesza się raz jeszcze na wesoło...

Komponując muzykę do *Snu nocy letniej* Szekspira, Feliks Mendelssohn-Bartholdy nie wiedział prawdopodobnie, że tworzy superhit wszechczasów. Bo przecież *Marsz weselny* znaję prawdopodobnie wszyscy, choć nie wszyscy mają pojęcie, że pochodzi on z dźwiękowej ilustracji szekspirowskiej komedii. W innym fragmencie uważny słuchacz doszuka się pięknego świstu — to krawiec Spodek, którego psotny duszek Puk obdarzył miłością Tytanii, królowej elfów i... ośłą głową.

Nie sposób nie wspomnieć uroczej bajki dla dzieci *Piotruś i wilk* Sergiusza Prokofiewa. Oprócz grupy bohaterów ludzkich (Piotruś, jego dziadek, myśliwi — na szczęście niecelnie strzelający) pojawiają się: ptaszek, kaczka, kot i wilk. Niedawno widziałem kolejną z animowanych wersji utworu (laureatkę Oscara!) z nieco zmienionym zakończeniem. Takie podobało mi się jeszcze bardziej!

W muzyce wokalne mamy za to... *Duet kotów*. Rewelacyjna miniatura skomponowana przez Gioacchino Rossiniego dla dwójki miauczających śpiewaków. Jeśli tylko nie przekraczają granic karykatury, jest to jeden z najśmieszniejszych znanych mi fragmentów muzycznych.

Kończąc ten wrywkowy szkic, muszę wspomnieć o jeszcze jednym utworze. Mowa o *Mszy na Boże Narodzenie* Edmunda Paschy — osiemnastowiecznego kompozytora ze Słowacji. Głosem solowym, uroczyście intonującym *Bene, Bene, Benedictus*, wtóruje chór męski (jakże by inaczej), uroczystym „bee, bee” imitujący stado baranów...

Pochłonięty przyjemnymi rozmyślaniami (przerwanymi jedynie lekkim lunchem), nie zauważyłem, kiedy lot przeleciał. Koła samolotu dotknęły pasa z niespotykaną łagodnością. Maszyna pokołowała jeszcze chwilę, po czym znieruchomiała, ostatecznie wyłączając silniki. Jako pierwszy znalazłem się w rękawie łączącym świat obłoków i ziemi. Uzbrojony jak zwykle tylko w altówkę i plecak nie musiałem czekać na bagaż. Niezatrzymywany przez nikogo przekroczyłem granicę ruchomych drzwi, wpadając od razu w barwny, rozfalowany wesołym oczekiwaniem tłum. Rozglądałem się uważnie, w nadziei, że może już teraz dojrzę Piękną i Bestię. Ale nie; Eston, poddany nadmiernej ilości bodźców, mógł być trudny do okiełznania, zwłaszcza przez szczupłe dłonie i ramiona Antoski. Przecież wczoraj sam prosiłem, żeby zaczekali na parking. Choć obszedłem niezbyt rozległy placik dookoła, nigdzie nie dostrzegłem rzucającego się w oczy błękitka. Korki, normalna rzecz, pomyślałem, teraz dopiero uruchamiając (jeszcze nie szarą) komórkę. Antosia nie odpowiadała. Nie może tego zrobić, prowadząc. Ileż to razy wymuszałem na niej obietnicę, że choćbym dzwonił jak do pożaru, nie odbierze, jeśli akurat będzie za kierownicą. Wypadało czekać.

Czekać.

Zadzwoiłem ponownie, ale — jak za poprzednim razem — zgłosiła się sekretarka (z głosem Antosi). Raz jeszcze obszedłem halę przylotów. Wróciłem na parking, potem sprawdziłem dwa kolejne, długoterminowe i obszerniejsze. Gdy wskazówki zegarka uświadomiły

mi, że od wylądowania minęło półtorej godziny, uznałem, że dalsza zwłoka nie ma sensu. Nie wyobrażając sobie, że zdobędę się na cierpliwość połączenia typu: autobus-pociąg-autobus-taksówka, wynająłem u Hertzma małego fiata Punto Evo. Po chwili pędziłem autostradą w kierunku Corbetto. Choć spieszyłem się, to nie szybkość powodowała ucisk w żołądku, tę zapowiedź wydarzeń niechcianych, a nieuniknionych. Starłem się go przyćmić, jeszcze przyspieszając, ale ze średnim skutkiem. Oczekiwałem sygnału od Antosi. Jedna kaskada jej śmiechu wyprostuje wszystko i przywróci spokój... Nagrałem się kilka razy, wysłałem dwa esemesy... Bez odpowiedzi...

Z opóźnieniem przyszło mi do głowy, aby sprawdzić pocztę głosową. Podnosząc gwałtownie komórkę, omal nie zajechałem drogi pędzącemu z zawrotną szybkością srebrnemu porsche. Umknąłem w ostatniej chwili, wpadając w niebezpieczny minislalom, zaś kierowca, któremu aż tak się spieszyło, otrząbił mnie z naganą (za kiepską jazdę) i z pogardą (za kiepskie auto).

— Masz jedną nieodsluchaną wiadomość. *Premere uno* — zachęcał aksamitny głos. — Bartuś? Jest dziesiąta, pewnie już wyłączyłeś telefon. Chciałam ci tylko powiedzieć, że idziemy teraz z Estonem na spacer, a potem wsiadamy w błękitka i jedziemy na lotnisko. Będziemy czekać na parkingu. Powiedziałabym, że cię kocham, ale wolę to zrobić osobiście... Pa.

Zacisnąłem zęby. Pedał gazu nie dawał się już bardziej przycisnąć, chyba że razem z podłogą. Wkrótce dostrzegłem przed sobą tył srebrzystego porsche. Niewątpliwie wyprzedziłbym go, lecz dotarłem właśnie do zjazdu, *uscita 24*.

Mijałem teraz magię toskańskich wzgórków, pokrytą jakimś złowróżbnym cieniem. Nie rozglądałem się na boki, ze wszystkich sił próbując dostrzec Corbetto, zarazem obawiając się tego, co przyjdzie mi ujrzyć, gdy dotrę na miejsce. Na podjazd Casy wjechałem z poślizgiem, wzniecając fontannę białych kamyczków. Wyskoczyłem z auta. Nikt nie wybiegł na spotkanie. Nie rozległo się szczekanie powitalne ani najmilszy sercu szczebiot Antosi rozpromienionej moim widokiem. Przez uchylone drzwi wpadłem do domu. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś wyszedł tylko na chwilę. Było przewiewnie, uroczo, wręcz uroczyście, w kilku wazonach różnych kształtów pyszniły się świeże bukiety polnych kwiatów. Dom był pełen zapachu panny Mars i jej drobiazgów porozrzucanych tu i ówdzie. Ale pusty...

Pusty.

W pośpiechu wróciłem do auta i w rajdowym stylu ruszyłem w kierunku wioski. Sophia i Donatella; w nich pokładałem teraz całą nadzieję.

— Signore Bartek! — krzyknęły na mój widok. — A gdzie Antonia?

Natychmiast zrozumiałem, że nic nie wiedzą. Obie signory widziały Antosię rano, gdy wspólnie ustalały menu na wieczór. Ale na targ udały się bez niej, wiedząc, że signorina wybiera się do Florencji na lotnisko. Były pewne, że wyjechała pod ich nieobecność. Że też nie przyszło mi do głowy! Natychmiast wróciłem do domu. Błękitek stał w garażu. Podobnie jak mój japończyk. A więc nie wyjechali. Mój Boże, co się mogło stać? Przecież nie zabłądzili na „krótkim spacerze”? Zresztą, nawet jeśli (trudno to sobie wyobrazić, ale załóżmy), pies wyczułby mnie już dawno. Gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego, zaalarmowałyby szczekaniem całą okolicę... Więc dokąd mogli pójść? Możliwości było parę, ale znając ich zamiłowania, wybrałem kierunek nadrzeczny...

W pyle drogi trudno było ujrzyć jakikolwiek ślad; ziarna suchego piasku dobrze strzegły swoich tajemnic. Ponieważ od pewnego miejsca droga ku rzece obniżała się, szybki marsz przemieniał się w bieg. Zwłaszcza że w pewnej chwili dostrzegłem coś, co szarpnęło moim sercem. Na ziemi, zakurzona i sponiewierana, leżała czapka; ta sama, w której Antosia kilka dni wcześniej tak zawadiacko prezentowała mi się w kamerze. Obie strony zdołał haft z inicjałami

naszych imion. W odległości kilkudziesięciu metrów zamajaczył kształt zupełnie niewspółgrający z otoczeniem. Z każdym przemierzonym krokiem upewniałem się, co, a raczej kto nim jest. Brak jakiegokolwiek ruchu przerażał mnie.

Jeszcze chwila i ostatnie wątpliwości zniknęły. Nieopodal rzeki leżał nienaturalnie zwinięty Eston. Z rozpaczą podbiegłem do mojego druha.

A on robił wrażenie, jakby chciał wstać, ale zdobył się tylko na lekkie uniesienie głowy, po czym skulił się jak rażony gromem. Od tej pory już tylko żałośnie popiskiwał, szczęśliwy, że mnie widzi, nieszczęśliwy, że tak nieudolnie wywiązał się z powierzonej mu roli. Przykląkłem, delikatnie podnosząc i tuląc jego głowę. Próbował zamachać ogonem w geście powitalnej radości. W jego lewym barku ziała okropna rana. Z ucha sączyła się krew. Przednia lewa łapa była nienaturalnie wykrzywiona. Inne obrażenia mógł przysłać własnym ciałem. Jak długo leżał w obezwładniającym słońcu, bez kropli wody i nadziei? Na spacer wychodzili około dziesiątej. Dochodziła piętnasta... To, że jeszcze żył, zakrawało na cud. Liczyła się każda minuta... Przebiegłem kilkadziesiąt metrów w obie strony rzeki, przekonany, że Antosi tu nie ma. Należało powiedzieć to jasno i wyraźnie: Antonia Mars została porwana.

Przez kogo? W jakim celu?

Na razie nie potrafiłem myśleć. U moich stóp leżał pies, któremu winny byłem natychmiastową pomoc. Czy nie spóźniona? Przecież nie siądę tu i się nie rozplaczę, mówiłem sobie, choć to właśnie miałem ochotę zrobić. Pójście na górę, po samochód, zajęłoby zbyt dużo czasu. Zresztą nie naraziłbym psa w tym stanie na wstrząsy, nieuniknione na kamienno-piaszczystej drodze. Zatelefonowałem do Sophii, prosząc, aby uprzedziła weterynarza — znałem go, odwiedzaliśmy jego gabinet niejednokrotnie — o naszym rychłym przybyciu i konieczności natychmiastowej operacji. Ci, którzy przyjechali po Antosię, nie bawili się w szczegóły. Próbowali Estona zastrzelić — dziura w jego barku to była rana postrzałowa, tyle wiedziałem na pewno. Sądziłem, że im się udało — tylko dlatego Eston żył nadal. Pewnie odzyskał przytomność już po ich odjeździe.

Z największą delikatnością uniosłem go na rękach. Bezwładny, zawierzył mi całym ciężarem. Prawdę mówiąc, z racji czekającej mnie wspinaczki obawiałem się, że nie dam rady i w pewnej chwili razem padniemy na ziemię. Gdy po kwadransie mokry i nieprzytomny z wysiłku dotarłem do podnóża domu, Eston jeszcze żył. Najdelikatniej jak potrafiłem ułożyłem go z tyłu auta i rozdarty między pośpiechem a ostrożnością ruszyłem w kierunku miasteczka. Podeskcytowani Donatella, Sophia, Paolo i weterynarz czekali na nas przed gabinetem.

— Signor Bartolomeo? Gdzie signorina Antonia? Co się stało? — pytały kobiety z rozpaczą w głosie.

— Nie wiem, nic nie wiem... — Na razie chciałem tylko, aby Eston znalazł się na stole operacyjnym. Transportowaliśmy go w cztery osoby na szeroko rozciągniętej płachcie materiału. Po chwili pies — oddychający coraz płycej i chrapliwiej — znalazł się w gabinecie zabiegowym. Dottore Consiglia podłączał go do aparatury.

— Błagam, niech go pan ratuje!

Dottore wzruszył ramionami. Jak mogłem wątpić, że użyje w tym celu całego posiadanego kunsztu? Lekarz dał znak, że lepiej będzie, jeśli wszyscy — oprócz asystentki sprawnie wykonującej jego instrukcje — opuścimy salkę operacyjną. Widziałem, jak Eston zamyka oczy...

— Zasypia. — Dottore zgromił mnie wzrokiem. — To trochę potrwa. Niech się pan lepiej czymś zajmie... — Pielęgniarka delikatnie wypchnęła mnie z gabinetu, zamykając za mną drzwi.

Przed skontaktowaniem się z lokalną jednostką *carabinieri* — a jeśli trzeba,

postawieniem na nogi choćby wszystkich służb mundurowych świata — postanowiłem udać się do domu w poszukiwaniu jakichkolwiek zwiastunów trwającego dramatu. Od wyjazdu z Corbetto rozmawiałem z Antosią codziennie, czasem nawet po kilka razy. Nigdy nie dała mi powodu do niepokoju, złościąc się jedynie, gdy mój przyjazd uległ ponownemu opóźnieniu. Ale gdzieś musiał znajdować się ślad.

Nie szukałem długo. Na stole, oparta o wazon z bukietem słoneczników, stała koperta zaadresowana na moje nazwisko. Nie było jej tam, gdy wpadłem do domu po raz pierwszy. A więc Casa znajdowała się pod obserwacją. Nadawca chciał mieć pewność, że przesyłka trafi we właściwe — moje — ręce.

Rozerwałem kopertę. Wewnątrz znajdowała się kartka, a na niej kilka słów. Informacja lakoniczna, lecz ważna. Niezmiernie ważna.

*Chodzi ci po głowie pomysł, aby zwrócić się o pomoc do policji? Porzuć go czym prędzej, jeśli jeszcze chcesz ujrzeć swoją narzeczoną. Kolejne instrukcje w jutrzejszej poczcie.*

Treść potwierdzała to, co oczywiste, oddalając zarazem najgorszy z koszmarów. A także — i tu również nie czułem zaskoczenia — ostrzegała przed kontaktowaniem się z *carabinieri*. Ktoś wypowiedział mi grę. Partia już się toczyła. Od razu na wstępie zostałem zepchnięty do najgłębszej defensywy. Ale znałem stawkę. Gotów byłem stanąć do walki na śmierć i życie. Gdy tylko nadejdzie pora.

Trzymałem się kurczowo jednej myśli: Antosia żyje. To było najważniejsze; powstrzymało moje życie przed runięciem w gruzy.

Więc powtarzałem to sobie raz jeszcze. I znów. I ponownie.

Znacznie bliżej, w gabinecie doktora Consiglia, ważyły się losy tego, który za wierność i oddanie miał zapłacić cenę najwyższą.

Skoro rzeczywiście byłem śledzony, to prześladowcy musieli wiedzieć, że Eston przeżył. Uspokajałem się myślą, że psa nie można uznać za świadka. Trudno przypuszczać, aby ktoś zechciał ryzykować jego dobiecie. Mógł im przeszkodzić — co zapewne czynił ze wszystkich sił — w momencie porwania. Dalszy los konającego zwierzęcia powinien im być obojętny. Chyba że nie doceniłem bezinteresownej i ślepej nienawiści porywaczy... Wskoczyłem do auta.

Sophia i Donatella w milczeniu siedziały przed gabinetem. Na mój widok bezradnie rozłożyły ręce. Zabieg trwał. Widziałem, że signory mają ochotę zasypać mnie gradem pytań, ale zbyłem je krótkim: „Nie teraz”. Co zresztą miałbym powiedzieć? Czy to nie one powinny wiedzieć więcej?

Drzwi gabinetu otworzyły się po dobrej godzinie.

— Dottore Consiglia prosi pana — zaszemrała śniadolica pielęgniarka.

Kiedyś już to przeżywałem. Gdy Eston wyłowił batutę Rucacellego, a ja nie wiedziałem, jak zareaguje na moją komendę, każdy krok do antykwariatu przybliżał chwilę rozstrzygnięć. Teraz towarzyszyło mi uczucie podobne, choć dramatyzm okoliczności przewyższał ówczesne o głowę.

— Było ciężko. — Dottore zaczął bez ogródek, ale w tych słowach natychmiast dostrzegłem jutrenkę nadziei. — Dosłownie chwila dłużej, a pies by nie przeżył. Można powiedzieć, że znalazł go pan w ostatnim momencie... — Dottore Consiglia pomniejszał swoje zasługi, choć już wiedziałem, że będę jego dłużnikiem do końca życia.

— Ale miał też szczęście. Kula zatrzymała się tuż przed komorą serca. Dwa, trzy milimetry dalej i w ogóle nie byłoby o czym mówić. Udało nam się pozszywać rozerwane naczynia krwionośne — to było najtrudniejsze — opatrzyć ranę w uchu i nastawić złamaną przednią i zwichniętą tylną łapę.

Eston spał, automat tłoczył powietrze do jego płuc. Długi, bezwładny język spoczywał

na pokrwawionym prześcieradle. Czułem, że jeszcze moment i się rozkleję.

— No, więc pana pies miał pecha, że trafił na jakiegoś *figlio di puttana*, ale i szczęście, że tak się to skończyło. Ma silny organizm, powinien dojść do siebie. Oczywiście, na razie musi zostać u mnie...

— *Certo, dottore...* Nie wiem, jak panu dziękować...

— Niech pan nie dziękuje, tylko zajmie się sobą... Porozmawiamy później, najlepiej jutro.

Dottore miał rację. Musiałem przedstawiać żaloszny widok.

Czekał mnie wieczór czuwania i rozmyślań. Analizowania zajęć i wyciągania wniosków. Łączenia wydarzeń, które oplatały mnie od pewnego czasu morderczą pajęczyną. Rzeczywistość została odczarowana. Już nie byłem księciem cudownej krainy w towarzystwie pięknej księżniczki i z wiernym smokiem u boku. Ani artystą uprawiającym szlachetną, a ulotną sztukę dźwięków. Ani nawet bohaterem komiksu, co pewien czas ratującym świat od mniejszych lub większych zagrożeń. Uświadamiałem to sobie, siedząc którąś już godzinę na tarasie, który dotąd był świadkiem chwil pełnych szczęścia i uniesień.

Nie dzisiaj.

Wszystko się zmieniło. Nie widziałem już kolorowej pocztówki, a brzydkie czarno-białe zdjęcie całkowicie wyzute z piękna. Przygnębiające. Z roli quasi bohatera, w której obsadzałem się nadspodziewanie łatwo i czułem całkiem przyjemnie, strącono mnie w przepaść. Zdmuchnięto niczym ziarnko piasku w wąwóz bez dna... Byłem pozbawiony możliwości decyzji i szansy działania. I nadziei... Nie, nadziei nie mogłem sobie odebrać, bo to byłoby jednoznaczne z brakiem chęci do życia. A przecież byłem potrzebny. I to wcale nie sobie.

Ja, moje, mnie, memu, do mnie, dla mnie, mój, moja...

Oto, do czego doprowadziła rozdmuchana egologia... O tak, miałem się nad czym zastanawiać...

Gdybym zjawił się w Corbetto choćby wczoraj... Ale natychmiast jakaś siła zaczęła wbijać mi do głowy myśl przeciwstawną: tak rozumując, znajdujesz się na równi pochyłej. Po pierwsze, nie da się udowodnić, że wcześniejszy przyjazd storpedowałby plany kidnaperów. Równie dobrze mógłby je przyspieszyć. Po drugie, czasu się nie cofnie. Ale można podjąć wyzwania, przed którymi nas stawia.

Może Eston wybudził się już i potrzebuje mojego towarzystwa? Nieprawda; to mnie potrzebna była jego obecność. Psu należał się przede wszystkim spokój. Westchnąłem głęboko i zadzwoniłem.

— To zadziwiające, ale funkcje życiowe przebiegają bez zarzutu. Na wszelki wypadek zaaplikowałem psu silną dawkę środków znieczulających i uspokajających. Śpi jak szczeniak. Muszę powiedzieć, że gdyby nie nadzwyczajna żywotność, nie przeżyłby tych paru godzin w prażącym słońcu. Zaryzykuję też stwierdzenie, że w miarę szybko dojdzie do siebie, ale o pierwszych samodzielnych ruchach będzie mowa najwcześniej jutro.

Jasne, niech odpoczywa. Dzielny zwierzak. Wiadomości z kliniki były najjaśniejszym punktem zapadającego zmroku.

Tego wieczoru stanąłem przed jeszcze jednym dylematem. Czy powinienem o dramacie poinformować rodziców Antonii? Nie chodziło nawet o to, że uznają mnie za współwinnego. Obawiałem się raczej, jak zniosą powalający cios. Skazani na bezradne i rozpaczliwe miotanie się w murach antykwariatu, byłiby dla mnie kolejnym wyrzutem sumienia. Zresztą, co miałbym im powiedzieć? Sam przecież nie wiedziałem nic, z wyjątkiem tego, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

Od tej chwili moje życie miało stać się pasmem oczekiwań. Na list, kolejną informację,

jakąkolwiek instrukcję od porywaczy. A może kilka słów rozmowy z Antosią? Był w moich rozmyślaniach pewien element niczym pancierz chroniący od wniosków najczarniejszych. Gdyby chcieli, mogli Antosię zabić, tak jak (w swoim przekonaniu) zrobili to z Estonem. Posiadali broń palną i psychikę skrojoną na strzelanie bez nadmiaru moralnych rozterek. Widać przyświecał im inny cel. I tak długo, jak cel ten nie będzie osiągnięty, nad Antosią rozpościera się parasol względnego bezpieczeństwa. To z kolei mówiło mi, że czegokolwiek ode mnie nie zażądata, cokolwiek będę zmuszony zrobić — uczynię to, dokładnie i precyzyjnie; odrzucę pośpiech i chaos, by zminimalizować ryzyko jakiegokolwiek błędu. Stawka w tej grze była tak wysoka, że należało do niej przystępować z cierpliwością, uwagą i... posłuszeństwem. Muszą mnie trzymać w szachu jak najdłużej, aby rękojmia życia Antosi nigdy się nie ułamała.

Na szczęście był ktoś, z kim nie tylko powinienem być, ale i chciałem podzielić się hiobową wieścią. Nie przypuszczałem, aby moja polska komórka znajdowała się na podsłuchu.

— Robert? Wybacz, jeśli przeszkadzam...

— Nie, skądże...

Bielski sprawiał wrażenie zmęczonego.

— Złe wieści...

— Tak? O co chodzi? — Uaktywnił się momentalnie.

— Porwali Antosię. O mało nie zabili Estona. Krótco przed moim przyjazdem.

— Jasna cholera! Jasna cholera! — zaczął powtarzać z rosnącą pasją.

— Nie pytasz kto?

— Domyślam się. Masz inne podejrzenia?

— Nnnie... Nie sądzę, żeby to Al-kaida próbowała obrzydzić mi życie. Chyba za wcześnie...

— Co wiesz?

— Niewiele. — Podzieliłem się garścią posiadanych konkretów. I pęczkiem wniosków i domniemań.

— Dobra, posłuchaj. Będę myślał tak długo, aż coś wymyślę. Skontaktuję się z Włochami, od których przysłała informacja o ucieczce Ligurii i Papageno. Pójdę po nitce do kłębka. Bartek, zaczynamy działać. Głowa do góry.

Próbował mnie pocieszyć. Udało mu się. Troszenieczkę. To, co mówił, zabrzmiało efektownie. Rozstawiamy międzynarodowe sidła. Organizujemy interpolicyjną współpracę. Poruszymy niebo i ziemię, aby dorwać tych, którzy porwali Antosię, a przede wszystkim — uwolnić ją bez narażenia choćby włosa z jej ognistej czupryny.

A przecież... Wiedziałem, że to będzie rozgrywka między nimi a mną. Międzynarodowe sieci, choćby nie wiem jak kompatybilne, miały za szerokie oka. Tu była potrzebna operacja punktowa, z precyzją i o sile lasera. I co: naprawdę sądziłem, że samodzielnie uda mi się ją przeprowadzić? Panika i rozpacz wzięły mnie w objęcia.

— Coś nowego w kwestii „Struniarza”? — spytałem na zakończenie.

— Nic. Niewiele — poprawił się. — Nie zajmuj się tym teraz. Wszystko schodzi na drugi plan.

Byłem mu wdzięczny za taką deklarację. Ale wytrawny policjant nie powinien w ten sposób wartościować prowadzonych śledztw. Czyżby i on poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia? Wolalbym usłyszeć, że morderca wpadł.

— Mają go czy nie?

— Nie, zniknął. Przeszukali cały Londyn i nic.

— *Porca miseria*... — To musiało starczyć za komentarz.

— Bartku, zapomnij o tym i posłuchaj uważnie. Idzie o rzecz najwyższej wagi. Zaklinam



cię: nie podejmuj żadnej próby kontaktu z włoską policją. Z tamtej strony nikt nie pójdzie na zbędne ryzyko. Jeśli zobaczą, że coś kombinujesz, będzie niedobrze. Czekaj na instrukcje i realizuj je. Dziel się nimi wyłącznie — powtarzam: wyłącznie — ze mną. Możesz jedynie grać na czas, ale z największą ostrożnością. Zaufaj mi i pozwól działać.

Nie miałem specjalnego wyboru.

Siedziałem pod rozgwieżdżonym niebem, popadając w letarg, z którego wytrącił mnie dopiero zgrzyt żwirowych kamyczków. Prowadzącą do domu ścieżką ktoś się zbliżał. Wróg? Przyjaciel? I tak nie byłem w stanie zareagować.

To były anielice strużynie, które niestety nie upilnowały mojej księżniczki. O tak, najłatwiej mieć pretensje do wszystkich wokół... A lepiej nazwać rzeczy po imieniu: to ja, ratując świat i odgrywając rolę niezastąpionego detektywa, przeoczyłem znak jasny jak słońce: po usłyszeniu informacji o ucieczce księżycowych sylwetek powinienem był natychmiast rzucić wszystko w cholerę i podjąć wszelkie możliwe i niemożliwe działania, aby osłonić Antosię...

— Signore Czarnoleski, Bartek, zapraszamy do nas, na kolację... *Un po' di pasta, un po' di vino rosso, un po' di parlare...* Zrobi się panu lepiej, zobaczy pan...

W tych prostych ludziach skupiła się nagle cała życzliwość, jaką można okazać bliźniemu. Nieraz wcześniej już to do mnie docierało, ale nigdy z podobną siłą: zło tego świata jest równoważone dobrem tu obecnym... Poczułem, że — cholera jasna — właśnie teraz się rozkleję. Ale tamy jeszcze nie puściły. Bezwiednie ruszyłem za kobietami. Sophia zaczęła mnie karmić prawie jak dziecko. Nie protestowałem, bo, prawdę mówiąc, między jedzeniem a niejedzeniem nie było dla mnie najmniejszej różnicy. Parę nitek *linguini con pomodoro* zapełniło ssącą pustkę żołądka.

— Niech pan spróbuje. Signore Michelangelo nazywał ten rocznik „rozjaśnienie umysłu”. — Paolo podał mi wąski kielich wypełniony winem ciemnym jak krew.

Szlachetny trunek rozluźnił na moment kleszcze strachu i rozpaczy. Nie chciałem jednak szukać pocieszenia w alkoholu, wiedząc, że jest pozorne, tymczasowe i — koniec końców — zaowocuje pogłębieniem depresji. Zresztą, czy nie musiałem być gotów do akcji w każdej chwili? Byłem już Sherlockiem Holmesem, Indianą Jonesem, pora spróbować wcielenia Johna Rambo — myślałem z autoironią i goryczą.

Poprosiłem o papierosa.

— To pan pali? — Paolo nie krył zaskoczenia.

— Nie — odpowiedziałem zgodnie z prawdą, która właśnie przestawała obowiązywać.

Przypaliłem dianę, zaciągając się tak, że Bielski pewnie wybałuszyłby oczy ze zdumienia. Uderzenie nikotyny w mózg oszołomiło mnie, by nagle wyostrzyć jaźń. Chwilowo, jak się domyślałem. Zrozumiałem z całkowitą jasnością, że muszę połączyć łańcuch zdarzeń rozpoczęty ucieczką księżycowych sylwetek. Tylko w ten sposób pojmę dramat, który wkroczył już w ciemną fazę.

Pożegnałem się z gospodarzami. Mimo zapadającego zmroku chciałem raz jeszcze przyjrzeć się miejscu porwania. Trwało ciche i nieporuszone. Zasznurowało usta. Próżno doszukiwałem się czegoś w sypkim podłożu. Gęstniejąca ciemność konkurowała z beznadzieją chwytającą za serce ponurym chłodem. Wtem arenę zdarzeń rozjaśnił księżyc, który mrugnął porozumiewawczo.

Kiedyś widziałem już, jak sobie z nimi poradziłeś... — pocieszał mnie.

Kiedyś...

Problem polega na tym, że nie wchodzi się dwukrotnie do tej samej rzeki... — odpowiadałem mu.

Nie filozofuj... — Niezadowolony schował się za chmurami. Krople zastygłej krwi

ciągle barwiły miejsce, z którego kilka godzin wcześniej podnosiłem Estonia.

— Czy na podstawie ran potrafi pan mniej więcej określić, co się wydarzyło?

Funkcjonowałem odrobinę sprawniej. Miniona noc, choć należała do najgorszych w moim życiu, przyniosła nad ranem odrobinę wytchnienia.

— Zastanawiałem się nad tym — zaczął dottore — ale nie jestem pewien, czy spodobają się panu wyniki moich przemyśleń.

Spojrzałem wymownie. Pytałem gotów usłyszeć odpowiedź i zanalizować ją. Od tej pory miałem zadawać mnóstwo pytań. Aż do uzyskania czytelnego obrazu.

— Wyglądało to mniej więcej tak: najpierw potrafił go samochód, na szczęście bokiem; stąd złamanie przedniej lewej łapy i zwichnięcie tylnej, plus skręcenie stawu skokowego.

Ujrzałem tę scenkę. Eston rzucający się na auto, które za bardzo zbliżyło się do Antosi. Ten pies nie wiedział, co to strach.

— Potem ktoś kopnął go w głowę... Niewykluczone, że zwierzę straciło na chwilę przytomność. Ale sprawca nie trafił tak, jak zamierzał, bo pies — mimo obrażeń i bólu — nie rezygnował.

— Skąd przekonanie, że Eston dalej walczył?

Tym razem dottore uraczył mnie spojrzeniem z gatunku „o święta naiwności”.

— Nie sądzę, aby ktoś brał na muszkę psa niedającego znaku życia. Zaś strzał padł z góry, pod kątem prostym. To znaczy, że Eston, choćby pełzając, ciągle zbliżał się do napastników.

— Mogli celować w głowę. — Staralem się o obiektywną dociekliwość.

— I przy okazji ustrzelić własną stopę... — Dottore uśmiechnął się, jakby ta wizja sprawiła mu przyjemność. — Poza tym rozpryskujący się mózg pobrudziłby strzelającego. Jak by nie patrzeć, okolice komory sercowej są większym, a przez to pewniejszym celem. Tu jednak zdarzyło się coś, czego nikt nie mógł przewidzieć, ten procencik — *percentuale piccolo* — niewiadomej, przypisanej każdemu działaniu. Pies musiał być jakoś dziwnie wykręcony, bowiem kula zatrzymała się między łopatką a kością ramienną; staw barkowy zadziałał niczym tarcza. Zwierzak jest ze stali. — Pokręcił głową z podziwem. — Nie miał prawa tego przeżyć. Oprawcy byli pewni, że zostawiają trupa. Nie pofatygowali się nawet, żeby wrzucić truchło do rzeki. Moim zdaniem, nie zależało im na zacieraniu śladów. Do bezpiecznego psa można strzelić w samoobronie, prawo tego nie zabrania. Zwłaszcza jeśli wygląda jak wilk. — Spojrzał na pobandażowanego Estona nie bez pewnej czułości. — Istnieje też możliwość — łypnął na mnie, myśląc, że tego nie widzę — że chcieli zostawić komuś przestrożę.

Nie musiał dodawać. Pewne sprawy są oczywiste.

Tymczasem Eston zaczął przejawiać oznaki powrotu do życia. Trochę się kręcił, raz próbował nawet wstać, ale sprawiło mu to ból, więc położył się z cichym pojękiwaniem i nie kontynuował prób. Dottore stawiał sprawę jasno:

— Musi zostać pod moją opieką. Co najmniej do jutra.

— Jeszcze trochę, Eston — przemówiłem do psa łagodnie. — Nabieraj sił. Dobierzemy się im do skóry, obiecuję ci... — Uważnie wsłuchiwał się w moje słowa. Miałem wrażenie, że nie tylko on.

„Oprawcy byli pewni, że zostawiają trupa. Nie pofatygowali się nawet, żeby wrzucić

truchło do rzeki...”.

Dottore miał rację. Tylko... Skąd wiedział, gdzie znalazłem Estona? Zamierzałem go o to zapytać. Ale jeszcze nie teraz.

Zastanawiałem się, w jaki sposób porywacze skontaktują się ze mną: mailowo, telefonicznie, esemesem? A może wrzucając przez okno kamień obwiązany kartką (metoda nieco archaiczna, choć niepozabawiona zbójckiego romantyzmu)?

*Lecz wiosna przyszła pieszo* — wśród porannej, mało zajmującej poczty odnalazłem szarą, dość elegancką kopertę bez żadnych symboli, jedynie z moim nazwiskiem i adresem. Uważnie przyjrzałem się stemplowi. Był na nim numer placówki pocztowej we Florencji i wczorajsza data. Wrzucono go do jednej z tysiąca miejskich skrzynek. Ani przez moment nie wątpiłem, że jest to oczekiwana przesyłka.

*Caro signore Czarnoleski,*

*kreślę do Pana kilka słów, jako że nic tak nie sprzyja zrozumieniu wzajemnych intencji jak jasne ich wyłożenie. Nie oczekuję, by przenikał Pan nasze zamiary z własnej i nieprzymuszonej woli. Wcześniejszy plan, który dla wygody określałem literką A, nie wypalił. Ale może to i dobrze? Wziąwszy pod uwagę intelektualne walory, dzięki którym trafił Pan na ślad kolekcji zwanej Filharmonia Cracovica, byłoby błędem nieskorzystanie z nich przy odnajdywaniu pozostałości cennego zbioru. Żeby zachęcić, a wręcz zmotywować Pana do działań gwarantujących sukces, zaprosiłem do siebie pańską uroczą narzeczoną. Proszę być spokojnym, bella ragazza jest w dobrych rękach.*

*Moje oczekiwania są następujące: po pierwsze — dotrze Pan do dokumentu wskazującego miejsce ukrycia nieodnalezionych dotąd precjozów, co moim ludziom — mimo starań — nie udało się. Po drugie — korzystając z odnalezionych wskazówek — zbliży się Pan do skarbu na odległość wzrokową, po czym bezzwłocznie powiadomi nas o dokonany odkryciu. To będzie właściwa chwila, aby zakończyć gościnę pańskiej ukochanej. Ani przez moment nie wątpię, że wybór okaże się prosty i oczywisty, zwłaszcza że — o ile mi wiadomo — przy okazji odkrycia kolekcji Rosenberga wykazał się Pan bardzo nisko rozwiniętym instynktem bogacenia. Inna sprawa, że tym samym pozbawił mnie Pan kilku unikatowych dzieł sztuki, na których jako koneserowi bardzo mi zależało. To Panu przypadł również w udziale łakomy kąsek w postaci willi signore Michelangelo, która — o czym Pan zapewne nie wie — była historyczną własnością mojej rodziny. Ale spokojnie. Krok po kroku dojdziemy i do tego.*

*Ladies first! — jak mawiają Anglicy.*

List nie był podpisany. Nadawca pragnął pozostać w cieniu, co nietrudno było zrozumieć. Jeśli natomiast uznał, że jego tożsamość jest powszechnie znana, to popełnił błąd. Aż dotąd nie interesowałem się, kim był tajemniczy zleceniodawca księżycowych sylwetek.

Owszem, w trakcie rozwiązywania tajemnicy naszej filharmonii doszedłem do wniosku, że rywalizuje ze mną mafia. Ale mafia to pojęcie trochę zbliżone do morza. Odsosnowione. Nieprzeniknione. Miałem szczerą nadzieję, że moje kontakty z ponurą organizacją skończyły się raz na zawsze. Weszliście mi w drogę, więc musiałem się bronić. Ale na tym koniec. Niczego od was nie chcę. Więc i wy dajcie mi spokój. *Finito*.

Anglicy określają ten rodzaj naiwności mianem *wishfull thinking*. Do zapomnienia — podobnie jak do tanga — trzeba dwojga.

Księżycowe sylwetki to byli tylko wykonawcy. Za nimi stał prawdziwy animator wydarzeń. On nie zapomniał. W dodatku mnie nie lubił (skarbu Rosenberga i willa Michalewicza)... Jednocześnie znalazł się w posiadaniu informacji świadczących, że odzyskana

kolekcja ma gdzieś swoje nieodkryte przedłużenie. I z całkowitą pewnością zakładał, że jako osoba, która poznała tajemnice spółki Rosenberg&Michalewicz, również o tym wiem. Człowiek ten — nie wiedziałem jak go nazywać, „Ojciec chrzestny” trąciłoby lekką bufonadą — doszedł do wniosku prostego jak drut: nie ma sensu ponownie narażać swoich ludzi, skoro pod ręką znajduje się specjalista (niby ja). Ponieważ ten specjalista nie zgodzi się na współpracę (bo dał już tego wystarczające dowody), należy go odpowiednio zmotywować. Używając argumentów, których z pewnością nie odrzuci...

Trzymany w rękę list przypisywał mi wiedzę, której nie miałem. Traktował o sprawach, które nic mi nie mówiły. Ejże, czy na pewno? A może powinienem powiedzieć: nie mówiły aż do przedwczoraj? Czy nie należało ponownie przyjrzeć się kopii listu, którą kilkadziesiąt godzin wcześniej wręczył mi Rucacelli? Zdaje się, że nie potraktowałem dokumentu z należytą powagą.

Natomiast list mafiosa był czytelny. Nawet słowa dotyczące tak zwanego planu A nietrudno było zrozumieć. Naraz wyjaśniała się sprawa duchów, które rzekomo odwiedzały Casę, ze szczególnym uwzględnieniem torretty. Stanowiła idealne środowisko dla zakamuflowania ważnej informacji. Ale poszukiwania prowadzone pod moją nieobecność — ku frustracji wykonawców i zleceniodawcy — nie przyniosły rezultatów.

Czekało mnie zadanie w dwóch częściach. Jego powodzenie było warunkiem uwolnienia Antosi.

Natomiast ostatnie zdanie mogło sugerować, że autor listu w niedalekiej przyszłości spróbuje odebrać mi „łakomy kąsek” — Casa di Città Abbandonata. Zobaczymy. Tak daleko myśl na razie nie sięgała, ale czytelnej wskazówki nie mogłem przeoczyć. Nadawca był najprawdopodobniej tą samą osobą, która chciała odkupić willę. Pierwszą ofertę przedstawił mi prawie natychmiast, gdy pojawiłem się w Corbetto. Ostrożny. Nigdy nie zjawił się osobiście. Działał przez adwokata. Właśnie! Giuseppe Trovatore! Ten musi go znać!

A gdybym wówczas sprzedał willę? Czy zostawiono by nas w spokoju? Przypomniałem sobie reakcję Paolo na wieść, że jakiś klient Trovatore chce odkupić posiadłość... Tajemniczy demiurg musiał być w okolicy postacią znaną, ale z gatunku „tych, których imienia lepiej głośno nie wymawiać”...

Nurtowało mnie, w jaki sposób ów człowiek dowiedział się o istnieniu *Pamiętnika Sztygara* (choć nazwa nie padła, z pewnością o nim była mowa). Czyżby Michalewicz uległ presji i podzielił się informacją? Bardziej prawdopodobne było, że stoi za tym nasz gadatliwy... Damian Rucacelli. Teoretycznie mógłbym to sprawdzić. Od przedwczoraj dysponowałem osobistym numerem maestra, który zachęcał mnie do telefonowania „w razie potrzeby”...

Z głową pulsującą od nadmiaru myśli postanowiłem odwiedzić szefa ekipy winniczej. Przyjął mnie w pokoju-gabiniecie, tym samym, w którym nie tak dawno rozmawialiśmy o tajnikach uprawy winorośli i produkcji wina. Gospodarz postawił na blacie dwie szklaneczki z trunkiem w rubinowym kolorze.

— Sprzed dwóch lat, wyjątkowo udany rocznik — zachwalił poczęstunek.

— *Mio caro Paolo*, prawdę mówiąc, nie sądziłem, że kiedykolwiek zadam panu to pytanie...

Mężczyzna uśmiechnął się nostalgicznie i filozoficznie zarazem.

— Nigdy nie trzeba się zarzekać... Proszę pytać.

Takie postawienie sprawy ułatwiło mi ciąg dalszy.

— Pamiętasz, kiedyś powiedziałeś, że człowieka można zabić intencją. Czy zechciałbyś rozwinąć tę myśl?

Paolo zmarszczył czoło, z pewnością nie od trudu przypominania, a raczej próby wyważenia, ile i co może powiedzieć.

— Dodałem również, że pod ręką człowieka, o którym mowa, ziemia ta stanie się martwa. A więc uściślię: ponownie martwa. — Paolo gotów był rozwinąć temat. Musiałem uważać, by nie spłoszyć go nieostrożnym słowem.

— Dom i winnica należały do jego rodziny, a mówiąc dokładnie — do jego ojca, który położył rękę na posiadłości, gdy okazało się, że poprzedni właściciele nie przeżyli wojny.

— Położył rękę? — Przed oczami mignęła mi urwana ręka olbrzyma z Antwerpii. Spływające krwią dłonie ofiar „Struniarza”. Wśród etykiet wiszących nad biurkiem Paolo dostrzegłem obecny symbol.

— Skorzystał z jakiejś furtki w powojennym prawie (to znaczy wiedział, komu posmarować) i nabył majątek za symboliczną kwotę. To była opinia obiegowa, ale można jej zaufać. Włochy to dziwny kraj, nie tak łatwo go zrozumieć...

Westchnąłem; gdyby Paolo wiedział, jak trudno jest pojąć niekiedy kraj nad Suliwą...

— Miejscomi stracili zatrudnienie, a sprowadzani na ich miejsce sezonowi gastarbeiterzy z Południa pracowali bez serca, chyba tylko dla zachowania pozorów. Winny szczerp to roślina delikatna. Degrengolada postępowała szybko. W wiosce zapanowała bieda, a to, co działo się w winnicy, otaczała mgła niejasności. Po dwóch sezonach uprawy zmarniały. Wówczas też zaczęły dziać się u nas dziwne historie. Jeśli ktokolwiek zbyt głośno żalił się na nowe porządki, spotykało go coś nieprzyjemnego. Ginęły zwierzęta gospodarskie, zdarzały się pożary pozbawiające ludzi całego dobytku. Było kilku, którzy odważyli się złorzeczyć na samego bossa; ci zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Zasada była prosta: nie należało — słowem, myślą lub uczynkiem — wchodzić mu w drogę. Kto się nie podporządkował, musiał liczyć się z najdalej idącymi konsekwencjami.

Paolo pociągnął łyk rubinowego płynu. Spróbowałem i ja; był rzeczywiście wyborny. W niepojęty sposób udało mu się zatrzymać tajemnicę słonecznego popołudnia. Podzieliłem się spostrzeżeniem. Twarz gospodarza pokraśniała z zadowolenia. Łyknął ponownie i kontynuował opowieść.

— Odmiana przyszła nagle i niespodziewanie. Znalazł się ktoś, kto gotów był zapłacić za posiadłość olbrzymie pieniądze. Był nim — jak pan zapewne się domyśla — nasz kochany Casimiro Michelangelo. Od tej pory wszystko się zmieniło. Nowy właściciel nie miał pojęcia o hodowli winogron, ale na szczęście obdarzył nas pełnym zaufaniem. Prócz tego posiadał pasję i dobrą wolę, a to w przypadku gospodarowania na ziemi są cechy podstawowe. Winnica stała się celem jego życia. I to on przywrócił jej życie.

— A dlaczego tamten człowiek zdecydował się sprzedać posiadłość?

— Bo zarobił na tym kolosalne pieniądze. Proszę pamiętać, że nabył ją prawie darmo. Prócz tego... Pewnie myślał, że odzyska ją bez problemu, jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota. Ale nie zdążył, bowiem nie przewidział jednego: tak jak my wszyscy — był śmiertelny. Don Pasquale junior myślał o odzyskaniu „rodowych” włości zaraz po śmierci ojca, próbował nawet wpłynąć na decyzję signora Michelangelo, lecz ten, mimo wieloletnich nacisków, pozostał nieugięty. I teraz dochodzimy do sedna... Byli tacy, którzy widzieli, że don Pasquale odwiedził starego pana w dniu jego śmierci. Choć nigdy mu nic nie udowodniono, a nawet nie postawiono żadnych zarzutów, u nas w wiosce mówiło się, że pana Michelangelo zabiła zła intencja...

Oto nagle łuski spadły mi z oczu. Zacząłem widzieć logikę otaczającego mnie świata w zupełnie innym porządku.

— Don Pasquale nikogo się nie boi, bo na każdego coś ma... — Paolo spojrział mi prosto w oczy i zrozumiałem, że jest to ostrzeżenie. Nawet jeśli domyślamy się, kto stoi za porwaniem signoriny Antonii, pomoc nie będzie łatwo...

— A na ciebie? Jakiego ma haka? — spytałem ostrzej niż miałem zamiar.

— E, na mnie akurat nic... — Paolo uśmiechnął się. — Ale ja również nie posunę się do tego, aby naruszyć delikatną harmonię panującą w miasteczku...

— Przecież to nielogiczne! — krzychałem prawie. — Podobnie jak ojciec pozbawi was pracy, gdy tylko przejmie winnicę.

— A może nie? — Zrozumiałem, że nawet poczciwy Paolo idzie na lep mafiosa. Oto był tajemniczy don Pasquale: szantaż, korupcja, oportunizm, neofeudalizm. Chyba streściłem istotę mafijnej nietykalności...

— Pan tego nigdy nie zrozumie. — Paolo przestał mówić do mnie po imieniu, co spotęgowało poczucie osamotnienia. Ale Włoch jeszcze nie skończył.

— Tym razem don Pasquale posunął się jednak za daleko. Przekroczył granice przyzwoitości, podnosząc rękę na gościa, któremu przysługują święte prawa.

W tej sytuacji sam już nie wiedziałem, czy lepiej być tu swoim, czy obcym?

— Rozmawiam szczerze, więc szczerze poradzę: niech pan nie próbuje go przechytryć. Trzeba iść na układy, a angażowanie policji odradzam z całą mocą... — Spojrzał wymownie. Zrozumiałem. Policja, i to niekoniecznie tylko lokalna, siedziała w kieszeni możnego don Pasquale...

— Proszę mi wybaczyć, ale czy don Pasquale ma coś także na weterynarza?

Paolo spojrział ironicznie.

— A pan myśli, że kto zszywa jego chłopaków po rozróbach? W szpitalach i gabinetach nawet najdrobniejszy zabieg odnotowuje się w bazie danych. Dottore ma w tym względzie większą swobodę. A przecież za udzielanie pomocy przestępcom straciłby nie tylko praktykę, ale i wolność...

Wszystko było jasne.

— Giuseppe Trovatore. Zna go pan?

— *Avvocato del diavolo*? Oczywiście, kto by go tu nie znał? Czy myśli pan, że mógłby funkcjonować choćby dzień bez akceptacji don Pasquale?

— Skoro tak, to dlaczego pan adwokat nie manipulował przy testamencie Michelangelo? Wszystko byłoby prostsze...

— Oczywiście, ale signor Michelangelo wiedział, z kim ma do czynienia. — Paolo uśmiechnął się nie bez satysfakcji. — Więc dobrze się zabezpieczył. Zdeponował kopię w paru kancelariach adwokackich, dodajmy, że wcale nielokalnych, i wydał odpowiednie dyspozycje... — Paolo zastanawiał się, czy ujawnić mi kolejny rąbek miejscowych zależności.

— Musi pan jeszcze o czymś wiedzieć. Proszę nie sądzić, że wszyscy tu kochają don Pasquale. On rządzi za pomocą strachu. Ale nie ma sympatii i rządu dusz. Dlatego proszę się nie dziwić, że dottore mógł ujawnić komuś szczegóły zwyczajów donny Antoni, na przykład pory i trasy jej porannych spacerów z psem, a potem z całą serdecznością i ze wszystkich sił próbował ratować zwierzę. To dwie różne sprawy.

Bezpośredniość wyznania zaskoczyła mnie. Ale również wyczerpywała temat. Byłbym głupcem, choćby jeszcze przez chwilę rozważając siłowe odbicie Antosi. Przyszło mi do głowy coś zupełnie innego.

— Paolo, czy dysponujesz etykietami gatunków produkowanych w naszej winnicy?

— Oczywiście. — Uśmiechnął się z dumą. — Na pewno nie wszystkich, ale trochę się ich nazbierało. Chciałby pan obejrzeć?

— A mógłbym wypożyczyć?

— Naturalnie. — Mężczyzna zdjął z półki wolumin przypominający stary album fotograficzny. Wręczył mi go z pietyzmem. O mało nie ugiąłem się pod ciężarem.

Ciemne okulary kolejnego rozmówcy mogły być ochroną przed intensywnym słońcem, gdyby nie fakt, że znajdowaliśmy się w pomieszczeniu klimatyzowanym i oddzielonym od światła paskami żaluzji.

— Jakaś alergia mnie dopadła — skarżył się Giuseppe Trovatore.

Wierzyłem mu. To była alergia na strach.

— Jest mi niezwykle przykro z powodu tego, co przytrafiło się pańskiej narzeczonej. — Był kolejnym po don Pasquale, który tak nazwał Antosię. — Jednak zupełnie nie wiem, jak mógłbym panu pomóc.

— Nie wie pan czy pan nie chce? — Zaczynałem rozumieć, że lepiej pytać wprost. Odpowiedzi i tak będą wymijające.

— A czy to w konsekwencji nie jedno i to samo? — Obruszył się. — A zresztą. Jest rada, którą mogę panu dać. Z mafią się nie negocjuje. Wykonuje się jej polecenia.

Oto dlaczego mafię nazywa się ośmiornicą. Ma wiele ramion. Otaczający mnie świat podlegał kolejnym uproszczeniom. Dawał się już niemal czytać (oglądać?) jak komiks. Rób, co ci mówią. I koniec. W tej cholernej prostocie łatwo było jednak popełnić błąd. Nie tylko mnie.

— Signore Trovatore, rozumiem, że w małej społeczności wieści rozchodzą się szybko. Ale czy wspomniałem choć jednym słowem, że Antonia Mars została porwana przez mafię?

Czarne szkła były jak znalazł. Lecz skryte za nimi oczy szybko odzyskały rezon.

— Drogi panie. Czy znajdujemy się na wyspach Polinezji, czy też we Włoszech?

Cudownie. Jedno słowo, a rozwiązywało wszelkie niejasności. Mafia. Prawdziwa *deus ex machina*. *Jesteś lekiem na całe zło* — byłem gotów zanucić. Ale Trovatore nie zasługiwał na arię (czy choćby piosenkę).

Gdy ruszyłem w kierunku drzwi, adwokat wstał i czyniąc gest, jakby chciał ściągnąć okulary, powiedział ściszym głosem:

— Niech pan chwilę zaczeka.

Oprawki pozostały na swoim miejscu.

— Całkiem niedawno jeden z klientów zdeponował na moje ręce coś w rodzaju deklaracji pierwokupu.

Wyostrzyłem słuch.

— Stanowi ona, że w wypadku jakiegokolwiek zdarzenia losowego, któremu może ulec aktualny właściciel Casa di Città Abbandonata...

— Czyli ja? — wtrąciłem gwoli pewności, na co adwokat zareagował zniecierpliwionym potaknięciem — ...takie prawo przypada właśnie mojemu klientowi. Rozumie pan, co to oznacza? Proszę wysnuć właściwe wnioski.

— Mam pisać testament? To jest właściwy wniosek?

— Może pan pisać, ale u mnie go pan nie złoży. U innych okolicznych adwokatów?

Ujmijmy to w ten sposób: kwestie prawne mają w naszym kraju swoją dynamikę...

Miałem dość tej ciuciubabki.

— Czy któreś z pańskich słów miało wartość większą od pozostałych?

— To chyba oczywiste. — Tym razem Trovatore posunął się do ostateczności: zdjął okulary (!) i spojrzał na mnie z pogardą, na jaką w jego oczach zasługiwał ktoś aż tak niedomyślny. Cóż, od dwóch dni próbowano mnie zastraszyć i zabić. Człowiek się uodparnia. Już wcześniej zrozumiałem, że jedyna droga pomocy Antosi wiedzie poprzez uległość wobec don Pasquale. Teraz pojąłem, że powinienem ją okazywać na oczach jego ludzi, którymi mogli okazać się... wszyscy.

— Czy dysponuje pan dokumentami Casy związanymi z okresem, powiedzmy, od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego? Jeśli mam traktować pańskie sugestie całkowicie



poważnie, potrzebna mi jest pomoc.

Adwokat nie musiał się nawet konsultować. Dysponował niejaką wolnością. W zakresie decyzji korzystnych dla plenipotenty. Podszedł do biurka i otworzył kluczem środkową szufladę. Wyciągnął z niej zieloną skórzaną teczkę z napisem wytłoczonym złotymi literami: *Casa di Buona Fortuna*.

— Musiał się pan pomylić...

— Dlaczego? — Nie krył zaskoczenia. Spojrzał na teczkę. — Ach, to... Ależ skądże, nie mógłbym się pomylić. Pańska — o mało nie udławił się tym słowem — *Casa di Città Abbandonata* nazywała się kiedyś *Casa di Buona Fortuna*. Mój klient jest emocjonalnie związany ze starą nazwą...

„...którą wkrótce przywróci” — chciałem dokończyć, ale dałem spokój, ponieważ usłyszana informacja była w najwyższym stopniu zaskakująca.

Po opuszczeniu kancelarii zastanawiałem się, czy któreś ze słów i zachowań wyrażało uczucia adwokata. Wszak robił wrażenie doskonale przygotowanego do rozmowy, a dokumenty — nie ulegało wątpliwości — czekały na mnie. Jedyne ta wzmianka o prawie pierwokupu... Kolejny, który chciał mnie nastraszyć? Czy może... przestrzec?

Na koniec zostawiłem sobie ponowne spotkanie z *dottore Consiglia*. Weterynarz zamykał właśnie drzwi od lecznicy. W towarzystwie asystentki rozświetlonej uśmiechem białych zębów wybierał się na zasłużone spaghetti.

— Eston zasnął. Po powrocie spróbuję go wypuścić na wybieg dla rekonwalescentów. Zaczyna się już trochę niecierpliwie...

— A gdybym tak zabrał go do domu jeszcze dzisiaj?

— No, właściwie... Dałbym panu kilka instrukcji i lekarstwa... Ale proszę pamiętać, że dopiero co otarł się o śmierć. A może dołączy pan do nas? Wybieramy się do trattorii. — *Consiglia* próbował być uprzejmy. Nie sądziłem jednak, aby moja obecność była im do czegokolwiek potrzebna.

— Z przyjemnością, lecz pewnie tylko bym przeszkadzał...

Piękna Włoszka być może zarumieniła się, ale ciemna karnacja skutecznie to zamaskowała. Powiedziała tylko jakieś takie przeciągłe i obiecujące:

— Ależ skąd, proszę pójść z nami...

*Dottore* spojrział na nią z wyrzutem. Nie musiał. Byłem jak najdalszy od zamiaru kontemplowania jej uroków.

— Doktorze, czy możemy chwilę porozmawiać w pańskim gabinecie? Dziesięć minut i ani trochę dłużej.

*Dottore* westchnął, ale najwyraźniej chciał w stu procentach wykluczyć mój udział w konsumpcji spaghetti, bo ponownie otworzył zamknięte już drzwi.

— Jestem panu dozgonnie wdzięczny za uratowanie Estona.

*Dottore* rozluźnił się najwyraźniej, a nawet uśmiechnął.

— Muszę jednak o coś zapytać. Czy ktoś interesował się ostatnio w pana obecności rozkładem dnia mojej narzeczonej? Na przykład porą i marszrutą spacerów z psem?

*Dottore* zeszywniał i nie dał mi dokończyć.

— Szanowny panie — zaczął z godnością — pewne sprawy są publiczną tajemnicą (*il segreto pubblico* miało zabrzmieć niezwykle przekonująco). I dziwię się, że pan mnie o to pyta. A w ratowanie pańskiego Estona włożyłem cały swój kunszt chirurgiczny. I jeszcze trochę.

Trochę strachu, pomyślałem.

— Chodzi o to, że pański dom wraz z gabinetem znajdują się na rozstaju dróg. Praktycznie wszyscy muszą tędy przejeżdżać lub przechodzić. W sposób naturalny jest pan więc

osobą dobrze poinformowaną.

Staralem się nadać słowom maksimum dwuznaczności. Ale dottore nie odezwał się, machając jedynie ręką. Raz jeszcze postanowiłem zagrać bezpośrednio.

— Więc nie wie pan, co się stało z Antonią i gdzie może teraz przebywać?

— Nie. — Potrząsnął głową, jednak tym razem się nie obruszył. Odniosłem wrażenie, że chętnie udzieliłby odpowiedzi. Gdyby tylko ją znał.

— I w ogóle nie wiem, o czym pan mówi — dodał już zupełnie bez przekonania. — Mimo najszczerzych chęci nic więcej nie mogę dla pana zrobić.

Wierzyłem mu. Wiedział to, co wszyscy. Za porwaniem Antonii stał niejaki don Pasquale, szef organizacji mafijnej o znaczącym — nie tylko lokalnie — zasięgu. Nikomu nie przychodziło nawet do głowy, aby wystąpić lub sprzymierzyć się przeciw niemu. Moja wiedza nie miała wartości. Jedynym człowiekiem, któremu mogłem ją przekazać, był nadkomisarz Bielski. Sytuacja zaiste paradoksalna... Nie znalazłem dalszych powodów, aby opóźnić doktorowi spaghetti i obiecujące *piccolo dolcetto*...

Wówczas Consiglia uraczył mnie zaskakującymi słowami:

— Kiedy puszczają okowy strachu, ludzie robią się bardziej rozmowni...

No pewnie. Wespnij się samodzielnie na ośmiotysięcznik, pokonaj gołymi rękami siedzącego na wierzchołku smoka, a znajdzie się wielu, którzy chętnie do Ciebie dołączą...

— Dziękuję, dottore. — Odrobiną goryczy próbowałem zatruć czekające go delicje.

We dwóch przenieśliśmy Estona do samochodu. Pies wrywał się, ale trochę pro forma. Cały w bandażach wyglądał niczym ranny partyzant. Położony w wygodnym legowisku z tyłu auta zaczął wydawać pomruki zadowolenia. Jak na prawdziwego faceta przystało, szpital szybko mu się znudził.

Przez cały dzień nie czułem głodu. Jednak zapachy docierające z kuchni nie były mi obojętne. Niezrównane Sophia i Donatella przygotowały kolację. Podziękowałem poczciwym kobietom, nalegając, aby wróciły do domu, zanim dosięgnie mnie vendetta zazdrosnych mężów.

Eston był żywszy, unosił się na łapach z nieco lepszym skutkiem, a wymachy ogona uzyskiwały coraz większą amplitudę. Wyniosłem go przed dom, gdzie bohatercko wstał, przeszedł parę kroków, a pod jednym z cyprysów udało mu się nawet podnieść zdrową nogę. Potem zjadł co nieco, dzięki czemu i ja mogłem przełknąć parę kęsów z lżejszym sercem. Czekala mnie praca domowa, ale przedtem postanowiłem przeprowadzić jeszcze jedną, tym razem telefoniczną konsultację.

Robert przywitał mnie pytaniem, co od razu ostudziło nadzieje na usłyszenie czegoś krzepiącego. I znowu ja miałem więcej do powiedzenia.

— Sprawa ma związek z zagadką Michalewicza...

— Co? Czy nie postawiono nad nią ostatniej kropki?

— No widzisz, życie ciągle zaskakuje. Prawdopodobnie będę miał do Ciebie kilka pytań, ale najpierw muszę pomyśleć. A czy twoje bilateralne kontakty z Włochami coś przyniosły?

— No, właśnie nie bardzo — westchnął zafrasowany. — Policjanci różnego szczebla zgodnie podkreślają, że musi minąć co najmniej doba, a w praktyce dwie, aby przyjąć zawiadomienie o zaginięciu. Nikt nie chce zakładać przestępstwa, a gdy dowiadują się, że zachodzi podejrzenie porwania dziewczyny, które zgłasza jej chłopak, to nawet przez słuchawkę widzę, jak się uśmiechają.

— Udają głupich? A może nie muszą udawać? — Znałem te włoskie gesty męskiego szowinizmu.

— A czy to nie wszystko jedno? Efekt jest taki sam...

— Jakież nowości w sprawie „Struniarza”?

— Niewiele. Straciłem do tego głowę i serce...

— Ale śledztwo trwa?

— Ano tak... Skoro już pytasz... Jest nowy element, który raz jeszcze wywraca sprawy do góry nogami. Otóż osobą, po śmierci której Longin Parolny się załamał, była... wiolonczelistka. Gabriela Budrys. Mówi ci coś to nazwisko?

— Nie, nic a nic... Wiolonczelistka? Czyżbyśmy znów byli w domu? A może to czysty przypadek?

— Nie wydaje mi się. Ale, Bartek, daj spokój z tym „Struniarzem”...

— Dlaczego? Najpierw mnie w to wciągasz, potem wszystko bagatelizujesz...

— No, bo wkurwia mnie, że zawracałem ci głowę, a w tym czasie... — Nie dokończył.

— Panie nadkomisarzu, proszę posłuchać; te sprawy są od siebie zupełnie niezależne. Jestem prawie pewien, że gdybym pojawił się w Corbetto dwa dni wcześniej, również porwanie nastąpiłoby szybciej. Dlatego nie wysyłaj mnie teraz do kąta, bo głupio się z tym czuję.

— OK — odezwał się ciemnym głosem. — Jeszcze jedno. Dzwonił Krawczyński; jak na razie żadna z organizacji terrorystycznych nie przyznała się do zamachu na Eurostar.

— I jak to interpretujesz?

— Bardzo prosto. Sukces ma wielu ojców. Niepowodzenie — przeciwnie. Brzmiało logicznie. W tym momencie odezwał się telefon stacjonarny.

— Przepraszam, muszę kończyć, odezwę się wkrótce.

Pobiegłem do holu i z bijącym sercem podniosłem słuchawkę. Ale to, co usłyszałem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

— Bartuś? Cześć, kochanie... — popłynęła najśłodsza melodia mego życia. — Jak się czujesz? — Mimo opanowania w głosie wiedziałem, że Antosia dzwoni z niewoli. Mówiła po włosku.

— Jak ja się czuję? Ty się pytasz, jak ja się czuję?! Gdzie jesteś, co z tobą, zrobili ci coś złego?

— Barteczku, posłuchaj. Wszystko jest w porządku. I będzie w porządku, tylko nie próbuj niczego na własną rękę. Rób swoje i rób to dobrze. I błagam cię, nie mów nic rodzicom. Dzwoniłam do nich, są przekonani, że jestem na południu, na wykopaliskach. Jedyne, na co mogę się skarżyć, to niemożność zobaczenia ciebie. Jestem w miejscu bliskim sercu. *Szumiaj jodły na gór szczycie...* — dodała nagle po polsku. W tym momencie rozmowa się urwała. Czujna ręka zadbała, by ją zakończyć.

### 13.

Zadanie, które czekało mnie w najbliższych godzinach, traktowałem jako antidotum na wszystko, czego nie mogłem zrozumieć, a z czym przyszło mi się zmierzyć. Najchętniej zamknąłbym się w torretcie, ale tym samym pozbawiłbym Estona swojego towarzystwa.

Analiza pierwszej z teczek — tej zielonej, z wytłaczanym na złoto napisem — potwierdzała większość znanych mi już faktów dotyczących Casy, poszerzając je zarazem o aspekt poprzedniej nazwy. Stając się właścicielem posiadłości, wcale nie nabyłem prawa do jej historii.

Moje przypuszczenia, jakoby tytuł Casa di Città Abbandonata pochodził od zubożałych włoskich magnatów, wyrażających w ten sposób tęsknotę za Florencją, Sieną lub Padwą, okazały się całkowicie błędne.

Z dokumentów wynikało, że dom — początkowo zwany po prostu *villa rustica* — zyskał pod ich rządami nowe miano, ale brzmiało ono Casa di Buona Fortuna.

To było nic innego jak zaklęcie, pobłogosławienie swoim przedsięwzięciom dobrym znakiem. Nadzieja, że pech, który prześladował rodzinę Strozzych, już się skończył i zatrzymany przed progiem nowej siedziby nigdy więcej nie znajdzie do niej dostępu.

Z dalszej analizy wynikało, że kolejni właściciele — ani wzbogaceni plantatorzy oliwek, ani, już po wojnie, don Pasquale senior — nie widzieli potrzeby zmiany nazwy. Logiczne. Komu przyjdzie do głowy, aby pozbawiać swój dom „dobrej fortuny”, czyli szczęścia? Ostatnim dokumentem z zielonej teczki była kopia aktu sprzedaży — z przezornie zamazaną kwotą transakcji — datowana na rok 1968. Wniosek był jeden: to Kazimierz Michalewicz *vel* Casimiro Michelangelo postanowił zmienić nazwę willi. Dlaczego? Teraz już nie miałem wątpliwości. Città Abbandonata — Porzucone Miasto; trudno o czytelniejszy wyraz żalu i... tęsknoty.

Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem. Eston ciągle nie wykazywał chęci do zwiększonej aktywności, lecz gdy wstałem, odprowadził mnie wzrokiem, po czym — w reakcji na zachęcający gest — postanowił mi towarzyszyć. Po krótkiej wizycie pod krzaczkiem natychmiast wrócił do domu. Wyciągnął się na środku perskiego dywanu zdobiącego salon.

Wsunąłem do odtwarzacza krążek z muzyką tyleż inspirującą, co tajemniczą.

*Harold w Italii.*

Oto był kompan gotów towarzyszyć mi w podróży przez wieki.

Aż dziw, że dotąd nie poświęciłem temu utworowi należytej uwagi. Powodów jego wyjątkowości jest kilka.

Dzieło Hectora Berlioz to przykład literatury altówkowej wielkiego koncertowego formatu. Zamówił go u kompozytora nie kto inny, jak sam Niccolò Paganini, który był nie tylko skrzypkiem, ale — o czym nie wszyscy głośno mówią — również altowiolistą! Przyszajmy, że panuje tu związana przez bractwo skrzypcową zмова milczenia! Dzieło rozczarowało jednak Paganiniego, zawziętego wirtuoza, stawiającego ponad wszystko ogrom trudności technicznych, które — w odróżnieniu od siebie współczesnych (i nie tylko) — pokonywał z małą wręcz zręcznością. *Harold* okazał się dla mistrza... za łatwy. A może chodziło o zupełnie nietypowy finał, w którym kompozytor nie przewidział dla solisty nawet jednej nuty? Biedny altowiolista stoi bezproduktywnie na tle rozszalałej orkiestry... Trzeba przyznać, że Berlioz wykazał się tu całkiem sporym poczuciem humoru. Albo złośliwością. Na szczęście kompozycja przetrwała niechęć zamawiającego i po dziś dzień zachwyca melomanów oryginalnym urokiem.

Przy tworzeniu utworu Hector Berlioz posłużył się programem literackim, biorąc za pierwowzór poemat dygresyjny George'a Byrona *Wędrowki Childe Harolda*.

Harold, buntownik, przemierza południe Europy w poszukiwaniu sensu i celu życia. To Puszkowski *Eugeniusz Oniegin* lub *Anhelli* Słowackiego. Typ bohatera skłóconego ze światem i — koniec końców — skazanego na życiową klęskę.

W części pierwszej Harold zachwyca się urokiem gór i współuczestniczy w radości lokalnych mieszkańców. Część druga to opis wieczornego spotkania z pielgrzymami śpiewającymi religijne pieśni. Następne ogniwo cyklu przynosi kolejną zmianę nastroju: oto serenada śpiewana ukochanej przez mieszkańca Abruzzo. W części czwartej, która gwałtownością swą przywołuje na myśl rozszalałe fragmenty *Symfonii fantastycznej*, Harold wpada w ręce rozbójników i, niestety, ginie. Taka była logika prawdziwie romantycznych uniesień...

Jest jeszcze jeden aspekt utworu, o którym należy wspomnieć. To dzieło tak bogate w warstwie orkiestrowej, że nikt nie ośmielił się go nazwać koncertem altówkowym. Podczas gdy — dla przykładu — w koncertach skrzypcowych Paganiniego orkiestra stanowi rodzaj

gigantycznej gitary, przygrywającej cyrkowym wręcz popisom solisty, tutaj mamy do czynienia z partiami co najmniej równoważnymi. *Harold w Italii* stanowi doskonale exemplum tak zwanej symfonii koncertującej. Za jej inne znakomite i powszechnie znane przykłady uznać można *Symfonię Es-dur KV 364* Mozarta, z solowymi partiami skrzypiec i... altówki, oraz *IV Symfonię* Karola Szymanowskiego z ogromną obsadą orkiestrową i wiodącą partią fortepianu.

*Harold w Italii* to także przykład symfonii programowej. Za jej pierwszą reprezentantkę uznaje się *VI symfonię F-dur op. 68* Ludwiga van Beethovena, ukazującą: *przyjemne życie pasterskie, przerwane burzą, która przechodzi jednak, wywołując naiwną i głośną radość*.

Nie bez powodu Berlioz mówił o sobie (z wrodzoną skromnością): „Jestem crescendo Beethovena”. Jego *Symfonia fantastyczna*, to już nie tylko opisy natury i scenki rodzajowe, ale cała dramatyczna akcja, wiodąca od *Marzeń — namiętności*, poprzez *Bal* i rozmyślenia *Wśród pól* wkraczająca na *Drogę na miejsce stracenia* i prowadząca ku *Sabatowi czarownicy*.

Co najmniej dwa kolejne utwory Berlioz można zaliczyć do symfonii programowych, choć wzięwszy pod uwagę rozbuchaną formę i zastosowane środki techniczno-wyrazowe, uprawnionym byłoby stwierdzenie, że kompozytor stał się w nich crescendo samego siebie. Mowa o *Symfonii dramatycznej „Romeo i Julia” op. 17* oraz legendzie dramatycznej *Potępienie Fausta* (poprzedzająca finałową apoteozę podróż Małgorzaty do piekła to fragment, od którego włos się jeży na głowie).

Poemat Goethego zainspirował także Ferenc Liszt, który swoją *Symfonię Faustowską* zadedykował nie komu innemu jak... Hectorowi Berliozowi.

Twórczość Georga Byrona fascynowała również Piotra Czajkowskiego. Manfred, bohater udrczony męką istnienia — w jakimś sensie ucieleśnienie dziewiętnastowiecznego romantyzmu — musiał być kompozytorowi *Jeziora łabędziego* szczególnie bliski. Sam Czajkowski (tajemnica jego śmierci pozostaje niewyjaśniona, choć niektórzy mówią o świadomym wypiciu wody zarażonej bakteriami cholery) zasłużył na miano postaci tragicznej.

Podobnie jak *Manfred*, czteroczęściową formę symfonii zachowuje *Szerezada* Mikołaja Rimskiego-Korsakowa. Bajeczna muzyka, skrząca się kolorami tysiąca i jednej nocy.

Po zadbanie o inspirujące tło nalałem do kielicha porcję domowego *vino sfuzo* (przelewane do dzbanów bezpośrednio z beczki), a na olbrzymim dębowym stole rozłożyłem album wręczony mi przez Paolo. Znajdujące się w nim etykiety postanowiłem dopasować — wedle klucza czasowego — do dokumentów z zielonej teczki.

Zubożali magnaci, pierwsi właściciele winnicy, wystartowali z uprawą szczepów: Sangiovese, Canaiolo, Trebbiano i Malvasia oraz Colorino — składnikami najbardziej znanego z toskańskich win, czyli Chianti. Kiedy *Buona Fortuna* zaczęła się do nich uśmiechać, rozpoczęli także produkcję bardziej ekskluzywnego *Vino Santo*.

Od czasu przejścia uprawy przez nowych plantatorów (tych od oliwek) skupiono się głównie na odmianie Sangiovese (Brunello di Montalcino).

Powojenny właściciel (czyli ojciec naszego mafiosa) zdecydował się na uprawę gatunków najpośledniejszych, dających prawo do wytwarzania jedynie wina stołowego — *vino da tavola*. Natomiast za Michalewicza nastąpił renesans winnicy: powrót do najlepszych gatunków Brunello, *Vino Santo* i Montepulciano. Ambicją Michelangelo było ponowne znalezienie się w prestiżowym konsorcjum ponad stu wytwórców toskańskich (uzupełnionych o inwestorów z Mediolanu i USA), z którego winnica została wykluczona pod rządami don Pasquale seniora. Dopiął swego w roku 1978. W świetle poznanych faktów stawało się całkiem jasne, dlaczego miejscowi nie chcą dopuścić do przejścia majątku przez don Pasquale juniora.

Sytuacja mówiła wiele o miejscowych stosunkach. Don Pasquale trzymał ludzi w

szachu, jednak ci nie zamierzali oddawać mu pola, jeśli tylko nie było to wymuszone strachem i terrorem. Jako osoba w pewnym sensie przypadkowa, znalazłem się na styku ścierania dwóch sił. Teraz odczuwałem to bardziej niż kiedykolwiek. Dopóki odgrywałem rolę figuranta, tolerowano mnie. I tyle. Doszedłem do ponurego wniosku, że na tym właśnie polega funkcjonowanie mniejszych lub większych społeczności. Symbioza. Uczucia wyższe zostawmy na szczególne okazję. Przypomniały mi się jednak życzliwość i pomoc, jakimi otaczały nas Sophia i Donatella. Rzeczowość i uczciwość Paolo. Pełen radości życia i ludzkiej sympatii letni festiwal kameralny. Chyba byłem wobec tych ludzi niesprawiedliwy. Nie dajmy się zawładnąć goryczy.

Kilka setek etykiet, które tworzyły przed oczami barwną wirującą plamę, było opatrzonych symbolem Casa di Buona Fortuna: dwiema nachylnymi ku sobie synogarlicami.

Pomimo mnogości emblematów, wkrótce zyskałem pewność w jakże istotnej kwestii: także herb domeny zmienił się dopiero za czasów Michalewicza. Dwie dłonie złączone nad kulistą formą, która mogła symbolizować ziemski glob, były znakiem na tyle uniwersalnym, że każdy mógł go odczytać wedle osobistego klucza. Zmieniając nazwę i godło posiadłości, Michelangelo stworzył nową markę i pieczęć wina.

Na uporządkowane w ten sposób fakty należało teraz spojrzeć przez pryzmat kluczowego według mnie zdania z listu Michalewicza.

*Uczyniłem więc pewną wskazówkę i dołączyłem ją do nowego symbolu, który dla znającego podstawowe fakty powinien być więcej niż czytelny.*

*Podstawowe fakty poznałem przed chwilą. Podobnie jak nowy symbol.*

Ale przecież don Pasquale — choć zapewne nie wnikał w ich wymowę — znał je również! Jego ludzie poszukiwali w torretcie dokumentów opatrzonych nową nazwą lub nowym znakiem.

*Szukajcie, a znajdziecie.*

Szukali, a... nie znaleźli. Mieli czas, ale brakowało im cierpliwości lub pomysłu. Dlatego postanowili wykorzystać mnie.

Niezależnie od mrocznego nastroju, w którym prowadziłem dociekania, zaczęła mi się udzielać ekscytacja poszukiwacza. Przygotowałem dzbanek z kawą i ruszyłem na górę.

Oblężenie torretty trwało kilka godzin. Gdy kończyłem przeglądanie księgozbioru, we wschodnim oknie zaświtała jutrzienka. Niestety, nie rozjaśniała wszechpanujących mroków. Wielogodzinne starania przywiodły mnie donikąd. Na żadnej z oglądanych księzek — a liczba ich szła pewnie w setki, jeśli nie w tysiące — nie odnalazłem znajomego symbolu. Nigdzie żadnej karteczki z podpowiedzią, koperty, pieczęci, rysunku. Najmniejszej wskazówki...

W księgozbiornie Michalewicza znajdowało się mnóstwo tomów wydanych przez paryską Kulturę, była polska klasyka — od romantyzmu po współczesność — sprowadzana na zamówienie przez jedną z rzymskich księgarni. Były książki włoskie, angielskie i francuskie. Ale nigdzie — nawet w dwóch albumowych wydawnictwach poświęconych K. (ich odnalezienie wywołało krótkotrwałą falę nadziei) — nie znalazłem nic, co mogłoby kojarzyć się z poszukiwanym znakiem: połączonych dłoni zastygłych nad kulistą formą. Rozumiałem wściekłość „duchów”, które przeszukiwały książki w poczuciu rosnącej frustracji. Teraz stała się moim udziałem.

Intensywna jasność poranka oślepiła mnie nagle i w jednej chwili rozbroiła. Padłem na sofę, natychmiast zapadając w płytki męczący sen.

Obudziło mnie szczekanie Estona. Słońce wzbilo się już wysoko, a pies nie szczekał z jakiegoś niepokojącego powodu. Po prostu przywoływał mnie, zniecierpliwiony długą nieobecnością i milczeniem. Samodzielnie wstał z posłania i najwyraźniej zapraszał na spacer. Pierwszy raz od otarcia się o śmierć.

Kręciliśmy się koło domu. Eston wykazywał ochotę pójścia dalej, ale nie chciałem go nadwerężyć. Po trzech rundach wokół Casy pies wypił całą miskę krystalicznie świeżej wody, po czym, zrezygnowawszy z wygod stojącego w domu kosza, wybrał zacienione deski tarasu. Powoli wracał do siebie, co objawiało się również chęcią wzrokowego choćby patrolowania okolicy. Nie miałem pojęcia, co dzieje się w jego głowie. Widziałem jednak, że przez większość czasu bacznie mnie obserwuje. Czekał na inicjatywę. A ta nadchodziła bardzo okrężną drogą. Jak miałem mu wytłumaczyć, że chodząc, siedząc, stojąc i leżąc, myślę właściwie tylko o jednym?

To zaklinanie rzeczywistości zaczęło jednak przynosić pewien skutek. Okrążając dom po raz kolejny, odniosłem wrażenie, że osaczam jego tajemnicę. Bo ona musiała znajdować się wewnątrz. Taka była logika słów Michalewicza. Taki był sens jego wszystkich symbolicznych pociągnięć. Nagle wysiłki poczynione minionej nocy zbiły się w kulę zrozumienia. Co komu po nazwie i symbolu, których nie da się dostrzec? One muszą być... widoczne. I znowu robiłem kółko; Eston podnosił łeb, jakby w oczekiwaniu, aż krzyknę: „Eureka!” lub przyznam, że zupełnie zwariowałem. Wiedziałem już, że ta nazwa i ten symbol były tu, niedaleko, na wyciągnięcie ręki, w zasięgu wzroku.

Czy mogło to być aż tak oczywiste?!

Zatrzymałem się w nagłym olśnieniu. Dlaczego dopiero teraz?! Odpowiedź była prosta. Ścieżka prowadząca do drzwi wejściowych wspinała się pod dość sporym kątem, zaś to, czego szukałem, znajdowało się nad portykiem; bez uniesienia głowy nie miało prawa znaleźć się w zasięgu wzroku. Trzeba było mocno się wpatrywać, aby dostrzec łagodne linie napisu wyłobionego w wapiennej płycie: *Casa di Città Abbandonata...* Tuż nad inskrypcją widoczny był herb: dwie połączone dłonie, zastygłe w opiekuńczym geście. Stosunkowo małą czytelność liter i symbolu przypisywałem warsztatowym brakom twórcy, u którego zamówiono płaskorzeźbę. Ale jakie to miało teraz znaczenie?

Ruszyłem w poszukiwaniu drabiny, aby uwiarygodnić przypuszczenia z najbliższej odległości. Rezultaty oględzin przeszły najśmielsze oczekiwania. Tablica z nazwą i herbem stanowiła rodzaj drzwiczek, dających się otworzyć po wysunięciu dwóch metalowych bolców. W środku niewielkiego schowka znajdowało się pudełko ze stali nierdzewnej, które wyjąłem z bijącym sercem.

Kasetka była zamknięta.

Nie tracąc czasu, pobiegłem do wiszącej w holu szafki wypełnionej całą masą kluczy. Zastosowań większości z nich nie poznałem do dzisiaj. Jednak wyselekcjonowanie czterech kluczyków, których wielkość mogła odpowiadać zamkowi w szkatułce, nie było zadaniem trudnym. Jeśli się nie uda — myślałem bojowo — po prostu odnajdę ślusarza. Albo zadzwonię do don Pasquale, aby przysłał mi któregoś ze swoich ludzi... Ha, ha...

Ale obyło się bez wariantów alternatywnych. Kluczyk numer trzy przekręcił zamek w kasetce bez najmniejszego oporu.

W środku znajdowały się dwie zalakowane koperty. Napis na pierwszej głosił:  
*Nieautoryzowana wersja wywiadu dla pani Donatelli Sancerre.*

Wariant autoryzowany poznałem już w związku ze sprawą Rosenberga i Michalewicza.

Druga z kopert była poszukiwaną przeze mnie.

Czyjaś ręka — nie wątpię, że była to dłoń Michalewicza — starannym i nieco staroświeckim charakterem pisma wykaligrafowała: *O Porzuconym Mieście.*

Poczułem minimalny zawód. Gdzieś tam liczyłem przecież, że już teraz dotrę do materiału źródłowego i cała sprawa nabierze niezwykłego przyspieszenia... Bez wahania złamałem pieczęć — dzięki prostemu zabiegowi Michalewicza miałem pewność, że koperta aż do tej pory nie wpadła w niepowołane ręce — i z niecierpliwością wyjąłem złożoną na cztery

części kartkę papieru listowego.

*Każdy nosi w sobie jakieś miasto opuszczone. Miasto przeklęte, w którym zaznało się biedy, nieszczęście i upokorzeń. Niemożliwe do zapomnienia. Bo prócz zła była w nim także miłość. I młodość. Takie miasto jest niczym odwieczny mit o raju utraconym. Raju, który okazał się piekłem. Ludzie porzucają swoje miasta i swoje wioski, miejsca, w których się rodzili, cierpieli i byli szczęśliwi. Miota nimi historia, na którą nie mają wpływu.*

*Podobnie rzecz ma się ze mną. Było kiedyś miasto, które kochałem i które kochało mnie. Miałem tam przyjaciół, oczy dziewcząt śmiały się, a bzy, lipy i jaśmin pachniały tak, jak nigdzie indziej na świecie.*

*Gdy nastał czas próby, nie wyszedłem z niej bez skazy. Potem i mnie skazano, a choć wbrew logice przetrwałem i wróciłem, nic już nie było takie jak kiedyś.*

*Miasto naznaczone piętnem nie przyjęło mnie z otwartymi ramionami. A w końcu wypluło — jak ciało obce, zbyt ciężkie do strawienia. Kiedyś bliscy sobie niczym para kochanków, darzyliśmy się potem nienawiścią.*

*Wyjechałem. Już wówczas wiedziałem, że na zawsze, ale zrozumiałem to dopiero po jakimś czasie. Od tej pory rosla we mnie tęsknota, która nigdy nie znajdzie ukojenia.*

*Porzucone Miasto.*

*Jedno, co mogłem zrobić, to stworzyć jego namiastkę, nazywając tak mały kawałek ziemi i dom, w którym przyszło mi spędzić resztę życia.*

*Ale uczyniłem to również dla uczczenia innych.*

*Tych, którym kiedyś nie chciałem, nie mogłem lub nie potrafiłem pomóc.*

*Dźwigam w swoim sercu zbyt wiele tajemnic. Z jednej strony pragnę, aby nimi pozostały, z drugiej — chwytam mnie przerażenie, że nigdy nie ujrzą światła dziennego.*

*Ci, o których teraz mówię, stanęli przed tragicznym dylematem. Aby przeżyć, musieli zniknąć.*

*Nie ciała, lecz dusze porzuciły miasto.*

*Całkiem odwrotnie niż w moim wypadku.*

*Był ktoś, kto znalazł ich tajemnicę. Opisał ją, a zapiski trafiły w moje ręce. Zostawiłem je w mieście porzuconym. Ukryłem na polu mądrości wskazanym przez mułkę. Przed dotykem profana strzegą ich święte liczby żydów i chrześcijan. Należy odjąć jedną od drugiej. To, czego brakuje, jest odpowiedzią, końcem i początkiem.*

„Hurra!!!” — o mało nie krzyknąłem w udręce. Takie proste? Już lecę i odkrywam... Zrobiło mi się słabo.

Jeśli liczyłem na poznanie tajemnicy tu i teraz, przeliczyłem się w sposób bolesny. Czy spółka Rosenberg&Michalewicz — tutaj raczej Michalewicz&Co. — nie mogła powiedzieć niczego wprost? Musieli komplikować każdą sprawę do stopnia absurdu? Przypominając sobie jednak zagadkę Rosenberga, nie sposób było zaprzeczyć, że podjęte środki ostrożności miały uzasadnienie. Jak było w tym wypadku?

Jedno wydawało się oczywiste.

*Zostawiłem je w mieście porzuconym.*

Powinienem był wracać do K. Tam znajdowało się wyjaśnienie kolejnej łamigłówki.

Ale co z Antonią?! Mam ją tutaj zostawić? Tutaj to znaczy gdzie? Czy wiesz, gdzie jest więziona, że mówisz o zostawianiu? Jedyłą wskazówką były *jodły na gór szczyście...* Co oznaczał ten cytat z Moniuszki? Że porywacze ukryli Antosię w górach? Że za oknami znajdują się drzewa iglaste? To nam zmniejszało pole poszukiwań o jakieś... pięćdziesiąt procent... Zamiast całej



Italii przeszukajmy tylko rejony zasobne w bory.

Musiałem wyjechać!

Ale ten diaboliczny don Pasquale... Czy da wiarę zapewnieniom o niezbędności wyjazdu? A może uzna je za wybieg, za pomocą którego chce go okrążyć i zaatakować?

Śmieszne. Co ja, altowioliści, i to szantażowany w najczulszym punkcie, mogłem przeciwstawić mocy człowieka, którego wszyscy dokoła się bali, a którego powiązania przekraczały moją — nie najmniejszą przecież — wyobraźnię?

Musiałem z nim porozmawiać.

Czekałem na znak. Tego dnia bardziej niż kiedykolwiek.

Telefon zadzwonił o siedemnastej.

— Jak daleko zaszedł pan w poszukiwaniach? — Rozmówca z miejsca przystąpił do rzeczy.

— Chciałem przekazać, że dotychczasowe ustalenia zmuszają mnie do wyjazdu do K. — Usłyszałem coś w rodzaju akceptującego chrząknięcia. — Muszę jednak mieć jakąś możliwość kontaktu z panem... — Starłem się nadać słowom maksimum zdecydowania, ale sam słyszałem, jak nieprzekonująco brzmią.

— Proszę zajmować się tylko tym, co do pana należy. — Głos brzmiał teraz ostrzej. — O resztę niech się pan nie martwi; monitorujemy pana ruchy i odezwiemy się, gdy zajdzie potrzeba... Zresztą, otrzyma pan ode mnie numer telefonu do jednorazowego wykorzystania...

Na tym rozmowa się urwała. Monitorowali mnie... We współczesnych czasach to nie takie trudne. Nie pozostawało nic innego, jak przygotować się do wyjazdu.

Eston dochodził do siebie z każdą godziną, co było informacją dobrą, gdyż za nic w świecie nie zostawiłbym go teraz w Corbetto. Nawet pod opieką dottore albo troskliwych signor.

Rany zewnętrzne i psychiczne zdawały się ustępować w zetknięciu z żelazną wolą życia. Mojego druha nie trzeba już było zachęcać do spaceru, sam mnie nań zaciągnął, a gdy — nie chcąc szafować siłami rekonwalescenta — zasugerowałem powrót do domu, niecierpliwiał się i okazywał niezadowolenie. Jego zachowanie było uderzające; to popatrywał na mnie, to znów odbijał się lekko od ziemi przednimi łapami (co dawało efekt nieco tragikomiczny), jakby pragnął mnie dokądś zaprowadzić. Postanowiłem oddać psu inicjatywę i ruszyłem za jego podekscytowanym truchtem. Gdy Eston upewnił się, że podążam w ślad za nim, wdał się w karykaturalny bieg.

Przyprowadził mnie w miejsce, w którym znalazłem go dwie doby temu. Dzisiaj patrzyłem przytomniejszym wzrokiem. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na kładkę łączącą oba brzegi; coś mi to zaczęło przypominać...

Antośka uwielbiała obserwować z niej wolno przepływającą wodę.

— To była ukochana gra Kubusia Puchatka. I nasza — mówiła. — Chodziliśmy z tatą do parku — tak, tak, tego samego, w którym Eston wyłowił batutę! — i graliśmy zapamiętane.

W Estonie zyskała doskonałego partnera do kontynuowania ulubionej gry z dzieciństwa. Pies dobrze wiedział, że jego pani weźmie do ręki przyniesiony patyk i rzuci go naprzeciw rzeczemu nurtowi. Biegł radośnie i wpadał do rzeki po przeciwnej stronie mostu; tym sposobem nie gonił kawałka drewna, tylko nań czekał. Mogli tak się bawić również feralnego poranka. W szumie wody Antosia nie usłyszała nadjeżdżającego samochodu (a może samochodów, bo gdyby drugi pojawił się po przeciwnej stronie, byłaby na mostku niczym w pułapce).

Na suchym, czerwonym piasku trudno było odnaleźć jakiegokolwiek ślady, a jednak w nieco obniżonym i przez to bardziej wilgotnym miejscu dostrzegłem niewyraźny zarys bieżnika szerokiej opony. Najpewniej 4x4, bo kierowca innego auta nie odważyłby się tu zapuścić... Eston

śledził moje poczynania, jakby dając mi czas na zapoznanie się z terenem. Ruszyłem na drugi brzeg, aby odnaleźć ślady potwierdzające słuszność teorii o wzięciu Antosi w dwa ognie. Niczego nie dostrzegłem, choć znalezisko nie dałoby mi czegokolwiek poza wątpliwą satysfakcją z prawidłowej rekonstrukcji zdarzeń.

Eston był w zadziwiająco dobrym nastroju. Ni stąd, ni zowąd postanowił zanurzyć się w wodzie. Na moment zniknął mi z oczu, by po chwili wyłonić się, prychając niemiłosiernie. Coś trzymał w pysku. Nareszcie zrozumiałem psią niecierpliwość i cel tej wędrówki. Nurek usiadł naprzeciw, domagając się, abym wziął w dłoń wyłowiony przez niego... telefon komórkowy. Niczym specjalnym niewyróżniającą się nokię.

Hm... Eston nie wskakiwał do rzeki codziennie, a tym bardziej codziennie nie wyławiał z niej telefonów... Być może trzymałem w dłoniach bezcenne znalezisko, lecz aby się o tym przekonać, musiałbym uzyskać pomoc jakiegoś elektronika czarodzieja. Myśląc realnie, trudno było hołubić nadzieję, że z komórki, która spędziła w wodzie kilkadziesiąt godzin, da się odczytać cokolwiek...

Donatella i Sophia do spółki z Paolo przyjęły decyzję o naszym wyjeździe z niedowierzaniem, ale nie miałem zamiaru mówić więcej niż konieczne. To była moja partia, w którą, mimo pozorów — a może nie tylko pozorów — sympatii, nikt nie chciał się pakować, zaś ja nie miałem zamiaru nikogo wciągać. Przez ostatnie kilkadziesiąt godzin zrozumiałem dużo więcej z lokalnych zależności. Sytuacje skrajne zawsze powodują szybsze dojrzewanie lub... przejrzenie na oczy. Było dla mnie wystarczającą pociechą, że mogę wyjechać, pozostawiając dom i posiadłość w troskliwych i zaufanych rękach.

Poprosiłem, aby któryś z pracowników winnicy odstawił do Florencji wynajętego fiata Punto, który od dwóch dni stał na podjeździe. Odbyłem rozmowę z dottore Consiglia. Weterynarz potwierdził, że pacjent wraca do zdrowia, choć nie był zachwycony zabieraniem go w wielogodzinną podróż. Widząc, że nic nie zmieni mojej decyzji, założył mu nieco luźniejsze opatrunki, wymusił na mnie przyrzeczenie, że na miejscu dam Estona zbadać dobremu weterynarzowi, i wręczył tabletki przeciwbólowe i krople uspokajające.

— Najlepiej będzie, jeśli prześpi podróż. A pan niech nie szaleje za kółkiem.

Chciałem mu powiedzieć, że daleko mi do stylu jazdy obowiązującego na Półwyspie Apenińskim, ale ostatecznie dałem spokój. Dottore ujął mnie troską o pacjenta.

Kosz Estona zmieścił się z tyłu alto. Choć mój pies nie należał do kanapowców, w tej podróży była mu potrzebna odrobina luksusu. Zamierzałem wyjechać o świcie. Ze zdobytych doświadczeń wynikało, że to najbardziej racjonalna pora, aby dotrzeć do K. u schyłku dnia.

Nastała ciepła, rozświetlona gwiazdami noc. Za wcześnie, żeby spać. Siedziałem nieporuszony na tarasie, a zdarzenia ostatnich dni przewijały mi się przed oczami niczym fragmenty obejrzanych filmów. Myśl wybiegała ku następnej zagadce...

*Ukryłem na polu mądrości wskazanym przez mullę. Przed dotykem profana strzegą ich święte liczby żydów i chrześcijan. Należy odjąć jedną od drugiej. To, czego brakuje, jest odpowiedzią, końcem i początkiem.*

Na szczęście w K. był ktoś, kto mógł mi pomóc w jej rozwiązaniu.

Zastanawiałem się, czy mimo próśb Antosi nie wtajemniczyć Sabiny i Sebastiana w sytuację. Z jej strony był to wyraz troski o rodziców, jednak gdyby... gdyby cokolwiek miało się stać, nigdy by mi tego nie wybaczyli. Odrzuciłem czarne myśli, a przecież w wyobraźnię ciemnymi kroplami wsączał się motyw kwartetu Schuberta.

Nurt muzyki przeniósł mnie nagle w kierunku sprawy, którą w wyniku ostatnich zdarzeń porzuciłem.

Albert Plejada...

Byłem już tak blisko powiązania wątków... Choć wydawało się, że tożsamość mordercy została odkryta, a złapanie go jest kwestią godzin, nic takiego się nie stało. Odczytując mój post, tajemniczy skrzypek poczuł niebezpieczeństwo. Zdecydował się zamknąć stronę. Ale czy na pewno zamilkł? Jeśli wcześniejsze domniemania o zamiarze „występowania przed publicznością” były trafne, to dlaczego potrzeba ta miałaby zniknąć, gdy owa publika — w mojej osobie — materializowała się? Przecież mógł powtórzyć zastosowany już manewr: przeniesienie blogu w inne miejsce. W wyszukiwarce zacząłem wpisywać synonimy skrzypka i wiolinisty (muzyk, grajek, skrzypacz, basetlarz i wiele, wiele innych). Bez rezultatu.

Goniłem miraż? Czy też nie potrafiłem odnaleźć właściwego klucza? A gdyby tak... Przecież skrzypek mógł posłużyć się prostym a zarazem logicznym trickiem. Czyż nie byłoby nim skrycie się pod obcojęzyczną nazwą?

*Violinist* nie przyniósł spodziewanego rezultatu. Ale gdy tylko wpisałem słowa *fiddler's blog*, wyszukiwarka przerzuciła mnie na stronę z następującym tekstem:

*Sprytni oszuści próbują udawać zrozumienie. Wyczuwam ich na odległość. Nie ufam słowom wyważonym, bo sączy się z nich jad podejrzliwości. Kimkolwiek byłeś — a może jesteś? — zobaczmy, na ile starczy ci wyobraźni. Ale wiedz, że łatwo nie będzie. Doprowadzę występ do końca i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Jeśli jeszcze wątpisz, to może to cię przekona: trzecia struna jest już gotowa do użycia.*

*No i co, spryciarzu?*

Dosłownie w tej chwili zadzwonił Bielski.

— No, Bartoszu, co nowego?

— Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

Bez wchodzenia w szczegóły podałem adres odkrytej właśnie strony. Poinformowałem też, że o świcie wyruszam do K. Pełną wymianę informacji postanowiliśmy odłożyć do rozmowy w cztery oczy. Jednak Robert miał mi jeszcze to i owo do przekazania.

— Jest coś w sprawie „Struniarza”...

— Tak? No to mów... Przestań się krygować jak panienka.

— A, cholera jasna! Że też to się tak wszystko musiało popieprzyć... Dobrze, posłuchaj. Ukochana naszego fizyka kwantowego, po której śmierci pan Parolny się załamał, nazywała się Gabriela Budrys i była wiolonczelistką...

— Już to mówiłeś... — Mój news był zgoła innego kalibru.

— Ale jeśli dodam, że studiowała na jednym roku z Marcisławem Rosnerem?

Przeniknęła mnie fala gorąca. Coś zaczęło świtać w głowie. Obraz był ciągle zamazany...

— I jeszcze jedna sprawa, bezpośrednio dotycząca ciebie...

— Wał prosto z mostu; wszystko zniosę...

— Dzięki współpracy ze Scotland Yardem Interpol dysponuje już portretami pamięciowymi dwóch koleśki odpowiedzialnych za zamach w Eurostarze. Rozesłali je po krajach UE. Tymczasem Krawczynski, któremu co nieco opowiedziałem o twoich perypetiach, wpadł na zastanawiający trop. Otóż, nie dalej jak dwa tygodnie temu, Scotland Yard otrzymał od włoskiej policji listy gończe za dwójką niebezpiecznych bandytów, którzy uciekli z konwoju, zabijając przy tym trójkę strażników. Tknięty przecuciem (mnie też zaczęło tykać, a nawet kopać) porównał zdjęcia i portrety pamięciowe, i doszedł do wniosku, że z całą pewnością w jednym, a prawdopodobnie w obu wypadkach chodzi o te same osoby. I teraz uważaj — a co ja robiłem od dobrej chwili?! — są to: niejaki Marco Ferrari alias Caetano Gonzales alias — zawiesił głos, choć mógł sobie darować — Johnny Liguria oraz znany pod jednym tylko nazwiskiem —

Antonio Papageno. Krótko mówiąc, twój ukochany duet księżycowych sylwetek w całej okazałości. A teraz wytłumacz mi, jak mogłeś ich nie rozpoznać?!

— Ależ to proste! Widziałem ich jedynie kątem oka. Zresztą drobna charakteryzacja plus uniformy mogły ich zmienić nie do poznania. Byłem tak zajęty rozmową z Rucacellim, że nie miałem głowy na nic innego... Zaraz, zaraz... Cholera jasna, daj pomyśleć... — Trzasnąłem słuchawką.

Wszystko fiknęło kozła. A więc nie było terrorystów ani zamachu? W jego miejsce — próba morderstwa? Na kogo mogła polować dwójka mafiosów? Przecież nie na Syryjczyka ani damę angielskiego dworu. To oni, a nie ja, mieli stać się przypadkowymi ofiarami, skutecznie przy okazji myląc trop. Polowano na mnie... Zaraz, był jeszcze Rucacelli. Może chodziło o naszą dwójkę? Gdyby tak się dobrze zastanović... Każdy z nas miał na pieńku z don Pasquale. I nagle pakujemy się do wspólnego wagonu niczym sardynki do jednej zamkniętej puszki. Ale jak do tego mogło dojść? Przecież wszystkim rządził przypadek! A jeśli nie? Zacząłem gorączkowo kojarzyć fakty.

Mój samolot — niedającym się przewidzieć zbiegiem okoliczności — ląduje w Belgii, a nie w Londynie. Całkiem podobnie rzecz ma się z Rucacellim. Eurostar jako forma kontynuacji podróży do Anglii jest wyborem może nie jedynym, ale ze wszech miar logicznym. Zastanówmy się: maestro informuje Wandeczkę o zmianie planów. Wiolonczelistka... dzwoni do Jędrzeja z informacją, że jej mąż jest w Brukseli! Może pan europoseł mógłby się nim zaopiekować? Tego samego wieczoru Jędrzej spotyka mnie w Parlamencie Europejskim. W pewnej chwili znika, a po powrocie upewnia się, że będę na pokładzie porannego Eurostara. Upewnia się? Przecież on mnie tam wpycha! Nie waha się nawet użyczyć mi europoselskiego miejsca... Całkiem podobnie mógł to rozegrać z Rucacellim.

Ale dlaczego?!

Czyżby... kontaktował się z don Pasquale? Byłaby to zupełna nowość, niemniej fakty nakazywały ją rozważyć. W uszach zabrzmiały słowa, którymi dziewczyna Jędrzeja pożegnała mnie tamtego wieczoru: „ten facet to wąż...”. I jeszcze inne, autorstwa samego Jędrzeja: „samotna piękna dziewczyna i wielka willa z wieżyczką; wymarzona sceneria do thrillera”...

Czy jednak całość nie brzmi zbyt fantastycznie: Wanda do spółki z Jędrzejczyńskim wystawiający nas na celownik camorry?

Ale przecież wiolonczelistka mogła poinformować Jędrzeja o Damianie bez intencji ubocznych, przez próżność lub spóźnioną złośliwość. Natomiast forma, w jakiej on przetwarzał i wykorzystywał pozyskiwane informacje, była pochodną jego pokrętej osobowości i... strategii. Czy dało się wykluczyć, że człowiek niewahający się w przeszłości korzystać z usług lokalnych bandziorów, postanowił sprzymierzyć się z kimś znacznie potężniejszym i działającym na międzynarodową skalę? Iskrą, która mogła ich połączyć, była zagadka Rosenberga. Wszyscy chodziliśmy tymi samymi tropami, tyle że różniły nas intencje.

Nas tak. Ich — niekoniecznie.

Jak mówi staropolska sentencja: *Kruk krukowi oka nie wykole*. W wersji uwspółcześnionej jest mowa o pewnej pani, która innej pani łba nie urwie. Natomiast z satysfakcją uczynią to z okiem lub głową kogoś innego. Funkcjonując na podobnej częstotliwości — wyczuwają się na odległość. A wyczuwając — uznają wzajemną przydatność.

Krótko mówiąc: don Pasquale planował nas sprzątnąć, a Jędrzej mógł nas wystawić.

Z punktu widzenia zagrożenia światowym terroryzmem był to wariant lepszy. Z mojego osobistego punktu widzenia — znacznie, ale to znacznie gorszy.

Raz jeszcze musiałem zadać sobie fundamentalne pytanie:

DLACZEGO?!

Ano dlatego.

Definitywnie eliminując moją skromną osobę, don Pasquale zyskiwałby nieskrępowany dostęp do *Casy*. Przypomniało mi się sformułowanie: *Ponieważ plan A nie wypalił...* A więc plan A to nie było żadne przeszukiwanie torretty! Plan A polegał na fizycznej eliminacji niejakiego B.C. Jakże czytelna — i szybka w realizacji — stawałaby się deklaracja pierwokupu, o której wspomniał Trovatore! ABC zbrodni...

Ale skąd tu nieszczęsny maestro? Pytanie trudne tylko z pozoru. Przecież on także był zaangażowany w sprawę Rosenberga. I w niemniejszym stopniu — w jej kontynuację. Zabijając mnie i dyrygenta (plan A+) nasz prześladowca stawał się wyłącznym powiernikiem ostatniej tajemnicy Michalewicza (aby odszukać ukryty w willi dokument, mógł kazać ją zburzyć i przeszukać kamień po kamieniu). Ponieważ jednak się nie udało, don Pasquale — pragmatyk bardziej niż dogmatyk — postanowił zmienić strategię i zastosował plan B (miał szczęście; podejrzewam, że zagadka z odnalezionego listu Michalewicza wprawiłaby go w furję). Był pewien, że porywając Antosię, zmusi mnie do współpracy na swoich warunkach. Nie przeliczył się ani trochę.

Siedziałem zbulwersowany. Wszystko układało się w logiczną całość.

Próby zaśnięcia były tej nocy skazane na niepowodzenie. Postanowiłem wyruszyć natychmiast i jechać aż do wyczerpania sił. Znajdę jakiś parking i prześpię się parę godzin w aucie. Eston nie krył radości. Pomogłem mu wejść na mobilne legowisko i wepchnąłem do pyska tabletkę i porcję kropli, które przełknął z wyraźnym obrzydzeniem. Po chwili zwinął się w kłębek i zasnął.

Wrzuciłem do auta plecak i altówkę (po co?) i ruszyłem w otchłań nocy.

## 14.

Przed Florencją wbiliśmy się na autostradę E35 w kierunku Bolonii. Ruch był spory, ale przebiegał bez zakłóceń. Jazda uspokajała mnie. Wymuszała skupienie, pozostawiając swobodę myślenia.

Od chwili, gdy po raz ostatni opuszczałem Italię, minęło raptem dwanaście dni, z których pierwszych siedem nosiło jeszcze znamiona normalności. Wypełnione pracą i muzyką, zakłócone zostały jednak dysonansowym kontrapunktem złowrogiej działalności „Struniarza”. Gdyby nie trup, który przywitał mnie po przylocie do K., wszystko miałoby wymiar rozrywki intelektualnej, komputerowej gry z określoną ilością puzzli do ułożenia. Kolejne morderstwo, poprzez tropy prowadzące w przeszłość, a powiązane z jednej strony ze środowiskiem muzycznym, zaś z drugiej — z rodziną Joanny, nadało zdarzeniom tonację ciemną, minorową, złowróżbną, której doskonałą ilustracją stała się muzyka Schuberta. Wszystko razem spowodowało, że wbrew początkowym wątpliwościom dałem się wciągnąć w śledztwo, uznając nawet, że w jego ramach powinienem odwiedzić Londyn.

Potem wydarzenia przybrały zawrotną szybkość, stawiając mnie w rolach już to bohatera mimo woli, już to osoby przyglądającej się bezradnie, jak ktoś burzy porządek jej życia. Nieoczekiwany szach okazał się zaproszeniem do gry. Brutalnym, a jakże, ale czego spodziewać się po gościach, którzy w ciągu ostatnich tylko dni mieli na sumieniu — lekko licząc — pięć trupów (trójka konwojentów plus dwóch stewardów z Eurostara)? Że nie było ich więcej (mnie wliczając), zawdzięczałem refleksowi wykazanemu w krytycznej chwili. Ostatecznie jednak każdego dnia unikamy śmierci, schodząc z drogi pędzącym samochodom i wykonując mnóstwo

zautomatyzowanych czynności.

Gdyby nie dramat uwięzionej Antosi, być może potrafiłbym się doszukać w swoich działaniach tego smaku przygody, który towarzyszył mi w trakcie rozwiązywania zagadki filharmonii. Teraz było równie ciekawie, choć znacznie bardziej chaotycznie (choćby z racji poplątania różnych spraw). I — niestety — o wiele groźniej.

Nie mogąc zdecydować się na konkretną płytę, łapałem na chybił trafił stacje radiowe, jednak żaden z utworów do mnie nie przemawiał.

Czy można dźwięk zastąpić słowem? Sam Ludwig van Beethoven twierdził, że da się (przynajmniej w elementarnym zakresie) komponować za pomocą wyrazów. Jeden z moich kolegów z lubością werbalizował melodię walca z *V Symfonii* Czajkowskiego:

*Kieeee-dyś była pię-kna, teee-raz nie jest już...*

Jeszcze inny pokusił się o wersję hardcorową:

*Wpieeee-rw była dziewi-cą, teee-raz...*

I tak dalej... (chodziło o to, że rzeczona dama jest obecnie dziewczyną *à rebours*, że się tak wyrażę).

Niejeden z kompozytorów opatrywał swoje dzieła muzycznym autografem (wszak dźwięki posiadają literowe nazwy). Na przykład Jan Sebastian Bach i jego  $b - a - c - h$  wkomponowane w ostatnią z cyklu *Kunst der Fuge...* Albo Dymitr Szostakowicz (Schostakowitsch) i motyw  $d - s - c - h$ , ukryty między innymi w *X Symfonii* i *VIII Kwartecie smyczkowym...* W twórczości przywoływanego już Adriana Leverkühna, *Doktora Faustusa*, pojawia się motyw  $h - e - a - e - es$ . *Haetera Esmeralda* brzmi nazwa motyla niebiańskiej piękności, a zarazem imię... diabelskiej kochanicy kompozytora.

Przypomina mi się pewien słowno-dźwiękowy eksperyment. Grupa — wówczas — obiecujących, dziś uznanych kompozytorów, skupionych w Polskim Towarzystwie Muzyki Współczesnej, wystąpiła z poematem zatytułowanym... *Czerwony Kapturek*. Eksperymentalność utworu polegała na stopniowym zastępowaniu słów ich dźwiękowymi odpowiednikami. Czy przedsięwzięcie się udało, trudno jednoznacznie ocenić, ponieważ stanowiący ważny element spektaklu zapis magnetofonowy nijak nie chciał zgrać się z działaniami muzyków (elektronika stała jeszcze w powijakach). Całość zakończyła się więc dość luźną pogawędką w domku babci.

Słowa kodują dźwięki, zaś te dla odmiany potrafią mówić. Na przykład w pieśni, w której ani poezja, ani muzyka nie są wobec siebie służebne. Czy jednak mogą przemówić także bez ich pomocy? Posłuchajmy *Pieśni bez słów* Feliksa Mendelssohna-Bartholdy'ego, a poznamy odpowiedź. Dźwięki mówią, choć bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że opowiadają lub omawiają. Język mówiony posiada za to melodię. Spróbujmy choć przez chwilę nie zważać na jej wymogi. Otrzymamy melorecytację. Bezbarwną linię, w której słowo i dźwięk pasują się we wzajemnej niemocy. A melodia słowa pisanego? Istnieje również. To dzięki niej czyta nam się coś z łatwością lub — przy jej braku — wręcz przeciwnie.

Muzyka pełna jest obietnic i zakłęb. Pytań i wykrzykników. Zdań niedokończonych, a także zasugerowanych jedynie. Jest skargą i westchnieniem.

Opisowość jest cechą naczelną muzyki programowej — ilustrującej konkretne zdarzenia lub zjawiska ze świata zewnętrznego, ale próbującej też oddać bardziej ulotne stany wewnętrznej świadomości.

Na drugim biegunie znajduje się muzyka absolutna — abstrakt dźwiękowy, mający zachwycać pięknem nieliterackim, maestrią formy i konstrukcji czy po prostu ciągiem dźwięków podlegających jednemu tylko kryterium: artystycznej doskonałości.

Muzyka programowa z lubością posługuje się niezwykle plastycznym akordem kwarty

zwiększonej (lub kwinty zmniejszonej, jak kto woli) czy w ogóle wszelkich interwałów wynaturzonych (klasyfikacja moja). Połowa dramatów (i horrorów) rozgrywa się przy jej udziale (weźmy choćby portret słynnego gnoma z *Obrazków* z wystawy Musorgskiego). Muzyka absolutna pławić się będzie za to w interwałach czystych niczym alpejskie powietrze (nie mylić wszakże z programową jak jasna cholera *Symfonią alpejską* Richarda Straussa; twórca tak się rozpędził w naśladownictwie natury, że posłużył się tu nawet maszyną do imitowania wiatru).

Oddajmy na moment głos przywoływanemu już wcześniej Wendellowi Kretzschmarowi — jednemu z bohaterów *Doktora Faustusa*, który tak oto interpretuje twórczość Antona Brucknera (bez trudu możemy uznać ją za kwintesencję muzyki absolutnej):

*Czyż może być coś bardziej wzruszającego, wspanialszego — wołał — nad takie następstwo zwykłych trójdźwięków? Czyż nie jest to jakby oczyszczająca kąpiel dla duszy?*

Jego dzieła stanowiły dlań: *godny zapamiętania dowód skłonności muzyki do nawrotu ku sprawom pierwotnym i podziwiania samej siebie w swych najpierwszych początkach.*

Pozwólcie i altowioliście na króciutkie stwierdzenie, zapowiedziane już zresztą w powyższych akapitach. Otóż interwały dysonansowe będą w większym stopniu wyrażać emocje, podczas gdy konsonansowym zawsze bliżej do idei.

Muzyka absolutna, choć odżegnuje się od emocji czysto obrazowych, potrafi nie mniej od nich wzruszać. Wiele z czysto intelektualnych koncepcji oszałamia pięknem, olśniewa doskonałością. Na myśl przychodzą fugi Jana Sebastiana Bacha. Zachwycające kompozycje ujęte w karkołomne ryzy ścisłe matematycznych reguł („przepis” na fugę zająłby dobre pół strony). Czy można wyobrazić sobie coś podobnego w poezji? Na przykład utwór o miłości i śmierci wyrażony językiem algebry tensorów...

*(...) Jak punkt, wchodzący w układ holonomiczności,  
Pozbawiany współrzędnych zera asymptotą,  
Tak w ostatniej projekcji ostatnią pieczęcią  
Żegnany — cybernetyk umiera z miłości.*

Stanisław Lem, *Cyberiada*

Dźwięki wkraczają z ochotą na teren kolejnej ze sztuk: malarstwa. O ile bowiem *Cztery Pory Roku* Vivaldiego stanowią umuzyczniony poemat literacki, to już fortepianowe pastele (*Preludia*) lub symfoniczne freski (*Morze*) Debussy’ego są niczym innym jak przykładem dźwiękowego impresjonizmu, porównywalnego z płótnami Gaugina, Maneta czy Toulouse-Lautreca...

No dobrze... Akcja się zatrzymała.

Czytelnicy, którzy dotrwali aż dotąd, próbują z pewnością przeskoczyć następne akapity w poszukiwaniu jej kontynuacji. Jeszcze chwileczkę. Moment cierpliwości. Jeśli bowiem kogoś nużą moje muzyczne dywagacje, spieszę kolejny raz wspomnieć o Wendellu Kretzschmarze, który potrafił wygłaszać godzinne wystąpienie na temat:

*Dlaczego Beethoven nie napisał trzeciej części Sonaty fortepianowej op.111?*

Prawda, że nie jestem aż tak okrutny? A gdy dodamy jeszcze, że imię Kretzschmar — żarliwie oddany komunikatywności słowa — posiadał pewną wadę wymowy...

Jąkał się. I to jak!

*(...) Stateczek jego (mowy — B.C.) sunął zresztą niekiedy wartko i zwinnie przez całe polacie z ową niesamowitą łatwością, która chciałaby zadać kłam wrodzonej wadzie i odsunąć ją*

w niepamięć; od czasu do czasu jednak niechybnie, czego każdy bez ustanku i nie bez racji oczekiwał, nadchodził moment katastrofy i mówca stawał jak na mękach, odęty, purpurowy: hamował go już to dźwięk syczący, który próbował wstrzymać, rozciągając usta na całą szerokość i z grymasem naśladowując odgłos wypuszczającej parę lokomotywy, już to głoska wargowa, z którą walczył, wydymając policzki, a wargi jego wydawały wówczas huraganowy ogień krótkich, bezdźwięcznych eksplozji; albo też po prostu oddech jego popadał w jakąś szarpiającą zadyszkę, on zaś, lejkowato ściągając usta, łapał powietrze niczym ryba na piasku — śmiejąc się przy tym zwilgotniałymi oczami, to prawda, gdyż sam zdawał się traktować całą tę sprawę na wesoło, lecz nie dla każdego było to pociechą i w zasadzie trudno było mieć za złe publiczności, że tych prelekcji unikała — z taką wielką jednomyślnością, iż kilkakrotnie doprawdy ledwo paru słuchaczy ożywiało parter. (...)

Ale to jeszcze nie wszystko!

(...) Język jego, uczepiwszy się początkowej głoski, uderzał o podniebienie z szybkością karabinu maszynowego, przy czym drgały mu również szczęki i broda, zanim uspokoiły się na samogłosce, która pozwalała już odgadnąć zamierzone słowo. Słowo to jednak (chodzi o śmierć — B.C.), z chwilą, gdy już rozpoznane, zdawało się niestosowne, aby je podchwycić i, jak się to niekiedy zdarzało, odpowiedzieć mu je z uczynną jowialnością. Sam musiał się z nim uporać i uczynił to. Tam, gdzie wielkość i śmierć łączą się ze sobą, wyjaśniał, powstaje skłaniająca się ku konwencji rzeczowość, suwerennością swoją przerastająca najbardziej nawet władczy subiektywizm, w niej bowiem element wyłącznie osobisty, wyrastający już przecież ponad szczytowe możliwości tradycji, raz jeszcze sam siebie przerasta, wkraczając wielki i widomy w kolektywną sferę mistyczną. (...)

No.

Wiem, wiem... Dziś tak się już nie pisze. Dziś tak się już nie czyta. Ale posmakować warto...

Ten króciutki hołd złożony niezwykle arcydziełu pragnę zakończyć cytatem, w którym — może najdoskonalej — zawarta jest idea dźwięku — słowa — znaku. Oto jak kończy się ostatni utwór Adriana Leverkühna — *Apocalypsis cum figuris*:

(...) Cichnie jedna grupa instrumentów po drugiej, pozostaje zaś, kończy się cały utwór wysokim g wiolonczeli: ostatnie słowo, ostatni powiewny dźwięk, rozplywający się zwolna i pianissimo w fermacie. Potem już więcej nic — noc i milczenie. Ale ten dźwięk zawieszony, pobrzmiwający pośród milczenia, dźwięk, który już nie istnieje, którego dusza jedynie jeszcze nasłuchuje, a który był pogłosem żałoby, nie jest nim już, odmienił swój sens, świeci jako światło wśród nocy. (...)

W miarę pokonywanych kilometrów próbowałem ustalić rangę i kolejność niezbędnych posunięć. Lista wyglądała następująco: a — odnalezienie *Pamiętnika Szytgara*, b — zrozumienie, o czym traktuje, c — odkrycie miejsca, które wedle przypuszczeń don Pasquale skrywa kolejną partię kosztowności, d — najważniejsze: takie poprowadzenie sprawy, aby Antosia cała i zdrowa odzyskała wolność.

Kontrapunktem wymienionych działań miało być odnalezienie tropu „Struniarza”. Gotów byłem tu oddać palmę pierwszeństwa nadkomisarzowi Bielskiemu, po uprzednim jak najbardziej kompletnym wtajemniczeniu go we wszystkie odkryte przeze mnie aspekty.

A przecież — myślałem — teoretycznie mogło się zdarzyć, że na głowie miałbym jeszcze przesłuchanie do orkiestry lub koncert z kwartetem, co oznaczałoby, że w każdej wolnej (!) chwili ćwiczyłbym jak oszalały... Sytuacja wcale nie jest ekstremalna — pocieszałem się. Albo — jak zwykł konkludować mój profesor — „jest dobrze, ale nie beznadziejnie”.



Minęliśmy Bolonię i kontynuowaliśmy jazdę w kierunku Wenecji. Na szczęście godziny porannego szczytu wypadły z dala od obu dużych ośrodków; uniknęliśmy korków i spowolnień. Eston spał. Czasami tylko zaskomlał, kiedy gwałtownym hamowaniem lub przyspieszaniem musiałem reagować na zbyt krewkie zachowania włoskich kierowców. Gdy niecierpliwie wschodzące słońce zajrzało mi w oczy, bez zwłoki postanowiłem zjechać na przyautostradowy parking, na którym cała grupa zawodowych szoferów, paradujących w slipkach, podkoszulkach i z ręcznikami przewieszonymi przez ramię oraz tubkami pasty do zębów i szczoteczkami w dłoniach, rozpoczynała właśnie nowy dzień.

Wybrałem zakątek maksymalnie ustronny i zacieniony. Pies nie przejawiał ochoty do opuszczenia auta, więc z ulgą opuściłem powieki. Gdy je ponownie uniosłem, na parkingu nie było już ani jednego tira, a blacha mojego alto rozgrzała się niczym piekarnik. Uchylone okna niewiele mogły tu zmienić. Eston, dysząc ciężko, przyglądał mi się spod oka. Gdy odwróciłem się w jego kierunku, mruknął zachęcająco, wykonując przy tym powitalny ruch ogonem. Zegar wskazywał godzinę dziesiątą dwadzieścia. Spałem prawie trzy godziny. Przebudzony, z kropelkami potu na czole, nie czułem się szczególnie świeżo, ale wiedziałem, że zapas snu wystarczy mi teraz na wiele godzin jazdy non stop. Musiałem tylko zwalczyć ból głowy i ogólne uczucie rozmemłania-rozbitcia. Przeparkowałem auto w cień, po czym ruszyliśmy na przechadzkę, strukturą parkingowej architektury ograniczoną do kilku alejek i trawników. Eston łapczywie wychleptał dwie miski chłodnej wody, by zaraz potem zasygnalizować gotowość powrotu „do wozu”.

Udałem się do baru, aby w strumieniu zimnej wody i szybkim śniadaniu poszukać utraconej witalności. Szklanka świeżo wyciśniętego soku z sycylijskich pomarańczy, dwa świeżutkie rogałe oraz *doppio espresso* (plus pastylka na ból głowy) postawiły mnie na nogi. Zaopatrzony w kanapki, kiść bananów i dwie butelki wody mineralnej wróciłem do auta. Wyglądający mego powrotu towarzysz podróży ze smakiem schrupał rogała (na drugiego nie miał ochoty). Teraz dopiero zauważyłem, jak bardzo zeszczupłał w ciągu ostatnich dni. Odliczyłem parę kropel środka uspokajającego (połowę tego, co rano) i przy lekkim oporze i kichaniu pacjenta wtłoczyłem je do psiego pyska. Pogładziłem włóczykija po głowie, a ten, zadowolony i poddany momentalnemu działaniu specyfiku wyciągnął się w koszu i po chwili znowu spał. Z mocnym postanowieniem, by od teraz zatrzymywać się wyłącznie na tankowania, mocno wcisnąłem pedał gazu. Doenergetyzowany, poczułem, że nadeszła właściwa pora do przeprowadzenia kilku rozmów. *Blue tooth* (niebieski ząb nie brzmi za dobrze) jak zwykle oddawał mi nieocenione usługi.

— Cześć, Robercie. Jestem w drodze. Sprawdziłeś stronę *fiddlera*?

— Niezwłocznie. Zaraz potem dałem też namiar chłopakom z elektroniki.

Aha, genialny Stefan...

— Ale zanim się dobrali, skrzypek musiał poczuć pismo nosem, bo znowu się wykasował.

— Cholera... — Powinienem był to przewidzieć. Im dalej w las, tym facet czujniejszy. Zobaczył dwa wejścia w ciągu paru minut i wyciągnął prawidłowe wnioski.

Robert był wyraźnie zdenerwowany. Nie dziwiłem się ani trochę. Coś się najwyraźniej kroilo, a on zgubił jedyny trop.

— To nie będę ci zwracał głowy...

— Przestań! Twoja sprawa ma absolutny priorytet. Powiedz, czego potrzebujesz?

— Potrzebuję... paru najbystrzejszych gości z archiwistyki. Niech przeczeszą wszelkie dokumenty związane z opuszczeniem kraju przez niejakiego Kazimierza Michalewicza.

— Spróbuj uściślić. — Robert zadawał tylko niezbędne pytania. Klasa gość.

Przekonywałem się o tym nie po raz pierwszy.

— Ustalenie ostatniego adresu oraz losów jego ruchomości i nieruchomości. Przecież wszystkiego ze sobą nie mógł zabrać?

Zapadło milczenie. Dopiero po chwili Bielski odezwał się.

— Dwa komentarze. A właściwie jeden. Bez względu na środki, jakich użyję, nie ma żadnej gwarancji osiągnięcia rezultatu. Masz tego świadomość?

— Wiem, wszystko wiem — przerwałem trochę zniecierpliwiony. — Innej drogi po prostu nie widzę. Poza tym, choć nie jestem w nastroju do filozofowania, czyż nie jest to najkrótsze podsumowanie ludzkich trudów? Działamy, nie wiedząc, co z tego wyniknie. A jeśli cię to uspokoi, to dodam, że wszystko, czego się dowiesz, będzie zaledwie punktem wyjścia do poszukiwań właściwych...

— No, to faktycznie... Poczyszyłeś mnie i zmotywowałeś jak cholera... A o tej dalszej części nie zechcesz napomknąć, spytam nieśmiało?

— Nie, bo ona na razie nie istnieje. I ty, i ja mamy dość na głowie. Bez zachowania kolejności nie ma szans. Ostatnia sprawa: czy w związku z... przewidywaną aktywnością „Struniarza” poczyniłeś jakieś kroki zapobiegawcze?

— Czuły punkt, czuły punkt... — wymamrotał wściekły. Ta sprawa od początku mu nie leżała, a robiło się tylko gorzej. — Od rana moi ludzie penetrują środowisko: orkiestry, szkoły muzyczne... Niestety, przyznam ci się z bolesną szczerością, że pomimo tego, co już wiemy, działałem po omacku...

— Posłuchaj, Robert, to nie jest szczególnie odkrywcze i pewnie sam na to wpadłeś — oszczędzałem go — ale na twoim miejscu objąłbym dyskretnym nadzorem skrzypków i altowiolistów, którzy studiowali wspólnie z Plejadą. Jeden telefon do dziekanatu powinien wystarczyć... To nie może być zawrotna liczba, a część z nich, z powodów — hm, upływu czasu — już się pewnie wykruszyła...

Bielski nie filozofował.

— Zrobię, jak mówisz.

Wykręciłem inny numer.

— Dzień dobry, Sebastianie. Jestem w drodze do K.

— Czekałem na ten telefon... Razem z Antosią? — Nie myliłem się; jego głos lekko zadrżał.

— Nie, Antośka musiała jeszcze zostać... — Czułem, jak gardło mi kamienieje, ale zarazem byłem pewien, że antykwariusz odczuwa złowróbnny sens moich słów.

— Więc z czym dzwonisz?

— Kilka dni temu wspomniałeś o *Pamiętniku Szygara*. Chyba w proroczym momencie. Sprawa się ruszyła i, jak by to ująć, wymaga jak najszybszego rozwiązania. — Mówiłem półdomysłami, zdając sobie sprawę, że inteligencja Marsa odbiera właściwy przekaz. Szczegóły zostawiałem na spotkanie w cztery oczy.

— Coś z Antosią? — Nie krył niepokoju.

— Skąd wiesz? — Dalsze owijanie w bawełnę nie miało sensu.

— Nie wiem, czuję... Kiedy dzwoniła ostatnio, mówiła jakieś dziwne rzeczy. Jest na wykopaliskach, wszystko niby w porządku, a tu nagle *szumią jodły na gór szczycie*... Zanim spytałem, co ma na myśli, rozmowa się urwała... Porwali ją? — spytał drżącym i cichszym, postarzałym nagle głosem.

— Niestety, nie mam dla ciebie dobrych wieści. Jest tak, jak mówisz...

Sebastian trzymał się dzielnie.

— Czego ode mnie oczekujesz? — spytał.

— Muszę odnaleźć zapiski będące wskazówką do dalszych poszukiwań. Bez nich nie ruszymy ani o krok. Michalewicz zakodował miejsce ukrycia następującą zagadką:

*Zostawiłem je w mieście porzuconym. Ukryłem na polu mądrości wskazanym przez mullę. Przed dotykem profana strzegą ich święte liczby żydów i chrześcijan. Należy odjąć jedną od drugiej. To, czego brakuje, jest odpowiedzią, końcem i początkiem.*

Dla mnie brzmi to jak opis wnętrza ekumenicznej świątyni, ale nie przypominam sobie nic takiego w naszym mieście...

Sebastian nie podchwycił sugestii.

— Bartku, jedź ostrożnie, a mnie daj spokojnie pomyśleć. Zrobię, co w mojej mocy i poza nią, aby... pomóc...

Było mi go żal. Bardziej niż potrafiłem wyrazić. Wspólnie cierpieliśmy. Jedynym wyjściem z tej matni było działanie.

Po obu rozmowach zniknęło tak przenikające mnie wczoraj uczucie osamotnienia. Jeśli nawet walczyłem z wiatrakami, jeśli byłem ponurym don Kichotem — a raczej błakającym się Haroldem — to już nie zostawionym samemu sobie. Widziałem w tym cień szansy, że nie wszystko stracone. A raczej — wszystko do odzyskania. Antosia była moim wszystkim. To nie była figura literacka, ale najbardziej dosłowna z dosłowności.

Złapałem rytm jazdy. Długa droga przed nami powoli, lecz systematycznie, topniała. Ale nie ma tak dobrze. Korek zaczął się, zanim jeszcze przekroczyłem granicę Austrii; spowodował go wypadek w jednym z tuneli przebijających Alpy. Trasa była całkowicie zablokowana. Według informacji z radia kierowców, blokada mogła potrwać wiele godzin. Zalecano objazdy, a nawet rezygnację z podróży. Po kilku kwadransach przemieszczania się z szybkością pięciu kilometrów na godzinę dostrzegłem, że temperatura silnika wzrosła do poziomu alarmowego. Ciągłe podjeżdżanie na pierwszym, góra drugim biegu i temperatura powietrza dochodząca do trzydziestu stopni Celsjusza zrobiły swoje. Silnik prawie się zagotował. Obawiałem się, że chłodnicę trafi szlag. Lepiej było zjechać na bok i przeczekać drogowy koszmar. Trafiliśmy do małej wioski już po austriackiej stronie. Przy drodze dostrzegłem warsztat samochodowy. Bez wahania zjechałem na podwórze.

Mężczyzna w średnim wieku nie nudził się, dłuwał przy jakimś aucie, a kolejne czekały w kolejce, jednak uprzejmie zgodził się obejrzeć moje. Dostrzegłszy Estona, cofnął się o krok.

— A ten tam zostanie w środku? — spytał niepewnie.

— Nie, przejdziemy się.

— Pewnie — ucieszył się mechanik. — Piękne lasy dokoła i widoki. Polecam też gospodę. Wybórny apfelstrudel.

Brzmiało zachęcająco. W imię gwarancji, że bezpiecznie — i skutecznie — dojadę na miejsce, postanowiłem odrzucić presję czasu. Po spacerze i obiedzie w niewielkiej *gaststätte* (pewnie uznałbym go za smaczny, gdyby nie fakt, że właściwie nie wiedziałem, co jem, za to — co istotne — Eston mógł mi towarzyszyć: zwałił się pod stołem i spał w najlepsze), poczułem jednak, że dłużej nie wytrzymam. To nie był optymalny moment na spacerki po sosnowych gajach...

— Miał pan rację. Chłodnica. Zrobiłem to prowizorycznie, ale przy najbliższej okazji proszę oddać auto do solidnej naprawy.

Podziękowałem, zapłaciłem i ruszyłem w drogę. Skutki wypadku zostały już usunięte. Ruch na autostradzie odbywał się prawie normalnie. Biedny Eston — raz jeszcze nafaszerowany dawką (tym razem pełną) kropli uspokajających — zapadł w kolejny sen.

Od tej pory droga przebiegała bez zakłóceń. Krajobrazy śmigały i zmieniały się w barwny korowód, ale nie poświęcałem im większej uwagi. Nagrywałem na dyktafon całą

przechowywaną w pamięci dokumentację ostatnich wypadków. Miałem nadzieję, że takie głośne wyrzucenie ich z siebie uruchomi skojarzenia, jakie do tej pory nie przychodziły mi do głowy. Przecież wizja świata, choćby nie wiem jak niemoralna albo szalona, musiała mieć logikę, konstrukcję silną, zakładającą różne warianty rozwoju wydarzeń. Zrozumieć, znaczyło przewidzieć — a może uprzedzić — kolejny ruch. Momentami wyobrażałem sobie, co stanie się, gdy rzeczywiście uda mi się odnaleźć cały ten absurdalny *Pamiętnik Szttygara* lub jeszcze kolejny rupieć historii. Czy mogłem zaufać ludziom, którzy — choć odziani w nieskazitelną konfekcję z najlepszych domów mody — kierowali się moralnością z epoki kamienia łupanego? A co, jeśli całość odkrycia (wysocze hipotetycznego) nie będzie przedstawiać żadnej wartości materialnej? Dlaczego miałoby uwolnić Antosię? Tylko dlatego, że wywiązałem się z powierzonego zadania? Mało prawdopodobne. Jak klin tkwiła w pamięci deklaracja pierwokupu złożona przez don Pasquale w kancelarii Giuseppe Trovatore. No dobrze, mogłem naiwnie założyć, że mafioso, kierując się jakąś tam etyką, daruje nam życie, wolność i w ogóle zostawi nas w spokoju. Czy jednak nie ryzykowałby tym sposobem zbędnych komplikacji? Co z oczu to... z kartoteki. Sprawców zamachu w Eurostarze nie dawało się jak dotąd wytypować ze stuprocentową pewnością, ale prawdopodobieństwo, że to naprawdę był atak na moje (choć niekoniecznie tylko moje) życie, zdawało się wcale niemałe. Jeśli ktoś z taką dezynwolturą podchodził do zagadnień śmierci (parę przypadkowych ofiar w tę, parę w tamtą), to jak mogłem wątpić, że zawaha się, by usunąć z drogi niepotrzebny już, wykorzystany, ale niewygodny i w dodatku nielubiany żywot? Z każdą chwilą stawało się dla mnie bardziej jasne, że bez przygotowania kontrposunięć nasza rola (czytaj: nasze życie — chyba że porywacze postanowiliby zachować Antosię dla siebie... aż mną zatrzęsło), skończy się wraz z odnalezieniem odpowiedzi na postawione pytania. Nie powiem, aby ta myśl dodała mi animuszu, choć z drugiej strony chyba lepiej znać pełnię stawki. Jej wysokość może paraliżować, ale również uskrzydlać. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi życie ukochanej kobiety.

Myślałem o moich włoskich sąsiadach, ludziach uwikłanych w historyczne niemal zależności. Czy mogłem się dziwić, że nie rzucali wszystkiego, nie narażali życia własnego i swoich rodzin, byle tylko pomóc temu dziwnemu przybyszowi, który zjawił się w ich wiosce nie bardzo wiadomo skąd? W świetle ostatnich zdarzeń łatwo było zapomnieć o życzliwości i sympatii, jaką darzyli nas od początku; ale może właśnie szczególnie teraz warto było je pamiętać? Tak samo jak wieloznaczne słowa dottore Consiglia: „Kiedy puszczają okowy strachu, ludzie robią się bardziej rozmowni...”.

Kolejny blok przemyśleń wiązał się ze sprawą „Struniarza”. Istniała w mej świadomości równolegle — czy tego chciałem, czy nie. Nie mogę powiedzieć, że analizowanie jej było rozrywką, ale na pewno odrywało mnie choć trochę od głównego nurtu. Każdy przeżywa swój dramat. Wcześniej lub później, taki lub inny, ale gdzieś i kiedyś dopada on każdego z nas. Trudno je wartościować; najbardziej boli to, co osobiste, ale przecież bez daru empatii i współczucia świat pograżyłyby się w jednym wielkim, prowadzącym do samounicestwienia egoizmie. Dlatego nie mogłem uznać, że ze względu na moje problemy tamta sprawa przestała istnieć, bo to by znaczyło, że i ja nie mam prawa oczekiwać pomocy i współczucia. Czy zresztą dało się zapomnieć złowieszcze słowa: „Trzecia struna jest już gotowa do użycia...”?

Jechałem więc i rozmyślałem, nagrywałem i analizowałem.

Aż przyszedł czas na zagadkę, która w równym stopniu napełniała mnie paniką, co poczuciem niemocy.

*Zostawiłem je w mieście porzuconym. Ukryłem na polu mądrości wskazanym przez mułkę. Przed dotykiem profana strzegą ich święte liczby żydów i chrześcijan. Należy odjąć jedną od drugiej. To, czego brakuje, jest odpowiedzią, końcem i początkiem.*

Jedynym w miarę czytelnym elementem były dla mnie święte liczby judaistów i chrześcijan: dla tych ostatnich święta była Trójca — Bóg w trzech postaciach: Ojca — Jahwe, Syna — Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego. Dla pierwszych świętą musiała być z kolei szóstka: suma wierzchołków obu trójkątów z Gwiazdy Dawida (o precyzyjną wykładnię zamierzałem zwrócić się do Sebastiana; może odpowiedź tkwiła w jakimś szczególe?). Sześć minus trzy równa się trzy... A więc Trójka chroniła *Pamiętnik Sztygara*? Tak sformułowana zagadka była zbyt prosta i zbyt trudna równocześnie. Jeśli byłaby to trójka chrześcijańska, w grę automatycznie wchodziłyby kościoły lub przedmioty kultu religijnego. Wówczas jednak Michalewicz mógł po prostu powiedzieć: pamiętnika chroni święta liczba chrześcijan... Co mogło być wynikiem działania, któremu poddano symbole dwóch religii? Może... symbol jeszcze innego wyznania? *Pole mądrości wskazane przez mullę*... Ale islamski półksiężyc — mimo najszczerzych chęci — nie wydawał mi się figurą choćby zbliżoną do trójkąta. *To, czego brakuje*... Czego brakowało? Co było *odpowiedzią, końcem i początkiem*? Zagadka była piekielnie trudna, choć nie podejrzewałem, że celem Michalewicza było zagmatwanie jej do stopnia całkowitej nieczytelności. Chyba że, tworząc ją, sam był niepouczalny...

Przez Villach, Graz i Wiedeń, Bratysławę i Żylinę aż do Cieszyna jechałem jak w transie, z mniejszymi lub większymi momentami zmęczenia, które pokonywałem na zmianę: kawą, czekoladą, bananami, a w końcu napojami energetyzującymi. Do ostatniej granicy dotarłem w środku nocy.

Wkrótce potem na konsolce po raz kolejny zapulsowało żółte światełko. Do K. pozostawało ponad sto kilometrów; nie było szans dojechania na tej ilości paliwa. Zatrzymałem się na jednej z przydrożnych stacji typu 24/24 — 7/7. Zmaltretowany pracownik spojrzał na mnie wilkiem.

— Bo nie wiadomo, po jaki chuj tak jeździecie po nocy... — uraczył mnie frazą. Dyżurną czy spontaniczną? — zastanawiałem się. Rozumiałem jego frustrację. Też chciało mi się spać.

Kiedy po niespełna dwóch godzinach zbliżałem się do K., pierwsze promienie zaczęły wydobywać zarys miasta. Wieże kościołów wyglądały nierealnie, jak rakiety gotowe do startu. Całość tworzyła widok znany, powodujący przyspieszone bicie serca. Zazwyczaj. Dziś poczułem bolesne ukłucie.

A jednak, jak by nie patrzeć i co by nie mówić, świt emanuje siłą powtórnych narodzin. Panorama K. wyłoniła się przede mną nagle, gdy wjechałem na ostatnią, trzypasmową prostą, prowadzącą już bezpośrednio do mostu przerzuconego przez Suliwę. Miała w sobie coś nieodparcie urzekającego. O tej porze i w takim oświetleniu nie widziałem jej nigdy dotąd. Była jak scena teatru zwolna przygotowywana do spektaklu. Już wkrótce zaludnić ją miały postacie bohaterskie i szubrawe. Kochające i odtrącone. Mnie również miało przypaść w udziale parę epizodów.

Pustymi ulicami, w stanie euforyczno-delirycznym pokonywałem ostatnie kilometry długiej trasy. Opanowało mnie poczucie, że rzeczywistość składa się z tysięcy, raczej milionów rzeczywistości składowych. Dopiero nałożone na siebie tworzą obraz pełnowymiarowy. Byłem nieludzko zmęczony, ale parę kroków po wyslizganym bruku i kilka haustów świeżego powietrza przywracało mnie życiu. Skręcone od wielogodzinnej jazdy narządy wewnętrzne ze zdziwieniem wracały na właściwe miejsca, a kości, mięśnie i stawy poruszały się z ulgą. Eston, łapczywie obwąchując stare kąty, ciągnął do domu jak oszalały. Pewnie hołubił w sobie nadzieję, że czeka tam na niego Antosia. Gdyby siła marzeń nadawała im moc samorealizacji... Przecież mogło być tak normalnie. Normalnie, czyli cudownie.

Niestety. Nie tym razem.

Zupełnie nieoczekiwanie przyszła mi na myśl londyńska Bakerstreet. Pojąłem, że raz

ujrzana, na zawsze utraciła nimb tajemniczości. Czy naprawdę trzeba wszystko widzieć,  
wszystko słyszeć i wszystko wiedzieć, aby być szczęśliwym?

Światło poranka wysuływało urodę piaskowca, z którego wzniesiono kiedyś kamienicę  
antykwiariatu, choć kłęby pary wydobywające się z ulicznych studzienek próbowały ją przesłonić.

*Città Abbandonata.*

Miasto utracone.

Spróbujmy je odzyskać.

15.

Budzik zadzwonił prawie równoległe z telefonem. W totalnym pomieszeniu zonglowałem tymi sprzętami, próbując przypisać im właściwe funkcje. Na wyświetlaczu dostrzegłem, że dzwoni Bielski. Właściwy człowiek o właściwej porze.

— Cześć, tu Bartek. Zostaw wiadomość, ale tylko pod warunkiem, że jest dobra — mruknąłem bardziej ponuro, niż miałem zamiar.

— Sam fakt, że dojechałeś, jest dobrą wiadomością... — Poranna gadatliwość znamionowała niezłe samopoczucie nadkomisarza, co przekładało się na optymistyczny wniosek: coś wiedział.

— I? — wyartykułowałem bez powitalnych uprzejmości. Nie miał mi tego za złe.

— Oporządź się i przyjeżdżaj jak najszybciej, musimy pogadać.

Takiego bodźca było mi trzeba.

— Pół godziny — rzuciłem, wystrzeliwując z łóżka.

— OK. Kawa będzie czekać. Jakaś kanapka z salcesonem też się znajdzie... — zakpił z moich kulinarnych preferencji.

— Czytasz w moich myślach... — Rozłączyłem się. Udzieliła mi się częśćka jego energii. Po prysznicu zabrałem Estona na niedługi spacer. Wracając, wstąpiliśmy do antykwariatu.

— Wchodźcie, wchodźcie... — Sebastian skinął ręką zapraszająco.

Ojciec Antosi czekał na mnie całą noc. Tuż po przyjeździe — niewiele ponad trzy godziny temu — przekazałem mu tylko najistotniejsze informacje. Z ulgą dowiedziałem się, że pani Sabina wyjechała z przyjaciółką do spa. Miała wrócić pod koniec tygodnia.

Nie protestowałem, kiedy Sebastian poczęstował mnie herbatą. Tą samą, której dobroczynne działanie poznałem w noc przed audycją do miejscowej filharmonii. Poważniejsze rozmowy postanowiliśmy odłożyć do rana.

Antykwariusz był w nieco lepszym nastroju.

— Odwiedziłem mamę. Ucieszyła się, że jesteś, i koniecznie chce cię zobaczyć, ale bądź ostrożny; jakby przeczuwała, że z Antosią dzieje się coś niedobrego. Kieruj się własnym wyczuciem. Dzwoniła też Sabina, przynajmniej u niej wszystko w porządku. Nie zamierzam jej na razie o niczym mówić. Namartwić się i tak zdąży, a może zanim wróci, będzie już po wszystkim?

Z całych sił pragnąłem dzielić jego nadzieję.

Raz jeszcze na spokojnie opowiedziałem zdarzenia ostatnich kilku dni, pomijając wątki, które nie miały związku z porwaniem. Za wszelką cenę starałem się wpoić w antykwariusza przekonanie, że Antosia jest względnie bezpieczna, a wolność odzyska natychmiast po tym, jak uda nam się zlokalizować owo „coś” opisane w *Pamiętniku Szygara*. Zostawiłem Sebastianowi list Michalewicza do Rucacellego oraz ten odnaleziony w Corbetto.

— Daj mi trochę czasu — mówił podniecony antykwariusz. — Gdy wrócisz,

spróbujemy to rozebrać na czynniki pierwsze i jeszcze raz poskładać. Coś mi zaczyna świtać w głowie...

Działanie dodaje ludziom energii. Nic gorszego niż siedzieć i załamywać ręce.

Eston, początkowo obruszony, że nie zabieram go ze sobą, rozpozgodził się, rozumiejąc, że zostaje z Sebastianem. Pies dochodził do formy. Był ciągle osłabiony, ale zdecydowanie bardziej żądny towarzystwa niż w poprzednich dniach.

Z niepokojem włączałem silnik spracowanego alto. Trochę zakaszała, lecz zaskoczył bez większych problemów. Przy najbliższej okazji postanowiłem odstawić go do warsztatu. Nie mogłem nie mieć auta w momentach decydujących.

Robert przygotował się jak należy. Dzbanek ze smolistą kawą oraz talerz pączków z komisariatowego bufetu robiły wrażenie. Nim zaczął, spojrzął na mnie kilkakrotnie z niezrozumiałym zainteresowaniem. O coś mu chodziło...

— Zanim przystąpimy do spraw bieżących... Wygląda na to, że ta twoja historia z pociągu wcale nie jest zmyślona...

Aż dotąd sądził, że fantazuję!?

— Anglicy przygotowują całą procedurę nadania ci jakiegoś odznaczenia... — mówił, nie wierząc jakby własnym słowom. — Zwrócili się już do naszego MSZ-u, budząc niezły popłoch i konsternację, bo tam nic o sprawie nie wiedzą, gdyż... MSZ zwrócił się do nas. Na szczęście jest szansa na informacje z pierwszej ręki...

„Pierwsza ręka” machnęła tylko; w innej sytuacji chętnie bym o tym porozmawiał...

— Baretkę już otrzymałem. Ale teraz to naprawdę nieistotne. Chyba że jakiś oddział brytyjskich komandosów zechciałby odbić moją narzeczoną z rąk camorry?

Bielski zerknął na mnie z zainteresowaniem. Od czasu, gdy lady Paddington przekazała mi pierścionek, zacząłem w myślach i słowach tytułować Antosię tym mianem. Chyba nie miałyby mi tego za złe.

— Obawiam się, że to niemożliwe... — Robert studził moje nadzieje. Nie musiał. Nie byłem aż takim fantastą.

— Zechciej jednak przyjąć do wiadomości, że rozmawiasz z kawalerem krzyża Jerzego i już nigdy nie strasz mnie kanapką z salcesonem, bo poskarżę się królowej...

Chyba nawet udało mi się go rozśmieszyć, co zasygnalizował krótką serią papierosowego kaszlu.

— A więc do rzeczy, panie kawalerze. Oddział moich ludzi rył przez cały dzień i pół nocy w archiwach miejskich, policyjnych, ipleenowskich, ze szczególnym uwzględnieniem dokumentów ówczesnego MSW. Dokopali się do kilku źródeł. *Résumé* najciekawszych informacji znajduje się na tej oto kartce papieru.

Zaczął czytać.

— Kazimierz Abram Michalewicz, syn... itd. — Musiał wyłowić zapowiedź zniecierpliwienia w moim wzroku, bo przelatywał bezgłośnie zbędne w tym momencie szczegóły. — W październiku roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego wraz z setkami innych osób wyruszył pociągiem z dworca Warszawa Gdańska w kierunku Wiednia... Co było dalej, wiesz sam. Natomiast tu jest coś, co nas w tej chwili interesuje najbardziej. Obywatel Michalewicz nie miał rodziny. Z dokumentów wynika, że nie pozostawił żadnych dyspozycji odnośnie mieszkania...

— A gdyby pozostawił?

— Niewiele by to zmieniło. Mienie wyjeżdżających przechodziło na rzecz skarbu państwa...

To po części tłumaczyło nadzwyczajną ostrożność Michalewicza. Co raz wpadło w ręce



władzy, miało już w nich pozostać.

— Urzędnik ewidencjonujący stan i wyposażenie lokalu nie był zegarmistrzem. Mamy tu sformułowania typu: jedno łóżko, dwa krzesła, stół, lampa sufitowa, szafa trzydrzwiowa i... niestety, niewiele więcej...

Nadzieja gasła równie gwałtownie, jak została rozbudzona...

— A gdzie znajduje się to mieszkanie? — Prawdopodobieństwo, że dostanę się do środka i odkryję w nim tajną skrytkę, było jak jeden do dwóch. Dwóch milionów. Ale nawet ono pierzchnęło niczym letnia chmurka.

— Znajdowało się. Tamta dzielnica już dawno zmieniła swój charakter. Wyburzono przedwojenne kamienice, a w ich miejscu zbudowano od fundamentów osiedle mieszkaniowe. Tysiąclecia się nazywa.

Pozostawał jeden trop.

— A te tak fascynująco opisanie sprzęty? Jaki los je spotkał?

— Każdy mógł przyjść i nabyć je za bezcen... „Wyprzedaż porzuconego mienia” to się nazywało. Ale w tym punkcie chciałem cię pocieszyć. Znalazł się kupiec na część wyposażenia. Uniosłem głowę w zaciekawieniu.

— Niestety, nie wiadomo, kto nim był ani które ze sprzętów zyskały jego uznanie.

— Sztukę pocieszania mnie zaczynasz opanowywać do perfekcji...

Wiadomości Bielskiego miały konsystencję ementalera. Rozpracowanego przez wielopokoleniową i wielodzietną rodzinę myszy.

— I... to już wszystko?

— W zasadzie tak.

A w kwasie? — chciałem dopytać, ale Robert mnie uprzedził.

— Byłoby wszystko, gdyby nie fakt, że na marginesie owego protokołu znajduje się dopisek: *Stół wygląda na antyk. Przechodzi na własność wojewódzkiego oddziału MSW.*

— Klasyczna własność ludowa... — mruknąłem, ale w czerni tunelu znów pojawiło się światełko. Opatrzony rojem „ale”... Ale jednak.

— I co dalej?

— Dalej znów nie jest tak różowo, bowiem wzmiankowane biuro zostało zamknięte na początku lat dziewięćdziesiątych, a wyposażenie poszło pod młotek licytanta. Ponieważ jednak nietrudno się domyślić, że podobnie wiekowych przypadków własności ludowej było tam więcej, aukcja mogła w sposób naturalny obudzić zainteresowanie antykwariuszy.

Robiło się cieplej.

— I? — Czekałem na dalszy ciąg.

— I? — Bielski miał już chyba dość moich elokwentnych wtrętów. — Przetarg się odbył. Tu jest lista osób polujących na materialne skrawki przeszłości. — Wręczył mi kartkę z kilkoma nazwiskami.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że Sebastian Mars znał kogoś z tych ludzi.

— Mogę zatrzymać?

— Jasne. Przecież dla ciebie ją przygotowałem. Nie zdążyliśmy jeszcze do nikogo dotrzeć...

— Nie ma takiej potrzeby. Przynajmniej na razie. Porozmawiam z Sebastianem. Bielski skinął głową.

— Tak będzie łatwiej. I zapewne skuteczniej.

Miałem w dłoni punkt zaczepienia. I jeszcze kilka pytań w zanadru.

— A jak przedstawia się włoski segment twojego śledztwa? *Niente? Nulla? Zero?*

— Niezupełnie. Czegoś się jednak dowiedziałem. Postać i działalność tego don

Pasquale, który naprawdę nazywa się Benvenuto Adriano Collontani, nie jest Włochom nieznana.

— No, ja myślę... Zaraz, a o co chodzi z tym don Pasquale?

— Mnie się pytasz? To raczej twoja branża. Ponoć gość lubi operę i każe się tytułować mianem jednego z teatralnych bohaterów...

— *Don Pasquale* Donizzetiego... Opera komiczna w trzech aktach. Świetna muzyka. Kwintesencja włoskości. Przynajmniej niektórych jej stron. Ostatnia rzecz, jaka przysłaby mi do głowy, to połączyć dobrodusznego bohatera z ponurym mafioso...

Już demoniczny *Turandot* Pucciniego byłby tu bardziej na miejscu... Chiński ksiączę mordujący kandydatki na żonę, które nie były w stanie rozwiązać trzech arcytrudnych zagadek... Gdyby nie pewien drobiazg; *Turandot* była kobietą, mordującą kandydatów na męża... Więc może *Sinobrody* Bartoka? Typ psychopatyczno-depresyjny...

— Skąd wiesz, że jest ponury? To, co mówisz, świadczy raczej o poczuciu humoru...

— Swoiście pojmowanego...

— Niewątpliwie. Ale wiesz, na czym polega problem z przestępcami tego formatu? To oni dyktują warunki. Nawet imię, jakim masz się zwracać. Są tak zorganizowani, że nigdy nie złapiesz ich za rękę. Często należą do establishmentu. Kpią w żywe oczy z wymiaru sprawiedliwości, bowiem dodatkową bezkarność zapewnia im sieć skorumpowanych funkcjonariuszy różnych służb i stopni. Rozciągają nad sobą ochronne parasole. Dupa błada. Facet jest nie do ruszenia — zaciętrzewiał się Bielski.

Obraz z grubsza pokrywał się z moimi informacjami. I wyobrażeniami. Było jasne, że boss nie włącza się do akcji osobiście.

— Przecież nie on porwał Antosię, nawet jeśli uczyniono to z jego inspiracji. A w tej kwestii opieram się głównie na twoich słowach...

— To nie tylko słowa — przerwałem. — Mam list.

— Wydrukowany, bez odręcznego podpisu, zgadza się?

Skinałem głowę.

— A numery telefonów, z których dzwonił?

— Zastrzeżone. O dojściu do bilingów pewnie nie ma nawet co marzyć?...

— Obawiam się, że masz rację... — Bielski sposepniał. — Tym bardziej o założeniu podsłuchu. Ale możemy wziąć pod lupę telefon Marsów, a przede wszystkim twoją włoską komórkę. Przecież ten cały Pasquale musi się z tobą jakoś kontaktować.

Przez moment kusilo mnie, aby powiedzieć o numerze do jednorazowego użytku, ale powstrzymałem się; korzyści były niepewne, a ryzyko zbyt duże.

— I co? Spróbujecie go namierzyć? Zakładając nawet, że się uda, to pokaż mi tu realną korzyść. Przecież używając internetu, on sam — albo ktoś w jego imieniu — może dzwonić nawet z Honolulu.

Tym razem Bielski nie odpowiedział.

— Czy twoi ludzie mogliby coś zbadać? — Wyciągnąłem z kieszeni przedmiot owinięty w folię. — Eston wyłowił to z rzeki w pobliżu miejsca porwania. Może całkiem bez związku, ale obaj wiemy, że ten pies ma intuicję...

— Pokaż... — Robert niecierpliwie wyluskiwał komórkę z plastikowej torby. — Zalana w cholerę? — Wyciągał oczywisty wniosek.

— W przeciwnym razie nie potrzebowałbym twojego laboratorium.

— Zobaczymy... Nasi ludzie to magicy, więc bądźmy dobrej myśli. Ale wróćmy jeszcze do operowego wesołka. — Robert był wyraźnie niepokieszony, że tak niewiele może zrobić. — Powtarzam: nawet jeśli to on stoi za porwaniem, fizycznie dokonał tego ktoś inny. Zakładając, że

są to twoi starzy znajomi, których zwykleś określać mianem księżycowych sylwetek, pamiętaj jednocześnie, że szukają ich nie tylko Włosi. List gończy jest wysłany do wszystkich policji w Europie. Wpadną, to kwestia czasu...

— ...którego nie mamy. Zresztą nie sądzisz chyba, że przemieszczają się z Antosią często i publicznie? Przycupnęli gdzieś, to oczywiste...

— Bartku, Collontani ma na usługach armię ludzi. Skąd pewność, że to właśnie tamci porwali dziewczynę?

— Bo to oni próbowali załatwić mnie w Eurostarze. Bo to oni mają osobisty motyw, aby mnie nie lubić. Jestem pewien, że don Pasquale zna podstawy zasad psychologii. Daj komuś motywację, a wykona swoją robotę w stu dwudziestu procentach...

— A może wręcz przeciwnie? Uleganie osobistym animozjom cechuje amatorów, a nie profesjonalistów?

— Może... Ale ja czuję, że to oni... Jasna cholera, gdyby chociaż w przybliżeniu wiedzieć, gdzie ją przetrzymują... Antosia coś mówiła... „Jestem w miejscu bliskim sercu, *szumią jodły na gór szczycie...*”. Co ciekawe, powtórzyła te słowa w rozmowie z ojcem.

Bielski skrzywił się.

— Widok za oknem, pierwsze skojarzenie, rodzaj nieprzydatnego kodu. Jodły szumią na wielu szczytach... A bez dokładnego rozpoznania nie sposób podjąć żadnych kroków...

— No właśnie... Myślałem, że może da się wysłać jakiś GROM...

Robert spojrzął na mnie z ironią.

— Panie Czarnoleski, nie fantazjaj pan. Komandosów do prywaty, w obcym, choć zaprzyjaźnionym kraju? Przecież wiesz, że to absurd. Bartek, wróć na ziemię, nie tędy droga!

— To którejdy, do jasnej cholery?! Wszystko, co mówisz, jest proste, logiczne i uzasadnione. Tylko co mi z tego?

— Chwilowo nie ma ruchu. Musisz realizować żądania don Pasquale...

— A wiesz, do jakiego ja doszedłem wniosku? Że to jest droga ku samounicestwieniu! Kiedy zrobię, co chcą, załatwią mnie — pal mnie licho — ale również Antosię. Bez sentymentu. Nie przyszło ci to do głowy?

Robert spojrzął na mnie ciężko.

— Opinie o policji są bardzo różne. Ale nie ma powodu, aby sądzić, że pracują w niej sami kretyni. Nie będę cię wtajemniczał w szczegóły techniczne, ale przyjmij do wiadomości, że jesteśmy przygotowani do każdego rodzaju operacji, ze zbrojną włącznie, wszak pod dwoma warunkami: pierwszym jest maksimum rozpoznania, drugim — zawężenie teatru działań do terytorium RP.

— Nie sądzisz chyba, że Antosia przetrzymywana jest u nas? — Nie kryłem zdumienia.

— Tego nikt nie wie. Ale w myśl umowy, którą zawarłeś z don Pasquale, ostatnim jej aktem będzie wymiana dziewczyny na informację. A to przecież może się odbyć w K. lub okolicy. Rozumiesz?

— Po pierwsze, nie zawierałem z nim żadnej umowy. A po drugie, mam ich zmusić, aby tu ją przywieźli?

— Otóż to. Powinieneś uporczywie stawiać taki warunek. To się nazywa umiejętność negocjacji. Zaręczam ci, że Włosi na to pójdą, jeśli i ty spełnisz ich oczekiwania...

Nie byłem pewien, czy podoba mi się ta kombinacja, choć nie wątpiłem w dobrą wolę nadkomisarza. Sądząc po niektórych szczegółach, robił więcej, niż mówił. I to był najbardziej pokrzepiający element naszej rozmowy.

— A gdyby tak inaczej? Złapać tego tam dona, przycisnąć go do muru i...

— ...i co? Pytanie zasadnicze: kto miałby to zrobić? A jeśli nawet taki by się znalazł, to

nie wątpisz chyba, że Collontani wyprze się wszystkiego w żywe oczy, a dowodów przeciwko niemu nie znajdziesz. Pomijając fakt, że mógłby to być wyrok na Antosię...

— A jakby go tak naprawdę przycisnąć? — rzuciłem ze złowróżbnym błyskiem w oczach (tak mi się przynajmniej zdawało).

— Osobiście? Chcesz zaatakować *capo di mafia* w jego siedzibie? To się może udać w grze komputerowej, ale nie w rzeczywistości. Bartek, jeszcze raz mówię ci: zejdź na ziemię...

— Jestem na niej. Jeszcze chwilowo na, a nie pod. Krok po kroku realizuję scenariusz kreślony przez porywacza mojej dziewczyny. Więc pojmij, że czasem mam tego dość...

— A jednak postępuj tak nadal. Pamiętaj, wszystko trwa do czasu. Karta niekiedy się odwraca. Chodzi o to, by nie przegapić właściwego momentu. Na razie jednak sytuacja jest tak delikatnej natury, że ani pół fałszywego kroku. Zresztą, po co ja ci to mówię? Znasz stawkę...

Faktycznie; po co on mi to mówił?

— No, jedz te pączki, sam nie dam rady...

Monstrualne gnioty smakowały lepiej niż wyglądały.

— Masz jeszcze chwilę czasu? — Bielski przemówił zza osypujących się kawałków lukru.

— Chodzi o „Struniarza”?

— Owszem. — Skinął głową. — Objęcie dyskretnym nadzorem studenckiego środowiska Plejady wydaje mi się jak najbardziej uzasadnione. Ale dlaczego zasugerowałeś, że w pierwszym rzędzie chodzi o skrzypków i altowiolistów? Objasnisz profana?

— Jasne. — Wytarłem twarz serwetką cienką i prześwitliwą jak azur. — Standardowy naciąg do skrzypiec składa się z czterech strun. Każda z nich ma inną wysokość i dla ułatwienia oznaczana jest innym kolorem. Pierwsza ofiara została zamordowana struną *g*, najniższą. Podejrzewam, że Longin Niedorolny — choć sam był fizykiem — zginął niejako w zastępstwie nieżyjącej już wiolonczelistki. Numerem dwa był skrzypek, uśmiercony struną *a*, drugą licząc od góry. Zostały więc dwie: najwyższa *e* oraz druga od dołu *d*. Ponieważ do tej pory można wysnuć paralełę między struną a jej ofiarą, to — jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z systemem, a nie przypadkiem — kolejnymi na liście „Struniarza” mogą być skrzypek/skrzypaczka i altowiolista/altowiolistka. Kolejności nie sposób przewidzieć.

— Rozumiem, ale nie do końca...

— Bo to tylko hipoteza. Przyjrzyj się strukturze kwartetu smyczkowego.

— Tak, teraz chyba łapię... Czterech muzyków... Każdemu przyporządkowujemy właściwą strunę... Ależ to błyskotliwa teoria! I dopiero teraz się nią dzielisz?

— Po pierwsze, mogę być w błędzie. Dopiero następne morderstwo potwierdziłoby ją o kolejnych dwadzieścia pięć procent. Ale tego wolelibyśmy uniknąć, prawda? Po drugie, przekazałem ci moje wnioski już wcześniej, w formie wskazania potencjalnych obiektów ataku...

Nie lubiłem kryminalnej nomenklatury, w której ludzie dzieleni byli na potencjalnych złoczyńców i potencjalne ofiary. Lubiałem za to, gdy Bielski patrzył na mnie w sposób taki jak teraz. Równoważyło to spojrzenia innego typu, jakich zaznawiałem niekiedy z racji bycia altowiolistą.

— Jeszcze trochę, a przyznam ci krzyż Roberta — mruknął zadowolony.

— Zamiast tego powiedz, jakie przedsięwziąłeś kroki.

— Jestem w ciągłym kontakcie z Krawczyńskim. Agenci Scotland Yardu non stop przeczesują londyńskie środowiska muzyków i bezdomnych — bezdomnych muzyków, miałem na końcu języka — ale na razie bez rezultatu. Prócz tego kontrolujemy listy pasażerów wszystkich samolotów przylatujących do nas z Londynu, a nawet szerzej: całych Wysp Brytyjskich. W końcu — zgodnie z twoją sugestią — wytypowaliśmy grupę muzyków, którzy

mogą być zagrożeni. Moi ludzie mają ich na oku. Oczywiście taka sytuacja nie może trwać w nieskończoność, ale po ponownym zniknięciu gościa z netu — a zwłaszcza po ostatnim wpisie — obowiązuje stan alarmu. Chyba że „Struniarz” się tym razem przestraszył na poważnie.

— Obawiam się, że nie. Z jego słów emanuje coś innego. Siła wewnętrznego przekonania, wzbogacona szaleństwem i sprytem. Ale na pewno nie strachem.

— OK. Tak czy inaczej, wiele więcej nie mogę zrobić.

— Nadkomisarzu, zrobiłeś pan wszystko jak należy. Pułapki są zastawione. To my zyskaliśmy przewagę. Darzbór, że tak powiem.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy odpałem alto.

— No, witam mistrza. Ktoś mi mówił, że widział twoją blaszankę na mieście. Możliwe?

— Rozpoznałem głos wirtuoza Jacka.

— Cześć! Dobrze cię usłyszeć. Możliwe, możliwe. Nawet teraz się nią przetaczam.

— To może zadzwonię później?

— No coś ty! Przecież wiesz, że mam niebieskiego zęba.

— Ano tak. Altowiolista progresywny... — mruknął. — Co się właściwie stało?

Mieliście wrócić dopiero w przyszłym tygodniu? Chciałem się wcześniej odezwać, bo mi tu plany kwartetowe kielkują, ale Joasia mnie powstrzymała. Daj się ludziom nacieszyć ostatnim tygodniem pod lazurowym niebem, mówiła... A zagrało by się już parę akordów, oj zagrało. Przygotowałem trochę nut, osmyczkowałem nawet to i owo...

Nic z tego! Wspólnie poszukamy optymalnych smyczkowań. Już ja znam te twoje fryzjerskie sztychy...

Ten krótki, acz błyskotliwy monolog wygłosiłem w zaciszu własnej jaźni. Na sekundę przywrócił mnie muzycznej normalności. Brakowało mi jej. Jak codziennej tarczy, za którą znajdowały się rejony niedostępne słowom. Normalny muzyk nie mówi na co dzień o sztuce. Raczej o warsztacie gry, technice, pracy... Normalny muzyk unika słownego patosu (czyli ja jestem nienormalny, ale słowo pisane rządzi się jeszcze innymi prawami), bo — na szczęście — ma dźwięk, którym może wyrazić niewyraźne.

— Otóż, mówiąc delikatnie, sprawy nieco się porypały...

Jacek musiał wysłyszeć w moim głosie jakąś poważniejszą nutę, bo zmienił ton.

— Co się dzieje? Wszystko w porządku?

— Właśnie dalece nie. Łatwiej byłoby mi to powiedzieć twarzą w twarz, ale uwierz mi, na razie nie mam szans się umówić. Chociaż... No, nie wiem, pomyślę i dam znać. — Przyszło mi do głowy, że nie od rzeczy byłaby kolejna rozmowa z Joasią i jej rodzicami.

— Dobra, czekamy, aż się odezwiesz. A wracając do sprawy *Dz.iŚ.*; gadamy o niej dzień i noc. Dziwna historia... Miałaś dowiedzieć się czegoś w Londynie, czy nie tak?

— Zgadza się. Czegoś się dowiedziałem. Opowiem, jak się spotkamy. A co u Konrada?

— U Konrada? Odkąd wyjechałeś, nieustannie popija sok marchewkowy...

— A więc jednak... — Wzmianka o pomarańczowej koleżance nasunęła mi kolejny pomysł. Każde śledztwo wymaga uzupełnień. Fakt kiedyś drobny i niezrozumiały, w nowym kontekście może nabrać wartościowych znaczeń.

— Jacuś, odezwę się, gdy tylko coś załatwię. Może uda nam się spotkać w większym gronie?

— No pewnie, z bohaterem, który zatrzymał angielski pociąg...

— *What?! A ty skąd wiesz?!*

— Człowieku, wszystkie wróble w K. o tym ćwierkają.

— Co ty pier...wszorzędne bajki opowiadasz! Niemożliwe...

— Jasne, że możliwe. Wiesz, w jakich czasach żyjemy. Informacje rozchodzą się z

szybkością przebijającą Eurostar, ponadświatłą, rzekłbym...

W jego słowach pobrzmiwało uznanie, ale słyszałem też jakże znaną mi domieszkę pierwszozkrzypcowej, nieco urażonej dumy. No, bo faktycznie, jak to jest? Żeby coś takiego ciągle trafiało się altowiolistom? Ba, sam nie wiedziałem dlaczego. „Taka karma” — jak powiedział hodowca rybek, wsypując do akwarium ziarno dla rajskich ptaków.

Sieć ludzi uwikłanych w moje problemy była coraz gęstsza i coraz rozleglejsza. Cóż z tego? Koniec końców wszystkie wątki trafiały do mnie — jak rzeki przekłete wracające do deszczowych chmur, które je wypłyły. Wokół mnie, ale i w moich myślach, zrobiło się tak gęsto, że nawet najoczywistsze wnioski można było przeoczyć. Ile razy powtarzałem sobie, że ze zbyt bliskiej odległości trudno odgadnąć kształt oglądanej figury. Dziwne to K. Miasto jak miasto. Ani mniejsze, ani większe. Ani ładniejsze, ani brzydsze. Takie jakich tysiące. Ale wystarczy nim trochę potrząsnąć, a okazuje się pudełkiem, w którym żaden z elementów nie jest przytroczony na stałe. Puszka Pandory? Suliwy raczej. Tak, to prawdziwa Puszka Suliwy. Pełna zagadek, skrytek, morderstw, szaleńców i czego tam jeszcze... A może należałoby wykoncypować kolejny z lokalnych mitów — o potężnej wróżce albo wrednej czarownicy, albo okropnej babie, albo cudownej dziewicy, albo o... (jest jeszcze parę wariantów), która Suliwa miała na imię?

Dojeżdżałem do starówki. I całe szczęście, bo mózg mi się o mało nie zagotował, podobnie zresztą jak woda w chłodnicy. Spod maski dobyły się pierwsze smużki pary, zaś czerwona lampka w kokpicie zaczęło pulsować ostrzegawczo. Muszę coś z tym zrobić. I to czym prędzej. Albo kupić nowe auto.

No, nareszcie po pańsku zagadał! Kapitalista i potentat. Winicjusz I Niegłupi. Jeśli ktoś kiedyś w historii szukałby bardziej absurdałnego momentu na zakup samochodu, to z góry znalazłby się na straconej pozycji... Podjąłem żelazne postanowienie, że po rozmowie z Sebastianem odwiedzę pierwszy z brzegu warsztat samochodowy. Niestety, nie wiedziałem, gdzie znajduje się pierwszy brzeg. Ten rodzaj życiowej praktyczności był mi zawsze piętą achillesową. Nie miałem swojego warsztatu, swojego mechanika i jeszcze paru innych swoich ludzi i miejsc.

— Masz wszakże swoją dziewczynę — w odpowiedzi na moje uskarżanie się Antosia zaakcentowała kiedyś dobitnie wyraz „swoją” — swoją winnicę, a nawet swojego człowieka w Komendzie Wojewódzkiej. Czy to mało?

Nie. To nie było mało. To było nawet stanowczo za dużo jak na możliwości jednego altowiolisty. Wydarzenia ostatnich dni dowodziły tego aż nadto.

Szybkim krokiem zmierzałem w kierunku Kanonicznej, lecz kawalkada rozpedzonych myśli wcale nie zamierzała zwolnić. A gdyby tak zadzwonić do europościa Jędrzejczyńskiego, przyszło mi do głowy. W końcu gość zostawił mi numer prywatnej komórki. Powiedziałbym mu prosto w oczy, że wydedukowałem jego udział w aferze eurostarowej. Tylko co dalej? Jaką mogłem z tego odnieść korzyść? Nie widziałem się w roli szantażysty. A jeśli strzelę kulą w płot, bo european akurat nie maczał w aferze swoich wymanikiurowanych palców, wyjdę na idiotę. Spadnę poniżej jego poziomu. Ale by miał satysfakcję...

A Rucacelli? Przecież musiał zastanawiać się nad ostatnimi wydarzeniami. Maestro wcale nie był taki kryształowy. Cudownie umiał się kryć za podwójną gardą napuszonej mowy, ale przecież już raz udało mi się ją przeniknąć. Może powinienem spróbować ponownie? Może... Okazja miała się wkrótce pojawić.

Sebastian przyjmował właśnie jakiegoś klienta, ale na mój widok natychmiast przeszedł do finalizowania rozmowy. Mimo to nie zauważyłem w jego zachowaniu śladów zniecierpliwienia.

Bez słowa wręczyłem antykwariuszowi listę otrzymaną od Roberta. Przejrzał ją

błyskawicznie.

— Znam tu kilka nazwisk, a może nawet wszystkie... Niestety, nikt z tych ludzi już nie żyje... Zaczynali działalność zawodową jeszcze przed wojną...

— Nie mają spadkobierców?

— Różnie z tym bywa. — Sebastian skrzywił się. — Jak by nie patrzeć, zawód antykwariusza należy raczej do minionej epoki. Teraz pełno jest samozwańczych domokrażców, którzy wyłapują ostatnie pamiątki od naiwnych, wciskając im w zamian marne grosze. Potem picują te różnej wartości starocie i sprzedają je ludziom, którzy próbują się nobilitować za pomocą antyków i pieniędzy... Kiedyś antykwariusz to był człowiek z powołaniem. Teraz mówimy o biznesie...

Przez Sebastiana przemawiała gorycz. Świat się zmienia, to rzecz naturalna. Do jakiegoś momentu idzie się z nim pod rękę, potem dystans zaczyna rosnąć. Normalna kolej rzeczy.

— Czyli wszystko, co ci ludzie posiadali, przepało? — Nie chciałem w to uwierzyć.

— Nie, najprawdopodobniej przeszło w ręce młodszych kolegów po fachu.

— Do sprawdzenia?

— Oczywiście — usłyszałem z ulgą. — Spróbuję podzwonić... A odnośnie zagadki Michalewicza...

— No właśnie. Tyle o niej myślałem, a ciągle jestem przed progiem... Weźmy choćby pierwszy segment, i to od czysto matematycznej strony. Odejmuję trzy od sześciu i jedyne, co mi wychodzi to... trzy. Odejmuję od trzech sześć i wychodzi mi minus trzy, co już zupełnie nie ma sensu. Mamy więc trójkę. Ale tu chodzi o coś więcej. Ponieważ działanie odbywa się na symbolach religijnych, jego wynikiem powinno być coś równoważnego, nie sądzisz? Liczba święta... Czyli co? Przecież chrześcijańską trójcę już mieliśmy...

Dostrzegłem, że Sebastian uśmiecha się pobłaźliwie.

— Drogi Bartku; trójka, która uchodzi za cyfrę doskonałą, symbolizuje boskie trójce nie tylko w chrześcijaństwie. Spójrz na Babilon: Ea — Marduk — Gibil. Przyjrzyj się starożytnemu Egiptowi: Ozyrys — Izyda — Horus. Przenieś się do Azji z jej hinduizmem: Brahma (stwórca) — Wisznu (życie) — Sziwa (śmierć). Chcesz więcej? — Otwierał mi oczy. — Zeus i jego potrójny grom. Hades z trzygłowym psem o znanym również dziś imieniu Cerber. Posejdon i jego trójząb. A skandynawscy Odyn, Wilim i We? Germański Wodan z dwoma wilkami u boku? Słowiańscy Trojan i Trygław?

— Dość — jęknąłem. — Kręci mi się w głowie. Całe szczęście, że mam tylko jedną... Muszę powiedzieć, że niczym Mojżesz otwierasz przede mną morze zagadnień, o jakich mi się nie śniło...

— Otwieralbym, Bartku, otwierałbym... A do Mojżesza dojdziemy za chwilę.

— Tak? — spytałem nieprzytomnie. — A to dlaczego? — Przystawałem nadążyć.

— A to dlatego, że w przyjętym założeniu popełniłeś kardynalny błąd. Powiedz mi, co jest według ciebie świętym symbolem potomków Abrahama?

— No, jak to? Gwiazda Dawida przecież! Dwa trójkąty, w sumie sześć wierzchołków...

— Zauważ proszę, że Michalewicz, pisząc słowo „żydów”, używa małej litery, co oznacza, że ma na myśli wyznanie, a nie naród. Gwiazda Dawida jest symbolem państwowym. Nie wyznaniowym. Ten heksagram, przez samych Żydów zwany tarczą Dawida (historycznego króla Izraela, około tysiąca lat przed Chrystusem), w naukach ezoterycznych nosi miano Pieczęci Salomona. W nawiązaniu do symbolu, Biblia wspomina o gwieździe Kijjuna albo Remfana, będącej przedmiotem bałwochwalczego kultu, co świadczyłoby zresztą o jego znacznie starszym pochodzeniu. Ale zostawmy to... — Sebastian w porę się zreflektował. — Bowiem świętym symbolem religii Izraela jest menora. Siedmioramienny świecznik symbolizujący krzak gorejący,

który Mojżesz ujrzał swego czasu na górze Synaj.

Byliśmy w domu. W dość okrężny — za to ciekawy — sposób, zostałem poinformowany, że sześć równa się siedem.

— A więc cztery, a nie trzy — zaintonowałem, jakbym głosił wiekuiętą prawdę. — No tak, to całkowicie zmienia postać rzeczy...

Jedyną czwórka, jaka przychodziła mi do głowy, była czwórka wioślarska.

— Pamiętaj, że właściwe odkrycia dokonują się w sekundzie, którą... poprzedzają lata wysiłków...

— Obawiam się, że nie mamy tak dużo czasu...

— Wiem, Bartku, wiem. Nie gorzej od ciebie. — Skrywał ból i niepokój pod powierzchnią działań i aktywności. — Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest ktoś, kto mógłby nieco szybciej rozświetlić te mroki.

— Babcia Adela? — szepnąłem domyślnie. — To dzięki niej wpadłem na rozwiązanie zagadki Rosenberga...

Sebastian pokiwał głową.

— No właśnie. Nie zapominaj, że obracamy się ciągle w tym samym towarzystwie. Uparła się, że musi z tobą porozmawiać. Kiedy wspomniałem jej o zagadce, powtarzała tylko z uporem: „Niech Bartek do mnie przyjdzie. Mam mu coś do powiedzenia”. Wpadam więc do niej co godzina, ale albo śpi, albo obrusza się na mój widok. „Co ty tak tu zachodzisz?”, pyta zrzędliwie. „Mówiłam, żeby Bartek przyszedł”.

— A teraz?

— Byłem przed chwilą na górze; drzemała...

No cóż, opieranie śledztwa na wynurzeniach chwilowo rozbudzonej staruszki mogło okazać się nieco ryzykowne, jeśli nie tragicomiczne. Ale do stracenia mieliśmy niewiele...

Zadzwoił telefon.

— Hej, Bartosz! — To była Joasia. Już widziałem, jak Jacek naciskał: „Teraz ty do niego zadzwoń, może ciebie posłucha...”. — Umówiliśmy się we czworo na starówce. Jakbyś chciał dołączyć, to znajdziesz nas u Irlandczyka. Niepokoiemy się o ciebie...

— Dobra, dzięki. Spróbuję was złapać.

No ślicznie. Kilka dni nieobecności, a ci już mają alternatywę na pozycję altowiolisty. Aż mnie ścisnęło nieprzyjemnie w dołku. Gdzieś niewyobrażalnie daleko rozbłysła supernowa zrozumienia. Jej fala uderzeniowa miała dotrzeć już wkrótce.

Sebastian dał mi wolną rękę.

— Idź, ja w tym czasie spróbuję ustalić spadkobierców osób z listy. A kiedy mama się obudzi, zadzwonię.

Choć przed chwilą cieszyłem się z posiadania tylko jednej głowy, pędząc na spotkanie z przyjaciółmi, żałowałem, że nie jestem Trygławem.

Witaliśmy się jak po roku niewidzenia. Niedawny koncert połączył nas nicią emocji silniejszych niż dotychczas. Koleżanka Marchewka lekko na mój widok pokraśniała (spomarańczowiała?). Ale tylko trochę.

— Zanim powiem, co się naprawdę wydarzyło, chciałbym poznać waszą wersję.

— Słyszeliśmy — zaczął ostrożnie Jacek — że w drodze z Brukseli do Londynu



rozpoznałeś jakiegoś mordercę...

— Co lepiej poinformowani twierdzą, że był nim nasz rodak, który chciał wypchnąć kogoś z pędzącego pociągu... — weszła w słowo Joanna.

— Ale w porę pociągnąłeś za hamulec bezpieczeństwa... — dorzucił Konrad.

— I to zapobiegło nieszczęściu — zakończyła Marchewka.

Umilkli zawstydzeni, słysząc naraz, jak nedorzecznie brzmi całość historii poskładanej z nieprzystających do siebie kawałków.

— I kto takie bzdury opowiada? — Zgromiłem ich spojrzeniem wkurzonego altowiolisty.

— No, na mieście krążą słuchy...

Jasne. „Na mieście mówią...”. Jak ja uwielbiam to sformułowanie. Plotka jest niczym przepanierowany kotlet. W końcu nikt nie wie, co kryje się pod tartą bułką. Najbardziej karykaturalne przeinaczanie faktów to bułka z masłem. Ale skąd wyszedł impuls pierwotny? Może Rucacelli chlapnął coś dziennikarzom? Musieli wytropić, że podróżował tym samym pociągiem. To wydawało się najbardziej prawdopodobne.

— W takim razie powiedz, jak było. — Dziewczyny były zainteresowane bardziej niż panowie. Ciekawe.

— Słuchajcie, nie czas teraz wchodzić w szczegóły. W skrócie mówiąc, chodziło o zamach chemiczny w pociągu Eurostar, któremu — mniejsza o to jak — udało się zapobiec. Przy okazji ratowania własnej skóry, ocaliłem damę dworu królowej Brytyjskiej, syryjskiego dyplomatę i — tego byście w życiu nie zgadli — naszego drogiego mistrza batuty, Damiana Rucacellego...

— Aha... — Zaniemówili.

Ale tylko na chwilę. Huragan śmiechu, który po kilku sekundach przetoczył się wokół naszego stolika, zwrócił uwagę pozostałych gości.

— Dobrze! Dobrze, stary! Coraz lepsze te twoje historie... — Ocierali łzy wierzchem dłoni.

Co jest, nie uwierzyli mi? Czy naprawdę uważali, że ich wersja była lepsza lub bardziej prawdopodobna? Nieważne. W tym momencie nie miało to dla mnie znaczenia. Zastanawiałem się natomiast, czy jest sens wtajemniczać kolegów w historię porwania Antosi. Choć wcześniej miałem taki zamiar, teraz zrezygnowałem. Nie, nie obraziłem się, ale nie uśmiechało mi się udowadniać, że wszystko, co mówię, jest prawdą. Spróbowałem z innej beczki:

— Miło mi, że tak wydatnie poprawiłem wasze humory. Joasiu, po ostatniej rozmowie zastanawiałem się nad pewnym wątkiem. Twoja ciocia była w tamtych czasach bardzo młodą dziewczyną. Przecież posiadanie własnego auta nie było wówczas normą. Zwłaszcza dla studentów.

Joanna natychmiast spoważniała.

— To był mały fiat. Od biedy można go nazwać samochodem... Dziadkowie mieli tak zwaną książeczkę samochodową. Po osiągnięciu pełnego wkładu chcieli zamienić ją na gotówkę. Kiedy jednak okazało się, że za oferowaną kwotę zdołają kupić futro i dwa złote łańcuszki, zmienili zdanie. Ponieważ ciocia Marta przejawiała dryg motoryzacyjny, postanowili zrobić jej nieco spóźniony prezent na osiemnaste urodziny.

— Czyli auto było zupełnie nowe?

— W chwili wypadku miało raptem parę miesięcy. I było tuż po serwisie gwarancyjnym. To dlatego sprawa budziła tyle wątpliwości. Właściciel zakładu ręczył, że kondycja układu hamulcowego nie budziła najmniejszych zastrzeżeń. Dlatego na początku śledztwa policja nie wykluczała ingerencji osób trzecich. No, ale wiesz, jak się skończyło...

— Auta były wówczas bardziej zawodne. À propos, znacie jakiś zakład samochodowy? Mam chłodnicę w opłakanym stanie.

Jacek i Konrad zbierali się do bardziej kompleksowych wypowiedzi, ale Joasia ich uprzedziła:

— Ten zakład ciągle działa. Nieduży, solidny... Rodzice czasami tam jeżdżą. Trochę w tym pewnie bolesnego sentymentu, ale polecam. Chcesz adres?

Byłem Joasi bardzo wdzięczny.

— Słuchajcie, zbieram się. Mam dużo spraw.

— Bartku, momencik. — Marchewka przytrzymała mnie za rękę. — Trzy dni po naszej rozmowie zadzwonił do mnie profesor Królek. Chciał się z tobą skontaktować. Powiedziałam, że wyjechałeś, ale dam ci znać, gdy tylko się pojawisz. No więc daję.

— Nie wspomniał, o co chodzi?

— Nie mam pojęcia. Domyślam się, że mógł sprawdzić, jak daleko posunęły się twoje badania dla Wikipedii...

Koledzy rozdziawili buzie w zdumieniu.

— No nie, ty jeszcze masz czas na internetowy wolontariat? — kpili w żywe oczy.

Nie zamierzałem się przejmować. Ale miałem jeszcze pytanie do Marchewki. Zadałem je, korzystając z chwilowego zamieszania.

— Czy profesor Królek wie o śmierci Rosnera?

Dziewczyna przytaknęła.

— Powiedziałam mu. Tak mnie zaczął wypytywać, że w końcu się wygadałam...

— A wspominałaś o... okolicznościach?

— No wiesz, były tak spektakularne...

Nie musiała kończyć. Wypaplała mu wszystko ze szczegółami. Pan Anatol miał prawo poczuć niepokój. Miałem zamiar się z nim skontaktować, ale fakt, że on również chciał mi coś powiedzieć, przesunął spotkanie do kategorii spraw ważniejszych.

Wróciłem do domu. Antykwariusz rozmawiał przez telefon — nie zdziwiłbym się, gdyby pod moją nieobecność w ogóle nie odkładał słuchawki — lecz jego mina i wzruszenie ramion mówiły same za siebie. Wskazałem palcem na sufit, na co Sebastian położył głowę na wierzchu prawej dłoni. Adela ciągle spała. Nie byłem szczególnie zaskoczony, ponieważ wiedziałem, że godziny szczytowej aktywności starszej pani przypadają na późny wieczór — wczesną noc. Dopadło mnie poczucie blokady: tyle drzwi czeka na otwarcie, a ja siedzę w poczekalni i obgryzam paznokcie...

Chciałem zadzwonić do profesora Królka, jednak Eston przyglądał mi się tak wymownie, że zmieniłem zdanie.

Pies z przyjemnością zanurzał pysk w chaszczech naszego parku. Nie puszczałem go luzem; wyciągana pięciometrowa smycz była dobrym rozwiązaniem na tę porę dnia. Spacerowaliśmy wokół jeziora, a ja po raz kolejny przypominałem sobie zdarzenia z przeszłości. Gdyby Eston potrafił odnaleźć trop księżycowych sylwetek...

Wracaliśmy opodal ślepej uliczki, która ze wszystkich sił (jak dotąd bardzo skutecznie) broniła się przed odkryciem przez służby komunalne. Spokojnie zarastała krzewami i zielskiem, a czasem udzielała gościny bezdomnym imprezowiczom. Nie cieszyła się najlepszą reputacją, lecz właśnie dzięki temu zawsze można było na niej znaleźć miejsce parkingowe. Na widok alto Eston przystanął, przysiadł i spojrzał wymownie. Stary, nie zapomniałeś o czymś? — mówił na swój psi sposób. Miał rację.

Ile czasu mogło zająć podjechanie do warsztatu? Trzy kwadransy w obie strony? Prowodyr ochoczo wskoczył do wozu. Myślę, że ciągle hołubił w sobie instynktowną nadzieję,

że u jednego z celów podróży odnajdzie Antosię. Prawdę mówiąc i ja w to wierzyłem...

Droga do warsztatu prowadziła wzdłuż rzeki, by u swego końca wspinać się na jedno z lokalnych wzniesień. Rozciągające się między nimi łagodne doliny stanowiły dla K. rodzaj wygodnych kołysek. W nagłym przeblysku pojąłem, co łączy moje miasto z Rzymem i Lizboną. Siedem wzgórz!

Mieliśmy Górę Złodziei (ponoć w średniowieczu znajdowało się tu więzienie), Wielką Górę i Górę Małą, zwaną powszechnie Górką. Najłagodniejsze było chyba Wzgórze Suliwskie oraz Zielony Pagórek pokryty gęsto sosnowym laskiem. Najbardziej na północ wznosiła się najwyższa ze wszystkich Góra Kopernika, dumnie dzierżąca na szczycie obserwatorium astronomiczne. Po przeciwnej stronie miasta rozlokowała się natomiast Solna Góra, ku której właśnie zmierzałem.

Zapuszczałem się tu rzadko; nie potrafiłem nawet odnaleźć w pamięci ostatniej wizyty. Pewnie w dzieciństwie, gdy mit o starej kopalni soli był dla młodych chłopaków magnesem nie do odparcia. Choć pozostało z niej tylko wspomnienie — a zła sława mówiła, że już po wojnie zdarzył się tam niejeden wypadek — to przecież opowieści tym mocniej działały na szczenięcą wyobraźnię. Jedna z miejskich legend głosiła, że gdzieś na szczycie znajduje się szczelina prowadząca do środka tajemniczej góry, najprawdopodobniej pozostałość niegdysiejszej sztolni. Nigdy nie udało nam się jej odnaleźć.

Ulica, przy której znajdował się Zakład Mechaniki Samochodowej Wędrowiec (dość romantyczna nazwa, trzeba przyznać), usłana była różnego rodzaju punktami usługowymi. Dawno nie widziałem już takiego nagromadzenia pracowni kończących się na -arz. Rusznikarz, dekarz, szklarz, stolarz, ramiarz itp. Prawie skansen, raj dla wielbicieli drobnego rzemiosła, którzy nie chcieli poddać się dyktatowi wielkich centrów handlowych. Świat nieuchronnie odchodzący w przeszłość.

Metalowy szyld warsztatu samochodowego znajdował się na samym końcu ulicy. Wyżej był już tylko szczyt; rozległa, zarośnięta chaszczami polana z kilkoma wysokimi świerkami i pozostałościami zabudowań tak starych, że trudnych do zidentyfikowania. Tablica udekorowana ręcznie namazaną strzałką kierowała potencjalnych klientów w wąską ścieżynkę prowadzącą na podwórze — królestwo właściwe zakładu. Była to jednak podupadła kraina. Na ubogim placu stało kilka aut, przeważnie starych, choć zdekompletowanych w niejednakowym stopniu. Niektóre wyglądały jak gotowe do drogi, inne znów były rozsypującymi się truchłami; przez wybite szyby przebijały się wysokie chwasty, a nawet drzewka. Całość nie stanowiła bajecznej rekomendacji, ale czyż taki miszmasz nie jest standardem w większości zakładów starej daty? Po chwili jednak lichota otoczenia wydała mi się tylko przykrywką. W solidnym, betonowym ogrodzeniu — dotąd sądziłem, że zazdrośnie strzeże tajemnic zupełnie innej posiadłości — uchyliły się wcześniej niedostrzegalne drzwi. W tle mignęło luksusowe auto. A więc mur rozdzielał plac na republikę i księstwo. Część dla plebsu i arystokracji (pieniądza). A może audi A8 było własnością mechanika, który przez lata dorobił się na drobnych i większych naprawach?

Wilczurowaty pies na łańcuchu (w części plebejskiej) oszczeakał alto w granicach nieprzekreślających ubicie interesu. Na wszelki wypadek zostawiłem Estona w aucie. Ruszyłem w kierunku otwartego garażu, z którego dobiegały dźwięki jakby znane... Świat potrafi zaskakiwać. Klasycznego brzmienia fortepianu w tym otoczeniu raczej bym się nie spodziewał. W nagłym przeblysku połączyłem nazwę zakładu, z nadającą mu surrealistycznych rysów *Fantazją fortepianową op. 15* wysnutą z pieśni *Wędrowiec*. Romantyczny ten mechanik; nie musiał wyjeżdżać do Włoch, aby odkryć w sobie Harolda...

Na kanale stał, hm, prawdopodobnie golf. Ilość ponadnormatywnych elementów (skrzydła, spojery, zaciemnione okna, płomień wymalowane na masce) mocno odmieniła

wygląd auta, świadcząc jednocześnie, że maszyna należy do któregoś z miłośników tak zwanego tuningu. Spodziewałem się, że spod samochodu wyłoni się mężczyzna wycierający usmarowane dłonie w wyszmelcowaną szmatę.

— Szuka pan kogoś? — usłyszałem nagle tuż za swoimi plecami. Radio gwałtownie zamilkło. Mechanik zaskoczył mnie całkowicie. Obejrzałem się jak człowiek przyłapany na podpatrywaniu... Przedemną stał mężczyzna niewysokiej, lecz silnej budowy, z włosami czarnymi jak węgiel i smolistym spojrzeniem. Prezentował ten rodzaj ogorzałości, która konserwuje ludzi, zatrzymując ich w wieku średnim. Jedynie zmarszczki na twarzy świadczyć mogły, że mechanik przekroczył już sześćdziesiątkę. Ubiór — stalowoszary kombinezon — nie zaskakiwał. Natomiast jego czystość — jakby świeżo po praniu — tak.

— Dzień dobry. Zasłuchałem się. Lubi pan Schuberta?

— Panie, tu nie sala koncertowa, a co w radio dają, na to nie mam wpływu — rzucił ostro. Za ostro, powiedziałbym.

— Państwo Kronos polecili mi pański warsztat. Woda mi się gotuje... Zechciałby pan rzucić okiem?

Spojrzał na mnie z nieoczekiwaną gwałtownością. Bałem się, że odburknie coś w rodzaju: „To niech pan zaparzy herbatę”, ale w tym momencie z uchylonych drzwi w ogrodzeniu wyłonił się wysoki blondyn z długimi włosami, na widok którego twarz mechanika rozszerzyła się w uśmiechu. Szczerym? Nie potrafiłem ocenić. Pies przy budzie podbiegł do nowo przybyłego na tyle blisko, na ile pozwalał mu łańcuch, i zaczął przymilać się o pieszczołę. Musiał dobrze znać przybysza i jego zwyczaje, bowiem ten rzeczywiście kucnął przy uwiązany zwierzęciu, nie szczędząc mu głaskania i poklepywań. Eston rozszalał się w aucie. Całe szczęście, że nie przyszło mi do głowy go wypuszczać. Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy drzwi alto są dobrze zatrzaśnięte.

— Pan poczeka, zaraz wracam — rzucił właściciel.

Stały interesant, ten z lepszej części i z takim samochodem, miał pierwszeństwo. Od razu spadłem do rangi klienta drugiej kategorii. Może kiedyś awansuję? — zamarzyłem nieśmiało. Hierarchiczność mechanika nie musiała iść w parze z jego fachowością. Może nawet istniała prosta zależność: im większy gbur (dla postronnych), tym lepszy guru (dla wtajemniczonych). Taki gburu...

Jak się spisze, potraktuję go butelką własnego wina. Zobaczymy, czy to coś zmieni...

Przybysz był prawie dwukrotnie większy od mechanika. Mężczyźni zamienili kilka słów, po których blondyn ruszył w kierunku baraczkę wyglądającego na biuro.

— Pan otworzy maskę... — Powróciwszy, mechanik sprawiał wrażenie, że chce mnie obsłużyć możliwie szybko. Człowiek czynu. Kątem oka zauważyłem, że Eston jest nadzwyczaj pobudzony. Stał, ruszając zadem i próbując wcisnąć olbrzymi, czarny, już nie tak suchy jak ostatnimi czasy nos w niewielką szczelinę, którą zostawiłem w tylnym oknie.

— Suka? — Zapytałem.

Mechanik odburknął coś niewyraźnie. Nie był szczytem uprzejmości, ale ostatecznie nie przyjechałem tu na konwersacje.

— Do wymiany, do wymiany, chłodnica do wymiany — powtórzył tyle razy, że wątpliwości znikły.

— Mógłby się pan tym zająć? — wyraziłem nieśmiałą nadzieję. Gdzieś w głębokich sferach jaźni miałem zakodowane, że zgoda fachowca na wykonanie naprawy jest każdorazowo aktem niesłychanej łaski. Spodziewałem się więc jakiegoś: „Kochaniutki, ja panu tego nie zrobię” albo „Daj pan spokój, jak pan to mogłeś tak załatwić? Ja już tu nic nie poradzę”, lub — co najmniej — skrzywienia twarzy i podrapania się po głowie, mających ilustrować magiczną

formułkę: „ciężka sprawa”. Tymczasem usłyszałem retoryczne:

— A co pan myślał, że tu piekarnia? Jutro, pojutrze? — Fachman minimalizował ilość słów i dat, rozgryzłszy bez trudu, że ma do czynienia z profanem.

— Jutro. Albo pojutrze. A może teraz bym zostawił?

Spojrzał na mnie ciężko.

— Panie, ja tu muszę sobie jakoś robotę zaplanować... Poza tym części trzeba zamówić. Najwcześniej na jutro...

— Niech będzie jutro. W razie czego zadzwonię. — Nie potrafiłem przewidzieć dalszego rozwoju wypadków, ale w galaretowatym morzu przypuszczeń i podejrzeń wyłowilem nareszcie jakiś konkret. — Jutro. Rano? Wieczorem? — uściślałem z namolnością typową dla klientów nieobeznanych w temacie.

— Przyjedzie pan rano, auto będzie na wieczór. Przyjedzie pan wieczorem, będzie na rano — przemówił niczym władca czasu, mogący kształtować jego strumień w dowolnym kierunku.

— Jasne — skinąłem głową. — To dziękuję i do widzenia.

— ...dzenia — odburknął, kierując się do barakobiura.

Gdy otworzyłem drzwi, Eston zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego. Jednym zwinnym ruchem znalazł się na miejscu kierowcy i próbował wyskoczyć z auta. W ostatniej chwili złapałem go za obrożę. Przez chwilę napieraliśmy na siebie, ale w końcu udało mi się go wepchnąć do środka. Pies przy budzie zachowywał zdumiewający spokój, natomiast Eston szalał jeszcze, gdy zjeżdżaliśmy w kierunku rzeki.

Antykwariat był już zamknięty. Zaprowadziłem psa na poddasze. Wyczerpany roznoszonymi go emocjami napił się wody, odmówił jedzenia i położył się spać. Ja również powinienem być zmęczony, ale... nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Tyle spraw rozgrzebanych... I nic z tego nie wynika. Wszędzie impas, klinch, niemoc... Dopóki chodziłem, biegałem, czyniłem rzeczy choćby nieprzydatne, mózg znajdował zajęcie. Czekanie z założonymi rękami było najgorszą z odpowiedzi na chaotyczną rzeczywistość. Musiałem zapaść w nerwową drzemkę, bowiem jak przez mgłę dotarł do mnie odgłos kroków na schodach, a w chwilę potem pukanie i głos Sebastiana.

— Bartek, jesteś? — Antykwariusz energicznie wkroczył do środka. — Babcia Adela się obudziła. Już nie prosi, a domaga się rozmowy z tobą.

— ...się zbieram... Dowiedziałeś się czegoś w międzyczasie? — pytałem z nadzieją.

— I tak, i nie, ale opowiem ci później. Teraz idź na górę, nie zwlekaj...

Postąpiłem, jak mówił.

Jedyne, co zmieniało się w pokoju babci Adeli, to bukiet kwiatów w okazałym fajansowym wazonie stojącym na komodzie. Wiedziałem, że Sabina dba, aby zawsze był świeży i cieszył oko starszej pani. Ponieważ jednak pani Mars nie było od pewnego czasu w domu, również bukiet robił wrażenie... mniej świeże niż zazwyczaj. Prawdę mówiąc, rozpoznałem w nim kwiaty wręczone mi po ostatnim koncercie...

Ucałowałem dłoń Adeli, a ona — jak prawdziwa babcia — pogładziła mnie po głowie.

— Bartuś, nie wiem, ile zostało mi czasu. Nikt nie wie, ile mu go zostało — złagodziła nieco wydzźwięk niepokojących słów. — Niedawno wspominałam ci o *Pamiętniku Szttygara*, pamiętasz? — Skinąłem tylko głową. — Widzisz, ta sprawa była od zawsze połączona z zagadką Rosenberga. Dopiero razem tworzyły nierozzerwalną całość, jak awers i rewers tej samej monety. Ujawnienie zagadki filharmonii musiało wyciągnąć na powierzchnię część drugą. Było wyłącznie kwestią czasu, kiedy to się stanie. Ponieważ mój Sebastian już kilkakrotnie w ciągu ostatnich dni próbował mnie wypytywać, mam powody sądzić, że się zaczęło. Istnieją jednak powody, dla

których to nie z nim chciałam rozmawiać. Widzisz, mój syn to dobry, mądry i wspaniały człowiek. Ale tak, jak nie wyobrażałam go sobie wspinającego się po ścianach filharmonii, tak nie widzę go w roli odkrywcy Hadesu, którą być może przyjdzie odegrać chętnemu do rozwikłania części drugiej. Powiem ci tylko jedno: czymkolwiek jest *Pamiętnik Szttygara* — on istnieje naprawdę.

Adela zadyszała się. Wymówione słowa musiały ją sporo kosztować. Po chwili zmobilizowała się do dalszego wysiłku.

— Druga sprawa wiąże się bezpośrednio z tajemniczym równaniem chrześcijańsko-żydowskim, o którym mówił Sebastian. Suszył mi tym głowę, aż coś sobie przypomniałam. To może być prostsze, niż się wydaje, oczywiście pod warunkiem, że mniej więcej wiesz, o co chodzi. A ja chyba wiem.

Milczenie, która teraz zapadło, było szczególne. Tak blisko, a przecież... Przeraziłem się, że Adela zakończy nagle swoje wynurzenia. Na szczęście był to tylko przerywnik.

— Kiedy pojawiłeś się w naszym domu, polubiłam cię od razu. Po jakimś czasie podjęłam decyzję: jeśli kiedyś zdecyduję się powierzyć komuś parę spraw z przeszłości, będziesz to właśnie ty. Dlaczego? Bo do uporania się z nimi potrzebny jest człowiek młody, z fizycznym polotem i umysłową fantazją. Kiedy zaufała ci również Antosia, moje najukochańsze oczko w głowie, utwierdziłam się w przekonaniu, że wybór był słuszny.

Starsza pani przerwała znowu. Jak przystało na kogoś obdarzonego fizycznym polotem (cokolwiek to miało oznaczać) oraz umysłową fantazją (*idem*), cierpliwie czekałam na ciąg dalszy.

— Życie to baśnie i bajki. Niektóre piękne, niektóre okrutne... Przeczuję, że coś złego dzieje się z Antosią — powiedziała ni stąd, ni zowąd. — Nie chcę szczegółów. Pragnę tylko, abyś potwierdził lub zaprzeczył.

Toczyłem ciężą walkę. Jedną z najcięższych w życiu. Kto powiedział, że rozstrzygnięcie między prawdą a kłamstwem jest łatwe, a wybór oczywisty? Chyba ten, kto nigdy nie stanął przed dylematem podobnego kalibru.

— Babciu Adelu, z Antosią wszystko jest w najlepszym porządku. Musiała zostać jeszcze trochę we Włoszech, ale obiecuję ci i przyrzekam, że niedługo staniemy przed tobą ramie w ramie.

— Dobry z ciebie chłopak. — Adela uśmiechnęła się blado. — Nie wierzę ci, ale naciskać nie będę. A teraz posłuchaj. Ojciec Zosi Rosenberg opowiedział nam kiedyś bajkę. Brzmiała mniej więcej tak:

*Pewnego razu w Jerozolimie toczył się spór między księdzem a rabinem. Jeden i drugi dowodził, że jego wiara jest jedynie słuszną. Zbawienie przypadnie w udziale wyłącznie temu, kto wybierze właściwie. O konflikcie dowiedział się mułła, który oznajmił adwersarzom:*

*— Jeśli chcecie, pomogę wam. Chyba trudno podejrzewać mnie o stronniczość?*

*Deklaracja wzbudziła zainteresowanie obu duchownych, bo pojawiała się szansa, aby za jednym zamachem udowodnić swą wyższość nad religiami dwóch innowierców.*

*— Trzeba wam wiedzieć — mówił ojciec Zosi — że w tamtych czasach liczba dostępnych rozrywek była nieporównanie mniejsza niż teraz. Wśród ludzi szanujących umysłowość i duchowość, umiejętność gry w szachy należała do powszechnych. I rabin, i ksiądz uchodzili w tej dziedzinie za mistrzów. Mułła przemówił:*

*— Ponieważ szachy są grą mądrości, a więc łaski Boga, proponuję wam partię. Który wygra, udowodni wyższość swoją i swojego wyznania.*

*Rabin i ksiądz byli nieco rozczarowani, bowiem mułła jednoznacznie obsadził się w roli arbitra. To nic — myśleli jednak. Najpierw przeciwnik, potem sędzia. Żaden z nich nie*

*dopuszczał myśli o porażce. Grali długo, zaciekle i pięknie. Nie obowiązywał limit czasu, więc partia ciągnęła się godzinami, a nawet dniami. Wielka była w grających potrzeba udowodnienia swej racji. Skończyło się rozwiązaniem, którego nikt nie chciał brać pod uwagę. Pojedynek nie został rozstrzygnięty.*

*— I co teraz?*

*Wycieńczeni ksiądz i rabin patrzyli na mullę z rozpaczą.*

*— Poddajcie się werdyktowi rozumu. Rozum to mądrość. A mądrość to tchnienie Boga. Resztę dopowiedzcie sobie sami — zakończył spór.*

*Od tej pory trójka duchownych zaprzyjaźniła się. Ich ulubioną rozrywką była oczywiście gra w szachy. Któregoś dnia ostatecznie udowodnię swoją wyższość — myślał każdy w skrytości ducha. Ale nie zanosilo się na to, ponieważ ogólny bilans rozgrywek pozostawał wyrównany — zakończył ojciec Zosi — zakończyła Adela.*

*Związek opowieści z Pamiętnikiem Szytgara był oczywisty. Pole gry wskazane przez mullę okazywało się niczym innym jak szachownicą. Grą wynalezioną co prawda przez Hindusów, ale przez Arabów udoskonaloną.*

*Niestety, w szachy gra się we dwójkę. Jeśli dorzucić obecność sędziego — mamy trójkę. Ale — pamiętałem działanie Marsa — siedem minus trzy równa się cztery. Opowieść babci Adeli przynosiła rewelacyjne wyjaśnienie niektórych dotąd zakrytych wątków, lecz wszystko było dla mnie zdecydowanie za świeże, jak mętny sok z owoców tuż po wyciśnięciu. Na Boga, dlaczego nic nie może być powiedziane wprost?*

*Gdyby wszyscy mówili wprost, świat przestałby istnieć w tydzień...*

*Ktoś to powiedział? Czy tylko ja pomyślałem?*

*Mówić prosto o rzeczach trudnych — oto umiejętność mędrców, której nie posiadałem — brzmiały ostatnie słowa Michalewicza.*

*Pożegnałem się i ponowiłem obietnicę złożenia wizyty z Antosią. Na szczęście Adela nie zapytała: kiedy.*

*Usłyszaną przypowieścią natychmiast podzieliłem się z Sebastianem.*

*Jako amator-tropiciel misteryjnych zagadek odczuwałem pewien niedosyt, który antykwariusz musiał wysłuszeć w moim głosie. Najwyraźniej go nie podzielał.*

*— Powiązanie i tej części zagadki z szachownicą (aby rozwiązać tajemnicę filharmonii, należało w odpowiednim momencie posłużyć się debiutem Nimzowitscha) byłoby posunięciem ze wszech miar logicznym. Przy całym stopniu niemałego, przyznasz, skomplikowania, pozostajemy w pewnym sensie na tym samym polu gry. To jak znak; partia jeszcze się nie skończyła. Idzicie właściwą drogą. Dzielisz jednak skórę na niedźwiedziu, mój drogi Bartku. Bowiem zakładając nawet, że kierunek słuszny, to droga ciągle wyboista — sparafrazował tekst znanej niegdyś piosenki. — Odnajdźmy szachownicę, figury i pionki, a o rozgrywkę będziemy się martwić później...*

*Spojrzałem pytająco.*

*— Na dwudziestą pierwszą umówiłem się w sprawie ruchomych pozostałości z dawnej siedziby MSW... Chcesz jechać ze mną? Mój stary znajomy może coś wiedzieć, ale człowiek ten słynie z niechęci do rozmów telefonicznych; od czasów stanu wojennego ma fobię, że wszystkie rozmowy są kontrolowane...*

*— I jesteś pewien, że jego informacje będą pomocne?*

*— Bartku, wiele osób ma jakieś obsesje, ale to nie przekreśla ich kompetencji w innych dziedzinach.*

*— Masz rację. Oczywiście, idę z tobą — zreflektowałem się. Pojawiał się choćby pozór kolejnych działań.*

Wizyta u doktora Szablińskiego z Zakładu Archiwistyki przyniosła zgoła nieoczekiwane rezultaty. Wedle jego wiedzy, interesujące nas przedmioty trafiły do handlarza antyków, który zmarł przed niespełną rokiem, ale... To właśnie na wyprzedazy jego zbiorów nabyliśmy stół kwartetowy! Mebel znałem dobrze; prawdopodobieństwo, że jest w nim miejsce na niewielką choćby kryjówkę, było może nie równe, ale bliskie zeru. Zarazem gwałtownie wzrastało prawdopodobieństwo, że sprzęt ów rzeczywiście należał kiedyś do Michalewicz. Tknęła mnie myśl prosta, a odkrywca:

— A może zmarły kolekcjoner odnalazł jakieś wskazówki — niezauważalne dla laika, lecz czytelne dla kogoś z branży — dzięki którym odnalazł *Pamiętnik*?

Przypomniałem sobie pobojowisko, jakim był tamtego dnia wyprzedawany antykwariat. Obawiałem się, że młody człowiek, potomek właściciela, mógł obejść się z całą serią pozostałych drobiazgów w sposób mało sentymentalny.

— Czy nie uważasz, że najlepiej byłoby go odwiedzić? — Pora robiła się nieco późna, ale nie zamierzałem się tym przejmować.

— Tak, tylko że ja nie mam jego telefonu... — Sebastian był zafrasowany.

— To pojedźmy tam...

— ...aby przekonać się, że dawny antykwariat jest teraz zakładem kosmetycznym albo kebabem...

— ...ale może czegoś dowiemy się na miejscu...

Obaj byliśmy w błędzie. Dawny sklep kolekcjonerski stał się oddziałem banku.

— Zadzwoń do Bielskiego. On powinien nam pomóc.

— Robert? Potrzebny mi jest numer telefonu człowieka o tym nazwisku, który jest wnukiem nieżyjącego antykwariusza...

— Nie rozłączaj się — mruknął Bielski, a w słuchawce zaświergotały ptaszki z taśmy.

— Jesteś tam? To zapisz. Aha, prowadzisz... — Zreflektował się.

— Nie szkodzi, mów, zapiszę na dyktafonie. Viola.

— Słucham? Masz tam jakąś dziewczynę? — Próbował żartować, nie wiedząc, o co chodzi.

— Pewnie. Tę samą, co zawsze.

Było już po północy. Nie do każdego można dzwonić o tej porze. Zwłaszcza oczekując pomocy. Postanowiłem zrobić to nazajutrz z samego rana.

Młody człowiek był zdziwiony; pamiętał nas, ale nie wymienialiśmy się numerami. Sądził więc, że trud odszukania go wynika z chęci złożenia spóźnionej reklamacji. Gdy okazało się, że nie o to chodzi, złagodniał i na usilne prośby zgodził się spotkać ze mną. Obiecałem, że nie zabiorę mu dużo czasu.

Gdy po spacerze z Estonem szykowałem się do wyjścia z domu, zadzwonił Bielski.

— A właściwie po co ci ten adres? — zapytał, jakbyśmy w ogóle nie przerywali rozmowy. Istny szachista korespondencyjny.

— Muszę coś uściślić. Od dziadka tego człowieka nabyliśmy jakiś czas temu interesujący mebel. Mówiąc konkretnie: stół zwany kwartetowym. Być może pan taki a taki dysponuje jeszcze innymi pamiątkami z przeszłości...

— A co z tym stołem? Odgrywa rolę w dalszej opowieści?

— To się okaże. Jeśli tak, to kluczową. Na razie stoi u Jacka i Joasi, na Kazimierzowskiej siedemdziesiąt siedem. Tak czy inaczej, zaraz po rozmowie tam pojedę. I bardzo możliwe, że jeszcze dziś zwrócę się do ciebie o ekspertyzę kryminologiczną.



— Czekam na znak — odpowiedział uprzejmie. Myślałem, że się rozłączył, ale po chwili dodał jeszcze: — A u mnie cisza. Może Plejadzie poplątały się struny świata? — zażartował blado.

Młody człowiek czekał w samochodzie, koło parku. Dostrzegłszy mnie, wyszedł, by się przywitać.

— Sprawdziłem to, o co pan prosił. — W dłoniach miał stary, choć porządnie wyglądający skoroszyt formatu A3. — Ma pan szczęście — powiedział. — Bałagan panujący w rupieciarni mojego dziadka nie przekładał się na prowadzoną przezeń księgę nabyć. Stół, który panowie ode mnie kupili, figuruje tu pod nazwą „mebel kwartetowy”. Są jeszcze dopiski: wykonany w latach dwudziestych na zamówienie kwartetu smyczkowego.

— Jest może nazwa?

— Nazwa? — zdziwił się. — Stołu?

— Nie, kwartetu.

Z niedowierzaniem przeniósł wzrok z mojej twarzy na stronę w zeszytcie.

— Nie, nic nie widzę... A kwartet smyczkowy to nie jest nazwa?

Machnąłem ręką.

— Czy coś jeszcze wiadomo?

— Tak — kontynuował uspokojony bankowiec. — Po wojnie — własność Kazimierza Michalewicza. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym trafił w ręce wojewódzkiego oddziału MSW. Odkupiony na wyprzedazy przez niejakiego W.B. — są tylko inicjały. Po jego śmierci — zlicytowany wraz z całością zbiorów. Nabyty przez mojego dziadka dwunastego sierpnia dwa tysiące pierwszego roku.

Informacje były precyzyjne. I potwierdzały wcześniejsze przypuszczenia. Poczulem, że robi mi się gorąco.

— Czy pański dziadek kupił od tego człowieka coś jeszcze? A może zdeponował w innym miejscu... dokumenty związane ze stołem?

Rozmówca jeździł palcem po kolumnach cyfr i liter.

— Nie... Nic innego tu nie widzę. Jeśli chodzi o drugie pytanie, to nie mogę tego wykluczyć, ale pomóc panu też nie mogę. Ilość zapisków znajdujących się w antykwariacie szła w tysiące...

Domyślałem się, jaki los je spotkał. To była i dobra, i zła wiadomość. Bardzo ograniczała zakres poszukiwań, minimalizując je zarazem do jednej, jedynej szansy.

Podziękowałem białemu kołnierzykowi, który bezzwłocznie ruszył ku światu realnych wartości...

Myślałem intensywnie. Kwartetów smyczkowych istniało pewnie w tamtych czasach więcej, ale nie wiele więcej. Gudelstein i Rosenberg znali się, ba, przyjaźnili nawet. Stół mógł więc być zaprojektowany przez architekta. Znając jego fascynacje i pomysłowość, należałoby uznać za wielce prawdopodobne, że skrywa jakąś niespodziankę. Pewnikiem wydawało się również, że to firma Michalewicza — główny wykonawca projektów Rosenberga — wyprodukowała mebel. Po wojnie rzemieślnik mógł go przejąć z powodów sentymentalnych (ani Rosenberg, ani Gudelstein nie doczekali jej końca) lub jeszcze innych...

Gudelstein-Rosenberg-Michalewicz tworzyli bermudzki trójkąt, w którym dematerializowały się skarby, dokumenty i... pamięć. Ale wyciągnąwszy na światło dzienne tę ostatnią, można było marzyć o wydobyciu dwóch poprzednich...

I kiedy doszedłem do tego punktu rozważań, coś się we mnie odblokowało. Zaraz, czy ja już tego nie przerabiałem? Gdyby nie akt dewastacji, którego dopuściłem się na filharmonicznym suficie, nie odkryłbym, że pod warstwą pluszu znajduje się... szachownica. Jeśli miałyby

wymiary stolika, jej zasłonięcie w ogóle nie przysporzyłoby problemu. Wystarczyło pokryć blat warstwą... karcianego sukna!

*Westchnął cicho nasz koziołek i znów ruszył biedaczysko po szerokim szukać świcie tego, co jest bardzo blisko...*

Jak uskrzydłony (uskrzydłony Matołek?!) pobiegłem do auta. Silnik zaskoczył, ale nie od razu. Zepsuta chłodnica już wkrótce zapoczątkuje reakcję łańcuchową, pomyślałem. Tym razem jeszcze się udało. Prosto od Jacka i Joanny jadę do warsztatu, zdecydowałem twardo. Jak dopisze mi szczęście, jakoś się doturlam.

Przed klatką schodową budynku, w którym znajdowało się mieszkanie połowy kwartetu imienia Gudelsteina, zaparkował fiat doppio. Przeprowadzka? Chyba nie; na schodach minąłem dwóch facetów ubranych na modłę funkcjonariuszy CBS w czasie akcji. Taszczyli ze sobą jakiś przedmiot owinięty kocami, ale na mój widok zatrzymali się, ustępując miejsca. Przyspieszyłem kroku. Drzwi od usytuowanego na czwartym piętrze mieszkania kwartetowych kompanów były uchylone.

— O, Bartek! Jednak jesteś?! A mówili, że nie przyjdiesz... — Jacek odziany był w strój świadczący, że wcale jeszcze nie zamierzał rozpocząć poranka.

— Kto mówił? Jak mówił? — Ale już nic nie musiał wyjaśniać. W mgnieniu oka pojąłem wszystko. No, prawie wszystko.

Kim byli? Skąd wiedzieli? Dlaczego nie zrozumiałem od razu? Czy jednak — na litość boską! — mogłem przewidzieć, że ktoś czyta w moich myślach?! Klucz do uwolnienia, a może i życia Antosi znalazł się w obcych rękach i miał właśnie zostać uwięziony w nieznanym kierunku. Miejsce, w którym zazwyczaj pysznił się stół kwartetowy, ziało teraz pustką. Tylko na podłodze wały się cztery odkręcone lub odłamane nogi... Poczułem, jakby ktoś wyrwał mi serce. Nie było czasu na wyjaśnienia.

— Jacek, biją naszych! — Tekst był absurdalny, ale miał pobudzić prymariusza do natychmiastowego działania. Na szczęście mistrz pojął przesłanie. Bez zbędnego gestu i słowa, jak wichur, z furkoczącymi połami chińskiej podomki w kolorze mocno kardynalskim, rzucił się w pogoń po dobrze sobie znanej klatce schodowej. Niczym gwałtowny podmuch przeskakiwał po kilka stopni, niczym bojownik ninja frunął nad poręczami. Szkarłatny peniuar *à la chinoise* (bez wątplenia własność Joasi) czynił podobieństwo do ognistego ptaka niemal kompletnym. Kompletnym zaskoczeniem musiała być też kontrakcja, która z furią lawiny ruszyła w kierunku pewnych swego złodziei. Szarża porównywalna chyba tylko z natarciem husarii pod Kircholmem zdeorientowała ich, pozbawiając niemal pewnego już łupu. Na szczęście musieli mieć głęboko zakodowany nakaz delikatnego obchodzenia się z towarem, bowiem nie cisnęli nim z wściekłością, a delikatnie oparli o ścianę, co po kilku sekundach ujrzeliśmy na własne oczy. Automat zatraskający drzwi wejściowe zaklął pożegnawczo. Sprzed klatki dobiegł odgłos startującego doppio, które przez chwilę brzmiało jak ferrari. Powstrzymałem Jacka, w zapamiętaniu pragnącego kontynuować pogoń. Ich auto stało pewnie w garażu, zaś moje alto nadawało się co najwyżej do... parzenia herbaty.

— To jest najważniejsze... — Dysząc, wskazałem przedmiot zapakowany w szmaty i przewiązany na czworo. Wnieśliśmy ocalały eksponat na górę.

— A ty właściwie, co? — Zasapany Jacek zwolna przychodził do siebie. — Nieoczekiwana żądza porannej próby?

— Nie, partyjka pokera o brzasku. A raczej... szachów. Zaraz wszystko zrozumiesz. — Miałem nadzieję, że ja również.

Biedna Joasia trzęsła się jeszcze trochę, jednak widząc, że wróciliśmy w buńczucznych nastrojach, uspokajała się powoli. W innych okolicznościach nie omieszkałbym podzielić się z

Jackiem refleksją, że jego dziewczyna w porannym... roztargnieniu wygląda równie pociągająco jak w kreacji koncertowej. Sytuacja nakazywała rozmawiać o czymś innym.

— Co to byli za goście?

— Zjawili się krótko przed tobą. Wylegitymowali nas...

— ...oni was?!

— Machnęli mi przed nosem czymś w rodzaju policyjnej odznaki, a ja nie mam tak bujnego życia kryminalnego jak ty, więc było mi aż nadto... Jeden z nich oznajmił, że przychodzą z polecenia nadkomisarza Bielskiego, który wraz z tobą oczekuje na komendzie dostarczenia „mebla kwartetowego”. Fakty i nazwiska się zgadzały, a strój dowodził wagi i pilności sprawy...

— Poznałbyś ich chociaż?

— No jak? Przecież widziałeś, że byli w rynsztunku...

Faktycznie. Twarze zasłaniały maski, gogle i hełmy.

— Poza tym byli dość uprzejmi... Zazwyczaj gdy widzisz podobnych im w telewizji, to wydają z siebie gardłowe odgłosy: „Policja! Na ziemię!”, rzucają delikwenta na glebę i tyle. Więc zamiast się dziwić, dałem się zwieść... Niech pan nie zamyka drzwi, wrócimy jeszcze po nogi — rzucił jeden na odchodnym.

— A nie zastanowiło cię, jak je potraktowali?!

Cztery świadkinie bestialskiego obejścia się z antykiem leżały smętnie na podłodze.

— Nie widziałem tego, bo akurat poszedłem coś na siebie włożyć... — W wyobraźni ujrzałem scenę, w której zaskoczyli ich rzekomi funkcjonariusze. Mężczyzna prawie nagi to mężczyzna prawie bezbronny. Z kobietami bywa inaczej, może nawet zupełnie odwrotnie...

— A dosłownie chwilę potem wparowałeś ty.

Miał rację; wszystko wydarzyło się w ciągu minuty.

Historia lubi się powtarzać. Ale że aż tak? Znowu szachy? Znowu ktoś trzeci włącza się do akcji? Kto? Ludzie Ryżego przeszli metamorfozę lub zmienili barwy klubowe? Jędrzejczyński odświeżył zestaw kompanów? Ktokolwiek to był — skąd mógł wiedzieć, że jadę po stół, którego rangi ja sam zacząłem się domyślać ledwie pół godziny temu? Wnuczek antykwariusza? Wykluczałem go; to był człowiek z innego świata. Prócz niego o sprawie wiedział jedynie Bielski. Ale przecież on był poza jakimkolwiek podejrzeniem...

Czyżby ktoś na komendzie podsłuchiwał jego rozmowy? Absurdalne! Choć może nie aż tak...

Wiele spraw uległoby nagle wyjaśnieniu. Bez mieszania osób trzecich — Jędrzejów, Rucacellich, Wand, kogo tam jeszcze — dałoby się zrozumieć wyprzedzanie moich posunięć. Przecież jedynym człowiekiem, z którym dzieliłem się prawie wszystkimi — przebytymi i planowanymi — krokami, był właśnie Robert. Wstrzeźliwość w kolportowaniu informacji miała zapewnić mi choćby iluzję kontroli nad sytuacją. I zapewniła. Iluzję właśnie.

Wniosek był jeden. Don Pasquale zwerbował kogoś w otoczeniu Bielskiego. Do dzisiaj nie mógł pogodzić się ze stratą poniesioną w wyniku zlekceważenia pewnego altowioliisty. Tym razem zabezpieczał się na wszelkie sposoby. To z kolei znaczyło, że jakiegokolwiek umowy z tym człowiekiem są niewiele warte. Zaskakujące? Raczej nie. Ale trudne do zaakceptowania. Z graczą stawałem się ledwie pionkiem. Zabawką do wykorzystania i odrzucenia. Laufrem przygotowującym atak. Gońcem, któremu ścina się głowę bez względu na wiadomość, jaką przynosi.

Don Pasquale mógł sobie pić trzydziestoletnie brandy. Palić cygara za kilkadziesiąt euro sztuka, zlewać się obficie najdorszymi wodami toaletowymi. Nie zmieniało to faktu, że jest zwykłym bandziorem. Człowiekiem pozbawionym sumienia. Raz jeszcze udało mi się go wyprzedzić, zresztą — czy był ku temu rzeczywisty powód, miało się dopiero okazać. Ale jak

długo jeszcze?

Gra była od początku nierówna. Pal go sześć; przy pierwszej okazji wygarnę mu, co o tym myślę. A wcześniej skorzystam z numerów, które zostawiły mi niedoszłe ofiary z Eurostaru. Niech odwdzięczą się oddziałem brytyjskich spadochroniarzy i syryjskich komandosów. A jak odmówią, wezwę pod broń choćby cały kwartet smyczkowy... I jeszcze pospolite ruszenie filharmoników. Chciało mi się konfrontacji z tym człowiekiem. Jak nigdy dotąd.

Więc tak sobie gwarzyłem w duchu. Tyle mojej satysfakcji.

On i tak zrobi, co zechce.

Ale najpierw ja przyjrę się temu stołowi.

## 17.

Miałem nadzieję, że pomimo brutalnego potraktowania mebla przez quasi cebosiów, uda nam się go ponownie zespolić i postawić na własnych nogach. Okazało się to trudne; w praktyce — niewykonalne. Próbując podtrzymać z coraz to innej strony opadającą płaszczyznę, w końcu dałem za wygraną.

Jacek przywdział w międzyczasie bardziej męskie szaty.

— Nie wiem, o co tu chodzi, ale zgłaszam się do pomocy — oznajmił.

— Przyda się — mruknąłem. — Jeśli mógłbyś uprzątnąć wasz stół właściwy...

Położymy na nim blat. A chodzi z grubsza o to, że „mebel kwartetowy”, oprócz znanych nam już funkcji, pełni być może jeszcze jedną: skrytki.

— Rozumiem. — „Pierwszy” przyjął tłumaczenie z zadziwiającą oczywistością. Widać furia już minęła; powracała za to intelektualna głębia... Po chwili z kuchni wyłoniła się „Druga”. Wniosła ze sobą zapach delikatnej kombinacji porannych kosmetyków i świeżo zaparzonej kawy.

— Czy mi się zdawało, czy ty mówisz coś o szachach?

Był taki moment, że w K. o szachach mówili wszyscy. Częściowo z mojego powodu. Trwałą pamiątką balkonowych wyczynów w filharmonii stał się sufit zachwycający bywalców mozaikową szachownicą. Zgodnie twierdzono, że po usunięciu pluszowych obić akustyka również zyskała.

— Mówilem. Ale zacznijmy od nóg. — Na twarzy dziewczyny dał się zauważyć lekki popłoch, ustępujący uroczemu rumieńcowi. Oczywiście nie miałem na myśli jej długich kończyn wystających spod kusego szlafrocza.

Analiza nóg „mebla kwartetowego” pokazała, że zamocowano je na specjalne kliny; próby nieinwazyjnego wyjęcia lub wykręcenia w wykonaniu fałszywych cebosiów spełzły na niczym. Szybko zdecydowali się na wariant drastyczny, choć nie ulegało wątpliwości, że musieli włożyć weń sporo siły. Co to dla nich; wysportowane (a może nawet napakowane) chłopaki... Cztery cylindryczne kawałki drewna nie kryły więcej tajemnic, choć uderzyło mnie, że są właśnie cztery (większość stołów — podobnie jak cała rodzina parzystokopytnych — ma cztery nogi i nie należy mieszać do tego głównych wyznań świata, podpowiadał zdrowy rozsądek). Mogłem pominąć dalszą obdukcję. Dobry stolarz powinien bez problemu scalić je z płytą główną.

Korciło mnie, aby oderwać zielone sukno jednym dramatycznym gestem. Jeśli jednak było solidnie przymocowane, taka spektakularna akcja mogła przynieść więcej szkód niż pożytku. A jeśli całe założenie jest błędne? Znów opadły mnie wątpliwości. Dlaczego miałyby być? — rozprasałem je czym prędzej. Jest pamiątka — jedyna co prawda, ale charakterystyczna

i spełniająca kryteria opisu — po Michalewiczu, będąca zarazem pamiątką po Rosenbergu... Mamy opowieść babci Adeli (zasłyszana od samego architekta) z szachownicą w roli głównej. Oraz liczebną różnicę dwóch symboli religijnych będącą niczym innym, jak zakodowaną liczbą cztery: *quattuor*... Siedem ramion menory minus trójca święta dawało czteroramienną szachownicę albo... stół dla kwartetu. Kiedy pozbierało się fakty, całość sprawiała wrażenie najzupełniej logiczne. Dane wyjściowe były kompletne. Teraz należało je uwiarygodnić.

— Poproszę ostry nóż o długim ostrzu — zaordynowałem niczym sztukmistrz szykujący się do występu. Lub domorosły chirurg.

Joasia przyniosła z kuchni żądany przedmiot. Zdawało mi się, że przechował zapach cebuli.

— Chcesz też od razu tłuczek? — spytała słodko. Jacek spojrzał na nią z miłością.

— Zaufajcie mi. — Wiedziałem, że żyli się z cudownym meblem, koniec końców należał on jednak do mnie. Poza tym mogli okazać większą waleczność, gdy wyrywano mu nogi. Aha, nie mogli. Zapomniałem... Delikatnie wsunąłem wąską klingę pod materiał; okazał się starannie przyklejony na całej powierzchni, ale zastosowana technika zdała egzamin. Po chwili jedno skrzydło było uwolnione. Dopiero teraz pociągnąłem. Tyleż zdecydowanie, co ostrożnie.

Oczom naszym ukazał się blat... w kolorze czarnym. Czarnym jak rozpacz, która mnie zdjęła. Tak urywał się jedyny trop. Innego — jeśli nawet istniał — nie znałem. Moment, w którym oczekiwania rozchodzą się z rzeczywistością, jest zawsze bolesny. Czy gdzieś popełniłem błąd, czy też podążałem wątlym śladem z desperacją godną lepszej sprawy?

Siedziałem na krześle bez ruchu. Joanna parzyła kolejną kawę, Jacek zachodził stół to z lewej, to z prawej, najwyraźniej nie mogąc pogodzić się z klęską. W końcu usiadł, zaś ja dla odmiany rozpocząłem bezcelowe spacerki.

I wtedy mój wzrok padł na zdjęcie w ramce, stojące na półce obok nut. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

Niezwykle szczupła i zgrabna dziewczyna, ubrana w jasne, szerokie spodnie, delikatne pantofelki, ciemną podkoszulkę na ramiączkach, ze złotymi włosami spiętymi w kok, dużymi ciemnymi okularami na oczach i ujmującym uśmiechem, stała obok małego fiata groszkowego jak świeży strączek. Specyfika kolorów wskazywała, że zdjęcie odbito na ekskluzywnym w swoim czasie papierze fotograficznym ORWO, *made in DDR*. Coś wydało mi się znajome; może uśmiech dziewczyny, jako żywo przypominający ten, który od czasu do czasu zdobił twarz Joasi?

— Czy to jest...?

— Tak, to ciocia Marta. Niedługo przed wypadkiem. Mama dopiero kilka dni temu pokazała mi to zdjęcie. Spytałam, czy mogę je zachować. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale Marta wydaje mi się teraz bliższa niż kiedyś. Tak jakby z ciotki stała się siostrą.

Tak. Zdjęcia mają wielką moc.

— Pożyczyłabyś mi je na kilka dni?

Dziewczyna skinęła głową.

Pozegnałem moich przyjaciół. Nikomu z nas nie udało się ten poranek. Oni mieli szansę jeszcze to nadrobić. Mnie pozostawało... Co właściwie? Chyba tylko praca organu odpowiedzialnego za wysnuwanie i łączenie faktów. Zwanego mózgiem.

W miarę wyrąbywania maczetą dróżki mającej doprowadzić w pobliże *Pamiętnika Sztygara*, coraz silniej nurtowało mnie jedno pytanie. Pamiętnik — OK; zrozumiałe. Nie tylko miłośnicy literatury przygodowej wiedzą, że wszystko zaczyna się od starego kawałka papieru: mapy, zeszytu, pamiętnika wreszcie... Ale dlaczego sztYGara?! Co sprawy Rosenberga, kwartetu, Michalewicza, skarbów, Żydów, tajemnic, tajnych przejść mogły mieć wspólnego z kopalnią? I to z kopalnią soli, ponieważ żadnej innej u nas nie było! Może z powodu tej dziwaczności

właśnie wydrążona już ścieżynka ponownie zaczęła zarastać gąszczem niewiadomych? Nie znałem kierunku, w jakim podążam, a ten, z którego nadchodziłem, zasklepiął się natychmiast. Szedłem według wewnętrznego kompasu czy raczej prowadzono mnie jak na smyczy? Jakiej powinienem być użyć perspektywy: włoskiej, polskiej, muzycznej, historycznej, antosiowej, sebastianowej, babciadelowej? A może spróbować optyki nadkomisarza Bielskiego? Ten starał się opierać wyłącznie na faktach, których w istocie... nie znał. Tak czy inaczej, to on pozostawał moim głównym sprzymierzeńcem. Również z tej racji nie mogłem porzucić sprawy niewyjaśnionych morderstw. Graliśmy w jednej drużynie, mając więcej niż jednego przeciwnika. Mało tego; ich liczba rosła. Dlatego zamiast warsztatu samochodowego postanowiłem odwiedzić Komendę Wojewódzką.

— Robercie, czy podzieliłeś się z kimś moją atencją dla zabytkowego stołu? A także jego lokalizacją?

— Oczywiście, że nie... Bo?

— Bo ktoś powołujący się na ciebie odwiedził Kazimierzowską tuż przede mną. Byłeś jedynym człowiekiem znającym moje plany, zaś od rozmowy do wizyty minęło nie więcej niż pół godziny. Ktoś okazał się szybki. I to nawet dwóch ktosiów przebranych za funkcjonariuszy CBS w akcji...

— Co ty mówisz? — Zafrasował się. — Nie podejrzewasz chyba, że ja...

— Daj spokój, stary. Oczywiście, że nie podejrzewam. Próbuję zrozumieć... Czy nie masz przypadkiem koło siebie kabela na usługach... bogatych nieznajomych?

Głęboka bruźda przecięła czoło nadkomisarza. W końcu odezwał się z rozmysłem.

— A wiesz, że to by całkiem sporo tłumaczyło? Przyznam ci się, że taka myśl przyszła mi do głowy, gdy próbowałem połączyć okoliczności wydarzeń brukselsko-londyńskich. Wskazywałoby to zresztą jednoznacznie, kto jest patronem naszego ktosia...

— A sam „ktoś”? Jakież podejrzenia?

— Hm... Możliwości jest sporo. W komendzie pracuje parę setek ludzi... Chyba jednak zacząłbym od przyjrzenia się pionowi informatyków. Mają dostęp do większości dokumentów: jawnych, tajnych a nawet zakodowanych. W praktyce o wielu kwestiach wiedzą jako pierwsi. Poza tym niejednego z nich cechuje silne przekonanie, że cała reszta ludzkości to idioci dający się bezkarnie rolować. A jeśli któryś z nich jest złym chłopcem, to może dać się uwieść sile materialnej argumentacji. No cóż, zajmę się tym natychmiast, ale bez nerwowych ruchów. Kto wie, czy nie odwrócimy tej gry w kotka i myszkę na naszą korzyść...

— Prawdę mówiąc, zmartwiłeś mnie. Bo przecież telefon wyłowiony przez Estona znajduje się właśnie w rękach speców od analizy elektronicznej...

— Słuchaj! — krzyknął nagle Bielski. — Wiem, jak go zidentyfikować. Ten, któremu najbardziej zależało na zajęciu się komórką, może być naszym gościem!

— Owszem — podzielałem entuzjazm tylko połowicznie. — I jeśli odnajdzie istotny ślad, bez trudu go skasuje...

Bielski natychmiast uniósł słuchawkę.

— Czy są już wyniki analizy włoskiej nokii? Dobrze, rozumiem. — Odłożył słuchawkę.

— Pracują nad nią trzy osoby. Sprawa trudna, pewnie na kilka dni. No nic, wszyscy pójdą pod lupę. Zobaczymy, czyje kontakty budzą najwięcej wątpliwości...

Około siedemnastej ostatecznie zdecydowałem się na wizytę w garażu. Jeśli można było ufać słowom mechanika, jutro rano wszystko powinno być naprawione. Telefon od Jacka zaskoczył mnie zupełnie, choć w końcu czy to dziwne, że przyjaciele się do siebie odzywają? To chyba ja dziwaczałem.

— Stary, muszę ci coś natychmiast powiedzieć. Po twoim wyjściu nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Otóż, ostatecznie jesteśmy kwartetem imienia Gudelsteina. O patronie powinno się co nieco wiedzieć, nieprawdaż? — spytał z przyganą w głosie.

— To może ogłoś zajęcia teoretyczne... — próbowałem go zniechęcić, ale bezskutecznie.

— Wystarczy, że wasz prymariusz poświęcił trochę cennego czasu. Materiałów źródłowych za wiele nie ma, ale jednak nie mówimy o sytuacji zerowej. Czy wiesz, że na YouTube znalazłem nagrania samego Aarona? Człowieku, ty wiesz jak on grał? — Rozmarzył się. Wymądrzał się ten nasz „Pierwszy”. W swoim stylu zresztą. Ale to był zaledwie wstęp.

— Jakiś czas temu udało mi się znaleźć książkę w języku niemieckim — aż dziw, że ty, skoligacony ze światem antykwarycznym, na nią nie wpadłeś — z sylwetkami kilku europejskich wiolinistów sprzed wojny. Notki biograficzne są okraszane wywiadami oraz anegdotami. Do tej pory się nie zmobilizowałem, ale po dzisiejszych zajściach przyjrzałem się dokładniej jednej z nich. Powinna cię zainteresować.

Gdyby Jacek znał okoliczności moich poszukiwań, nie traktowałby całej sprawy w kategoriach hobbystycznych. Milczałem zrezygnowany, co nie zraziło pasjonata.

— Gudelstein opowiada, jak to kiedyś postanowili zamówić u zaprzyjaźnionego architekta projekt stołu kwartetowego. Mebel dysponował wszystkimi cechami, które zdołaliśmy już poznać. Ale była jeszcze jedna, która budziła wśród muzyków ciągłe niesnaski. Salomonowym wyrokiem postanowili ją ukryć. By jednak nie nadwerężyć urody stołu, poprosili o pomoc jednego z lutników, który pokrył całość bardzo pięknym, skrzypcowym, choć pociemnionym lakierem. Próby zyskały na efektywności, ale straciły na atrakcyjności. Nasi muzycy zdecydowali się na jeszcze jedną ingerencję. Tym razem blat stołu pokryli zielonym sukmem. Od tej pory — oczywiście dopiero po próbach — z uciechą oddawali się karcianej rozrywce, zwanej również grą w brydża. Czy w międzyczasie zdołałeś już wysnuć wnioski?

— Grając w brydża cała czwórka była zadowolona... Skąd więc te wcześniejsze nieporozumienia? Bo... nie wszyscy mogli brać udział w grze? A więc jednak szachy?! Jacuś, kocham cię...

— Dobrze kombinujesz. Ale ostrożnie z tymi wyznaniem, Joasia jest w pobliżu — mruknął usatysfakcjonowany.

Usunęliśmy więc zaledwie jedną z dwóch późniejszych warstw! A może — przyszło mi niespodziewanie do głowy — w karcianym suknie również tkwiła jakaś podpowiedź? Co prawda brydż pochodzi z innej części świata (Anglia) i powstał dopiero w XVIII wieku. W stosunku do szachów jest rozrywką wieku szczenięcego ludzkości, ale... wymaga czterech graczy. A ja poszukiwałem właśnie czwórki... Gdyby jeszcze opowieść babci Adeli była osadzona w sztafażu karcianym.

— Już do was jadę — rzuciłem, gwałtownie skręcając kierownicę.

— Jasne, czekamy. Sam nie chciałem się za to zabierać. Odwiedziłem tylko Remigiusza Solniczkę (miejscowego lutnika, sprawdzonego przyjaciela instrumentów i muzyków), który zaopatrzył mnie w słoik rozpuszczalnika. „Nie powinien w najmniejszym stopniu uszkodzić drewna”, powiedział... Patrzył trochę podejrzliwie (konkurencja), ale uspokoilem go, że tak naprawdę chodzi nam tylko o nowofalowe drinki...

— Pokaż mi to sukno! — rzuciłem od progu.

— Sukno? — Zdziwił się. — Za późno. Joasia zrobiła z niego torebkę... No, nie patrz tak — wybuchnął śmiechem. — Tu jest. A oto nożyczki, jakbyś chciał wyciąć sobie kaptcie.

Obrzuciłem dowcipnisią ciężkim wzrokiem. Krótka lustracja materiału przekonywała, że trop brydżowy nie istniał.

— No, Jacek, pora na twojego drinka!

Używając płóciennych ściereczek nasączonych rozpuszczalnikiem, zaczęliśmy pocierać drewno w przeciwległych końcach. Efekt pojawił się natychmiast. Specyfik Remigiusza Solniczki musiał być istotnie pierwszej jakości. Pod okrężnymi ruchami szmatek coraz większe połacie blatu zaczęły ukazywać pierwotne oblicze: kratkę szachownicy.

— Gudelstein nie wspominał nic o figurach?

— Nie, ani słowem. Pewnie były, i to specjalnego formatu — stół był dużo większy od standardowego pola szachowej potyczki — ale zdziwiłbym się, gdyby przetrwały...

Ja też. Pozostawało mieć nadzieję, że podobnie jak w przypadku sufitu w filharmonii, samo tylko pole gry jest powiernikiem sekretu.

Można było postąpić mało finezyjnie, rozcinając po prostu mebel lub rozszczepiając warstwy drewna. Lecz myśl o dokonaniu gwałtu na obiekcie o znanej mi wartości budziła gwałtowny sprzeciw. Pomijając już fakt, że tym sposobem można było uszkodzić zawartość domniemanej skrytki. Rozwiązaniem pewnym i nieinwazyjnym byłaby analiza kryminalistyczna; skan blatu powinien bez trudu wykazać obecność „ciała obcego”. Lub jego brak...

Tylko, czy miałem na to czas i cierpliwość?

Pulpity były poza podejrzaniem. Dolna część i boczki, grubości dobrych pięciu centymetrów, tworzyły litą całość. Wniosek był następujący: do wnętrza stołu — jeśli coś takiego w ogóle istnieje — można się dostać jedynie przez górną płytę, czyli szachownicę inkrustowaną kawałkami drewna w dwóch kolorach (pola), oksydowanym srebrem (linie oddzielające) i masą perłową (litery i cyfry).

Przyglądałem się każdemu kwadracikowi z osobna, licząc, że dostrzegę jakiś niuans, szczelinę, zadrapanie będące drogowskazem prowadzącym do środka. Owszem, drobnych rys było aż w nadmiarze. Należało założyć, że ich pochodzenie jest w blisko stu procentach przypadkowe. Siadłem pod ścianą, próbując raz jeszcze prześledzić drogę, która mnie tu przywiodła.

Wynikiem odejmowania między żydowską siódmką a chrześcijańską trójką jest cyfra cztery. Cztery, czyli łaciński *quattuor*. *Quattuor*, czyli po prostu kwartet. Mamy stół kwartetowy. I szachownicę, czyli pole gry określone przez mułkę.

7-3=4

A gdyby tak potraktować cyfry nie jako składniki działania, a liczbowy ciąg?

734

Naciskałem pola o tych wartościach w różnych wariantach literowych, ale szybko zdałem sobie sprawę, że kombinacji jest zbyt wiele. Wpatrując się w szachownicę aż do pieczenia oczu, analizując linie proste i poprzeczne, znalazłem w końcu pewną logiczną zależność między trzema cyframi; wszystkie znajdowały się na przekątnej pól ciemnych, rozpoczynającej się od 7a. Może ulegałem autosugestii, ale podczas delikatnego opukiwania: 7a — 4f — 3g — odniosłem wrażenie, że wydają one nieco inny, jakby metaliczny odgłos. Mechanizm otwierający? Odkrycie zelektryzowało mnie.

*To, czego brakuje, jest odpowiedzią, końcem i początkiem...*

Czego brakowało?

W liście do Rucacellego Michalewicz opowiedział anegdotkę pozostającą bez wyraźnego związku z zasadniczą treścią, a mającą świadczyć o przenikliwości Rosenberga. Ale czy tylko?

*Przyjdzie czas, że ludzie będą podpisywać się czterema cyframi...*

Tymczasem ja dysponowałem tylko trzema...

*To, czego brakuje, jest odpowiedzią, końcem i początkiem...*



— Potrzebujemy jeszcze jednej cyfry...

— Tyle to i ja zdążyłem się domyślić... — rzucił Jacek niedbale.

Tak? To ciekawe, czemu nic nie mówiłeś — miałem na końcu języka, ale postanowiłem się nie rozpraszać.

Brakuje mi jednej... Jednej... To, czego brakuje... Jest odpowiedzią... końcem... i początkiem... Jednej?!

— Wiem! — ryknąłem wniebogłosy.

— Naprawdę? To mów szybko. — Joasia wierzyła we mnie.

— Jeden! Czwartą cyfra jest jedynka!

— Jak na to wpadłeś? — pytał Jacek rozdarty między niechęcią a podziwem.

Przedstawiłem swój tok rozumowania.

— Nieźle, jak na altowiolistę naprawdę nieźle. Ale gdzie ją wpasować? — frasował się.

— ...i końcem, i początkiem...

— Więc pierwsza lub ostatnia...

— Nie — pokręciłem głową, bo wszystko naraz stało się dla mnie jasne. — Ostatnia w czterocyfrowym kodzie i pierwsza w... alfabecie. Ostatnim polem szyfru jest 1a. Sprawdzamy?

Trzy głowy pochyliły się nad szachownicą.

Stopniowo zwiększając nacisk, przycisnąłem pole z numerem 7a. Nie dałbym głowy, ale wewnątrz coś jakby drgnęło... Z bijącym sercem powtórzyłem działanie na polu 4f. Tym razem nic nie usłyszałem, ale to nie był powód, aby przerwać eksperyment. Przyciśnięcie pola 3g nie zaowocowało najmniejszym nawet odgłosem.

*I wiatr przestał dąć w żagle nadziei* — jak mówi poeta, tylko zapomniałem który.

Pozostał ostatni ruch. Spojrzałem pytająco na przyjaciół.

— Jak nic się nie zdarzy, bierzemy rupiec na komisariat — wspaniałomyślnie pocieszył mnie Jacek.

Ale w tym właśnie momencie Joanna nie wytrzymała i wbiła swój długi i smukły palec w pole 1a. Przytrzymała chwilę, po czym podniosła dłoń do twarzy, jakby w geście przeprosin za nieudany atak.

I wtedy...

Cztery centralne pola szachownicy obniżyły się bezszelestnie o dwa centymetry i wsunęły do środka. Wewnątrz stołu znajdowała się komora.

A w niej notatnik firmy *Moleskine* oprawny w brązową skórę.

Mylilem się, sądząc, że już za chwilę poznam jego zawartość. Bowiem na nabożny paraliż, jakiemu zgodnie ulegliśmy, nałożył się dzwonek telefonu.

Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale moich rozmówców rozpoznaję po dzwonekach, choć wcale nie przypisałem każdemu odrębnej melodyjki. Gdy dzwoniła Antosia, komórka brzmiała słodko i powabnie. Telefony od kolegów z kwartetu nosiły różny stopień nasilenia, choć najdobitniejsze były te od Jacka. Z kolei sygnały od Sebastiana brzmiały jakoś nobliwie. Jak to możliwe?

Nie wiem. Może każdy z dzwoniących wysyłał w eter minicząstkę osobowości, która nadawała indyferentnemu brzmieniu zindywidualizowany rys?

Alarmujący dźwięk, który omal nie wypalił mi dziury w kieszeni, mógł być jednego tylko autorstwa. Mało tego; wiedziałem, że zwiastuje niedobre wieści...

— Bartek? Jasna cholera, nie upilnowaliśmy go...

Niech to szlag! Domyślałem się, o co chodzi, a myśl zmroziło lodowate przeczucie...

— Czy to profesor...

— Tak, to on. — Bielski doskonale wiedział, o co chcę zapytać. Koszmar znów się

ureczywistniał. Powiedzieć, że się spodziewałem, to byłoby za dużo... A jednak istniały przesłanki. Powinienem być się domyślić. Ot, idiota ze mnie...

— Prosiłem cię, byście pilnowali skrzypków i altowiolistów! — omal nie krzyknąłem do słuchawki. To on, do cholery, był policjantem! — Wytypowałem potencjalnego sprawcę, wskazałem prawdopodobne cele ataku... I co? Miałem złapać go za rękę? W waszym imieniu?

— A ty myślisz, że nie pilnowaliśmy?! — Bielski zrewanżował mi się podniesionym głosem. — Chwila nieuwagi. Ten twój „Struniarz” to lepszy cwaniak...

— Mój „Struniarz”! To ja go wymyśliłem, prawda?! Gdzie?

— Knajpa Na Szerokiej. Przed chwilą jeszcze grali tu klezmerzy...

*Przed chwilą jeszcze grali tu klezmerzy...* Ładne. Jak tytuł książki. Albo filmu.

— Będę za kwadrans.

Joasia i Jacek przyglądali mi się z minami pełnymi niepokoju.

— Coś się stało, prawda? Coś bardzo złego?

— Niestety — musiałem potwierdzić. — Pan Anatol Królek nie żyje. Został zamordowany.

Brązowy notes trafił do wewnętrznej kieszeni marynarki. Na szczęście była zaopatrzona w zamek błyskawiczny. Rzuciłem krótkie: „Cześć, zadzwonię”, i już mnie nie było. Po raz kolejny tego dnia wprawiłem moich przyjaciół w zdumienie.

Knajpa Na Szerokiej istniała od kilku lat, nawiązując do przedwojennej tradycji i wykorzystując rosnące zainteresowanie muzyką chasydów. Znałem to miejsce; na stałe grywał tu pięcioosobowy zespół. Czasami występował gościnnie jakiś band z zagranicy, zdarzało się, że i zza oceanu. Jakie meandry przywiodły jednak w to miejsce ś.p. profesora Królka?

Nadkomisarz miał już pierwsze wyniki śledztwa. Otóż pan Anatol zjawił się w klubie około godziny dwudziestej. Zamówił piwo, pograżył się w słuchaniu, ale według kelnerów, co pewien czas rozglądał się po sali i spoglądał na zegarek. Momentu, w którym wyszedł do toalety, nikt dokładnie nie zauważył; o tej porze w klubie panował zazwyczaj ścisk i harmider. Ktoś zwrócił w końcu uwagę, że jedna z dwóch męskich toalet jest zajęta już od godziny. Kelnerzy otwarli drzwi i znaleźli pana Królka siedzącego na sedesie. Skóra lewej ręki była przecięta w okolicach nadgarstka...

Zabójca musiał obserwować ofiarę przez okno zajmujące prawie całą szerokość frontowej witryny. Gdy tylko dostrzegł, że profesor wybiera się do toalety, niepostrzeżenie ruszył za nim. Ale jak zdołał obezwładnić dość postawnego mężczyznę i bez oporu z jego strony zadzierzgnął mu na przegubie stalową pętlę? Ta sprawa wyjaśniła się szybko. Przybyły na miejsce lekarz sądowy nie miał wątpliwości. Ofiara została potraktowana halotanem, silnym środkiem usypiającym. Gdy pan Anatol przekroczył próg łazienki, sprawca przytknął mu do twarzy nasączoną szmatę i — bezwładnego — zaciągnął do kabiny. To już nie dziwiło, bowiem wielkość całej toalety nie przekraczała kilku metrów kwadratowych. Jeden z kelnerów pokazał nam jeszcze, jak za pomocą monety można otworzyć lub... zamknąć drzwi od kabiny. Techniczne szczegóły zostały z grubsza wyjaśnione.

— Prostota środków — mrucał Bielski. — Plus jakaś determinacja i przeświadczenie, że wszystko musi się udać. Swoista bezczelność zbrodni...

Mimo wszystko wydawało się, że nieprzewidziany drobiazg mógł pokrzyżować plany zabójcy. W trakcie przesłuchań personelu okazało się jednak, że pan Królek był tu już trzeci dzień z rzędu. Widać „Struniarz” był cierpliwy; nie ryzykował, tylko wyczekiwał okazji, która zapewni mu stuprocentową skuteczność... I anonimowość.

— A co z tą rzekomą ochroną? — pytałem Bielskiego z goryczą.

— Bartku, posłuchaj. Kierując się podanymi przez ciebie kryteriami, wytypowaliśmy czternaście osób; tyłuż naszych agentów od dwóch dni czuwało nad ich bezpieczeństwem. Ale to nie znaczy, że chodzili za nimi krok w krok. Jak sobie to wyobrażasz? Taka obstawa przysługuje chyba tylko głowom państw...

— Jeszcze inaczej: czy profesor był pod obserwacją?

— Ogólną, że tak powiem. Przecież nie studiował z Plejadą na jednym roku... Zresztą poprzednia zbrodnia została dokonana w domu ofiary i właśnie w tym kierunku szły nasze działania...

— Poprzednia w domu, a pierwsza pod mostem... Poza tym ja nie mówiłem o kolegach z roku, tylko ze studiów...

— Pięć razy, średnio licząc, dziesięć... To minimum pięćdziesiąt obiektów do obserwacji. Wybacz, ale takimi siłami policja w K. nie dysponuje...

Rzeczywiście, trzeba było trochę szczęścia, aby któryś z ludzi Bielskiego znalazł się o właściwej porze na właściwym miejscu... Tego szczęścia zabrakło. Prawem równowagi — dopisało ono stronie przeciwnej. Szczęście? W tym wypadku pojęcie wysoce umowne.

Podobnie jak satysfakcja, którą trudno jakoś było mi odczuć na wieść, że struna, którą dokonano morderstwa, miała końcówki w kolorach: czerwonym przy kołku i biało-oliwkowym po stronie przeciwnej. Druga od dołu lub trzecia od góry struna *d* była rzeczywiście przeznaczona dla altowiolisty.

Pozostawała już tylko jedna — *e* — i nie ulegało wątpliwości, że będzie ona dedykowana skrzypkowi...

Ciągle niejasny pozostawał motyw obłąkańczej serii zabójstw. Początkowo wszystko wskazywało na chęć późnej zemsty z powodów osobistych. Sprawca, niemogący przez lata uporać się z faktem śmierci ukochanej — bez względu na to, czy sam przyczynił się do niej, czy też nie — w grupie dawnych kolegów odnalazł zbiorowego winowajcę. Dlaczego zbiorowego, skoro bezpośrednim sprawcą jego cierpienia była ofiara numer dwa: Marcisław Rosner? Czy śmierć Marty była jedynym motywem szalonych działań? Nieco późno na tego rodzaju odkrycia... Ale przecież nie szczędziłem wysiłku ani czasu! Odnalazłem w sieci wynurzenia obłąkańca. Pojechałem ich tropem nawet do Londynu. Nie zaniechałem śledztwa także wtedy, gdy własny świat walił mi się na głowę. Ciągle na nowo odnajdywałem wąż i rwącą się przedzę informacji. Wszystko na nic...

Było źle, fatalnie, beznadziejnie. Z której strony nie spojrzeć, działy się rzeczy dramatyczne, tragiczne wręcz... W dodatku nie mogłem pozbyć się myśli, że do ostatniej zbrodni mogłoby nie dojść, gdybym w porę zareagował na sygnał wysłany przez profesora Królka. Być może częściowo usprawiedliwiały mnie okoliczności, ale wcale nie czułem z tego powodu ulgi.

Jeśli koncepcja „kompletu strunowego” była słuszna — a coraz więcej na to wskazywało — pozostawała jedna potencjalna ofiara. Miałem jeszcze szansę przyczynić się do jej ocalenia. Niestety; człowiek, który mógł udzielić potrzebnych informacji, tego wieczoru pożegnał się ze światem.

Inna sprawa, że założenie, jakoby „Struniarz” miał ograniczyć się do czterech ofiar — jako paraleli strun w komplecie — było również czysto hipotetyczne. Po pierwsze: wraz z ofiarami londyńskimi już teraz była ich piątka. A kto mógł zagwarantować, że uskrzydłony sukcesami psychopata nie wynajdzie wkrótce kolejnej morderczej konkwisty?

Przyszło mi do głowy pewne posunięcie; szkoda, że dopiero teraz, ale spraw, które powinno zrobić się wcześniej, jest w życiu całe mnóstwo.

„Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj” — stoi w jawnej kontrze do *semper maniana*... Najlepiej, gdy wszystko dzieje się wtedy, kiedy powinno. Czysta utopia... Tak czy inaczej, z

realizacją swojego planu musiałem wstrzymać się do jutra.

Czułem się jak na karuzeli obsługiwanej przez szaleńca, którego ambicją było osiągnięcie takiej szybkości, bym wyleciał z gondoli. Moim zadaniem było coś dokładnie przeciwnego. Utrzymać się w niej, choćby krajobraz wokół zamazał się od pędu. I w dodatku — skutecznie działać.

Do przeczytania *Pamiętnika Szytgara* chciałem przystąpić w pełnym skupieniu i samotności. Nie chodziło tu, broń Boże, o jakieś egoistyczne pobudki. Jeśli jednak dokument ten miał naszkicować drogę do uwolnienia Antosi, musiałem prześwietlić każde zapisane w nim słowo. I to po wielokroć. Eston skwitował mój powrót radością, ale i zniecierpliwieniem. W miarę, jak dochodził do siebie, wracała naturalna witalność i potrzeba rozładowania rozpierającej go energii. Krótki spacer nie zadowolił go. Postanowiłem mu to zrekompensować następnego ranka.

Sebastiana nie informowałem na razie o znalezisku. Oszczędziłem mu też informacji o kolejnej ofierze „Struniarza”. Ponieważ rzecz wydarzyła się w miejscu publicznym, byłem pewien, że poranne serwisy i tak doniosą o ponurym fakcie.

Gdy znalazłem się na poddaszu, na zewnątrz panowały już cisza i spokój. Eston z zainteresowaniem przyglądał się, gdy z pietyzmem zdejmowałem gumkę opasującą brązowy notes.

Oczom ukazały się stronice pokryte krótkimi zdaniem, utrwalonymi nerwowym charakterem pisma. Tylko część notesu była zapisana. Ponad połowę stanowiły czyste kartki. Wpisy były różnej długości, a dokonywano ich na przestrzeni czterech miesięcy. Ostatni był rodzajem epilogu dopisanego po dłuższej przerwie. Ogarnęło mnie wzruszenie porównywalne z tym, którego zaznawałem, odczytując stare nuty, pełne znaków i uwag kreślonych anonimową ręką przed wielu, wielu laty. W takich chwilach wchodziłem na moment w czyjaś skórę, w czyjś świat, w czyjeś życie...

*20 września 1939*

*Wojna się zaczęła. Ma trwać krótko, ale kto to wie... Na razie miasto jakoś funkcjonuje. Do kopalni nawet nie docierają pomruki niepokoju. To chyba ostatnie miejsce, w którym wszystko jest tak, jak było. Lubię zjeżdżać pod ziemię. Gdy wynurzam się na powierzchnię, towarzyszy mi nadzieja, że zastanę wszystko takim jak kiedyś. Płonna, jak na razie.*

\*\*\*

*Zbombardowano miasto. Niestety, kopalnia także ucierpiała. Wzgórza stanowią łatwe cele dla atakującego lotnictwa. Nie chce mi się wierzyć, aby Niemcy nie wiedzieli, co niszczą. Z drugiej strony, któż może się spodziewać, że w głębi góry — a właściwie pod nią — kryje się kopalnia soli? Wstrząsy były tak silne, że zasypało wszystkie wejścia i korytarze. Cudem jakimś nikt nie zginął. Ludzie zdolali się wydostać, zanim słone rumowiska odcięły kopalnię od świata. Stało się dosłownie tak, jakby górka przygniotła kopalnię, a jej podziurawiona wyrobiskami struktura zapadła się w sobie. Straciliśmy miejsce pracy. I samą pracę. Przyjdzie łapać się wszystkiego, byle jakoś przeżyć.*

\*\*\*

*I rzeczywiście; zajmuję się wszystkim. Jestem szklarzem i stolarzem. Naprawiam piece. Rozwożę wózkami węgiel. Odkąd Niemcy zajęli miasto, terror regularnie nasila się. Na Żydów po prostu polują. Z jedzeniem coraz gorzej. Nie muszę chyba dodawać, że wszystko niesłone.*

\*\*\*

*Coraz trudniej opisywać cierpienia i brak nadziei. Pracy ubywa. Już nie wiem, czego się imać. Człowiek człowiekowi nie ufa. Doczekaliśmy czasów gorszych niż w koszmarnym śnie.*

\*\*\*

*Nareszcie wpadłem na pomysł. Że też zajęło mi to aż tyle czasu. Postanowiłem sprawdzić, czy nie da się jakoś wśliznąć do kopalni. Ryzyko jest, ale w tej chwili samo życie jest największym ryzykiem. Gdyby udało się dokopać do soli... Dopiąłem swego. Jest trudno, bo chodzę po zmierzchu, z samą tylko lampą górniczą. No, ale pod ziemią i tak jest ciemno. Wydaje się, że nikt nie wpadł na taki pomysł. Wynoszę po jednej bryle. Każdy większy pakunek mógłby wzbudzić podejrzliwość żandarmów. Sól okazuje się dobrym towarem w handlu wymiennym. Aż się dziwię, że nie mam konkurencji. Pieniądze już dawno nie mają wartości. Cofamy się w rozwoju cywilizacyjnym. To tylko jeden z przykładów.*

\*\*\*

*A jednak ktoś próbował. Odnalazłem zwłoki nieznanego mi człowieka. To nie był nikt z naszych. Nie wiedział, jak poruszać się po rumowisku. To dziwne, ale w słonym środowisku ciało uległo jakby zakonserwowaniu. Urządziłem mu symboliczny pochówek.*

\*\*\*

*Dzisiaj zapuściłem się głębiej niż zazwyczaj. Przyszło mi do głowy, że może uda się odnaleźć jakieś zasypane narzędzia, lampy, kaski. Teraz wszystko jest na wagę złota. W pewnym momencie wydało mi się, że wyczuwam czyjąś obecność. Ale gdy krzyknąłem kilka razy — dla dodania sobie otuchy i przestraszenia tego, kto tam był — odgłosy ucichły.*

*W kopalnianej ciszy „słyszenie głosów” to znane zjawisko.*

\*\*\*

*A jednak wróciłem. Tym razem zachowywałem się cicho. Gdy dotarłem do tego miejsca, usłyszałem gwar. Musiały go tworzyć ludzkie głosy. Wąskim korytarzem, na czworaka przedarłem się w kierunku dźwięków. Trafiłem na rozległą pieczarę, w której siedziało, krzątało się i rozmawiało kilka osób. Nie widzieli mnie, więc mogłem się im spokojnie przyjrzeć. Wyglądali na grupę wędrowców, którzy rozbili obozowisko. Ich wygląd mówił sam za siebie. To byli uciekinierzy z powierzchni życia. Jak się tu znaleźli? Co robili? W obawie, że mnie*

zdemaskują, zaczęłam wycofywać się cichcem. Jednak chodzenie do tyłu na czworakach nie jest takie łatwe. W nagle powstałej ciszy musieli coś usłyszeć. Po chwili zjawilo się koło mnie dwóch wychudzonych mężczyzn. Chwycili mnie pod ramiona i pomogli wstać. — Kim jesteś, człowieku? — Ich zaskoczenie przewyższało strach. Patrzyli na mnie jak na ducha kopalni, o którym tyle krążyło legend. Powiedziałem im pokrótce o sobie i powodach, które każą mi narażać życie w słonych osypiskach. — Kim wy jesteście? I jak się tu znaleźliście? — Odkrycie podziemnej osady było tak nieprawdopodobne, że z trudem trzymałem się przy zdrowych zmysłach. Ludzie posadzili mnie między sobą, wokół stołu wyrąbanego w solnej skale. Usłyszałem opowieść dziwną, choć opowiedzianą wzruszająco prosto. Musiała być prawdą. To były dwie rodziny — czwórka dorosłych i pięcioro dzieci. Na górze trwała nieustająca oblawa. Wspominali o jakiejś możliwości ucieczki, która zawiodła. Zrozpaczeni, wspięli się ku niebu. Postanowili czekać na świetlisty obłok, który zabierze ich ze sobą. Zabrali ze sobą tyle jedzenia, ile zdołali, i to z dobytku, co miało jakąś wartość. Czy wierzyli, że Jahwe usłyszeli ich rozpaczliwe wołanie? Przygotowali się na podróż? Czy też w rozpacz i desperacji wyszli na spotkanie śmierci? Któreś z dzieci dostrzegło szczelinę. To była stara sztolnia, którą dawno temu dostawano się do kopalni. Wśliznęło się w nią, zanim ktokolwiek ze starszych zdołał je powstrzymać. Po chwili zaczęło nawoływać z głębi ziemi. Poszerzając nieco właz, jeden po drugim przedostali się do wnętrza góry. Osuwające się masy ziemi szczęśliwie nie zasypały wijącego się korytarza. Po jakimś czasie znaleźli się w solnej grocie, która w świetle lampy naftowej „zapłonęła miliardami różowych minerałów”. Wygnańcy odnaleźli swoją ziemię obiecaną. Wierzyli, że Abba ich wysłuchał. Warunki, w których zdecydowali się przeczekać, nie bardzo nadawały się do życia. Ale czy tam na górze, w gettach, w obozach śmierci, na ulicach, a nawet we własnych domach nie czuli się zwierzyną łowną? Czy ktoś miał im do zaoferowania coś lepszego? Tutaj pozostali wolnymi ludźmi. Kiedy zużyli zapasy, musieli wysłać kogoś na powierzchnię. Najbardziej nadawały się do tego dzieci. Przesmykanie się górską szczeliną sprawiało im najmniej kłopotu. Mali obszarpańcy wracali z tym, co udało się zdobyć. Gdy pieniądze straciły wartość, przyszła pora na złoto, kamienie szlachetne, zegarki... Co tam jeszcze komu zostało. A jednak wkrótce głód zaczął dawać się we znaki. Przyszły choroby i zniechęcenie. Ale wola trwania w tym przedziwnym świecie była ciągle jeszcze silniejsza. I w takim właśnie momencie trafiłem do nich.

Czyż muszę mówić, jak wstrząsnęła mną usłyszana historia? Czy tam, na powierzchni, ktokolwiek miał pojęcie, że kilkadziesiąt metrów pod miastem wegetuje garstka nieszczęśliwców ratujących życie i godność?

Odtąd nikt już nie musi opuszczać podziemi. Zająłem się organizowaniem pomocy. Znam drogę. Dla kogoś takiego jak ja, kto rozkład kopalni ma w głowie, korzystanie z wejść podziemnych pod osłoną nocy jest nieomal dziecinną igraszką. Ale niewtajemniczony nie zaryzykuje wyprawy w głębsze rejony. Bo i po co? Tak więc ze strony ludzi nic im nie grozi. Wrogiem stały się: zimno, wilgoć, ciemności i choroby... Przynoszę jedzenie i picie, jakieś ubrania, paliwo do lamp, lekarstwa... Uczciwie wykorzystuję powierzane mi kosztowności. Tylko one mają jeszcze moc przekonywania. Nikogo nie wtajemniczam w sprawę, bo wiąże się to ze zbyt dużym ryzykiem. Moje życie nabrało nieznanego wcześniej sensu.

\*\*\*

2 października 1940

19 grudnia 1939 roku wracałem do domu po godzinie policyjnej. W zamyśleniu musiałem przeoczyć patrol żandarmerii, który złapał mnie i zaprowadził na posterunek. Trafiłem

*do podmiejskiego obozu pracy, w którym przyszło mi spędzić prawie dziesięć miesięcy. Byłem zrozpaczony nie tylko z powodu mojej rodziny. Uciekinierzy czekali pewnie na mnie dzień i noc. A właściwie jedną długą noc, która w solnych głębinach nigdy się nie kończyła. Pewnie myśleli, że ich zdradziłem. Zaprzestałem relacji w pamiętniku. Dość mi było tego, co widziałem w obozie. Gdy zaczynała się wojna, miałem zamiar dokumentować ją krótkimi opisami. Jak większość, wierzyłem, że będzie to jedynie przejściowy epizod. Odkrycie mieszkańców kopalni zmieniło wszystko. Gdy jeszcze mogłem im pomagać, powtarzałem sobie, że jest to bój, który trzeba wygrać. W obozie szybko straciłem resztki nadziei. Byłem pewien, że na obie rodziny wydany został wyrok. Nadeszła zima. Czas mijał, a ja nie wiedziałem, czy kiedykolwiek wrócę do domu. A jeśli tak, to czy odważę się ponownie odwiedzić grootę.*

*Poszedłem tam zaraz następnego dnia po zwolnieniu. Co mną kierowało? Chęć pożegnania? A może zwykła ludzka ciekawość? Odnalazłem ciszę.*

*A kiedy trzęsącymi się ze zdenerwowania i zimna dłońmi udało mi się w końcu zapalić naftówkę, moim oczom ukazał się obraz posępny i straszny, a tak piękny zarazem, że przechowam go pod powiekami do końca swoich dni. Jeszcze oko ludzkie podobnego miejsca nie widziało. Pomyślałem wtedy, że nikt nigdy nie uzyska prawa odebrania im wiecznego spokoju, za który zapłacili taką cenę. Słoną cenę... Więcej tam nie wróciłem, a tajemnicę kryształowej komnaty powierzam jedynie zapisanym tu stronicom.*

18.

Tajemnica...

Konkretna. Opisana. Nieodległa.

Ukryta. Nieujawniona. Niedopowiedziana.

Ileż to razy wydaje nam się, że już; już za chwilę wszystko się wyjaśni... Następna strona, następna ulica, następny dzień — przyniosą rozwiązanie. A może po prostu ostatnią, najważniejszą odpowiedź. Zazwyczaj okazuje się jednak, że to tylko kolejny krok — może większy od innych, czasem nawet przełomowy, ale nie ostatni.

*Usłyszałem opowieść dziwną, choć opowiedzianą wzruszająco prosto. Musiała być prawdą. To były dwie rodziny — czwórka dorosłych i pięcioro dzieci. Na górze trwała nieustająca oblawa. Wspominali o jakiejś możliwości ucieczki, która zawiodła.*

Ten fragment wskazywał, że najprawdopodobniej mamy do czynienia z dopełnieniem tajemnicy Michalewicza i Rosenberga. Sebastian był pierwszą instancją, u której postanowiłem zasięgnąć rady. Odwiedziłem go jeszcze przed spacerem; wobec Estona miałem tego ranka inne plany.

Trzeba było widzieć minę antykwarium dowiadującego się, że odnalazłem *Pamiętnika Szygara*... Gdy opisywałem okoliczności, w jakich to się stało, Sebastian zaczął mi przypominać człowieka, którego pamiętałem ze wspólnego rozwikływania tajemnicy filharmonicznych korytarzy.

— Poczekaj chwilę! — szepnął rozentuzjasmowany. — Przekonajmy się, czy to aby nie falsyfikat...

Po starannych oględzinach (słynna lupa) antykwarium orzekł, że bez dwóch zdań nie mamy do czynienia z podróbką. Drżącą ręką otworzył notatnik...

— Tak, wszystko wydaje się potwierdzać — rzeczowo podsumował lekturę. — Ta historia nakłada się na plotki, które krążyły po mieście przez lata, ale w końcu zaczęły

obumierać. Razem z tymi, którzy je powtarzali — rzekł nie bez zadumy. — Wiesz, Bartku, istnienie starej kopalni, która została zniszczona na początku wojny, jest faktem bezsprzecznym. Według powszechnej opinii, część korytarzy połączonych z szybami wydobywczymi znajdowała się u podnóża, wewnątrz czy też może pod Solną Górą. Nazwa wystarczy za komentarz, prawda?

— To przecież tam, gdzie mój warsztat samochodowy! — krzyknąłem w podnieceniu, nie zauważając nawet, że używam sformułowania „mój warsztat”. Spośród siedmiu dźwigających K. pagórków, tylko jeden miał słoną nazwę. Aż dziw, że do tej pory nie skojarzyłem faktów. Ale Sebastian natychmiast ostudził mój zapał.

— Nie gorączkuj się. Dokument nie precyzuje szczegółów. Równie dobrze mógłby informować, że na terenie rozległego parku jest zakopana złota moneta. Przychodzi mi do głowy, abyś bezzwłocznie zwrócił się do swojego przyjaciela, nadkomisarza Bielskiego. Jemu będzie najłatwiej dotrzeć do planów starej kopalni. Bez nich jesteśmy jak ślepcy we mgle.

— A ty? Myślisz, że nie uda ci się nic wyszpargalić?

Sebastian spojrział w sposób sugerujący tylko jedno: poszukiwania rozpocznę natychmiast. Ale obaj rozumieliśmy, że w konkretnej sytuacji wysiłki należy dublować, a nawet potrajać, jeśli tylko istnieje cień szansy, że doprowadzi nas to do Antosi.

No cóż, tak czy inaczej miałem zamiar wpaść na komendę. Prowadziliśmy te swoje mozolne śledztwa, sprawiedliwie dzieląc się smakiem sukcesów i porażek. Umówiłem się z Robertem na trzynastą. Wcześniej był — jak to określił malowniczo — zarąbany po wierzchołek.

Miałem cztery godziny; idealny moment, aby w końcu odstawić auto do zakładu i na przekór sceptycyzmowi antykwariusza odbyć mały rekonesans na szczycie — w istocie niewielkim płaskowyzu — Solnej Góry. Właśnie tam uciekinierzy mieli znaleźć szczelinę prowadzącą do jej środka. Nie, nie spodziewałem się jasno oświetlonego wejścia z napisem: *Do starej kopalni*. Ale od czegoś należało zacząć.

Oddając samochód o tak wczesnej porze, miałem nadzieję odebrać go jeszcze tego samego dnia. Zabrałem Estona, aby w ramach wydłużonego spaceru wrócić do domu nadsuliwskimi bulwarami. Nie wiem, ile z tego zrozumiał, ale odniósł się do pomysłu entuzjastycznie. Z ochotą zajął miejsce w wozie.

Gdy tylko wjechałem na przywarsztatowy plac, wydało mi się, że jego struktura uległa dekompozycji. Tak, jakby któryś z elementów przeniósł się w przestrzeni. A może w czasie?

Uboga część podwórca dodatkowo zubożała. Możliwe, że część wraków, sprawiających przedtem wrażenie stałych elementów, trafiła w międzyczasie na złom.

Mechanik wyszedł mi na spotkanie. Nie miał zbyt gościnnej miny.

— Zdecydował się pan? — spytał z podejrzliwością w głosie.

— Przecież byliśmy umówieni...

— No jasne, jasne, dobrze, dobrze — powtarzał słowa, jakby chcąc zyskać na czasie — po prostu wpadła mi nieprzewidziana robota, ale niech pan zostawi grata; na jutro powinien być gotów...

Za grata się nie obraziłem. Środowiskowy żargon. Ale „na jutro”?!

— A wcześniej nie da rady? — Próbowałem zakłęcia starego jak świat.

— Zobaczę, co się da zrobić — brzmiało równie stare antyzakłęcie. Wydawało mi się, że mechanik próbuje zatrzeć wcześniejszą szorstkość. — Tylko niech pan tego psa weźmie... — Spojrzał wymownie na Estona, który przybrał postawę znamionującą najwyższe podekscytowanie.

— Oczywiście. — Chyba nie myślał, że go zostawię w aucie? — Może się zapoznać z pańską suką?

— No, nie wiem, na pana ryzyko. Ona raczej nie toleruje obcych.



Domyślałem się, że nocą, gdy bramy są pozamykane, spuszcza ją z łańcucha. Eston z impetem wyskoczył z auta. Ku mojemu zdumieniu na widok wilczurki machnął tylko ogonem i zaczął wietrzyć, jakby w pobliżu znajdowało się coś interesującego go w znacznie większym stopniu. Suczka nie przejawiała agresywnych zamiarów; z mowy jej ciała wywnioskowałem, że Eston się jej podoba. Może dlatego, że najwyraźniej ją zlekceważył. Kobiety... Mój pies kręcił się w kółko. Był zdezorientowany.

— Zadzwońię do pana po południu. — Na to, że fachowiec sam się do mnie odezwie, nie liczyłem. W końcu, bez przesady...

Skinął głową na odchodnym.

Wyszliśmy na ulicę. Eston ciągnął jak opętany. Z trudem utrzymywałem smycz. Co mu się stało? Nagle zatrzymał się i zastygł w pełnym napięcia oczekiwaniu. Jego uszy zachowywały się jak radary, które właśnie pochwyciły sygnał zwrotny z odległej planety. Poczułem, jak moje serce przyspiesza; po chwili waliło jak oszalałe. Bowiem uświadomiłem sobie, że podniecenie zwierzęcia może wypływać z jednego tylko faktu: materializującej się obecności Antosi.

Usiadł, zamiatając ogonem prawie całą szerokość chodnika. Ludzie patrzyli na niego z uśmiechem i zgrabnie omijali puszystą przeszkodę. Ale dla niego przelewający się w obie strony tłumek przestał istnieć.

Eston stał się — bardziej niż kiedykolwiek — centrum swojego kosmosu. A może orbitą gwiazdy?

Środkiem chodnika zbliżał się postawny mężczyzna. Spod czapki nasuniętej prawie na oczy wymykały się kosmyki jasnych włosów. Sponad brody i wąsów w podobnym lnianym kolorze spoglądały głęboko osadzone niebieskie oczy, których spojrzenie padło w końcu na siedzącego psa. Nie miałem najmniejszych wątpliwości; z przeciwnej strony nadchodził domniemany właściciel audi A8. Mężczyzna stanął jak wryty.

— *Vilks... Tas sala neiespejams...* — Tak mniej więcej brzmiały słowa, które wymówił. Zrozumiałem tylko pierwsze z nich, ale pod obopólną reakcją człowieka i zwierzęcia musiało kryć się dużo więcej niż fascynacja dziką urodą i dziwnym językiem. Eston łypnął na mnie niepewnie, po czym podniósł się i, kładąc po sobie uszy, siadł przy lewej nodze nieznanego.

— Skąd on u was? — Mężczyzna przeszedł na mieszkankę słowiańską.

Czy mogłem choć przez chwilę wątpić, kto stoi przede mną? Wymowa błyskawicznie następujących po sobie faktów była jednoznaczna. Głęboko zakopany w pamięci język rosyjski ocknął się w jednej chwili. Nie ma to jak wymagający nauczyciele w liceum.

— *A poczemu on nie u was?*

Przedemną stał nie kto inny, jak przedstawiciel estońskiej mafii samochodowej; poprzedni właściciel Estona. Gangster gładził psa po głowie, a ten przymykał z rozkoszą oczy. Musiał zapomnieć okoliczności, w jakich się rozstawali. Może to i lepiej... Estończyk trafił dłonią na ranę przy uchu psa, który zaskomlał cicho.

— *Czto eto?* — Spojrzał na mnie groźnie.

Nie miałem zamiaru odpowiadać na tak zadane pytanie, podobnie zresztą, jak tłumaczyć mu się z posiadania Estona. Ale zamiast się obrazić, poczułem coś w rodzaju cienia sympatii do niedźwiedziowatego gościa. Dziwny był to człowiek. Nie wyglądał na groźnego przestępcę, a nawet w ogóle na gangstera, lecz prawdopodobnie znów myślałem stereotypami.

Zapadło niezręczne milczenie.

— *Eto dlinnaja istoria...* — powiedzieliśmy prawie w tym samym momencie.

Sytuacja zapętlila się tak nagle i nieoczekiwanie, że doszliśmy do identycznego wniosku: należy ją wyjaśnić. Potrzebny był neutralny grunt. Spokojny zaułek w pobliskiej kawiarni Żupy Solne (Eston, gdy chciał, potrafił robić z siebie barowego anioła), dwie kawy i brandy podane w

oldskulowych koniakówkach wytworzyły odpowiednią scenerię. Prawie jak u Hemingwaya. Albo Jacka Londona. Pies trzymał się bliżej Estończyka, co pewien czas rzucając mi jakby tłumaczące spojrzenia. Nie musiał. Eston należał do gatunku psów pierwotnych, które uznają tylko jednego — pierwszego — przewodnika. Nie mogłem mieć mu tego za złe.

— *Mienia zowut Gedete.*

— Bartosz — powiedziałem.

Złączyliśmy prawice i w tym momencie Eston położył na nich swoją łapę. Zabawne i wzruszające.

— Zacznę od końca — odezwał się po chwili Gedete, przechodząc na całkiem niezły polski. Mieliśmy tu do czynienia z gradacją emocji; w chwili największego zdumienia zareagował w gwarze ojczystej, stopniowo uspokajając się, przeszedł na rosyjski, by w końcu przypomnieć sobie, że i w lokalnym języku daje radę.

Okoliczności porzucenia Estona nie przynosiły chwały mojemu rozmówcy. Nie dziwiło mnie, że na wstępie pragnie je wyjaśnić.

— Pewnie zgadujesz, czym zajmowaliśmy się w Polsce...

— Branżą motoryzacyjną? — Nie widziałem potrzeby wchodzenia w szczegóły. Gedete docenił mój brak dociekliwości.

— No, powiedzmy, że również. Nie jestem aniołem, ale nie o tym tu rozmawiamy. Tak czy inaczej, od pewnego czasu grunt palił się nam pod nogami. Tamtego feralnego dnia mieliśmy sytuację awaryjną. Dwa uszkodzone samochody, rannego człowieka i oddział waszego CBS na głowie. „Sprzątnij go!”, wrzasnął do mnie szef, zły człowiek. „A co, boisz się, że będzie sypał?”. „Sprzątnij go albo ja ciebie sprzątnę!”. Szef zawsze trochę bał się Vilksa, który w stu procentach słuchał tylko mnie. „Nie zabiję go, mogę co najwyżej zostawić...”. Musiał widzieć jakąś determinację w moich oczach. Dobrze widział. Rozumiałem, że zwierzę nie może z nami jechać, ale nie pozwoliłbym go skrzywdzić. Miałem nadzieję, że miejscowi z pobliskiej wioski się nim zaopiekują. *Eto umnaja sobaka.* Taki pies to skarb.

Mnie nie musiał tego mówić.

— Prawie się nim zaopiekowali... Na szczęście w porę zdążyłem przeszkodzić.

Pies strzygł uszami, przenosząc wzrok to na Gedete, to na mnie, szczególnie w momentach, w których używaliśmy jego — odmiennych — imion.

— Czy Vilks po estońsku znaczy wilk?

— A dlaczego po estońsku? Ach, to dlatego mówisz do niego Eston... — Biały niedźwiedź roześmiał się basem. — Obaj jesteśmy z Łotwy. A Vilks to rzeczywiście wilk, a mówiąc dokładniej: półwilk.

Vilks-Eston wyprężył się dumnie. Tak... To tłumaczyło wiele cech jego charakteru.

— Moi rodzice mieli sukę, takiego trochę dziwoląga; krzyżówkę norweskiego psa na niedźwiedzie i czegoś strasznie pręgowanego; może zebry albo hieny? — parsknął śmiechem. — Nikt tego dokładnie nie wiedział. No i ta suka poszła któregoś razu za głosem instynktu; nie było jej w wiosce przez kilka dni, spędziła tydzień miodowy w pobliskich lasach z jakimś basiorem, co stało się wkrótce bardzo widoczne. Rodzice trochę się bali, co urodzi się z tak piorunującej mieszanki, ale ciekawość była silniejsza od strachu. Jakiś czas potem suka powiła piątkę szczeniaków. Trzy były od początku zdecydowanie dzikie, zaś dwa nieco łagodniejsze; spośród tej dwójki jeden był strasznie pręgowany. — Vilks Eston machnął ogonem.

— Te bardziej dzikie, kiedy tylko dorosły, zaczęły robić szkody w wiosce. Ludziom to się nie podobało i niestety dwójkę z nich zastrzelono. Trzeciemu udało się uciec do lasów, gdzie niewątpliwie dołączył do watahy. Miła suczka z łagodniejszej dwójki została przy rodzicach, natomiast Vilksa wzięłem ze sobą. Był niesłuchanie pojętny i szybko zrozumiałem, że będzie nie

tylko dobrym kompanem, ale i przyda się w mojej działalności... biznesowej.

Ładna działalność biznesowa; z wilkiem u boku. Chociaż... Do biznesu przydają się wilcze kły...

Zrewanżowałem się Gedete nieznaną mu historią psa.

Znalazłem go w trakcie majowej wycieczki do Krainy Wodospadów. Przywiązany do drzewa, spragniony i zdezorientowany, nie mógł liczyć na pomoc mieszkańców okolicznej wioski, którzy się go po prostu bali. Ba, kierowani swoiście pojmovanym współczuciem mieli nawet zamiar skrócić jego męki... Nietrudno zgadnąć, co myślałem o człowieku, który zgotował psu taki los. Dziś dowadywałem się, że w pewnym sensie uratował mu życie. Szczęśliwy przypadek sprawił, że znalazłem się tam właściwego dnia... Szczęśliwy dla całej naszej trójki.

Z każdym słowem było mi jednak ciężiej. Nieodwracalnie zbliżaliśmy się do momentu rozstrzygnięcia, a w świetle wymienionych już przesłanek oraz widząc zachowania Estona, obawiałem się, że nadchodzi chwila rozstania. Nawet jeśli Łotysz nie chciałby odzyskać Vilksa, nie było pewne, jak spotkanie dawnego przewodnika wpłynie na psychikę zwierzęcia. Czy po prostu nie pogna za nim na złamanie karku?

— Rozumiem, że się do niego przywiązałeś... — Gedete nie był pozbawiony ludzkich uczuć. — Ale i ja swoje odcierpiałem po jego stracie. — Jeśli było tak, jak mówił, stanął przed niełatwym wyborem. — A teraz Vilks by mi się przydał, oj przydał... Może mógłbym ci chociaż wynagrodzić koszty poniesione za opiekę nad psem?

Spojrzałem na niego w sposób, który wykluczał kontynuację tematu.

— A zły szef? Nie będzie miał nic przeciwko temu?

Tym razem Gedete spojrzał ironicznie.

— Od roku pracuję na własny rachunek. Nowy grunt, nowe wyzwania...

Jeśli profil jego działalności biznesowej nie uległ zasadniczej zmianie, to Vilks u boku mógł być faktycznie nie lada argumentem...

Zrobiło mi się nagle ciężko, tak ciężko, jak już dawno nie było. Mogłem powiedzieć: „Nie oddam ci go”. Ale czy nie złamałbym psiego serca? Któreś — ludzkie lub zwierzęce — tak czy inaczej musiało zostać złamane...

— Niech pies wybierze — powiedziałem cicho. Gedete w powadze skinął głową.

— Czy... — Zawahałem się. Przez głowę przemknęła mi straszna wizja: Eston-Vilks, odchodzi z Gedete i już nigdy go nie zobaczę. — ...zostawisz mi swój numer telefonu, na wszelki wypadek?

Choć nie łączyło nas nic oprócz Estona, liczyłem, że w głębi ducha Łotysz zrozumie moją prośbę.

— *Da, koniecznie...*

Z przegródki portfela wyjął prostą, lecz elegancką wizytówkę. Palcami wyczułem wypukłość druku.

— No, niech będzie, co ma być! — Gedete jednym haustem opróżnił zawartość swojej lampki. — Ja płacę.

Ponieważ od momentu spotkania Łotysza pies był przez cały czas bez smyczy — u mojego boku rzecz nie do pomyślenia — jego reakcje były niewymuszone. Wyszliśmy na ulicę, stając twarzami do siebie, niczym rewolwerowcy sposobiący się do pojedynku. Eston był wyraźnie skonfundowany; dopóki byliśmy razem, wymowa gestów nie była aż tak dramatyczna. To, że musi wybierać, zdawało się docierać doń i napawać go smutkiem i niepokojem. Nie było sensu przedłużać bolesnego spektaklu. Eston, czyli Vilks, zajął miejsce przy nodze Gedete... Spoglądał na mnie wymownie, jakby prosząc: Nie odchodź... Ale przecież nie mogłem zostać. Odwróciłem się na pięcie, ruszając w swoją stronę. Gedete wraz z odzyskanym towarzyszem

zrobili to samo.

Chciałem się jeszcze obejrzeć, ale nie znalazłem w sobie dość siły. Skręciłem za róg ulicy.

Wszystko działo się szybko. Za szybko. Pewnego dnia ruszyła lawina, która zabierała mi wszystko, co drogie. Porwana Antosia, słońce mojego życia... Pies, jedna z nadziei na jej odszukanie, spotyka nagle na swej drodze poprzedniego właściciela, na posłuszeństwo któremu skazany jest z racji takich, a nie innych genów... Cholera, a jeśli ten niedźwiedź znów go zostawi? Przecież mógł mi nawciskać kłamstw, w które uwierzyłem niczym nastoletnia panienka! To jasne, że Eston miał swój instykt, lecz czy to nie ja powinienem wykazać się rozumem? Przynajmniej powiem temu całemu Gedete, żeby się miał na baczości, bo jeśli jeszcze raz go skrzywdzi... Zawróciłem. Przyspieszając z każdym krokiem, modliłem się w duchu, by nie było za późno. Po chwili biegłem już jak ktoś napędzany w równym stopniu rozpaczą, co nadzieją. Z trudem wyrobiłem zakręt, zatrzymując się na sekundę, aby odzyskać równowagę.

I wtedy dostrzegłem pocisk zbliżający się do mnie z ogromną prędkością. Nie zważając na nic, ruszyłem mu naprzeciw. Pocisk rósł w oczach, potężniał z każdą chwilą. W końcu oderwał się od ziemi i pofrunął całym ciężarem w moim kierunku. Runąłem na ziemię. Z moim półwilkiem w ramionach...

Zdyszany wielkolud dobiegł po chwili.

— Gedete! Co się stało?!

— Stało się, co się miało stać. — Łotysz nie sprawiał wrażenia szczególnie zaskoczonego. — Wytrzymał tylko do drugiego zakrętu. Musiałeś coś mu zadać...

Zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć. Łotysz mnie wyręczył.

— Jeszcze dwa dni pobędę w K. Zadzwoń do mnie, jak znajdziesz czas. Chętnie się z wami zobaczę. — Biały niedźwiedź uśmiechał się zachęcająco.

Dopiero gdy odszedł, przyjrzałem się wizytówce; przy nazwisku figurowała podana w trzech językach profesja: geolog/geodeta. Nie wiedziałem, że jest aż tak popłatna...

Gdy wszedłem do gabinetu, Bielski rozmawiał przez telefon. Ruchem ręki dał znak, żebym usiadł.

— Rozumiem, proszę mi to natychmiast przynieść. — Odłożył słuchawkę.

— Dzwonili z laboratorium. Udało się uruchomić ten twój telefon. Z badań wynika, że w trakcie utopienia był prawie nowy; ktoś odebrał na nim zaledwie jednego esemesa i nakręcił filmik wideo. Ponoć ciekawy...

— A...? — Nie zdążyłem zadać pytania, bowiem Robert położył palec na ustach.

*Nie martw się, sieci zastawione* — napisała na kartce.

Rozległo się pukanie do drzwi. Na donośne „proszę” Bielskiego, ukazał się w nich technik w białym kitlu. Nie zważając na moją obecność, z miejsca przystąpił do rzeczy:

— Esemes zawiera dwa ciągi liczb: 501351 i 193235. Bez wątpienia rodzaj szyfru, ale obawiam się, że przy braku jakichkolwiek punktów odniesienia — nie do rozkodowania...

Natomiast film jest bardzo... wymowny. Czy na pewno chcą go panowie zobaczyć? — Mówił niby do nas, ale wiedziałem, że wątpiwości dotyczą mojej osoby...

— Da się to jakoś podłączyć do ekranu?

— Oczywiście. — Technik wykonał kilka zautomatyzowanych ruchów. Komputer poinformował, że plik został odebrany i zapisany.

— Odtworzyć go teraz? — widniało na ekranie.

Bielski najechał kursorem na „Tak”...

Nagranie robione było z wnętrza poruszającego się samochodu. Za oknem zamajaczyły nagle znajome postacie. Zbliżały się do pędzącego auta błyskawicznie (w rzeczywistości było rzecz jasna odwrotnie). Samochód wziął kurs na spacerującą osobę. W chwili, gdy się do niej zbliżał, dało się słyszeć wściekle szczekanie psa, potem odgłos uderzenia i skowyt. Pojazd zatrzymał się. Nagrywający oraz pozostała dwójka wyskoczyli z auta na zewnątrz. Choć wszystko skąpane było w obłokach pyłu, zapis nie pozostawiał wątpliwości: dwóch mężczyzn bez ceregieli chwyciło dziewczynę za ramiona, próbując wepchnąć ją do wnętrza pojazdu. Ranny pies raz jeszcze próbował przeszkodzić, rzucając się na potężniejszego z porywaczy. Ten kopnął go, po czym nakazując kompanowi, by przytrzymał dziewczynę, wyjął z kieszeni pistolet i z góry strzelił do bezbronnego zwierzęcia. Pies znieruchomiał. Dopiero wówczas strzelający dostrzegł, że drugi z kompanów nagrywał całość zajścia.

— *Cretino!* — krzyknął. — Przecież miałeś zarejestrować sam moment porwania. Felliniego ci się zachciało? *Che cazzo!* Daj to! — Wyszarpnął telefon z dłoni zaskoczonego operatora. Nie pofatygował się nawet, aby wyłączyć nagrywanie. Komórka, frunąc w kierunku rzeki, rejestrowała jeszcze wirujący obraz, po czym wszystko urwało się...

— Możecie to cofnąć troszeczkę... o, dobrze... zatrzymać i powiększyć?

Technik domyślał się, co dostrzegłem, i bez dalszych podpowiedzi próbował uzyskać pożądany kadr w możliwie najlepszej jakości. Po chwili prawie całą szerokość ekranu wypełniła twarz Antosi; piękna jak zwykle, ale pełna przerażenia...

Milczeliśmy.

Oto był zapis zdarzenia, które nieraz próbowałem zrekonstruować w wyobraźni. Materiał dowodowy raczej średni, bowiem mężczyźni ukryli twarze w kominiarkach. Byłem pewien, że to ja miałem stać się adresatem nagrania. Ale dowódca odezwał się w reakcji na filmowy temperament operatora. To stwarzało — niewielką, ale jednak — możliwość zidentyfikowania go na podstawie głosu. Sekwencja ze strzelaniem do psa też była całkowicie zbędna. Ujawniała posiadanie broni palnej, a byłem pewien, że don Pasquale wymaga od swoich ludzi jak najdalej posuniętej gry pozorów. Krewki *numero uno* zareagował impulsywnie. Zasada „minimum ryzyka” zwyciężyła. Zarejestrowana prawda miała na wieki spocząć w rzeczonym nurcie.

I spoczęłyby.

Gdyby nie Eston.

Bez względu na to, czy nagranie przedstawiało wartość dowodu, dla mnie było kumulacją najwyższych emocji. Zobaczyłem Antosię w chwili śmiertelnego zagrożenia. Ujrzałem scenę egzekucji Estona. Gdybym mógł, ruszyłbym teraz na skurwieli z gołymi rękami. Jedyne, co mogłem zrobić w rzeczywistości, to skoncentrować się na własnych działaniach. Rozstrzygnięcie — tak czy inaczej — musiało nadejść już wkrótce.

— Domyślałam się, że telefon zostanie u was? — spytałam.

Bielski i technik zgodnie skinęli głowami.

— Zobaczmy, co się z tego da jeszcze wycisnąć. Odzyskany materiał i ekspertyzę kryminologiczną prześlemy Włochom...

— W celu? — zapytałam szybko.

Czy nie lepiej unikać działań nieefektywnych i ryzykownych? Oficjalnie ten film nie istniał. Przynajmniej do czasu. W końcu malutki punkt na moją korzyść. Nie wiedziałem, jak Bielski chce rozegrać sprawę „ucha”, choć domyślałem się, że komórka odgrywa tu rolę przynęty. Jakby dla potwierdzenia domysłów nadkomisarz wykonał gest, który można było interpretować na wiele sposobów. No dobrze, miał prawo i obowiązek działać wedle profesjonalnej logiki śledczej. Ale nagranie chciałem wziąć ze sobą.

— Możecie mi to przegrać?

— Bez problemu. — Technik skopiował pliki i wręczył mi płytkę. — To ja już będę leciał — pożegnał się... — Odezwę się, jak coś jeszcze wygrzebiemy...

— Cześć, cześć. — Bielski nie zatrzymywał go.

— Spokojnie, to nie on — odezwał się, gdy zostaliśmy sami. — Domyślam się, że masz coś do mnie?

— Jasne, że tak. Przecież wiesz, że interesowny ze mnie gość. W trybie natychmiastowym są mi potrzebne oryginalne plany starej kopalni soli. Oraz dokładny schemat sieci kanalizacyjnej, najlepiej z tego samego okresu.

— Bo? — Jeśli Bielski poczuł się zaskoczony, nie okazał tego ani trochę.

— Bo prawdopodobnie tamtędy wiodą tropy do skarbów, które nie zmieściły się w sejfie Rosenberga.

Możliwie zwięźle i bez literackiej emfazy zrelacjonowałem nadkomisarzowi odkrycie *Pamiętnika Szytgara* oraz streściłem jego zawartość.

— Zobaczymy, co się da zrobić — obiecał lakonicznie, choć widziałem, że i jego zaczynają rozpierać emocje.

— Na kiedy? — Nie odpuszczałem.

— Najszybciej jak się da.

„Zobaczymy, co się da zrobić”. „Najszybciej jak się da”...

A jak się nie da? Nie bardzo podobały mi się odpowiedzi Roberta. Za mało wyraziste. Miałem dość pływania. Byłem żądny konkretnej akcji, przynoszącej określony skutek.

— Coś nowego w sprawie wczorajszego morderstwa?

Policjant najwyraźniej rozluźnił się; namacalna zbrodnia była dlań środowiskiem bardziej naturalnym. W końcu pracował w wydziale zabójstw.

— Tak. W komputerze denata znaleźliśmy mail sprzed trzech dni, zachęcający do wieczornych odwiedzin knajpy Na Szerokiej. W imię dawnej przyjaźni...

— Ładna mi przyjaźń... — Nie mogłem powstrzymać goryczy.

— Pytasz, to mówię. Przynajmniej wiemy, dlaczego Anatol Królek tam się wybrał. Zresztą był jeszcze dalszy ciąg... — Podał mi kartkę z wydrukiem.

*Jestem wstrząśnięty informacją o śmierci naszego przyjaciela. Tym bardziej powinniśmy porozmawiać i wyjaśnić sobie kilka spraw...*

— No i jeszcze jedno. List częściowo podobnej treści znaleziono w altance, w której ostatnio przemieszkiwał nasz jedyny fizyk w towarzystwie...

— Longin Niedorolny? To na działki dochodzi poczta? — zdziwiłem się. Pewnie nie tym, czym należy.

— Poczta nie, zresztą list to też zbyt duże słowo. Kartka, pewnie osobiście podrzucona. Podał mi arkusz papieru listowego.

*Drogi Longinie,*

*Od naszych nieszczęść minęło już tyle czasu, że pora najwyższa sobie to i owo wyjaśnić. I przebaczyć. Przeszłość mi ciąży. Spotkajmy się jutro wieczorem, jak za dawnych lat, tam gdzie zawsze, w plenerze nad Suliwą. Wyszuszmy jakąś butelczynę, a potem...*

*A potem zobaczymy...*

*W imię dawnej przyjaźni z Twoją Gabrielą...*

List był niepodpisany. Widocznie adresat nie mógł wątpić, kto jest autorem, zaś ten z kolei wolał się nie ujawniać z nazwiska lub imienia. Miał ku temu dobry powód...

— Krótko mówiąc, skusił Niedorolnego tekstem o wybaczeniu albo butelczyną. Nie wiadomo czym bardziej...

Z uwagą porównywałem korespondencję mordercy. Podobieństwo argumentów było uderzające.

— Zwróć uwagę, że mail do Królka jest w pierwszej części prawie identyczny, przy czym „miejsce w plenerze” zostało zastąpione barem Na Szerokiej. Zaś Marcisława Rosnera morderca odwiedził bezpośrednio w domu. Prawdopodobnie zniecka. Dla każdego coś miłego...

— Powiedzmy, że Niedorolny nie widział powodów, aby się obawiać. Rosner także nie, bo nie wiedział o śmierci fizyka. Ale Królek powinien być ostrożniejszy... Zastanawia mnie też, dlaczego autor listu zakładał, że Królek wie o śmierci Marcisława? Przecież prasa o tym nie donosiła?

— Prasa nie, ale środowisko aż huczy... — Po tym, co powiedziała mi Marchewka, nie miałem żadnych wątpliwości. — Nie ma lepszej poczty niż pantoflowa. Poczucie wspólnego zagrożenia mogło być dodatkowym motywem, by spotkać się ze starym znajomym...

— A jeśli coś podejrzewał, mógł zapalać chęcią upewnienia się... Jedno jest pewne; o wczorajszym zabójstwie pismaki smarują ponad miarę. Prędzej czy później poznają szczegóły morderstw, zwłaszcza ich technikę, i połączą wszystko w jeden ciąg. Ty wiesz, jaka to będzie sensacja? *Nareszcie! W końcu także u nas! Seryjny morderca zechciał postawić stopę na skromnych brukach nadsuliwskiego grodu!* — zaczął parodiować tytuły artykułów. — Założę się, że kolejna ofiara z listy „Struniarza” musi o tym przeczytać...

Wydarzenia od rana rzucające mną jak łupiną po rozszalałym morzu emocji sprawiły, że omal nie zapomniałem — a może nie miałem czasu przypomnieć sobie — o wczorajszym pomysle.

— Robert, proszę cię, poszukaj zaraz tych map. Teraz, słyszysz? — Bardziej naciskać już nie mogłem. — Ja mam coś do załatwienia na mieście. Spotkajmy się ponownie za... trzy godziny. Może być?

Nadkomisarz lekko popchnął mnie w kierunku drzwi.

— Idź, działaj. I daj działać mnie.

Bezpośrednio po studiach często wpadałem do konserwatorium, jakby w potrzebie zatrzymania lub chociaż przedłużenia chwil, które skończyły się bezpowrotnie wraz z uzyskaniem dyplomu. Jak to jest? Najpierw marzenia, aby uwolnić się od szkoły podstawowej, ukończyć liceum, uczelnię, podjąć pracę, zacząć życie na własny rachunek... A potem? Potem wspomina się i te szkoły, i ten okres beztroski, pełen możliwości, gdzie wszystko dopiero przybiera kształt, a żadne drzwi nie wydają się zamknięte...

Te, prowadzące do konserwatorium — masywnie drewniane, choć przeszklone kilkoma listwowanymi szybami, z odwiecznie uszkodzonym mechanizmem spowalniającym zamykanie (trzeba się było spieszyć, aby uniknąć ciężkiego klepnięcia w plecy) — niechętnie ustępowały pod naporem ciała. Epoki i stroje się zmieniają, ale drzwi w konserwatorium trwają na ociążałych pozycjach. Tak samo jak mury. Ale twarze inne. Teraźniejsi studenci robili wrażenie wyrośniętych dzieci. A mnie się w akademickich czasach zdawało, że jestem dorosły?

Tu i ówdzie migwały znajome lica pedagogów, ich posiwiałe głowy, pochylone sylwetki... Pośród nich prężnie kroczyli następcy; ci spośród byłych kolegów, którzy zdecydowali się związać swe losy z uczelnią.

— Cześć! Cześć! Co słychać? Jak się żyje? Pisali o waszym koncercie. Gratulacje! A ty słyszałeś o panu Królku? Podobno było więcej ofiar, wszystkie zadziergnięte strunami... Co się dzieje! Co za czasy!

Wiedziałem, słyszałem... Ale nie dla pogawędek tu przyszedłem. Droga do celu mojej wizyty i jedyna nadzieja na jej powodzenie wiodła poprzez chmurne oblicze i skomplikowaną osobowość niezmienną od lat cerberki dziekanatu na wydziale instrumentów orkiestrowych.

— Dzień dobry, pani Jolu! — uśmiechnąłem się (w swoim pojęciu) rozbrajająco.

Sekretarka zmarszczyła brwi, jakby nie dowierając, że ktoś ośmielił się zaatakować ją z imienia. Wąskie szparki oczu poszerzyły się nieznacznie. Dobry znak — poznała mnie.

— Pan Czarnoleski. Coś takiego! Nie we Włoszech? Co pana sprowadza w nasze skromne progi?

Krótkimi pytaniami dała do zrozumienia, że wie o mnie wszystko, a przynajmniej wiele.

— Trochę we Włoszech, trochę tu... — nie pozbawiałem jej prawa do zawołanej złośliwości, wprowadzając zarazem ekwiwalent lokalnego patriotyzmu. Moje polsko-toskańskie rozdwojenie było dla wielu solą w oku. — Kwartet mamy. Dopiero co graliśmy debiut w Trybunale. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że pani się pojawi — łągałem bez przekonania... — Plakaty sam rozwieszałem w hollu...

— Gdyby ktoś pofatygował się osobiście mnie zaprosić, to kto wie? Tyle tego tam wisi, że człowiek za wszystkim nie nadaży...

Nie mówiła prawdy; kto jak kto, ale ona ogarniała całość.

— Ja, w pewnym sensie, w sprawie tych plakatów. Chcielibyśmy z kolegami prześledzić historię kwartetów związanych z naszą uczelnią. Z tego, co wiem, nikt do tej pory nie podszedł do sprawy metodycznie...

Pani Jola patrzyła na mnie z ironią.

— To jakiś niezwykły wysyp zainteresowania kameralistyką. Dopiero co ktoś z Komendy Wojewódzkiej pytał o mniej więcej to samo. Ludzie niedługo zaczną robić zakłady, kto będzie następnym na liście „Struniarza”...

Byłem podwójnie naiwny. Po pierwsze, seria tajemniczych morderstw jeszcze chyba tylko w moim wyobrażeniu pozostawała wiedzą niepowszechną. Po drugie, Bielski wpadał na zbliżone pomysły o parę godzin przede mną. Może raczej wyciągał wnioski z przedstawianych mu tez. To chyba dobrze o nim świadczyło? Zostawiał mi wolną rękę, nie informując o swoich działaniach. Chyba po to, by nie podcinać skrzydeł mojej fantazji...

Próbowałem zachować twarz.

— A... co pani powiedziała policji?

— Panie Bartku — pamiętała nawet moje imię — kiedyś programów nie drukowało się tak łatwo jak teraz. Więc jeśli są jakieś pamiątki, to w formie ręcznie wykonywanych plakatów. A te z kolei wiszą na ścianach konserwatorium, czyli są ogólnie dostępne. Niczego nie musiałam szczególnie ułatwiać.

Kombinowałem szybko. Gdyby Bielski czegoś się dowiedział, akurat o tym nie omieszkałby mnie poinformować. Zresztą znałem te plakaty; przez lata studiów mijałem je setki, może tysiące razy. Pamięć wzrokowa przywoływała nazwiska, daty, kolory... Wśród nich nie znajdowało się to, czego szukałem. Powielanie działań policji byłoby stratą czasu.

— Chyba że coś się zaplątało jeszcze na strychu, ale tam to z kolei Łodzia pana nie wpuści...

Popatrzyłem błagalnie. Niechże pani Jola udowodni pani Łodzi, kto tu rządzi.

— No dobrze, dobrze, co ja z wami mam... — narzekała w swoim stylu, choć wiedziałem, że w gruncie rzeczy cieszy się, mogąc być pomocną. Pocziwa pani Jola. Tylko ona mogła przeprowadzić mnie przez znacznie trudniejszą przeszkodę, jaką była niewielka, sucha jak wiór, choć zawsze wzorowo uczesana portierka.

Pani Łodzia należała do kategorii uczelnianych hardcorowców. Któregoś dnia byłem



świadkiem, jak w progach konserwatorium stanął pewien amerykański stypendysta. Z powodu ostrego mrozu trzymał zmarznięte ręce w kieszeniach puchowej kurtki.

— A ty co? Ręce w kieszeniach to se możesz na Kamczatce trzymać! — zaatakowała portierka bez pardonowo. Yankee otworzył ze zdumienia buzię; już wiedział, że łatwo nie będzie.

Pani Lodzia nie okazywała uczuć (w kwestii, czy je posiadała, trwał nigdy nierozstrzygnięty spór). Ponieważ jednak uznawała delikatną wyższość sekretarki w hierarchii uczelnianej administracji oraz poczuwała się do solidarności pokoleniowej z wyżej wymienioną, bez dłuższych medytacji wręczyła mi klucz od strychu.

— Żeby tylko czego nie ukradł! — rzuciła zniechęcająco pro forma. Byłem pewien, że w razie najmniejszych podejrzeń jest gotowa poddać mnie kontroli osobistej, co w świetle wymienionych już okoliczności nieszczęśliwie by mi się uśmiechało.

Z uwagą stawiałem kroki pośród starych klawikordów, kontrabasów z numerem ewidencyjnym wysmarowanym farbą olejną na boczkach; choć nie były instrumentami lutniczymi — odbierałem to jak akt barbarzyństwa. Kikutami strun szczyrzyły się dwie harfy (szczęście w nieszczęściu, że „Struniarz” nie zamierzał posłużyć się harfowym zestawem, liczącym strun czterdzieści i sześć). Był klawesyn i dwa pianina...

Znalazłem kilka zdezawuowanych pulpity, jakieś krzesła i stołki, sterty nut przykrytych warstwą kurzu. Każdy przypadek łądował tu nie bez powodu. Starsze ustępowało miejsca młodszemu, a funduszy na remont, naprawę i konserwację — specjalistycznego jak by nie było — sprzętu, zapewne brakowało. A szkoda, bo większość zgromadzonych instrumentów dałoby się odrestaurować. Przywrócone dawnej świetności znów cieszyłyby oczy i uszy melomanów...

Potknąwszy się o starą piszczałkę organową z sali koncertowej, o mało nie wpadłem do pudła zawierającego kilkadziesiąt papierowych zwojów. Rozwijając pierwszy z brzegu, wzniciłem tumany niewidocznego w półmroku, ale wyczuwalnego w nosie dostojnego pyłu. Dramatyczne kichnięcie oczyściło rozwinięty plakat z warstwy kurzu osiadającego nań latami.

*Uroczysty Koncert Orkiestry Studentów Państwowego Konserwatorium w K.* — głośił nagłówek.

*Karol Maria von Weber — Uwertura do opery „Oberon”, Niccolò Paganini — I Koncert skrzypcowy D-dur, Sergiusz Rachmaninow — II Koncert fortepianowy c-moll...*

Nie, nie tego szukałem.

Ale czegoś w tym rodzaju.

Rozwijałem kolejne afisze w nadziei, że na którymś dostrzegę znajome nazwisko. Lub nazwiska. Przed oczami fruwały wyswobodzone z niewoli strzępy przeszłości. Koncerty kameralne, symfoniczne i recitale. Występy gości konserwatorium, profesorów i studentów. Zasywał mnie grad uwolnionych dźwięków...

Jeden z moich przyjaciół, kompozytor nawiasem mówiąc, kolekcjonował plakaty informujące o wykonaniach jego utworów. Studio, w którym pracował, było nimi obwieszane, jednak wszystkie wisiały do góry nogami.

— Jest ku temu jakiś szczególny powód? — pytałem zaskoczony.

— Oczywiście — odpowiadał z przekonaniem. — Afisz jest przekazem dezaktualizującym się wraz z datą imprezy. Mam do nich sentyment, ale nie chcę żyć przeszłością — tłumaczył. Chyba go rozumiałem.

Gdy w pudle zostały już tylko trzy rulony, zacząłem odliczanie.

Jednak tym razem wąska uliczka nie miała okazać się ślepą. Przedostatni z plakatów objawił moim oczom zdumiewającą treść...

Zapowiadany koncert odbył się w sali kameralnej konserwatorium 16 czerwca 1979

roku. Na program złożyły się utwory Stanisława Moniuszki, Grażyny Bacewicz oraz Franciszka Schuberta.

*Kwartet d-moll nr 14 D 804 „Śmierć i Dziewczyna”.*

Poczułem silniejsze bicie serca. Czy nie za wcześnie? W wątlym świetle z trudem odcyfrowałem zapisane mniejszą czcionką nazwiska muzyków. Z niedowierzaniem czytałem od dołu.

*Gabriela Budrys — wiolonczela*

*Anatol Królek — altówka*

*Marcisław Rosner — drugie skrzypce*

...

Jedynym ze składu, który ciągle żył (tak przypuszczałem!) był pierwszy skrzypek o zupełnie, ale to zupełnie nieznanym mi nazwisku! A może by tak wynieść plakat ze sobą i poddać go oględzinom w świetle dnia? Wizja kontroli osobistej w wykonaniu pani Łodzi szybko ostudziła mój zapał. Znalezisko należało przeanalizować tu, na miejscu, ale wątpliwy blask kilku dogorywających żarówek nie wystarczał. Przesunąłem się w kierunku jednego z niewielkich świetlików. Tak, teraz dało się dostrzec więcej. Ponownie wlepiłem wzrok w nazwisko prymariusza: *Marceli Kalinuda*.

Nie, nie znałem go. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Nie kojarzyłem z żadnym innym plakatem ani programem. Nigdy z nikim o nim nie rozmawiałem. Nikt nigdy o nim nie wspominał. Dlaczego więc postać będąca doskonałym anonimem budziła niezrozumiałe skojarzenie?

Coś różniło krój liter, którym zapisano nazwisko pierwszego skrzypka. Przeciągnięcie palcem utwierdziło mnie w przekonaniu, że napis został doklejony! Poczułem dreszcz: pod doklejką znajdowało się prawdopodobnie nazwisko mordercy. Teraz nie miałem już wątpliwości: plakat powinien trafić do laboratorium kryminalistyki. Uszkodzenie danych spod doklejki mogło być równoznaczne z utratą kluczowej poszlaki.

Ale wybaczenie; nie miałem już cierpliwości na te wszystkie analizy i ekspertyzy, czas kopał mnie po piętach i gryzł po łydkach. Najdelikatniej jak się dało, podważyłem scyzorykiem wąski pasek papieru. Klej starej generacji („biurowy”) wykruszył się przy pierwszym kontakcie z ostrzem. Moim oczom ukazał się nieco wytarty, ale wystarczająco czytelny werdykt.

*Albert Plejada*

Marceli Kalinuda stał się jego zamiennikiem *last minute*.

Plejada został wyrzucony z kwartetu w przeddzień koncertu. Dlaczego tak się stało, nie miałem pojęcia. Uraz psychiczny, jakiego wówczas doznał, zaważył na jego dalszym życiu. A także na życiu (w sensie dosłownym) tych, którzy mu go zafundowali. Ponad wszelką wątpliwość należało przyjąć, że kolejnym celem na liście zabójcy jest człowiek, który pamiętnego dnia zastąpił go na miejscu lidera kwartetu.

Kim był? Podekscytowany wróciłem do sekretariatu.

— Pani Jolu, czy mówi pani coś nazwisko Marceli Kalinuda?

Sekretarka spojrzała na mnie bystro.

— Pan żartuje, prawda?

— Przepraszam, w jakim sensie miałbym żartować?

Jej kolejne słowa mało nie powaliły mnie na ziemię.

— Jeśli pan nie wie, to moja odpowiedź jest jedna: nikogo takiego nie ma. I nigdy nie było.

— Jak to?!

— A jeśli był, to zniknął, wyparował...

— Ale to kwestia życia i śmierci!

— Panie Bartku — uśmiechnęła się. — Do kogo ta mowa? Już niejeden próbował, ale nikomu się nie udało. Choć akurat pan... Myślałam, że pan jest lepiej zorientowany...

Jasna cholera! O co jej chodziło?

— Proszę nie tropić miraży, panie Bartku. Jeszcze raz powtarzam: Marceli Kalinuda — nawet jeśli kiedyś istniał — nie istnieje. A jak zagrozić komuś, kogo nie ma?

Po minie pani Joli pojąłem, że dalszy trud jest zbyteczny. Nie miałem tu już czego szukać.

Stałem się tak częstym gościem w gmachu Komendy Wojewódzkiej, że dyżurujący przy wejściu policjant przestał żądać ode mnie przepustki. Przychodząc do Bielskiego z potwierdzoną tożsamością mordercy, miałem nadzieję na uzyskanie czegoś równie cennego: przedwojennego schematu kanalizacji, a przede wszystkim planów nieistniejącej już kopalni.

— Mam mieć — rozczarował mnie nadkomisarz. — Prawdopodobnie jutro. Okazuje się, że dokumentacja przedsiębiorstwa znanego przed wojną pod nazwą Żupy Solne trafiła do Centralnego Archiwum Akt Dawnych, a tam jakoś nietęgo na razie z komputeryzacją. Przynajmniej rzeczy naprawdę starych, jak tłumacza. Na szczęście mam w stolicy kogoś, kto się tym zajmie.

— Zajmie?! Chciałeś powiedzieć: zajął...

— Nie łap mnie za słowa... — Bielski, jeśli mu na tym zależało, potrafił być wyjątkowo mało przekonujący.

— A to? — Wskazałem na kartograficzne wydawnictwo leżące na biurku.

Nadkomisarz zmieszał się trochę.

— Amatorski przewodnik, żadne kompendium — rzucił lekceważąco. — W poważnych sprawach trzeba opierać się na poważnych i sprawdzonych dokumentach. Krótko mówiąc, cierpliwości. — Zapalił jakiegoś specyficznym pachnącego papierosa bez filtra, jakby za chmurą gryzącego dymu chciał ukryć cień niedopowiedzenia.

— Co to jest? — Skrzywiłem się mimowolnie.

— Gitanes, czarny tytoń, niezły wykop.

— Cyganka prawdę ci powie...

— Co? A tak, tak, rzeczywiście... — Ruszył tropem lingwistycznym.

— Mam tu jeszcze coś — wyjął spod spodu postrzępiony tomik pod nazwą *Jura Suliwska* — ale i tego ci nie wręcę, boś gotów podjąć samodzielne, a nierozważne działania. A ponieważ lepiej, aby żaden z tych dokumentów nie wpadł w niepowołane ręce... — Spojrzał na mnie znacząco. Oba wydawnictwa trafiły do szuflady, którą Bielski zamknął na klucz.

— A właśnie... — Spytałem wzrokiem o domniemanego agenta don Pasquale. Robert nakreślił w powietrzu kształt mogący symbolizować siatkę rybacką, po czym prawą ręką zaimitował ruch płynącej ryby. Zrozumiałem, że odegrane właśnie przedstawienie z dokumentami było jednym z elementów połowu. Rybak jak ta lala...

Miałem zamiar działać na własną rękę. Słowa Bielskiego nic tu nie zmieniały. Byłem niemal pewien, że Sebastian zdobył w międzyczasie coś przynajmniej równoważnego białym, hm, raczej szarym krukem, które Robert tak skrętnie zamknął w szufladzie. Z planami kopalni sprawa była jednak gorsza; nie pozostawało mi nic innego, jak czekać... Chyba żeby... W głowie kiełkował śmiały pomysł.

— A teraz niech pan słucha, nadkomisarzu. Zdaje się, że moje informacje są nieco kompletniejsze. Może pan z czystym sumieniem odwołać większość swoich agentów. Ewentualnie przerzucić ich do ochrony wyłącznie jednej osoby. Jest nią — uwaga, uwaga — niejaki Marceli Kalinuda.

— No cóż, nie znam gościa... — Robert był chyba z lekka rozczarowany.

— Ja też pierwsze o nim słyszę, choć to musi być ktoś ze środowiska... Pomyśl tylko:

czy nazwiska Budrys, Rosner, Królek — nie wspominając już o Niedorolnym — mówiły ci cokolwiek jeszcze miesiąc temu?

— W sumie masz rację... W naiwności swojej człowiek zawsze oczekuje jakiegoś spektakularnego finiszu... Marceli Kalibuda, powiadasz?

— Kalinuda...

— Może być Kalinuda... Spójrzmy tylko... — Stukał w klawiaturę. — Nic, zupełnie nic. Wedle naszej bazy danych, taki człowiek nie istnieje...

— A czy wasza baza danych jest nieco kompletniejsza od książki telefonicznej?

Robert prawie się obraził.

— Jeśli mam szukać tego całego Kalibudy — wiedziałem, że celowo przekręca nazwisko — który prawdopodobnie w ogóle nie istnieje, to chciałbym chociaż poznać rzetelny powód takiej misji...

— Sprawy ułożyły się w logiczny i kompletny ciąg. Jeśli zechcesz, zapoznam cię z nim pokrótce.

Głębokość zaciągu wykonanego czarnym tytoniem świadczyła, że nadinspektor zamienia się w słuch.

— W latach akademickiej młodości Albert Plejada spełniał się w dwóch sferach, które czyniły go szczęśliwym, i takąż radosną treścią miały wypełnić jego żywot. Były to w równym stopniu miłość do pięknej Marty i kwartet smyczkowy noszący jego dumne imię. Uczucie dziewczyny okazało się iluzoryczne; prysło jak bańka mydlana, zdmuchnięta pierwszym podmuchaem autentycznego zadurzenia. Podobnie z zespołem kameralnym; na strychu konserwatorium wyszperałem plakat z inauguracyjnego koncertu. Tożsamość prymariusza została zaklejona kartką papieru z nazwiskiem jego następcy. Wiesz, co to oznacza? Że koledzy wyrzucili swego lidera na zbity pysk i to tuż przed premierą! Powodów nie znam, ale nietrudno się domyślić, że szło raczej o kwestie osobowościowe, bowiem Albert nie mógł postradać skrzypcowych walorów ot tak, z dnia na dzień. Ale to nie wszystko. Nie tylko go usunęli, zastępując na pewno niezłym, choć nieznanym — wręcz nieistniejącym! — skrzypkiem, ale jakby tego było mało, postanowili zachować nazwę zespołu: w końcu Kwartet Smyczkowy Plejada lub Pleyada String Quartet brzmi naprawdę dobrze.

Bielski przestał udawać. Odpalał papierosa od papierosa.

— Oto więc pojawia się na scenie ktoś, kto za wiedzą, aprobatą, a pewnie też inspiracją trójki muzyków podsiada Plejadę na krześle pierwszego skrzypka. Natomiast skrzypek drugi — Marciśław Rosner — wyręcza go z wdziękiem w roli pierwszego amanta do ręki pięknej a kapryśnej Marty. Albert zostaje strącony w przepaść, zwłaszcza że zawsze wyobrażał sobie dużo więcej, niż Marta mu kiedykolwiek obiecywała. Zaraz potem wyjeżdża na koncerty do Skandynawii z orkiestrą filharmonii. Od profesora Królka dowiedziałem się, że w trakcie tournée zdobywa miejsce w jednej ze szwedzkich orkiestr. Od Damiana Rucacellego wiem, że była to orkiestra w Nyrshoping. Teoretycznie mógłby już tam zostać. On jednak wraca, by uporządkować wszystko od strony formalnej. A także rozliczyć się z wiarołomną. Właśnie w tym czasie — przecież razem sprawdzaliśmy daty — ginie Marta, przy której milicja odnajduje urywki z poematu *Śmierć i Dziewczyna*. Utworu, który miał być tryumfem Plejady, a stał się jego przekleństwem. Jeśli pytałbyś mnie o zdanie — ten wypadek to nie przypadek. Uszkodzenie przewodów hamulcowych w strukturze hydraulicznej małego fiata nie przerosłoby możliwości, nawet... altowiolisty. O skrzypku już nie mówiąc.

Za kłębami dymu z coraz większym trudem dostrzegałem twarz nadinspektora. Choć nie odzywał się, miałem nadzieję, że ciągle tam siedzi.

— Z braku dowodów sprawa zostaje umorzona. Plejada jest już wówczas za granicą.

Próbuje ułożyć życie od nowa, ale przeszłość go ściga. Jego dziwne, potęgujące się przez lata, obłąkańcze zachowania — opowiadał mi o nich Rucacelli — kończą się utratą pracy. Nie mogąc odnaleźć swojego miejsca, tuła się po świecie, zwolna popadając w obłąd. Konsekwentny obłąd. W końcu ląduje w Londynie, gdzie — a są to dane od Krawczyńskiego, którymi i ty dysponujesz — w kwietniu tego roku zdobywa pracę portiera w Covent Garden.

Gwałtowne wiry w chmurze dymu mogły świadczyć, że Bielski skinął głową.

— Jeśli Plejada rzeczywiście przyczynił się do śmierci Marty, narasta w nim poczucie winy, które w końcu obróci się przeciwko dawnym partnerom z kwartetu. To oni stali u progu nieszczęścia. Od ich zdrady zaczął się jego dramat i tułaczka. Ich podłość popchnęła go do zabójstwa jedynej osoby, którą kochał. Któregoś dnia Albert przeżywa olśnienie i formułuje werdykt, który ma mu przynieść ulgę. Skoro to oni ponosili zbiorową odpowiedzialność za jego nieudane życie, to nikomu innemu, tylko im właśnie należy się godziwa zapłata. Ponieważ moralna odpowiedzialność nie podlega jurysdykcji ludzkich sądów, postanawia wziąć sprawiedliwość w swoje ręce. W jednym z wypadków — chodzi o Gabrielę Budrys — los już go wyręczył. Ale chcąc w całości wypełnić plan, który przenika go dreszczem artystycznego zachwyty, znajduje ofiarę zastępczą, od której zaczyna swój koncertowy *come back* nad Suliwę. Pomijając ofiary londyńskich eksperymentów, jest w trzech czwartych drogi. Więc cóż nam pozostaje? Wielki finał! Tym trudniejszy do udaremnienia, że nie wiadomo komu pisany — zakończyłem wywód.

W miarę, gdy doprowadzałem błyskotliwą teorię do konkluzji, Bielski zaczął potakiwać. Nie przestał nawet, gdy skończyłem. Były trzy możliwości: zatrul się czarnym tytoniem, uruchomił najgłębsze procesy myślowe albo też przyplątał mu się nowy tik. Na wszelki wypadek cicho opuściłem gabinet i ponure gmaszysko komendy.

Pognałem do siebie.

Nie dawały mi spokoju insynuacje pani Joli, wedle której powinienem wiedzieć coś, o czym w istocie nie miałem zielonego pojęcia. Co powodowało jej wstrzemięźliwość? Niebezpieczeństwo, na które mogła kogoś narazić? Chyba nie. Sama powiedziała: „Jak zagrozić komuś, kogo nie ma?”. A więc raczej poczucie solidarności z osobą, której tożsamość zobowiązała się chronić z innych względów... A przecież od chwili, gdy ujrzałem nazwisko na plakacie, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest w nim coś znajomego...

Musiałem przeprowadzić dwa niecierpiące zwłoki eksperymenty. Pierwszym była partia... scrabble'a. No, może trochę nietypowa. Ułożyłem dwa wyrazy.

MARCELI KALINUDA

Pomieszałem płytki, po czym zacząłem tworzyć z nich byty wirtualne. Jeden z nich mógł naprowadzić mnie na ślad.

MAREK LALUNIA CID  
MANIEK LIC RULADA  
RUDEK ALI AC MILAN  
LULEK NACI RADAMI  
LUCIAN MIREK LADA  
KAMIL LIU DRACENA  
DAREK CIUL MALINA  
ALAN MULI RADECKI  
EMILIAN K. DRACULA

## MACIEK RUD NALALI

Absurdalna staropolszczyzna pokonała mnie. Zabawa, choć sama w sobie niezła, nie rozświeciła mroków. A gdyby tak poszukiwanej osobie zmienić płeć?

CELINA KURA DIMALI  
LIDKA MALUCIA REN  
IRINA CUD MALELKA  
LALA DREM CUKINIA  
RUDA MANIA KLECIL  
MIRELLA CUDAKIAN  
KICIULLA MERDANA  
MARLENA KICIA LUD  
MARCELINA DUKALI  
MARIA KUNDEL LICA  
LILIA MAC KUNDERA  
ULA KILIC DAREMNA

Daremna, Bartoszu, twa męka...

Od zawsze fascynowała mnie liczba kombinacji możliwych do ułożenia z kilku literek. Tu jednak było ich za dużo. Mogłem tak kombinować w nieskończoność, a przynajmniej do rana. Dokądkolwiek miała mnie ta droga zawieść — wydawała się ślepa. W głowie miałem zamęt, a rozwirowane literki tańczyły przed oczami niczym nieposłuszne iskry.

Potrzebowałem... zaraz, jak to się nazywa? Una milicja? Miluniacja? A, już wiem: iluminacja...

Pora na eksperyment numer dwa. Sprawa o kryptonimie *Skrzypek* ułożyła się w logiczną całość. Ale czy nie byłoby równie logiczne, gdyby bohater zechciał zaanonsować jej ostatni, wieńczący dzieło akord? Internetowe zaczepki „Struniarza” cechowała niezwykła ostrożność, takie *i chciałabym, i boję się*, pokazywanie rąbka obrazu i znikanie przy najmniejszej możliwości identyfikacji. Jednak to igranie było mu potrzebne do osiągnięcia pełni satysfakcji. Gdzieś mógł kryć się jeszcze jeden, ostatni ślad.

Nie wiedziałem o wszystkich środkach operacyjnych, które planował Bielski, choć większość z nich potrafiłem sobie wyobrazić. No dobrze, z wielu powodów nie miałem zamiaru uczestniczyć w ostatecznej nagonce, która zbliżała się wielkimi krokami. Ale do momentu ustalenia, kim jest tajemniczy Marcei Kalinuda, nad sprawą zawisł dodatkowy znak zapytania. Teraz, gdy sprawa wkraczała w etap finalny, chciałem raz jeszcze spróbować ścieżki, która w zasadzie naprowadziła mnie na trop. Plejada mógł ponowić zastosowany wcześniej manewr. Jakim językiem posłużyłby się w takim wypadku? Odpowiedź wydawała się stosunkowo prosta.

Zacząłem poszukiwania szwedzkiej wersji słowa „skrzypek”...

Rozczarowanie. Brzmiała identycznie jak angielska... A więc trop był fałszywy?

Jednak coś nie dawało mi spokoju. Po angielsku skrzypek to nie tylko *violinist*, ale także *fiddler*. A po szwedzku? Raz jeszcze zanurkowałem w internetową otchłań.

*Fiolspelare*. Tak brzmiała kolejna wersja słowa-klucza. Na efekt nie musiałem czekać długo.

*Fiolspelare Blog* wyświetlił się na ekranie komputera. Krótki wpis w języku polskim brzmiał następująco:

*Jeśli do tej pory nie powstrzymaliście mnie, to teraz na pewno wam się już nie uda.*

*Bowiem nie w Londynie, nie w K., ale na ziemi szwedzkiej dokona się ostatni akt dramatu. Na ziemi szwedzkiej zginie prymariusz nieszczęsnego kwartetu widm.*

Prawie odruchowo napisałem kilka słów:

*Podążam twoim śladem. Nie zgubiłeś mnie; jestem pewien, że wcale tego nie chciałeś. Odnajdę cię, zanim zapętlisz ostatnią ze strun. Altowioliście*

Bielski czuwał przy telefonie. Podzieliłem się najnowszym odkryciem, nie wspominając ani słowem o kontrwpisie. Co by to dało, prócz nadkomisarzowego sarkania?

— „Struniarz” użył terminu „ziemia szwedzka”. Czemu nie Szwecja po prostu? Co to może być ta ziemia szwedzka? I dlaczego powtórzył sformułowanie dwukrotnie?

— Chciał, żeby wbiło się w pamięć. Faktycznie, to nie brzmi jak przypadek. Syn twojego ojca, ale nie twój brat...

— Słucham? — Dywagacja nadkomisarza zabiła mnie z tropu.

— E, nieważne, taka tam próba policyjnego dowcipu... Syn twojego ojca, ale nie twój brat, to będziesz ty. Ziemia szwedzka, ale nie Szwecja, to może być każde terytorium eksterytorialne... Ambasada, konsulat, prom, samolot...

— Czy to wszystko da się jakoś skontrolować? — powątpiewałem.

— Akurat to — owszem. Informuje się służby dyplomatyczne o zagrożeniu, podaje znane szczegóły. Ci przekazują sprawę dalej. Policja bierze pod lupę przedsięwzięcia o charakterze publicznym: koncerty, wernisaże, przyjęcia, listy zaproszonych gości i wykonawców... Podobnie z liniami lotniczymi, które w tym momencie można ograniczyć do maszyn SAS-u...

— A jeśli to zasłona dymna? Jeśli „Struniarz” planuje uderzyć właśnie w Szwecji?

— To mielibyśmy problem z głowy... A mówiąc poważnie, ich organa ścigania są na bieżąco informowane o potencjalnych zagrożeniach ze strony naszych rodaków. W sprawie Plejady pozostajemy w kontakcie nie od dziś...

— O... To coś nowego. Jakież wnioski?

— Nic odkrywczego... Jak na razie niewiele nam pomogły.

— A pójdźmy jeszcze dalej; jeżeli to wszystko jest ściemą i „Struniarz” ponownie zaatakuje w K.?

— I tego nie można wykluczyć... Bartek, powiedz mi. Czy ty wiesz coś, czego ja nie wiem?

— Nie — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Bo przecież nie wiedziałem.

Przeczuwałem jedynie.

Rzut oka na zegarek przypomniał, że za niespełna pół godziny rozpoczyna się wydarzenie, które w innych okolicznościach budziłoby we mnie znacznie większe emocje: jubileuszowy koncert filharmonii pod dyktando Damiana Rucacellego. Chciałem się tam pojawić choć na chwilę.

Z wejściówką w dłoni i nadzieją w sercu wdrapmy się na filharmoniczną jaskółkę. Choć nic się jeszcze nie rozstrzygnęło, solidarnie zasłużyliśmy na chwilę odpoczynku. Żądnych nieprzerwanej akcji odsyłam kilka stron dalej, choć nie mogę zagwarantować, że nie umknie im przez to jakiś istotny szczegół.

Program koncertu jubileuszowego składał się z utworów wyłącznie orkiestrowych. To chyba jasne; przy takim gwiazdorze jak maestro R. żaden solista nie był potrzebny. Choć uroda pierwszego utworu docierała do mnie jak przez tafelę szkła, po raz kolejny nie mogłem się nadziwić, że *Serenada na smyczki op. 2* Mieczysława Karłowicza nie zajęła należnego jej miejsca



obok podobnych utworów Czajkowskiego, Dvořáka czy Elgara. Zanurzając się w nurcie fraz nasyconych romantyczną ekspresją, przypomniałem sobie, że wolna część posłużyła za ilustrację muzyczną dawnego serialu telewizyjnego pod tytułem *Doktor Ewa*.

Niestety, siedziałem jak na szpilkach, a przy dźwiękach *Walca* zamiar dezercji przybrał już całkiem realną postać. Gdy po ostatnim akordzie finałowego marsza rozległy się rzęsiste brawa, gwałtownie zerwałem się z fotela. Wzrok mój zahaczył odruchowo o sufitową szachownicę i... nieoczekiwanie spłynął na mnie spokój.

Nie spiesz się — szeptały drewniane pola, z którymi połączyła mnie kiedyś nierozzerwalna więź. Zostań, a nie zawiedziemy cię. W naszym towarzystwie dobrze się myśli...

O, tak... Przyznawałem im rację. Zwłaszcza gdy nie stoi się — jak wówczas — na balustradzie gładkiej niczym ślizgawka i węższej niż talia baleriny.

Zostałem.

Kolejny punkt wieczoru stanowiła *IV Symfonia A-dur Włoska op. 90* Feliksa Mendelssohna-Bartholdy'ego. Byłem przekonany, że propozycja włączenia jej do programu wyszła od Damiana Rucacellego. Maestro uwielbiał Italię i wszystkie jej przejawy: od kulinarnych do artystycznych, a jego nazwisko wskazywało jednoznacznie na włoskie korzenie. Ale były też inne powody. Utwór Mendelssohna należy do tych pereł literatury orkiestrowej, które publiczność zawsze przyjmuje z ochotą. To również doskonałe pole do popisu dla symfonicznej maszyny i — rzecz jasna — dyrygenta.

Dzieło jest owocem włoskich podróży kompozytora. Zachowuje najlepsze cechy indywidualnego stylu — melodyjność, wirtuozerię i zwartość formy (wydaje się, że Mendelssohn komponował akurat tyle nut, ile było niezbędnych) — wzbogaconego o bogactwo kolorytów Półwyspu Apenińskiego.

Początek symfonii jest jak wystrzał korka uwalniającego z butelki rozkoszne spumante. Cała pierwsza część to żywotność i energia napędzane słońcem Południa. W odsłonie drugiej dominuje romantyczna nostalgia, która przywodzi na myśl pielgrzymkowy charakter wolnej części *Harolda w Italii*. Pogodny, niezwykle śpiewny menuet pokazuje, jaki charakter taniec ten mógłby przybrać, gdyby wymyślono go w Italii. Część czwarta w swoim zapamiętaniu dotyczy nut wręcz obsesyjnych: to szybki, trójkowy rzymski taniec skakany — saltarello (tak przecież kojarzący się z neapolitańską tarantelą, czyli tańcem konwulsyjnym, wywołanym jadem tarantuli... Kilka dni wcześniej na pokładzie Eurostara dałem małą próbkę nowej odmiany tańca paralityczno-drgawkowego: somantelli...). Na czysto włoski charakter finału nakłada się wspomniana już lekkość kompozytorskiego pióra, którą muzykologdy ochrzczili niemieckim terminem *elfenromantiek*.

W przerwie koncertu nawet nie wstałem z miejsca. Zamknąłem oczy, a myśli przybierały formę barwnego korowodu mknącego w rytm tylko co wysłuchanego saltarello. W pewnej chwili poczułem, że ów kolorowy wąż już wkrótce eksploduje wyczekiwaną iluminacją...

Drugą część koncertu miał wypełnić ostatni poemat symfoniczny Karłowicza — *Epizod na maskaradzie*.

Poemat symfoniczny to bliski krewny symfonii programowej. Choć krótszy (przeważnie jednocześnie), podobnie jak jego starsza siostra posługuje się programem literackim i jest gatunkiem na wskroś romantycznym. Za twórcę gatunku uważa się Franciszka Liszta; jego najśłynniejszym poematem są *Preludia* wg Alphonse'a de Lamartine (ojca francuskiego romantyzmu). Ze względu na swój heroiczny charakter utwór ten — chyba również często, co wagnerowski *Cwał Walkirii* — był w czasie drugiej wojny światowej wykorzystywany przez niemiecką propagandę do ilustracji doniesień z linii frontu. Ale odegrał też niepoślednią rolę w komedii muzycznej z roku 1960 — *Once More, with Feeling!* Nigdy nie zapomnę sceny, w

której despotyczny dyrygent (Yul Brynner) rozbija skrzypce na głowie koncertmistrza...

Co jeszcze pobudzało wyobraźnię kompozytorów?

U Piotra Czajkowskiego znajdziemy *Romea i Julię* według Szekspira, ale także *Wojewodę* według — uwaga — Adama Mickiewicza. Oto Bedřich Smetana i jego cykl sześciu utworów pod tytułem *Má vlast (Moja Ojczyzna)*, malujących urodę kraju nad Wełtawą. Na przeciwnym krańcu Europy Jean Sibelius opowiadał dźwiękami fińską sagę *Kalewala*. Może najbardziej znanym poematem francuskim jest *Uczeń czarnoksiężnika* Paula Dukasa — przypominam słynną wersję disnejowską, z myszką Miki w roli głównej. Nie zapomnijmy też o całkowicie innym w charakterze *Popołudniu Fauna* Claude'a Debussy'ego. We Włoszech jest Ottorino Respighi i jego tryptyk rzymski: *Pinie, Fontanny i Świąta*. I w końcu Richard Strauss. *Don Juan, Życie bohatera, Dyl Sowizdrzał, Tako rzecze Zaratustra, Don Kichot czy Śmierć i wyzwolenie* to arcydzieła gatunku.

A u nas? Jest znakomity *Step* (według Sienkiewicza) Zygmunta Noskowskiego. Przebojowy *Krzesany* i nawiązujący do tragicznej śmierci Karłowicza — *Kościółec 1909* Wojciecha Kilara. Ale przede wszystkim wspaniałe utwory Mieczysława Karłowicza. *Powracające fale, Odwieczne pieśni, Rapsodia litewska, Stanisław i Anna Oświecimowie, Smutna opowieść* czy w końcu *Epizod na maskaradzie* to dzieła wyborne, mogące zadowolić wyrafinowane gusta melomanów. Niektórzy zarzucają twórcom nadmierne zasłuchanie w muzykę Richarda Straussa, ale moim zdaniem równie dobrze można tu mówić o stylu epoki, w którym indywidualne piętno kompozytora jest wyczuwalne i niepodważalne. Uderza tragicizm jego muzyki, jakby młody przecież twórca nieustannie dostrzegał wiszący nad nim miecz przeznaczenia...

Zaginiony rękopis *Balu na maskaradzie* był ponoć opatrzony tajemniczym wpisem:

*Ja pana nie znam...*

*Idź...*

*Co minęło, nie wróci...*

*Słyszysz?*

*Odejdź — zapomnij...*

Tragiczna śmierć przerwała pracę nad utworem, dokończonym kilka lat później przez słynnego ongiś dyrygenta i kompozytora Grzegorza Fitelberga.

Orkiestra ruszyła w tany, przywołując wspomnienie scenki, która rozegrała się w tejże sali przed dwoma laty, w trakcie finałowej rundy przesłuchań do grupy altówek...

— Panie Bartoszu, poprosimy o coś z Karłowicza, może początek *Epizodu na maskaradzie*.

...

...Karłowicza...

— Panie Czarnoleski, co pan tam widzi? Przerwywamy czy spróbuje pan zagrać? A może najpierw fragment *Reńskiej* Schumanna?

— Przepraszam, co pan powiedział? Schumanna?!

Co było przedmiotem ówczesnego zamyślenia? Aby nie zepsuć frajdy tym, którzy zechcą poznać moje wcześniejsze przygody, powiem w największym skrócie — chodziło o zamianę tożsamości. Od chwili, w której ujrzałem na plakacie doklejone nazwisko, przeczuwałem, że — przy wszystkich różnicach — zachodzi tu przypadek zbliżony. Moje zabawy z płytkami scrabble'a nie były dowodem zidiocenia.

Zamiana tożsamości.

Jakie mogą być jej motywy? Może nieładne, ośmieszające nazwisko — jak u ojca Joasi?

Albo niepożądane kojarzenie z działalnością w innej dziedzinie... Zaraz...

Niczym obuchem uderzył mnie nagle fragment blogu, któremu aż do tej pory nie poświęciłem wystarczającej uwagi.

*Nie zrobili kariery ani zbiorowej, ani indywidualnej. Z jednym wyjątkiem.*

Karuzela wystartowała ponownie, z każdą chwilą nabierając szybkości.

MARCELI KALINUDA

...CELI ... KALINU ...DA ...MAR ...DAMAR

...CELLI ...RU ...CA ...DAMAN...

DAMAN?!

DAMIAN!

DAMIAN RUKACELLI!!!

Marceli Kalinuda = Damian Rukacelli!!!

Że przez „k”? Ależ to niuans! Ponieważ wersja z literką „k” nie była wystarczająco włoska, maestro zastąpił ją literką „c”...

Ale jak? Dlaczego?

Ano tak! Dlatego!

Mistrzowi niepotrzebny był mało interesujący rodowód z tak sobie brzmiącym nazwiskiem, epizod z karierą skrzypcową, który w końcu bardziej go chyba zawstydzał niż napawał dumą. Ostatecznie, kto jak kto, ale ON, geniusz, koryfeusz co się zowie, musiał się przecież urodzić z batutą w... W dłoni, rzecz jasna. Skutecznie wyparł z ludzkiej pamięci stare nazwisko i niewartą utrwalenia przeszłość. Po co komu — zwłaszcza jemu — wstydlive okoliczności wygryzienia z kwartetu jego założyciela i imieniodawcy, zakończone zresztą śmiercią młodej dziewczyny? Reakcja pani Joli — pewnie w taki lub inny sposób zobowiązanej do zachowania tajemnicy — stawała się bardziej zrozumiała.

Ale już co innego wybijało się na plan pierwszy. Oczyma wyobraźni zobaczyłem nagłówki jutrzejszych gazet: *Maestro Damian Rucacelli kolejną ofiarą „Struniarza”!* Albo: *Nawiedzony skrzypek kończy występ mocnym akordem!* Lub: *Rodzimy zabójca skuteczniejszy od profesjonalistów z włoskiej mafii!*

Plejada nie od dzisiaj szukał możliwości zemsty na Rucacellim. Kiedyś — robiąc słynną lornetkę w trakcie koncertu — ostrzegł go: „Tak, poznaję cię”. Schowałeś się za grzywą, surdudem, batutą, nową tożsamością i sławą, ale ja cię rozszyfrowałem. Tyś jest Marceli Kalinuda, człowiek, który mnie upokorzył.

Partnerzy z kwartetu w dobrej wierze odpowiadali na wezwanie starego znajomego. Może sytuacja sprzed lat do dziś obciążała ich sumienia? Rucacelli nim nie był — Plejada nie musiał znać Kalinudy osobiście. I odwrotnie; temu ostatniemu łatwiej było podjąć w kwartecie obcego człowieka. Zaś fakt, że obecnie należał do kategorii VIP-ów, od dawna limitował jego publiczną osiągalność. Rozumiałem już, że Plejada zatrudnił się w Covent Garden nie przez przypadek. On polował na Rucacellego. Szukał odpowiedniej okazji, a nawet ją prowokował. Czy dyrygent go rozpoznał? Oczywiście. W rozmowie ze mną — mimo początkowych wahań — nie ukrywał tego faktu. Zarówno skrzypek z Nyrshoping, jak i portier z londyńskiej opery napelniali go przerażeniem i wołał się od nich trzymać z daleka.

A co, jeśli Plejada wszystkich oszukał? — pomyślałem nagle. Przecież był desperatem. Obserwatorzy spodziewają się kolejnej pętli „Struniarza”, tymczasem on wyciąga pistolet i zabija Rucacellego w trakcie koncertu. Dyrygent za pulpitem, choćby nie wiem jak się wyginał, stanowi nawet dla przeciętnego strzelca cel duży i wyraźny. Wizja była tak sugestywna, że prawie w nią

uwierzyłem. Zacząłem się kręcić i rozglądać na boki, próbując dostrzec pistolet w dłoni i palec na spuście. Na jaskółce mógłby usiąść niezauważony, ale odległość do oddania pewnego strzału była nieco zbyt duża. Balkon? Może. Sala była wypełniona prawie po brzegi, jednak tu i ówdzie prześwitywało wolne miejsce. Ale najpewniejszy skuteczności byłby, siadając na parterze, w którymś z pierwszych rzędów. A jeśli muzycy by go rozpoznali? To co? Kto — oprócz Bielskiego i mnie — wiedział, że Albert Plejada jest poszukiwanym „Struniarzem”? Zaś Rucacelli nie miał przecież oczu z tyłu głowy.

Trzeba przerwać koncert, myślałem gorączkowo. Lecz jeśli morderca właśnie na to czeka? Wykorzysta powstałe zamieszanie, aby zbliżyć się do dyrygenta...

A może jest jeszcze inaczej? Plejada wmiesza się w tłumek fanów, którzy po koncercie staną w kolejce po autograf?

Musiałem natychmiast uruchomić Bielskiego. Niech postawi wszystkich swoich ludzi w stan najwyższej gotowości. Dramat zbliża się do rozstrzygnięcia; czułem to każdym włóknom swojego ciała. Cios miał paść już wkrótce — tajemnicą pozostawało, jak i z której strony zostanie zadany.

Pomimo nagłego piano orkiestry zerwałem się na równe nogi i ruszyłem ku wyjściu, nie bacząc, że koalicja melomanów zaraz dokona na mnie samosądu.

Ziemia szwedzka mogła oznaczać ni mniej, ni więcej, tylko ten kawałek szwedzkości, którą nosił w sobie Damian Rucacelli, jakby nie patrzeć, mieszkaniec Sztokholmu. Do końca koncertu zostało niewiele... Co tym razem wymyślił Plejada? Bielski zajął się kontrolą samolotów i promów, a śmiertelna groźba czała się tu, na wyciągnięcie ręki (z batutą).

— Co za brak kultury! — usłyszałem sceniczne szepty.

— Ciii... — przyłożyłem palec do ust. — Nie słyszą państwo, że grają?

Nie czekając na odzew, wypadłem z sali koncertowej. O mało nie staranowałem pana Zenka, który przechadzał się po piętrze.

— A, to pan... — machnął ręką, dając do zrozumienia, że moja niepoczytalność nie jest mu obca.

Próbowałem dzwonić, lecz komórka Bielskiego była zajęta. Pędziłem ulicą jak wicher, wiedząc, że nadkomisarz jest u siebie. Nie miał zamiaru opuszczać komendy aż do zakończenia akcji o kryptonimie *Skrzypek*.

— Moment, moment... — Robert starał się podążać moim tropem. — Przecież nasz maestro to dyrygent! I to światowej sławy, o ile mi wiadomo...

— Teraz tak. Ale kiedyś był skrzypkiem. Co odkryłem właśnie dzisiaj... Sam jestem zaskoczony, ale mało który mistrz batuty nie zaczynał od instrumentu. Dopiero gdy okazuje się, że granie jest za trudne, przerzucają się na dyrygenturę...

— Mówisz poważnie?

— Trochę poważnie, a trochę żartobliwie. Ale sens jest taki, że nie ma niczego dziwnego w fakcie, że Rucacelli grał kiedyś na skrzypcach.

Bielski niczym doświadczonego tkaczka wyłapywał końcówki przędzy i łączył je ze sobą.

— Czy mi się zdaje, czy widziałem na mieście afisze z nazwiskiem naszego mistrza?

— A myślisz, że skąd ja przychodzę?! Maestro kończy właśnie dyrygować galowym koncertem. Nawiasem mówiąc, zapewniał, że w kasie czekać będzie na mnie imienne zaproszenie... A skończyło się kupnem wejściówki...

— Faktycznie, masz jakiś patent na ratowanie mu życia. Właśnie nadarza się kolejna okazja... — Bielski zbagatelizował skargę.

— Więc sądzisz, że powinienem się nie obrażać, pójść za kulisy i powiedzieć: „Maestro,

niech pan uważa, bo dybie na pana psychopata”? Na podstawie tego, jak pozbiierał się po zamachu w Eurostarze, stwierdzam, że facet jest psychicznie silny jak czołg. Ale może ostrzec go w jakiś delikatniejszy sposób?

— Bartoszu, oczywiście, że mamy ustalone sposoby reagowania w podobnych sytuacjach. Jasne, że przy tej masie spraw, w którą jesteśmy wplątani, nie da się za każdym razem tłumaczyć wszystkiego od początku. Ale teraz muszę mieć pewność, że się nie mylisz. — Spojrzał na mnie wyraziście. — Mam ją?

— Oczywiście — odparłem ze stuprocentowym przekonaniem, którego żywot miał być wyjątkowo krótki.

— No, a ta ziemia szwedzka?

— Nie rozumiesz? Rucacelli mieszka w Szwecji. Przyleciał ze Szwecji. Trudniej o czytelniejszy znak. — Mówiłem z przekonaniem mającym wytlumić resztki wątpliwości.

Robert zdecydowanym ruchem podniósł słuchawkę służbowego telefonu.

— Odprawa u mnie za dziesięć minut — powiedział opanowanym głosem. — Co?! — wrzasnął nagle. — To niech się nie szwendają po mieście! Nie interesuje mnie to! Powtarzam: za dziesięć minut u mnie. — Robert był nieugięty. Zwracając się do mnie, powrócił do wyważonego tonu. — Nawet jeśli ubierzemy go w kamizelkę kuloodporną, to na nic...

— A gdyby chociaż zabezpieczyć mu przeguby za pomocą hardrockowych bransoletek wybijanych metalowymi ćwiekami? — zażartowałem blade. Nadkomisarz zbył mnie spojrzeniem bez wyrazu. Chociaż... Gdy odwracał wzrok, wydawało mi się, że na dnie źrenic pokazały się małe ogniki.

— A to sensacja... — Jak na dobrego policjanta przystało, Bielski najpierw działał, potem pozwalał sobie na zdziwienie. — Światowa sława ofiarą szaleńca. To dopiero byłby skandal... A jaki rozgłos... — rozmarzył się. — Oczywiście, tamtych też mi żal — dodał szybko. — Ale świat nie stosuje reguły równości...

Wiedziałem, o czym mówi. Niestety miał rację.

W drzwiach gabinetu minąłem się z grupką mężczyzn śpieszących na wezwanie szefa. Bielski rzucił się na nich z emocjonalnym monologiem, w którym dało się wyczuć przeczucie nadchodzącego sukcesu. Niech się bawią. W odprawę i obławę. Grunt był przygotowany. Przeze mnie.

Ale teraz, gdy wszystko było już więcej niż oczywiste i poustalane, gdy wypełniało mnie bez reszty niezłomne postanowienie zrealizowania pomysłu, który w międzyczasie (to był jeszcze jakiś międzyczas?) dojrzał w mej głowie, postanowiłem ostatni raz posłuchać głosu niewytłumionej wątpliwości.

Marceli Kalinuda = Damian Rucacelli. OK, to się daje zrozumieć.

Ale Damian Rucacelli = ziemia szwedzka? Czy to jednak nie trochę zbyt naciągane? Bielski też się wahał, ale — koniec końców — przedstawiłem mu pakiet całościowy, najwyraźniej spójny i przekonujący. Tylko że mnie już nie... Uparta myśl kołatała się po głowie, aż strzeliłem się w czoło zamkniętą pięścią.

Gdy wszystko zawodzi, przydałaby się odrobina magii...

Dzwon od świętego Rafała dzwicznym głosem wzywał na wieczorne nabożeństwo.

Magia, czary, czarnoksiężnik...

Czarodziej...

Mam!

Pan Twardowski! Co mi to mówi? Dlaczego czuję, że jestem blisko?

Pan Twardowski, zaraz, a może... *Pani Twardowska...*

*Jedzą, piją, lulki palą...*

Przyjemne, ale nie to...  
*Twardowski siadł w końcu stoła...*  
Nieeee...  
*Świsnął szablą koło ucha... już z żołnierza masz zająca...*

Pudło...

I nagle... (mówiłem, że to zawsze dzieje się nagle?) w uszach zaszumiła poszukiwana fraza:

*Ta karczma Rzym się nazywa, kładę areszt na waszeci...*  
Już wiedziałem, jaką to ziemię szwedzką Plejada miał na myśli.

## 20.

Gdyby maestro zmienił przyzwyczajenia i choć raz postanowił zatrzymać się w innym hotelu, wszystko byłoby jasne niczym świetlówka w południe. Cóż, kiedy dobrze pamiętałem jego słowa.

— Panie Bartku, zamieszkam jak zwykle w Luxorze, trzymają tam dla mnie zawsze piętrowy apartamencik...

Jakże mógłby się go wyrzec? Zwłaszcza że piętrowy i specjalnie dla niego...

Może więc dałem się zwieść samemu sobie? W nieustannej gonitwie myśli zacząłem przekraczać granicę między światem realnym a wymyślonym? Wpadam w obsesję, mówiąc krótko? Zanim zdążyłem się rozmyślić, oczom ukazał się fronton okazałej kamienicy pomalowanej na antracyt, z fantastycznie kontrastującymi niebiesko-żółtymi okiennicami.

Hotel Szwedzki.

Starąłem się wkroczyć w wiekowe mury (ponoć rodowód budynku sięgał czasów szwedzkiego potopu) bez widocznej zadyszki. Zależało mi na czasie, jednak pośpiech mógł zniweczyć moje plany.

To dziwne; ostatnio tak się jakoś składało, że w momentach przełomowych drogi Bielskiego i moje nie schodziły się. On był zawodowcem, ja amatorem. Jego krępowały procedury, mnie obowiązywała radosna twórczość. Byłem wolnym człowiekiem i po swojemu korzystałem z tej wolności.

Dwójka recepcjonistów płci obojga z uśmiechem odpowiadała na pytania gości, cierpliwie oczekujących na swoją kolej. Czarnowłosa dziewczyna w szarej służbowej garsonce — za to z żółtą apaszką na szyi — odezwała się miłym głosem:

— Słucham pana.

Siląc się na całkowitą obojętność, powiedziałem:

— Jestem umówiony z panem Albertem Plejadą. Może pani sprawdzić, czy jest u siebie?

— Przykro mi, ale tego rodzaju informacji recepcja nie udziela — wyrecytowała formułkę. — A kto pyta? — złagodziła nieco stanowisko.

— Bartosz Czarnoleski.

Spojrzała z zainteresowaniem, jakby nie zabrzmiało jej to całkiem obco. Pokłosie medialnej sławy? Być może gotowa była zrobić dla mnie wyjątek...

— Panie Bartoszu, musiało zajść jakieś nieporozumienie. Nikt o tym nazwisku nie jest zameldowany w naszym hotelu...

— Ach, tak...

Więc jednak kulą w płot.

— Proszę nie robić takiej miny... — Musiałem wyglądać żałośnie. — Czy mogę panu jeszcze jakoś pomóc?

— Nie, dziękuję bardzo. — Skąd to nieuprawnione „jeszcze”, myślałem z goryczą. Odchodziłem już, gdy uszu moich dobiegł głos dziewczyny skierowany do kolegi recepcjonisty.

— Arek, widziałeś dzisiaj tego lornetkowicza? To jakiś dziwny facet...

Odwróciłem się w porę, żeby zobaczyć, jak Arek, mnąc w dłoniach niebieski krawat, przecząco kręci głową.

W tył zwrot. Spróbujemy inaczej. W braku lepszego pomysłu przyłożyłem do oczu dłonie uformowane w okulary. Przez tak zaimprovizowany przyrząd optyczny spoglądałem to na dziewczynę, to na jej kolegę.

— Co, jeszcze jeden? — Recepcjonista nie mógł powstrzymać widocznego zdenerwowania, choć koleżanka próbowała go wyciszyć.

— Tak robił? — spytałem najnormalniejszym w świecie głosem. — No, to właśnie jest ten mój znajomy...

— Ale nie jego pan szuka! To obywatel Szwecji, niejaki... momencik... Fiddler Fiolspelare... — Kobieta zamilkła, zaskoczona własnym gadulstwem.

No jasne! Musiałem być idiotą, sądząc, że Plejada zamelduje się pod swoim nazwiskiem. „Struniarz” ciągle prowadził grę... Poczulem, jak cierpie mi skóra.

— Wszystko się zgadza. To artysta, używa kilku pseudonimów. Dość kontrowersyjny człowiek. Miałem go właśnie odwieźć na lotnisko... — rzuciłem w nadziei, że szansa pozbycia się lornetkowicza będzie dla recepcjonistów pokusą nie do odparcia. Nie myliłem się.

— Pokój czterysta siedem, czwarte piętro — natychmiast odezwał się Arek.

Czym prędzej — choć z zachowaniem pozorów spokoju — ruszyłem na górę.

Puszysta wykładzina tłumiła odgłos kroków. Bezgłośnie przyłożyłem ucho do dębowych drzwi pokoju 407. W powietrzu wypełnionym drobnymi odgłosami hotelowej codzienności dała się słyszeć cichutka, czysta jak kryształ melodia pieśni Schuberta.

Do czego zachęcała? Co obiecywała?

Nagle ni stąd, ni zowąd na korytarzu pojawiła się zakochana para. Ich zapal miłosny był tak wielki, że to, co czynili, można było właściwie nazwać grą wstępną.

— O, *pardon* — odezwał się mężczyzna. Akcent dowodził, że Francuzem raczej nie jest. Podniosłem palec do ust w błagalnym geście. Facet skinął głową ze zrozumieniem.

— Żadna przygód, co? — wyszeptał teatralnie.

Dziewczyna wlepiała weń zachwycone spojrzenie. Był taki męski...

Spróbowałem uciszyć ich nieco gwałtowniejszymi gestami.

— Dobra, dobra, już idziemy, frajerze. — Mężczyzna był rozczarowany, że nie pozwoliłem mu błysnąć damsko-męską elokwencją.

— Chodź, Zośka! — Pociągnął dziewczynę zdecydowanym ruchem. — Pokażę ci, dlaczego mnie nie warto zdradzać...

Zniknęli.

Ponownie zapanowała cisza, maćona teraz jedynie poszumem hotelowej wentylacji. Stałem nieporuszony, przygotowany, że drzwi znienacka się otworzą i stanie w nich rozwścieczony Plejada. Ale skrzypek musiał być zasłuchany w muzykę.

Od chwili uświadomienia sobie, czym może okazać się „ziemia szwedzka”, aż do progu pokoju 407 poruszałem się bez planu, wiedziony jedynie poczuciem konieczności działania. Co teraz? Wyważyć drzwi? Ale przecież — uświadomiłem sobie — jeśli moje podejrzenia były choć w części słuszne, jeśli w podświadomości skrzypka leżało nienazwane pragnienie, aby ktoś go w

porę odnalazł i powstrzymał, to wrota, przed którymi stałem, powinny być otwarte.

Lekkie naciśnięcie klamki dowiodło, że miałem rację. Drzwi uchyliły się bezszelestnie.

Mężczyzna siedział przy stoliku, na samym środku pokoju. Górna lampa oświetlała go niczym na scenie. Długie, ciemne, przetykane siwymi nitkami włosy częściowo zasłaniały oczy i twarz. Rękawy śnieżnobiałej koszuli podwinięte były do łokci. Czarne spodnie z lampasem zachodziły na koncertowe lakierki. Frak, kamizelka i muszka wisiały na poręczy fotela. Choć trudno było odgadnąć jego wzrost, sprawiał wrażenie mocarnego.

Na stoliku stała butelka wina oraz kielich do połowy wypełniony rubinowym płynem. Skrzypek rozrzedzał krew, a koncentrował ducha. Z niewidocznych głośników dobiegały wariacje Schuberta.

W dłoniach Fiolspelare dostrzegłem kłębek pozłacanego metalu. Nie ulegało wątpliwości, że jest to najcieńsza ze skrzypcowego zestawu struna e. Teraz już wszystko stało się jasne.

Kiedy zrozumiałem, że źródłem nieszczęścia i obsesji zawiedzionego skrzypka był niewdzięczny zespół kameralny, powinno była dotrzeć do mnie coś jeszcze. Ostatni z pożegnalnej serii występów będzie próbą udowodnienia najważniejszej prawdy: był, jest i na wieki pozostanie tylko jeden prawowity lider Kwartetu Smyczkowego Plejada.

*Na ziemi szwedzkiej zginie prymariusz nieszczęsnego kwartetu widm.*

Czy można było znaleźć bardziej dramatyczną, a zarazem bardziej przypieczętowującą formę jej wyrażenia? Plejada oddał sprawiedliwość tym, którzy na nią zasłużyli. Jego samobójcza śmierć miała zamknąć kwartetowy cykl, będąc zarazem policzkiem wymierzonym Marcelemu Kalinudzie — Damianowi Rucacellemu. Policzkiem, który — choć zrozumiały tylko dla dyrygenta — będzie go piec do końca życia.

Nieważne jest życie uzurpatora, tak samo jak nikomu niepotrzebna jego śmierć. Na nią też trzeba zasłużyć — brzmiało przesłanie. Ty całe życie udajesz kogoś innego. Ja pozostanę do końca wierny sobie. W chwili, gdy będziesz machał swoją sztuczną pałeczką, wespnę się na wyżyny sztuki...

Plejada nie miał już po co żyć. Wiedział, że śledczy prędzej czy później wpadną na jego trop. Wolał odejść na własnych warunkach. Ten akt, dokonany przy akompaniamencie muzyki Schuberta, miał go zarazem pogodzić z ukochaną, której kiedyś, w chwili rozpacz i desperacji, pomógł opuścić ten padół.

Wszystko było gotowe do zadziergnięcia złotej pętli; uścisku, który miał zakończyć — a może przywrócić? — trwanie niespełnionej miłości.

— Pan Albert Plejada, prawda?

Mężczyzna wolno przekręcił głowę w moim kierunku.

— Skrzypek, Fiddler, Fiolspelare w jednej osobie?

W jego wzroku pojawił się cień zrozumienia.

— Altowiolista?... — Mówienie przychodziło mu z trudem. Musiał już sporo wypić.

— Przez prasę zwany „Struniarzem”. A przez Martę — Bogusiem.

Ostatnie słowo spowodowało nieoczekiwaną reakcję. Albert, nie odkładając struny, podniósł do oczu zwinięte dłonie. Spojrzał na mnie przez upiorne wizjery. Poczulem, jak przenika mnie na wskroś...

— Nie... przeszkadzaj mi... — Powoli opuszczał dłonie.

— Przecież chciałeś, żebym cię odnalazł. A ja ci to obiecałem. Starczy już twoich pętli. Nie wymkniesz się tak łatwo.

— Nie przeszkadzaj mi. — Odłożył strunę. Jego głos zapulsował tłumioną pasją.

— Nie przeszkadzam ci. Chcę tylko, abyś nacieszył się owocami własnych czynów.



Zostawiałeś ślady w nadziei, że ktoś za nimi podąży. Czy temu, który podjął wyzwanie, nie należy się słowo wyjaśnienia?

Plejada chyba nie słuchał.

— Niepotrzebnie nazwałeś mnie Bogusiem... — powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

— A więc to cię najbardziej zabolalo... Od tego się wszystko zaczęło, prawda? Dla Marty nie byłeś ani Plejadą, ani nawet Albertem... Czy to był wystarczający powód, aby ją zabić?

— Co ty bredzisz? — Spojrzał zdumiony. — Chyba oszalałeś! Jak mógłbym skrzywdzić jedyną, którą kochałem? To oni... Puścili w ruch lawinę, która w końcu ich pochłonięła... — mówił coraz wolniej i ciszej, jakby przygotowując grunt pod długą, intymną pogawędkę. Dałem się zwieść; właśnie w chwili, w której spodziewałem się, że Albert zaprosi mnie do zajęcia miejsca w fotelu, ten błysnął nagle diabelskim spojrzeniem.

— A teraz odczep się ode mnie! — Błyskawicznie ujął butelkę z winem. Nie zdążyłem się uchylić. W środek czoła uderzył mnie szklany kafar. Padłem na ziemię, nieomal tracąc kontakt z rzeczywistością. W tym momencie od strony Plejady nadleciał kielich. Szkło, delikatniejsze od butelkowego (Ikea) rozprysło się na mojej twarzy. Krew wymieszała się z winem. Było mi słodko i wytrawnie...

Kiedy otwarłem oczy i z pozycji horyzontalnej spojrzałem w kierunku skrzypka, z jego zwisającej dłoni skapywały na dywan pierwsze krople krwi. Na twarzy zagościł przedziwny grymas — ni to bólu, ni to ulgi. Zanim zdołałem się podnieść, głowa Plejady opadła. Krew z nadgarstka spływała teraz strumieniem. Pokonując potworny ból głowy i zamroczenie, pozbierałem się z podłogi. Pokój wirował.

Musiałem działać szybko i w miarę przytomnie. Tylko od tego zależało, czy „Struniarz” doczeka przyjazdu pogotowia. Delikatnie osunąłem go na ziemię. Walcząc ze strachem i wstrętem, próbowałem zdjąć z jego dłoni śmiertelną opaskę. Struna była zadzierzgnięta niezwykle mocno. Kiedy w końcu obluzowałem ją trochę i, pokonując zawroty głowy i wzbierające nudności, ściągnąłem z dłoni szaleńca, krew z rozkrojonego przegubu trysnęła z nową siłą. Owinąłem ranę przyniesionym z łazienki ręcznikiem. Pod głowę i nogi skrzypka wcisnąłem poduszki.

Bielski odebrał telefon po dwóch dzwonekach.

— Robert, ambulans do Hotelu Szwedzkiego, natychmiast! — krzyknąłem. — Pokój czterysta siedem!

— Już! — Nadkomisarz nie tracił czasu na zbędne pytania.

Czując nadciągającą falę torsji, chciałem doczołgać się do łazienki, ale gdzieś w połowie drogi straciłem świadomość.

Łóżko się ruszało. Dotknąłem ręką głowy, potem twarzy. Były pokryte opatrunkami. Naprzeciwko siedział Bielski, bacznie mnie obserwując.

— Co się dzieje? — wystękałem.

— Oberwałeś w głowę.

Mnie to mówił?

— A co z tamtym?

— Zabrali go chwilę przed tobą. Nie wiem, czy go uratują... Jak się czujesz?

— Rewelacyjnie. Ale chyba żyję... Właściwie to nie mam czasu tu leżeć...

— Słuchaj, Bartoszu, nie chcę cię męczyć. Powiedz mi tylko jedno. Czy celowo wprowadziłeś mnie w błąd? — Głos Bielskiego drgał lekką urazą.

— Oczywiście! Kolejnym punktem programu było dać się zabić Plejadzie, ale mistrz

struny tym razem się nie popisał...

Dość! Chciałem wstać, lecz krępowwały mnie jakieś przewody. Kroplówka czy co?

— Spokojnie, Bartku, spokojnie. Muszą sprawdzić, czy nie masz wstrząsu mózgu. Jedziemy do szpitala.

Do szpitala? Na dzisiejszy wieczór miałem zupełnie inne plany.

Na wieść, że czaszka jest w jednym kawałku, odmówiłem pozostania na oddziale klinicznym „celem dalszej obserwacji”. Bielski zniknął gdzieś w płataninie korytarzy oznaczonych środkiem dezynfekcyjnym. Jasne. Altowiolista zrobił swoje...

Nie chciałem podwózki przez radiowóz, ambulans ani nawet taksówkę. Pragnąłem łyku świeżego powietrza. I wyciszenia. Sprawa „Struniarza” przed chwilą się dla mnie zakończyła. W gruncie rzeczy to przeniesienie punktu ciężkości poza moją osobę było mi bardzo na rękę. Spacerując z Estonem po parku, resetowałem mózg, aby przygotować się do najważniejszego zadania. Wyciągnąłem telefon i wizytówkę.

— Gedete? Chciałbym się z tobą spotkać.

Jeszcze rano nie przypuszczałem, że tak szybko wystukam numer widniejący na wizytówce Łotysza. W połowie dnia, gdy Bielski zamknął w szufladzie pomoce naukowe, zacząłem o tym myśleć.

Gedete zgodził się mnie odwiedzić bez zbędnych pytań. Okazja ponownego ujrzenia Vilksa była dlań potężnym magnesem. Aby właściwie przygotować się do spotkania, odwiedziłem antykwariat.

— Jezus Maria! Bartek, jak ty wyglądasz?! — Pytania nie dało się uniknąć, ale nie zamierzałem natychmiast zaspokoić ciekawości antykwariusza.

— Sebastian, błagam, nie teraz. Masz coś dla mnie?

— O to chodziło? — Ojciec Antosi wręczył mi dwie broszury. — Chłopcze, to ja cię błagam, uważaj na siebie...

Bolesny grymas, którym udało mi się zastąpić uśmiech, miał zaświadczyć, że przez cały czas nic innego nie robię.

Wkroczywszy na poddasze, Gedete zachowywał się dość ostrożnie, jak ktoś nie do końca przekonany, czy nie dał się zwabić w pułapkę. Miał tyle samo powodów do zaufania mi, ile ja — jemu. Czyli żadnych. Z jednym, za to potężnym, wyjątkiem, który sprawiał wrażenie wniebowziętego rysującym się sojuszem dwóch ważnych dla niego istot. Widok mojej pokiereszowanej twarzy Łotysz skomentował jedynie przeciągłym spojrzeniem. Myślę, że nie był to dla niego obrazek rzadki.

Gość obszedł wszystkie kąty poddasza. Na chwilę zatrzymał się przy zdjęciu Marty, które poprzedniego wieczoru umieściłem na pulpicie niespełniającym chwilowo muzycznych funkcji.

— Gedete, chciałem, abyś coś obejrzał.

Choć w szpitalu uraczono mnie kilkoma specyfikami przeciwbólowymi, w trakcie opowieści mógłbym poplątać wątki i naruszyć spójność dość złożonej historii. Postanowiłem zawierzyć sile obrazu.

W miarę oglądania kilkudziesięciosekundowego nagrania, poczciwa w gruncie rzeczy twarz Bałta uwidaczniała swoją drugą naturę. Dolną szczękę wysunął do przodu, a mięśnie policzków zaczęły poruszać się jakby w rytmie zawziętego żucia. W chwili, w której jeden z porywaczy strzelił do bezbronnego Estona, miałem wrażenie, że wstanie i grzmotnie pięścią w ekran. Na szczęście ograniczył się do zmiędlenia pod nosem niezrozumiałych melodyjnych słów.

— Ja jestem złym człowiekiem — odezwał się po chwili głosem ponownie wyważonym.

— Ale nie tak złym jak tamten... Tak... Chciałbym porozmawiać z tym — niezrozumiałe słowo — który strzelał do Vilksa...

Łotysz potrafił szybko powściągnąć emocje. Gdybym był jego wrogiem, ten pozornie opanowany tembr przyprawiłby mnie o ciarki.

— A kim jest ta piękna dziewczyna?

No, już myślałem, że jej nie dostrzegł...

— To Antosia, moja narzeczona. Jak widzisz, motywacja do nielubienia tych gości ma bardzo solidne podstawy...

— Skąd masz nagranie?

— Eston wyłowił telefon z rzeki nieopodal miejsca, w którym porwano Antosię.

— To mnie akurat nie dziwi; Vilks był przyuczony do odzyskiwania... pakunków z... rzeki granicznej. I to niekoniecznie bezpośrednio po wrzuceniu... Zresztą z odnajdywaniem materiałów wybuchowych (konkurencja nie przebierała w środkach) też nieźle sobie radził. I co, na podstawie tej komórki nie mogliście ich namierzyć?

— Policjanci eksperci próbowali. Ale to pewnie daremny trud, ostrzegali jeszcze przed sprawdzeniem. Przestępcy określonej kategorii nie pozostawiają za sobą elektronicznych wizytówek.

— To prawda — przytaknął Gedete. — Nic więcej się nie zachowało? Żadne numery telefoniczne? Esemesy?

— Tylko jeden. Bezwartościowy.

— Bo?

— Jakieś liczby. Rodzaj kodu, mówią eksperci. Rozszyfrowanie go może potrwać długo, a wartość uzyskanego materiału okazać się mizerna...

— Mógłbym zobaczyć?

— Jeśli tylko się przegrało...

Odnalazłem ikonkę sms i kliknąłem. Na ekranie ukazały się dwa szeregi cyfr:

501351 — 193235

Gedete wzruszył ramionami.

Czułem się dziwnie. Zawiązywany właśnie alians spychał współpracę z policją na drugi plan. Ale nie był to przypadek. Przebiegając myślą ostatnie dni, nie dostrzegałem nadzwyczajnych skutków współdziałania z dotychczasowym sprzymierzeńcem. Wcale nie byłem w nastroju do chełpienia się, ale czy to nie dzięki mnie została wyjaśniona zagadka „Struniarza”? Czy w sprawie porwania dowiedziałem się od nadkomisarza czegoś, czego bym sam nie wiedział? W czym uzyskałem konkretną pomoc? W lokalizacji lub identyfikacji porywaczy? Uaktywnieniu policji włoskiej? Odnalezieniu *Pamiętnika Sztygara*?

Gdy ostatecznie poprosiłem o drobiazg, czyli dostęp do planów starej kopalni, Bielski zaczął grać na czas. Rozumiem, miał na względzie bezpieczeństwo swoich ludzi. Ale czy choć przez chwilę pomyślał o Antosi? Do wszystkiego dochodziłem sam, a jeśli z pomocą, to nie policji, lecz Adeli, Sebastiana, Jacka... Czas pędził; boleśnie odczuwałem już prawie każdą upływającą sekundę. I wtedy właśnie Bielski mówi mi: „Nie spiesz się!”. Ja omal nie tracę życia, tropiąc i dopadając (!) seryjnego zabójcę, w zamian prosząc tylko o kawałek makulatury z planami kopalni, a on mówi mi: „Dzisiaj nie, może jutro, niebezpiecznie, poczekaj...”.

Przecież to nienormalne!

Zgoła rozpaczliwa próba znalezienia nowego sprzymierzeńca, człowieka na pewno odważnego i obeznanego z obchodzeniem pułapek i zabezpieczeń, a przede wszystkim skutecznego, nie była wyłącznie aktem desperacji. Raczej naturalną potrzebą wykorzystania wszelkich — istniejących i urojonych — atutów. Łącznie z nieformalnymi. Ze zaufanie do

Łotysza było budowane na piasku? Lepsze to, niż być przez tenże piasek pochłoniętym. Zresztą był pewien aspekt, który usprawiedliwiał moją próbę, czyniąc ją mniej szaloną, niż mogła się z pozoru wydawać:

Ale to Łotysz zadał pytanie jako pierwszy:

— Czego ode mnie oczekujesz? I skąd twoja wiara w moje siły?

— Pies nie stracił zaufania do ciebie, więc w gruncie rzeczy ufam Estonowi. Poza tym, jestem pod ścianą. Muszę podjąć ryzyko.

— Ale masz świadomość, że moje pośrednictwo w eksporcie luksusowych aut jest tylko przykrywką? Nieoficjalnie rzecz ujmując, jestem po prostu złodziejem samochodów. Owszem, luksusowych. To się akurat zgadza. Krótko mówiąc, w waszym i w kilku innych krajach europejskich powinienem być wyjęty spod prawa.

— Teraz ja z kolei nie rozumiem. Po co mnie w to wtajemniczasz?

— Szczerść za szczerść. Zresztą, jest jeszcze inny powód, ale o nim później.

— Posłuchaj, Gedete. Moje deklaracje mogą zabrzmieć melodramatycznie, teatralnie lub po prostu naiwnie. Wybierz, co najbardziej ci odpowiada. Od kilku dni drzę o życie mojej dziewczyny. O każdy jej oddech. Rozumiesz to? Skoro Antosia znalazła się w rękach ludzi pozbawionych skrupułów, to muszę dobierać sojuszników, którzy potrafią grać ostro, jeśli trzeba. Może ostrzej ode mnie. Ale jest ważniejszy powód. Na twojej wizytówce jest napisane: geodeta i geolog. Czy to również przykrywką?

— Nie, to akurat nie... Los nie zawsze dotrzymuje obietnic składanych w młodości...

— Więc masz odpowiedź! Aby ocalić życie Antosi, muszę coś odnaleźć. Aby jednak misja miała choć cień szansy na powodzenie, niezbędna jest mi pomoc geodety i geologa. Widzisz jakiegoś innego w pobliżu? I to takiego...

Nie dokończyłem, ale domyślny Gedete tylko promiennie się uśmiechnął. Mój spicz wypadał nieźle. Trzeba było postawić kropkę nad i.

— Jeszcze słowo. Współpracuję z policją, to prawda. Czasami im pomagam, na zasadzie pełnej dobrowolności. Miałem nadzieję, że tym razem oni pomogą mnie, ale niestety są nieskuteczni. Nic nie poradzę: są przejedwabiście nieskuteczni!

— Dobra, dobra, zwolnij trochę. Tego ostatniego za bardzo nie rozumiem, ale najważniejsze do mnie dotarło. Musisz zrobić coś dla porywaczy za cenę wolności, a może i życia dziewczyny. Potrzebujesz geologa lub geodety oraz towarzystwa do niebezpiecznej misji.

Pokiwałem głową.

— No więc tak, wygląda na to, że znalazłeś właściwego człowieka. O ile odważysz się mu zaufać, ale to już chyba mamy za sobą... A co z tą policją? Ty im pomagasz, a oni tobie nie chcą?

— Nie do końca tak. Pewien nadkomisarz, mój przyjaciel nawiasem mówiąc, oświadczył wyraźnie, że bez odpowiedniego rozpoznania nie podejmie akcji, w której życie i zdrowie jego ludzi mogą być narażone na szwank. Wspominał o zatrudnieniu speleologów i tak dalej... Ponieważ bał się — już trochę mnie zna — że zdecyduję się przedsięwziąć coś na własną rękę, na moich oczach zamknął pomocne dokumenty w policyjnym sejfie. — No dobra, w szufladzie, ale tak brzmiało zdecydowanie bardziej dramatycznie.

— Czyli nie masz w ogóle nic? — Łotysz uciął wątek nadkomisarza.

— Brakuje najważniejszego, czyli planów starej kopalni. Udało mi się natomiast zdobyć to — podałem mu sfatygowaną *Jurę Suliwską* z kompletem mapek kartograficznych terenu — oraz coś jeszcze. Plan miejskich podziemi, uaktualniony niespełna dwa lata temu, częściowo zresztą dzięki mnie...

Gedete z zainteresowaniem łypnął znad książki.

— Tak się zastanawiam, czym ty się właściwie zajmujesz?

— Jestem altowiolistą, ale mniejsza o to...

— Altowiolistą? Istnieje taki zawód? — Robił wrażenie zdumionego.

— Nie, wymyśliłem go sobie. — To nie był odpowiedni moment na zwiększanie puli altowiolistycznych anegdot. Zdjęty nagłym lękiem, że Gedete wyśmiej zgrupowane przeze mnie pomoce naukowe, postanowiłem zagadać jego wątpliwości. Opowiedziałem mu historię i zawartość *Pamiętnika Szttygara*. Łotysz słuchał z uwagą.

— Więc mam czekać, ale czekać nie mogę — kończyłem wywód. — Do jutra, może do pojutrze — mówi mi policjant prosto w oczy. Kiedy on potrzebuje pomocy, udzielam mu jej natychmiast, kiedy zaś jestem w potrzebie, mam czekać... Czekać...

— Dobrze już, dobrze. Zrozumiałem, że na pomoc mundurowych nie masz co liczyć. A jakiego wsparcia ty im ostatnio udzieliłeś? — W podtekście wyczułem sugestię typu: napompowałeś koła od samochodów czy raczej wyprasowałeś mundury? Dobra, niech się dowie...

— Ostatnio, i to bardzo ostatnio, rozszyfrowałem kwestię seryjnego zbrodniarza.

— Żartujesz, prawda?

— Postać „Struniarza” nie nadaje się do żartów... Moja twarz jest tego dowodem...

— „Struniarz”? Mówisz o „Struniarzu”?! Temacie numer jeden w K. i nie tylko?! — Gedete sprawiał wrażenie, jakby teraz dopiero mnie dostrzegł.

— O nim, we własnej osobie... Niespełna dwie godziny temu udało mi się gościa złapać. Dlatego wyglądam, jakbym twarzą otwierał szklane drzwi. Oczywiście nie wierzysz mi... Nie szkodzi, zdążyłem przywyknąć...

— Gdyby nie fakt, że potrafiłeś jakoś ułożyć się z Vilkssem, pewnie bym cię wyśmiał... Ale chodzi o coś innego... — Gedete popadł w krótkotrwałą zadumę. — Ta sprawa nadzwyczaj interesowała mojego tutejszego partnera...

— Nic dziwnego. Sam mówisz, że to najważniejszy temat ostatnich dni. A jeśli wspólnik gustuje w sensacji...

— Chyba nie tylko o to chodzi... A twarz masz faktycznie ładną — zmienił temat. — Myślałem, że to może specyfika zawodu albo... albo... altopinisty?

Kpił ze mnie! Kolejny pogromca altowiolistów się znalazł...

— Kimkolwiek jesteś, wygląda na to, że masz dar pakowania się w awantury. I jeszcze jeden, nawet ważniejszy: dar wychodzenia z nich prawie — tu spojrzał raz jeszcze na moje pokiereszowane lico — bez szwanku. Więc niech ci będzie. Wchodzę w to. Idę z tobą! Tylko jeszcze nie wiem dokąd...

Ten wielki mężczyzna wciąż podkpiwał ze mnie i dowcipkował. Gdyby jednak przez miesiąc szkolił się w przedmiocie „jak najskuteczniej wesprzeć na duchu Bartosza Czarnoleskiego”, nie zrobiłby tego skuteczniej.

— Abyś mógł w pełni wykorzystać moje geo przymioty, mów mi zaraz wszystko, co wiesz. A gdy już uporamy się z najważniejszym, będę miał do ciebie dwie sprawy.

Podzieliłem się wiedzą i dokumentami, choć ostatnie słowa Łotysza rzuciły pewien cień na mój bezkrytyczny dotąd entuzjazm. Obawiałem się, że w zamian za pomoc Gedete zwróci się do mnie z żądaniem zapewnienia mu przychylności, a może i opieki, lokalnej policji. Jeśli tak, to będę w kropce...

Siedzieliśmy w skupieniu nad papierami. Łotysz co pewien czas raczył mnie uwagami w stylu:

— Ale jeśli nie mamy nawet szkicu tej kopalni, to gleba, jak mówią niektórzy...

Albo:

— No tak, tu wszystko układa się w całość, ale co z tego...

Lub:

— A czy nowa kopalnia nie łączy się nijak ze starą?

— Niestety nie. Rachunek ekonomiczny nakazywał zaczęcie wszystkiego od nowa.

Nawiasem mówiąc: nowa kopalnia — nowa nazwa. Jakiś geniusz ochrzcił następczynię zasypanej staruszki mianem SÓLIWA. Przez ó zamknięte...

— *To confuse the enemy*, jak mówią Rosjanie. Czyli sprawa wygląda beznadziejnie.

Podobnie zresztą jak wasza ortografia...

Nie mogę powiedzieć, by te odzywki dodawały mi otuchy. Po kolejnej nie wytrzymałem:

— Przecież mówiłem, że domniemany plan kopalni Żupy Solne pan nadkomisarz ma dopiero sprowadzić! Gdybym go miał, nie prosiłbym cię o pomoc!

— Co powiedziałeś? Jakie Żupy Solne? Przecież w knajpie o tej nazwie piliśmy brandy! Całkiem przyzwoite zresztą... Chyba gruzińskie.

— Ale nie o knajpie mówimy, jak się domyślasz... Kopalnia znajdowała się pod górą, na której przygotowujecie... swoje — przy słowie „swoje” zawahałem się nieco — auta na... eksport — wybrnąłem elegancko.

— Co?! — wrzasnął Gedete. — I dopiero teraz o tym mówisz?!

— A jakie to ma znaczenie? — zdziwiłem się. — Zresztą myślałem, że to oczywiste...

— Dla rodowitych mieszkańców K. na pewno, ale nie dla mnie. A znaczenie jest zasadnicze. Po pierwsze, z nieosiągalną wcześniej dokładnością lokalizujemy miejsce. Po drugie, z tego, co mówił mechanik, wynika, że ta góra była w czasie wojny zbombardowana. Pokazywał mi nawet leje po pociskach.

— Tak, to prawda... — Jako dzieci urządzaliśmy tam dzikie zabawy.

— To znaczy, że wszystkie przedwojenne mapy można podpalić i wyrzucić...

O tym nie pomyślałem. Ot, geoprofan...

— Tam, w środku, jeśli został jakiś środek, musi być po prostu kupa gruzów i tyle...

Słonych gruzów, dodajmy. — Gedete zaczął ujawniać subtelne poczucie humoru.

— A jednak, jeśli wierzyć danym z *Pamiętnika*, już po bombardowaniach ktoś odnalazł wejście, a nawet tam zamieszkał...

— Oczywiście, zawsze zostają jakieś przesmyki, komory, tyle że mało co zgadza się z papierowym schematem...

— No, niby tak, brzmi logicznie...

— Więc nad czym się zastanawiamy? Podsumowując to, co powiedziałeś o Solnej Górze, dane z obu książek — nakrył wielką dłonią prawie pół stołu — i dodając do tego elementarny model samochodowej nawigacji, można ustalić hipotetyczną drogę podejścia do starej kopalni, czyli kupy podziemnych gruzów...

— Przypominam, że to właśnie z ich powodu nadkomisarz nie chciał ryzykować wejścia bez rozpoznania speleologicznego...

— Takie jego policyjne prawo. Moje jest inne. Ja jestem przestępcą. A ty? Możesz mi przypomnieć?

— Altowiolistą!

— Brzmi ładnie. Jakoś tak między jednym a drugim (znowu ta „międzowatość”: patrz *Altowiolista*, strona 88, czyli 2x... 44!). Posłuchaj więc uważnie, *gospodin* altowiolista: pozostaje nam tylko jeden problem, po rozwiązaniu którego wszystko powinno stać się jasne. Jak dostać się w miejsce, z którego można przypuścić podziemny szturm?

— A gdzie to jest?

— Tu! — Choć czubek palca pokrył całkiem spory kawałek planu, nie miałem wątpliwości. Uśmiechnąłem się, czując, jak pękają tylko co zakrzepłe blizny na mojej twarzy.

— To akurat nie powinno być trudne. Tam zakończyła się moja ostatnia wędrówka przez katakumby. Piwnica piekarni Pod Nietoperzem.

— Hm, mówisz, jakbyś rzeczywiście znał to miejsce. Aż poczułem zapach świeżego chlebka — rozmarzył się Gedete. — Jaka jest jego dostępność?

— Otwierają o siódmej rano...

Łotysz spojrział na mnie wzrokiem rannego niedźwiedzia.

— Osiągalne jest, choć na pewno trudniej niż kiedyś. Jeśli dałoby się jakoś pokonać dwa porządne zamki, jedną kłódkę i kamerę monitoringu miejskiego...

— Nie rozśmieszaj mnie. — Gedete przystąpił do składania mapy. Gdy myślałem już, że zapomniał o dodatkowych pytaniach, odezwał się ponownie. — Wracając do mojej współpracy z Wędrowcem. Łączy nas biznes. Nie za czysty, jak się domyślasz, ale powiadam sobie, że biznes z natury rzeczy polega na pewnej równowadze: żeby ktoś mógł się wzbogacić, ktoś musi zbiednieć. System naczyń połączonych, te rzeczy...

Nie musiał mi się tłumaczyć. Mimo to nie przerywałem.

— W szczegóły wchodzić nie będę, powiem tylko, że standardy mechanika — nie nazywał go z imienia i nazwiska — zdecydowanie przekraczają to, co osobiście uznają za dopuszczalne. Ten człowiek chce rolować wszystkich i wciąż. Na okrągło. Bez opamiętania. Jest cyniczny, brutalny, wyzbyty elementarnej refleksji i uczuć. Ma chyba tylko jeden słaby punkt... Prawdę mówiąc, odnoszę nieodparte wrażenie, że formuła naszej współpracy się wyczerpała. Zresztą specyfika moich działań jest taka, że lepiej nie przyzwyczajać się do miejsc i ludzi. Prędzej czy później ktoś zacznie deptać ci po piętach. A jak staniesz w przeciagu, to mogą ci odstrzelić głowę...

Ciekawy był ten monolog. Ciągłe nie byłem pewien, ku czemu zmierza.

— Mam wrażenie, że mechanik odgaduje moje plany. Muszę się mieć na baczności. On nie pozwoli, aby ktoś znający jego tajemnice stąpał bezkarnie po świecie. Nie wiem, na ile nasze spotkanie jest zbiegiem okoliczności, lecz nie powinienem zlekceważyć tak wyraźnego sygnału. Nie wszyscy wierzą w takie rzeczy. Ja tak. Kto wie, może jeszcze zostanę twoim dłużnikiem? Ale już choćby za to, co zrobiłeś dla Vilksa, pomogę ci. I jeszcze jedno; ty też uważaj na tego gościa. Przypadkowo byłem w garażu, kiedy pojawiłeś się tam po raz pierwszy. Miałem wrażenie, że nie zapalał do ciebie szczególną sympatią...

— A czy on w ogóle potrafi naprawiać auta? — Gedete zasiał we mnie potężną wątpliwość.

— O, tak. Mechanikiem jest świetnym. Ale skądinąd wiadomo mi, że potrafi je również psuć...

— Co masz na myśli? — Zaintrygował mnie.

— W każdym razie dokładnie obejrzyj samochód po naprawie, zanim do niego wsiądziesz.

— Gedete, o czym ty mówisz? Czy mechanik jest zagrożeniem dla swoich klientów?!

— Czy dla klientów — nie wiem. Ale pamiętam, jak po twojej wizycie mówił do siebie: „Meloman, cwaniaczek i do tego znajomy Kronosów... Nie za dużo tych zbiegów okoliczności? Takich powinno się wpuszczać na ślepy tor...”.

Coś mi to przypominało: „Takich powinno się wystrzelać...”.

Wzdrygnąłem się.

— Wybacz, ale nic z tego nie rozumiem... — Ostatecznie zdziwaczały mechanik mógł sobie coś tam głądzić pod nosem... Ale żeby doszukiwać się w tym zagrożenia?

— Słusznie, wrócimy do tego później...

— Poczekaj... A co jest tym słabym punktem?

— Chcesz to drażyć? Dobrze, powiem ci. Dziewczyna, w której był kiedyś zakochany. Znałeś ją przecież? — Spojrzał ostrożnie.

— Ja? Nie rozumiem...

— A jej zdjęcie? Tam, na stojaku?

— Chodzi o Martę? — A może powinienem w końcu zrozumieć? Przecież w zakładzie Wędrowiec Kronosowie od lat serwisowali swoje auta. Od lat...

— Identyczne zdjęcie jest u mechanika w mieszkaniu. W ramach. Obok zawsze świeże kwiaty. A wrak autka, w którym zginęła, pieści niczym najświętszą relikwię...

Załąpałem! W czasie moich pierwszych odwiedzin w warsztacie na podwórzu stał groszkowy fiat 126p. W odróżnieniu od większości aut, był w dobrym stanie, jakby trafił tam wprost z salonu sprzedaży. To jego brakowało mi przy kolejnej wizycie...

— Mechanik często słucha jakiejś poważnej muzyki, która moim zdaniem zupełnie do niego nie pasuje.

— Wiem, słyszałem przypadkowo. To *Fantazja fortepianowa* Schuberta...

— Nie, nie fortepianowa. Znacząca to ja nie jestem, ale brzmienie smyczków potrafię rozróżnić... Próbowałem nawet dowiedzieć się, co to za utwór, ale powiedział tylko, że przetrzuci mi go na playlistę w moim audi. I jeszcze jedno. Zapytałem go kiedyś wprost o dziewczynę ze zdjęcia. Wiesz, co mi odpowiedział? „Nie chciała mnie suka, więc nikt jej nie dostał...”

Kręciło mi się w głowie. Osiągałem najdalsze granice zadziwienia, ale one także padały. Byłem obolały psychicznie i fizycznie. Pozałowania godny obraz mojej twarzy przypominać musiał to, co działo się w głowie. Z siłą tsunami nadciągał finał obłędnego splotu wydarzeń, którego formy nie byłem sobie jeszcze w stanie wyobrazić. Miał przerosnąć moje oczekiwania.

— I jeszcze jedno, chodzi o liczby, które mi pokazałeś. — Gedete wyrwał mnie z transu.

— Standardem w zapisie danych kartograficznych jest dzisiaj tak zwany układ współrzędnych płaskich. Jednak niektórzy, zwłaszcza niespecjaliści, będą posługiwać się zapisem tradycyjnym. Zastrzegam, że mogę być w błędzie, ale te liczby dadzą się odczytać jako szerokość i długość geograficzna. Godzina, minuta, sekunda. W zwykłym esemesie nikt nie zawracałby sobie głowy dopisaniem wszystkich symboli. Krótko mówiąc, to może być lokalizacja jakiegoś obiektu.

Akcja mojego serca na moment ustała.

— I eksperci by na to nie wpadli?! — spytałem, gdy bezdech minął.

— Ich myślenie mogło być obciążone grzechem nadmiernego profesjonalizmu. Widząc dwa ciągi po sześć liczb, nie wpadli na to, aby każdy podzielić na dwie grupy po trzy wartości, zaopatrując je dodatkowo w symbole objaśniające. Zaręczam ci jednak, że dla człowieka mającego „geo” w zawodzie, to będzie pierwsze skojarzenie.

— A czy — w głowie mi pulsowało — na bazie tych danych potrafiłbyś wskazać zakodowane miejsce?

— Nie tylko ja. Każdy. Wystarczy wpisać je do nawigacji samochodowej albo komputerowej... Na pierwszy rzut oka mogę ci powiedzieć, że znajduje się gdzieś niedaleko.

— Co masz na myśli, mówiąc „niedaleko”? — ściszyłem jakby w obawie, że ktoś nas usłyszy.

— Promień kilkudziesięciu kilometrów. Jeśli chcesz, możemy od razu sprawdzić. — Nachylił się nad komputerem, na ekranie którego już po chwili ukazała się aplikacja Google Earth. Płynnie i bez wahań wpisywał dane w odpowiednie rubryczki.

— Ale dlaczego?! — nie mogłem pojąć.

— Co dlaczego?



— Dlaczego mieliby ukryć Antosię w niegościnniej głuszy zamiast na znanym sobie terenie?

— Naprawdę nie rozumiesz? Pomyśl tylko — mówił Gedete. — Ten cały don Pasquale, jeśli rzeczywiście jest tym, za kogo go podajesz, nie mógł przecież wykluczyć, że skontaktujesz się z polskimi służbami. A te z kolei mogły użyć kanałów dwustronnych lub ogólnoeuropejskich do rozpoczęcia poszukiwań na terenie Włoch.

— Tak właśnie miało być...

— No widzisz. Ukrycie dziewczyny w okolicach K. dało im trzy punkty przewagi. Po pierwsze: element zaskoczenia, w myśl teorii, że najciemniej jest pod latarnią. Po drugie: znaleźli się na terenie kraju, o którego służbach mundurowych mają zdanie dużo gorsze niż o swoich *carabinieri*...

Gedete był kimś znacznie więcej niż geodetą i złodziejem. Posługiwał się językiem zaskakująco dobrym, zwłaszcza jak na cudzoziemca, i każdorazowo przekazywał nie tylko jednowymiarowy komunikat.

— Oby się tylko nie przeliczyli — wycodziłem przez zęby. — Tam zdołali uciec, a tu już raz ich zapuszkowano...

Z całą mocą uświadomiłem sobie jednak, że nie była to zasługa służb mundurowych, tylko pewnego altowiolisty i jego pół-wilka. Gedete chyba mnie nie słyszał. A może nie zrozumiał. W dziedzinie skuteczności policji różnych krajów miał w końcu własne doświadczenia.

— Jest jeszcze trzeci powód — kontynuował. — Takie przyczajenie się w pobliżu areny wydarzeń daje im prawie natychmiastową gotowość operacyjną w sytuacji nagłej albo — koniec końców — finałowej. Przecież od początku wiedzieli, że sprawy rozstrzygną się w K.

— Zwłaszcza że jest jeszcze po czwarte: don Pasquale miał informatora w miejscowej komendzie... Może to właśnie on w pełni świadomie zbagatelizował esemes z liczbami?

— Możliwe. Tak czy inaczej w każdym z wymienionych wypadków zyskują cenne godziny, o posiadanie których ich nie posądzaliśmy.

— A przy okazji... O, cholera...

— Co się stało?

— Mógł poinformować Włochów, że teoretycznie rzecz biorąc, wpadliśmy na ślad kryjówki...

— Tak, to faktycznie gorsza sprawa. Ale nie martwmy się na zapas. Po kolei.

Uderzyło mnie, że zaczął mówić w liczbie mnogiej. Czułem się pokrzepiony.

— W takim razie konkretnie: jakiego rodzaju obiektu szukamy? — Łotysz był gotów do prezentacji.

— Takiego, w którym można uwięzić i przetrzymywać człowieka.

— No...

Czas zaczął mi się dłużyć niemiłosiernie.

— ...to chyba mamy tu coś takiego... — Gedete sprawnie manipulował obrazem, przybliżając go i wyostrzając jednocześnie.

— Co to jest? Podgląd z satelity? — nieomal krzyknąłem.

— W pewnym sensie. Ale nie na żywo. Raczej obraz obrazu; to, co satelita zapamiętał — spojrzał w jakieś miejsce na ekranie — kilka miesięcy temu. Dom w lesie. Jak to będzie po polsku?

— Leśniczówka...

Nadążać, mówiłem sobie, nadążać za tokiem akcji...

— Jest leśniczówka. Niczym bezludna, może nie całkiem bezludna, wyspa, otoczona

morzem puszczy...

Mimo logiki wcześniejszej argumentacji nie mogłem wyjść ze zdumienia. Don Pasquale przechytrył wszystkich. Ukrył Antosię tam, gdzie nikomu nie przyszłoby nawet do głowy jej szukać... A przecież genialnie przekazała mi informację! „Jestem w miejscu bliskim sercu... *Szumią jodły na gór szczycie...*”. Niestety, inteligencja altowiolisty znowu zawiodła...

— No dobrze, wrócimy do tego po wizycie w kopalni...

— Po wizycie? — eksplodowałem. — Trzeba od razu tam jechać!

— Panie altowiolisto, zaufaj mi. W rozmowie z pewnego typu ludźmi argumenty mają przewagę nad emocjami. Wejdziemy do kopalni, zrobimy parę fotek — całość nie zajmie nam więcej niż dwie, trzy godziny — a potem odwiedzimy twoich przyjaciół. I pogadamy z nimi w sposób odpowiedni do rozwoju akcji.

Przez Gedete przemawiało wszystko to, czego mi właśnie zabrakło. Ani przez moment nie wątpiłem, że racja jest po jego stronie. Moje nerwy były w opłakanym stanie.

Łotysz klepnął mnie w plecy z siłą... drzwi do konserwatorium.

— Muszę skoczyć po parę drobiazgów. Nie sądziłem, że masz w planach aż tak balangowy wieczór...

## 21.

Po godzinie spotkaliśmy się w pobliżu wejścia Pod Nietoperzem. Gedete zjawił się cicho jak duch.

— Gdzie zaparkowałeś?

— Nigdzie. Zostawiłem auto w garażu na Solnej Górze. Lepiej niech nie stoi bezpańsko na ulicy...

Boisz się, że ukradną? — miałem na końcu języka, ale w porę się powstrzymałem.

Łotysz wyciągnął z kieszeni urządzenie wielkości pudełka od zapalek. Wycelował je w kamerę.

— Już — rzekł po chwili. — Droga wolna. No co? — Musiał dostrzec powątpiewanie w moim wzroku. — Sprzęt ma prawo się zepsuć, a przed jutrem go nie naprawią.

Skoro tak mówił... Jutro wydawało się odległym brzegiem. Nowym życiem. Ziemią obiecaną.

Wbrew pierwotnym planom, część podziemi znajdująca się bezpośrednio pod piekarnią nie stała się elementem turystycznych atrakcji. Przeciwstawili się temu sami właściciele. Przyjmować wycieczki w miejscu pracy? — obruszeni się. Ponieważ grunt, na którym posadowiona była kamienica, należał do nich, miastu nie udało się nic wskórać. „Już my tu na powierzchni zadamy o wystarczającą ilość niespodzianek” — mówili piekarze. I dotrzymali słowa. Wśród nowych przysmaków największe kontrowersje budziła babeczka kremowa w formie lalki, a zwłaszcza zapiekanka w formie buta (znaleziska z labiryntu filharmonii).

Zamek przy wejściu do piwnicy Pod Nietoperzem — kiedyś zamykanym jedynie na klamkę — padł ofiarą szybkiej manipulacji Łotysza, który tym razem posłużył się... spinką. U końca korytarza znajdowały się jeszcze jedne drzwi, opatrzone imponującą kłódką szyfrową. Byłem pewien, że Gedete wyciągnie z kieszeni kolejny gadżet włamywacza XXI wieku. Wyciągnął, owszem, niewielkie, lecz zadziwiająco skuteczne nożyce do cięcia metalu.

— Jesteś niezłe zaopatrzony.

— Nawyki zawodowe. Idąc na koncert, nie wychodzisz z domu bez instrumentu,

prawda? Ja podobnie.

Dotarliśmy do miejsca, w którym kiedyś wygrzebywałem się z hałd węgla. Ku mojemu zdziwieniu zniknęły bez śladu. Widać, prosperita wpłynęła na zmianę surowca energetycznego. Z ulgą myślałem, że unikniemy mozołu wędrówki przez czarny gruz i pył. Gdybym wiedział, przez co jeszcze przyjdzie nam się przedzierać...

Wkrótce pojawił się problem. W punkcie, w którym — według obrazu utrwalonego w pamięci — powinno znajdować się wejście do rozgałęzienia tuneli, wyrosła ściana. Solidna, murowana ściana.

— To tu. — Bezradnie rozłożyłem ręce. Trampolina do szturmowania właściwego naigrywała się z nas warstwami cegieł i betonu.

— Posłuchaj, altowiolisto. Nie wątpię, że poradziłbyś sobie beze mnie. Ostatecznie mógłbyś zagrać melodyjkę *Sezamie, otwórz się*. Ale nie wziąłeś instrumentu. Więc ci pomogę. Niewielka ilość semtexu zrobi dziurkę akurat taką, byśmy mogli wśliznąć się do środka. — Rozpłaszczył na ścianie jakby kulkę plasteliny. — Jeszcze zapalniczek... O, i gotowe...

Jasna cholera! Ostro grał. Oszczędzając nam zarazem kwadransów łamania palców i paznokci w monolicie ściany. Huk zaskoczył mnie, nim zdążyłem się przygotować.

— To się nazywa operacja punktowa. Niezastąpiona w naszych czasach.

Po chwili dym rozwiął się, ukazując dziurę, przez którą dorosły mężczyzna — nawet postury Gedete — mógł prześliznąć się bez problemu. Gdy przeszliśmy na drugą stronę, poczułem, jakby czas się cofnął. Stałem twarzą w twarz z nowym obliczem starej zagadki.

Początek drogi przebiegał wręcz bajecznie. Korytarz sprawiał wrażenie posprzątanego, tu i ówdzie wyremontowanego nawet, co zresztą było zgodne z prawdą. Po odkryciu płataniny katakumb, miasto zainwestowało całkiem spore pieniądze w ich konserwację. Dopiero opór piekarzy storpedował plany udostępnienia podziemi zwiedzającym.

Dzięki Gedete byliśmy wyposażeni w bezbłędnie działający system nawigacji, doskonałe latarki i... dobre towarzystwo. Uskrzydliła mnie nadzieja, że dramat Antosi zbliża się do końca. Szczęśliwego końca.

Po kilku minutach ostrożnego, lecz systematycznego marszu stanęliśmy jak wryci. Wejście do dalszej części korytarza przegradzał rząd grubych, nieoheblowanych desek. Zdobila je cała masa tablic ostrzegawczych. *Wstęp wzbroniony pod karą administracyjną!* oraz *Uwaga, śmiertelne niebezpieczeństwo!* — brzmiały hasła, wzmocnione w kilku miejscach symbolami trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczeli. Tutaj kończyła się ingerencja miasta. Urzędnicy spełnili swój obowiązek, przestrzegając przed czyhającymi dalej niebezpieczeństwami.

— Co teraz? — W naszym duecie odgrywałem rolę bezradnego. Pora przejąć inicjatywę. — Semtex?

— Drewnisko semtexem? — Gedete omal się nie roześmiał. — Chcesz tu zostać na wieki? Mnie się nie uśmiecha. — Musiał dostrzec wyraz zniechęcenia na mojej twarzy. — Chyba nie spodziewałeś się, że czeka na nas aksamitny kobierzec? — mówił, badając jednocześnie zawartość czarodziejskiego plecaka. Dwie wydobyte ze środka pałki okazały się... teleskopowymi łomami.

— Tytan — rzucił beznamiętnie. — Materiał o wszechstronnym zastosowaniu...

Wręczył mi jedno z narzędzi.

— Bierz się do roboty. Chyba że masz już dość?

— Ja, dość?

Dopiero się rozkręcałem. Z furią zaatakowałem przeszkodę. Uderzałem, podważałem, wyłamywałem... Solidne deski zaczęły rozszczać się i pękać, odsłaniając przez coraz większą szczelinę kryjące się za nimi rumowisko. Staliśmy przed korytarzem wypełnionym po szczyt

starymi obelkowaniem, stemplami i wszelkiej wielkości i formy drewnianymi elementami budowlanymi. A wszystko wymieszane z ziemią i fragmentami skał w sposób znamionujący ingerencję natury (albo człowieka, który ją wyręczył). Rumowisko było niczym bezładna, ale nieprzekupna armia, broniąca dostępu do zapomnianego królestwa. Po raz pierwszy uderzył mnie w nozdrza charakterystyczny morski zapach. Znajdowaliśmy się na właściwym tropie...

Bielski musiał dobrze przeanalizować raporty opisujące stopień zagrożenia w starej kopalni. Jego niechęć do udzielenia spontanicznej pomocy była aż nadto wyraźna. Ryzyko wydawało się poważne, niemniej zachowanie maksymalnej ostrożności nie stawiało nas na straconej pozycji. Szybkość przemieszczania musiała w tej sytuacji zejść na drugi plan. Solna Góra była u swej podstawy dość rozległa, a korytarze starej kopalni mogły sięgać mackami daleko poza jej przekrój. Ale przecież łączna długość chodników wydobywczych nie mogła przekraczać... No właśnie. Bez dokumentów, o które Bielski zabiegał w Centralnym Archiwum Akt Dawnych, nie dało się tego stwierdzić.

Według sztygara, mieszkańcy góry przeniknęli do jej środka od strony szczytu, ale sam autor zapisków korzystał z sobie tylko znanych wejść podziemnych. Możliwe było, że posuwamy się jego drogą. Prawie pewne, że pomiędzy nim a nami nikt nie zapuścił się w zasypany, morderczo zdradliwy labirynt. Oczywiście przez tak długi szmat czasu mogło się tu wydarzyć coś jeszcze. Kto wie, czy niezauważalny na powierzchni wstrząs tektoniczny nie dokończył dzieła zniszczenia rozpoczętego niemieckimi bombami? Miejsce schronienia stało się grobowcem.

Rumowiskiem nie do przejścia.

Jeśli tak — zawróćmy. Ruszę na pomoc Antosi bez waluty wymiennej, której oczekiwał ode mnie don Pasquale.

Najtrudniejsze okazały się pierwsze metry. Gdyby wszystkie odcinki korytarzy były zasypane w takim stopniu, zrezygnowalibyśmy pewnie po kilku kwadransach bezowocnego trudu. Okazało się jednak, że dalsza część chodnika jest nieźle dostępna. W świetle laterek, które założyliśmy na kaski (wszystko zasługa Gedete), ściany wąskiego korytarzyka migotały tysiącami minerałów. Łotysz zerkał co chwila na jakieś urządzenie, twierdząc, że podejście łagodnie się obniża. Po pół godzinie byliśmy już kilkadziesiąt metrów poniżej poziomu morza, czyli pod Solną Górą. Kwadrans później dotarliśmy do rozległej groty, dającej początek pięciu odnogom. Jedna została za nami. Dwie inne, znacznie szersze i usytuowane symetrycznie, musiały prowadzić do szybów wydobywczych. Ginące w mroku szyny wąskotorówki mówiły same za siebie. Pozostałe chodniki wiodły prawdopodobnie do zamkniętych komór — zaplecza prac wydobywczych — lub... cylindrycznych szczelin łączących podziemia z powierzchnią... Właśnie od nich postanowiliśmy rozpocząć dalsze poszukiwania. Choć bezpieczniej było się nie rozdzielać, uczyniliśmy to ze względu na nieubłagane płynący czas. Nie należało przedłużać wyprawy ponad rozsądną miarę. Umawiając się na spotkanie za kwadrans, ruszyliśmy w przeciwnych kierunkach.

Pierwszy z moich korytarzy rozszerzał się po kilkunastu metrach. W niewielkiej pieczarze nie natknąłem się na nic ciekawego, z wyjątkiem pozostałości górniczych narzędzi oraz kolejnego przejścia, które po nieco dłuższym odcinku kończyło się — tym razem ślepo — wyraźnie okazalszą grota. Pod jedną ze ścian ujrzałem wykuty w soli ołtarz z krzyżem. Coraz wyraźniejsze ślady ludzkiej obecności zmniejszały odrobinę przejmujący chłód kopalni.

Gedete czekał już na mnie.

— Odkryłem rodzaj garażu, a w nim wózki do transportu solnych bloków. Nic poza tym. Mieliśmy do wyboru dwa kierunki. Łotysz dokonał szybkich pomiarów.

— W jedną stronę szyb opada. W przeciwną — podnosi się. Pytanie brzmi, jak głęboko

do wnętrza góry mogli przedostać się tamci ludzie?

— Jeśli natrafili na miejsce nadające się do pobytu, to nie sądzę, by pchali się aż na dno.

— Brzmi logicznie. Idziemy w górę.

Poruszaliśmy się teraz szerokim wyłomem, który sprawiał wrażenie prawie nienaruszonego. W ścianach co kilka metrów zatknięte były pochodnie. Gedete próbował jedną zapalić; zajęła się tylko na moment, oświetlając przez parę sekund kosmiczne piękno otaczających nas rozmigotanych nagle skał. Kolejne próby przynosiły identyczny rezultat; pochodnie były wypalone do końca. Łotysz nie wspominał nic o trwałości baterii zasilających latarki, ale zauważyłem, że od pewnego czasu coraz częściej spogląda na zegarek.

Po kolejnych — minutach? kwadransach? — wędrówki musieliśmy nagle przystanąć. Drogę przegradzał nam uskok dwumetrowej szerokości. Gedete zrobił to, na co ja nie miałem ochoty: podszedł do krawędzi i ostrożnie klękając, starał się oświetlić przepaść.

— Nie widać dna... — mruknął. — Tego się właśnie obawiałem.

— Skąd to się wzięło? — Dziura w ziemi, tym groźniejsza, że skrywająca swe rozmiary w ciemnościach, robiła piorunujące wrażenie.

— Oto jeden z powodów, dla których nie eksploatuje się starych szybów. Ziemia nie śpi. A jak jeszcze człowiek ją podrażni...

Z obu stron urwiska zwisały pozostałości szyn kolejowych. Widomy znak, że cokolwiek tu zaszło, nie stało się z woli eksploatatorów.

To przecież tylko dwa metry, powtarzałem sobie. Mój rekord życiowy w skoku w dal wynosił cztery metry czterdzieści cztery centymetry, jednak całkiem przytomnie rozumowałem, że skakanie nad otchłanią nieznaną głębokości ma więcej z hazardu niż ze sportu. Niektórych uskrzydli, innych sparaliżuje. Dodajmy, że osiągnięcia w hazardzie miałem raczej mizerne...

— Wolałbym jakąś prowizoryczną kładkę...

Parę belek i desek znajdowało się pod ręką. Gedete — niczym doświadczony ratownik górski — zaczął przerzucać je nad przepaścią. Jedna okazała się minimalnie za krótka; poszybowała w dół, a choć odczekaliśmy kilka sekund, nie dobiegł nas najmniejszy odgłos upadku.

— A może by tak po desce na jedną nogę?

— Narciarz? — Łotysz zachowywał zimną krew. — Można. A jak ci się rozjadą?

Wizja nie była ponętna. Tak czy inaczej, pozostawały trzy możliwości: skok, wążuteńki mostek lub... rejterada. Zdecydowałem się na deskę mniej więcej półmetrowej szerokości. Robiła wrażenie mocnej, nie było mowy, by nie wytrzymała ciężaru jednego altowiolisty, i to bez instrumentu.

— Jak chcesz, pójdę sam, a ty poczekasz... — Słowa Gedete zdopingowały mnie. Nie takie ruczaje się pokonywało, pomyślałem buńczucznie i ruszyłem niczym rumak dźgnięty ostrogą. Na czterech kończynach rzecz jasna (rozważałem także technikę przesuwną na czterech literach, ale ilość i rozmiar drzazg w mosteczku wybiły mi pomysł z... głowy). Być może był to objaw czającej się w czeluściach hysterii, ale zacząłem mrużyć *Zielony mosteczek ugina się...*

Muzyka dodała mi skrzydeł. Po chwili byłem po drugiej stronie przepaści. Próbowałem rozmasować łydki, które po dwumetrowym spacerze zamieniły się w kulę splątanych mięśni. Jedna z nóg wykonała niekontrolowany wyprost; kopnięta deska zniknęła z naszych oczu.

— Nie szkodzi — pogodnie zareagował Gedete. — Ja i tak miałem zamiar skoczyć.

Faktycznie, był ode mnie sporo cięższy. Belka mogła się pod nim załamać. Największy problem stanowił niewątpliwie brak miejsca do rozbiegu. Skok należało oddać praktycznie z miejsca. Łotysz cofnął się pod ścianę. O całe półtora metra... Miałem nadzieję, że nie przecenia swoich możliwości.

— *Odin, dwa, tri* — ryknął i ruszył niczym rozjuszony bawół. I wówczas...

No właśnie, chyba wspominałem już, że jest cała kategoria wydarzeń, które dzieją się niespodziewanie, z nagłą, znienacka, wtem, właśnie wówczas, dokładnie w tej chwili — i nikt nie ma wątpliwości, że jest to chwila najmniej odpowiednia. Ale bez owych figur nie byłoby literatury przygodowej. A więc...

Właśnie wówczas stało się coś okropnego. Odbijając się od śliskiej powierzchni, Gedete potknął się. Wyskoczył w powietrze, lecz impet skoku został zachwiany. Zamiast bezpiecznie wylądować po mojej stronie, trafił nogami na obłą krawędź. Osuwając się, próbował rozpaczliwie łapać dłońmi jakieś ostre, skalne wypustki. Odjęło mi mowę. Na szczęście nie możliwość ruchu. Scena zapewne nie odbywała się w zwolnionym tempie, ale błyskawiczny skok adrenaliny spowodował, że tak ją odbierałem. Rzuciłem się na ziemię, prawą ręką łapiąc przedramię Łotysza. Gdybym choć przez sekundę pomyślał, że jest ode mnie cięższy, w dodatku podlega stuprocentowemu prawu ziemskiego przyciągania — polecilibyśmy w otchłań natychmiast i, że się tak wyrażę, ramię w ramię. Ponieważ jednak nie myślałem, miało się to stać dopiero po kilku(nastu) sekundach.

— Ciągnij! — wrzasnął, a echo powtarzało jego krzyk po wielokroć. Czułem, jak centymetr po centymetrze przesuwam się w kierunku uskoku. Krzyż niemal przebijał skórę napiętą jak średniowieczny wolumin. I ja krzyknąłem, przyciągając ramię Łotysza z całych sił (co w praktyce oznaczało, że przesunąłem się o kolejnych parę centymetrów w kierunku otchłani). Wbity ciałem w szkliste podłoże, poczułem naraz, jak ciężar słonia utrzymywanego jedną ręką zelżał. Musiał znaleźć chwilowe oparcie dla drugiej ręki (a może trąby).

Nagle wyłonił się do pasa. Dłoń szukająca zbawczego zaczepienia napotkała fragment poszarpanych szyn. Gedete łączywie uchwycił kawałek metalu, który w tej samej chwili zaczął wysuwać się ze skały. Ale ta sekunda wystarczyła, aby Łotysz wbił się łokciami w podłoże. W chwili, gdy wdrapywał się na krawędź, potężny kawałek metalu runął w dół. Tym razem — po dobrych kilkunastu sekundach — usłyszeliśmy głuchy łoskot.

Gedete był uratowany. Ale powrót tą samą drogą wydawał się mało realny.

Leżeliśmy nad przepaścią, nie odzywając się ani słowem. To trzeba było przetrwać. Gdy w końcu podnieśliśmy się, otrzepując ubrania i sprawdzając funkcjonalność kończyn, wydawało mi się, że mój towarzysz syknął z bólu.

— No dobra, koniec sjesty — odezwał się, jakby nic nie zaszło.

Pozostał nam jeden kierunek. Podobnie jak cel. Odnaleźć drogę ocalenia.

Dalsza część szybu eksploatacyjnego była całkowicie zasypana. To potwierdzało tezę, że potężna bomba musiała ugodzić niezwykle celnie; być może zrzędzeniem losu wpadła przez którąś ze szczelin eksploatacyjnych w sam środek Solnej Góry. Wąski chodniczek wzdłuż urwiska dawał niewielką tylko nadzieję, że w którymś momencie odnajdziemy kolejną z odnóg. A jednak. Dobry stary antymurphy...

Niewiele było trzeba, by przeoczyć korytarzyk wijący się ku górze. Ku naszemu zdumieniu wąska nitka przemieniła się nagle w schody wykute w solnej skale, przechodzące w poziomy, obustronnie rozszerzający się pasaż.

Czymkolwiek było serce zapomnianej kopalni, jego puls stał się nagle wyczuwalny. Za ginącym jeszcze w mrokach załomem czekało nas rozwiązanie zagadki. Mógłbym przysiąc, że wyczuwam jej nadlatujący oddech...

Stanęliśmy na progu obszernej groty. Snopy latarkowego światła — niczym krzyżujące się miecze rycerzy Jedi — wydobywały fragmenty trudnych do sprecyzowania sprzętów i przedmiotów pod ścianami. W pewnej chwili zastygły w centralnym punkcie, oświetlając widok

nieoczekiwany, wstrząsający i majestatyczny. Zamarliśmy w nabożnym skupieniu, nie mając odwagi poruszyć się choćby o centymetr.

Na środku pieczary, wokół miejsca, które musiało być paleniskiem, siedziało dziewięć ludzkich postaci pogrążonych w rozmowie. Część mniejszych figur wtulała się w rośniejsze. Nad głową najdrobniejszej z nich unosiły się złączone w uścisku dłonie dorosłych...

Michelangelo twierdził, że nigdy nie dotarł do wnętrza Solnej Góry. Nie musiał. Obraz narysowany i utrwalony w pamięci opowieściami sztygara pozostał silny i niezmacony. Jak pamięć po utraconym mieście. Korona cierniowa roku 1939.

Symbol Casa e Proprietà di Città Abbandonata, którym Michalewicz opieczętował swój dom, swoje wino i swoje życie, ziemski glob chroniony dwiema połączonymi dłońmi, okazał się główką dziecka.

Musieli zamarznąć.

Rodzice jako pierwsi zdali sobie sprawę, że sztygar już do nich nie wróci. Nie mieli siły, aby przebijać się na powierzchnię, ani serca, aby raz jeszcze wysłać tam swoje dzieci. Kiedy zagłada stała się nieunikniona, otoczyli je ostatnim, co im jeszcze zostało: rodzicielską miłością. Siedzieli nad dawno już wygasłym ogniskiem, zasypiając jedno po drugim...

Teraz dopiero pojąłem sens innego jeszcze fragmentu *Pamiętnika*.

*Odnalazłem trupa nieznanego mi człowieka... w słonym środowisku jego zwłoki uległy jakby zakonserwowaniu.*

Wilgoć plus niezwykle, przesycony drobinami soli mikroklimat zapoczątkowały proces swoistej elektrolizy, która zamknęła nieszczęśników w grobowcach krystalicznie przejrzystych, w utrwalonych na wieki pozach życia. To, co widzieliśmy, wyglądało jak najdoskonalsza rzeźba uczyniona ręką niezwykłego mistrza.

Gedete nie odezwał się ani słowem. Kątem oka widziałem, jak niezwykle jest poruszony. Raz po raz ocierał rękawem mokre czoło.

A więc to był ostatni skarb Michalewicza. Tak wyglądało dziedzictwo Solnej Góry. Czegokolwiek bym nie znalazł, jakich cudowności nie ujrzał, nie wstrząsnęłyby mną tak, jak dokonane właśnie odkrycie.

— Zrobię parę zdjęć... — Gedete wyjął nikoną lustrzankę. Ja nie pomyślałem nawet o zabraniu aparatu... Jedynym sprzętem, o którym nie zapomniałem był... dyktafon. Jakże przydatny w tych okolicznościach...

Tuż koło wejścia, którym dostaliśmy się do groty, znajdowało się jeszcze jedno, prowadzące w górę. Ruszyliśmy z nadzieją, że wydostanie się na powierzchnię jest kwestią kwadransa, może dwóch. Jednak po kilkudziesięciu metrach wspinaczki czekała nas przykra niespodzianka. Pokruszone schody urwały się nagle, przemieniając w osypującą breję soli i ziemi, a średnica tunelu zmniejszyła się tak bardzo, że z trudem mógł się przez nią przeciskać pojedynczy człowiek. I to wyłącznie pełzając.

Gedete, który od jakiegoś czasu wydawał coraz częstsze syki bólu, krzyknął nagle.

— Co się stało?! — wrzasnąłem przestraszony.

— Noga... — wykrztusił z trudem. — Pomóż mi zdjąć but...

Z przerażeniem dostrzegłem, że prawa stopa Łotysza jest wykręcona w stosunku do łydki prawie o sto osiemdziesiąt stopni. Musiał zwichnąć kostkę w trakcie fatalnego skoku. Nie mogłem pojąć, jak udało mu się dotrzeć aż tutaj.

— Dasz radę! Daję głowę, że jesteśmy już blisko.

— Nie ma mowy... Dalej musisz iść sam.

Ranny przyglądał się urządzeniu nawigacyjnemu, którego ekran po chwili zgasł.

— Jeszcze i to... Posłuchaj, Bartoszu, z tego, co zdążyłem odczytać, znajdujemy się

niedaleko szczytu Solnej Góry. Stamtąd jest tylko krok do Wędrowca.

Stękając z bólu, wręczył mi komplet kluczy.

— To od mojego audi i bramek warsztatu. O tej porze lepiej nie pokazywać się od strony bogatszej. Kamery... Wejdz przez złomowisko i dostań się do drzwi w ogrodzeniu. Otworzysz je tym kluczem. Aha, samochód uaktywnia się za pomocą kodu. Cztery osiem dwa pięć. A to jest pilot od bramy. Zapamiętasz wszystko?

— Zapamiętam. I zapiszę. — Nabazgrałem cyfry na kawałku papieru. — Gedete, będzie dobrze, nie obawiaj się. Lepiej się pospiesz.

— Jasne. Idź. Uważaj na siebie. I pamiętaj, że ten mechanik to niebezpieczny człowiek. Ostrzegam cię z całą powagą. A z wizytą w leśniczówce najlepiej poczekaj na mnie. Z chęcią przyłożę im osobiście. Za Estona... Za Antonię zresztą także...

Kiedy prostowałem się, Gedete obwiązywał sznurkiem kawałek wystającej skały.

— Weź jeszcze to. — Motek okazał się gęsto nawiniętą żyłką wędkarską. Miałem poznać kolejne z jej zastosowań. — Taka nić Ariadny — uśmiechnął się blado, po czym skrzywił cierpiętniczo. Ból musiał być nieznośny. — Chciałbym poznać tę twoją Antosię...

— Poznasz ją. — Ruszyłem ze ściśniętym gardłem.

W ciągu ostatniej doby większość spraw poukładała się w logiczną całość. Odnalazłem *Pamiętnik Sztygara*. Odczytałem i wyświetliłem jego tajemnicę. Całkiem nieoczekiwanie — dzięki sprzymierzeńcowi *last minute*, który swej decyzji o mało nie przypłacił życiem — zdobyłem punkt w rozgrywce z porywaczami. Realną przewagę rozeznania.

Nadciągał moment decyzji. W kieszeni miałem numer telefonu don Pasquale, którego słowa wryły mi się w pamięci piekielnymi zgłoskami.

„Zadzwoń dopiero wtedy, gdy będziesz w stu procentach wiedział to, co mnie interesuje. Nieuprawnione użycie oraz jakakolwiek próba manipulacji przy numerze będzie kosztować życie signorinę Mars”.

Czy potrzebowałem lepszego powodu, aby aż do dzisiaj zapomnieć o jego istnieniu?

Dzięki swojemu człowiekowi w komendzie don Pasquale mógł kontrolować moją prawdomówność. Lecz ja coraz głębiej zastanawiałem się, czy istnieje jakikolwiek sens informowania go o znalezisku? Przecież ani przez moment nie wątpiłem, że w nieposkromionej żądzy zysku don Pasquale nakaże swoim ludziom rozbijanie solnych sarkofagów. Jedno niewielkie, ale cenne znalezisko — na przykład jakiś niezwyklej urody kamień szlachetny albo kolekcja złotych monet — z kieszeni którejś z zahibernowanych osób mogło powetować z nawiązką dotychczasowe rozczarowania i nakłady.

Czy wobec tego absurdalny upór, aby za wszelką cenę odkryć Porzucone Miasto, miał racjonalne podstawy? Na to pytanie nie znałem dobrej odpowiedzi. Działając pod wyjątkową presją, zdobywamy się niekiedy na czyny nadzwyczajne. Mógłbym powiedzieć Włochowi z czystym sumieniem: „Zrobiłem swoje, ale tam nie ma nic, co mogłoby cię interesować”.

Ale przecież coraz bliższa była mi myśl, aby nie negocjować w ogóle. Ze strony takich jak on jest to zabieg czysto taktyczny. Gdy tylko pojawi się okazja, wykorzystają ją bez względu na wcześniejsze ustalenia. Jediną skuteczną taktyką jest zaakceptować tę prawdę i bez sentymentu starać się ją odwrócić. Tu pojawiały się jednak zasadnicze wątpliwości. Miałem uderzyć sam? Czy nie byłoby to jednoznaczne z głupotą, samobójstwem i — co gorsza — wyrokiem na Antosię? Alternatywą był oddział uzbrojonych po zęby komandosów, atakujących z lądu, morza (no nie, morza tam nie było...) i powietrza... Kilka dni temu w trakcie analizowania możliwego rozwoju wypadków Bielski przypomniał mi dramat w Magdalence; najbardziej krwawą akcją policyjnego oddziału szturmowego, która zakończyła się bilansem: czterech zabitych i osiemnastu rannych... Nawet najgruntowniej przygotowane działania zawierają



ogromny element niewiadomej. Wystarczy jeden fałszywy ruch i wszystko wymyka się spod kontroli... A jeśli Włosi zorientują się, że coś się święci? Czy w pierwszym odruchu nie uczynią Antosi żywą tarczą? Już nie porwaną, ale zakładniczkę z pistoletem przy głowie? Aż wzdrygałem się na tę myśl.

Może więc samodzielna wyprawa ma uzasadnienie? Da mi przewagę całkowitego zaskoczenia... Zakradam się pod osłoną nocy, wślizguję do pomieszczenia, w którym jest Antosia, zamykam jej usta pocałunkiem i bezgłośnie pokazuję, aby podążała za mną. Wsiadamy do audi i znikamy jak cienie. Od tej chwili mogą bombardować leśniczówkę. Nie obchodzi mnie to. Chociaż... Szkoda okolicznych zwierząt.

Gdyby Gedete był ze mną. W jego towarzystwie czułem się o wiele różnie. Ale Łotysz cierpiał teraz męki bólu, ciemności i samotności. Co chwila sprawdzałem długość żyłki. Na szczęście była wytrzymała — coś na grubą rybę; nie miała prawa się przerwać. Oby tylko motek nie skończył się, zanim wypełnę z tego cholernego kopca...

Nad poinformowaniem miasta o sensacji, jaką kryje Solna Góra, miałem czas się zastanowić. Jedno było pewne; jeśli kiedykolwiek się na to zdecyduję, to dopiero po uzyskaniu pisemnych gwarancji, że spokój Porzuconego Miasta nie zostanie zakłócony. Zbyt dobrze pamiętałem scenę z filmu Federico Felliniego *Rzym*: ekipa budująca metro natrafia na freski niezwyklej urody. Gdy tylko do komory przedostaje się świeże powietrze, cudowne malowidła spływają ze ścian wielkimi, kolorowymi łzami...

A jak na kolejne rewelacje zareaguje Bielski? Mogłem to sobie wyobrazić. Nakaze cierpliwość i wstrzemięźliwość, będzie mówił o czasie potrzebnym do obmyślenia strategii i przygotowania akcji właściwej...

Czekać? Wiedząc, że Antosia znajduje się kilkadziesiąt kilometrów stąd, że może za godzinę, dwie, ujrzę ją całą i zdrową — miałem czekać?! Najlepiej tak długo, aż don Pasquale domyśli się, w czym rzecz! Czy Bielski zdjął już chociaż donosiciela pracującego dla Włochów?

*Sieci zastawione, ryba płynie do saka...* Sztuka kalamburu. Czysta poezja. Nawet w tak oczywistej kwestii nie potrafił lub nie chciał udzielić mi jednoznacznej odpowiedzi...

Przy akompaniamencie podobnych rozmyślań trwała moja wędrówka kreta, rozpaczliwie szukającego powierzchni. Po godzinie marzyłem już tylko o promyku światła, choćby wątlym odbiciu księżycowej poświaty.

Osuwałem się po zboczach słonych i śliskich jak lód. Połykałem krople wody bezustannie kapiącej mi na głowę; strużka wymieszana z potem, brudem i krwią z rozdrapanej twarzy spływała prosto do ust. Jej okropny słono-słodki smak powodował nieomal torsje; wzdrygałem się, wypluwając atakującą ohydę. Ku pociesze uświadamiałem sobie, że w tych diabelskich ciemnościach można zgubić i zatracić wszystko, z wyjątkiem poczucia pionu i poziomu. Pnij się w górę — mózg wydawał rozkaz. Ale czasem, aby wspiąć się o metr, musiałem pokonać dwa metry w bok. Po chwili w głowie uruchamiał się alarm; w bok już nie! Musisz iść w górę! Więc drapałem palcami i paznokciami szczypiące skały, uderzałem łokciem, czasem nogą — a niekiedy i głową — w białe bloki, które kruszyły się, zasypywały oczy i twarz białym, piekącym pyłem... Zdobywałem kolejne pół metra.

W pewnej chwili natrafiłem na szczelinę złobioną dziesiątkami lat przez spływającą deszczówkę. Postanowiłem się jej trzymać niczym saneczkarz toru śniegowego. Musi — sapałem — musi doprowadzić mnie na powierzchnię.

W kilku miejscach przesmyk rozszerzał się, tworząc rodzaj małych komór, w których na moment dało się rozprostować kości i odpocząć przed kontynuacją wspinaczki (pełzaczki). Prawie całkowicie przegniłe fragmenty drewnianych obelkowań mogły świadczyć o tym, że w istocie poruszam się pozostałościami starej sztolni. Ze stumetrowego motka odwinęło się już

blisko trzy czwarte. Taki był realny licznik moich podziemnych osiągnięć. Ale wkrótce odniosłem wrażenie, że grunt wokół mnie robi się coraz mniej zbity. Po kolejnej chwili zaczął osypywać się strumyczkami... ziemi. Naparłem barkami na to, co jeszcze dzieliło mnie od świata. Między zębami zazgrzytał piach. Głowa wychynęła na powierzchnię niczym wyhodowana w błyskawicznym tempie główka kapusty.

Ktoś mi się przyglądał. Z bardzo bliska. Znalazłem się oko w oko z całkowicie zaskoczonym królikiem, który na szczęście nie uznał mnie za warzywo. Zakręcił łapkami błyskawiczny młynek i zniknął.

Gdy stawałem na nogach, końcówka żyłki wysunęła się z omdlałych dłoni. W panice padłem na kolana, aż do łokci zanurzając ręce w glebie spulchnionej własnym ciałem. Świadomość tego, co się stało, była paralizująca; wypuściłem nic czyjegoś życia. Nie potrafię oddać słowami ulgi, którą poczułem, gdy palce wymacały w wilgotnej glinie pożądany kształt. Obwiązałem końcówkę dokoła leżącego z boku kamienia. Nie wiem, jak nazywał się zastosowany węzeł, ale nikt ani nic nie miało prawa go rozsypać. Z leżących nieopodal otoczków zbudowałem mały kopczyk. Teraz miejsca nie dało się już przeoczyć.

Znajdowałem się na ściętym wierzchołku Solnej Góry. W miejscu, w którym kilkadziesiąt lat temu Jahwe wysłuchał modlitw dwóch żydowskich rodzin. Przede mną rozciągała się rozświetlona panorama miasta. Od kolejnego etapu nocnej pielgrzymki dzieliło mnie zaledwie parę kroków.

Aby dostać się do ubogiej części warsztatu, należało otworzyć uchylną bramę. Żadne tam piloty i przyciski. Solidna kłódka i zasuwka. Zestaw kluczy otrzymany od Gedete był kolosalnym ułatwieniem. Ale wszystkie problemy nie zniknęły.

Jak niewiele trzeba było, aby wzbudzić czujność patrolującego psa? Błyskawicznie otworzyłem i zamknąłem bramę, nieruchomiejąc przy jej metalowych prętach. Mój los spoczywał teraz... w szczęce suki, której tupot rozległ się w mroku już po sekundzie. Nie szczekała; chciała mnie wziąć zaskoczenia.

Kucnąłem w chwili, gdy psi pysk znalazł się tuż koło moich kolan. Wilczurka przypadła do mnie bezgłośnie jak cień. Pozwoliłem się obwąchać. Nie było źle. Pies chyba mnie poznał, bo zamierzał ogonem i dał się pogłaskać. Podrapałem suczkę pod brodą; ponoć w języku wilków oznacza to gest szacunku. Z jej strony nic mi już nie groziło.

Za murem rozdzielającym obie części samochodowego księstwa czekała na mnie limuzyna Gedete. Ach, pewniej bym się czuł w moim własnym alto... Stało pod mizernym płótnem złomowiska i nic nie wskazywało na to, że mechanik poświęcił mu choćby odrobinę czasu. Zresztą i tak nie miałem kluczyka...

Drzwi w betonowym ogrodzeniu znajdowały się o kilkadziesiąt kroków. Gdy z największą ostrożnością ruszyłem w ich kierunku, wysoko nad głową zapalił się potężny halogen. Fotokomórka... Niczym ścięty łąn zboża padłem na ziemię, gwałtownie przetaczając się poza krąg jasności. Przydałby się Dumbledore ze swoim światłowyłapywaczem... Albo Gedete z niewielkim pudełeczkiem o równie magicznych właściwościach. Na wspomnienie uwięzionego w podziemiach Łotysza poczułem nieomal fizyczny ból. Ten człowiek znalazł się w sytuacji, która jako najgorszy z koszmarów prześladowała mnie czasem po nocach...

Leżałem w całkowitym bezruchu. A może przesadzam z tą ostrożnością? Co — oprócz słów Gedete — miałem przeciwko mechanikowi? Ostrzeżenia brzmiały jednoznacznie, ale czy mogłem być wobec nich bezkrytyczny? Szybko prześledziłem historię krótkiej, lecz burzliwej znajomości ze złodziejem samochodów. Wątpliwości zniknęły. Zaufanie mu było chwilowo jedynym sposobem spłacenia zaciągniętego długu. I polisą bezpieczeństwa.

Po kilku minutach lampa zgasła. Lecz gdy tylko dostanę się w zasięg fotokomórki,

zapali się ponownie... Manipulując przy drzwiach, będę oświetlony niczym futbolista w akcji... Zaraz... Przecież pies porusza się po całym terenie złomowiska, nie powodując włączenia światła. Możliwe, że czujnik usytuowany jest na wysokości człowieka. Więc gdybym się przeczołgał...

Wniosek był trafny! Chwilę później leżałem pod upragnioną bramką. Przekręcany zamek nie robił wiele hałasu, ale gdy tylko wstałem, światło zapaliło się ponownie. Poczułem, że w plecy wbija mi się czyjś wzrok. Obróciłem się. Nie dostrzegłem nikogo.

Znajdowałem się w szarej strefie świadomości. Między ciemną rzeczywistością i jeszcze ciemniejszą warstwą imaginacji. Tu wszystko mogło być prawdą lub złudzeniem. Nie miałem czasu na selekcjonowanie jawy od zwidów.

Ale malutki, zielonogroszkowy fiat 126p nie był przywidzeniem. Stał tuż koło imponującego audi A8, ciągle jeszcze skrywając swą tajemnicę.

Wchodzenie do luksusowego auta byłoby doznaniem samym w sobie. Byłoby, gdyby nie ilość i ciężar gatunkowy wcześniejszych przeżyć. Kod podany przez Łotysza odblokował system. Na ekranie pokładowego komputera ukazała się uśmiechnięta buźka i napis: *You May Drive*. Odruchowo wcisnąłem dyktafon za ochroniacz przeciwsłoneczny.

Nie miałem wątpliwości, że za moment znajdę się w oku kamery, która — być może — uruchomi alarm. Ale wiedziałem także, że gdy raz znajdę się na ulicy, silnik o gigantycznej mocy 210 KM przyspieszy do setki w osiem sekund, a to znaczyło, że nie muszę się już obawiać żadnego mechanika. Od tej chwili to ja będę dla niego groźny.

Przycisk na pilocie uruchomił przesuwaną bramę. Ruszyła bezgłośnie.

Już za chwilę zamierzałem poinformować Bielskiego o kulisach zdarzeń sprzed lat. Choć aktualna działalność mechanika nie zajmowała mnie, było jasne, że policja wpadnie na jej trop. I tu pojawiał się problem... Wyjaśnianie afery luksusowych aut, niewątpliwie „importowanych” z Zachodu i „eksportowanych” na Wschód, musiało wessać do środka Gedete, który znalazł się w sytuacji beznadziejnej. Unieruchomiony, porzucony w scenerii, przy której większość horrorów zbladłaby ze wstydu, zdany na łaskę i niełaskę całkiem obcego człowieka... A ja nie mogłem mu pomóc inaczej, niż alarmując policję... Więc tak miałem się odwdziżyć za bezinteresowną i nieocenioną pomoc? Dylemat nie do rozwiązania... Cholera! Co mogłem zrobić? Kogo zawezwać? Wysłać w słone czeluście Sebastiana? Joasię z Jackiem? A może Konrada i Marchewkę? Eston, ten by się nie zawahał. Ale w tym wypadku nawet on nie dałby rady. Jedynym człowiekiem mogącym uruchomić siły i środki niezbędne do ratowania Łotysza był nadkomisarz Robert Bielski. Innego wyjścia po prostu nie było.

Audi ruszyło w ciszy, nabierając szybkości z mocą, która prawie mnie rozśmieszyła. Z czymś podobnym jeszcze nie miałem do czynienia. Nawet Jędrzej Jędrzejczyński mógł się schować ze swoim BMW serii 1. Hej, Jędrzek! — chciałem zawołać w nagłej euforii. A może urządzimy sobie mały nocny *street race*? Po dwóch sekundach byłem na ulicy. Minimalny wstrząs, jaki towarzyszył zeskokowi auta na jezdnię, przywrócił mnie rzeczywistości.

— Skoncentruj się — powiedziałem na głos. — Skoncentruj bardziej niż kiedykolwiek.

Wystukałem nowy numer Bielskiego. „Ten jest w stu procentach czysty”, zapewniał nadkomisarz. Robert zgłosił się natychmiast.

— Mówi Bartek. Nie przepraszam za porę, bo nawet nie wiem, która jest godzina. Słuchaj mnie uważnie. W trybie natychmiastowym musisz zorganizować ekipę ratownictwa górniczego. Co?! Ja też nie wiem, czy istnieje ratownictwo solne! To chyba wszystko jedno? Sprowadź ekipę ze Śląska! Czerwony kod! Helikopterem będą tu w pół godziny! Niech lecą prosto na Solną Górę. Na samym środku ściętego szczytu jest punkt zaznaczony przeze mnie górką kamieni. Do jednego z nich przywiązana jest stumetrowa żyłka. Na jej drugim końcu, w ruinach starej kopalni znajduje się człowiek, który pomagając mi, o mało nie zginął. Ma złamaną

nogę, jest w fatalnym stanie i jeszcze gorszych warunkach. To kwestia życia i śmierci!

Życia lub śmierci!

Samochód prowadził się lekko. Wznoszącymi się i opadającymi uliczkami opasywałem Solną Górę. Aż nie mogłem się doczekać jakiegoś prostszego odcinka, żeby solidniej wcisnąć pedał gazu.

— Po drugie, sprawdź ponownie sześciocyfrowe kody z włoskiej komórki. W rzeczywistości są to dwa ciągi po trzy wartości; dane geograficzne, najprawdopodobniej określające punkt, w którym Włosi przetrzymują Antosię. Wyniki cię zszokują. To miejsce znajduje się trzydzieści kilometrów od K.; opuszczona leśniczówka w sercu puszczy... Właśnie się tam wybieram. Jeśli rzucisz mi na pomoc grupę wsparcia, to się nie obrażę, ale czekać też nie mam zamiaru. Nie! Jak zaczniesz mnie odwozić, to odłożę słuchawkę! Nie jestem idiotą, zostawię auto dwa kilometry od celu. Podejdę cicho i zobaczę, jakie są możliwości. Jeśli to będzie konieczne, poczekam na was. Tylko nie spłoszcie ich, błagam. Aha, dzisiejszej nocy poruszam się srebrnym audi A8 o numerze rejestracyjnym... Nie wiem jakim... Ale chyba tak dużo ósemek po naszych drogach nie jeździ? Bez względu na pochodzenie auta zaklinam ciebie i twoich kolegów: nie zatrzymujcie mnie! I jeszcze coś na deser. Możesz wystąpić do prokuratora o nakaz zatrzymania właściciela Zakładu Mechaniki Samochodowej Wędrowiec. Istnieje dziewięćdziesiąt dziewięć procent prawdopodobieństwa, że to on stoi za śmiercią Marty Kronos. Uwaga! Gość jest cholernie niebezpieczny.

Bielski kilkakrotnie próbował włączyć się w tok monologu, ale nie dopuszczałem go do głosu. Dość się nagadaliśmy. Nadeszła pora działania. Policjant musiał czuć się jak trafiony ciężkim obuchem, i to kilka razy z rzędu.

— Bartek! — powiedział w końcu. — Czy możesz to wszystko powtórzyć?

Oszalał! Myślał, że się naćpałem.

— Posłuchaj! Nie piłem i nie brałem! Nie siedzi koło mnie żadna Viola! I nie mam zamiaru powtarzać! Zaufaj mi i przystępuj do akcji!

— No, więc teraz ty posłuchaj! — ryknął na mnie, tracąc cierpliwość. I tak miał jej w nadmiarze. — Czy masz nas za kompletnych idiotów?! — mówił głosem pełnym emocji. — Oczywiście, że rozszyfrowaliśmy sześciocyfrowe ciągi. Od wczoraj moi ludzie prowadzą rozpoznanie terenu. Nie zaatakujemy bez stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa Antosi. Niestety, nie mogę wykluczyć, że informatyk podejrzewany o współpracę z Włochami — nasz genialny Stefan, jak się okazało — zdążył przekazać im wiadomość o wytropieniu kryjówki. Dlatego czekaj na mnie i nie podejmuj żadnych samodzielnych kroków!

— Co? Jeszcze i to spieprzyliście?! Trzeba było dłużej zwlekać! — krzyknąłem. — Oto, do czego prowadzi twoje czekanie. Ty się zasadzasz, a ja w tym czasie odkrywam Porzucone Miasto, wpadam na trop zabójcy sprzed lat i lokalizuję porywaczy!

Rozłączyłem się. Czekałem za długo. Elementy były w ruchu. Maksymalnie wychylone wahadło musiało ruszyć w przeciwną stronę. Jego zatrzymywanie byłoby wbrew naturze. Komórka dzwoniła rozpaczliwie. Nie odbierałem. Niech Bielski zajmie się tym, o co go prosiłem, resztę zostawiając mnie. Jasne, że nie rzucę się na porywaczy z gołymi pięściami. Chciałem po prostu znaleźć się bliżej Antosi. Eston, ten by mi się teraz przydał... Ale jazda po psa oznaczała dalszą zwłokę. Bielski zdołał mnie wyprzedzić, a tym samym narzucił swój punkt widzenia i działania. Wydarzenia ostatnich dwóch tygodni dowodziły, że racja nie zawsze jest po jego stronie.

Komórka hałasowała tak wściekle, że dla świętego spokoju postanowiłem odebrać.

— Co!

— Bartosz, do kurwy nędzy! Uważaj na siebie! — usłyszałem w słuchawce. — Udzielę

ci całego wsparcia, jakiego potrzebujesz, tylko nie rób głupstw!

I to właśnie chciałem usłyszeć!

W tej wielkiej furze poczułem się nagle jak *capo di tutti capi*. Może teorie o męskiej auto-kompensacji nie są tak całkiem wyssane z palca?

*Hey, signore don Pasquale! Attenzione! Bartolomeo arriva!*

Miałem do pokonania ostatni z serii zakrętów, potem dobry kilometr prostej i szerokiej drogi, zakończonej ostrym, prawie stuosiemdziesięciostopniowym nawrotem, w który trzeba było wejść praktycznie od zera. W ciszy wytłumionej kabiny ryknęła nagle z całą mocą fraza otwierająca *Śmierć i Dziewczynę*. Noga automatycznie — chyba ze strachu — docisnęła pedał gazu, który reagował na najlżejsze muśnięcia. Skąd tu ten Schubert? Niechcący uruchomiłem pokładowe hi-fi. Po omacku dotknąłem któryś z przycisków na konsoli. Muzyka wyciszyła się po kilku taktach, by po chwili zabrzmieć początkami kolejnych części. Gdy na stromej pochyłości auto nabierało zawrotnego pędu, w głośnikach rozszalała się finałowa tarantela. Nie chciała się zatrzymać.

Jak wszystko w tym samochodzie, hamulce reagowały miękko; tak miękko, jakby ich nie było...

Szybkość się nie zmniejszała. Coś było nie tak. Zahamowałem ponownie... I jeszcze raz. Bez skutku. Samochód nabierał pędu, który zapierał dech w piersiach.

Zbocza roztaczające się w okolicach czekającego mnie zakrętu, zwanego przez użytkowników drogi ośmiornicą (dla górującej nad nim wapiennej skałki, takiej trochę maczugi Herkulesa i ośmiu rozciągających się niżej pasów zieleni, przeplatanych surowym, kamienistym gołoborzem), nie należały do szczególnie spadzistych ani nadmiernie głębokich. Tak jak cała okoliczna natura — bez skłonności do emfazy. W kategoriach estetycznych (w skali dziesięciopunktowej) zasługiwała na dobrych siedem, zaś jako sceneria wypadków samochodowych — nie więcej niż cztery.

Czy możecie jednak wyobrazić sobie rozczarowanie kierowcy, który najpierw delikatnie, by nie urazić czułego mechanizmu, potem coraz mocniej, aż w końcu w jawnej panice wciska pedał hamulca, by przekonać się, że są to wysiłki płonne, bezowocne, beznadziejne, i nagle dociera do niego, że to była prawda z tym życiem przebiegającym przed oczami w ułamku sekundy... Już wiadomo, czego żałować, a co zabrać ze sobą, ale właśnie to ostatnie chciałoby się jeszcze raz, choć przez chwilę przeżyć...

Przeżyć...

Nie przeżywa się gwałtownego wbitcia w głowę ośmiornicy, zwłaszcza jeśli jest to ośmiornica twarda i kamienna...

Zabrakło mi jednego manewru. Gdybym jakimś cudem zdołał objechać jej głowę, znalazłbym się na odcinku ponownie wznoszącym się pod dość ostrym kątem. Ale przy osiągniętej — już sto trzydzieści na godzinę — i ciągle zwiększającej się szybkości był to manewr niewykonalny. Od ostatecznych rozstrzygnięć altowiolistycznego żywota dzieliły mnie sekundy. Przewijająca się w głowie taśma właśnie dobiegała końca.

I wtedy postanowiłem zrobić coś, czego nikt przy zdrowych zmysłach by nie uczynił. Słuchając jakby podszczeku Estona, poszedłem za głosem instynktu. Gwałtownie i z całych sił przekręciłem kierownicę. Prawo fizyki natychmiast wyrzuciło mnie w powietrze. Samochód zaczął koziołkować. Trochę leciałem — jak pilot myśliwca, z głową w dole — trochę, mimo zapiętych pasów, odbijałem się w samochodowej skorupie niczym niezgrabna metalowa kukła. Nie wiedziałem, jak daleko od progu urwiska się znajdujemy. Przestałem myśleć racjonalnie. Właściwie nie myślałem już w ogóle.

I — choć wiem, że trudno w to uwierzyć — usłyszałem muzykę.

Dźwięki wcale nie głośne, a przecież kojące...

*...bądź dobrej myśli...*

*W ramionach moich błogi znajdziesz sen...*

22.

Gwałtowne uderzenie zbiegło się w czasie z serią minieksplozji, które otoczyły mnie kokonem dźwięków. Zewsząd napierały poduszki, które wybuchły unisono w momencie zetknięcia samochodu z ziemią. Było ich zadziwiająco dużo. Wystrzeliwały nawet z sufitu i z podłogi. Auto koziółkowało przez chwilę, lecz natrafiwszy na jakiś występ w podłożu, wzbilo się raz jeszcze, już tylko po to, by szerokim łukiem opaść na cztery koła. Podobieństwo maszyny do kota spadającego na cztery łapy osiągnęło apogeum. Samochód przez moment ślizgał się po wzgórzu — u podnóża już dosyć łagodnym — zanim ostatecznie znieruchomiał.

Przyznaję; byłem przekonany, że ulatuję na spotkanie największej z tajemnic. Ale czy nie byłby to egoizm, do którego w tej właśnie chwili nie miałem prawa?

*W ramionach moich błogi znajdziesz sen...*

Leżałem, siedziałem, trwałem nieporuszony, bojąc się, aby zbyt gwałtowny ruch nie ujawnił niechcianej prawdy. Musiałem żyć. Znajdowałem się w epicentrum niezłatwionych spraw. To nie był czas na sen. Nawet nie na drzemkę.

Pobudka!

Wyczołgałem się na zewnątrz. Stałem na nogach. Na ból było za wcześnie. Ale większość kończyn oraz zdecydowana większość mnie funkcjonowała normalnie.

Większość.

Wyjątek stanowiła lewa ręka. Palce były na swoim miejscu; widziałem je, co oznaczało, że nie utraciłem wzroku ani umiejętności liczenia do pięciu. Ale czułem tylko dwa: kciuk i wskazujący. Do prowadzenia auta wystarczy. Auto? Właśnie; co zostało z dumnego pogromcy szos?

Jakoś niespecjalnie się nim nacieszyłem. Skazany na alto...

Limuzyna przypominała samochód, który właśnie wystąpił w kilku ciężkich dublach hollywoodzkiego kina akcji. Karoseria wyglądała jak po deszczu meteorytów, a oberwane zderzaki, potrzaskane szyby z boku i z tyłu (przednia była spękana i nieco wklęsła) oraz pogruchotane reflektory sprawiały przygnębiające wrażenie. Drzwi od strony kierowcy zwisały smętnie. Pewnie dzięki temu udało mi się bez większych problemów wydostać na zewnątrz.

Był wszakże w tym wrakowym krajobrazie jakiś pozytyw. Auto nie stanęło w ogniu, a spod maski nie wydobywał się nawet obłoczek dymu. Również opony wytrzymały potworne uderzenie, zaś przednie koła skręcone były pod takim samym kątem, co oznaczało, że i układ kierowniczy nie poniósł szwanku.

Liczyły się tylko podstawowe fakty. Czy auto i kierowca nadają się do użytku? Odrzucając rozważania na temat możliwych obrażeń wewnętrznych (swoich i samochodu), zanurkowałem do środka. Całość pokryta była sflaczałymi pozostałościami airbagów, które — nie ulegało wątpliwości — uratowały mi życie. Wszędzie pełno było wirującego pyłu, chyba talku konserwującego poduszki. Pousuwałem z foteli odłamki szkła i od razu zrobiło się porządniej. Ponownie wygrzebałem się na zewnątrz i uniosłem maskę. Zawiodły hamulce. Hamulce... Przewód hamulcowy... Układ hydrauliczny... Odszukiwałem w pamięci strzępki

informacji na temat konstrukcji samochodowego silnika. Hm. Znalazłem dwa przewody, najwyraźniej do siebie pasujące, i najwyraźniej rozłączone. To się mogło wydarzyć w trakcie wypadku. Tyle że hamulce nie działały już wcześniej.

Czyżby mechanik zapożyczał na Gedete starym wypróbowanym sposobem? W pułapkę złapała się inna zwierzyna. Z punktu widzenia myśliwego nie był to problem. Czy widział mnie, kiedy wsiadałem do audi? Miałem w pamięci to wrażenie wzroku wbijającego się w plecy na kształt dwóch sztyletów. Nie należałem do jego ulubionych klientów i trudno wykluczyć, że i w alto szykował jakąś niespodziankę. Czy dałoby się mu coś udowodnić? Jeśli przewody byłyby ucięte, może i tak. Rozłączenie mogło być skutkiem wypadku, którego przyczyna pozostawała nieznana. Próba samobójstwa? Kto wie? Takie rzeczy już się zdarzały...

Jedno nie ulegało wątpliwości: gdyby wypadek przydarzył mi się w alto, finał tej opowieści byłby zupełnie inny. Nie byłoby jej komu ciągnąć...

Połączyłem przewody. Wykapująca ciecz była zapewne resztką płynu hamulcowego. Może nie wyciekła do reszty? Przekręciłem kluczyk, ciągle tkwiący w stacyjce (w momencie uderzenia musiało nastąpić automatyczne odcięcie mocy) i...

Silnik zaskoczył bez jakiegokolwiek wysiłku. Auto nadawało się do jazdy, co potwierdziłem, delikatnie wciskając pedał gazu i dojeżdżając do jezdni, powyżej której odbyło się lądowanie na cztery koła. Czy również do hamowania? Tak! Hamulce działały! Miałem w ręku nowy fach!

Tymczasem zaczynały się kolejne problemy. Część samochodowej elektroniki nie przetrzymała upadku. Pokładowa nawigacja nie działała. Znałem orientacyjne położenie leśniczówki. Jednak „mniej więcej” to było w tym wypadku za mało.

Musiałem dostać się do domu, do swojego komputera. W pozornym zobojętnieniu, nie będąc w stanie przetrwać coraz dramatyczniejszego splotu wydarzeń, popadałem w rodzaj apatii. A może dawały o sobie znać urazy wewnętrzne? Byłem bliski omdlenia.

Nagle kątem oka wypatrzyłem metalową piersiówkę, która wypadła ze schowka. W środku znajdował się jakiś alkohol. Pociągnąłem solidny łyk. Zakręciło mi się i zaszumiało w głowie, ale po chwili krew ruszyła szybciej. Najgorsze minęło.

Zaparkowałem w starym zaułku. W ciszy i ciemności wspiałem się na poddasze. Za nic w świecie nie chciałem natknąć się teraz na Sebastiana.

Eston przywitał mnie z radością i obwąchiwał z uwagą, a gdy usiadłem przy stole, aby pobrać dane z komputera — po włączeniu ukazała się ostatnia zapamiętana strona, satelitarne zdjęcie kawałka lasu z leśniczówką pośrodku — siadł obok, kładąc mi głowę na kolanach.

Wyszukałem i wydrukowałem optymalną trasę dojazdu. Z *Jury Suliwskiej* wyrwałem mapkę o parametrach zbliżonych do poszukiwanego miejsca.

Mój plan był na razie bardzo ogólny; dostać się w pobliże leśniczówki i... zobaczyć, co da się zrobić. Nie potrafiłem ocenić, ile czasu upłynęło od chwili wypadku. Byłem natomiast pewien, że Bielski tym razem nie próżnuje. Dałem mu aż nadto zadań. Tym również tłumaczyłem fakt, że przestał się do mnie odzywać.

Ale powód był inny.

Z kieszeni spodni wyciągnąłem coś, co jeszcze do niedawna było komórką. W trakcie wypadku musiała przyjąć na siebie impet jakiejś metalowej części. Chroniąc mnie przed nie wiadomo jak poważnymi obrażeniami, sama przestała działać.

Nie miałem telefonu. Może to i dobrze? Musiałem skupić się na jednym tylko celu. Koncentrować na pojedynczym zadaniu.

Na kartce papieru nabazgrałem kilka słów.

*Sebastianie, odkryliśmy Porzucone Miasto. Szczegóły jutro. W jego ruinach uwięziony jest mój przyjaciel. Bielski wie o sprawie, ale prosz go o interwencję aż do skutku, bo sytuacja jest dramatyczna. Bartek*

Zastanawiałem się, czy wspomnieć choć jednym zdaniem o moich planach. Dałem spokój. Nie było czasu. Już wkrótce wszystko miało się wyjaśnić.

Od paru chwil Eston próbował odczytać moje intencje, wpatrując się we mnie w niesłychanym napięciu. Czy — skoro już los przywiódł mnie do domu — powinienem był go zabrać? I co dalej; prowadzić na smyczy? Bilans pożytku z jego obecności i niebezpieczeństw, na które mógł zostać narażony, niełatwo dawał się przewidzieć. Pies, jakby wyczuwając moje wahanie, postanowił wziąć sprawy w swoje — że tak powiem — łapy. Wepchnął nos w szczelinę między framugą a drzwiami, gwałtownym ruchem głowy uchylił je i tyle go widziałem...

Ruszyłem w pogoń.

Przebiegając obok antykwariatu, wsunąłem pod drzwi kartkę i nacisnąłem dzwonek. Na miałem czasu czekać. Gnałem za psem, nie dostrzegając go, ale nie mogłem też oprzeć się wrażeniu, że podążam jego tropem. Przeczucie było słuszne; gdy dobiegłem do samochodu, ujrzałem Estona siedzącego w środku (wskoczył przez wybite okno)...

Przyznajmy, ruch uliczny nie był o tej porze imponujący. Uwalniało mnie to od nadmiaru zadziwionych spojrzeń. Luksusowe audi w stanie agonialnym, z powybijanymi szybami (quasi kabriolet), wilkiem na tylnym siedzeniu i upiornie-widmowym kierowcą, musiałyby obudzić zainteresowanie innych użytkowników szos. Obawiałem się patrolu policyjnego. Nie czułem się na siłach do wygłoszenia błyskotliwej syntezy zdarzeń, które doprowadziły mnie i auto do podobnie katastrofalnego stanu. Na szczęście jazda — za dnia ciągnąca się w nieskończoność — nocą trwała zaledwie minuty.

Po chwili byliśmy już na północnej wylotówce miasta. Zrobiło się ciemno. Szosę przede mną oświetlał ledwie nikły blask prawego reflektora.

O ile droga wjazdowa od strony Toskanii była szeroka i jasna, europejska rzekłbym, o tyle ta, którą właśnie przemierzałem, wiła się w ciemnościach, niczym... właściwie nie istnieje aż tak dosadne określenie. Do obserwatorium astronomicznego na Górze Kopernika było jeszcze znośnie, ale gdy tylko je minąłem, zabudowania dające minimum orientacji przestrzennej skończyły się prawie natychmiast. Jechałem między zbitą masą świerkowych lasów. Nie, nie widziałem ich; jedynie wiedziałem, że takie tu rosną.

Ta dość — nazwijmy to — ascetyczna infrastruktura drogowa dawała mi wszakże pewien atut. Nie musiałem bez przerwy wodzić oczami po wydruku, ponieważ kierunek był oczywisty. Wkrótce jednak sytuacja się zmieniła; musiałem zwolnić przed czekającą mnie serią zakrętów i podróżą jeszcze podrzędniejszymi drózkami. Dwukrotnie zagalopowałem się, ale tylko o jedną odnogę. W rosnącym poczuciu osamotnienia zacząłem wyglądać śladów ekipy nadkomisarza Bielskiego. Bezskutecznie. Miałem wrażenie, że poruszam się dziewiczym kawałkiem łądu, do którego nie dotarła jeszcze cywilizacja.

W końcu musiałem się zatrzymać. Poszukiwane miejsce znajdowało się w strefie, do której nie prowadziły drogi godne zapamiętania przez internetową wyszukiwarkę. Z geodezyjnej mapki wyrwanej z książki dostarczonej mi przez Sebastiana wynikało, że leśniczówka powinna znajdować się około cztery kilometry na północny wschód. Trochę dużo jak na spacer po tonących w mroku leśnych ostępach. Postanowiłem podjechać jeszcze kawałek.

Trzykrotnie grzęzłem w kałużach solidnie wymoszczonych gliną. Wydawało mi się, że już się z nich nie wygrzebię, dodatkowo zaś gwałtowny ryk silnika o mocy 210 KM mógł obudzić nie tylko okoliczne niedźwiedzie. Postanowiłem nie ryzykować. Udało mi się postawić



auto na nieco bardziej suchym skrawku podściółki. Było niewidoczne z odległości metra.

— Eston, jeśli masz zamiar iść na własną łapę, będę musiał zostawić cię w samochodzie.

Spojrzałem na psa wymownie. Ten zaś przechylił głowę i — dałbym swoją — mrugnął szelmowsko. Rzeczywiście, mogłem go zostawiać; w aucie z powybijanymi szybami...

Opuszczając audi, stąpnąłem w rozmiękle podłoże, grzęznąc po kostki. Byłem poobijany, poraniony, zmaltretowany, coraz bliższy przekroczenia progu, za którym czaiła się już tylko ciemność. Jedyne, co nie mogło, a przynajmniej nie powinno mnie zawodzić, to mózg. Na szczęście chyba ciągle znajdował się na właściwym miejscu.

Eston jakby wziął sobie do serca mój apel, bowiem usiadł nieopodal, najwyraźniej oczekując na inicjatywę z mojej strony. Ten pies wiedział, jak dodać mi ducha.

Z zaprzyjaźnionym geodetą uczestniczyłem kiedyś w poszukiwaniach punktu triangulacyjnego. Na podstawie niepozornej mapki poruszał się w nieznanym obszarze z pewnością aktora kroczącego po czerwonym dywanie. Podświetlając zapalniczką niewielki kawałek papieru, też tak próbowałem, ale nie dłużej niż trzydzieści sekund. To była utopia. Na szczęście miałem koło siebie Estona.

Zaczęliśmy wolny i ostrożny marsz. Pies wyprzedzał mnie o pół kroku właśnie po to, aby wyszukiwać i wskazywać drogę. Bez jego pomocy raz po raz lądowałbym poobijaną głową na pniu.

Ogarnęła mnie rozpacz, gdy uświadomiłem sobie, że w takim mroku możemy minąć leśniczówkę o kilkadziesiąt metrów, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy. A potem zmylimy kierunek i o świcie znajdziemy się... po słowackiej stronie. Przestałem ufać własnemu nosowi. Dobrze, że mogłem zdać się na ruchliwy, czarny i wielki organ powonienia mojego druha.

W pewnej chwili Eston zatrzymał się. Coś go zaniepokoiło. Spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: nie ruszaj się. Z uwagą obwąchiwał teren w promieniu kilku metrów. Zniecierpliwiony, ruszyłem ponownie, ale pies natychmiast zagroził mi drogę, po czym naparł, spychając mnie jakieś pół metra w bok. Dopiero wtedy, jakby przyklejony do mojej nogi, pozwolił ruszyć dalej. Po chwili uspokoił się, dając mi ponownie więcej swobody. Ale nagle przystanął jak wryty, nastroszył uszy, pochylił sylwetkę do przodu, uniósł do góry prawą łapę. W następnym momencie położył uszy po sobie, zaskomlał cichutko i... zniknął w nieprzeniknionej gęstwinie. Limit posłuszeństwa się wyczerpał. Na horyzoncie pojawiła się zwierzyna.

A może?...

Poczułem, że w mojej zziębniętej i obolałej piersi znowu bije serce.

Z nową energią brnąłem przed siebie. Tędy szedł Eston, mówiłem sobie, wręcz wyczuwając smugę ciepła, które pies zostawiał. Ale szybko traciłem siły. To zapadałem się po kolana w czymś grząskim, to znów przytrzymywały mnie wyimaginowane zasieki, będące zapewne rozplenionymi krzakami malin. Było mi słono, słono i jeszcze raz słono. To wymieszały się ostatecznie krew, pot, a może i łzy, oraz sól, której cienka warstwa przylgnęła do mnie na trwałe.

Byłem blisko. Czego? Rozwiązania zagadki czy własnego szaleństwa? Druga odpowiedź zaczęła przeważać. Największą, ale też najbardziej prawdopodobną ironią losu byłoby, gdybym teraz przewrócił się w nieprzebrane, nieprzyjazne chaszczce i więcej po prostu nie wstał...

Nagle, gdy ostatecznie straciłem orientację, a nadzieja nie opuściła mnie jeszcze tylko przez przekorę, tuż obok zjawił się Eston. Zaniepokojony stanem moich zmysłów, dla pewności trącił mnie głową w kolano.

Stałem w miejscu.

Pies był w najwyższym stopniu podekscytowany, zarazem jednak zachowywał się jak stuprocentowy konspirator. Żadnego zbędnego ruchu, dźwięku...

Co wyczuł? Kogo odnalazł?

Pochyliłem się, zbliżając głowę do smoczego pyska.

— Antosia? — wyszeptałem.

Eston aż jęknął cicho i podskoczył na przednich łapach. Nie miałem wątpliwości. On też nie. Był gotów mnie prowadzić. Szkoda, że nie mogłem przekazać informacji o siłach nieprzyjaciela. Ale niechby tam nawet cała armia... Poczulem, że zmęczenie raz jeszcze ulatuje. Po raz pierwszy od dawna targnął mną spazm euforii. Czy nie za wcześnie?

Skradając się ślad w ślad za przewodnikiem, po kilkudziesięciu metrach zauważyłem, że gęste poszycie lekko się przerzedza. Za płataniną gałęzi błysnęły światła.

Eston zaczął się czołgać. Poszedłem w jego ślady. Nie wiem, który zmysł, jaka — wrodzona czy nabyta — inteligencja podpowiadały zwierzęciu zachowania najwłaściwsze. On wiedział, że w pobliżu znajduje się ta, którą uwielbia, ale również ci, którzy skrzywdzili i ją, i jego.

Zatrzymaliśmy się przed ostatnim rzędem drzew.

Na środku rozległej polany wznosił się drewniany budynek. Podświetlony w kilku miejscach, przypominał chatkę z piernika. Pomyślałem nagle, że mamy tu pomieszczenie kilku baśni. Czerwony (Rudy) Kapturek znajduje się w chatce Baby Jagi. Wilk spieszy mu z odsieczą. Mnie przypadała rola leśniczego imieniem Jasiu. Miejmy nadzieję, że nie głupi.

W rzeczywistości był to piętrowy domek z modrzewia, a może świerku, stanowiący przedziwny melanz szlacheckiego dworku (ganek) i góralskiej chaty (gonty; to głównie one upiorniczały konstrukcję). Najprawdopodobniej jakaś zapomniana (nie przez wszystkich) dacza, należąca kiedyś do włodarza starego systemu.

Znajdowaliśmy się naprzeciwko wejścia. Nie dostrzegalem żywego ducha. Na zewnątrz było zimno i nieprzyjaźnie. Lokatorzy chaty, którzy tak przytulnie się tu rozgościli, raczej nie spodziewali się wizyty. Zresztą, zainstalowanie paru kamer lustrujących otoczenie non stop, z pewnością nie przekraczało ich możliwości.

Pas ziemi od ścian budynku aż do granic lasu był lekko podświetlony. Przy odrobinie szczęścia dało się go pokonać niezauważonym. Kiedy rozkołataną gorączką i przeżyciami szykowałem się do biegu, w ciszę, urozmaicaną dotąd jedynie tajemniczymi odgłosami lasu, wdarł się terkoczący dźwięk.

To łopaty helikoptera miały czarne i zimne powietrze ponad łąką. Zmroziło mnie przypuszczenie, że Bielski zdecydował się na chaotyczny desant lub atak z powietrza. Zarazem nadarzała się niepowtarzalna okazja, aby w kilku susach przesadzić polanę, podczas gdy cała uwaga strażników skupi się przez chwilę na wydarzeniach ponad ich głowami. Ale zanim jeszcze ruszyłem, przestrzeń dzieląca mnie od budynku zalana została jasnością kilku reflektorów.

Coś tu nie grało. Nie tak wita się niepożądanych gości.

Na łące tuż koło dworku delikatnie usiadł niewielki, luksusowy Hermes. Nie, żebym był szczególnym znawcą śmigłowców, lecz podobnym modelem odwiedził mnie kiedyś jeden z toskańskich plantatorów. Dałbym głowę, że podobne cacka nie znajdują się na wyposażeniu polskiej policji. Ani nawet antyterrorystów.

Silnik zamilkł, a łopaty wirnika zamarły po kilku sekundach. Zgasły też halogeny oświetlające zaimprovizowane lądowisko. W tym momencie z dworku wyskoczyła jakaś postać. Człowiek ten podbiegł do maszyny i otworzył drzwi od strony pasażera. Ze środka wysiadł mężczyzna, który szybkim krokiem podążył za sylwetką. Po chwili z helikoptera wyskoczył również pilot. Najwyraźniej wizyta miała chwilę potrwać.

Docierały do mnie następujące fakty: po pierwsze, siły nieprzyjaciela zostały właśnie wzmocnione o dwie szable (dwa noże); po drugie, nie mogłem wykluczyć, że do leśniczówki

ukrytej opodal K. przybył właśnie... don Pasquale, czyli Benvenuto Adriano Collontani we własnej osobie.

W jakim celu?!

Nie wiedziałem, co robić. Nieprawda; tragicznie rozpaczliwie nie miałem pojęcia, co robić. Eston trzymał się blisko mojej nogi. On wiedział, że rozgrywka się zbliża, ale jeszcze nie nadeszła. Gdyby mógł przekazać mi swoją koncepcję...

Gdzie był Bielski? Gdzie jego zuchy w kominiarkach i kamizelkach kuloodpornych?

Już go widziałem, jak mówi: „Panowie, musimy czekać. Czekamy do świtu, a potem zobaczymy”.

Co zobaczymy?! Pustą chatę w stylu góralsko-szlacheckim? Miejsce, w którym — pod ich nosem — przetrzymywano porwaną dziewczynę? Altowiolistę bez instrumentu i... bez głowy?

Przylot szefa musiał coś oznaczać. Dlaczego wszystko we mnie krzyczało, że helikopter zabierze Antosię? Teraz — odległą o kilkadziesiąt metrów. Już wkrótce — zaginioną w przestrzeni. Szukaj wiatru w polu. Szukaj Antosi we Włoszech. A dlaczego we Włoszech? Może gdzie indziej? Draniom mafiosom nie brakowało ani fantazji, ani bezczelności. Kasy także nie.

Konkluzja była jedna. Dramatyczna szarpanina ostatnich dni i godzin przywiodła mnie w to właśnie miejsce. Ku finałowi, jedynemu z możliwych. Przecież jest w naszych losach jakaś logika zdarzeń. Nic przeznaczenia, która nie rwie się, choć powinny z niej zostać tylko strzępy. *Dziki szkielet* upominał się o mnie z bezwzględną natarczywością. A przecież stałem tu! To co, że w kondycji godnej pożałowania?! U mego boku czuwał niezawodny druh, gotów do walki na śmierć i życie. I to wcale nie ja znajdowałem się w najbardziej oplakanej sytuacji. Wyobraziłem sobie katusze, które znosi Gedete uwięziony wśród zwałów ziemi. Ani przez chwilę nie potrafiłem i nie chciałem o nim zapomnieć.

No, panie Czarnoleski. Dość mazgajenia. Pora na spektakularny występ niezapomnianego duetu Bartosz-Eston. Przypomniałem sobie rozgrywkę w miejskich podziemiach. Gdy wzięty w dwa ognie, przez — tak, teraz znałem ich już z nazwiska — Ligurię i Papageno, szykowałem się na najgorsze, najpierw Eston obezwładnił pierwszego z nich, po czym ja — uniesiony jego przykładem — o mało nie złamałem drugiemu szczęki. Tym razem przeciwników było więcej. Lecz to my byliśmy w pozycji osaczających. W zasadzie powinienem krzyknąć: „Jesteście otoczeni! Wyłazić z rękami na karku!”.

Jednak rozegramy to inaczej, pomyślałem buńczucznie i o mało nie przewróciłem się z wysiłku.

Odbicie zakładnika nie odbywa się zazwyczaj przez bramę główną. Kryjąc się za pasem zarośli, okrążyliśmy dom. Eston radośnie machał ogonem, szczęśliwy, że coś zaczyna się dziać. Już nawet przestało mnie zdumiewać, że — choć bez smyczy — współpracuje ze mną w sposób idealny. Dużo mnie kosztowało, aby zasłużyć na jego zaufanie, które jednak w decydującej chwili wydawało się bezgraniczne.

Zmieniliśmy pozycję o sto osiemdziesiąt stopni. Przed nami wznosiła się teraz tylna ściana chatki Baby Jagi. Z bijącym sercem dostrzegłem, że na piętrze znajduje się okno. W tym oknie pali się światło. A tuż obok umiejscowiona jest niewielka galeryjka...

*To ja będę Ci lzy ocierał z policzka jak tafla wody niewinna...*

Byłem gotów do sceny balkonowej. Szkoda, że nie miałem pod ręką choćby cytry. Ale śpiewać mogłem; drżąc z zimna i emocji, osiągnąłbym bez trudu kozią wibrację amantów kina międzywojennego. Tylko co zaśpiewać? To były marne okoliczności dla oszałamiająco pięknego tekstu Szekspira. Może: *Chodźcie, chodźcie, mnie was tutaj po-trze-ba...*

Gdyby Antosia — przecież na tle zasłony dostrzegłem wyraźny zarys kobiecej sylwetki

— podeszła akurat do okna albo — jeszcze lepiej — wyszła na balkonik... Zbiry chyba jej tego nie zabraniały?

A może ja spróbuję wspiąć się na pięterko? Nie takie ściany już się pokonywało, że wspomnę tylko sławetną wspinaczkę po fasadzie filharmonii... A potem będzie jak w moich wyobrażeniach. Zanim Antośka zdąży krzyknąć, zamknę jej usta pocałunkiem, ześlizniemy się na ziemię, a Eston bezbłędnie zaprowadzi nas do auta czekającego w leśnym gąszczu.

Dalsze czekanie nie miało sensu. Widziałem, że Eston ma zamiar dotrzymać mi towarzystwa, ale postanowiłem trzymać go w odwodzie. Gdy bezgłośnie szepłem nakazałem psu: „Zostań!”, spojrział na mnie z wyrzutem, jak dziecko wykluczone ze spodziewanej zabawy, ale usłuchał, kładąc się i wyciągając przed siebie przednie łapy.

Jak cień przemknąłem w kierunku drewnianej fortecy. Zatrzymałem się dopiero bezpośrednio pod oknem komnaty, w której uwięziona była moja księżniczka. Droga w poziomie przebiegła bez zakłóceń. Należało pokonać tę w pionie.

Ale moje starania okazały się zbyt skuteczne. W chwili analizowania struktury ścian poczułem, jak w szyję, tuż pod prawym policzkiem, wbija mi się zimny, metalowy kształt, który z całym rozczarowaniem musiałem nazwać lufą pistoletu.

— Ręce na kark — usłyszałem głos opanowany, lecz pulsujący tłumioną wściekłością. Ja myślę; właściciel głosu i pistoletu musiał być już solidnie wynudzony bezczynnością w tej prawdziwie dziwnej głuszy. Nadchodził czas zadośćuczynienia.

Gwoli ścisłości dodam, że komenda padła po włosku, ale — by nie spowalniać akcji — postaram się już nie ulegać pokusie serwowania co smakowitszych kąsków w oryginale.

Czy powinienem był posłuchać? A może podjąć natychmiastowe ryzyko? Gdyby udało mi się zamienić rolami z napastnikiem, miałbym w dłoni i broń, i przewodnika. Problem polegał jednak na tym, że prócz ducha, który jeszcze mi się nie złamał, wszystko inne pękało we mnie na tysiące kawałków. Zaskoczenie i pokonanie w walce wręcz wypasionego, roztaczającego wokół siebie zapach spaghetti bolognese, wyższego o głowę, spragnionego akcji i rozrywki bandziorka, mogłem włożyć między bajki z mchu i paproci.

Ten przydługi passus dedykuję wszystkim zawiedzionym moją biernością.

Tak, uniosłem ręce na kark. Zastanawiałem się, czy wezwać Estona, gwizdnąłem nawet, na tyle, na ile pozwalały mi pokiereszowane usta, policzki, i — o cholera! — ruszające się zęby. Efekt był mizerny. Pewnie wypłoszyłem z lasu zniesmaczoną zwierzynę. Napastnik przyjrzał mi się ze zdumieniem. Zaś Eston się nie pojawił. Może i dobrze. Tym sposobem ciągle miałem jeszcze jakiegoś asa w coraz bardziej postrzępionym rękawie.

Strażnik obmacywał mnie w poszukiwaniu broni. Musiał przeżyć niemały szok. Że też są jeszcze ludzie, co to chodzą bez giwery pod pachą...

Powodów do optymizmu radykalnie ubywało. Postanowiłem wyolbrzymiać nawet te najmniejsze. Wiem o czymś, o czym oni nie wiedzą, powtarzałem, zaciskając zęby. Uprzedzając nieco wypadki, dodajmy, że oni wiedzieli o czymś, o czym ja nie miałem pojęcia.

Ten, który mnie pojmał, musiał być z zamięłowania telegrafistą. Za pomocą stóp, kolan i dłoni zaczął wygrywać na moim ciele jakiś skomplikowany kod Morse'a. Nie byłem ekspertem, ale odczytanie właściwego przekazu: „Idź przed siebie!” — nie sprawiło mi większych problemów.

Posłusznie okrążyłem dom i, przekraczając lekko uchylone drzwi, znalazłem się w jego środku. Wnętrze ni to chałupy, ni to dworku tonęło w półmroku. Paliły się tylko ściennie lampy, stylizowane na pochodnie. Na kominku buzował ogień. Było ciepło. Teraz dopiero poczułem, że wędrówka przez las wyziębła mnie do szpiku kości. Zrozumiałem też w końcu, że nieznośny ból w klatce piersiowej oznacza pęknięcie co najmniej jednego zębra.

W pobliżu wejścia, w głębokim fotelu siedział człowiek czule ściskający w dłoniach broń maszynową. Staralem się nie spoglądać w jego kierunku; prawdopodobieństwo, że znalazłem się w mocy księżycowych sylwetek było niemałe. Próbowalem udawać, że ich nie znam, i w ogóle znalazłem się tu najczystszy przypadkiem, zabłądziwszy miesiąc temu w trakcie grzybobrania.

Telegrafista wymownym gestem wskazał na schody. Ruszyłem, próbując wcisnąć głowę między ramiona.

Może uwiężą mnie w jednym pokoju razem z Antosią, marzyłem. Och, niepoprawna ludzka naiwności...

Na antresoli znajdowało się kilkoro drzwi. Zza jednych dochodziły przytłumione dźwięki muzyki. Tym razem nie był to Schubert.

Telegrafista — rzuciwszy dwa razy okiem na zarośniętą twarz, utwierdzałem się w ostatecznym a nieprzyjemnym przekonaniu, że mam do czynienia z połową duetu Liguria-Papageno — wskazał te właśnie. Dla zachęty — i stawiając niejako telegraficzną kropkę — kopnął mnie... od serca.

Zatrzymałem się po kilku metrach, już wewnątrz muzycznego pomieszczenia. Wyłożone średnio gustowną, obficie lakierowaną boazerią, oświetlone było na tyle jasno, że bez trudu dostrzegłem przy drzwiach pilota z bronią gotową do strzału (strasznie nerwowi ci Włosi).

A także drugiego mężczyznę, stojącego przy oszklonym wejściu na balkon i próbującego przeniknąć wzrokiem tajemnice czające się w mroku. Z niewielkich głośników zawieszonych na ścianie sączyła się wstrząsająca aria *Vesti la giubba*, znana u nas pod bardziej swojskim tytułem *Śmieć się, pajacu...*

Tak, don Pasquale był prawdziwym miłośnikiem opery. Bez muzyki nie mógł się obejść nawet chwili. W dodatku wykazywał niezły zmysł dramaturgiczny. Zaszuchany i zapatrzony, nie odwracał się, zupełnie ignorując moje wtargnięcie, co dawało mi czas na pobieżną ocenę sytuacji.

W leśniczówce znajdowali się Papageno i Liguria oraz pilot śmigłowca — ostatni z trójki porywaczy. A także ich szef. W jednym z sąsiednich pokoiów zamknięta była Antosia. Razem z mną przebywało tu obecnie sześć osób. Wiedziałem skądinąd, że w Hermesie są tylko cztery miejsca. Znaczenie tej informacji zaczęło do mnie docierać ze złowrobną mocą.

Po chwili zrozumiałem, dlaczego don Pasquale nie kwapi się z odwróceniem. W lustrze stojącym w rogu pokoju miał okazję obserwować moje wtargnięcie. Zapatrzony w przestrzeń, nie spuszczał zarazem wzroku z najbliższego otoczenia. Niczym mityczny Argos o stu oczach starał się kontrolować wszystko. Znamienne, że w starogreckim micie miał swój udział również Hermes, który zresztą odciął olbrzymowi głowę. Bogini Hera przeniosła bezcenne oczy Argosa na ogon pawia. Skomplikowana, choć wymowna symbolika.

Ale wszystko ma swój czas. Mafioso wypatrywał w końcu to, co go w mojej twarzy interesowało, i postanowił się odwrócić. Wolno i teatralnie. Pewnie świat wydawał mu się monstualną sceną, na której nigdy nie przestaje się odgrywać jakiejś roli.

Miałem go przed sobą po raz pierwszy w pełnej scenicznej okazałości. Mógł wprowadzić w błąd: starannym wyglądem, nienagannym strojem, kordialnym uśmiechem. I serdecznymi słowami:

— *Caro signore Carnoleski!* Jakże miło pana widzieć!

Ale ja i wyczuwałem, i wiedziałem, że za tą fasadą dobrych manier, markowych strojów, zapachów i uśmiechów czai się bezwzględny chłód. I okrucieństwo próbujące skryć się za blaszanymi mrugnięciami powiek i lekko opadającym kącikiem ust, przybierającym rysunek żelaznej kreski.

— Co za spotkanie! Jakież niezwykle, choć oczekiwany przypadek! — Nie ustawał w dwuznacznych zachwytach.

Jego ręce były zajęte. Lewa — koniakówką mogącą pomieścić chyba z litr złotego trunku, zaś prawa — cygarem wielkości solidnej parówki.

*Ridi, Pagliaccio, sul tuo amore infranto. Ridi del duol, che t'avvenail cor.*

*Śmieję się, pajacu, choć bolejesz niezmiernie. Śmieję się, choć ból przeszły serce twe.*

Podaliśmy nieco dłuższy cytat, ponieważ kiedyś, na meczu siatkówki, zdarzyło mi się usłyszeć wersję: *Śmieję się, pajacu, którego okiem nawet sokolim nie zmierzy...* Zaznaczymy jednak, że melodia brzmiała inaczej.

Don Pasquale potrafił zadbać o atmosferę. *Vesti la giubba* to nie jest taka sobie aryjka. To dramatyczny tekst i poruszająca muzyka. O udawaniu. Na swój sposób — coś dla każdego. Nawiasem mówiąc, kto słyszał o kompozytorze nazwiskiem Rugiero Leoncavallo? Co nie zmienia faktu, że słowa *śmieję się, pajacu* wywołują odruch zrozumienia na każdej niemal twarzy.

— Czy nie uważa pan, że pora sfinalizować naszą transakcję? — Głos Włocha zrobił się naraz bardzo konkretny.

— Skąd wiedziałeś, że przyjdę? — Nikt z obecnych nie był choć trochę zaskoczony moim widokiem. Tak jakby leśniczówka była stacją benzynową odwiedzaną przez tłumy klientów.

— Byłeś kontrolowany. Znałem każdy twój krok. Wiedzieliśmy, że zbliżasz się do celu. Jeden z naszych informatorów, utalentowany Stefano, zanim jeszcze *commissario* Bielski zdecydował się go zdjąć, uzyskał dostęp do jego nowego telefonu operacyjnego. Przecież informatyk nie bez powodu cieszył się uznaniem samego pana nadkomisarza... Od wczoraj przebywałem w pobliżu — tutejsze warunki nie do końca odpowiadają moim standardom — i czekałem na znak. Muszę przyznać, że w trakcie dzisiejszej rozmowy z Roberto Bielskim okazałeś się roztropnie powściągliwy, odnośnie znalezisk w *La Montania di Sale*. Brawo! Widzę, że kierujesz się rozsądkiem. Tak czy inaczej, dziękuję, że postanowiłeś nas odwiedzić. To dla nas prawdziwe ułatwienie! Teraz mogę już z pełnym spokojem uzbroić zaminowany teren wokół leśniczówki.

Don Pasquale skinął głową, na co pilot śmigłowca dotknął kilku przycisków na niewielkim elektronicznym urządzeniu. Wymownym gestem — przejeżdżając kantem dłoni po szyi — potwierdził wykonanie polecenia. Mafioso był zadowolony.

— Załatwione, mysz się nie prześliznie — powiedział z wyraźną satysfakcją.

Miałem nadzieję, że blefował. Chociaż... Przypomniało mi się dziwne zachowanie Estona w trakcie przeprawy przez chaszczę. A także słowa Gedete dotyczące psa: „Z odnajdywaniem materiałów wybuchowych też nieźle sobie radził...”.

Ładunek — uzbrojony czy nie — pachnie tak samo.

— Myślisz, że to żart? Cierpliwości. Przecież *signore commissario* się do nas wybiera. I to chyba nie sam? A my lubimy podejmować gości. Tak, jak na to zasługują. — Powyższe uwagi wypowiedziane były tonem krotchwilnym (*à la* Mussolini). Już przy następnym zdaniu głos ponownie stężał. — No dobrze, kończmy tę zabawę.

— Zaraz, zaraz. Od kiedy to rozumiesz po polsku? — Przecież Bielski był jedynym człowiekiem, którego poinformowałem o swoich planach. I to zaledwie przed godziną!

Don Pasquale uśmiechnął się.

— Jeden z moich współpracowników został aresztowany. Ale co byłby ze mnie za biznesmen, gdybym nie dublował kluczowych pozycji?

Oczywiście! Przecież fałszywi cebosie to też byli jego ludzie! Bóg raczy wiedzieć, jak liczna jest miejscowa grupa wsparcia *la pivory*... Globalizacja, psia mać. Z całym szacunkiem dla

maci i psa, ma się rozumieć.

— Zresztą, nie traćmy czasu na szczegóły nieistotne dla naszej umowy. Co odkryłeś? I jakie masz dowody?

— Odkryłem... grobowiec. A dowodem na to jest mój marny wygląd. Niestety, wnętrze Solnej Góry nie kryje nic, co mogłoby cię zainteresować...

— Nie wierzę! Taki zdolny człowiek, a z taką łatwością podpisuje wyrok na swoją dziewczynę... O sobie nie mówiąc.

— Nie opowiadaj bzdur. Z narażeniem życia wypełniłem twoje żądania, o mało przy tym nie ginąc. Ktoś inny właśnie płaci mój rachunek. Więc okaż się człowiekiem honoru i uwolnij signorinę.

— Człowiekiem honoru? — Collontani zrobił zdziwioną minę. — Czy to ja zakradłem się tutaj pod osłoną nocy? Czy to mnie przychodziło do głowy przechytrzenie kontrahenta? Patrz, jestem tu, stoję przed tobą. Twoja dziewczyna będzie wolna, jeśli tylko udzielisz mi rzetelnej odpowiedzi.

— Chcesz okradać groby niewinnych ludzi?

— A, więc jednak coś tam jest?! To już brzmi lepiej. Szybko się uczysz. Niewinnych? A skąd wiesz, że niewinnych? Jeśli tacy niewinni, dlaczego kryli się pod ziemią? Poza tym — jak to „okradać”? Czy można okraść nieżyjących? Pytanie z gatunku: czy da się zgwałcić prostytutkę. Z tobą czy bez ciebie, moi ludzie się tym zajmą, ważne, że wiedzą już, gdzie trzeba szukać.

— Tam nic nie ma!

— Właściwie coraz mniej interesuje mnie twoje zdanie...

A mnie coraz bardziej nie podobał się zaulek, w który skręcała nasza rozmowa. Don Pasquale nie dostał „skarbów” do ręki, ale dowiedział się, gdzie ma ich szukać. Poza tym... Ogarniało mnie idiotyczne poczucie, że w naiwny sposób dałem się ściągnąć w pułapkę. Collontani miał w garści wszystkie atuty. A ja? Traciłem ostatnią nadzieję.

Gdzie był Bielski? Co się stało z Estonem? Odczuwałem cholerny brak sojuszników.

— Posłuchaj, don Pasquale. Odnośnie Solnej Góry mówię prawdę. Ale jest przecież coś, na czym również ci zależy. Uwolnij Antonię Mars. W zamian, bez żadnych dodatkowych warunków, oddam ci Casa di Città Abbandonata. W tej samej chwili, w której otrzymam potwierdzenie, że dziewczyna jest na wolności, podpiszę — tu i teraz — dokument zrzeczenia się posiadłości na twoją korzyść.

Miałem wrażenie, że don Pasquale czekał na ten moment, bowiem uśmiechnął się ironicznie, a nie bez satysfakcji.

— Wszystko się zgadza. Domena przejdzie na moją własność, ale twój udział w tym wydarzeniu pozostanie, nazwijmy to, bierny. Wydaje mi się, że jeszcze nie zrozumiałeś całokształtu sytuacji, więc z chęcią ci go nakreślę. Jako biznesmen muszę się jakoś zabezpieczyć, niepowodzenie na jednym froncie inwestycyjnym rekompensując sukcesami na innych.

Mafioso zapalił następne cygaro. Nie poczęstował mnie. A przecież skazańcom przysługuje ostatni papieros.

— Domyślam się, że ciągle liczysz na pomoc nadkomisarza Bielskiego. Otóż, jak już wspomniałem, my również się go spodziewamy i jesteśmy przygotowani na uroczyste przyjęcie. Adekwatne do sytuacji. Nazwijmy rzecz po imieniu: nadkomisarz wyleci w powietrze wraz z całą ekipą zuchów *antiterroristi*... Sukcesy mafii od lat stają kością w gardle różnym zawistnikom. Aby przetrwać, musieliśmy wykształcić pewne mechanizmy obronne. Takie akcje to dla nas nie pierwszozna...

Zaczęła trząść mną febra. Ciało przestało być posłuszne. Docierałem do granic

odporności.

— Domena przejdzie na moją własność dzięki zapobiegliwie złożonej deklaracji pierwokupu, co nie jest dla ciebie dobrą wiadomością... Zresztą, z tym pierwokupem to też przesada. Komu miałbym płacić, skoro prawowity właściciel nie żyje? Giuseppe Trovatore zadba o korzystne przekwalifikowanie całej operacji.

— Jeśli Antosi spadnie włos z głowy... — zacząłem, nie bardzo wiedząc, jak skończyć. W rysującej się beznadziei liczyło się już tylko jej dobro.

— Antonii Mars nie spadnie włos z głowy. Masz na to moje słowo. Antonia Mars jest perłą, którą dobry wujek don Pasquale z chęcią zatrzyma przy sobie. I niech nie zmyli cię ilość miejsc w helikopterze; to luksusowy model. W moim fotelu bez problemu pomieszczą się dwie osoby. W trakcie lotu spróbuję wy badać, czy signorina jest równie *sapiente*, co *bella*. Jeśli jednak piękna nie zagustuje w moim towarzystwie, dojdę do innego wniosku. Skarbem należy się dzielić, czego ty uparcie nie chciałeś zrozumieć. Antonia, po uprzednim bliższym zapoznaniu się z moimi chłopcami, którzy w końcu nie są z kamienia — taka bliskość przez tyle dni i nic z tego, toż to policzek dla prawdziwego Włocha — a więc signorina trafi do jednego z bliskich memu sercu przybytków rozkoszy. Tam odnajdzie swą szansę na zrobienie kariery, choć niekoniecznie w specjalności studiowanej z takim poświęceniem. Obieg tamtego świata — światka, jak kto woli — pozostaje zamknięty, dla dobra wszystkich zainteresowanych. Właśnie dlatego od czasu do czasu potrzebny jest mu zastrzyk świeżej krwi. No, świeżego towaru. Lub — będąc już w pełni dosłownym — świeżego ciała.

Mówił dużo i kwieciście. Wyrażał się z perwersyjną satysfakcją sadysty, przypiekającego muchę wiązką promieni skupionych w szkle powiększającym. Być może chciał mnie sprowokować do reakcji, co pozwoliłoby strzelić niby to w obronie własnej. Bowiern z jego rąk zniknął już kielich i lekko tylko nadpalone cygaro, a w ich miejsce pojawił się elegancki pistolet. Kolbę wykładaną masą perłową mafioso dobierał zapewne pod kątem kremowego odcienia garnituru. A może krawatu wpadającego w beż? Och, jak bardzo — ze swoją zdewastowaną, krwawiącą twarzą, wyglądem pracownika kanałów miejskich po ciężkiej szychcie i samopoczuciem podobnym bohaterowi czwartej części *Symfonii fantastycznej* Berlioza (o wszystko mówiącym tytule: *Droga na miejsce stracenia*) — nie mieściłem się dzisiaj w kanonach operowego piękna. Nawet jeśli *Pajace* były przykładem scenicznego naturalizmu (weryzmu wręcz).

Muzyka Leonvallo zamierała w zwątpieniu, to znów wpadała w spazmy namiętności. Gdybym mógł obronić się choćby jakąś ludową przyśpiewką. Na przykład:

*Ten się śmieje, pajacu, kto się śmieje ostatni, oj, da-dana, hu-ha...*

Ale jakoś nie mogłem podłożyć melodii. Zresztą, to nie był pojedynek trzech tenorów. Jedynie Canio z *Pagliacci* w pełni zasługiwał na to miano. Ja byłem barytonem. Nie wiem, jaki gatunek głosu reprezentował don Pasquale, ale chętnie sprowadziłbym ohydne fauna do roli kastrata.

Mógłbym udawać, że nie rozumiem sytuacji, ale co by to dało? Collontani starannie przygotował ostatnie rozdanie. Nie wiem, jaka naiwność pozwalała mi sądzić, że wyjdę z tej historii zwycięsko. Odkrycie Porzuconego Miasta przestało odgrywać jakąkolwiek rolę. Wiedziałem, że ludzie Włocha spenetrują wnętrza góry, nie wykazując cienia wrażliwości dla odnalezionego grobowca. Ale teraz już sam nie wiedziałem, czy cała ta akcja nie była jedynie pretekstem, aby jednoznacznie, ostatecznie i efektywnie zemścić się na pewnym krnąbrnym altowiolistcie, któremu się zdawało, że z mafią pogrywać można bez końca.

I przyszło mi do głowy coś jeszcze. Być może współpraca organizacji don Pasquale z naszym rodzimym światkiem przestępczym była bardziej rozbuchana, niż — zaślepiiony prywatą



— myślałem aż do tej chwili. Mafioso — chcący lub niechcący — wygadał się.

Zapomniana leśniczówka. Nieodległe, pewnie za granicą położone lądowisko...

Czyż to nie były wymarzone elementy kanału przerzutowego? Jak dziwnie by to nie brzmiało, niewolnictwo — w tym wypadku kobiet — wcale nie jest w XXI wieku pojęciem bez treści. Nawet w tak cywilizowanej części świata jak Europa. Brakowało mi w tym wszystkim jakiegoś dodatkowego spoiwa; nie potrafiłem go nazwać, ale wiedziałem, że kiedyś mnie olśni. Oby tylko nie za późno. Przy najbliższej okazji zapytam Bielskiego o zaginięcia młodych kobiet w K. Nagle z czarną rozpaczą pojąłem, że okazji nie będzie. Ani najbliższej, ani żadnej.

W rękach pilota zadźwięczała komórka. Mężczyzna podszedł do mafiosa, przekazując jakąś informację, na co don Pasquale udzielił mu krótkiej instrukcji. Po chwili na schodach dały się słyszeć kroki pozostałej dwójki. To był ostatni moment, aby działać. Ale don Pasquale nie wahał się ani chwili. Wycelował we mnie ten swój damski pistolecik, co do siły rażenia którego nie miałem, niestety, wątpliwości.

— Nie radzę — brzmiało krótkie ostrzeżenie.

Od tej chwili sprawy zaczęły toczyć się z niebywałą szybkością.

Z korytarza docierały odgłosy szarpaniny. Przez sekundę dostrzegłem potężnie zbudowanych Włochów transportujących w żelaznym uścisku Antosię, która — choć wrywała się, gotowa wydrapać im oczy — nie była w stanie przeciwstawić się fizycznej sile. Krzyknąłem, ale w tym samym momencie gdzieś w pobliskim lesie rozległa się eksplozja tak potężna, że w pokoju powypadały szyby z okien, ściany zadrżały w posadach, a drzwi wyleciały z futryn.

— Stało się — nieomal pogodnie stwierdził don Pasquale. — Pański nadkomisarz już nam nie będzie bruździł. A mógł długo i szczęśliwie zajmować się swoimi małymi, prowincjonalnymi gówienkami...

Od strony podwórca dał się słyszeć łoskot uruchamianego helikoptera.

Teraz już naprawdę nie miałem nic do stracenia. Niepomny na ostrzeżenia i instynkt samozachowawczy ruszyłem na Collontaniego. Temu jednak ręka nie zadrżała.

— Ostrzegłem przecież — rzucił beznamiętnie i pociągnął za spust.

Poczułem, jakby mi urywało rękę. Gdzieś w szczątkach tłącej się jeszcze logiki, pojąłem, że mafioso próbował strzelać w serce. Jego zawiodła celność, mnie zaś dopisało... No właśnie; czy przedłużanie tortury można nazwać szczęściem? Trafił w lewe ramię, które od czasu wypadku (kiedy to było?) i tak obejmował powolny paraliż. Nie należało wyprowadzać go z błędu. Upadłem na ziemię, a ponieważ i krew, i ból były najzupełniej autentyczne, scena agonii wypadła przekonująco. Zwłaszcza że straciłem przytomność.

Musiałem odzyskać ją w chwilę potem, bowiem wirnik maszyny ciągle jeszcze pracował na jałowych obrotach. Canio ponownie śpiewał swoją arię, lecz miłośnik opery już nam nie towarzyszył. Zamiast tego pokój zalewała coraz większa jasność. I ciepło. Wokół siebie dostrzegłem gwałtownie rozprzestrzeniające się płomienie, które z upodobaniem lizały drewnianą konstrukcję. Brak szyb i powybijane drzwi przyspieszały dzieło zniszczenia. Oddychanie sprawiało mi coraz większą trudność, przechodzącą w nieznośny ból, zaś przed oczami tańczyły powiększające się czarne plamy. Rzut oka w kierunku antresoli przekonał mnie, że schody przestały istnieć. W tej samej chwili obroty silnika osiągnęły prędkość startową.

To tak, w całkowitej beznadziei, w ogniu i popiołach, które pochłaniały ostatnie tchnienie, miała zakończyć się moja przygoda z życiem?! I co z tego, że — definitywne tym razem — rozstanie ze światem odbywało się w blasku płomieni i przy muzyce, która nie chciała zamilknąć? Prawdziwe sobótki. A raczej noc Walpurgii. Niestety; nic nie mogło zrekompensować fatalnego, tragicznego, niewyobrażalnie smutnego bilansu altowiolistycznych dokonań.

Zginął nadkomisarz Bielski i nie wiadomo ilu jego ludzi. W czeluściach Solnej Góry dogorywał Gedete. Antosię — w mojej przytomności i na moich oczach — porywano, aby zniewolić i do końca życia skazać na dom publiczny we Włoszech. Nie wątpiłem, że jej ostateczne zniknięcie Sabina i Sebastian przypłaca życiem. Nie wspominając już o Adeli.

Poderwałem się z ziemi w tej samej chwili co Hermes. Umykając jężorom o barwie krwistej pomarańczy, wybiegłem na balkon, z którego odbiłem się już nie z całych sił — bo tych nie miałem — ale z samej głębi rozpaczy i desperacji. Prawa ręka uchwyciła płożę wzbijającego się helikoptera.

Nagle szarpnięcie rozkołysało niewielką maszynę, zaś w mojej klatce piersiowej eksplodowało ognisko bólu. Wędzone żeberka... Pilot już wiedział, że ma nadkomplet. Helikopter zaczął krążyć i kołysać się nad płonącym domem i polaną, próbując strząsnąć mnie jak niepotrzebny owoc. Wiedziałem, że długo nie wytrzymam. Raz jeszcze ruszyła karuzela ostatnich dni i godzin...

*W ramionach moich błogi znajdziesz sen...*

Niech będzie słodki. Niech zetrze ze mnie sól i gorycz ostatnich rozczarowań...

W tej chwili ostatecznej usłyszałem nagle wołanie Antosi... I Roberta... A nawet szczekanie Estona...

*Bądź dobrej myśli...*

Resztką sił próbowałem jeszcze zahaczyć nogą o płożę śmigłowca. Ale w tej właśnie chwili gwałtowny manewr wyrwał mi z dłoni ostatni z argumentów.

Boże! To niezwykle! Czekali na mnie! A więc wszyscy zginęliśmy...

Antosia (któż inny mógł to być?) tuliła się, szeptała czule słówka, gładziła mnie po rękach i całym ciele (jak na ducha, całkiem nieźle odczuwałem ból), rosiła moje powieki własnymi łzami i całowała okolice moich niematerialnych już ust (przyznajmy, że receptory przyjemności też działały przyzwoicie). Po chwili do akcji wkroczył wielki jężor Estona, który jednym młśnięciem przemył mi czoło.

Otworzyłem oczy.

Zaświaty wyglądały dość realistycznie. W dodatku ruszały się. Płynęliśmy na chmurce. Nade mną stał nadkomisarz Bielski, zadziwiająco brudny, ale i podejrzanie zadowolony jak na ducha. I jeszcze jakiś facet w jaskrawym uniformie. Odźwierny Świętego Piotra? Ładny fartuszek wyfasował... Brakowało tylko Gedete. Czyżby jeszcze nie... przeszedł?

A więc tak jest po drugiej stronie?! Mogło być gorzej!

Zastanawiało mnie tylko, dlaczego oni stoją, ja zaś leżę. W dodatku oddychanie utrudniała mi jakaś maska. Zaświaty czy nie, wyrównajmy szanse. Pokazałem, że to coś na twarzy uniemożliwia mi odezwanie się. Pomarańczowy (może Holender za życia? Oni są skrupulatni; jako pomocnicy świętych doskonale daliby sobie radę) uwolnił mnie od kłopotliwego aparatu, odzywając się czystą polszczyzną:

— Musieliśmy pana reanimować...

Zaraz, zaraz...

Przyziemna, dramatyczna, a jednocześnie błogosławiona treść usłyszanych słów zaczęła do mnie docierać.

— Kochany, poznajesz mnie? — szepnęła roztrzęsiona Antosia.

Spojrzałem na anioła, wywracając białkami.

— Ste-fa-nia? — wykrztusiłem z największym trudem.

Ale Antośka dała się zwieść tylko przez moment.

— Ty draniu! — przypadła do mnie. — Ja ci dam Stefanię! Wprawdzie majączyłeś o

jakiś ramionach, w których masz zamiar błogo zasnąć, ale to już nieaktualne. Wybij je sobie z głowy. Raz na zawsze!

I najukochańsze, najcudowniejsze, najdroższe i najśłodsze — a do tego, w pełni materialne — ramiona, otoczyły mnie z nieopisaną czułością.

## EPILOG

Pogawędki z ukochaną były na tyle chaotyczne i przerywane wybuchami czułości, że nie układał się z nich żaden czytelny obraz minionych zdarzeń. Antośka broniła mego spokoju jak lwica. Żadnych telefonów, zero odwiedzin. Był jednak ktoś, kto mógł liczyć na szczególne względy.

— Robert przyjdzie za godzinę; kiedy już chwilę pogadacie, dołączę do was, żeby cię przypadkiem nie zamęczył.

Panna Mars poprawiła poduszki na kanapie, otuliła mnie kocem i zostawiając na pamiętkę zapach swoich włosów — nie wiem jak to robiła, ale promieniowały słońcem Toskanii — poszła odwiedzić rodziców oraz babcię Adelę, która po powrocie wnuczki do domu wydobrzała. I to tak bardzo, że — rzecz całkiem niesłychana — zapowiadała się z wizytą.

— Już ja z Barteczkiem mam do pogadania... — przekazała wnuczce enigmatycznie.

Na ulubionym poddaszu, w towarzystwie i pod opieką ukochanych istot od kilku godzin pełniłem honory rekonwalescenta. Z jakąż ulgą porzuciłem szpitalną piżamę, która przez kilkadziesiąt godzin określała mój status.

*Patientia* po łacinie znaczy cierpliwość. Starczyło mi jej na dwie doby, po upływie których kategorycznie oświadczyłem, że bez względu na konsekwencje, na własne żądanie, i to na żądanie najusilniejsze z możliwych, opuszczam jednostkę społecznej służby zdrowia.

To było mądre posunięcie. W domu czekała moja prywatna siostra samarytanka i siostrzyczka miłosierdzia w jednym, przy czym, w pewnych aspektach, z byciem siostrą miało to niewiele wspólnego. Inna sprawa, że większość mojego pobytu w szpitalu Antosia także spędziła ze mną, i to nie z powodu własnych dolegliwości.

Przez ten czas Eston zamieszkał w antykwariacie. Miał się doskonale. Po ranach zostały jedynie blizny, a dolegliwości psychiczne ustąpiły wraz z odzyskaniem Antosi. Jedyne, na co mógł się uskarżać, to niewystarczająca ilość ruchu (Sabina wraz z Sebastianem wyprowadzali go, dzierżąc smycz w czterech dłoniach). Mój powrót na poddasze przyjął z radością szczeniaka. No, powiedzmy, dojrzałego szczeniaka.

Zielonooka wyszła z niebezpiecznej przygody obronną ręką. Dranie nie zdążyli jej skrzywdzić. Najbardziej cierpiała z powodu niepewności — było jasne, że pobyt w leśniczówce jest czasowy, ale sprawy mogły potoczyć się w różnym kierunku — smutku po stracie Estona, którego śmierć widziała na własne oczy, niepokoju o rodziców i babcię Adelę, a na koniec — ze strachu o mój los.

Z naszej trójki to ja wyglądałem zdecydowanie najgorzej. W jeden wieczór zarobiłem całkiem sporo guzów: podobno lekarz dyżurny — ten sam, który opatrywał mnie kilka godzin wcześniej, po spotkaniu z Plejadą — na mój widok aż się przeżegnał. O urazach zewnętrznych nie wspominał, bo nie jest to esej paramedyczny. Najbardziej niepokojąca była zapaść połączona z krótkotrwałym niedotlenieniem — rezultat wieczoru obfitującego w nazbyt intensywne przeżycia, spotęgowany lekkim podtruciem tlenkiem węgla, a uaktywniony w momencie upadku z helikoptera. Ale skan nie wykazał żadnych zmian w mózgu, więc ogólnie było nieźle. Trzy pęknięte żebra i rana postrzałowa lewego ramienia tworzyły malowniczy zespół gipsowo-bandażowo-temblakowy.

— Nareszcie dorobiłem się kamizelki kuloodpornej — chwaliłem się Bielskiemu. Najbardziej niepokoiła mnie lewa ręka, w której zczucie wracało wolno i niecałkowicie.

Potłuczony, pozawijany niczym mumia, z twarzą przypominającą powidła śliwkowe — musiałem na oglądających robić druzgocące wrażenie. W szpitalu odwiedzili mnie Marsowie, Joasia z Jackiem i Konrad z Marchewką. Nie wszystkim udało się zachować na mój widok

kamienną twarz. Nadkomisarz Bielski pojawił się na oddziale dwukrotnie, lecz uznaliśmy, że rozmowę rozjaśniającą mroki odbędziemy w warunkach bardziej sprzyjających.

Trzeciego dnia nie wytrzymałem.

— Czy istnieje choć jeden powód, aby przetrzymywać mnie dłużej w szpitalu?

Lekarz prowadzący spojrział na mnie wzrokiem typu: „Mówili, że inteligentny, a to jednak idiota”. Ale — używając języka politycznego — nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Złapałem się niekonsekwencji jak chory brzytwy i... tego samego popołudnia wylądowałem w domu.

Czy uwierzycie, że czekał na mnie olbrzymi bukiet słoneczników? Oraz gomółeczka pecorino i kilka butelek Città Abbandonata Nuovo. Jeszcze burzyło się w szklanych wnętrzach... Sophia, Donatella i Paolo przesłali mi je kurierem.

Pałałem żądzą zrozumienia, co właściwie wydarzyło się w leśniczówce przed trzema dniami. Odpowiednim człowiekiem do snucia fabuły był tu — oczywiście, któżby inny? — wszechwiedzący (od czasu do czasu) nadkomisarz Robert Bielski. Jak wspominałem, przeciwko jego wizycie Antosia nie tylko nic nie miała, ale nawet się nią cieszyła. Pewnie i dla niej wiele szczegółów minionych zdarzeń pozostawało niejasnych. Na początku liczyło się tylko, że wyszliśmy z nich żywi i — przeważnie — cali.

W niecierpliwym oczekiwaniu próbowałem trochę się poruszać, ale runda wokół pokoju tak mnie zmęczyła, że z głośnym westchnieniem opadłem na kanapę. Jak to dobrze, że dzisiaj nie musiałem stawiać czoła żadnym wyzwaniom...

Mój niezaspokojony zmysł analityczny z wielką ulgą przyjął dzwonek do drzwi, zwiastujący, że godzina prawdy wybija.

Bielski przyniósł imponujący bukiet tulipanów (skąd je wytrzasnął o tej porze roku?) i butelkę whisky. Jego słowa: „Tobie nie wolno, ale ja się z przyjemnością napiję, jestem po służbie” — przyjąłem, mrużąc ironicznie oczy (zasób środków mimicznych miałem chwilowo dość ograniczony). Niedbałym gestem (prawej dłoni) wskazałem na stojącą pod oknem baterię mojego *vino nuovo*. Robiła wrażenie.

Eston otrzymał od Roberta olbrzymią sztuczną kość, która od tej chwili pochłaniała go bez reszty. Gdy jednak, nieco później, opowieść wkraczała w momenty decydujące — a te, bez wyjątku odbywały się z udziałem Vilksa — wsłuchiwał się z uwagą, czasami powarkując lub machając ogonem.

— Czy możesz już zacząć?

Bielski westchnął ciężko. Wiedziałem, że się męczy, ale na zielone światło dla jego papierochów było jeszcze za wcześnie. Nadkomisarz skrzywił się niczym nadzieja gabinetów stomatologicznych i — widząc, że chwilowo nic nie wskóra — zaczął:

— Po nadmiarze informacji, jakimi zasypałeś mnie tamtego wieczoru, tylko jedno było jasne. Czasu jest niewiele. Jeśli się nie pospieszę, narozrabiasz tak, że za chwilę nie będzie czego zbierać. Zresztą nie chodziło wyłącznie o ciebie. Na początek poruszyłem niebo i ziemię, aby uzyskać zgodę na interwencję lotnej grupy pogotowia górniczego. Sprawa oparła się o wojewodów, bo u nas takiej jednostki nie ma. Na szczęście znam naszego osobiście; to facet z głową na karku i z siłą przekonywania. Wiedziałem, że jak już ośrodki decyzyjne się dogadają — wojewoda chciał mi to obiecać, ale wymusiłem na nim gwarancję — ratownicy ruszą w bój bez zahamowań. Im nie trzeba mówić, dlaczego czas jest tak ważny. Poprzestańmy chwilowo na tym, że siedemdziesiąt cztery minuty po naszej rozmowie na szczycie Solnej Góry wylądował helikopter z grupą interwencyjną...

Dalszy los Gedete był mi znany. Dlatego nie dopytywałem na razie o szczegóły akcji.

— Zastanawiałem się, co zrobić z twoim mechanikiem, ale uznałem, że tu akurat nie ma

pośpiechu. Skoro siedział w swoim warsztacie tyle lat, to dlaczego miałby zniknąć tej właśnie nocy?

— A jednak znalazłby się powód. I to dobry.

— Zamieniam się w słuch.

— Próba zabójstwa. Wystarczy?

— Co chcesz przez to powiedzieć?!

— A ty myślisz, że ja nie potrafię prowadzić samochodu i ot, tak sobie, dla fantazji, badałem skuteczność poduszek powietrznych w audi?!

— Bartosz, wybaczone, ale to nielogiczne. Nawet jeśli mechanik podejrzewał, że coś odkryłeś, to przecież nie mógł przypuszczać, że wsiądziesz do tego właśnie auta!

— Bo to nie ja miałem zginać, tylko Łotysz. Rozumiesz?

— Hm... — Bielski naprędce analizował nowe dane, a ja cieszyłem się, że nawet dzisiaj udało mi się go zaskoczyć. — To oczywiście zmienia postać rzeczy. Z udowodnionym oskarżeniem w tej sprawie facet nie wyjdzie z kryminału. A wiesz, przy czym go zastałem następnego ranka? Z dużym spokojem zajmował się twoim alto.

— Może wyznaczysz jakiegoś kaskadera do jazdy próbnej? — zareagowałem bezzwłocznie. Ale Robert pokręcił głową.

— Teraz wszystko jest dla mnie jasne. Mechanik musiał wiedzieć, co wydarzyło się w nocy, więc na wszelki wypadek starał się, aby inne samochody były czyste. Jedna kraksa, i to z udziałem kradzionego wozu, nie musiała go automatycznie obciążać. Ale odnalezienie podobnych usterek w innych naprawianych przez niego samochodach musiałyby wzbudzić podejrzenia. A może i niebezpieczne skojarzenia z przeszłością. Gdy powiedziałem, co się stało z audi, zrobił wielkie oczy. Chodząca niewinność. Ale kiedy zagrałem *va banque*, pytając, co wie o śmierci Marty Kronos, bez słowa dał się zaprowadzić do policyjnego samochodu.

— Skoro już jesteśmy przy tematyce schubertowskiej... Co z Plejadą?

— Żyje. Nic mu nie jest. To znaczy w sensie fizycznym. Masz jakiś patent na ratowanie złoczyńców. — Spojrzał na mnie w sposób, który mogłby sugerować, że ta myśl zostanie jeszcze rozwinięta. — Na razie trafił na obserwację. Robi wrażenie wypalonego; nie reaguje na pytania, toczy wokół pustym wzrokiem, a na twarz włożył maskę nierozumnego uśmiechu. Aha, domaga się struny; do związania włosów, jak mówi.

Przeszły mnie ciarki.

— W końcu dla świętego spokoju dano mu sznurek upleciony z papieru; krzywdy sobie nie robi, a przynajmniej się uspokoił. Powiem ci szczerze; dla mnie to na odległość pachnie niepoczytalnością... „Struniarz” pewnie nie trafi do więzienia, ale psychiatryk ma jak w banku. Sam nie wiem, co lepsze...

— To niepojęte. Facet z bezzwzględną precyzją planuje i dokonuje trzech morderstw, a uniknie osądzenia z powodów medycznych... Żądał sprawiedliwości, a sam się wykpi...

— No, nie wiem... Ja tam nie chciałbym być w jego skórze. Ale Junga i Freuda zostawmy w spokoju. Zrobiliśmy, co do nas należało...

Zwłaszcza policja... — miałem na końcu języka, lecz w tym momencie Eston spojrzął na nas i szczerzył niecierpliwie. Miał rację. Należało wrócić do wątku z jego udziałem.

— Robercie, jak to się stało, że koło leśniczówki znowu byłem przed wami?

Bielski zachował twarz pokerzysty.

— Od czterdziestu ośmiu godzin prowadziliśmy rozeznanie i nasłuch satelitarny; akcję uwolnienia Antosi planowałem na dzień następny. Twoja samowolka zmusiła mnie do nagłego przyspieszenia. Wystąpiłem o wsparcie szóstki antyterrorystów. Do tego zażądałem lekkiego pojazdu opancerzonego plus ciężkiego uzbrojenia. Natychmiastowo. Czyli, realnie rzecz biorąc, z

godzinnym poślizgiem.

— Prawdziwa wojna. I to z zapalnikiem czasowym — zakpiłem, przypominając sobie własny arsenał. Co nim było? Chyba tylko przeświadczenie o konieczności działania.

Bielski spojrzał na mnie ciężko.

— Ta wojna mogła być rozstrzygnięta raz na zawsze...

— O niczym innym nie marzyłem. Ale to chyba nie ja przeszkodziłem w odniesieniu pełnej wiktorii?

— Nie wszystko jeszcze wiesz. Gdyby nie ciąg pewnych zdarzeń — Bielski spojrzał znacząco na psa — nie rozmawialibyśmy dzisiaj.

— Więc błagam cię, uporządkuj swą opowieść, by nawet altowiolista mógł się załapać na główne wątki.

Bielski nie odciął się. Rozumiałem, że bez fajek długo już nie pociągnie.

— Jakies cztery kilometry przed leśniczówką natknęliśmy się na wrak audi. Aż trudno uwierzyć, że pojazd w takim stanie w ogóle się poruszał. Było jasne, że jesteś przed nami. Aby nadrobić dystans, zdecydowałem, że podjedziemy bliżej, co zresztą dla terenowego hummera nie stanowiło problemu. Mimo noktowizorów poruszaliśmy się wolno i ostrożnie. W pewnej chwili tuż przed maską samochodu przemknął wilk w paski. Chłopcy zdębieli, ale mnie coś tknęło. Kazałem się zatrzymać i wysiadłem. Domyślasz się, że to był Eston?

— Poważnie? A ja myślałem, że w podmiejskich lasach rozgościły się hieny... No, dobrze, dobrze; któż to mógł być, jak nie Vilks? Chcesz zapalić? — zaskoczyłem go zupełnie.

Chciał. I to bardzo. Przez szeroko otwarte okno napłynęło nostalgiczne powietrze starówki. W dali odezwał się dzwon kościelnej wieży. Święty Rafał?

— Pies zachowywał się tak, jakby chciał mi coś przekazać. Ponieważ sporo nasłuchałem się o jego nieprzeciętnych umiejętnościach, nie zlekceważyłem ostrzeżenia. Wzięliśmy z samochodu latarki, pozwalając Estonowi prowadzić. A ten — co za bestia! — czółgając się, podprowadził nas pod krzak i znieruchomiał. Robił minę na przemian wystraszoną i straszącą, patrzył to na mnie, to na krzak. I czekał. W końcu poświeciliśmy we właściwe miejsce. Dwóch z moich chłopców spędziło kilka miesięcy w Afganistanie. Nie mieli wątpliwości ani przez chwilę. Takie miny rozrywały podwozia w znacznie lepiej opancerzonych wozach. Ale to nie był koniec. Patrząc na mnie, Eston przesunął się kawałek w bok. I jeszcze raz. I jeszcze. Okazało się, że cały pas ziemi w promieniu stu metrów od leśniczówki był nimi szczelnie naszpikowany. Człowiek lub zwierzę, przy odrobinie szczęścia, mogli się precyzyjnie, co zresztą tłumaczy, dlaczego tobie się udało. Pojazd już nie. Nawiasem mówiąc, osobiście wystąpię o jakieś odznaczenie dla twojego psa. A jego portret zawiśnie na honorowym miejscu w holu Komendy Wojewódzkiej.

Eston mrugnął z aprobatą.

— Pole minowe zostało uzbrojone dopiero w mojej obecności. Mafioso nikomu nie dawał szans na przeżycie. — Zastanawiałem się, co by było, gdyby pies został tamtego wieczoru w domu...

— Aby przechytryć Włochów, postanowiliśmy zdetonować jedną z bomb.

— Fortel zadziałał. Don Pasquale był pewien, że wylecieliście w powietrze.

— Jednak mieliśmy do czynienia z zawodowcami, którzy minimalizują ryzyko przypadku. Cały teren był wyposażony w kamery noktowizyjne. Zaskoczeni czy nie, w chwilę po wybuchu spostrzeżeliby, że komuś jednak udało się przejść.

— Od samego początku wiedzieli, że się zbliżacie. — Pamiętałem telefon, który odebrał pilot, i informację niezwłocznie przekazaną szefowi.

— Oczywiście. Myślisz, że nie stać ich na opłacenie dostępu do satelitów? Było jasne, że wybuch nie przejdzie bez echa, czyli wkrótce przybędą nowe jednostki, a może i wsparcie z

powietrza. Musieli związać interes. Zgodnie z planem. My z kolei, nie wiedząc, jakie jeszcze pułapki na nas czyhają, poruszaliśmy się coraz ostrożniej. Zwłaszcza że Eston zniknął...

W tej chwili na schodach zastukały zgrabne trzewiczki, ozdabiające niemniej zgrabne nogi Antonii Mars. Robert — pod moją ograniczoną sprawność — szarmancko odebrał od dziewczyny torbę jeszcze ciepłych nietoperzyków i kosz pełen wszelakich przysmaków.

— Jakie piękne kwiaty! — Antośka rozpromieniła się na widok tulipanów. — Wiecie, że koło antykwariatu koczują tłumek dziennikarzy? Poprosiłam tatę, żeby zaprosił towarzystwo do środka i uraczył jakąś gawędą antykwaryczną; szybko będziemy mieć ich z głowy...

— Antosiu, dla pełni obrazu potrzebujemy twojej relacji. Bartek z Estonem, a my w ślad za nimi, zbliżamy się do leśniczówki...

— Oczywiście, wiedziałam, że coś się dzieje. — Antośka, ubrana w zieleń i miedź, barwy wspaniale uwypuklające jej naturalne walory, natychmiast wskoczyła w środek akcji. — Najpierw pojawił się helikopter. Ten sam albo taki sam jak maszyna, którą mnie tam dostarczono. Potem zaczęło się robić nerwowo. Były jakieś przemarsze i tupoty.

— Tak właśnie, przemarsze i tupoty, moje rude słońce. Jakże trafnie to określiłaś.

— Posłuchaj, mój dzemie z leśnych malin, ja wiem, do czego jesteś zdolny. Ale że dostaniesz się do jaskini lwa i staniesz z gołymi rękami do rozgrywki z bandą zawodowych morderców, to, wybaczone, nie przysłoby mi nawet do głowy... Rozegrałeś to z przytupem...

— Tak... Ułożyłem nawet przyśpiewkę...

Lecz Antosia nie dopuściła mnie do głosu.

— Posłuchajcie, bo teraz będzie najlepsze! Rozum twierdził, że to nie możesz być ty, ale coś innego podpowiadało, że zarazem nie może to być nikt inny.

Robert przyglądał się Antosi, próbując chyba zmierzyć się z meandrami kobiecej logiki. *Good luck, officer!*

— Przez cały czas, gdy byłam uwięziona, widywałam Ligurię na zmianę z Papageno trzy razy dziennie, w trakcie przynoszenia posiłków. Nie wiem, który z nich gotował, ale na szczęście byłam w kulinarnych rękach Włochów, a nie, na przykład, Anglików. Myślę, że mieli jasne i surowe wytyczne, jak mnie traktować, bo ich wzrok czasem mówił aż za wiele.

— Wiesz, kochana, ja im się nie dziwię...

Ogniste spojrzenie Antośki aż zapiekło mnie pod gipsem.

— Kiedy tamtego wieczoru wparowali nagle pospołu i bez słowa wzięli mnie z dwóch stron za ręce, dałam się zaskoczyć. „Jedziemy”, brzmiał lakoniczny komunikat. Bałam się, bo coś musiało pójść nie tak. Wtedy nastąpił ten przerażający wybuch... Nagła zmiana sytuacji niosła ze sobą jakąś potężną, groźną niewiadomą. Odczułam na własnej skórze, dlaczego takie przełomy są zmorą wszystkich zakładników. Gdy tych dwóch ciągnęło mnie przez korytarz, wydawało mi się, że mignęłaś mi w pokoju, z którego dochodziła operowa muzyka.

— Zgadza się. Wybuch powybił szyby i pootwierał drzwi na oścież...

— Twój widok, prawdziwy czy wyimaginowany, dodał mi sił. Zaczęłam stawiać opór całą siłą swojego łagodnego charakteru.

— Mhm. Biedni Włosi. Jak oni to przeżyli? — Ta drobna i powabna dziewczyna potrafiła czasem przekształcić się w gejzer temperamentu. Teraz nagrodziła mój komentarz promiennym uśmiechem.

— Mimo wszystko siły były nierówne. W dodatku w trakcie szarpaniny padł strzał. Po chwili z leśniczówki wybiegł don Pasquale. Tymczasem pilot uruchamiał silnik w Hermesie. Przypuszczając, co się mogło wydarzyć, straciłam nagle siły i ochotę do życia. Pozwoliłam bezwolnie prowadzić się do helikoptera. I wtedy...

Vilks wstał i podszedł do Antosi. Usiadł koło niej, domagając się pieszczoty.



— Eston pojawił się nagle jak wichur. W rosnących płomieniach gorejącego domu wyglądał po prostu upiornie. Na jego widok Papageno i Liguria dosłownie zdrętwieli z przerażenia.

— Otóż to! Oni nie wiedzieli, że Eston przeżył! — ołśniło mnie. — Chyba żeby kontaktowali się z dottore Consiglia, ale jaki mogli mieć ku temu powód?

— Przecież ja też o tym nie wiedziałam! Ale poznałam go natychmiast, bez najmniejszej wątpliwości, choć w takim stanie widziałam Estona po raz pierwszy. On nie żartował. Był rozjuszony jak najwściekły wilk. W płomieniach rozniecanych śmigłem Hermesa wyglądał niczym mityczny gryf. Sprawiał wrażenie, że najpierw dobierze się do gardeł prześladowców, a potem rozszarpie ich na kawałki.

Na twarz Antonii wystąpiły przepiękne rumieńce. Wpatrywaliśmy się w nią z zachwytem.

— Ale to, co przeraziło Ligurię i Papageno, we mnie wywołało eksplozję radości. Uwierzyłam, że wszystko jeszcze możliwe...

Antosia objęła mnie za szyję i, obficie skrapiając łzami, przygarnęła z całych sił moją głowę do piersi. Myślałem, że to moje ostatnie chwile, lecz ich słodczy nie przerwałbym za nic w świecie...

— Z nadludzką energią pognałam w kierunku lasu, poza zasięg świateł. Mafiosi byli jednak tak ciężko przerażeni, że ani im w głowie było mnie ścigać. W pośpiechu skryli się wewnątrz Hermesa. Dopiero wówczas zaczęli strzelać, ale Eston, zrobiwszy swoje, dołączył do mnie, po czym poprowadził mnie prosto w ramiona, no, może lepiej, pod opiekę, pana nadkomisarza. — Antosia skinęła wdzięcznie głową w kierunku Roberta, który podjął tok opowieści.

— Tymczasem luna bijąca znad polany robiła się coraz większa. Ponad hałas płonących bierwion wzbil się nagle odgłos startującego helikoptera. A teraz zadanie dla ciebie. Zgadnij, co ujrzeliśmy na głównej arenie wydarzeń?

No tak, będą się na mnie wyżywać...

— Opiszę ci, bo widok był niezapomniany. Oto na płozie startującego Hermesa bujał się znany w coraz szerszych kręgach altowiolista, niejaki Bartosz Czarnoleski...

Co dla mnie było próbą życia i śmierci, dla nich wyglądało groteskowo. Ot, relatywizm świata.

— I wiesz, co ci powiem? Właściwie to ocaliłeś tych drani. Byłem im gotów posłać ciężką serię z G-36. Albo nawet stingera.

Rozhulał nam się pan nadkomisarz, nie ma co.

— Konsekwencje byłyby ostateczne. Dla mnie zresztą również nie za dobre. Ale problem zniknąłby raz na zawsze. Tylko że ty wisiałeś tam jak ulęgałka...

A dlaczego nie jak bohater? Czy od tamtej pory będę budzić wyłącznie kompotowe skojarzenia?

— A gdy w końcu spadł, moja uwaga skoncentrowała się już tylko na tobie... Zresztą, mówiąc szczerze, mimo ciepłych więzi łączących nas z Ministerstwem Obrony Narodowej, nie było szansy, aby na czas poderwać F-16.

— Trzeba ich było zaatakować cwałowaniem Walkirii; Włosi nie przepadają za Wagnerem.

— Następnym razem uzbroję się w pistolet dodekafoniczny Weberna. Nie słyszałeś? Broń inteligentna, atakuje zmysł słuchu oraz wyobraźnię, powodując natychmiastowy zanik orientacji przestrzennej...

Kpił ze mnie w żywe uszy.

— Potrzebowali kilku, góra kilkunastu minut, aby przekroczyć granicę. Wkrótce wylądowali na niewielkim lotnisku pod Zlinem, gdzie przesiedli się z Hermesa wycarterowanego od czeskiej firmy do awionetki stanowiącej prywatną własność biznesmena, signore Benvenuto Adriano Collontani. A wracając do twojego upadku... Nieźle stracha nam napędziłeś. Bałem się, że Antosia odchoruje tę scenę bardziej niż swoje uwięzienie. Wyglądało to fatalnie. Biegając w twoim kierunku, pełen byłem najgorszych przeczuć...

Ja sam pamiętałem niewiele. Chwilę lotu, gwałtowną ciemność, a potem przebudzenie w niebie, które okazało się ziemią.

— Mieliśmy takiego wykładowcę w Akademii Policyjnej. „W spadaniu liczą się trzy elementy: co spada, skąd spada i na co spada”, mówił. „Najgorzej, gdy ciężkie spada z wysoka na twarde, najlepiej zaś — lekkie, z bliska, na miękkie”, uzupełniał. „Pomiędzy tymi ekstremami mieszczą się wszystkie warianty pośrednie”, kończył. Twój przypadek był kombinowany; najcięższy nie jesteś, ale chuchrem też bym cię nie nazwał.

— W przeciwnym razie nie grałbym na altówce... — mruknąłem.

— Wysokość, z której spadałeś, trudno określić jednoznacznie. Kilka, kilkanaście metrów? Decydujące było podłoże lądowiska. I tu dopisało ci szczęście. Podmokła kępa traw doskonale zamortyzowała siłę upadku. Naszą akcję ubezpieczał ambulans, co w podobnych wypadkach jest normą. Czekał w pogotowiu na obrzeżach lasu, ale widząc, że sprawa jest poważna, moi ludzie natychmiast dowieźli lekarza hummerem, może w trzy minuty po upadku. Dopiero po udzieleniu pierwszej pomocy przetransportowaliśmy cię do karetki. No, a tam, zdaje się, odzyskałeś świadomość.

— Można powiedzieć, że powtórnie się narodziłem...

Powoli wypełniały się ramy obrazu. Ale wątpliwości ciągle nie brakowało. Wydarzyło się tak wiele, w tak krótkim czasie, że jeszcze przez miesiące mieliśmy układać puzzle z tamtych dni. Było jednak pytanie, które chciałem zadać teraz:

— Robercie, czy na przestrzeni, powiedzmy, ostatnich dwóch lat, miejscowa albo ogólnokrajowa policja odnotowała wzrost zgłoszeń o zaginięciach młodych kobiet?

— Takie wypadki zdarzają się zawsze... A dlaczego pytasz? — Bielski przyglądał mi się z zaciekawieniem.

— Ta zapomniana leśniczówka... Tam wszystko było nieźle zorganizowane. Podejrzanie dobrze jak na miejsce jednorazowego użytku.

— Drogi Bartku, wąż kusiciel nigdy nie śpi...

Nie byłem pewien, co chciał przez to powiedzieć. Ale nagle mnie olśniło. „Wąż kusiciel”. Brakujące ogniwo. *Questo tizio e un serpento*. „Ten facet to wąż...”

Sprawa wymagała zbadania. Natomiast jedno wydawało się pewne; bez względu na to, jaką funkcję pełniła leśniczówka, została podczas ostatnich wydarzeń spalona. Nie tylko w sensie dosłownym. To oczywiste, że pożar nie wybuchł przypadkiem. Miał być najprostszą formą zatarcia śladów w zdekonspirowanej kryjówce.

— Mój zacny panie nadkomisarzu. Z twojej opowieści wyciągam dwa wnioski. Po pierwsze, nasze sumienia nie zostały obciążone śmiercią czwórki osobników o dość wątpliwej moralności. Ale jednak ludzi.

Bielski wrzucił ramionami.

— Druga zaś jest taka, że moja zabawa z mafią trwać będzie w najlepsze.

— Na twoim miejscu nie obawiałbym się zbyt. Collontani popełnił błąd, ujawniając się przed tobą w sytuacji zupełnie jednoznacznej. Za nic w świecie nie dopuści do powtórnego spotkania.

— Czy nie najprościej byłoby pozbyć się mnie za wszelką cenę? Przecież nie musi mnie

zabijać osobiście...

— Pewnie chodzi mu to po głowie, ale nie jest głupi. Domyśla się, że twoja osoba znajdzie się w centrum zainteresowania wielu służb, z wielu krajów. Pozbycie się wytrawnego altowiolisty, oczka w głowie kilku policji europejskich, kawalera krzyża Jerzego mogłoby oznaczać koniec jego kariery. Miał swoją szansę, ale jej nie wykorzystał. Drugiej nie będzie.

Robert starał się łać miód na moje uszy. Potrzebowałem tego.

— Bez przesady, są lepsi ode mnie... — Od tych komplementów aż odebrało mi naturalną łatwość wypowiedzi.

— Nie bądź taki skromny. Kwartet imienia Gudelsteina dopiero rozpoczął działalność.

O tym też nie chciałem rozmawiać. Nie da się grać na altówce bez czucia w dwóch palcach lewej ręki.

— A co z porwaniem Antośki? Nie można Collontaniego oskarżyć w tej sprawie?

— A czy to on porwał? Antosiu, widziałas don Pasquale chociaż raz?

Zielonorude cudo pokręciło głową.

— Tylko wczoraj. I to z daleka.

— Więc o jakiegokolwiek identyfikacji nie ma mowy?

— Nie...

— A może ja mógłbym go oskarżyć? Przecież facet się przede mną wygadał...

— Mógłbyś, ale w miejscu przestępstwa, czyli we Włoszech. Słowo przeciw słowu. Jak myślisz, czyje będzie miało większą wagę? Poza tym, jeśli zadrzesz z mafią oficjalnie, plagi egipskie czy tam włoskie nie ominą twojej rodziny do kilku następnych pokoleń. Jeśli w ogóle doczekałbyś się potomstwa, w co mocno wątpię. To trzeba rozegrać inaczej. Na przykład badając wątek, który przyszedł ci do głowy w leśniczówce. Handel żywym towarem? No, no... Może u nas da się coś znaleźć na pana C.?

— No jasne, aresztujecie go, dojdzie do ekstradycji i... Wszystko zacznie się od nowa...

Bielski uśmiechnął się.

— Hola, hola! Nie rozpędzaj wyobraźni. Ale posłuchaj. Don Pasquale staje twarzą w twarz tylko z tymi, którzy są w jego mocy lub którzy mają przejść we władanie mocy niebieskich lub czarcich. Wczoraj rozmawiałeś z nim w tym drugim charakterze. Zdarzyło się jednak nieprzewidziane. Moim zdaniem, zrobi wszystko, aby nie połączono go z tymi wydarzeniami, co gwarantuje ci względne bezpieczeństwo. My, rzecz jasna, będziemy prowadzić śledztwo, włączając do akcji włoskie organa ścigania...

— ...które siedzą w jego kieszeni... — wszedłem mu w słowo.

— ...oraz Interpol — zaakcentował dobitnie. — Collontani nie wie, bo wiedzieć nie może, jakich środków przeciwko niemu użyjemy. Ale nie od rzeczy będzie dać mu do zrozumienia, że włos spadający z twojej głowy oznacza głowę spadającą z jego karku.

— Teoria rozprzestrzeniającego się blefu. Albo wielkiej plotki... — mruknąłem.

Przyszedł mi do głowy Giuseppe Trovatore. Ten mógłby stać się pomocny. Gdyby tylko znalazł ku temu powód.

Przypomniały mi się słowa innego z mieszkańców Corbetto, dottore Consiglia: „Kiedy puszczają okowy strachu ludzie robią się bardziej rozmowni...”.

No cóż, Collontani nas postraszył, ale koniec końców nie dostał ani mnie, ani Antosi. Może to będzie pierwszy uszczerbek w pancerzu terroru, który do tej pory czynił go nieosiągalnym?

— Spójrzmy dalej — mówił nadkomisarz. — Liguria i Papageno są ścigani międzynarodowym listem gończym, więc don Pasquale pewnie wyśle ich na zasłużoną emeryturę do Maroka albo gdzie indziej.

— W takim wieku? Dość wczesna pomostówka. Pozostaje jeszcze ten czwarty...  
— Kierowca, pilot, przydupas i bodyguard. W skrócie: prawa ręka don Pasquale. Nie udało mi się ustalić jego nazwiska...  
— Nazywają go Arancia. To on strzelał do Estona... — Antosia zacisnęła usta.  
— Arancia?! Niemożliwe... Słyszałem o takim gościu. On... Nie, to nie może być ten sam człowiek...

Już nawet nie chciało mi się go słuchać. Dość tego! Jakimż znowu koszmarem wślawił się tajemniczy Arancia? Szpieg z Krainy Deszczowców, *carramba*, czy co? Niech Bielski lepiej ma oko na swoich ludzi.

— À propos sprawdzania; wiesz, że genialny Stefan cię przechytrzył? Twój rzekomo czysty telefon był również na podsłuchu.

— Wiem. Nie doceniłem faceta. Wszyscy uczyliśmy się na błędach.

Chętnie podzielałbym jego zawodowy pragmatyzm, ale nie było to takie łatwe. Niewiele brakowało, aby w konsekwencji tych przypadków, błędów i zaniedbań wszyscy tu obecni znajdowali się... o dobrych kilka pięter wyżej.

OK, pomyślałem jednak. Każdą doczesną radość można zabić, zamartwiając się o hipotetyczną przyszłość. Zacznę się głowić, gdy przyjdzie pora. Jak na razie wynik potyczek z mafią nie był dla mnie niepomysłny.

— Jest jeszcze inna opcja: możesz sprzedać posiadłość... — rzucił Bielski głosem rozsądku.

— A chciałbyś ją odkupić?

— Dlaczego nie? Jeszcze jakieś osiemset lat pracy i odłożę fundusze na parę krzaczków i szafas w narożniku...

— Nie. Nie sprzedamy winnicy ani domu. Rozmawialiśmy już o tym. Powodów jest wiele, ale wymienię tylko ten, który dotyczy cię bezpośrednio. Otóż, chcielibyśmy, abyś spędził u nas najbliższe wakacje. Co ty na to?

Zdawało mi się, że Bielskiemu zabłysło oko.

— Propozycja jest kusząca...

Korzystając z chwilowej nieobecności Antośki — zdaje się, że zaczęła wyczarowywać jakieś przekąski — zwlokłem się z kanapy, chwytając w dłoń butelkę *Città Abbandonata Nuovo*. Przyjrzałem się winu pod światło.

*Lato, w butelki rozlane, na półkach słodem się burzy... — nasunęły się strofy Tuwima. Zaraz korki wysadzi...*

Byłoby nieźle, bo jak zwykle zapodziałem gdzieś korkociąg.

Jednak zanim wino *nie wytrzymało dłużej*, odezwała się komórka.

— Hej, człowieku, wróble ćwierkają, że jesteś już w domu! Chciałbym do ciebie wpaść... — Rozmówca mówił normalnym głosem, co wystarczyło, by słyszało go całe poddasze.

— To ty jesteś na chodzie?! Niemożliwe!

— Możliwe. Trochę kuleję, ale skręcenie kostki, nawet tak paskudne, nie powstrzyma mnie od odwiedzin najsłynniejszego altowiolisty w K.

— No, to przychodź! Przy okazji poznasz mojego przyjaciela, nadkomisarza. Policji — dodałem na wszelki wypadek. Miejmy to za sobą. W końcu Robert zasługiwał na odrobinę zaufania. Wydawało mi się, że Bielski się uśmiecha.

— To mi zupełnie nie przeszkadza. Tylko że ja też nie jestem sam...

— Przychodź, z kim chcesz. Czekamy!

— Antosiu, zaraz poznasz mojego przyjaciela. Robercie... — Właściwie nie wiedziałem, co powiedzieć. W związku z tym nie powiedziałem nic. A nadkomisarz dalej uśmiechał się

filuternie. W końcu sam się odezwał.

— No dobrze, powiem ci. Rozmawiałem z nim wczoraj. Ponieważ sprawa dotycząca mechanika zapowiada się na bardzo rozwojową, zaproponowałem mu status świadka koronnego.

— I?

— Odmówił.

Jakoś nie byłem zdziwiony.

— Jego prawo. Ale bądź spokojny; nie mam przeciwko niemu żadnych dowodów i wcale nie zamierzam ich zbierać. I bez tego mamy dość roboty. Krótko mówiąc, nasze stosunki są zerowe, choć, jak by to powiedzieć, nacechowane instynktowną sympatią...

Kamień spadł mi z serca. A właściwie olbrzymi głaz.

— Zawsze wiedziałem, że porządny z ciebie kawał... policjanta...

— Nie kpij, bo wlepię ci mandat za spoufalanie się z władzą.

— Lepiej powiedz, jak to możliwe, że on już chodzi? — W oczach miałem ciągle opłakany wizerunek Łotysza uwięzionego pod ziemią.

— Ratownicy wpuścili w ziemię sondę, za pomocą której nawiązali kontakt słowny oraz przekazali mu wodę, tlen i elektrolity. Gdy okazało się, że nie zdoła wyjść samodzielnie, jeden z nich ruszył starym szybem, jednocześnie go poszerzając i zabezpieczając. Potem opasał niedźwiedzia liną — ponoć dwukrotnie pękała — po czym ciągnąc i popychając, wydobyli go na powierzchnię. Obdukcja w szpitalu wykazała, że prócz paskudnego zwichnięcia prawej kostki nie mu właściwie nie dolega. Wrywał się ze szpitala, mówiąc, że ma coś do ważnego do załatwienia. Jak nic, wybierał się do leśniczówki. Jeszcze jego tam brakowało. W końcu podano mu środki uspokajające, bo zachodziła obawa, że zdemoluje szpital.

— A co z Porzuconym Miastem?

— A co ma być? Sprawa jest na razie poufna, żeby przypadkiem nie uaktywnili się domorośli poszukiwacze skarbów i sensacji. Ale nieoficjalnie mogę ci powiedzieć, że w przyszłorocznym budżecie miasto przeznaczy bardzo poważną kwotę na badania i konserwację znaleziska. Zdaje się, że znowu podskoczymy o kilka oczek w rankingach turystycznych.

No właśnie. Pojawiał się dylemat nie do rozstrzygnięcia. Czy spoczywający w słonych sarkofagach nie zasługiwali na wiekuisty spokój? A może przeciwnie: mieli stać się nowym ostrzeżeniem, w czasach, gdy znane już przestrogi powszednieją i tracą na sile?

Rozległ się dzwonek. Po chwili drzwi na dole trzasnęły, a na schodach dały się słyszeć ciężkie, choć nieregularne kroki. Jakby sam Quasimodo spieszył z odwiedzinami. Towarzyszył im odgłos lżejszy, rytmiczny, wdzięczny...

Eston bystro nadstawił ucha.

Otwarłem drzwi w samą porę. Naprzeciwko mnie stał uśmiechnięty Gedete. W jednej dłoni trzymał butelkę gruzińskiego koniaku (zapowiadała się niezła impreza). W drugiej... smycz.

— Poprzedni właściciel wołał na nią suka, ale my wolimy Pola, prawda?

Wilczurka szczeękła niepewnie.

— Dotychczas zaznała tylko łańcuchowego życia przy warsztacie samochodowym. Miała trafić do schroniska. Pomyślałem, że lepiej jej będzie ze mną...

Pola i Eston wpatrywali się w siebie jak urzeczeni, łagodnie wachlując ogonami.

Noorderwijk, 31. 12. 2011

## CYTATY I INSPIRACJE

- Jan Brzechwa, *Przyjście wiosny*
- Matthias Claudius, *Śmierć i dziewczyna*
- Jan Czeczot, *Prząśniczka*, muzyka Stanisław Moniuszko
- Danuta Gwizdalanka, *Przewodnik po muzyce kameralnej*, Polskie Wydawnictwo

Muzyczne, Kraków 1996

- Jan Antoni Homa, *Altowiolista*, Wydawnictwo Sol, Warszawa 2009
- Adam Kowalski (tekst i muzyka), *Jak się leguny dostały do nieba* (piosenka z filmu *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*)
- Stanisław Lem, *Cyberiada*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972
- Jerzy Lutowski, *Pieśń o Małym Rycerzu*, muzyka Wojciech Kilar (piosenka z filmu

*Przygody pana Michała*)

- Kornel Makuszyński, *Przygody Koziołka Matołka*
- Tomasz Mann, *Doktor Faustus*, tłumaczenie Maria Kurecka i Witold Wirpsza,

Czytelnik, Warszawa 1985

- Tadeusz Marek, *Schubert*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne (Kraków 1974)
- Adam Mickiewicz, *Pani Twardowska*
- Wojciech Młynarski, *Przyjdzie walec i wyrówna*, muzyka Jerzy Wasowski
- Św. Paweł, I list do Koryntian
- William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłumaczenie Józef Paszkowski
- Włodzimierz Wolski, *Szumią jodły na gór szczycie*, muzyka Stanisław Moniuszko (aria

Jontka z opery *Halka*)